



KATARZYNA JANUS

ŻYCIE  
za ŻYCIE

Życie za życie



Katarzyna Janus  
Życie za życie

Wydawnictwo Literackie Białe Pióro  
Warszawa 2017

Copyright © by W. L. Białe Pióro & Katarzyna Janus  
Warszawa 2017

Projekt okładki: Izabela Surdykowska-Jurek

Skład i łamanie: WLBP  
Korekta: Beata Gołkowska

Wydawnictwo Literackie Białe Pióro  
03 - 562 Warszawa ul. Gajkowicza 5/63  
[www.wydawnictwobialepioro.pl](http://www.wydawnictwobialepioro.pl)

Wydanie: I  
Warszawa 2017

Patronat:

Warszawska Kulturalna  
Recenzje Agi – [nietypowerecenzje.blogspot.com](http://nietypowerecenzje.blogspot.com)  
Miłość do czytania – blog

Druk: TOTEM Inowrocław  
ISBN:978-83-64426-84-1

\*\*\*

Stała w kuchni i z wściekłością wpatrywała się w stojący na stole wazon z jej ulubionymi polnymi kwiatami. Boże, jakie to życie jest cholernie popieprzone. Do dupy to wszystko, do dupy, do dupy...Wzięła wazon do ręki, przez chwilę ważyła go w dłoni, po czym z całą siłą i furią cisnęła nim o ścianę. Niektóre z polnych kwiatów przyłgnęły do gładkiej powierzchni, a po chwili zaczęły smętnie zsuwać się w dół wraz ze spływającą wodą. „Jakież to żałosny widok – pomyślała. – Tak samo żałosny, jak to całe moje popaprane dotychczasowe życie”. Wzięła do rąk kilka małych paczek, które chciała jeszcze zapakować do samochodu i po raz kolejny ogarnęła wzrokiem mieszkanie. W ostatnim odruchu zamierzała posprzątać rozbite szkło i „zwłoki” kwiatów, ale machnęła ręką, zatrzasnęła za sobą drzwi, przekreśliła dwukrotnie klucz w zamku i wyszła z domu.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

### MAJA

Powoli zaczynała odczuwać zmęczenie. Jechała swoim piętnastoletnim volkswagenem garbusem w kolorze bahama yellow już od ponad pięciu godzin. Kilometry uciekały powoli, a ją pochłaniały myśli o wydarzeniach sprzed kilku ostatnich dni, kiedy to wszystko się w jej życiu rozsypało. Miała wrażenie, jakby odpryski własnego życia przesuwały się jej jeszcze przed oczami. Czuła się wyczerpana psychicznie, co było uzasadnione; dziwnie opuściły ją wszystkie siły fizyczne. Miała wrażenie, jakby do każdej kończyny przywiązano jej dziesięciokilowe ciężarki, a na głowę położono kilka cegieł. „Tylko kto to zrobił i dlaczego? Czemu właśnie ją to spotkało?” – zastanawiała się. Nadal nie mogła zrozumieć, że najbliższa jej osoba mogła przez dwa lata tak perfidnie ją oszukiwać. I co najdziwniejsze, nie miała ku temu żadnego powodu. Zakamarki ludzkiej psychiki są jednak niezgłębione...

Musiała odpocząć. Zaczęła rozglądać się za jakimś parkingiem przy trasie szybkiego ruchu, lecz tablice informacyjne pokazywały, że następne miejsce postojowe będzie dopiero za dwadzieścia kilometrów. „To za daleko” – pomyślała, musi odpocząć już. Skorzystała z pierwszego zjazdu z autostrady, po pięciu kilometrach znalazła się na jakiejś krętej drodze „trzeciej kategorii odśnieżania”, jak nazywała takie podrzędne dukty niezależnie od pory roku, chociaż teraz akurat zaczęła się wiosna, i trafiła do małej wsi. Nie zwróciła nawet uwagi na tablicę z nazwą tej osady. Kilka podstarzałych, tradycyjnych wiejskich domów sprawiało dość smętne wrażenie. Przy drodze w jednym z nich mieścił się „Sklepek Wiejski”, jak brzmiał napis nad wejściem. Przed nim stał metalowy stolik z przytwierdzonymi do niego czterema podobnymi taboretami i otworem na parasol pośrodku. Parasola oczywiście nie było. Całość odrapana, sprawiała żalodne wrażenie. Był to jeden z tych relikwów przeszłości, jakie spotykało się w knajpach na świeżym powietrzu w wypoczynkowych miejscowościach z czasów PRL-u. Przy stole siedziało dwóch

mężczyzn w roboczych ubraniach, z kilkundniowym zarostem na ogorzałych twarzach, popijających piwo, mimo wczesnego popołudnia. Spracowanymi, masywnymi dłońmi obejmowali butelki, jakby to były ich najcenniejsze skarby. Bezceremonialnie przyglądali się jej, kiedy wchodziła do środka sklepiku. Jeden z nich nieśmiało dotknął dłonią czapki bejsbolówki, miała wrażenie, że chciał się z nią przywitać. Kiwnęła głową, uśmiechając się przelotnie. Gościu odwzajemnił jej uśmiech, prezentując garnitur resztek żółtego uzębienia. Kątem oka zobaczyła jeszcze, że nachylili się do siebie, szepcząc coś konspiracyjnie.

Wnętrze sklepiku sprawiało wrażenie, jakby przeniesiono je z czasów komuny, pasowało do rozpadającego się stolika na zewnątrz. Stare, drewniane półki zajmowały dwie prostopadłe do siebie ściany. Zapelnione były najbardziej podstawowymi towarami: mąką, kaszą, solą, cukrem, płatkami owsianymi „Górskimi”, kawą zbożową „Anatol”. „Czy ja śnię? Czy zjeżdżając z głównej drogi przemieściłam się w czasie?” Na innych półkach lśniły rumiane bochenki chleba, zupełnie nieprzypominające pokrojonej waty w woreczkach foliowych, którą to zazwyczaj serwowały supermarkety. Obok nich piętrzyły się ponadczasowe bułki kajzerki. Wokół rozchodził się zapach jak z tradycyjnej piekarni. Pamiętała go z dzieciństwa, kiedy to jeździła na wakacje do swojej przybranej babci na Górnym Śląsku, do Rudy Śląskiej. Na parterze budynku, w którym mieszkali dziadkowie, znajdowała się piekarnia. Codziennie rano, chyba około szóstej, budził ją zapach świeżego pieczywa. W piżamie i kapciach zbiegała do zaprzyjaźnionego z dziadkami piekarza po chleb, z którego natychmiast odłamywała ogromną piętę i zanim wróciła na górę, pochłaniała ją z namaszczeniem. I to było zazwyczaj jej śniadanie. Potem wypijała w biegu kubek mleka i już jej nie było. Tę piekarnię pięć lat temu zlikwidowano, a jej miejsce zajęła „Stokrotka” – sklep z sieci dyskontów. I już nic nie było takie samo.

W kolejce stały dwie starsze panie, które zamilkły, kiedy weszła, i przyglądały się jej z ciekawością. Czyżby wioseczka była tak zupełnie pozbawiona kontaktu ze światem, że przybycie kogoś takiego jak ona, wywołuje aż takie zainteresowanie?

- Dzień dobry – powiedziała grzecznie, uśmiechając się nieśmiało.
- Dzień dobry. – Kobiety z kolejki i młoda dziewczyna zza lady od-

powiedziały prawie jednocześnie, spoglądając w jej stronę z zaciekawieniem.

Stała za nimi i rozejrzała się ponownie po sklepie. Starsza kobieta na początku kolejki skończyła pakować zakupiony towar do drugiej, szmacianej, lekko sfatygowanej torby. Pierwsza była już wypełniona po brzegi. Ekspedientka zdjęła z białego w półkę gwoźdźnia zawieszony tam na sznurku zeszyt i ołówkiem, także przywiązany sznurkiem do zeszytu, wpisała nazwisko i kwotę zakupów. Zeszyt w twardej okładce, chyba trzydziestokartkowy, o mocno zniszczonych i powywijanych brzegach, z przeplecionym przez środek konopnym sznurkiem zawiesiła ponownie na gwoździu i spojrzała na następną klientkę. Ta z kolei kupowała pięć kilo ziemniaków. „Po co komuś tyle ziemniaków na raz – pomyślała – dla kompanii wojska? I przecież trzeba to jeszcze zanieść do domu”, a przed sklepem stał tylko jej samochód. Kobiety zatem musiały przyjść pieszo. Oprócz ziemniaków kupowała jeszcze inne warzywa, mąkę, kaszę i paczkę najtańszego papieru toaletowego, szarego i wyglądającego obrzydliwie. I znowu były wypakowane dwie torby, którymi były dla odmiany wielokrotnie używane foliowe reklamówki z popularnego supermarketu. Tym razem transakcja odbyła się za pomocą gotówki. Dwanaście złotych i dziesięć groszy. Za tyle zakupów tak mało? Zdziwiło ją to, ona za taką ilość produktów w Poznaniu zapłaciłaby z pewnością co najmniej pięćdziesiąt złotych.

Kobiety sprawiały wrażenie zadowolonych z życia, nie wyglądały, jakby się dokądkolwiek spieszyły. Czują, że czas w tym miejscu nie był aż taki ważny. Zastanowiło ją to.

Kiedy nadeszła jej kolej, kupiła butelkę wody mineralnej z jakiejś lokalnej rozlewni, dwie bułki i dwie parówki. Takie tradycyjne, grube, nazywane chyba serdelkami, bez foliowej skórki do ściągania. Po chwili jeszcze zdecydowała się na tabliczkę gorzkiej, wedlowskiej czekolady. Siedem złotych dwadzieścia groszy! „Niemożliwe! Może warto byłoby osiąść tu na stałe? Cisza, spokój, daleko od cywilizacji i nikt jej tu nie zna. I wszystko za pół darmo! Ze swoich oszczędności mogłaby przeżyć prawie do śmierci. Prawie”.

Uśmiechając się nieśmiało, pożegnała się z kobietami. Te, które robiły zakupy przed nią, nie wyszły ze sklepu, stały w kącie i cicho ze sobą



rozmawiały, spoglądając na nią raz po raz. Siliły się na dyskrecję, ale niezbyt im to wychodziło. Ekspedientka machnęła dłonią na pożegnanie i posłała jej szczyry uśmiech.

Przed sklepem stolik konsumpcyjny był wolny. Kolesie, zaspokoiwszy pragnienie, udali się zapewne do pracy. Miała tylko nadzieję, że nie są traktorzystami albo kierowcami. „A może mieli już fajrant?” Usiadła przy stoliku, rozłożyła przed sobą zakupy, odkręciła butelkę z mineralną, upiła spory łyk. Poczwała, że zaczyna się odprężać. Jakby to nie jej dotyczyły te wszystkie przykre zdarzenia z ostatnich dni. Odwinęła z szarego papieru parówki. Serdelki właściwie. Zapachniały bosko, usłyszała burczenie swojego brzucha. Domagał się tych specjalów tu i teraz. Ugryzła kawałek kajzerki, do tego spory kęs serdelka. Wyciągnęła przed siebie nogi, wiosenne słońce miło rozgrzewało jej ciało. Smak tego, co właśnie przeżuwała był doskonały. Podobne produkty kupione w supermarkecie smakują jak trociny, a te były jak ambrozja. Nawet nie zauważyła, kiedy pochłonęła obydwie bułki i obie parówki, to znaczy kajzerki i serdelki. Siedziała i rozkoszowała się spokojem panującym dokoła. Pomyślała, że w gruncie rzeczy niewiele jej potrzeba do szczęścia. Czy mogłaby zaszyć się w miejscu takim jak to? Z dala od cywilizacji? Życ w zgodzie z naturą, nie spieszyć się donikąd, pracować wyłącznie na swoje podstawowe potrzeby i nie oczekiwać od życia zbyt wiele, oprócz pełnego brzucha i ciepłego kąta?

Niestety, nie mogła tu zostać dłużej. Jej celem na dzisiaj była Rabka Zdrój, a właściwie jej peryferie. Wzięła pierwszą lepszą pracę, żeby tylko znaleźć się jak najdalej od Poznania. Ponad pięćset kilometrów to daleko, ale czy wystarczająco daleko? Zatrudniła się w nowo powstałym pensjonacie, a właściwie w hotelu, w charakterze recepcjonistki. Nawet w tej chwili chciało jej się z tego śmiać. Absolwentka Wydziału Informatyki i Mikroekonomii Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu z trzecią lokatą na roku, dotychczas będąca szefową marketingu w filii jednej z bardziej liczących się na rynku polskim (i nie tylko) firm kosmetycznych, od poniedziałku, czyli za trzy dni, będzie pracownicą recepcji. Zataiła swoje prawdziwe kwalifikacje, okazała tylko świadectwo maturalne z liceum ogólnokształcącego. Nie dostałaby tej pracy, gdyby wylegitymowała się swoim prawdziwym wykształceniem.

Dopiła ostatni łyk wody, zmieniła opakowania, wyrzuciła wszystko do kosza (bez sortowania śmieci, dziwne) i wsiadła do swojego „żółtka” – tak znajomi nazywali jej wierny samochód. Włączyła odtwarzacz mp3 – Frank Sinatra śpiewał *Wróc do Sorrento*. Wprawdzie wołała wykonanie Anny German, ale stary dobry Frank akurat pasował do jej nastroju. Kiedy powoli ruszała sprzed sklepu, we wstecznym lusterku zauważyła jeszcze kobiety wychodzące na zewnątrz, które przesłaniając rękami oczy, spoglądały za samochodem. Uśmiechnęła się do swojego odbicia.

Wyjeżdżając ze wsi, zobaczyła po drugiej stronie drogi tablicę informacyjną z jej nazwą.. Zatrzymała na chwilę samochód, żeby się przekonąć, dokąd cofnął ją czas. Żegutkowo! Nie mogło być inaczej. Miejsce to nie mogło być jakąś Nową Wsią czy Tarnową Łąką. To musiało być coś dziwnego, coś nie z tego świata. ŻEGUTKOWO! Cudnie! Pasowała idealnie. Może jeszcze kiedyś tu wróci? Kto wie?

\*\*\*

Było późne popołudnie, gdy wreszcie zjechała z Zakopianki, kierując się według drogowskazu na Rabkę. Nigdy wcześniej tu nie była, nawet w tych okolicach. Znała to miejsce z opowiadań kilku swoich koleżanek z dzieciństwa, które jeździły tu do sanatoriów dziecięcych albo na wczasy z rodzicami. Musiała przejechać przez całą miejscowość, żeby dojechać do położonego po drugiej stronie uzdrowiska pensjonatu „U Maciejowej”. Jakie to szczęście, że istnieją GPS-y, bo inaczej kluczyłaby chyba po ulicach do późnej nocy.

Pensjonat był położony bardzo malowniczo, na skraju miejscowości, na zboczu łagodnego wzgórza, z którego rozpościerał się widok na oświetloną teraz zniżającym się słońcem dolinę. Za nią dumnie wznosiła się najszlachetniejsza okoliczna góra – Maciejowa. Pensjonat był dość spory, wzorowany na tradycyjnym stylu podhalańskim. Parter był wymurowany z różnej wielkości łamanego kamienia, z okazałymi półokrągłymi oknami, chyba należącymi do stołówki albo restauracji. Piętro dla odmiany zbudowano z drewnianych bali. Zdobiły go małe drewniane okienka, szprosami dzielone dodatkowo na cztery mniejsze części. Budynek zwieńczony był dość mocno spadzistym dachem, krytym gontem albo raczej dachówką imitującą go. Nad częścią z łukowymi oknami

pysznił się sporych rozmiarów taras, otoczony misternie kutą metalową balustradą. Wszystko było nowe, solidne, sprawiało niezłe wrażenie. Wprawdzie otoczenie wymagało jeszcze wielu prac wykończeniowych, ale parking był już częściowo gotowy.

Zaparkowała swojego „żółtka” blisko wejścia, wzięła z niego tylko torebkę i weszła przez dwuskrzydłowe, drewniane, rzeźbione drzwi do przestronnego holu. Na wprost wejścia mieściła się recepcja, ale w tej chwili nie było w niej nikogo. Oparła się o kontuar i rozglądała po pomieszczeniu. Ściany z drewnianych bali, z poutykanym pomiędzy nimi konopnym sznurem, tchnęły świeżością. Wszystko zresztą było wykonane z jasnego drewna – ściany, sufit, recepcja, stolik z krzesłami ustawiony w kącie. Tylko podłoga jasna, kamienna, chyba z piaskowca, wyróżniała się z tego otoczenia. W tle grała cicha muzyka; zdziwiła się, że nie góralska, tylko spokojny, barowy jazz. Nie miałyby nic przeciwko góralskiej muzyce, ale jazz jej bardziej odpowiadał. Nadusiła dzwonek stojący na ladzie, przywołujący recepcjonistę. Oczekała kilka minut, a gdy nadal nikt się nie zjawiał, ruszyła w stronę uchylonych przeszklonych drzwi, jak się okazało, prowadzących do restauracji.

Weszła do przestronnego pomieszczenia z belkowanym sufitem. Podobnie jak w poprzednim miejscu, wszystko w nim było drewniane. Belki ozdobił misternie rzeźbiony góralski ornament. W dwóch rzędach ustawiono wykonane również w góralskim stylu stoły, a obok nich krzesła z charakterystycznie wygiętymi ku tyłowi, rzeźbionymi w podobny wzór jak na belkach, oparciami. Leżące na stołach białe obrusy haftowane w czerwono-granatowy góralski wzór, i świece stojące w kamionkowych lichtarzach dopełniały wystroju. W kącie ukrył się kamienny, sporych rozmiarów kominek, a przy nim misternie rzeźbiony sosnowy kredens, jakby wykonany z najdelikatniejszej koronki. I tu też było pusto.

– Halo! Jest tu ktoś? Dzień dobry! – zawołała w przestrzeń. Cisza, nadal nikogo. I kiedy zamierzała wrócić już do recepcji, z drzwi prowadzących chyba do kuchni wyłonił się pan w wieku około sześćdziesięciu kilku lat, siwy, w roboczym kombinezonie. Spojrzał na nią z zacieka-wieniem.

– Dzień dobry, czym mogę pani służyć? – zapytał uprzejmie.

– Nazywam się Maja Bogacka, zatrudniłam się u państwa w charak-

terze recepcjonistki. Właśnie przyjechałam. Czy zastałam właściciela?

– A, witam, bardzo mi miło – odpowiedział starszy pan, podając jej dłoń na przywitanie. Była szorstka, spracowana i taka ciepła. Uścisnęła ją serdecznie.

– Niestety, syn musiał pilnie wyjechać, będzie dopiero w poniedziałek. Z tego, co wiem, zaczyna pani pracę właśnie w tym dniu, rano więc uzgodnicie sobie wszystko i dopełnicie formalności. Jest dla pani przygotowany pokój na poddaszu. Syn mi przekazywał, że zatrzyma się pani u nas, dopóki nie znajdzie sobie czegoś w mieście. Możemy pani pomóc w wyszukaniu jakiegoś spokojnego lokum. – Uśmiechał się do niej takim miłym wujaszkatym uśmiechem.

– Będę bardzo zobowiązana – odpowiedziała, ujęta jego serdecznością.

– Jutro w południe przyjedzie pani Basia, która zajmować się będzie szkoleniem personelu, zbiorą się również wszyscy pracownicy. Proszę, żeby pani także przyszła, zapozna się pani ze swoimi obowiązkami. Pensjonat rusza od poniedziałku i z tego, co mi wiadomo, przyjedzie już sporo gości. Nie będziecie się więc nudzić.

Kiedy mówił to do niej, patrzył jej prosto w oczy. Szczerzy ludzie tak patrzą. „Ci, którzy nie mają nic do ukrycia” – pomyślała.

– A teraz proszę za mną, pokażę pani jej pokój.

Weszli po drewnianych schodach na samą górę. Pokój znajdował się na końcu korytarza. Malutki, ze skośnymi ścianami i mikroskopijną łazienką. Okno w szczytowej ścianie wychodziło na Maciejową. Widok z niego zapierał dech w piersiach. Zielone pagórki oświetlone czerwonym światłem chylącego się ku zachodowi słońca zdawały się układać wygodnie do spokojnego snu.

– Pokój nie jest duży, ale dla jednej osoby wystarczy. Proszę, tu ma pani klucze. Czy pomóc wnieść bagaże? – zapytał uprzejmie.

– Nie, dziękuję, poradzę sobie. Nie będę wносиła wszystkiego, bo mam nadzieję szybko znaleźć ostateczne lokum. Wezmę tylko najpotrzebniejsze rzeczy, reszta zostanie w samochodzie – odpowiedziała, uśmiechając się ciepło.

– W takim razie życzę spokojnej nocy. Może coś miłego się pani przyśni? Pierwsze sny w nowym miejscu podobno się sprawdzają.

I odszedł. Słyszała kroki stopniowo cichnące na korytarzu.

Wniosła swój niewielki bagaż, rozpakowała niektóre rzeczy i weszła pod prysznic. Czowała zmęczenie podróżą i ostatnimi dniami, które spędziła w ciągłym napięciu. Kiedy wyszła z łazienki, na dworze było już ciemno. Miała na sobie piżamę, opatulila się szlafrokiem, zaparzyła gorącą herbatę. Włączyła laptopa, sprawdziła, że Wi-Fi dobrze działa, otworzyła pocztę. Było kilkanaście nowych maili. Rozsiadła się wygodnie, włączyła muzykę – czego by tu posłuchać? Natalie Cole... uspokajała ją. Usunęła kilka reklamowych e-maili, nie czytając ich nawet. Wśród pozostałych wiadomości zobaczyła kilka e-maili od Filipa. Miała nadzieję, że da jej już spokój, że wszystko, co mieli sobie powiedzieć, zostało już powiedziane. Oparła się wygodniej o oparcie fotela, trzymając w dłoniach ciepły kubek z herbatą, zamyśliła się. Przez ostatnie cztery lata był dla niej najważniejszą osobą na tym ziemskim padole. Można by rzec: pępkiem świata. Kimś, komu bezgranicznie ufała. A co on z tym zrobił? Przez dwa lata perfidnie ją oszukiwał. Wykorzystywał jej ufność i naiwność. I to nie, żeby ją zdradzał, o nie! To byłoby zbyt banalne. On miał dwie tożsamości, prowadził równoległe dwa życia. I faktem jest, że nie wyrządził nikomu tym krzywdy, nie. Tylko przestał być wiarygodny. Zaczęła się zastanawiać, czy wszystko jest w porządku z jego psychiką. Zaczęła się go bać. A on nie chciał odpuścić. Przepraszał, błagał, kajał się, szantażował. Musiała się od tego odciąć. Wyjazd był najlepszym rozwiązaniem. I najprostszym. Nic jej w Poznaniu nie trzymało. Nie miała nikogo na świecie poza nim. Teraz zacznie wszystko od nowa.

Usunęła e-maile, nie czytając ich nawet. Włączyła w komputerze blokadę jego wiadomości. Będą rozpoznawane jako *spam* i automatycznie usuwane. Tym samym przecięła ostatnią cienką nić łączącą ją z Filipem.

## ROZDZIAŁ DRUGI

### MAJA

Spała niespokojnie, chyba z powodu zmęczenia. Kiedy rano o ósmej obudził ją budzik, nie wiedziała w pierwszej chwili, gdzie jest. Rozejrzała się po małym pokoiku. „Rabka” – pomyślała. Miała jakieś dziwne sny tej nocy. Przypomniał jej się starszy pan i jego słowa o pierwszym śnie w nowym miejscu. Początkowo nie mogła sobie przypomnieć, co to było, ale po chwili już wiedziała. Śniło się jej, że szła na Maciejową. Było lato, pięknie świeciło słońce, a ona szła z jakimś mężczyzną. Dziwne, ale nie wiedziała, kto to był, choć czuła, że jest jej bliski. Był wysoki, postawny i czuła się przy nim bezpiecznie. Ufała mu. Miał na sobie gruby, granatowy sweter, taki trochę oldskulowy. Podobał się jej, idealnie do niego pasował. Ale zupełnie nie mogła sobie przypomnieć jego twarzy. Spieszyli się bardzo, bo gonila ich czarna, burzowa chmura; coraz bliżej słyszeli pioruny, a do schroniska ciągle było daleko. Im prędzej wspinali się pod górę i im bardziej byli zmęczeni, tym bardziej burza się zbliżała. Na jawie bała się burzy panicznie, taki sam strach odczuwała we śnie. I kiedy wydawało się już, że nie zdążą dotrzeć przed nią na miejsce, spotkali dziwną kobietę. Była dość młoda, nieco tylko starsza od Mai, ubrana w niecodzienny strój, jakby taterniczki z okresu międzywojennego. Uśmiechnęła się do nich uspokajająco, podała jej rękę i pociągnęła za sobą. W ostatniej chwili mężczyzna złapał ją za drugą rękę i pobiegli w kierunku szczytu. Nie można właściwie powiedzieć, że biegli. Oni frunęli! Poczuli się bezpiecznie, ściskając rękę nieznaną, widziała już między drzewami zarys schroniska. Po chwili jednak się zorientowała, że biegnąc z całych sił, cały czas znajdują się w jednym miejscu. Wprawdzie chmura ich nie doganiała, ale schronisko też się nie przybliżało. Jakby byli zatrzymani w czasie. Poczuli niepokój. Chciała zawołać kobietę, uwolnić się z jej uścisku, ale... się obudziła.

„Dziwne – pomyślała. – I w jakim sensie taki sen miałby się spraw-

dzić? Spotka kobietę, mężczyznę, czy też może nie powinna wybierać się na Maciejową? Hmm... zobaczymy”. Nie była przesądna ani strachliwa, ale trzeba przyznać – sen był niezwykły.

W południe wszyscy nowi pracownicy zebrali się w holu przed recepcją. W większości byli to młodzi ludzie, z niewielką przewagą kobiet. Wszyscy byli trochę onieśmieleni, spoglądali na siebie z rezerwą. Po chwili wkroczyła pani Barbara. Maję nieco zaskoczył jej wygląd, spodziewała się postawnej kobiety, takiej herszt baby, a przed nimi stała filigranowa blondynka około pięćdziesiątki i uśmiechała się do nich miło. Z jej twarzy biła szczerłość, patrzyła na wszystkich tak serdecznie, jakby byli jej gośćmi, a nie pracownikami. Skojarzyła się jej z matką, taką spokojną, ciepłą. Maja nie знаła swoich rodziców, wychowało ją państwo, a właściwie dom dziecka w Poznaniu. W dzieciństwie, jak zapewne większość dzieci z domów dziecka, fantazjowała, że jest zaginioną córką bogatych, kochających się rodziców, najlepiej porwaną przez Cyganów. I że rodzice wkrótce ją odnajdą, a potem wszyscy razem będą żyli długo i szczęśliwie. I takie tam podobne bzdety. Kiedy dorosła, przestała marzyć. Początkowo usiłowała się czegoś dowiedzieć o swoim pochodzeniu, lecz gdy się okazało, że została porzucona przez matkę na oddziale noworodkowym, a ojciec był nieznanym, przestała dociekać. Nie chciała znać ludzi, którzy ją spłodzili, a potem porzucili. Uznała, że nie są tego warci, nie chciała się z nimi porównywać. Wymazała ich więc ze swojej podświadomości. Jedynym żalnym faktem było to, że nie miała nikogo bliskiego, była na świecie sama jak palec. A może jak Mały Książę?

– Kochani, witam was serdecznie w naszym pensjonacie – powiedziała pani Barbara, nadal się uśmiechając. – Bardzo proszę, żeby każdy przedstawił się imieniem i nazwiskiem oraz powiedział, jaką pracę będzie wykonywał. Potem podzielimy się na grupy i będziemy przydzielali obowiązki. Kucharzy wprowadzi pan Roman, ojciec właściciela pensjonatu, który chwilowo pełni obowiązki szefa kuchni – starszy pan podniósł rękę do góry. – Pokojówki pójdą na górę z panią Heleną, która będzie was nadzorować.

– To ja, witam – odezwała się z tyłu pulchniutka płeć piękna po

czterdzieście, z rumianymi policzkami i czarnymi włosami z trwałą ondulacją.

– Pracownicy recepcji zostaną ze mną tu na dole – odezwała się ponownie Barbara.

Młodzi nieśmiało zaczęli się przedstawiać. Obserwowała ich uważnie, wiedziała ze swojej dawnej pracy, że pierwsze wrażenie jest bardzo ważne. Jak to miał w zwyczaju mawiać jej pierwszy szef? „Pamiętaj, że pierwszego wrażenia nie można zrobić drugi raz”. Miał rację. Wielokrotnie się przekonała, że instynkt jej nie mylił. No, może z jednym wyjątkiem, w relacji z Filipem. Ale w kontakcie z nim nie kierowała się rozumem.

Potrafiła zapamiętać imiona i nazwiska wszystkich zebranych tu osób. Miała w tym wprawę. Przez ostatnie cztery lata kierowała licniejszą grupą osób, niż ta tutaj zgromadzona. Trudno powiedzieć, czy to lubiła. Po prostu pracowała rzetelnie i zarabiała dobre pieniądze. Czy będzie za tym tęsknić?

Wraz z Barbarą w holu zostało pięć osób. Marek – dwudziestotrzyletni zaoczny student hotelarstwa, Łukasz – świeżo rozwiedziony trzydziestolatek, Ewa – młodziutkie dziewczę tuż po liceum i ona, Maja – dwudziestodwuletnia pogubiona, nie wiadomo kto. No i oczywiście szefowa, Barbara. Wyjaśniła im zakres ich obowiązków, ustalili grafik, odpowiedziała na nieliczne pytania i spotkanie dobiegło końca. W poniedziałek jeszcze tylko podpiszą umowę z szefem i formalności zostaną dopełnione. I wreszcie zacznie nowy etap w swoim życiu. Właściwie, już go zaczęła; w momencie, kiedy wczoraj wsiadła do swojego „żółtka” na parkingu przed blokiem w Poznaniu.

Wróciła do pokoju, usiadła na niewielkim foteliku i nagle poczuła pustkę. Nie wiedziała, co ma ze sobą robić do poniedziałku. Nie pamiętała, od kiedy, ale chyba od kilku lat nie miała tyle wolnego czasu i jednocześnie nie była taka zagubiona. Żeby chociaż miała już jakiś swój ką, mogła się rozpakować, urządzić. Przeglądała już wcześniej ogłoszenia o wynajmie mieszkań w Rabce, ale nic nie przypadło jej do gustu. Albo za duże, albo za daleko, albo za drogie. Nie miała zbyt wiele oszczędności. Mieszkanie, w którym mieszkali z Filipem, było przez nich wynajmowane. Kiedy się rozstali, okazało się, że nie dostaną zwrotu



zaliczki w wysokości dziesięciu tysięcy złotych, ponieważ od trzech miesięcy Filip nie płacił czynszu ani rachunków, a zawsze to należało do jego obowiązków. Do tego jeszcze narobił u właścicielki jakichś długów, a teraz przepadł jak kamień w wodę. Nie chciała przedłużyć tej fatalnej sytuacji, pragnęła jak najszybciej wyjechać, dlatego poniosła sama wszystkie koszty. Byle tylko już się to skończyło. Zabrała ze sobą jedynie kilka swoich osobistych drobiazgów: starą komodę, którą kiedyś znalazła na śmietniku osiedlowym i samodzielnie odrestaurowała, wyszło z niej prawdziwe cacko, ubrania, książki, laptop... ot, i wszystko. W banku miała trzy tysiące złotych. No i jeszcze tego swojego „żółtka”, znaczy bahama yellow. Nie przedstawiał sobą wielkiej wartości. Zwyczajnie, taki stary gruchocik, ale jak dotąd nigdy jej nie zawiódł.

Całe swoje dotychczasowe oszczędności, oprócz spłaty mieszkaniowych długów, wydała na opłacenie ich wspólnej wycieczki na Majorkę. Niestety, następnego dnia po przylocie wybuchła ta cała afera i musiała zapłacić za swój nocleg w innym hotelu i powrotny bilet lotniczy do Polski. Filip został, nie miał za co wrócić, ale nie zamierzała więcej niczego mu fundować. Poza tym jedyne, czego wtedy pragnęła, to znaleźć się jak najdalej od niego. Czowała się zdruzgotana, rozczarowana, oszukana. Ale też bała się go. Skoro przez dwa lata mógł robić to, co robił, nie był zapewne do końca przy zdrowych zmysłach. Jakieś rozdwojenie osobowości? I jeszcze ta agresja, której na koniec nie zdołał pohamować. Warto by porozmawiać z psychologiem, może z psychiatrą? Schizofrenia? Ludzie w tej chorobie mogą być podobno niebezpieczni. Nie, może nie było aż tak źle, ale obawy jej nie opuszczały.

Spojrzała przez okno. Minęła piętnasta. Spomiędzy kłębiastych chmur raz po raz przedzierało się wiosenne słońce. Trawa w dolinie widocznej z jej okna miała kolor soczystej zieleni, na drzewach zaczęły pojawiać się drobniotkie listki. Gdzieś tam przebijały się pierwsze wiosenne kwiaty. Żał w taką pogodę siedzieć w pokoju. Może chodząc po mieście, natknie się na jakieś ogłoszenia o wynajmie pokoju albo małego mieszkanca? Zmieniła obuwie na wygodne trampki, zarzuciła na siebie kurtkę, szyję opatuliła miękkim szalem i wyszła z pokoju. Włożyła w uszy słuchawki, włączyła odtwarzacz mp3 – tym razem muzyka francuska, taka z akordeonem, tęskna, melancholijna, ale jednocześnie

głośna. Pasowała do jej nastroju. Oczami wyobraźni zobaczyła starą francuską oberżę, zespół przygrywający gdzieś w kącie, a na parkiecie kilka tańczących do tej specyficznej muzyki par. Chciałyby się kiedyś tam znaleźć. Podobno w życiu trzeba wytyczać sobie jakieś cele. Może to mógłby być jej cel? Zarobić tyle pieniędzy, żeby starczyło na co najmniej dwutygodniowy wyjazd do Francji. Gdzieś do Prowansji na przykład. Ale nie koniecznie. Równie dobrze mogłaby być Normandia albo okolice Paryża? Albo nad Morze Śródziemne? – to byłaby bajka.

Dziarsko opuściła pensjonat. Po przejściu wertepów, które w przeszłości będą podjazdem do pensjonatu, weszła na stromą uliczkę wyłożoną kostką brukową, prowadzącą w dół do miasta. Po jednej stronie stały stare domy wyglądające jak małe, piętrowe kamieniczki, po drugiej otwierał się widok na dolinę przed Maciejową. Domki, chociaż niezbyt nowe, były jednak zadbane. Okna zdobiły ładne firanki, w niektórych wisały modne ozdoby – plecione serduszka, kolorowe zawieszki. Na parapetach stały kwiaty w doniczkach. Całość sprawiała schludne wrażenie. Wokół panował spokój i cisza, nie było żadnych ludzi, nie przejeżdżały żadne samochody. Szła szybkim marszem, muzyka w uszach uspokajała ją psychicznie, fizycznie dodawała jej wigoru.

Stroma ulica zakręcała pod ostrym kątem w lewo. Nie zastanawiając się nawet, skręciła raptownie, chcąc przejść na drugą stronę. Nagle z piskiem opon, gwałtownie, tuż przed nią zahamował samochód zjeżdżający z góry. Duża, terenowa, ciemna Toyota. Nie widziała go, bo była odwrócona do niego tyłem, a z powodu słuchawek w uszach nie słyszała, kiedy nadjechał. A jechał szybko, bo hamował bardzo ostro, aż dym poszedł z opon. Odskoczyła przerażona na chodnik, serce waliło jej w piersiach. Samochód ruszył szybko dalej, nie zauważyła nawet, kto był kierowcą, kobieta czy mężczyzna. Stała przez chwilę, czekała, aż się uspokoi jej walące serce. „Co za kawał drania! – pomyślała. – Nie zatrzymał się nawet, żeby zobaczyć, czy nic mi się nie stało! Co za ludzie mieszkają w tej Rabce?”

Kiedy po chwili ochłonęła, ruszyła dalej. Kręta uliczka stopniowo schodziła w dół, aż w końcu doprowadziła ją do głównego deptaku Rabki, w okolice amfiteatru. Spacerem dotarła do nietuzinkowej fontanny. Prostokątna kompozycja miała na obrzeżach ustawionych siedem różnej

wielkości słoni z trąbami uniesionymi ku górze. Na szczęście chyba! Uśmiechnęła się. Przysiadła na chwilę na murku okalającym fontannę, chciała chwilę odpocząć, bolały ją nogi. Na budynku obok zauważyła napis „Restauracja Zdrojowa”. Z wnętrza dochodziła cicha muzyka, przed budynkiem, pomimo wczesnej wiosny, wystawiono już stoliki. Kilka osób siedziało przy nich, rozmawiając spokojnie i pijąc kawę. Poczwała chęć na gorącą czekoladę. Może po takim szybkim marszu i stresie związanym z tym pędzącym na nią samochodem musi uzupełnić poziom cukru? Na pewno potrzebuje trochę endorfin. Weszła do środka, wystrój nie zwał z nóg. Jakby taki nie z tej epoki, ale było schludnie i miło. Przy stoliku pod oknem jakaś para w średnim wieku rozmawiała przyciszonymi głosami. Podeszła do baru, a kiedy barman odwrócił się do niej, uśmiechnęła się zaskoczona.

– Łukasz, cześć! – Rozwiedziony trzydziestolatek, z którym będą wspólnie pracowali w recepcji.

– Maja, witam. Co tu robisz, wstąpiłaś na kawę? – zapytał serdecznie.

– Wyszłam na spacer i nabrałam ochoty na gorącą czekoladę. Mogę zamówić?

– Ależ oczywiście, co tylko pani sobie życzy. – Uśmiechał się do niej sympatycznie. – Usiądź sobie przy stoliku, zaraz przyniosę. A może jeszcze do tego coś słodkiego?

– Kuszisz. – Pokręciła głową z rezygnacją. – Może sernik? Macie dobry?

– Będzie ci smakował. – Nadal się do niej uśmiechał. Miał taki szczerzy uśmiech. Brały w nim udział wszystkie mięśnie twarzy i oczy, a nie tylko usta.

Rozejrzała się za stolikiem, wybrała również przy oknie, ale wystarczająco daleko od rozmawiającej pary, żeby nie słyszeć ich głosów. Zdjęła kurtkę, rozsiadła się wygodnie. Popatrzyła przez szybę. Taka senna miejscowość. Na deptaku prawie pusto, tylko jeden skulony mężczyzna spieszył dokądś i młoda kobieta z wózkiem spacerowała wolno w pobliżu fontanny. W porównaniu z Poznaniem był to zupełnie inny świat. Potrzebowała tego w tej chwili, takiego uspokojenia, ale z drugiej strony nie mogła powiedzieć, że nie lubiła gwaru i tempa dużego miasta.

Odwróciła się od okna i spojrzała na Łukasza. Średniego wzrostu, szatyn, o miłej twarzy. Ubrany w białą koszulę z krótkim rękawem, z plaketką z imieniem przypiętą na lewej piersi, w ciemnych spodniach. Mógł się podobać kobietom. Sprawiał przede wszystkim miłe wrażenie. Miała nadzieję, że się polubią, że będzie im się dobrze razem pracowało, szczególnie, że zgodnie z planem mają razem wiele zmian. Ale nie była zainteresowana budowaniem relacji z żadnym mężczyzną. Potrzebowała wyciszenia. Znowu spojrzała w okno. Minęła siedemnasta, a na zewnątrz było pusto. Przecież to sobota, życie powinno tętnić. Czy wszyscy zamknęli się w swoich domach? „Dziwne” – pomyślała.

Łukasz podszedł do stolika, postawił przed nią parującą jeszcze filiżankę z czekoladą i apetycznie wyglądający sernik. Westchnęła z zadowoleniem, uśmiechnęła się do niego.

– Może usiądziesz, jeżeli nie jesteś zbyt zajęty, pogadamy chwilę? Nie ma ruchu, możesz? – zapytała życzliwie.

– Chętnie, ruch zaczyna się zazwyczaj o osiemnastej. Najczęściej o tej porze roku odwiedza nas młodzież, rzadziej kuracjusze. Za to latem mamy tłok – odpowiedział, odsuwając krzesło i siadając obok. – Opowiedz mi coś o sobie. Skąd przyjechałaś? Bo wiem, że nie jesteś z Rabki ani okolic.

– Przyjechałam z Poznania. Poczułam potrzebę zmiany w życiu, chciałam zwolnić tempo – odpowiedziała w przerwie między kęsami sernika.

– A gdzie pracowałaś przedtem? – Takie zwyczajne pytanie, ale w jej przypadku prawdziwa odpowiedź nie wchodziła w grę.

– Ach, wiesz, trochę tu, trochę tam. Imiałam się różnych zajęć. Nadal szukam swojego miejsca w życiu.

Jeszcze do niedawna wydawało się jej, że ma wszystko, o czym można sobie zamarzyć. Kochającego mężczyznę, wspaniałą pracę, zdrowie, urodę. Czego chcieć więcej?

– Nie jesteś mężatką, jak sądzę? Nie nosisz obrączki – zapytał takim tonem, jakby pytał, czy zjadła dzisiaj śniadanie.

– Nie, nie jestem – odpowiedziała także normalnym tonem. Pytanie i odpowiedź.

– Ja rozwiodłem się dwa lata temu. Po roku małżeństwa żona mnie

zostawiła i wyjechała do Stanów szukać szczęścia. Ale chyba dobrze się stało, nie pasowaliśmy do siebie. – Nie było emocji w jego głosie. Patrzył jej prosto w oczy. Jego były takie zielonkawe, lśniące. Niesforne, nieco potargane włosy opadły mu na czoło. – A od października zaczynam studia, zaoczne w Krakowie, turystykę.

– O, to super. Nie można w życiu stanąć w miejscu. Trzeba stale się rozwijać. Muszę także zastanowić się nad sobą. Ale na razie mam zamiar przede wszystkim trochę odsapnąć.

Do wnętrza weszło kilka osób, nagle zrobiło się gwarно. Łukasz pożegnał się z uśmiechem na ustach i zajął gośćmi. Siedziała jeszcze przez moment, dopijała swoją czekoladę i przyglądała się głośniejszej grupce. Po chwili, skinąwszy Łukaszowi głową na pożegnanie, wyszła na zewnątrz. Owiąło ją chłodne powietrze, takie czyste i rześkie. Odetchnęła pełną piersią. „Będzie mi tu dobrze – pomyślała. – Musi być dobrze”.

Kiedy wróciła do pensjonatu, na dworze zaczynało się robić szarawo. Na parkingu przed wejściem zauważyła terenową Toyotę, podobną do tej, która o mało jej nie przejechała. Ale nie była pewna nawet koloru tamtej, nie mówiąc już o tablicach rejestracyjnych, nie wiedziała zatem, czy to ta sama. Zresztą, jakie to miało znaczenie? W końcu przecież nic się nie stało, a i ona nie była bez winy, bo przechodziła przez ulicę, nie rozejrzawszy się przedtem i jeszcze na dodatek ze słuchawkami w uszach. Oprócz Toyoty i jej samochodu na parkingu stały jeszcze trzy inne auta. Miała przy sobie klucz do drzwi wejściowych, gdyż przez weekend nikt z obsługi pensjonatu nie pracował. Oprócz niej z gości miała tam przebywać tylko jedna osoba, w pokoju piętro niżej, ale nie wiedziała, kto to taki. Drzwi domu jednak nie były zamknięte na klucz. Weszła do holu, rozejrzała się, nie było tu nikogo. Poczwała lekki niepokój, niezbyt przyjemnie było wiedzieć, że oprócz niej w tak dużym obiekcie może nie być nikogo więcej. Ktoś mimo to musiał być; drzwi przecież były otwarte. Usłyszała dochodzące od strony kuchni hałasy, ruszyła w tym kierunku. W sali restauracyjnej zobaczyła mężczyznę rozpakowującego kartonowe pudła i wyjmującego z nich talerze. Miał około czterdziestu lat, no może, trzydziestu paru. Był wysoki, postawny, z delikatnie szpakowatymi włosami na skroniach, ubrany w wytarte dżinsy i granatowy sweter. Granatowy sweter... nie, to niemożliwe. Ten

sweter, ten ze snu... i sylwetka tego mężczyzny... „Nie, przecież nie wierzę w sny – pomyślała. – To tylko zbieg okoliczności”.

Mężczyzna odwrócił się do niej, wyprostował, przyglądał się jej przez chwilę, marszcząc czoło.

– Dzień dobry, jestem Maja. Od poniedziałku zaczynam tu pracę w recepcji. A pan jest pewnie tą drugą osobą, która przez weekend będzie mieszkała w pensjonacie? – zapytała, wyciągając dłoń na przywitanie.

– Cześć, jestem Hubert. – Po krótkiej chwili wahania uścisnął jej dłoń. Uścisk miał zdecydowany, krótki. Przyglądał się jej z ciekawością. Patrzył na nią, a właściwie na jej włosy. Co, rudzielca nigdy nie widział? Dawno nikt tak się nie przyglądał jej rudym włosom.

– Przestraszyłam się, że ktoś nie zamknął drzwi wejściowych na klucz, a wiedziałam, że nie ma już personelu, dlatego przyszłam zobaczyć, czy ktoś tu się nie kręci obcy – powiedziała, jakby chciała się usprawiedliwić ze swojej obecności.

– To tylko ja. Rozpakuję resztę kartonów i nie będę więcej hałasował. Zresztą, za chwilę odjeżdżam, zamknę drzwi wejściowe za sobą na klucz, obiecuję – mówiąc to, cały czas się w nią wpatrywał, bardzo czymś zaintrygowany. No, zwyczajnie gapił się. Poczula się niezręcznie. Coś frapującego było w jego spojrzeniu. Onieśmielał ją.

– Dobrze, w takim razie nie przeszkadzam – odpowiedziała zmieszana. Hubert skinął tylko głową. Odchodząc, czuła na sobie jego wzrok. Ciekawe, jaką rolę pełni w pensjonacie? Może to kucharz? – zastanawiała się. Czuła się tak speszona, że nawet go o to nie zapytała.

## ROZDZIAŁ TRZECI

### FILIP

Szedł energicznie brzegiem Warty. Kaptur bluzy nasunął głęboko na oczy, wysoko postawił kołnierz kurtki. Zacinający deszcz niemiłosiernie siekł go po twarzy, ale nie zwracał na to zbyt uwagi. Czuł, że przemakają mu dzinsy, przykleiły się do jego kolan i ud, ocierały się o nie boleśnie przy każdym kolejnym kroku. Miał to gdzieś. Zaczynało się robić ciemno, coraz mniej światła docierało nad brzeg rzeki. Miał głowę pełną myśli o Mai. Całe ich wspólne życie przesunęło mu się przed oczami jak taśma filmowa. Każdy dzień był tak wyraźny, jakby rozgrywał się tu i teraz. I rozdzierał mu serce. Zaczął biec, coraz szybciej i szybciej, aż w końcu nie mógł złapać tchu, aż poczuł w klatce piersiowej taki ból, jakby miała mu się ona rozerwać od wewnątrz, eksplodować jak odbezpieczony granat. Nagle z jego piersi dobył się rozdzierający krzyk, skowyt raczej. I krzyczał tak, krzyczał, aż gardło odmówiło mu posłuszeństwa. W końcu przystanął, pochylił się do przodu, dłonie oparł o mokre uda, usiłował złapać oddech.

Tak bardzo za nią tęsknił. Jak mogła tak wyjechać, zostawić go, zarzucić za sobą wszelkie ślady. Przecież kochał ją od zawsze, od czasów szkoły średniej. Wtedy tylko się przyjaźnili, tak ona myślała. Ale on kochał ją od pierwszego dnia w liceum. Kiedy tylko na nią spojrzął, zobaczył, jak światło igra w jej miedzianych włosach, a potem odbija się od jej seledynowych tęczywek, oświetla miodowe piegi na nosie. Już wtedy przepadł z kretesem. Przyciągała go jak magnes. Chciał być wszędzie tam, gdzie ona, robić to, co ona. Jakby był jej satelitą. Może raczej wiernym psem skomlącym o odrobinę uwagi, o jakąkolwiek pieszczotę. Kiedy umawiała się z innymi chłopakami, codziennie umierał od nowa. Pocieszał ją, kiedy miała złamane serce. Był jej najwierniejszym powiernikiem, bratem, tatą. A potem, kiedy wreszcie zaczęła w nim zauważać mężczyznę, chciał, żeby była z niego dumna. Chciał dla niej zostać kimś. Trzy razy zdawał na medycynę, aż w końcu mu się

udało. Ona zawsze była prymuską, wszystko przychodziło jej tak bez trudu. A on każdy swój sukces osiągał dzięki olbrzymiemu wysiłkowi i uporowi. I to wszystko było dla niej. Kiedy w końcu zaczął studiować, zamieszkali razem. Uczył się po nocach, kiedy ona oglądała filmy, wychodziła z przyjaciółkami albo czytała książki. I miała same celujące oceny. A on ledwie zaliczał następny rok. Większość kolokwium i egzaminów zdawał w ostatnich terminach. Ale ciągnął to dalej, pomimo że już po pierwszym roku wiedział, że się do tego nie nadaje. Kiedy nie zaliczył ostatniego roku, nie mógł jej o tym powiedzieć. Tak się cieszyła, że pójdzie do pracy, że wreszcie będzie miał dla niej więcej czasu. Nie chciał jej rozczarować, nie mógł. Kłamał więc, że jest na stażu, a dalej studiował, powtarzając ostatni rok. Boże, jak on nienawidził tej medycyny. Niestety, sprawa się wydała. Uczelnia przysłała na adres domowy rodziców, czyli tam, gdzie był zameldowany, zawiadomienie o wpisaniu go na ostatni rok studiów... Ponownie. Nie wiedział, że takie są procedury, inaczej by temu zapobiegł. Matka otworzyła list i zaraz zadzwoniła do Mai. Matka – jej nienawidził najbardziej! Całe życie pastwiła się nad nim. Tylko Marcin się liczył. Starszy, mądrzejszy, przystojniejszy. A on ciągle musiał mu dorównywać. Spełniać niezaspokojone ambicje matki, księgowej z urzędu miasta. A ojciec? Jak ten Dulski. Ciągle pod pantoflem żony, nieustannie bojący się jej przeciwstawić. Nigdy nie był dla niego ojcem. Co najwyżej mężem matki. Czym mógł zaimponować takiej kobiecie jak ona zwyczajny pracownik magazynu w supermarkecie?

Kiedy Maja się o tym dowiedziała, była w szoku. Nie mogła zrozumieć, jak mógł ją tak oszukiwać. I dlaczego? Po co? Przecież by zrozumiała, że coś mu nie poszło, mogłaby go wspierać. Tak wtedy twierdziła, ale on wiedział, że to nieprawda, że jednak by tego nie zaakceptowała. Nie chciałyby być z takim nieudacznikiem. Cały czas słyszał w swojej głowie słowa matki: „Jaki ojciec, taki syn. Jeden i drugi nic nie wart. Jaka kobieta cię zechce, co jej możesz zaoferować?”. Wiedział, że dla Mai musi być kimś. W pierwszym odruchu chciała go zostawić – tak później mu opowiadała. A przecież nigdy dotąd się nie kłócili. Było im razem dobrze. W dzień i w nocy. To znaczy jemu było dobrze w nocy. Myślał, że jej też, ale jak było naprawdę? Błagał ją, żeby mu wybaczyła, płakał, klękał, obiecywał, że nigdy więcej. Chociaż już wtedy wiedział,



że znowu zawali ten rok. Ale wtedy o tym nie myślał. Myślał tylko o tym, co jest tu i teraz. I wybaczyła mu, znowu przez jakiś czas było dobrze. A potem ten nieszczęsny wyjazd. Wolałby o tym zapomnieć. Ale nie mógł. Cały czas mu się śniła. Ten wyraz jej twarzy, ta pogarda. Kiedy odeszła, pękło mu serce. Czuł, jakby zamienił się w jakiegoś potwora żądnego krwi i zemsty.

Kiedy wrócił do Poznania, zorientował, że go opuściła na dobre. Próbował ją odnaleźć, ale wszystkie jego wysiłki poszły na marne, przepadła jak kamień w wodę. Zrezygnowała z wynajmowanego przez nich mieszkania, zostawiła mu tylko trzy dni na zabranie rzeczy. Nie wiedział, czy jeszcze się tam pojawi przed oddaniem kluczy właścicielce, ale na wszelki wypadek zostawił jej w kuchni bukiet polnych kwiatów, jej ulubionych. Chciał jej zrobić przyjemność. Przez całe życie usiłował to robić. Dbał o nią, jak tylko mógł. A ona nie doceniała tego, jak wiele dla niej robił. Nigdy nie rozumiała, że była dla niego wszystkim. Aż w końcu okazała się taka sama jak jego matka. Nadmiernie ambitna i małostkowa.

Musi ją odnaleźć, dokona w końcu tego, nie da jej o sobie zapomnieć. A wtedy siłą ją ze sobą zwiąże. Bo są sobie przeznaczeni.

Zawrócił. Zamierzał po drodze wstąpić do sklepu, kupić to, co każdego dnia od czasu ich rozstania. Jedyne lekarstwo, które mu w tej chwili pomagało, dzięki któremu mógł ukoić swój ból. Wódkę. Jadł niewiele, tyle, żeby przeżyć. To, co ostatnio zarabiał, zupełnie mu wystarczało, jeszcze zostawało co nieco. Pracował w supermarkecie budowlanym, jak jego ojciec, tylko do tego się nadawał. A kiedyś myślał, że jest inny niż on. Chciał być inny. Ale niestety, rzeczywistość okazała się okrutna. A kiedy w nocy kończył butelkę wódki, czuł się lepiej, był znieczulony. Myśli błądziły gdzieś, jakby nie docierając do jego umysłu, jakby był otoczony jakimś niewidzialnym kokonem. I to mu teraz odpowiadało.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

### MAJA

Poniedziałek rano, ósma. Zaczynała pracę. Dziwnie się czuła, będąc podwładną. Przez cztery ostatnie lata to ona kierowała ludźmi. Założyła strój do pracy – biała koszula, bordowa apaszka pod szyją, bordowa wąska spódnica przed kolana, czarne czółenka na średnim obcasie, na lewej piersi tabliczka informacyjna z imieniem i pełnioną funkcją. Przyczesła gładko niesforne włosy, spięła je z tyłu klamrą, w uszy włożyła delikatne kolczyki, srebrne kuleczki. Przyjrzała się krytycznie swojemu odbiciu w lustrze. „Nie jest źle” – pomyślała.

– Cześć, jak ci się spało? Wyglądasz na ciut przestraszoną – usłyszała rano od Łukasza, bo to z nim właśnie zaczynała pierwszą swoją zmianę.

– Cześć. Spałam całkiem dobrze. A przestraszona nie jestem. Nie straszna mi praca recepcjonistki. Jestem przekonana, że dam sobie radę. Zresztą, wierzę, że w razie problemów, mogę liczyć na twoją pomoc? – śmiała się, gdy to mówiła. Łukasz wydawał się jej być życzliwym facetem. Miała wrażenie, że nadają na podobnych falach. – Muszę jeszcze tylko dzisiaj podpisać umowę z właścicielem. Jeszcze go nie poznałam. Załatwiłeś już wszystkie formalności?

– Tak, ja mam już to za sobą. Gość nie jest zły, tylko bardzo zasadniczy. Ale sprawia wrażenie faceta, który wie, czego chce. No i zna się na hotelarstwie. Nie masz się czym denerwować, to tylko formalność – powiedział, ciągle ją uspokajając. Czyżby rzeczywiście uważał ją za taką słabą istotkę?

Wzięła się za porządkowanie blatu recepcji, poukładała papiery, wprowadziła dane dzisiejszych rezerwacji do komputera. Około dziesiątej przyszła pani Barbara i zaprosiła ją do gabinetu właściciela celem podpisania umowy. Poprawiła włosy, obciągnęła spódniczkę, zapukała do drzwi. Usłyszała stanowcze „proszę” wypowiedziane niskim głosem. Weszła pewnie do środka i stanęła w drzwiach, zaskoczona. Przed nią

stał Hubert. A właściwie pan Hubert, czyli gość spotkany dzień wcześniej w sali restauracyjnej.

– Dzień dobry – powiedziała z niepewnym uśmiechem. – Przyszłam podpisać umowę.

– Dzień dobry – odpowiedział, skinąwszy głową, nie przerwał jednak wertowania papierów. Stał za biurkiem, lekko pochylony i niecierpliwie przeglądał leżący przed nim stosik dokumentów. Miał na sobie wełnianą szarą marynarkę, pod nią czarny golf i do tego czarne sztruktosowe spodnie. Wyglądał dość nobliwie, nieco inaczej, niż zapamiętała go wczoraj. Jak lord angielski na swoich włościach.

– Proszę usiąść. – Spojrzawszy wreszcie na nią i wskazał jej krzesło po drugiej stronie biurka. – Jak się pani nazywa?

I znowu grzebał w papierach.

– Maja Bogacka – odpowiedziała. – Poznaliśmy się wczoraj w sali restauracyjnej.

Podniósł głowę, zmarszczył czoło, jakby zastanawiał się nad tym, co powiedziała i nie mógł sobie przypomnieć powyższego faktu. Po chwili chyba dał za wygraną, wyjął odpowiedni dokument i westchnął z ulgą.

– Proszę, tu jest umowa naszej współpracy. Proszę uważnie przeczytać i podpisać na końcu w lewym dolnym narożniku oraz zrobić parafkę na każdej stronie.

Traktował ją dosyć przedmiotowo, nie patrzył na nią, czytał jakieś pisma. Poczula się nieco zlekceważona. Nigdy w ten sposób nie traktowała pracownika, a szczególnie przy pierwszym spotkaniu. Pomyślała, że nie uczył się widać podstawowych zasad marketingu. Po krótkim momencie wahania wrzuciła lekko ramionami i pochyliła się nad biurkiem, uważnie czytając umowę.

– Umawialiśmy się mailowo na miesięczny okres wypowiedzenia, a tutaj w umowie jest trzymiesięczny – zauważyła po chwili.

Spojrzał najpierw na nią z zaskoczeniem, potem wziął do ręki umowę, przeczytał uważnie wskazany fragment.

– Rzeczywiście, moje niedopatrzenie, zaraz to poprawię.

Przeszedł do pomieszczenia obok, które jak się okazało, było miejscem urzędowania pani Barbary.

– Basiu, proszę, popraw umowę, ma być miesięczne wypowiedzenie

zamiast trzymiesięczne – powiedział bardzo ciepłym głosem. Zauważyła w jego zachowaniu sympatię i szacunek, jakimi darzył panią Barbarę.

Po chwili umowa była gotowa. Maja złożyła na niej swój podpis i spotkanie dobiegło końca. Spojrzała jeszcze na jego podpis – Jan Hubert Ruszkowski. A więc Hubert to jego drugie imię, takiego widocznie używa na co dzień, pomyślała. Szef uściśnął jej dłoń, znowu krótko i zdecydowanie. Ale ten uścisk był jakiś inny. W ogóle cała postać mężczyzny była odmieniona w porównaniu z tą z dnia wczorajszego.

„Jakie to dziwne, jak człowiek potrafi się zmienić w zależności od okoliczności. I może też od odzienia, jakie właśnie na sobie nosi. Prywatnie zachowuje się inaczej, a w kontaktach służbowych przybiera zimną maskę i jakiś taki pancerz. A mówią, że nie szata zdobi człowieka”.

Zamyślona wyszła z gabinetu szefa. Przystanąła na chwilę za drzwiami, nie było jednak czasu na oddawanie się kontemplacji. Hol zaludnił się przybyłymi gośćmi, a Łukasz samotnie uwijał się za ladą recepcji i tęsknie spoglądał w kierunku biura, za którego drzwiami zniknęła Maja. Kiedy wreszcie ją zobaczył, odetchnął z ulgą. Nie zwlekając, zajęła się swoją pracą. Dwa stanowiska komputerowe były stale zajęte, nie przypuszczała, że w pierwszym dniu jej pracy zjedzie się tylu gości. „Co za dziwna menażeria – myślała. – W większości rodziny z dziećmi; podenerwowane mamuśki, często z lekką lub znaczną nadwagą, sprawiający wrażenie mających wszystko w nosie tatusiowie, rozbrykane, wychowywane bezstresowo pociechy”.

Wokoło panował gwar i hałas, szuranie walizek, wzajemne nawoływania, rozmowy gości z recepcją. I tak przez całe dziesięć godzin pracy. Dopiero późnym popołudniem nieco się poluzniło. Mogła przysiąść na jednym z dwóch wysokich stołków, które umieszczono za ladą i dać chwilę wytchnienia obolałym nogom. Nie myślała, że jej stopy tak to odczują; podeszwy wręcz ją paliły. Z utęsknieniem co chwilę spoglądała na zegarek, odliczała minuty do końca zmiany. Wreszcie na zegarze komputera ukazała się wyczekana osiemnasta. Dawno nic nie sprawiło jej takiej radości. Marzyła jedynie o ciepłej herbacie, gorącej kąpieli i dobrej lekturze przy cichej muzyce. Spróbuje jeszcze poszperać w Internecie w poszukiwaniu jakiegoś lokum. Wolny dzień będzie miała

pojutrze, wtedy pochodzi po mieście, musi coś szybko znaleźć. Mieszkanie w miejscu pracy nie jest najszcześniejszym rozwiązaniem. Kiedy zjawili się Marek i Ewa, ich zmiennicy, z ulgą poczępiała na górę.

Wchodziła po schodach z pochyloną głową, zastanawiając się nad tym, co będzie robiła za chwilę. Nie zauważyła mężczyzny schodzącego z góry. Niósł duży karton, chyba z telewizorem, który częściowo przesłaniał mu widoczność. Chodnik na schodach skutecznie tłumil ich kroki. Kiedy w połowie schodów zderzyli się ze sobą, oboje z trudem utrzymali równowagę. Ciężkie pudło niebezpiecznie przechyliło się na bok i gdyby Maja w porę nie zareagowała, przytrzymując je od dołu, chyba oboje razem z pakunkiem runęliby w dół. Gdy wreszcie osiągnęli równowagę, ze zdziwieniem spostrzegła, że to znowu Hubert, znaczy pan Hubert, stanął na jej drodze. Spojrzał na nią zaskoczony, zresztą zaskoczenie malowało się na twarzach ich obojga.

– Witaj, Maju – powiedział łagodnie, uśmiechając się do niej sympatycznie. Zapamiętał jej imię.

– Dzień dobry panu, witam pana ponownie – odpowiedziała poważnie. Co za zmiana zachowania. Jeden mężczyzna, a jakby dwie osobowości. Dziwne.

Znowu zmarszczył brwi, zastanawiając się nad czymś. „A może on ma jakieś problemy z pamięcią? – pomyślała. – Ale w tym wieku? Ile lat może być od niej starszy? Osiem, dziesięć? Najwyżej. Nie, na sklerozę chyba jeszcze trochę za wcześnie.”

– Może pomogę panu z tym pudłem? Jest dosyć niewygodne do noszenia w pojedynkę – spytała z troską.

– Nie, dziękuję – odparł zażenowany. – Nie jestem słabeuszem, dam radę.

– Nie miałam na myśli, że jest pan za słaby, tylko to pudło jest takie nieporęczne, ale już nic nie mówię, musimy się tylko jakoś wyminąć.

Mijając się na schodach, otarli się o siebie niechętnie. Poczwała jego zapach, męski, taki, jaki lubiła. Dawid Beckham? Hugo Boss? Hmm... zaciągnęła się nim z lubością. Kiedy schodził na dół, obróciła się i przyjrzała mu się znowu. Zdążył się przebrać. Ale modniś. Co chwilę nowy strój. Teraz miał na sobie wytarte dzinsy, brązowe skórzane mokasyny, takie z nutką indiańską i popielato-beżową luźną bluzę polo z długimi

rękawami. Wyglądał zabójczo. Jakby był o pięć lat młodszy od tego Huberta z gabinetu szefa. Jednak co można dokonać za pomocą ubrania... I rano był chyba nieco bardziej szpakowaty na skroniach, ale to przecież niemożliwe. Tak... robił na niej wrażenie.

„Maja, daj sobie spokój. Chyba masz dosyć mężczyzn, przynajmniej na kilka miesięcy – pomyślała. – Ochłoń, zajmij się sobą, zresetuj swój umysł. I serce”.

Stała, przyglądając się schodzącemu mężczyźnie, jak zauroczony podłotek. Po zejściu ze schodów, obejrzał się za nią, uchwycił jej spojrzenie, uśmiechnął się z zadowoleniem, widząc jej speszoną minę. Kiwnął głową na pożegnanie i tyle go widziała.

Począpiała na górę. W chwili, gdy otwierała drzwi swojego pokoju, rozdzwonił się jej telefon. Zostawiła go rano na stoliku, nie brała do pracy, bo i po co. Podbiegła do stolika, ale kiedy wreszcie udało jej się odebrać połączenie, dzwoniący się wyłączył.

„Jakiś nieznany numer – pomyślała. – Kto to może być? Przecież zmieniła numer telefonu przed wyjazdem z Poznania, nie podała go żadnemu ze swoich dawnych znajomych. W takim razie to jakaś pomyłka – uspokoiła się. – Na pewno więcej nie zadzwoni”.

Czuła jednak jakiś niepokój. Niemożliwe przecież, żeby to był Filip! Nikt nie zna jej numeru. Ba, nawet jeszcze nikt do niej na ten numer nie zadzwonił! „Opanuj się, kobieto, popadasz w paranoję”.

Opadła bezwładnie na fotel, powoli rozwiązała apaszkę, rozpięła guziki bluzki. Musiała przyznać, że zmęczył ją ten pierwszy dzień w pracy. Zdjęła bluzkę, zsunęła spódniczkę. Została w samej bieliźnie i rajstopach. Włączyła laptopa, chwilę zastanawiała się nad muzyką, która pasowałaby do jej dzisiejszego nastroju, znalazła folder „Relaxing jazz music for work”. Wprawdzie jest już na szczęście po *work*, ale muzyka odprężająca, może być. Zaparzyła herbatę – melisa z pomarańczą. Zostawiła kubek na stole, żeby herbata dobrze naciągnęła i weszła do łazienki. Długo stała pod prysznicem. Mokre włosy oblepiały jej twarz, czuła rozchodzące się po ciele odprężenie. Kiedy po kilkunastu minutach wyszła z łazienki, miała dziwne uczucie jakby czyjejś obecności w pokoju. Sprawdziła drzwi – zamknięte. Zajrzała do szafy – pusto. Nie wypakowała nawet swoich rzeczy z walizki, wiedziała, że długo tu nie zaba-

wi. Przejrzała wszystkie kąty, nikogo oczywiście nie było. Zresztą, nie był to apartament prezydencki, żeby można było się w nim schować w jakimś zakamarku. Usiadła w fotelu, wzięła na kolana laptopa, do ręki kubek ciepłej herbaty. Usiłowała się zrelaksować, ale nadal czuła niepokój, jakby ktoś ją obserwował. Czy zaczyna wariować? No bo przecież to nie jest normalne. Popada chyba w paranoję.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

### MAJA

Nadszedł wyczekiwany przez nią wolny od pracy dzień. Nie, żeby czuła się już przepracowana. Czekala po prostu na możliwość znalezienia nowego lokum. Nie mogła powiedzieć, że źle jej się mieszkało w pensjonacie, ale co własny ką, to własny. Rano zaparzyła sobie jak zwykle kubek gorącej kawy. Wprawdzie to nie jej ulubiona z ekspresu; ten wciąż spoczywał spakowany w bagażniku samochodu. Rozpuszczalna z dużą ilością chudego mleka i dwiema tabletkami słodziku ze stewii musiała póki co wystarczyć. Do tego na śniadanie dwie kanapki razowego pieczywa z serem i szynką, bez masła jak zwykle, potem szybki makijaż i po dziewiątej była gotowa do wyjścia. Przed budynkiem rozejrzała się jeszcze, na niebo zaczęły napływać od zachodu jakieś takie ciężkie, stalowoszare chmury. W pierwszym odruchu chciała cofnąć się po parasol, ale przecież nie zapowiadali na dzisiaj deszczu, a że wybierała się do centrum pieszo, każdy dodatkowy balast był jej zbędny.

Dziarskim krokiem ruszyła po brukowanej uliczce w dół. Kiedy doszła do feralnego zakrętu, przystanęła, rozejrzała się na boki i dopiero wtedy przeszła na drugą stronę. Ostrożności nigdy za wiele. Udało się, nic jej tym razem nie przejechało. „Uff... – odetchnęła, a potem wybuchnęła gromkim śmiechem. – Śmieję się sama do siebie, zwariowałam chyba” – pomyślała.

Droga do centrum nie zabrała jej dużo czasu, Rabka to w końcu nie Warszawa ani Poznań. Już wcześniej znalazła w Internecie biura pośrednictwa w sprzedaży i wynajmie nieruchomości; wypisała sobie je na kartce. Było ich tu raptem trzy. Pierwsze, najbliższe, znajdowało się w pobliżu Fontanny Słoni. Kiedy weszła do wnętrza, za biurkiem zobaczyła śmiesznego faceta z szopą rudych, kręconych włosów na głowie, nieco bardziej rudych niż jej własne, w okularkach lennonkach i w zielonym sportowym swetrze z kapturem. Że też ci rudzi tak lubią kolor zielony. Ona sama miała na sobie dzisiaj zieloną kurtkę. Wyglądali obo-



je podobnie, jak dwójka irlandzkich skrzatów. Brakowało im tylko koni-czynek. Młody człowiek oderwał wzrok od komputera, spojrzął na nią i w pierwszym momencie odebrało mu mowę, ale po chwili na jego twarzy pojawił się rozbrajający uśmiech od ucha do ucha.

– Witam, siostró – powiedział żartobliwie, puszczając do niej oko. Był od niej nieco młodszy i sprawiał sympatyczne wrażenie.

– Cześć, brachu – odpowiedziała, także się śmiejąc. – No cóż, my rudzi musimy trzymać się razem, nie ma nas znowu tak wielu.

– Dokładnie, też tak myślę. A poważniej, czym mogę pani służyć?

– Poszukuję małego mieszkanca lub niezależnego pokoju do wynajęcia, na czas bliżej nieokreślony. Może kilka miesięcy, może dłużej, nie jestem w tej chwili w stanie tego sprecyzować.

Pokazał jej katalog z różnymi mieszkaniami i pokojami. Usiedli oboje wygodnie w małych fotelach przy niewielkim stoliku. Rudy omawiał oferty, którymi była zainteresowana, ale żadna nie spełniała jej oczekiwań. Jedyna, która była jeszcze do przyjęcia, była zupełnie po drugiej stronie Rabki, musiałaby dojeżdżać do pracy samochodem, a tego wolałaby uniknąć. Chciała mieć jak najwięcej ruchu, korzystać z uroków uzdrowiska. Samochód zamierzała odstawić na parking i uruchamiać tylko w wyjątkowych wypadkach. Miała dość codziennych dojazdów do pracy, które zajmowały jej w Poznaniu od czterdziestu minut do godziny w jedną stronę, czyli codziennie traciła około dwóch godzin z własnego życia, z własnego czasu, który mogłaby przeznaczyć na odpoczynek albo własne przyjemności. Nie zamierzała tego powielać w takim miejscu jak Rabka. Z żalem pożegnała więc „krewniaka” i ruszyła do następnego biura.

Na dworze chmurzyło się coraz bardziej, żałowała, że jednak nie cofnęła się po parasol, ale pozostawało jedynie mieć nadzieję, że jakoś się uda. Drugie biuro znajdowało się w okolicy parku uzdrowskiego. Prowadziła do niego stroma ścieżka, pnąca się pod górę między drzewami. Kiedy dotarła do celu, była zasapana, jak stara lokomotywa parowa. Porozpinała guziki kurtki, zdjęła z szyi apaszkę, dyszała jak słoń. W takim stanie weszła do biura. Jakie było jej zaskoczenie, kiedy na skórzanej kanapie stojącej w rogu pomieszczenia zobaczyła Huberta, to znaczy... pana Huberta. „Stale się na siebie natykamy” – przemknęło jej

przez myśl, no ale tak to jest w małych miejscowościach. Podniósł głowę znad przeglądanych ofert i uśmiechnął do niej, zaskoczony.

– Witaj, Maju, szuka pani mieszkania? – zapytał poważnie.

– Tak, nie chciałabym zbyt długo nadużywać pana gościnności – odpowiedziała uprzejmie. Znowu zmarszczył czoło, jakby nie rozumiejąc, ale po chwili na jego twarzy pojawił się szelmowski uśmiech.

– Ach tak, oczywiście. Czego zatem konkretnie pani szuka? – Wydawał się być szczerze zainteresowany. I, nie wiedzieć czemu, rozbowiony.

– Szukam małego mieszkanca albo niezależnego pokoju – odpowiedziała po raz drugi tego dnia. – I chciałabym, żeby nie było zbyt daleko do pensjonatu, żebym mogła chodzić do pracy pieszo. No, ewentualnie jeździć na rowerze.

– Hmm... to chyba nie powinno być takie trudne. Może usiądzie pani koło mnie, zaraz poprosimy pośrednika o wyszukanie czegoś dla pani – mówiąc to, przesunął się nieco na bok, robiąc jej miejsce na kanapie. Przyglądał się jej uważnie, miał takie przenikliwe spojrzenie, czuła się pod nim wręcz naga. Zirykowało ją to nieco, nie była przyzwyczajona do takich pewnych siebie mężczyzn. Nie lubiła, kiedy ktoś traktował kobiety przedmiotowo. A Hubert sprawiał wrażenie właśnie takiego mężczyzny. Nic go nie peszyło, z każdego jego ruchu emanował luz. Starszy, miły pan przyniósł dla niej katalog z ofertami. Zaczęła je przeglądać, ale niestety i tutaj nie było nic dla niej odpowiedniego.

– A pan czego szuka? Czy także zamierza pan wynająć pokój? – zapytała nieco sarkastycznie. Rozpoznał chyba ten ton jej głosu, uśmiechnął się tak jakoś przepraszająco, pewnie z powodu tego nieustannego wgapienia się w nią.

– Chcę kupić jakiś stary dom do remontu, w Rabce albo w okolicy. Chcę, żeby miał ciekawą architekturę, może być nawet zrujnowany. I chcę, żeby był duży. I miał duszę.

Mówiąc to patrzył jej prosto w oczy. W większości przypadków tacy ludzie wzbudzali w niej zaufanie. Hubert jednak ją peszył. Patrzył na nią w taki sposób, jakby chciał poznać jej myśli. Nie czuła się w jego towarzystwie swobodnie. Dlaczego właściwie? Bo jej się podobał? Bo zανάdo zależało jej, żeby wyrzucić na nim dobre wrażenie? Przecież postano-

wiła dać sobie spokój z facetami, przynajmniej na pewien czas. Jeszcze nie opadły emocje związane z Filipem, o ile w ogóle kiedyś opadną. Ale on ją do siebie przyciągał, było w nim to coś... czuła to od pierwszej chwili. Nie zamierzała się jednak temu poddawać.

– I co, znalazł pan coś ciekawego? – Z grzeczności podtrzymywała rozmowę, bo właściwie najchętniej by zamilkła. Jej ton był jednak nieco zadziorny.

– Jeszcze nie, ale mam nadzieję, że wkrótce mi się to uda. To musi być miłość od pierwszego wejrzenia, podobnie jak z kobietą. – Nadal patrzył, a ją przeszły dreszcze, rozkoszne dreszcze. Co się dzieje, na Boga? – A czy pani już coś znalazła?

– Niestety, także nie. Chyba już pójdę. Zostało mi jeszcze jedno biuro, ale wątpię, żeby tam było coś ciekawego, widzę, że te oferty się powtarzają.

– Mam dla pani propozycję. Mam w mieście dom, starą willę. Jest w niej osobne pomieszczenie, które kiedyś było przeznaczone dla gości. Jest niekrępujące, ma osobne wejście, łazienkę i pokój połączony z kuchnią. Dawno nikt tam nie mieszkał, trzeba by przeprowadzić mały remont, ale chętnie je pani wynajmę. I nie miałaby pani daleko do pracy.

– Nie, dziękuję, to chyba nie byłby dobry pomysł. Myślę, że jednak uda mi się coś w końcu znaleźć – odpowiedziała, zaskoczona jego propozycją.

– Ale nawet pani go nie obejrzała. A nie ma pani przecież wielkiego wyboru, w pensjonacie nie może pani mieszkać na stałe.

– Zobaczę w tym ostatnim biurze, może tam coś znajdę – powiedziała to, odkładając katalog na stolik i wstając z kanapy.

– W takim razie mam inną propozycję. Widziałem, że przyszła pani tutaj pieszo, była pani nieco zziębnięta, kiedy pani weszła do środka. Ja mam na parkingu przed biurem samochód. Następne biuro jest na obrzeżach Rabki, bo się domyślam, że pierwsze, w którym pani była, znajdowało się przy fontannie. Też je już dzisiaj zaliczyłem. Pojedziemy zatem razem, ja także zapoznam się z ofertami domów, nie będzie to dla mnie zatem stracony czas, jeżeli miałaby pani się tego obawiać. Jeżeli i tam nie będzie niczego odpowiedniego dla pani, pojedziemy do mojego domu i przynajmniej obejrzy sobie pani mieszkanie, które oferuję. Jeżeli

się pani nie spodoba, znajdzie się pani znowu w punkcie wyjścia.

Uśmiechnął się, kiedy to powiedział. I przez cały czas rozmowy hipnotyzował ją wzrokiem. Czuła się dziwnie, ale też nie mogła powiedzieć, że źle.

– I co pani na to?

– Dlaczego nie? – odpowiedziała po chwili zastanowienia. – Ale przecież nic pan o mnie nie wie. Dlaczego chce mi pan wynająć to mieszkanie?

– Nie sprawia pani wrażenia psychopatycznej morderczyni. Myślę, że z pani strony nic nie zagraża mojemu życiu. A mnie w domu więcej nie ma, niż jestem. Zresztą, to jest zupełnie niekrępujące lokum. Zatem zapraszam do samochodu – powiedział, otwierając przed nią drzwi. Podeszli do Toyoty zaparkowanej na parkingu przed biurem. Zatrzymała się, zaskoczona.

– A więc to pan o mało mnie nie przejechał w sobotę? I odjechał, nie upewniwszy się nawet, czy nic mi się nie stało? – Czuła, jak narasta w niej złość.

– A więc to pani przebiegała przez ulicę, nie rozejrzawszy się uprzednio, czy nic nie jedzie? I jeszcze ze słuchawkami w uszach, a w nich na pewno muzyka puszczone na full? – Teraz on nie ukrywał irytacji. Stali na parkingu i toczyli walkę wzrokową. I słowną. – Nie zatrzymałem się, bo przecież nie potrąciłem pani, nie musiałem nawet! Zdążyłem wyhamować. I widziałem, że nic się pani nie stało. A wolałem nie wdawać się z panią w dyskusję, bo usłyszałyby pani ode mnie kilka cierpkich słów z powodu swojej niefrasobliwości.

Wcisnął głęboko ręce w kieszenie kurtki i gromił ją wzrokiem.

„No, nie jest tak zupełnie bez racji – pomyślała. – Ale zatrzymać jednak się mógł”.

– Wybaczam panu – powiedziała po namyśle, unosząc głowę wysoko w dumnym geście. – Częściowo ma pan rację. Dlatego dzisiaj przechodząc w tym samym miejscu, rozejrzałam się na boki i wyjęłam słuchawki z uszu.

Początkowo poważnie patrzyła w jego oczy, po czym uśmiechnęła się rozbijając od ucha do ucha, szczerząc zęby. Chyba stopiła lody tym uśmiechem, bo Hubert uśmiechnął się także.

– Ja także pani wybaczę, ale pod jednym warunkiem – chochliki igrały w jego oczach.

– Stawia pan warunki? Jakże?

– Będziemy mówili sobie po imieniu.

– O! Ale czy to wypada? – Miała wątpliwości.

– Jak najbardziej – odpowiedział, otwierając jednocześnie przed nią drzwi samochodu.

Oczywiście, jak spodziewała się wcześniej, w ostatnim biurze nie mieli żadnych ciekawych ofert. Ani dla niej, ani dla niego. Zrezygnowana, zgodziła się na propozycję Huberta.

Po kilkunastu minutach znaleźli się pod jego domem. Nie wyglądał imponująco. Zwykły piętrowy klocek o przekroju kwadratu z doklejonym czterospadowym dachem. Owszem, był zadbane, czysty, ogródek wokół był uporządkowany. Ot, zwykły dom szarych ludzi. Nie miało to jednak dla niej wielkiego znaczenia. Kiedy otworzył drzwi wejściowe, weszli do kwadratowego holu, w którym przy ścianie po prawej stronie stała drewniana ławka pomalowana na czarny kolor, a obok taki sam, czarny, drewniany wieszak na ubrania. Pod nim umieszczono srebrny metalowy pojemnik na parasole, z którego wystawały rączki męskiego parasola i laski z rzeźbioną drewnianą gałką. Nad ławką wisiało spore lustro w srebrnej metalowej ramie. Na ścianach po lewej stronie i na wprost znajdowały się ciemnobrązowe drzwi.

– Wejście do części, którą chcę ci wynająć, jest tam – powiedział, wskazując palcem na drzwi po lewej stronie. – Te drzwi tutaj są do mojego mieszkania. Wejdzmy najpierw do mnie, muszę poszukać klucza. Przepraszam cię za panujący rozgardiasz, ale przez kilka lat nie mieszkałem tutaj, wróciłem dopiero przed miesiącem – mówiąc to, otworzył przed nią drzwi i wpuścił ją do środka.

Znaleźli się w sporym salonie połączonym z kuchnią. I o ile na zewnątrz dom nie był niczym nadzwyczajnym, tak w środku prezentował się całkiem niezle. Widać było, że jest to dom mężczyzny, a na dodatek takiego, który nie spędza w nim zbyt wiele czasu. Salon urządzony był w minimalistycznym stylu, z kremową skórzaną narożną sofą pośrodku, przed którą stał niski metalowy kwadratowy stolik ze szklanym blatem, a na nim znajdowała się sterta niedbale ułożonych czasopism. Na ścianie

naprzeciwko sofy wisiał sporych rozmiarów płaski telewizor, pod nim na szafce podobnej do metalowego stolika stał sprzęt grający i jakieś inne urządzenia elektroniczne. W narożniku – czarny biokominek, a na sąsiedniej ścianie – stara przeszklona witryna z wiśniowego drewna, wypełniona nowoczesnymi przedmiotami. Na drewnianej podłodze położono gęsty, beżowy dywan. Jedynym barwnym akcentem był wiszący na ścianie plakat Andy’ego Warhola przedstawiający czerwoną puszkę zupy Campbell.

Obok salonu, odgródzona tylko barowym pulpitem, umieszczona była urządzona nowocześnie w jasnokremowych barwach kuchnia. Szafki, które w niej były, miały czarne granitowe blaty. Na nich stały ekspres do kawy, czajnik, kuchenka mikrofalowa. Niewiele sprzętów, a wszystkie nowoczesne, żadnych bibelotów. Trochę takie bezosobowe mieszkanie, mogłoby należeć do każdego.

– Napijesz się kawy? – zaproponował.

– A nie byłoby lepiej, żebyśmy najpierw obejrzeni mieszkanie, które chcesz mi wynająć? – Stanowczo nie zamierzała wdawać się z nim w żadne pogaduszki.

– Dobrze, obejrzymy, a potem zapraszam cię na kawę. Będziemy mogli ubić interes.

To mówiąc, wyjął klucze z kuchennej szuflady i ruszył pierwszy do drzwi. Otworzył te, które prowadziły do sąsiedniej części. Zapalił światło i wpuścił ją przodem do środka. Mieszkanie przypominało jedno z tych, które oglądała przed kilkoma miesiącami w Ikei. Prezentowano tam, w jaki sposób można urządzić wygodne lokum na minimalnej powierzchni. Tu było podobnie. Wchodziło się bezpośrednio do niewielkiego salonu, w którego narożniku znajdowała się symboliczna kuchenka z dwiema szafkami. Na jednej z nich był mały zlewozmywak, na drugiej dwupalnikowa ceramiczna płyta grzewcza. Nad nimi wisiała jedna szafka i podwójna drewniana półka. W saloniku przy oknie stała popielatka kanapa, przy niej czarny kwadratowy stolik, a obok czerwony mały obrotowy fotel, kształtem przypominający muszelkę. Do tego pod ścianą znajdowała się dwudrzwiowa biała szafa. Na podłodze leżał popielatokremowy nieduży dywan. Pomimo że mieszkanie było niewielkie, spostrzegła, że mogłaby umieścić w nim swoją własną, ukochaną komodę.

Okno i pojedyncze drzwi balkonowe prowadziły do małego ogródka.

Z pokoju wchodziło się do miniłazienki z prysznicem. Mieszkanie małeńkie, ale jej wydawało się idealne. Wprawdzie ściany wymagały odświeżenia, okna umycia, a kuchnia dopieszczenia, ale wiedziała, że to jest to. Czowała, że musi je wynająć. Jedyne nie była pewna, czy wypada jej mieszkać u szefa? Zresztą i tak obecnie u niego mieszka. „Nie będę się tym zamartwiać – pomyślała – jeżeli znajdę coś innego, w każdej chwili mogę się wyprowadzić”.

– Powiedz coś. – Obserwujący ją do tej pory Hubert zaczął się niecierpliwić.

Zamyśliła się. Poglądziła dłonią oparcie czerwonego fotela; miał taką miłą, aksamitną fakturę. Usiadła. Był nadspodziewanie wygodny, jakby uszyty na jej miarę. Okręciła się wkoło jak mała dziewczynka. Hubert stał na środku pokoju, patrzył jak zahipnotyzowany. Wstała, podeszła do okna balkonowego, wyjrzała na ogród. Wyobraziła sobie siebie tutaj, już zadomowioną, taką spokojną, szczęśliwą, bez żadnych trosk, jakby zaczynała życie od nowa. Wyobraźnia ma wielką moc, potrafi czynić cuda. Gorzej, kiedy wyobraźnia jest jedyną rzeczą, która nam pozostaje.

– Jakiej wysokości miałby być czynsz? – zapytała.

– A jaki proponujesz?

– To ty jesteś właścicielem, oczekuję twojej oferty.

– Hmm... trzysta złotych miesięcznie. Może być? – jego głos był ciut niepewny.

– Ile?

– Za dużo?

– A co ty jesteś, instytucja charytatywna? – Nie mogła ukryć zdziwienia.

– To może być trzysta pięćdziesiąt, a w tym wi-fi i prąd. Pasuje?

– Nie chcę, żeby wyglądało, że mieszkam u ciebie za darmo. Cztery sta złotych, w tym wi-fi i prąd. Pasuje? – Z niecierpliwością oczekiwała jego odpowiedzi.

– Pasuje, ale sama doprowadzisz do porządku to mieszkanie, no wiesz, mycie okien, sprzątanie, ewentualne malowanie i takie tam.

– Zgadzam się – powiedziała, wyciągając rękę, żeby dobić targu.

– Zgadzą się – odpowiedział, ściskając jej rękę. Poczwała miłe ciepło rozchodzące się po jej dłoni, a po chwili po całej ręce. Co to do licha, magia jakaś, czy co? „Nie chcę tego” – pomyślała, ale jednocześnie nie mogła puścić jego dłoni, jakby ktoś ją posmarował Super Glue.

– Rozejrzyj się tu jeszcze przez chwilę, a ja pójdę zaparzyć kawę – powiedział, jednocześnie wkładając pęk kluczy w jej dłoń, a następnie zaciskając ją, niczym zamykające się płatki kwiatu, po czym wyszedł, zostawiając ją samą.

Usiadła znowu w fotelu, który wydawał się jej stworzony wprost dla niej, obróciła się w stronę okna, zapatrzyła się. „Może to początek reszty mojego lepszego życia” – pomyślała.



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

### FILIP

Czas mijał powoli. Filip miał wrażenie, że życie toczyło się na zwolnionych obrotach. Dni upływały dziwnie wolno, zlewały się ze sobą. Często nie mógł w pierwszej chwili powiedzieć, jaki jest dzień tygodnia, nie mówiąc już o podaniu dokładnej daty. Jedynie dzięki ogłupiającej pracy wiedział, że nadszedł *weekend*. Zdarzyło mu się raz przyjść do pracy w sobotę (zawsze pracował tylko w dni robocze) i wtedy się zorientował, że musi trochę bardziej się kontrolować, wyjść z nierealnego świata, w którym żył od czasu odejścia Mai.

Maja... nie było minuty w ciągu dnia, żeby o niej nie myślał. A i w nocy jej osoba go nie opuszczała, nawiedzała go stale w jakichś dręczących snach. Nie mógł sobie nawet rano przypomnieć, co mu się śniło, wiedział tylko, że to były koszmary. I naturalnie, z Mają w roli głównej.

Zaniedbał się, przestał się golić, jego twarz pokrywał teraz dziki, kilkucentymetrowy zarost. Włosy sięgały mu prawie do ramion, a że były naturalnie kręcone, tworzyły na głowie dziką szopę. Wyglądał jak troglodyta. Mył się jeszcze, bo nie mógł póki co znieść swojego przykrego odoru, ale jego ubrania często nie były pierwszej świeżości. I ubierał na siebie to, co mu wpadło w ręce, czasem tworzył dziwaczne zestawienia, lecz szczerze mówiąc miał to gdzieś.

Potrafił pół dnia przeleżeć na łóżku, wpatrując się nieruchomo w sufit. I gdyby go ktoś zapytał, o czym tak myśli, nie byłby w stanie odpowiedzieć na to pytanie. Mógł też pół nocy przesiedzieć przed komputerem, przeglądając wszelkie możliwe portale społecznościowe w poszukiwaniu jakiegokolwiek wzmianki o Mai, jakiegokolwiek śladu. Czuł, że w końcu na coś trafi. W dobie Facebooka ludzie nie przepadają tak bez wieści. Każdego da się wytropić, to tylko kwestia czasu. Nawiązywał kontakty ze starymi, wspólnymi znajomymi, usiłował się zorientować, czy mieli jakieś wiadomości o Mai. Dowiedział się tylko tyle, że nikt

z nich nie wie o jego oszustwie ani o ich rozstaniu. Wprawdzie niektórych zaniepokoiło milczenie Mai, ale nie drążyli tematu. Zresztą tak naprawdę oni oboje nie mieli nigdy bardzo bliskich przyjaciół, lecz raczej znajomych, z którymi spotykali się od czasu do czasu i nie mieli potrzeby komunikowania się z tymi osobami systematycznie. Filip tylko dzięki swojej pracy utrzymywał jakiś kontakt z rzeczywistością, nawet jeśli ta okazywała się zwykłym łajnem.

Po rozstaniu z Mają, zadzwonił do brata. Nigdy nie mieli ze sobą zbyt serdecznych kontaktów, ale czuł się naprawdę źle potrzebował rozmowy z kimś bliskim. Marcin oczywiście już o wszystkim wiedział od matki, jakże mogłoby być inaczej. Usłyszał wtedy od niego tylko tyle:

– Jeżeli naważyłeś sobie piwa, musisz je sam wypić. Ja mam swoje życie i nie mogę ciebie, starego konia, wiecznie niańczyć (jakby niańczył kiedykolwiek). Sam musisz rozwiązywać swoje problemy. A teraz musisz kończyć, bo mam spotkanie.

I rozłączył się, nie mówiąc nawet „cześć”. Filip długo nie mógł ochłonąć, nie mógł zrozumieć tak zimnej reakcji brata. Po pewnym czasie dotarło do niego. Matka, to ona miała w tym swój udział. Znowu matka.

Zerwał więc wszelkie kontakty z rodziną, zwłaszcza z matką. Krótko po tej całej aferze, która rozegrała się w czasie jego nieobecności w Poznaniu, gdy Maja odkryła jego oszustwo, pojechał mimo wszystko do domu rodziców. Pałał chęcią zemsty, był wściekły, jak jeszcze nigdy w życiu. Nie mógł opanować swojego gniewu. Był pewien, że wyrządzi matce krzywdę. Ale kiedy wszedł do domu jak rozjuszony buhaj, kiedy spojrzał w oczy matki z całą nagromadzoną w sobie wściekłością, z całym żalem, po raz pierwszy w życiu zobaczył w jej oczach strach. Zawsze był potulnym chłopcem, takim przeprasającym, że żyje. To ona, matka, zawsze się na nim wyżywała, a on pokornie przyjmował jej obelgi. Ale tym razem nie miał nic do stracenia, pragnął zemsty. I kiedy dojrzał w jej twarzy, w jej oczach to przerażenie, cała złość z niego odpłynęła. Jakby ktoś przekłuł balon. Poczul tylko do matki odrazę, wręcz obrzydzenie. Spojrzał na ojca, który siedział w fotelu ze wzrokiem utkwionym w podłogę i wypisanymi na twarzy słowami: „ja nic nie

wiem, to mnie nie dotyczy”, i ogarnęła go wobec niego nie mniejsza pogarda.

– Nie chcę mieć z wami nic wspólnego – powiedział dobitnie, cichym głosem, zaciskając pięści. – Gardzę wami. Nigdy więcej mnie nie zobaczycie. Nie macie już syna.

Odwrócił się i szybkim krokiem wyszedł z rodzinnego domu, nie oglądając się za siebie.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

### MAJA

Wiosna miała się ku końcowi, czuło się rozkwitające lato. Zadomowiła się w Rabce na dobre.

Ulica Nad Potokiem 14. Taki ładnie brzmiący adres, przywołujący od razu sielskie skojarzenia.

Kiedy dobiła z Hubertem targu, spisali umowę wynajmu, na którą ona nalegała, Hubert stwierdził, że do niczego nie jest mu potrzebna. Dostała klucze, zaraz też zaczęła działać. Hubert podwiózł ją do pensjonatu, przesiadła się do swojego samochodu i wybrała się na zakupy do marketu budowlanego. Wiedziała, jakie farby kupić i ile, miała doświadczenie w malowaniu mieszkań. Zawsze z Filipem robili to sami, on był złotą rączką, wszystko potrafił w domu wykonać, począwszy od szafy komandor, skończywszy na wymianie syfonu pod wanną.

Filip... nadal nie mogła przestać o nim myśleć. Emocje nieco przybladły, nie było już w niej tyle złości i rozczarowania, pozostał tylko żal, ból, smutek. Nie było dnia, żeby nie przemknął przez jej pamięć. Ale usiłowała nie poddawać się tym myślom, nie chciała bujać w obłokach ani rozpamiętywać przeszłości. A najlepszym lekarstwem na to była praca. I to fizyczna.

Sama odmalowała mieszkanie. Hmm..., mieszkanie, to chyba zbyt wiele powiedziane, raczej garsonierę, ale jakże uroczą. Hubert koniecznie chciał jej pomagać w tych pracach, ale nie miała ochoty na męskie towarzystwo, zresztą zamierzała trzymać go na dystans. Chyba w końcu to zrozumiał. Wspólne mieszkanie pod jednym dachem, ale przecież w osobnych lokalach, nie znaczy, że muszą utrzymywać ze sobą jakiegokolwiek towarzyskie stosunki. Dzień dobry, do widzenia, i na tym koniec.

Jak się spodziewała, malowanie nie zajęło jej zbyt wiele czasu. Jasne kolory bieli i delikatnego beżu rozświetliły wnętrze, nadały mu świeżości i elegancji. Przeszawiła meble, wyszorowała kuchnię, poustawiała tu

i tam swoje bibeloty, umyła okna. Pokój od razu nabrał klasy. A kiedy na koniec wstawiła do wnętrza swoją ukochaną komodę, a na niej postawiła wysmukłą lampę z delikatnie kremowym kloszem, miejsce to zostało rozświetlone subtelnym, ciepłym światłem i wtedy wreszcie poczuła się jak u siebie. Choć była nieludzko zmęczona, usiadła w czerwonym fotelu, nałała sobie czerwonego wina do kubka, bo nie dorobiła się jeszcze kieliszków, i podziwiała swoje dzieło. Było bardzo przytulnie, tak kobieco. Jej własny ką.

Praca w recepcji nie była zła. Nie był to wprawdzie szczyt jej marzeń i ambicji, ale dzięki temu miała środki do życia, a w tej chwili to było dla niej najważniejsze. Robiła swoje i szła do domu. Nie oczekiwała teraz od życia niczego więcej. Kontakty z innymi pracownikami były bardzo miłe, ale kończyły się na pracy. Wszyscy byli młodzi, serdeczni, dobrze się rozumieli. Huberta nie widywała w pensjonacie. Raz spotkali się w holu, kiedy on rozmawiał z grupą niemieckich gości. Ubrany był znowu tradycyjnie (żeby nie powiedzieć – nudno) w granatową dżersejową marynarkę, białą koszulkę *polo* i popielate wełniane spodnie. Tym razem wyglądał jak golfista. Kiedy przechodząc obok niego, przywitała się, mówiąc: „Cześć Hubert”, spojrzał na nią, jakby zobaczył ją po raz pierwszy w życiu i zmarszczył te swoje krzaczaste brwi. „Widocznie w pracy nie jesteśmy na ty” – pomyślała i poczuła się bardzo niezręcznie. Nie popełni już więcej tego błędu. A swoją drogą, gdyby ją uprzedził, że w pracy nadal są w relacji szef – podwładna, nigdy w życiu nie wyraziłaby zgody na mówienie sobie po imieniu. Nigdy w życiu!

W domu praktycznie się nie widywali. Mieszkała u niego już ponad dwa tygodnie, a w tym czasie spotkali się tylko raz w przedpokoju, kiedy ona wchodziła, a on wychodził. Powiedzieli sobie „cześć”, uśmiechnęli się do siebie i minęli, nie rozmawiając ze sobą wcale. Zresztą, to było wcześniej, nim Hubert tak dziwnie zareagował na jej „cześć” w pracy, bo gdyby to zdarzyło się po tym spotkaniu w mieszkaniu, na pewno nie powstrzymałaby się, żeby nie powiedzieć mu na temat jego zachowania paru gorzkich słów. Rzadko też na podjeździe przed domem stał jego samochód. Wyglądało na to, że w domu był zaledwie gościem. I właściwie nigdy nie słyszała żadnych odgłosów dochodzących zza ściany.

I dobrze! Pasował jej taki układ. Fajne mieszkanko, bez żadnych kontaktów z przystojnym właścicielem.

Zaczął się lato. Rabka zaludniła się turystami i kuracjuszami. Pogoda sprzyjała spacerom. Ciepłe powietrze przyjemnie ogrzewało, nie męcząc upałem. Pojawiające się od czasu do czasu na niebie cumulusy przynosiły ze sobą powiew rzeńskiego wietrzyku. Jednym słowem, idealna pogoda na wycieczkę. Nie miała dotychczas okazji pozwiedzać okolicy, bo albo pracowała w recepcji, albo remontowała bądź sprzątała swoje nowe mieszkanie. Ale prace zostały ukończone, miała pierwszy wolny od dawna weekend i postanowiła zabawić się w turystkę. Usiadła w piątek wieczorem przed komputerem, włączyła mapę i zastanawiała się, jaki cel pierwszej wycieczki obrać. „Szczawnica” – pomyślała. Jeszcze nigdy tam nie była. Włączyła stronę Internetową tej miejscowości i już po dziesięciu minutach plan wycieczki był opracowany. Jutro rano skoro świt wyrusza. Sprawdziła jeszcze prognozę pogody; nie zapowiadali deszczu, miało być ciepło, temperatura do dwudziestu sześciu stopni, trochę słońca, trochę chmur, czyli idealnie.

Kiedy zadzwonił nastawiony na szóstą budzik, wyskoczyła z łóżka radosna, rześka i pełna chęci do życia. Cieszyła się nadchodzącym dniem, potrzebowała odprężenia, czynnego wypoczynku. Koszyk z suchym prowiantem naszykowała już wieczorem, teraz więc przygotowała tylko termos z owocową herbatą, zaparzyła sobie kubek kawy, zrobiła lekkie śniadanie i kiedy uporała się z jedzeniem, była już gotowa do drogi. W ostatniej chwili wzięła jeszcze kurtkę przeciwdeszczową i parasol (jeżeli je zabierze, padać na pewno nie będzie) i wyszła do przedpokojku. Przez chwilę mocowała się z zamkiem u drzwi i jakie było jej zdziwienie, kiedy w tym momencie otworzyły się sąsiednie drzwi i stanął w nich Hubert.

– Cześć, Maju, tak wcześnie w sobotę? Pracujesz dzisiaj? – zapytał zdziwiony.

– Nie, dzisiaj mam wolne, wybieram się na wycieczkę. – Przybrała lekko nadąsany ton.

– A dokąd, jeżeli mogę spytać? – Patrzył na nią zaciekawiony.

– Jadę do Szczawnicy – Jej ton był nadal oficjalny.

– To super się składa! – Widać było, że jest autentycznie ucieszony. – Mam zatem do ciebie prośbę. Oddałem w Nowym Targu do naprawy mój samochód, tam jest najbliższy serwis Toyoty, dzisiaj mam go odebrać. Tak niefortunnie się zdarzyło, że nikt nie może mnie tam podrzucić. Zamierzałem pojechać autobusem, dlatego tak wcześnie jestem na nogach. Ale ty przecież będziesz przejeżdżała przez Nowy Targ, może byś mnie ze sobą zabrała? Nie cierpię jeździć autobusami. Wloką się niemiłosiernie, a poza tym na tych zakrętach zaczynam mieć chorobę lokomocyjną – ostatnie słowa powiedział z lekkim zawstydzeniem.

– Mój samochód nie jest, niestety, zbyt komfortowy. Nie mogę ci zagwarantować, że będziesz się w nim czuł dobrze. – Chciała go zniechęcić. Miała nadzieję, że zrezygnuje ze wspólnej podróży. Nie wypadło jej przecież odmówić wprost.

– Wszystko będzie lepsze niż autobus. To jak? Zabierzesz mnie? – Prośba brzmiąca w jego głosie była nie do ukrycia. Uśmiechał się do niej tak jakoś przymilnie, rozbajająco, znowu patrzył jej prosto w oczy.

„Ci faceci to mają swoje metody, żeby zmiękczyć serce kobiety” – pomyślała.

– Dobrze, mogę cię zabrać, nie ma sprawy – odparła głośno.

Kiedy ruszyli sprzed domu, słońce właśnie zaczynało przygrzewać, chociaż powietrze było jeszcze rześkie. Na drodze panował mały ruch, o ósmej w sobotę większość normalnych ludzi jeszcze spała. Maja była dobrym kierowcą, jeździła ostrożnie, ale pewnie. Fakt, czasami przekraczała dozwoloną prędkość, lecz tylko wtedy, kiedy droga była pusta i widoczność dobra. Nigdy nie ryzykowała wyprzedzania w niepewnych warunkach oraz nie jechała szybko w terenie zabudowanym. Wjeżdżając na pustą Zakopiankę, przycisnęła nieco pedał gazu.

– Mam nadzieję, że nie boisz się jechać ze mną? – zapytała zaciekawiona.

– Nie, jedziesz dobrze. Wprawdzie nie lubię jeździć z kobietami, ale z tobą na razie nie mam obaw – mówiąc to, obrócił się twarzą do niej i uśmiechał się łagodnie.

Nie ogolił się, na policzkach widać było jednodniowy zarost. Ogólnie wyglądał na zasnętego. „Nie jest chyba przyzwyczajony do tak

wczesnego wstawania – przyszło jej na myśl. – Ale pomimo tego, a może właśnie dlatego wygląda wyjątkowo seksownie. I jakoś tak bezbrannie”.

– Co cię skłoniło do wybrania się dzisiaj na wycieczkę? I na dodatek bez towarzystwa. Nie będziesz się nudziła?

– Mam dzisiaj pierwszy wolny weekend od początku pracy, a nie znam okolicy, nie bywałam nigdy wcześniej w tych rejonach. I skoro tu obecnie mieszkam, powinnam wiedzieć, jak wygląda ten region Polski. Poza tym drzemie we mnie dusza turysty, bardzo lubię zwiedzanie. A sama ze sobą nigdy się nie nudzę. Nie potrzebuję towarzystwa, żeby czuć się szczęśliwą.

– Hmm... więc zaburzyłem ci twój dzisiejszy plan dnia – podsumował z żalem.

– Nie ma problemu, do Nowego Targu jakoś z tobą wytrzymam – powiedziała to serio, ale takim tonem, żeby wyglądało na żart. Uśmiechnęła się uprzejmie.

Reszta drogi minęła nadzwyczaj szybko. Rozmawiali o błahych sprawach, ale nie była to rozmowa prowadzona na siłę. Toczyła się spontanicznie. Maja poczuła, że, o dziwo, dobrze czuje się w towarzystwie Huberta. I kilkakrotnie miała już ochotę napomknąć mu złośliwie jak to on reaguje, kiedy ona zwraca się do niego „per ty” w pracy, ale po krótkim namyśle stwierdziła, że nie warto psuć miłej atmosfery. Po krótkiej chwili, jak się jej wydawało, podjechali pod serwis Toyoty. Hubert wysiadł, okrążył samochód i pochylił się do otwartego okienka.

– Dziękuję, Maju, wyświadczyłaś mi ogromną przysługę. Podróż z tobą minęła szybko i była prawdziwą przyjemnością.

Miała wrażenie, że mówi to szczerze.

– Mnie także się przyjemnie jechało. Wiesz, wyjdę na chwilę z tobą, chciałabym skorzystać z toalety. Trzymaj się, życzę ci miłego dnia.

– Dzięki, ja tobie też – odpowiedział. Maja wysiadła z samochodu i ruszyli razem do serwisu.

Po kilkunastu minutach wyszła z budynku i z zaskoczeniem zobaczyła Huberta stojącego znowu przy jej „żółtku”.

– Jakiś problem? – zapytała zaciekawiona.



– Niestety, kiedy chciałem ruszyć samochodem z parkingu, okazało się, że nadal szwankuje, musiałem im go ponownie zostawić. Wygląda na to, że to poważniejsza awaria. Sprawdziłem w Internecie w komórce, jakie mam połączenie do Rabki, ale najbliższy autobus odjeżdża za trzy godziny. Chyba oszaleję, czekając tu, a potem tłukąc się w nim z powrotem. Mam zatem dla ciebie propozycję. Jeżeli nie miałabyś nic przeciwko temu, wybrałbym się z tobą na tę wycieczkę. Znam doskonale okolice, wychowałem się tu. Mógłbym być twoim pilotem. I myślę, że pokażalbym ci kilka takich miejsc, których nie znajdziesz w przewodnikach.

Przez chwilę się zastanawiała, co mu odpowiedzieć. Pokrzyżował jej plany, fakt, ale czy mogła go tu tak po prostu zostawić? Wynajmuje jej mieszkanie, zatrudnia ją, bez niego nie mogłaby się tak szybko odciąć od przeszłości związanej z Filipem. Wprawdzie nie ma ochoty na nowe układy damsko-męskie, ale przecież to będzie tylko wspólna wycieczka.

– Dobrze, nie ma sprawy, możesz ze mną jechać, ale planuję powrót późnym wieczorem. Masz tyle czasu? Nie musisz jechać do pensjonatu?

– Do pensjonatu? A po co? – zapytał zdziwiony. Po chwili jednak jakby zrozumiał, zachichotał. – A tak, do pensjonatu! Nie, dzisiaj nie muszę, mam wolny cały dzień. – Jego oczy nadal się śmiały, kiedy to mówił.

– W takim razie jedziemy – powiedziała z westchnieniem i rezygnacją, ku jego rozbawieniu. Zresztą, cały czas sprawiał wrażenie, jakby ją testował, celowo drażnił.

Nie spodziewała się, że tak miło spędzi ten dzień. Kiedy opuścili Nowy Targ, wjechali na drogę wijącą się pomiędzy niewysokimi pagórkami, pokrytymi soczystą roślinnością. Skojarzyły jej się z miękkimi poduchami, wręcz miała ochotę położyć się między nimi i wtulić w krajobraz. Była zauroczona otoczeniem, ale nie mogła go swobodnie podziwiać, bo musiała patrzeć na drogę.

– Nie miałabyś ochoty poprowadzić? – zapytała z nadzieją. – Nie mogę podziwiać widoków, kiedy jestem kierowcą. Powiedzmy, że to będzie twoja zapłata za dzisiejszą wycieczkę. – Uśmiechnęła się przymilnie.

– Z wielką przyjemnością. Nie ujmując nic twoim umiejętnościom kierowcy, nie czuję się jednak zupełnie komfortowo, kiedy jestem wo

zony przez kobiety – na szczęście powiedział to żartobliwym tonem.

Pojechali do Niedzicy. Zwiedzili zamek. Spacerowali po imponującej tamie. Zmęczeni, przysiedli na ławce, w miejscu, skąd rozpościerał się widok na tę część zamku, która znajdowała się od strony Zalewu Czorsztyńskiego. Budowla sprawiała iście imponujące wrażenie, była dostojna, wręcz majestatyczna. Mury zdawały się tonać w odmętach nieprzeniknionej głębi zalewu. Popijali kawę z papierowych kubeczków i znużeni wpatrywali się w rozpościerające się przed nimi piękno. I wtedy Hubert opowiedział jej legendę, która wiąże się z historią tej starej warowni.

– Opowieści, jakie krążą wśród mieszkańców i ludzi związanych z historią zamku, mają kilka wersji. Najbardziej popularna jest legenda o inkaskiej królownie, która przebywała tu, na zamku, i podobno ukryła nieprawdopodobnej wartości inkaski skarb – mówił cichym głosem, a Mai ciarki przeszły po plecach.

– Inkaska królowna? Skąd ona by się tu wzięła? – zaciekawiło ją to.

– Legenda głosi, że młody, przystojny syn węgierskich właścicieli zamku, żądny nowych wrażeń i przygód, wyjechał do Ameryki Południowej, żeby poznać nowe lądy, nabrać doświadczenia, wyszumieć się, a potem wrócić na łono rodziny i spokojnie zarządzać majątkiem – Hubert snuł swoją opowieść, wpatrzony gdzieś w drugi brzeg jeziora. Jego głos był taki aksamitny, elektryzujący. – I nie wiadomo, na szczęście czy na nieszczęście, w bliżej nieznanych okolicznościach poznał inkaską księżniczkę. Była przecudnej urody, tak inna od wszystkich znanych mu niewiast. Zakochał się w niej bez pamięci, poślubił w inkaskim obrzędku i wydawało mu się, że złapał szczęście za nogi. Zamieszkali wśród Inków, doczekali się córki, którą nazwali Umina. Kiedy Umina dorosła, urodą nie ustępowała pięknej matce. Wkrótce została żoną syna wodza. Nazywał się Tupac Amaru, był silny, piękny i mądry. I wszystko byłoby jak w bajce, gdyby nie wybuchło powstanie Inków przeciwko Hiszpanom. Mąż Uminy został zamordowany, a potomek właścicieli Niedzicy wraz z inkaską żoną, córką i wnukiem musieli uciekać. I wrócili do Europy. Początkowo do Włoch, a po kilku miesiącach lub latach, kto to dzisiaj wie, znaleźli się na zamku. Niestety, wrogowie Uminy i jej syna znaleźli ich nawet tak daleko od ich ojczyzny. Nie wiadomo dzisiaj,

czego tak naprawdę szukali prześladowcy, ale ich ofiary dokonały swego żywota i zostały pochowane w krypcie na zamku. A do dnia dzisiejszego krążą legendy o niesamowitym skarbie ukrytym gdzieś w podziemiach. I o tajemniczym piśmie Inków, którego rozszyfrowanie mogłoby wyjaśnić wiele dotąd skrywanych tajemnic tego legendarnego narodu.

Maja znalazła się myślami w zupełnie innym świecie. Już prawie widziała przechadzającą się po dziedzińcu piękną księżniczkę o egzotycznej urodzie, obwieszoną precudną, złotą biżuterią, niespotykaną w dzisiejszych czasach, bo pochodzącą z krainy Inków. Z okalającą jej szyję kolia w kształcie wachlarza, nieziemsko błyszczącą w promieniach słońca.

– Są też tacy, którzy twierdzą, że syn Uminy przeżył i jego potomkowie żyją do dzisiaj, gdzieś rozrzucony po Polsce – dodał Hubert, odwracając się w stronę Mai. Po chwili wyciągnął swoją dłoń w jej kierunku.

– Ruszajmy, czas coś zjeść, słyszę jak burczy ci w brzuchu – to mówiąc, złapał ją za rękę, pomagając jej się podnieść. I znowu poczuła to coś, co pełzło po jej ciele, przyspieszając puls i wywołując taki irracjonalny niepokój.

Kiedy dojechali do Szczawnicy, zbliżała się pora obiadu. Obydwoje umierali z głodu. Jej brzuch raz po raz oznajmiał to całkiem głośno, jak raczył zauważyć Hubert. Zjedli posiłek w przyjemnej restauracji znajdującej się w miejscu, gdzie kończył się spływ przełomem Dunajca. Siedząc na tarasie, obserwowali przyplływające tratwy i wysiadających z nich ludzi. I nieustannie rozmawiali, rozmawiali, rozmawiali... Jakby znali się od wieków. Jednak ona przez cały czas miała przed oczami piękną, nieszczęśliwą księżniczkę smutno spoglądającą w dal z okien niedostępnego zamku, obawiającą się o swoją przyszłość. Swoją i swojej rodziny. Nie mogła przestać myśleć o opowieści Huberta.

Bez skrupowania zajadali góralskie jadło, pochłaniali je wręcz. Maja nigdy nie narzekała na brak apetytu, a że przemianę materii miała dobrą, ilości pochłanianego przez nią jedzenia niejedną osobę potrafiły zadziwić. I nigdy nie odmawiała deseru. A kiedy po obiedzie wjechali wyciągiem na Palenicę, usiedli na trawie, pili kawę, przyniesioną znowu w papierowych kubkach przez Huberta, i obserwowali startujące z góry

paralotnie. Poczula wtedy ogarniające ją szczęście. No, może nie aż szczęście, raczej zadowolenie. Hubert dużo wiedział o okolicy, opowiadał jej wiele ciekawych historii. Nie nudziła się ani chwili. Wszystko ją ciekawiło. Miał talent gawędziarza. A najbardziej ją zadziwiło, jak wiele wie o lokalnych budynkach. Mówił o nich bardzo barwnie, wtrącał różne anegdoty, mogłaby go słuchać bez końca.

W drodze powrotnej, gdy słońce schowało się za wzgórze, na dworze zaczęło szarzeć, otoczenie gubiło swoje barwy, poczuła ogromne zmęczenie. Bolały ją nogi, wyciągnęła je przed siebie, żeby je chociaż trochę wyprostować. Opuściła oparcie fotela do pozycji półleżącej. W radiu śpiewała Adele, spokojna muzyka ukołysała ją do snu.

– Maju, obudź się, jesteśmy już w domu – poczuła dłoń Huberta na swoim ramieniu. Zdrętwiała jej szyja. Nie potrafiła jeszcze wrócić do rzeczywistości.

– Oj, nie wiem nawet, kiedy zasnęłam, przepraszam – powiedziała, rumieniąc się lekko.

– Nie ma problemu. Przeciągnąłem cię po naszych górkach, to normalne, że jesteś zmęczona. Ale jutro niedziela, będziesz miała czas, żeby się wyspać. Chodź, pomogę ci się dostać do domu – to mówiąc, wysiadł z samochodu, otworzył jej drzwi, podał rękę i pomógł wysiąść. Zdrętwiało jej całe ciało, czuła się, jakby jej ktoś zaspawał stawy. Zachwiała się, wysiadając i gdyby Hubert jej nie podtrzymał, niechybnie by upadła. A gdy tak trzymał ją w silnych ramionach, poczuła przebiegający przez jej ciało dreszcz. Nie, Maja, nie wariuj, stop z mężczyznami. Szybko złapała równowagę i uwolniła się z jego uścisku. Zobaczyła na jego twarzy przelotny wyraz rozczarowania.

Kiedy stanęli już w przedpokoju, każdy przed swoimi drzwiami, pożegnali się uściskiem dłoni i po chwili znaleźli się w swoich mieszkaniach. Zrzuciła z siebie ubranie, założyła piżamę i nie myjąc się, wsunęła szybko do łóżka. „Dzisiaj mam dzień dziecka” – zdążyła jeszcze pomyśleć. Zasnęła natychmiast, a ostatnie, co widziała przed oczami, gdy zasypiała, była uśmiechnięta twarz Huberta i wpatrujące się w nią jego szaro-niebieskie oczy.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

### HUBERT

Wszedł do swojego mieszkania i natychmiast ogarnęło go poczucie pustki, jakby zostawił za drzwiami coś cennego. Zdziwił się, że coś takiego odczuwa. Wprawdzie ta kobieta, z którą spędził dzisiejszy dzień, fascynowała go od pierwszego spotkania, ale nie przypuszczał, że aż tak. Zapalił światło w salonie, nalał whisky do szklanki, usiadł na kanapie i zamyślił się. Przed oczami stanęła mu jego żona, Mary. Nadal za nią tęsknił, chociaż jej wspomnienie oddalało się coraz bardziej. Obraz jej twarzy jakby nieco przybladł. Poznał ją kilka lat po przyjeździe do Stanów. Wyjechał z Nowego Jorku do Chicago, bo ona tam mieszkała. Ożenił się z nią, założył własną firmę – był architektem, dobrym architektem. Zatrudniał kilkanaście osób, nie narzekał na brak zleceń. Przez pięć lat byli szczęśliwym małżeństwem, świata poza nią nie widział. I kiedy odeszła przed dwoma laty, myślał, że życie się dla niego skończyło. Przez pierwszy rok nie mógł prawie pracować, nie mógł spać, jeść. Zachowywał się jak zombie. Ale najlepszym lekarstwem na ból jest praca. I czas. W końcu nieco się otrząsnął, rzucił się w wir pracy i popadł w następną skrajność. Kiedy ponownie po prawie roku oprzytomniał, był na skraju wyczerpania fizycznego. I psychicznego. Zorganizował pracę w biurze, rozplanował pracownikom realizację zleceń i projektów na cały rok, spakował swoje rzeczy, oznajmił w firmie, że bierze roczny urlop i... przyjechał do Polski.

Mary... jaka ona była piękna. Byli rówieśnikami, w tym roku kończyłaby trzydzieści osiem lat. Poznał ją, kiedy projektował nową galerię sztuki na Brooklynie. Mary była zatrudniona w firmie, od której dostał zlecenie. Była odpowiedzialna za wystrój wnętrza, tym się zawodowo zajmowała. Tak zaczęła się ich współpraca, a wkrótce wzajemna fascynacja. Pokochał ją, jak jeszcze nigdy nie kochał żadnej kobiety. Byli nierozłączni. I kiedy po zakończeniu projektu Mary wróciła do swojego

rodzinnego miasta, Chicago, ani przez chwilę nie zastanawiał się i pojechał za nią.

Potrafili godzinami ze sobą rozmawiać. Często siadywali w salonie na puszystym dywanie, oparci o kanapę, z lampkami wina w dłoniach, i zapatrzeni w ogień tańczący w kominku toczyli niekończące się dysputy. Nawet teraz widział oświetloną przez ogień jej promienną twarz, łagodne rysy, niesforne pasma jasnych włosów, które ciągle wymykały jej się z zaplecionego warkocza albo innej misternie upiętej fryzury i które takim łagodnym ruchem zakładała za ucho. Robiła to nieświadomie, podobnie jak bawiła się kolczykiem w uchu, kiedy intensywnie o czymś myślała. I tak śmiesznie marszczyła nos, gdy ją czymś zaskakiwał albo rozśmieszał.

Nie mieli dzieci. Mary nie mogła ich mieć. Przez pierwszy rok po ślubie nie chcieli ich, a gdy po roku zdecydowali się na dziecko, nie mogła zająć w ciążę. Kiedy usłyszała diagnozę – niedrożność jajowodów i jakieś poważne zaburzenia hormonalne, a kolejne zabiegi nie przyniosły rezultatu, załamała się. Pół roku była w depresji, leczyła się u różnych lekarzy, a on nie wiedział, jak jej pomóc. Cierpiał z tego powodu katusze, ale czekał cierpliwie. Miał nadzieję, że kiedyś ją odzyska, swoją dawną Mary. I tak też się stało. Powoli zaczęła wracać do siebie, pogodziła się z tym, że nie urodzi dziecka. Ale przecież to nie wykluczało bycia matką. Zaczęli starać się o adopcję, była pełna nadziei, zaczęła żyć na nowo. I kiedy już wiedzieli, że wkrótce zostaną rodzicami małego chłopca, zdarzył się ten okropny wypadek. I znowu wszystko legło w gruzach.

A teraz jest tu, w Rabce, a za ścianą zamieszkała kobieta, która poruszyła w nim dawno uspione struny, dzięki której jakby oprzytomniał na nowo, zobaczył, że świat wokół niego nie umarł wraz z Mary. I co on ma z tym faktem zrobić? Miał wrażenie, że Maja też ma jakieś przeżycia za sobą, że stara się trzymać wszystkich od siebie na dystans, szczególnie mężczyzn. Ale czy to dobry pomysł, żeby zbliżał się do niej? Czy to ma jakikolwiek sens? Jego miejsce jest przecież w Chicago. Tam ma pracę, dom, tam osiadł na dobre. Miał dwadzieścia lat, kiedy wyjechał z Polski. Zaczął studia na Columbia University i tylko jego desperacja, intensywna nauka i ciężka praca przysłużyły się do tego, że mógł zapewnić sobie

środki do życia. Nie zostanie w Polsce na stałe. Od początku nie miał takiego zamiaru. Wprawdzie zaczął się rozglądać za jakimś ciekawym architektonicznie starym domem, ale głównie po to, żeby go wyremontować i zrobić z niego coś w rodzaju domu pracy twórczej. Miejsca, gdzie artyści, ludzie sztuki, ale także nauki, mogliby przyjechać, aby w spokoju tworzyć, pracować oraz odpoczywać. Histeryczne tempo życia powoduje, że ludzie często czują się wypaleni. I potrzebują czegoś, co pomoże im się zresetować. I on także mógłby się tam zatrzymywać, od czasu do czasu przyjeżdżając do Polski. A planował odwiedzić nawet kilka razy w roku. Póki jeszcze żyją jego rodzice i ma brata, z którym kiedyś był bardzo zżyty i z którym nawet mimo dzielącej ich odległości nie stracił kontaktu.

I nie planował żadnych romansów ani innych damsko-męskich relacji. Ale Maja przyciągała go do siebie, nie mógł tego kontrolować. Nie wiedział nawet, jak to się stało, że zaproponował jej wynajęcie mieszkania. Podobnie wprosił się na tę dzisiejszą wycieczkę. Jakby ktoś z góry sterował jego wolą, a on bezwiednie się jej poddawał.

Westchnął głęboko, dopił ostatni łyk trunku, odstawił szklankę na stolik i ciężkim krokiem poczłapał na górę. Nie wiedział, co z tym fanatem zrobić. Może kiedy się wyśpi, rozjaśni mu się w głowie? Może...

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

### MAJA

Od dłuższej chwili Łukasz przyglądał się jej dziwnie zaintrygowany. W końcu to zauważyła.

– Co? – zapytała zdziwiona.

– Nic – odpowiedział.

– Dlaczego tak się we mnie wpatrujesz? – Zmarszczyła brwi, jak to miała w zwyczaju robić. – A właściwie to powinnam powiedzieć, dlaczego się tak na mnie gapisz?

– Jakoś tak inaczej dzisiaj wyglądasz, jakbyś wróciła z dłuższego urlopu. I jakaś taka jesteś nieobecna.

Czuła, że chce ją nakłonić do zwierzeń. Przez te kilka tygodni wspólnej pracy bardzo się ze sobą zaprzyjaźnili. Lubili ze sobą rozmawiać, przekomarzać się, rozśmieszać nawzajem. I nie było między nimi niczego więcej, ot, zwykłe kumpelskie stosunki. A może raczej niezwykłe? Nigdy nie przyjaźniła się z żadnym mężczyzną.

– Miałam po prostu wolny weekend i wreszcie odpoczęłam. Byłam na wycieczce w Szczawnicy i okolicach, bardzo miło spędziłam dzień. Nie mogę tak od razu przestawić się na pracę.

– A-h-a... – powiedział, przeciągając litery, jakby powątpiewał w jej szczerłość. Drażnił się z nią.

– Łukasz, zajmij się swoją pracą. – Ze śmiechem szturchnęła go w ramię.

W tym momencie w recepcji zrobił się ruch. Z góry zeszło kilka osób, każdy miał jakieś pytania. Przyjechała też kiluosobowa rodzina z wyjątkowo hałaśliwymi dziećmi, które gadały albo raczej krzyczały jednocześnie i nie można było zrozumieć, co mówią inne osoby. I w tym wszystkim pojawił się Hubert. Znowu ubrany klasycznie. Sweter, biała koszula, krawat, wełniane spodnie.

„Widocznie ma w zwyczaju ubierać się do pracy w sposób tradycyjny” – pomyślała.



Nie widzieli się od soboty. Miała nawet taką myśl, żeby zapytać go, czy nie potrzebuje pomocy, czyli transportu do Nowego Targu po samochód, ale po namyśle zrezygnowała z tego. Nie chciała kusić losu. Nie powinna utrzymywać z nim bliższych kontaktów nie wynikłoby z tego nic dobrego.

– Pani Maju – odezwał się. – Jak upora się Pani z obsługą gości, proszę do mojego gabinetu.

„Co za oficjalny ton – pomyślała. – Szkoda, że jednak w sobotę nie powiedziałam mu paru słów na ten temat”. Czuła narastającą irytację. Ma gdzieś ten zaszczyt, że łaskawie zaproponował jej mówienie sobie po imieniu, a teraz w pracy jakby wstydził się do tego przyznać. Czyli tylko wtedy, kiedy nikt nie widzi. A ona nie ma przecież nic do ukrycia, nie będzie prowadziła z nim jęgo cholernych gierki.

Po kilkunastu minutach w recepcji zrobiło się pusto. Powiedziała Łukaszowi, że idzie do szefa na dywanik. Pokazał jej zaciśnięte w pięści kciuki. W momencie, gdy pukała do drzwi gabinetu, złość jeszcze bardziej w niej narosła. Kiedy usłyszała „proszę”, z brodą uniesioną wysoko i marsowym obliczem wkroczyła do środka i... osłupiała.

Miała przed sobą dwóch swoich szefów. Albo może dwóch Hubertów?

Stała wpatrzona w nich, niezdolna do jakiegokolwiek ruchu. Od razu wiedziała, który jest który, ale poznała to wyłącznie po sposobie ubierania. Twarze mieli identyczne. Oczywiście Hubert był ubrany na sportowo, a szef jak zwykle w nudnym stylu klasycznym. Obaj unieśli głowy znad biurka i przyglądali się jej nieco zaskoczeni i rozbawieni jej groźną miną. Zaczęła wszystko rozumieć, te dziwne, zmienne zachowania Huberta, różny sposób ubierania się.

– Proszę, pani Maju, niech pani usiądzie – powiedział szef, wskazując dłonią na krzesło stojące po przeciwnej stronie biurka. – Poprosiłem tutaj panią, żeby wyjaśnić zaistniałe nieporozumienie. Zorientowałem się, a Hubert mnie w tym utwierdził, że nie wie pani, iż jesteśmy bliźniakami, i stąd też wynikały sprzeczności w sposobie zwracania się do siebie. Mój brat ma na imię Hubert Jan, a ja Jan Hubert. Taki żarcik naszych rodziców.

Kiedy to mówił, Hubert stał obok niego wyprostowany i z szelmows

kim uśmiechem przypatrywał się jej osłupiałej twarzy.

– Dlaczego mnie nie uprzedziłeś? – zapytała, zwracając się do Huberta, ale cała ta sytuacja zaczynała ją także bawić. Przeskakiwała wzrokiem z jednego na drugiego, usiłując znaleźć między nimi podobieństwa i różnice. Trochę tak jak w szaradzie „wyteż wzrok i znajdź dwadzieścia jeden szczegółów, którymi różnią się te dwa obrazki”. Do dzisiaj lubi takie zagadki. W końcu potrząsnęła głową z uśmiechem.

– Rozumiem już wszystko. Dziękuję za wyjaśnienia.

– Większość personelu wie, że jesteśmy bliźniakami. Poczta pantoflowa raczej działała do tej pory dobrze, ale może dlatego, że nie jest pani stąd, informacje do pani nie dotarły. No i nie podejrzewałem, że będziecie mieli z Hubertem takie bliskie kontakty – kontynuował szef.

– My jesteśmy tylko sąsiadami – powiedziała skwapliwie, jakby chciała się przed nim usprawiedliwić.

– Oczywiście, nie miałem niczego innego na myśli – odpowiedział Jan Hubert, uśmiechając się przepraszająco.

Spojrzała na nich jeszcze raz. Hubert był chyba o kilka centymetrów wyższy, Jan był nieco drobniejszej budowy i skronie pokrywała mu delikatna siwizna. Ponadto miał ciut krótsze włosy, ale cała fryzura była w zasadzie podobna. No i różnił ich sposób ubierania się. Jan – klasyczny, Hubert na luzie. I to wszystko. Na miłość Boską, nie wiedząc, że są bliźniakami, nie sposób było ich odróżnić. Ponownie pokiwała głową i ze śmiechem wyciągnęła przed siebie ręce, jakby w obronnym geście.

– Okej, dziękuję za wyjaśnienia. Czy mogę już wrócić do pracy? – zapytała.

– Tak, dziękuję – odpowiedział szef i pochylił się znowu nad dokumentami leżącymi na biurku. Kiedy się obróciła i ruszyła do drzwi, usłyszała za sobą głos Huberta.

– Maju, poczekaj chwilę – złapał ją za ramię i odwrócił w swoją stronę. – Chciałbym cię przeprosić za to całe nieporozumienie i muszę ci się przyznać, że zorientowałem się już w sobotę, ale rozśmieszała mnie ta cała sytuacja. Przyznam, że trochę się zabawiłem twoim kosztem. Od dzieciństwa byliśmy przyzwyczajeni do sprawiania rodzinie i znajomym psikusów związanych z naszym wyglądem. Jako przeprosiny i w po-

dziękowaniu za sobotnią wycieczkę, chciałbym cię zaprosić na kolację. Zgodzisz się ze mną pójść?

Zawahała się przez chwilę. Nie była pewna, czy to dobry pomysł. Chyba niezbyt mądre byłoby pakowanie się w następny związek, nie potrzebowała tego w tej chwili. Najbardziej odpowiadała jej samotność. Hubert spostrzegł jej wahanie.

– Maju, ta wspólna kolacja do niczego cię nie zobowiązuje. Nie traktuj jej jak randki. Raczej jako miłe spotkanie sąsiadów – mówił to tak lekko, ale jednocześnie wyczuwała w jego głosie, że zależy mu na tym spotkaniu. Znowu patrzył jej prosto w oczy, nad wyraz intensywnie.

– A kiedy to miałyby być? – zapytała z lekką rezygnacją. Nie wiedziała, jak ma mu odmówić.

– Dzisiaj jesteś wolna? Powiedzmy o dziewiętnastej?

– Dobrze, będę gotowa.

– Zatem do wieczora. Zapukam do twoich drzwi. Przejdziemy się pieszo. Niedaleko od nas jest moja ulubiona góralska knajpa. Nazywa się „Gospoda u Jędrka”. Zarezerwuję tam stolik, myślę, że ci się spodoba.

– Zatem do wieczora – odpowiedziała bez entuzjazmu i wyszła.

Nadal nieco skonsternowana wróciła do recepcji. Łukasz siedział na wysokim stołku za ladą i przeglądał dokumenty z rezerwacjami. Kiedy podeszła bliżej, podniósł głowę uśmiechnięty, ale po chwili, zauważywszy jej marsową minę, spoważniał.

– Stało się coś? – zapytał zaniepokojony.

– Nic specjalnego – odpowiedziała nadal daleka myślami. – Dlaczego nie powiedziałeś mi, że szef ma brata bliźniaka?

– A nie wiedziałaś tego? – zdziwił się. – Wszyscy o tym wiedzą, myślałem, że ty także.

– No, nie, akurat do mnie ta informacja nie dotarła.

– A czy z tym wiąże się jakiś problem? – Łukasz wpatrywał się w jej twarz, jakby szukając w niej odpowiedzi na swoje pytanie.

– Tak, wiąże się. Zrobiłam z siebie głupka. – Czuła narastającą irytację. – Ale nie chcę o tym mówić. Powiem ci tylko, że najchętniej wsadziłabym głowę w piasek. I tyle.

– Yhm – Łukasz ze zrozumieniem pokiwał głową. Wprawdzie nie-

wiele rozumiał, ale wyczuł, że na tym koniec rozmowy. Maja potrzebuje czasu, żeby przetrwać swój problem.

Zajął się swoją pracą, ale kątem oka nadal ją obserwował. Dziś przeglądała dokumenty i odbierała telefony jakby mechanicznie. Wyczuwał, że duchem jest daleko. Co ją tak wzburzyło? – zastanawiał się. Szef jak szef. Jest w porządku. A jego brat całkiem sympatyczny. O co chodzi w tym wszystkim? Lubił Maję, fajnie im się razem pracowało, była szczerą, lubiła żartować, nadawali na podobnych falach. Nie przyjaźnili się jednak, kolegowali raczej. Ale czasami zachowywała się dziwnie.

Po raz kolejny od przyjazdu do Rabki i rozpoczęcia pracy w pensjonacie nie mogła doczekać się końca zmiany, nie potrafiła się w ogóle skoncentrować, niezupełnie też wiedziała, co mówił do niej Łukasz.

Po początkowym jej rozbawieniu z powodu omyłki nie pozostało śladu. Coraz bardziej czuła się urażona. Oszukana? Kiedy wreszcie zegar pokazał upragnioną osiemnastą, wybiegła z hotelu, jakby ktoś ją poszczuł wściekłym psem. Niezupełnie rozumiała swoją reakcję, przecież właściwie nic takiego się nie stało, zwykłe nieporozumienie. To przecież nawet lepiej, że nie mieszka u szefa i że nie jeździ z nim na wycieczki. Więc o co ta cała złość? Zaczęła się nad tym zastanawiać, idąc dziarskim krokiem w stronę domu. Czy chodziło o to, że poczuła się zmanipulowana? Czy też o to, że ktoś nie powiedział jej do końca prawdy? Czy o to, że kłamstw i manipulacji miała w ostatnim czasie dość? I miałyby z tą osobą iść na kolację? Chyba nie miała takiego zamiaru. Chociaż właściwie nic się nie stało, nie mogła zrozumieć dlaczego czuje się taka urażona i wzburzona. Ale tak było i nic nie mogła na to poradzić. Nie pójdzie na żadną kolację. Nie ma mowy! Nie ma na to ochoty. I koniec z kontaktami z Hubertem.

Zbliżając się do domu Huberta zauważyła jego samochód na podjeździe. Najciszej, jak umiała, otworzyła drzwi wejściowe, a potem drzwi do swojego mieszkania. Zdjęła sweter i ciężko opadła na fotel. Dlaczego czuła się taka wyczerpana? Czy to jakaś histeryczna reakcja czy co?

Nie wiedziała, jak długo tkwiła tak w odrętwieniu. Czas jakby stanął w miejscu.

Z zamyślenia wyrwało ją pukanie do drzwi. Najpierw ciche, deli-

katne, a gdy nie zareagowała, nieco bardziej natarczywe. Spojrzała na zegarek, siódma.

„No tak – pomyślała. – Hubert”. Przyszedł, żeby zabrać ją na kolację. W tej chwili jest to ostatnia rzecz, na którą miałaby ochotę. Nie poruszyła się. Może pomyśli, że jej nie ma i odejdzie?

– Maju! – Po chwili usłyszała wołanie. Wyczuła w głosie Huberta niepokój. – Maju, wiem, że tam jesteś. Czy coś się stało? Maju, odpowiedz. Jeżeli nie masz ochoty iść ze mną na kolację, to nie ma sprawy, rozumiem, tylko odezwij się, żebym wiedział, że wszystko z tobą w porządku!

Nadal się nie poruszyła. Po chwili głos Huberta ucichł, skończyło się także pukanie.

„Dał za wygraną” – pomyślała. Ale jakież było jej zdziwienie, kiedy po chwili usłyszała zgrzyt klucza w zamku i do pokoju wpadł błądy Hubert, z niepokojem malującym się w oczach. Poderwała się na jego widok z fotela, stała niezdolna do wykrztuszenia z siebie słowa. Zła na cały świat, a najbardziej na niego.

– Maja, nic ci nie jest? – zapytał zdyszany. – Przestraszyłem się, że coś ci się stało. Dopiero widziałem, jak wchodzisz do domu, a kiedy się nie odzywałaś, pomyślałem, że może zasłałaś albo coś.

– Jak śmiesz włamywać się do mojego mieszkania? – odzyskała mowę i kipiała wściekłością. – To, że jesteś właścicielem, nie upoważnia cię do wchodzenia tutaj, kiedy ci się tylko spodoba. Nie życzę sobie tego! Nie masz do tego prawa!

Był zupełnie skonsternowany, widziała to po jego minie. Nie kontrolowała jednak swojej złości. Chciała jak najszybciej zostać sama. I pragnęła dać upust swojemu oburzeniu. Opuścił głowę, kiwał nią z niedowierzaniem, rozłożył ręce.

– Przepraszam – powiedział ze skrucą. – Wiem, że to niezręczna sytuacja, ale naprawdę się przestraszyłem, że coś ci się stało.

Nagle poczuła, jakby uszło z niej powietrze.

– Chciałabym zostać sama – powiedziała cicho, nie patrząc na niego, obserwując uważnie swoje buty.

– A co z naszą kolacją? – zapytał równie cicho.

– Chyba będziesz musiał zjeść ją sam – usłyszał

Westchnął, z rezygnacją kręcąc głową. Spojrzał na nią przeciągle, odwrócił się i wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi. Stała nadal na środku pokoju, nie poruszała się. Po chwili usłyszała trzask zamykanych drzwi Toyoty stojącej na podjeździe, warkot silnika, a kiedy dźwięki oddalającego się samochodu ucichły, jak na zwolnionych obrotach poszła do łazienki, rozebrała się i weszła pod prysznic. Nie wie, jak długo stała pod strumieniami gorącej wody. Cała łazienka była pełna pary. Gdy wreszcie wyszła, ubrała piżamę, weszła do łóżka i po prostu zasnęła.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

### HUBERT

Nigdy nie pomyślałby o sobie, że jest takim skończonym durniem. I na co mu to wszystko? Te całe podchody, wycieczki, kolacyjki? Rozum mu odebrało? Pakuje się w jakiś niepotrzebny związek, diabli wiedzą w jakim celu. A właściwie to nie pakuje się, tylko usiłuje się wpakować. I chyba robi to zupełnie nieświadomie, bo przecież od początku tego nie planował. Nie planował wynająć Mai mieszkania, nie planował wprosić się na jej wycieczkę ani zaprosić jej na tę nieszczęsną kolację.

Jechał przed siebie, na dworze zaczynało robić się szaro, widoczność była najgorsza o tej porze. Czuł narastający ból głowy. Jak nic, migrena. Ostatni raz miał ją jeszcze w Chicago. Widocznie dawno nie przeżywał stresów, odzwyczaił się od nich. Otworzył schowek samochodowy, wyjął proszek przeciwbólowy, połknął dwie tabletki, oparł głowę o zagłówek. Jechał dalej przed siebie jakąś wąską, mało uczęszczaną drogą, nie zastanawiając się nawet, dokąd i po co. Ból głowy narastał, po chwili pojawiły się przed oczami latające zygzaki. Tak je nazywał. Pojawiały się często przed naprawdę potężnym bólem, poprzedzały go. Nie mógł dalej prowadzić, musiał zjechać na pobocze. Na szczęście przed nim pojawił się jakiś duży dom, miał szeroki podjazd od frontu. Nie zastanawiając się wiele, zjechał na niego, wyłączył silnik, odchylił nieco ku tyłowi oparcie fotela, zamknął oczy i usiłował się odprężyć. Zaczął odczuwać mdłości. Modlił się, żeby tylko nie zwymiotować tabletek; nie zapanuje wówczas nad bólem. Oddychał głęboko, wciągał powietrze nosem, wypuszczał ustami. Miał szczęście, że otaczała go cisza, żaden samochód nie jechał drogą, nie szczekały psy, z pobliskiego domu też nie dochodziły żadne odgłosy. Mógł się odprężyć. Masował sobie skronie. To czasami pomagało, ale nie tym razem. Ileż by dał, żeby być teraz we własnym łóżku przy zasłoniętych oknach. To sprawiłoby mu ulgę. Ale nie! Wybrał się w drogę! I po co? Chyba nie potrafił odpowiedzieć sobie na to pytanie. Jakiś głupi odruch. I zlekceważył pierwsze objawy

migreny. Jak mógł to zrobić? Teraz było za późno na biadolenie. Leżeć, nie ruszać się i czekać na ustąpienie bólu, to jedyne, co mógł zrobić.

Nie wiedział, kiedy zasnął. Ścierpł cały, w nogach odczuwał mrowienie. Zmarzł. Rozejrzył się wokół. Na dworze było jasno. Zegarek wskazywał szóstą trzydzieści. Wyszedł z samochodu. Przeciągnął się. Owiało go rześkie powietrze. Uwielbiał tę porę roku i dnia. Nigdy nie był śpiochem, lubił wczesne wstawanie oraz poranną ciszę, którą mógł kontemplować w samotności. Pomimo że był dosyć towarzyskim człowiekiem, potrzebował także wyciszenia, odrobiny samotności i własnej przestrzeni, choćby od czasu do czasu.

Zastanawiało go, jak mógł przespać w samochodzie całą noc? Nie przebudził się ani razu. W domu mu się to nie zdarzało. Zazwyczaj kręcił się w łóżku, przebudzał się kilka razy w ciągu nocy. A tu nic, spał jak suseł. Ciekawe... I po bólu głowy nie został nawet ślad, choć najczęściej po takiej migrenie czuł się następnego dnia dziwnie oszołomiony i zmęczony. A tu nic. Coś dziwnego mu się śniło tej nocy. Co to było? Zaraz, zaraz... niech sobie przypomni. Tak! Śniła mu się niezwykła kobieta. Była ubrana, jakby miała za chwilę wybrać się na wspinaczkę w Tatry, tylko że ten strój był jakiś sprzed wieków. Sweter z owczej wełny, pumpiaste spodnie poniżej kolan, na nogach wysokie skórzane buty do wspinaczki, sięgające powyżej kostek i kremowe wełniane pończochy. Przez klatkę piersiową miała przewieszony zwój grubego sznura. W ręce dzierżyła góralską ciupagę. Mogła mieć około trzydziestu lat, średniej długości, falowane blond włosy, miłą twarz. Patrzyła na niego, uśmiechając się zachęcająco. Przyglądała mu się przez dłuższą chwilę, po czym odwróciła się plecami i zaczęła się oddalać. Nie wypowiedziała ani jednego słowa. Czuł, że nie chce, żeby odchodziła. Koniecznie chciał ją zatrzymać. Zaczął ją wołać, ale z jego ust nie wydobywały się żadne dźwięki. Poczul zdziwienie, strach, nie wiedział, co się dzieje. Patrzył za nią osłupiały, widział, jak jej postać przesłania mgła. Chciał pobiec za nią, ale nie mógł ruszyć z miejsca. Nagle ktoś chwycił go za rękę. Obejrzał się zaskoczony. „Maja” – pomyślał zdziwiony i... się obudził. Tak, to był zaiste dziwny sen.

Poczul, że jest głodny. Zaczęło go ssać w żołądku. Poszperał w samochodowym schowku. Obok tabletek przeciwbólowych znalazł paczkę



starych herbatników. „Dobre i to” – pomyślał. Były lekko zawilgocone, ale zaspokajały pierwszy głód. Podgryzając je, rozejrzał się wokół. Wschodzące słońce oświetlało pomarańczowym światłem wielki dom, przy którym się akurat zatrzymał. Zaintrygował go on. Miał ciekawą architekturę. Nie był to typowy dom góralski, raczej takie pomieszanie stylów. Wysoki parter zbudowany z kamienia, wyższe kondygnacje murowane, z ciekawymi wykuszami okien. Po bokach dwie różnej wysokości wieżyczki z malowniczymi okienkami, dach wielospadowy, kryty czarnym gontem. Na dachu kilka kominów różnej wielkości z mosiężnymi kapturami, które przywodziły na myśl sceny z filmów z dreszczykiem. Brakowało tylko czarnego kota i świecącego księżyca. Przyglądał się temu domostwu, pogryzając stare herbatniki i nabierał przekonania, że właśnie czegoś takiego szukał. Czy to przypadek zagnał go tutaj? Posesję otaczał metalowy, prawie dwumetrowej wysokości, kuty płot, brama wjazdowa była otwarta, przed nią stał jego zaparkowany samochód. Wszedł na teren posesji. Zobaczył szerokie dwuskrzydłowe masywne drzwi, chyba z dębowego drewna, nad nimi wisiał złoty baner z napisem: „Na sprzedaż” i podanym numerem telefonu. Okrążył dom dookoła, oglądając uważnie, przyglądając się elementom architektonicznym. Ten stary budynek go zafascynował. Był opuszczony, chyba od dawna, nieco podniszczony. Duży ogród rozciągał się za domem na opadającym w dół zboczu. Był zupełnie zapuszczony, porastały go tak wysokie chaszczce, że przedarcie się przez nie byłoby chyba niemożliwe. Z tyłu domu zobaczył sporych rozmiarów taras na kamiennej podmurówce, z malowniczymi kamiennymi stopniami prowadzącymi w dół do ogrodu. Z domu na taras wychodziły sięgające podłogi okna i podwójne przeszklone drzwi; wszystkie szyby były ze szprosami, co w całości stanowiło przeszkloną ścianę. Przy każdym oknie znajdowała się drewniana okiennica, z łuszczącą się ciemnozieloną farbą, niektóre okiennice zwiślały smutno na zawiasach. Zajrzał przez okna do salonu. Niewiele mógł dojrzeć. Jedyne na przeciwległej ścianie zobaczył kominek. Okna były tak brudne, że nie był w stanie nic więcej zauważyć, chyba tylko to, że salon był pusty. Stojąc na tarasie, rozglądał się wokół. Za drzewami widoczne były dachy kilku pobliskich domów, czyli ten dom nie stał samotnie przy drodze, lecz znajdował się na skraju jakiejś wsi. A w dole

widoczna była Rabka, jakby zbudowana z klocków Lego. Nie wiedział, gdzie jest. Nie znał zbyt dobrze tych terenów. Być może w dzieciństwie tu bywał, ale zupełnie nie przypominał sobie teraz tych okolic. Zresztą od tylu lat mieszkał zbyt daleko, a wiele się w okolicach Rabki i w samej Rabce przez ten czas zmieniło. Wszystko było dla niego nowe. Nawet nowe wsie powstały, nie mówiąc już o nowych domach. Ten jednak był stary, zapewne przedwojenny.

Obszedł dom z drugiej strony, ale nie było tam już nic ciekawego oprócz bocznych drzwi prowadzących chyba do piwnicy. Spróbował je otworzyć, lecz tylko stara mosiężna klamka została mu w ręce. Prowizorycznie zamontował ją na dawnym miejscu i ruszył dalej. Utknął w jakichś kłujących chaszczach (może to były róże), które podrapały mu ręce, kiedy usiłował się przez nie przedrzeć. „Jak w tajemniczym ogrodzie” – pomyślał. W tym momencie już wiedział, że to jest dom, którego szukał. Że to jest jego dom. Wrócił przed drzwi frontowe, na komórcę wybrał numer, który widniał na banerze. W słuchawce rozległ się głos starszej kobiety.

– Witam panią, nazywam się Hubert Ruszkowski. Stoję właśnie przed pani domem, który jest wystawiony na sprzedaż. Jestem nim poważnie zainteresowany, chciałbym go obejrzeć od środka i porozmawiać o cenie. Kiedy byłoby to możliwe?

– O, jak miło! Wreszcie ktoś się zainteresował tym domem. Tylko wie pan, ja jestem teraz w Krakowie, bo tam mieszkam u córki, od kiedy zmarł mój mąż i będę mogła pokazać panu dom dopiero w sobotę – odparła starszuszka zatroskanym głosem. – Czy to by panu odpowiadało?

– Jak najbardziej – odpowiedział zdecydowanie. – W takim razie o której godzinie?

– Może koło południa? Potrzebuję trochę czasu, żeby tam dojechać.

– A więc w sobotę około dwunastej. W takim razie do zobaczenia.

– Do widzenia, do soboty – odpowiedziała i rozłączyła się.

Wrócił do samochodu. Postanowił pojechać do wsi, zobaczyć okolicę. Kiedy ruszył z podjazdu, zaraz zza drzew wyłoniły się domy, usadowione wzdłuż drogi. Były to typowe dla tych okolic wiejskie domy, dość schludnie utrzymane, ale widać było, że ich mieszkańcy nie byli zbyt zamożni. Osada położona na malowniczych pagórkach sprawiała wrażenie

nie jakby namalowanej przez młodopolskiego malarza. Centralnym punktem wioski był „Sklepik Wiejski”, taki PRL-owski, jak mu się zdało. I jeszcze te metalowe krzesła i stolik przed wejściem, istna komuna. Z powodu wczesnej godziny wszędzie było pusto. Wszyscy jeszcze spali. Ale czy we wsi o tej porze ludzie nie powinni już pracować? Poczuli, jakby był w bajce o śpiącej królewnie. Nadal jednak nie wiedział, jak nazywa się ta wioseczka. Dojechał do jej granic i spojrzął na tablicę informacyjną: Żegutkowo! Co za dziwaczna nazwa! Jednak pasowała do tego miejsca. Uśmiechnął się do siebie.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY FILIP

Była pełnia lata. Słońce przygrzewało niemiłosiernie, temperatury na dworze dochodziły do czterdziestu stopni. W dużym mieście było to nie do zniesienia. Jedynym wytchnieniem przy takiej pogodzie była praca w klimatyzowanych pomieszczeniach, powrót do domu natomiast był koszmarem, szczególnie przed zachodem słońca. Nie pomagał nawet wentylator nieustannie pracujący w pokoju ze strumieniem powietrza skierowanym wprost na jego ciało. Filip stale był pokryty lepkiem potem i ciągle chciało mu się pić. Jedynie bezruch był sposobem na przetrwanie. Dlatego właśnie każdą wolną chwilę spędzał przed komputerem. Wprawdzie stary komputer dodatkowo podgrzewał powietrze w małym pomieszczeniu, ale cóż, coś za coś. Serfował przede wszystkim po portalach społecznościowych w poszukiwaniu jakiegokolwiek śladu Mai. Odwiedzał strony starych znajomych, zakładu pracy, ale także przypadkowych ludzi, znajomych znajomych. Oglądał zdjęcia, bardzo uważnie, doszukując się Mai w wynajdywanych twarzach. To niemożliwe, żeby w końcu czegoś nie znalazł. Wierzył w to, to była tylko kwestia czasu.

Tego wieczoru było wyjątkowo gorąco. Zapowiadali burze, które miały przetoczyć się nad miastem późnym wieczorem i w nocy. Zaczynało zmierzchać, ale duchota panowała nadal. Musiał zapalić światło, szeroko otworzył okno. Miał zamontowaną w oknie siatkę przeciwko komarom. Chociaż była dziurawa i sfatygowana, jeszcze po poprzednich lokatorach, nie chciało się mu jak dotąd wymienić jej na nową, czego efektem było co chwilę słyszalne bzyczenie komara i piekące ukąszenia, za każdym razem w nowym miejscu na jego odkrytym ciele. Cały był w śladach po atakach tych paskudnych bestii, a że drapał się niemiłosiernie, były one jeszcze bardziej widoczne. Wyglądał jak dzieciak chory na ospę wietrzną.

Popijał prosto z puszki zimne piwo, dopiero wyjęte z lodówki. Na chwilę schładzało jego rozpalone gardło. Ale tylko na chwilę. Poczul

lekki powiew powietrza, rozchodzący się od strony okna. W oddali sły-  
chać było cichy grzmot. Burza była jeszcze daleko, ale świeża już jakaś  
nadzieja, że wkrótce miasto odczuje ulgę, odetchnie chłodniejszym po-  
wietrzem. Bezmyślnie przełączał strony w komputerze, oglądał coraz to  
nowe zdjęcia zamieszczane na Facebooku. Niezupełnie chyba docierały  
do jego mózgu oglądane obrazy, jakby rozplywały się w gorącej rzeczy-  
wistości. Ale co mógł innego robić?

Wczoraj miał niespodziewanego gościa. Złożył mu wizytę Marcin.  
Ponieważ nie odbierał od niego telefonów (brat zadzwonił do niego rap-  
tem dwa lub trzy razy w ciągu ostatnich kilku miesięcy i te wszystkie  
połączenia były w ciągu ostatniego tygodnia), pofatygował się do jego  
pracy. Ciekawe skąd się dowiedział, gdzie Filip pracuje. W sklepie do-  
stał jego adres i tak do niego trafił. Kiedy wczoraj wieczorem rozległ się  
dzwonek u drzwi, Filip myślał, że to jakaś pomyłka albo może odwiedził  
go właściciel mieszkania. W nowym jeszcze nie miał gości. Zdziwił się,  
kiedy zobaczył w drzwiach Marcina. Początkowo pomyślał, że brat jed-  
nak chce z nim porozmawiać, że zaczął się interesować jego losem. Nic  
z tych rzeczy. Przyjechał tylko, żeby spełnić swój obowiązek, żeby poin-  
formować go o śmierci ojca. Przed dwoma dniami odbył się ojca po-  
grzeb. Matka nie próbowała się z synem skontaktować, a Marcin nie  
mógł się do niego dodzwonić. Pochowano więc ojca bez jego, Filipa,  
udziału. Ale jakie to miało znaczenie?

Ojciec zmarł nagle, na atak serca. Nigdy wcześniej poważnie nie  
chorował, nigdy nie miał żadnych dolegliwości. Albo może nikomu  
o nich nie mówił? W każdym razie upadł w pracy i kiedy przyjechała  
karetka pogotowia, stwierdzono już tylko zgon.

Szczerze mówiąc, Filipa to zbyttnio nie obeszło. Sam się tym zdziwił.  
Ojciec umarł już dla niego dawno temu, oplakał go, odbył po nim żalo-  
bę. A teraz odeszło tylko jego ciało. I tyle.

Marcin zabawił w jego mieszkaniu piętnaście minut. Z zegarkiem  
w ręku. Zdegustowany rozejrzał się po zaniedbanym pokoju, zlustrował  
panujący w nim bałagan. Przekazał mu suche informacje, nawet nie ra-  
czył usiąść na krześle. Powiedział, że się spieszy i wyszedł, nie doty-  
kając go nawet, nie podając mu ręki. I to też miał gdzieś. Filip żałował, że  
go w ogóle wpuścił do środka. Mógł przecież wysłuchać tych sensacyj-

nych wieści w drzwiach. Oszczędziłby wówczas Marcinowi obrzydzenia, kiedy ten oceniał jego egzystencję. O matce nie było ani słowa.

Kiedy tak błędził myślami, nagle zdał sobie sprawę z tego, że coś umknęło jego uwadze. W pierwszej chwili nie wiedział, co go zaniepokoiło. Wrócił do przeglądanych przed chwilą zdjęć, zaczął przyglądać się im uważniej. Przedstawiały jakąś rodzinę na wakacjach. Znajomi znajomych. Zdjęcia z wędrowek po malowniczych pagórkach, zdjęcia z Zakopanego, okolic. Pokoje hotelowe, zdjęcia z góralskiego pensjonatu czy może hotelu. Restauracja hotelowa, sauna, recepcja, sporo ludzi... Tak, jest! Już wiedział, co go na chwilę zatrzymało. Postać recepcjonistki, taka podobna do Mai. Ale to przecież nie może być ona. Powiększył obraz, wyostrzył... Zgadza się. To jednak ona, Maja, nie miał wątpliwości. Tylko gdzie zrobiono to zdjęcie? Nie było żadnego podpisu. Odnalazł zdjęcie hotelu, powiększył. Szydł nad wejściem głosił: „U Maciejowej”. Tylko gdzie, w jakiej miejscowości? Przeglądał fotografie kilkakrotnie, ale nic nie naprowadziło go na nazwę miejscowości. Wpisał w Google: „U Maciejowej” hotel, pensjonat. Wyświetliły się dwie odpowiedzi: Międzyzdroje i Rabka Zdrój. Góralski charakter budynku nie budził wątpliwości. A więc znalazł ją. Hotel „U Maciejowej” w Rabce. Tylko co teraz?

Pojedzie do Rabki, stanie przed nią i co dalej? Co jej powie? Że obsesyjnie jej poszukiwał przez ostatnich kilka miesięcy? Pomyśli, że zwarłował. Zresztą, na pewno i tak o nim w ten sposób myśli, nic tego nie zmieni. I może będzie miała rację? A czego on od niej oczekuje? Że wróci do siebie, że winy zostaną wybaczone i będą żyli długo i szczęśliwie, kochając się do ostatnich swoich dni? A dlaczego nie? Przecież są dla siebie stworzeni. Tacy byli razem szczęśliwi, przecież nie można tego wymazać ot tak. On nie może, nie potrafi bez niej żyć. I nie chce tego. Musi mieć tylko jakiś plan działania. Plan doskonały. Taki, żeby nie mógł się nie udać, żeby Maja nie miała wyjścia, żeby musiała z nim znowu być. A jeżeli nie zrozumie? Jeżeli nie będzie go jednak chciała? Mimo upału przemierzał pokój jak rozjuszony byk. Mówił sam do siebie. Piwo zaczynało szumieć mu w głowie. Była to już trzecia puszka, a w połączeniu z temperaturą na zewnątrz stanowiło to mieszaninę wybuchową. No i nie jadł dzisiaj prawie nic.

Odnalazł w Internecie numer telefonu do tego hotelu. Przez kilka sekund czekał, aż ktoś odbierze. Po chwili usłyszał męski głos:

– Hotel „U Maciejowej”, czym mogę służyć?

Odłożył słuchawkę. „Co to za facet? – pomyślał. – Jej nowy gach? A może tylko pracownik?” Niepotrzebnie tak się nakręca, trzeba jechać i zobaczyć na własne oczy, co ona tam wyprawia. W tym momencie niebo na zewnątrz rozdarła błyskawica, zaraz po niej huknął piorun. Zaczęło lać jak z cebra. Ale Filip już tego nie słyszał. Leżał na łóżku uśpiony wypitym piwem i upałem. W ręce nadal ścisnął puszkę, z której cienkim strumieniem wyciekał bursztynowy płyn, wsączając się powoli w wymiętoloną pościel i roztaczając wokół odór jak z podrzędnej speluny.

Ale jakie to miało znaczenie?

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

### MAJA

Była połowa upalnego lata. Dziękowała Bogu, że nie mieszka w żadnym dużym mieście, na przykład w Poznaniu. Tutaj upał był bardziej do zniesienia. Owszem, było gorąco, ale człowiek tak się nie topił, było jeszcze czym oddychać, słońce tak nie wykańczało. Sporo pracowała, ale nie brakowało jej też czasu na odpoczynek, nie miała przecież innych obowiązków. Często brała więc koc, lekki prowiant do koszyka i wyjeżdżała za miasto, na tak zwaną zieloną trawkę. Rozkładała się na kocu pod jakimś drzewem, czytała książkę, słuchała muzyki z odtwarzacza MP3 i odpoczywała. Albo jechała na basen. Na obrzeżach Rabki wybudowano kompleks odkrytych basenów, które w tych upalnych dniach były na ogół oblegane przez turystów, ale ona mimo wszystko zawsze znalazła jakieś miejsce dla siebie. Mogła tutaj ochłodzić swoje ciało. A kiedy upał tak strasznie nie dokuczał, wyruszała na wycieczki. Można powiedzieć, że toczyła beztroskie życie singielki. I nie było jej z tym źle. Ani przez chwilę nie żałowała przyjazdu do Rabki.

Huberta nie widziała od czasu tej nieszczęsnej sprzeczki. Musiała przyznać sama przed sobą, że nie popisała się wtedy. Zachowała się nieracjonalnie, trochę jak rozkapryszona pannica. Niemożliwe, żeby Hubert zrozumiał, dlaczego tak się stało. Nie zrozumie przecież, że poczuła się znowu zmanipulowana, celowo wprowadzona w błąd. Że wydawało się jej, że ktoś bawi się jej kosztem. Ale to już nie ma teraz znaczenia.

Miała wrażenie, że on celowo jej unika. Raz nawet, kiedy wróciła z pracy i otworzyła drzwi do domu, w tym samym momencie Hubert otworzył swoje drzwi do pokoju, chciał wyjść, ale mówiąc jej tylko krótkie „cześć”, cofnął się z powrotem, udając, że czegoś zapomniał i wyszedł dopiero po kilku minutach, kiedy ona już znalazła się w swojej części domu. Trochę było to dziecinne. A może po prostu był to przypadek? Może rzeczywiście czegoś wówczas zapomniał i musiał się cofnąć?



Pieniądże za czynsz przelewała mu na konto, inne opłaty także załatwiała przez Internet, mogli więc latami egzystować obok siebie, nie spotykając się wcale. Nie potrafiła jednak o nim nie myśleć, mimo że bardzo się starała.

Odkryła w sobie nową pasję – fotografowanie. Początkowo były to nieliczne zdjęcia robione telefonem komórkowym. Jeździła trochę po okolicy, podpatrywała zwykłych ludzi, obserwowowała ich, łapała chwile. Tyle się wokoło działo ciekawych rzeczy. Ta zwykła, spokojna rzeczywistość była dla niej fascynująca.

Kiedyś, przegrywając zdjęcia na laptopa, stwierdziła, że ujęcia są nawet ciekawe, ale jakość zdjęć jej nie zadowalała. Wyszperowała więc swój stary aparat fotograficzny. Wprawdzie był to zwykły automat dla głupoli, ale można było także przedstawiać funkcje na tryb manualny. Kupiła sobie nawet podręcznik fotografowania, krok po kroku usiłowała wprowadzać jego wskazówki w praktykę. I musiała przyznać, że szło jej całkiem nieźle. Zdjęcia pokazała któregoś dnia Łukaszowi i pani Basi. Spodobały im się. Zachęcona pozytywną opinią, kupiła cyfrowego Nikona i po zrobieniu kilku fotek uznała, że jest dla niej doskonały. Miała już wybranych kilka zdjęć, które uznała za najciekawsze. Chciała wysłać je do Krakowa. Lokalna gazeta ogłosiła konkurs fotograficzny. Termin nadsyłania prac mijał za tydzień. Powzięła decyzję, że zrobi jeszcze kilka następnych zdjęć, a że akurat miała wolny weekend i pogoda była wspaniała, zaplanowała wycieczkę po okolicy w poszukiwaniu malowniczych widoków, ciekawych obiektów godnych uwiecznienia. I chciała pojeździć na rowerze. Postanowiła, że zażyje trochę ruchu na świeżym powietrzu, spali trochę kalorii i jednocześnie skorzysta z wolnego tempa jazdy, aby nie przeoczyć niczego ciekawego.

Miała swój rower, używany, który kupiła w komisie rowerowym za niewielką sumę. Gratis dostała od sprzedawcy wiklinowy koszyk, który zaraz został zamontowany na kierownicy i w którym bezpiecznie mogła wozić swój cudowny aparat i trochę prowiantu. A że rower był taką typową damką, w stylu holenderskich miejskich rowerów, łatwą w prowadzeniu, często z niego korzystała. Nie zarabiała wiele, ale też nie miała wielkich potrzeb. Czynsz za mieszkanie płaciła niewielki, na jedzenie

nie wydawała dużo, zawsze więc zaoszczędziła parę groszy na takie właśnie ekstra wydatki.

No właśnie, czynsz. Zdawała sobie sprawę, że jest taki niski tylko z powodu kaprysu Huberta. A może raczej ze względu na jego chwilową słabość do niej. Może powinna poszukać innego lokum? Ale tak świetnie jej się tu mieszkało... No i wcale się z Hubertem nie widywali. Ostatnio tylko sporadycznie zauważała na podjeździe jego samochód. Nawet myślała, że wyjechał na dobre, ale jednak co parę dni się zjawiał. Od ich nieszczęsnego ostatniego spotkania minął prawie miesiąc. „Miesiąc – pomyślała. – Dokąd ten czas tak pędzi”? Cały miesiąc rozmyślała o nim, a za każdym razem, kiedy takie myśli ją nawiedzały, upominała samą siebie, że to nie ma sensu, żeby dała sobie spokój. I po krótkiej przerwie wszystko zaczynało się od nowa. I tak od rana do wieczora. A po nocach śnił jej się Filip i budziła się zmęczona, wyczerpana. Czasami dochodziło do tego, że bała się zasypiać.

Postanowiła wjechać na widoczne w oddali wzgórze, otaczające Rabkę. Już wcześniej spostrzegła na ich szczycie zabudowania, musiała tam być jakaś wieś. Miała nadzieję, że widoki z tego miejsca będą piękne. A może w samej wsi znajdzie coś ciekawego? Albo po drodze?

Kręta droga łagodnie, acz systematycznie, pięła się pod górę. Pokonywała zakręt za zakrętem, za każdym razem mając nadzieję, że to już cel jej podróży. Kilka razy musiała zejść z roweru i prowadzić go obok, gdyż nie miała wystarczającej kondycji, żeby pokonywać na nim coraz bardziej strome wzniesienia. Dwukrotnie zrobiła sobie krótką przerwę, siadając na trawie przy drodze na małym kocu, który przezornie zabrała ze sobą. Patrząc z dołu na wzgórze, wydawało się jej, że wieś jest znacznie bliżej. Rzeczywistość jednak okazała się mniej łaskawa. Musiała się zdrowo napedałować, zanim wreszcie dotarła do pierwszych zabudowań. Odniosła wrażenie, że już tu kiedyś była. Szkoda, że jadąc tak intensywnie, pochylona nad kierownicą, nie zwróciła uwagi na nazwę wsi na tablicy informacyjnej. Mijała zwykle wiejskie domy, raz po raz się zatrzymywała, żeby sfotografować coś ciekawszego, na przykład kozę pasącą się za ogrodzeniem i zajadającą arkusz jakiegoś papieru, czy też stare garnki pozawieszane na zdezelowanym drewnianym płocie albo umorusane dzieciaki pluskające się w niemowlęcej waniencie, którą ktoś

dla sprawienia im ochłody wyniósł na trawę. Miło było słuchać ich piśków i okrzyków radości.

Kiedy wreszcie dojechała do centrum wsi, wiedziała, czemu ta wydała się jej znajoma. Toż to Żegutkowo! Nie przypuszczała, że tak szybko tu wróci! Zaparkowała swój rower przed sklepikiem, weszła do środka. Wewnątrz była ta sama ekspedientka.

– Dzień dobry – powiedziała, uśmiechając się serdecznie.

– O, dzień dobry! Już kiedyś pani u nas była, prawda?– Sprzedawczyni zapytała z zaciekawiona.

– Tak, przed kilkoma miesiącami przejeżdżałam tędy. Zatrzymałam się, żeby kupić kilka rzeczy. Do dzisiaj pamiętam smak kajzerek i serdelków.

– Dzisiaj też mamy, ma pani ochotę?

– Nie, dzisiaj miałabym ochotę na coś zimnego do picia, może sok z czarnej porzeczki i lody? Najlepiej rożek owocowy.

– Proszę – odpowiedziała sprzedawczyni, kładąc przed nią na ladzie zamówione towary. Była młodą, szczupłą dziewczyną z krótkimi ciemnymi włosami ostrzyżonymi na Meg Ryan, ubraną w kuse dżinsowe spodni i wydekoltowaną koszulkę bez rękawków. Jej szyję przyozdabiały różnej grubości łańcuszki z zawieszkami, będące dość kiepską imitacją złota. Ale ta pozorna tandeta tylko dodawała dziewczynie uroku. To chyba jej młodość, świeżość i taka jakaś bezinteresowna serdeczność to sprawiały. – Zamieszkała pani tu gdzieś w okolicy?

– Mieszkam w Rabce, dostałam tam pracę.

– I przyjechała tu pani na rowerze? Musiała się pani nieźle napedałować – nic nie uszło jej uwagi. Ale nie była przy tym wścibska, raczej po prostu ciekawa.

– Nie było tak źle. Jak widać, nie mam najgorszej kondycji – mówiąc to, Maja rozpakowała rożek i z lubością zatopiła w nim zęby. Był niezły, słodko-kwaskowy, orzeźwiający.

– Zapraszam więc znowu, gdy będzie pani wracać. Nie musi pani jednak jechać tą samą drogą. Jeżeli przejedzie pani całą wieś, wjedzie pani na drogę prowadząca w dół, która doprowadzi panią prosto do Rabki, tylko od strony Maciejowej. – Dziewczyna zatoczyła krąg ręką, aby zilustrować objazd.

– O, to super! – odpowiedziała ucieszona. – Nie będę musiała po dziwiać tych samych widoków. A zatem do widzenia, ruszam dalej.

– Do widzenia. I mam nadzieję, że nas pani jeszcze odwiedzi.

– Na pewno – odpowiedziała, wychodząc ze sklepu. Miała dziwne przecucie, że mówi prawdę.

Ku jej uciesze przed sklepikiem rozsiedli się jej starzy znajomi, ci sami kolesie co ostatnio. Tym razem mieli przed sobą butelkę wody mineralnej i rozmawiali, pochylając się ku sobie. Jeden z nich ją zauważył, jak poprzednio dotknął dłonią daszka czapki. Uśmiechnęła się do niego od ucha do ucha.

– Czy mogę zrobić panom zdjęcie? To na konkurs fotograficzny – powiedziała przymilnie.

– A rób pani – odpowiedział jeden z nich i obaj przyjęli bardzo oficjalną pozę.

– Ale zależy mi, żebyście swobodnie rozmawiali, tak jak to robiliście, zanim przyszłam. – Obaj kiwnęli głowami, ale nadal zachowywali się dość sztywno. Udawała więc, że fotografuje, chciała dać im czas, żeby się trochę rozluźnili. Wreszcie zapomnieli o fotografii i ponownie pochylili się ku sobie, żywo o czymś rozmawiając i gestykułując zawzięcie. Pstryknęła kilka fotek, na podglądzie zobaczyła, że są super. Dwaj faceci w roboczych ubraniach na tle postkomunistycznego budynku z napisem: „Sklepek Wiejski”. Po chwili w drzwiach sklepiku stanęła ekspedientka, oparła się o futrynę, skrzyżowała ręce na piersiach, podobnie zrobiła z nogami i patrzyła prosto w obiektyw. Wyglądała niezwykle seksownie. Maja nie mogła się oprzeć, żeby jej także nie zrobić kilku zdjęć. Na koniec pstryknęła jeszcze kilka ujęć mężczyzn z widoczną w tle ekspedientką. Będzie musiała trochę pokombinować z kolorami, może robi je czarno-białe? Przeglądała wszystkie fotografie jeszcze raz na podglądzie; była nimi zachwycona. Pomachała dziewczynie na pożegnanie ręką i wsiadła na swój rower. Kolesie nie podnieśli głów, rozmowa ich całkiem pochłonęła.

O ileż łatwiej było zjeżdżać w dół! Była to czysta przyjemność. Nie musiała wcale pedałowac, od czasu do czasu naciskała tylko hamulec, żeby nie pędzić zanadto. Bała się, że jak się rozpędzi, umknie jej coś ciekawego do sfotografowania, że nie zauważy czegoś ważnego. A poza

tym obawiała się nadmiernej prędkości. Nawet nie miała na głowie kasku. Tak, koniecznie musi kupić sobie kask. Zbliżyła się do ostatnich zabudowań. Przed nią rozpościerały się pola na pagórkowatym terenie, od czasu do czasu urozmaicone kępami drzew z wijącą się między nimi, jak niedbale porzucona wstążka, drogą. Miała wrażenie, jakby przeniosła się za dotykem czarodziejskiej różdżki do Toskanii. Wiatr owiewał jej ciało, chłodząc przyjemnie i dając to ulotne wrażenie nieważkości. Pędziła w dół, z nadmierną szybkością. Nacisnęła gwałtownie na hamulce i nagle rozległ się przeraźliwy zgrzyt, tylne koło chyba się zablokowało, straciła na chwilę równowagę, nieuważnie zjechała na żwirowe pobocze. Rower wpadł w jakiś wibrujący wiraż i zatrzymał się z dziwnym chrzęstem. Spróbowała poruszyć kołem, odblokować hamulec, ale nic z tego. Koło ani drgnęło. Nie mogła dalej jechać. Potrzebowała klucza, żeby trochę poluzować hamulec, odblokować koło. Ale skąd tutaj wziąć klucz? Rozejrzała się wokoło. Dostrzegła za kępą drzew jakieś stare domostwo. Nie zauważyła go wcześniej i gdyby nie historia z rowerem, pojechałaby dalej, nie wiedząc nawet, że coś takiego tu stoi.

Oparła rower o bramę. Była szeroko otwarta. Zastanowiło ją, czy tu w ogóle ktoś mieszka? Nieruchomość raczej wyglądała na opuszczoną. Przeszła parę kroków i zza drzew wyłonił się dom w całej okazałości. Wyglądał trochę jak nie z tej epoki, albo jak z disneyowskiego filmu o duchach. Z lekką nutką góralską. Popołudniowe słońce oświetlało zdezelowane okiennice i odrapany tynk, przydając jeszcze więcej niesamowitości tej budowli. Nie zastanawiając się wiele, wyjęła aparat i zaczęła pstrykać zdjęcia, od ujęcia roweru opartego o metalową bramę z rozrośniętym zielskiem w tle. Nikogo wokół nie było, przed domem nie stał żaden samochód. Miała wrażenie, że dom jest niezamieszany. „Hubertowi by się spodobał – pomyślała. – Chyba właśnie czegoś takiego szukał. Może powinnam mu powiedzieć? Tylko jak? Tak ni stąd ni z owąd pójść do niego i oznajmić: *Hubercie, znalazłam dla Ciebie dom? A dla czego by nie? Ciekawe, jak by zareagował?*”. Rozmyślając tak, obchodziła dom, robiąc zdjęcia. Ogród był równie tajemniczy, zarośnięty chaszczami, spośród których usiłowały przebić się dopiero co rozkwitłe kwiaty krwistoczerwonych róż. Zeszła nieco niżej po lekko opadającym zboczu, żeby mieć lepszy widok na taras. Chciała zrobić ujęcie od dołu,

uchwycić światło powoli zachodzącego słońca, rozpraszające się od zwieńczenia dachu. Patrzyła na dom okiem aparatu fotograficznego. Nagle zastygła w pozie gotowej do następnego zdjęcia, jej palce nie chciały się poruszyć, nie mogła oderwać oka od okienka w aparacie. Na tarasie spostrzegła bowiem męską sylwetkę, znajomą sylwetkę. Nie, to przecież niemożliwe. Opuściła aparat i przysłaniając oczy dłonią, żeby zasłonić rażące słońce, spojrzała na to miejsce ponownie. Wzrok jej jednak nie mylił.

– Hubert? Co ty tutaj robisz? – zapytała trochę głupkowato.

– Mógłbym zapytać cię o to samo – odpowiedział, mrużąc oczy. Wydawał się być także nieco zdziwiony.

– Wracam właśnie z wycieczki i tuż przed bramą popsuł mi się rower. Zablokował się hamulec. Wstałam tu po pomoc, potrzebowałabym klucza, żeby go odkręcić, bo nie mogę jechać dalej z niesprawnym kołem. A ty co tutaj robisz? – spytała ponownie.

– Ja jestem u siebie. Kupiłem ten dom – powiedział, schodząc z tarasu. Dopiero teraz, kiedy przestało ją razić zachodzące słońce, zauważyła pędzel w jego ręce i umazany farbą roboczy kombinezon. – Właśnie robię remont.

– To dlatego nie widywałam cię ostatnio. – Wpatrywała się w niego, nie wiedząc, co dalej zrobić. Wręcz trudno było go poznać. Zapušcił brodę, a może po prostu przez kilka dni się nie golił. Rozczochrane włosy, gdzieśgdzie były poplamione białą farbą, podobnie jak kraciasta koszula i robocze spodnie. Na nosie i na policzku widniały białoniebieskie kleksy. Pomyślała, że wygląda uroczo. Seksownie, nie wiedzieć dlaczego.

– Zauważyłaś moją nieobecność? Brakowało ci mnie? – zapytał z nutką nadziei w głosie.

– Głupio się zachowałam, kiedy się ostatnim razem widzieliśmy. Długo musiałabym tłumaczyć dlaczego. Nie ma to zresztą większego znaczenia. Nie zmienia to faktu, że chciałabym skorzystać z okazji, że cię widzę i cię przeprosić.

– Przebaczone, zapomniane – odpowiedział, wpatrując się w nią przenikliwym wzrokiem.

– To miło z twojej strony. – Czują się dziwnie niezręcznie. – Prze-

praszam za najście, ale naprawdę nie spodziewałam się zastać tutaj akurat ciebie. Nie będę mogła stąd odjechać, dopóki nie naprawię roweru.

– Spróbujemy jakoś temu zaradzić. Gdzie masz ten rower?

– Stoi przed bramą.

– W takim razie wprowadź go przed dom. Ja tylko odłożę pędzel i zaraz do ciebie przyjdę.

Okrążyła dom, podniosła rower, ale musiała go właściwie nieść. Zablokowane koło nie ruszało się zupełnie, hamowało, uniemożliwiało dalszą jazdę. Hubert wyszedł w tym czasie przed dom, wycierał jeszcze mokre ręce w ręcznik.

– Chcesz zobaczyć dom? – Zaskoczył ją tym pytaniem. Stał na szczycie schodów, wpatrując się w nią natarczywie i oczekując odpowiedzi.

Zawahała się przez chwilę. Czy powinna w jakikolwiek sposób ponownie zbliżyć się do Huberta? Oj tam, oj tam. Przecież to tylko dom. Zobaczy go, poluzuje hamulec i odjedzie. I tyle.

– Chętnie – odpowiedziała, uśmiechając się niepewnie.

– Zatem zapraszam – Szerokim gestem ręki wskazał jej wejście.

Przez ciężkie, drewniane, dwuskrzydłowe drzwi weszli do przestronnego holu. Podłoga wyłożona w szachownicę białych i czarnych kafli i białe ściany z nierównym tynkiem przypominały styl prowansalski. Widać było, że ta część domu jest już odnowiona, ale pod ścianami nadal wały się puszki z farbą i inne malarskie akcesoria. Z holu, rozsunięte na obie strony, dwuskrzydłowe, białe, przeszklone drzwi prowadziły do salonu. Takie drzwi dzisiaj spotyka się wyjątkowo rzadko. Zaskoczyła ją wielkość tego pomieszczenia. Także było już odmalowane na biało. W narożniku stał na czarnych, żeliwnych nóżkach kominek w stylu skandynawskim, w kształcie walca, zbudowany z kremowych kafli, z przeszklonymi drzwiczkami i czarną, ozdobną rurą do wylotu spalin. Przypominał raczej kaflową kozę niż kominek. Poza tym w pomieszczeniu nie było mebli. Drewniana podłoga z jasnego, białego dębu, z klepek ułożonych w tradycyjną jodełkę, była świeżo umyta, gdzieś widoczne były jeszcze wilgotne smugi. Naprzeciwko drzwi cała przeszklona ściana prowadziła na taras, a stamtąd rozpościerał się przepiękny widok na dolinę, w której można było dostrzec zabudo-

wania Rabki. Oczarowana, wyszła przez szeroko otwarte drzwi na zewnątrz. „Dom marzeń z rajskim widokiem” – pomyślała. Nie dziwiła się, że Hubert go kupił.

– Widok zapiera dech w piersiach – powiedziała zauroczona. Czują za plecami obecność Huberta. Stał za nią, blisko, nic nie mówił. Odwróciła się powoli, ich spojrzenia się spotkały. Zapanowała pełna napięcia cisza, powietrze jakby coś dziwnie zelektryzowało. Poczwała się zakłopotana.

– Pokażesz mi resztę domu? – zapytała, żeby tylko przerwać tę niezręczną ciszę.

– Panie przodem – odpowiedział poważnym tonem, nadal wpatrując się w nią z uwagą.

Reszta pomieszczeń wymagała jeszcze intensywnej pracy. W kuchni kilka skrzynek po owocach spełniało rolę szuflad i pojemników na niewielką ilość żywności i naczyń, na podłodze z czarno-białych kafli, takich samych jak w holu, leżała jednopalnikowa maszynka do gotowania oraz stał czajnik elektryczny. Jedynym stałym sprzętem była stojąca w kącie, okazałych rozmiarów lodówka.

Pomieszczenia na poddaszu, oprócz jednej sypialni, która była odmalowana na gołębi kolor i w której na podłodze leżał materac do spania, a na krzesłach wałała się sterta ubrań Huberta, były jeszcze zupełnie nie odnowione, ale mimo tego miały w sobie wielki urok. Były piękne w swojej starości, przestronne, po wykończeniu na pewno będą się wspaniale prezentowały. W niektórych z nich na sufitach zostały wyeksponowane drewniane belki stropowe, widać było, że są już odnowione i zakonserwowane. Tak jak dawniej, zabarwione były na ciemny kolor, przez co wyraźnie odcinały się od bielonych ścian.

– Wszystko to sam remontujesz? Nikt ci nie pomaga? – zapytała, widząc ogrom pracy, który pozostał jeszcze do wykonania.

– Mam kilku miejscowych majstrów, ale aktualnie dokończają inną budowę. Jak to z fachowcami.

– Ale, gdy to wszystko wykończysz, będzie tu pięknie – powiedziała rozmarzonym głosem.

– Podoba ci się? – Widziała, że szczerze cieszy go jej opinia. – Jeszcze nikt tu nie był, oprócz mojego brata. Ale on stwierdził, że lepiej by-



łoby wybudować nowy dom, niż remontować tę ruderę. I powiedział jeszcze, że skoro zaprojektowałem jego pensjonat, mógłbym także zaprojektować swój własny, nowy – jak podkreślił – dom.

– Jesteś architektem? – zapytała zaskoczona. – Nie chwaliłeś się. Gdzie masz swoją pracownię? Tu w Rabce?

– Nie... W Chicago – odpowiedział cicho.

– Gdzie? – pomyślała, że się przesłyszała.

– W Chicago, w Stanach – odpowiedział spokojnie. – Mieszkam tam od osiemnastu lat, tam mam swoją pracownię. – Nadal wpatrywał się w nią niepewnie.

– Co zatem robisz tutaj? – zdziwiła się.

– Poczułem się wypalony, zmęczony. Miałem trochę osobistych problemów, musiałem odpocząć. Daleko od Chicago. Poza tym dawno nie widziałem rodziców, brata, chciałem ich odwiedzić.

– Długo tu zostaniesz? – w jej głosie można było wyczuć smutek.

– Planowałem kilkumiesięczną przerwę w pracy, nie wiem dokładnie, jak długo tu zostanę. Zespół architektów, których zatrudniam, jest bardzo dobrze wyszkolony, zgrany, mogę im w pełni zaufać. Prawie codziennie porozumiewamy się przez Skype'a. Poza tym nadal wykonuję pewne drobne projekty. Przesyłam im je przez Internet, a oni doglądają wszystkiego na miejscu. Mogę pracować praktycznie z każdego miejsca na świecie, pod warunkiem, że jest tam Internet.

– Po co ci w takim razie ten dom?

– Zamierzam spędzać tu kilka miesięcy w roku. Mężczy mnie ostatnio taka metropolia jak Chicago. Potrzebuję spokoju. Tu są moje strony rodzinne. W dobie samolotów podróż trwająca nawet kilkanaście godzin nie stanowi problemu, tym bardziej że są bezpośrednie loty do Krakowa, a stamtąd już tylko żabi skok do Rabki. Albo do Żegutkowa. Co za śmieszna nazwa.

– A wiesz, że jadąc do Rabki, kiedy poczułam się bardzo zmęczona, zjechałam z Zakopianki i trafiłam właśnie tutaj. Do dzisiaj czuję smak kajzerek i serdelków z lokalnego „Sklepiku Wiejskiego”. – Zaśmiała się szczęśliwie. – Właśnie dopiero mówiłam o tym ekspedientce.

– A wyobraź sobie, że akurat mam w lodówce serdelki z tego sklepi-ku. Wprawdzie nie kupiłem kajzerek, ale mam za to wspomniały wiejski

chleb. Odkryłem taką tradycyjną piekarnię w Żegutkowie. Chleb palce lizać. Zapraszam cię na kolację.

– Nie, nie, dziękuję, ale nie mogę, muszę już wracać. Zresztą, niedługo będzie ciemno, a ja nie mam lampy w rowerze. Bałabym się jechać po ciemku.

Widziała, że zrobiło mu się przykro. W pierwszej chwili nawet pożałowała, że mu odmówiła, ale w ostatecznym rozrachunku, dobrze, że tak się stało. Coś ją ciągnęło do tego faceta. I wyczuwała, że on także jest nią zainteresowany. A po co jej by to miało być? Jeszcze, nie daj Boże się zaangażuje, i co dalej? Hubert wyjedzie, a ona będzie ocierać łzy. Nie... Nie mogłoby z tego wyniknąć nic dobrego.

– Rozumiem – powiedział z rezygnacją. – W takim razie spróbujmy naprawić twój rower.

Kiedy wyszli przed dom, zauważyła, że od północy niebezpiecznie szybko zbliża się czarna, burzowa chmura. Niebo pociemniało, zerwał się nieprzyjemny wiatr. Po plecach przeszły jej ciarki.

– Musimy się pośpieszyć. Znosi się na niezłą ulewę – Hubert był zaniepokojony.

Rozłożył na ziemi przyniesione narzędzia, postawił rower kołami do góry i zaczął majstrować przy hamulcu. Niestety, przy pierwszej próbie odkręcenia jakiejś śrubki, hamulec rozpadł mu się w rękach. Był kompletnie przerdzewiały, wręcz pokruszył się w palcach.

– Przykro mi, Maju, ale nie będę mógł ci pomóc – bezradnie rozłożył ręce. – Nie mogę cię nawet odwieźć. Pożyczyłem mój samochód Janowi, przywiezie mi go dopiero jutro rano. Jedyne mogę zaproponować ci nocleg. Gwarantuję, że będziesz tu bezpieczna, a rano odwiozę cię wraz z rowerem do Rabki. Proponuję to tym bardziej, że burza zbliża się bardzo szybko i obawiam się, że gdybyś nawet miała sprawny rower i tak nie zdążyłabyś dojechać.

– Ale masz przecież tylko jeden materac – odparła z wahaniem.

– Zatem będę spał na podłodze. Nie martw się o mnie, spałem już w gorszych warunkach.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

### HUBERT

Leżał obok Mai na materacu i wsłuchiwał się w jej regularny oddech. Spała tak spokojnie. Na dworze było już zupełnie jasno. Wczoraj zasnęli bardzo późno. Tak dobrze im się rozmawiało, jak nigdy dotąd. Nie wiedział, czy to wino tak ich oboje rozluźniło, czy też przełamali wreszcie lody. Wspólnie przygotowali kolację, zresztą nie było wiele do zrobienia. On podgrzał serdelki, nalał czerwonego trunku do szklanek (kieliszków jeszcze nie przywiózł), Maja pokroiła chleb i pomidory. Zanieśli to wszystko do salonu. Usiedli na zrolowanym kocu na podłodze, odwrócona dnem do góry, drewniana skrzynka pełniła rolę stolika. Rozpalił ogień w kaflowej kociole, włączył muzykę z odtwarzacza, spokojny jazz, różni wykonawcy. Zrobiło się bardzo nastrojowo. Wcale tego nie zamierzał, tak jakoś wyszło. Na skrzynce postawił dwie płonące świece i przyglądał się płomieniom odbijającym się w oczach Mai.

Rozmawiali o wszystkim. Opisywał jej swoje życie w Chicago, ale bez zagłębiania się w bardziej prywatne szczegóły. Maja opowiedziała mu o swoim dzieciństwie w domu dziecka, o swojej pracy w koncernie kosmetycznym. Zaskoczony był poziomem jej wykształcenia. Chociaż nie, właściwie to podejrzewał już wcześniej. Musiał jej przyrzec, że nie zdradzi tego faktu bratu, bardzo jej zależało na tej pracy. Powiedziała, że z powodów osobistych musiała wyjechać z Poznania. Wyczuł, że rozmowa o tym sprawiała jej ból. Nie chciał naciskać. Jeżeli będzie gotowa, sama mu o wszystkim opowie. Miał świadomość, że nadal oboje nie wyjawiają do końca swoich tajemnic. Widocznie nie nadszedł jeszcze na to czas. Może nigdy nie nadejdzie?

Śmiali się z zabawnych historyjek z jego dzieciństwa, które przypominały mu się w trakcie wieczoru. Był nawet taki moment, że Maja leżała na podłodze, zaśmiewając się nieprzytomnie, trzymała się za brzuch i błagała go, żeby przestał naśladować mimikę żyrafy, którą się zafascynował, kiedy po raz pierwszy, chyba w wieku dziewięciu lat odwiedził

z rodzicami i bratem krakowskie zoo. Łzy spływały jej po policzkach i musiał wyjść do kuchni, żeby mogła trochę ochłonać. Po chwili jednak wychylił się perfidnie zza drzwi, robiąc kolejną z min, po czym Maja pędem opuściła salon, biegnąc do łazienki z okrzykiem:

– Siusiu! Ratunku!

Za oknami szalała już chyba trzecia burza. Raz po raz przez okna wpadało do wnętrza światło rozdzierającej niebo błyskawicy, a Maja za każdym razem podskakiwała ze strachu. Blask oświetlał wówczas jej twarz, nadając jej fascynującej tajemniczości. Była piękna. Dopiero teraz uświadomił sobie, jakie uczucia w nim wzbudza. Do tej pory zdawał sobie sprawę z tego, że ta kobieta go fascynuje, że coś go do niej przyciąga, ale teraz poczuł, że to coś więcej. Czyżby się w niej zakochał? Nie planował przecież tego, wręcz tego nie chciał. Ale stało się i zupełnie nie wiedział, co z tym zrobić. Poczul strach. Pierwsza myśl, jaka mu przyszła do głowy, to spakować manatki i czym prędzej wrócić do Chicago. Zobaczył strusia z kreskówek z impetem wbijającego głowę w piasek. Ale kiedy tylko o tym pomyślał, o wyjeździe, poczuł ściskający jego serce strach. Miałby jej więcej nie zobaczyć?

Dotknął delikatnie jej policzka, odgarnął pasmo włosów, które niesfornie błąkało się po jej twarzy. Zmarszczyła nos, podrażniona łaskotaniem. Poruszyła się niespokojnie, mamrocząc coś niewyraźnie przez sen. Objęła go ręką w pasie, przytulając się jednocześnie do jego piersi i kładąc mu głowę na sercu. Zastygł w bezruchu. Wdychał jej słodki zapach. Pomyślał o maciejce, która latem rosła pod oknem jego pokoju w ich rodzinnym domu i której odurzający zapach wdzierał się bezlitośnie do wnętrza podczas upalnych, bezwietrznych nocy, nie pozwalając na sen. Ale było coś w tym zapachu, co go fascynowało, mimo że był tak intensywny. Maja pachniała subtelnie, choć wyczuwał również delikatną nutę maciejki.

Zapragnął ją pocałować. Odsunął ją łagodnie od siebie, pochylił się nad jej ustami, dotykając ich czule swoimi wargami. Uśmiechnęła się przez sen, oddając pocałunek. Poczul w sobie przypływ pożądania, serce przyspieszyło, zaczął szybciej oddychać. Zapomniał już, jak to jest. Przestraszył się. Nie może przecież napastować niewinnej kobiety, która zaufała mu i przyjęła gościnę w jego domu, kiedy na zewnątrz szalały

żywioty. Nie godzi się wykorzystywać tej sytuacji. Nie jest przecież łajdakiem.

Odsunął Maję od siebie, chcąc zachować bezpieczny dystans, ale ona natychmiast, mrucząc coś niewyraźnie pod nosem, odnalazła jego ciało i przyłgnęła do niego ufnie. Z rezygnacją, ale i zadowoleniem, objął ją ramieniem, zanurzył nos w jej zmierzwionych włosach i zapadł w spokojny sen.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

### MAJA

Obudziło ją trzaśnięcie drzwiami i donośny męski głos, wołający od progu:

– Hubert, wstawaj leniu, przywiozłem ci śniadanie!

Nie wiedziała, gdzie się znajduje. Kiedy usiłowała otworzyć oczy, zasnuwała je jeszcze senna mgła. Było jej gorąco, razilo ją wpadające przez okna światło, poczuła mrówki pełzające w jej ścierpniętej ręce. Rozglądała się nieprzytomnie wokół siebie. Jej wzrok padł na stojącego w drzwiach mężczyznę, wpatrującego się w nią w osłupieniu. Hubert? Nie, to Jan. Jan? Poczuła, że ktoś się przy niej poruszył, przyciągając ją jeszcze bardziej do siebie, jakby to było w ogóle możliwe. Hubert! Spała z Hubertem! Poderwała się w popłochu z posłania, usiłując poprawić potargane włosy. Na szczęście spostrzegła, że jest w pełni ubrana, podobnie jak Hubert. Ten także usiadł, wodząc wokół sennym wzrokiem. Spojrzał na brata i odezwał się z irytacją:

– A ty tu czego od rana?

– Powtarzam, że przywiozłem ci śniadanie, ale gdybym wiedział, że masz towarzystwo, wziąłbym więcej – w jego głosie można było wyczuć rozbawienie. – Dzień dobry, pani Maju. Zapraszam do tak zwanej kuchni. Przygotuję jakąś kawę, tyle chyba uda mi się zrobić w tym przybytku – i dyskretnie się wycofał, zostawiając ich samych.

Hubert siedział na materacu, czochojąc sterczące na wszystkie strony włosy, a ona stała niepewnie, nieświadomie poprawiając na sobie ubranie. W powietrzu wyczuć można było skrzypowanie. Od strony kuchni dochodziły natomiast dźwięki przekładanych naczyń.

– Mogę skorzystać z łazienki? – zapytała nieśmiało. – Jeżeli twój brat mógłby mnie podwieźć do miasta, nie przeszkadzałabym wam dłużej.

Wyczuł w jej głosie coś jakby popłoch.

– Maju, wiesz, że mi nie przeszkadzasz. Bardzo się cieszę, że mogli-

śmy spędzić razem wczorajszy wieczór. I noc oczywiście. Jestem wdzięczny nieprzewidywalnym siłom przyrody, że mi to umożliwiły.

Mówiąc to, podnosił się z posłania, jednocześnie nie odrywając od niej wzroku. Jego spojrzenie było elektryzujące.

– Byłaś moim pierwszym gościem w tym domu, nie licząc oczywiście mojego brata. Bardzo bym chciał, żeby to nie był ostatni raz – dodał ciszej.

Poczuła dreszcz przebiegający jej po plecach. Takie erotyczne łaskotanie. Spojrzała na materac i wyobraziła sobie ich razem tam, leżących nago. Czowała, że się rumieni.

– Ja także miło spędziłam ten czas. Ale muszę już jechać.

– Dlaczego? – wpatrywał się w nią tak intensywnie.

Nie mogła się ruszyć, jakby przyszpilona jego wzrokiem.

– Bo... mam tyle rzeczy do zrobienia. – Nie brzmiało to zbyt przekonująco. – Poza tym, ty także masz mnóstwo pracy, nie chcę ci przeszkadzać.

– Zatem, może mi pomożesz? – Dlaczego on ciągle tak się na nią patrzy? Mąci jej myśli.

– Nie mogę, przepraszam...

Po chwili milczenia ruszyła do łazienki. Stała przed umywalką i zaczerpnęła głęboko powietrza. Dlaczego tak się zachowuje? Co wzbudza w niej takie emocje? Co się z nią u licha dzieje? Wali jej serce, drżą jej ręce. O co chodzi? Odkręciła kran z zimną wodą, nabrała jej w dłonie i zanurzyła w niej twarz. Poczuła zimne mrowienie, orzeźwiający bodziec. Krew w mózgu zaczęła krążyć w normalnym tempie, odzyskiwała powoli panowanie nad sobą. Maja, nie wariuj, zaraz wyjedziesz i będzie po wszystkim. Chociaż szkoda.

Uspokojona, weszła do kuchni. Bracia siedzieli na parapecie i pograżeni w rozmowie, popijali kawę.

– Pani Maju, proszę, oto kawa dla pani. – Jan sięgnął po stojący obok dzbanek i nalał jej do kubka kawy, podając z uśmiechem. Hubert wyciągnął w jej kierunku talerz z drożdżówkami, przełknęła łakomie ślinę. Bracia zaśmiali się jednocześnie, mieli bardzo podobne uśmiechy. W ogóle miło było na nich patrzeć. Książkowy przykład jednojajowych bliźniaków.

– Hubert mi powiedział, że chciałaby pani zabrać się ze mną do miasta, ale niestety nie będzie to możliwe – odezwał się Jan. – Przyjechałem tu na motorynce. Samochód Huberta znowu zaszwanował, coś się działo z hamulcami, musiałem go oddać do mechanika, będzie naprawiony dopiero jutro. Chciałem go o tym powiadomić, ale miał wyłączony telefon. Nie wiedziałem, że będzie potrzebny pani transport, przyjechałbym moim samochodem. Jutro rano będę mógł panią zabrać, nie będzie problemu.

– Proszę się nie martwić, wrócę autobusem, a po rower przyjadę za kilka dni.

– Maju, dzisiaj jest sobota. Jedyne autobus, który stąd odjeżdża, wyjechał rano. – Hubert znowu hipnotyzował ją swoim wzrokiem.

– To może pojedę stopem? – rozważała.

– A czy naprawdę moje towarzystwo jest dla ciebie takie straszne? – zapytał poirytowanym głosem. – Przydałaby mi się bardzo twoja pomoc. Spójrzysz na to, co robię, swoim kobiecym wzrokiem, doradzisz mi. Obiecuję, że nie pozwolę ci się przemęczyć. A potem upieczemy ziemniaki i usmażymy kielbaski. Później przejdę się do sklepiku po zimne piwo i zrobimy sobie ucztę. – Taka nadzieja biła z jego oczu. – A rano przyjedzie Jan i zabierze cię do miasta. I będziesz wolna.

„Nie wiem, czy chcę być wolna. Na razie jednak jestem tutaj – pomyślała. – Co za zbieg okoliczności”.

– Zatem do dzieła – wreszcie się poddała, wgrzyzając się jednocześnie w rozpływającą się w ustach drożdżówkę.

Jan odjechał na swojej zabytkowej motorynce, a oni wzięli się do pracy. Po południu mieli przyjechać fachowcy z meblami kuchennymi, trzeba było uporządkować pomieszczenie i wykonać tu i ówdzie malarzkie poprawki. Hubert wydawał polecenia, zadając jej lżejsze prace, sam wszedł na drabinę i kończył malowanie sufitu. Zrobił z gazety czapeczki, które miały za zadanie chronić ich włosy. Żeby nie pobrudziła ubrań, Hubert przyniósł jej swoje. I tak oto ubrana w kraciatą koszulę oraz w męskie dzinsy z podwiniętymi dwukrotnie nogawkami i ściśnięta w pasie paskiem, zabawiała się w pomocnika malarza. Wyglądali jak Flip i Flap, uśmiechali się do siebie co chwilę. Po napiętej atmosferze nie



zostało śladu.

Koło południa przed dom zajęła ciężarówka z napisem „Pracownia Mebli Kuchennych Legutko – Toszko”. Wskoczyło z niej trzech dziarskich jegomości i niezwłocznie zabrali się za rozładowywanie przywiezionych rzeczy. Po dwóch godzinach zaczęły być widoczne pierwsze efekty ich pracy. Zamówione przez Huberta meble były w stylu prowansalskim. Drewno w kolorze zgaszonej bieli, z widocznymi słojami; sama by lepszych nie wybrała.

„Dobrze czułabym się w takiej kuchni” – pomyślała z żalem. Siedziała na paczce nierozpakowanych jeszcze elementów, popijając wodę prosto z butelki i przyglądając się, jak pomieszczenie zaczyna przypominać kuchnię.

– Do wieczora skończą. – Hubert od dłuższego czasu ją obserwował.  
– Podoba ci się?

– Jest idealna. Gdybym sama miała wybierać, taką właśnie bym wybrała – nie wiedzieć czemu, poczuła smutek. – Niewiele mogę ci w tej chwili pomóc. Może to ja przejdę się do sklepiku i kupię coś do jedzenia?

Droga do sklepiku prowadziła niestety pod górę. Jadąc tutaj, zjeżdżała z górki, na rowerze, nie pedałując nawet. Wydawało się jej, że to bardzo blisko. Kiedy jednak teraz, zasapana wspinała się pod górę, droga wydawała się nie mieć końca. Na dworze było ciepło, ale po wczorajszej burzy powietrze było rześkie. Nie czuło się już tego przygniatającego upału, który jeszcze wczoraj tak doskwierał. Pomimo tego czuła, jak strużka potu spływa jej po plecach. Co chwilę musiała przystawać, aby ponownie złapać oddech. Rozglądała się wówczas wokoło; tutejsze widoki zapierały dech w piersiach. Łagodne wzgórza były pokryte zielenią, niczym aksamitem, chciałyby przejechać po nich dłonią i poczuć ich miękkość. Gdzieś tam krajobraz ożywiały połacie lasu, kępy drzew oraz pełzające po nich cienie, których sprawcami były przesuwające się po niebie obłoki i padające zza nich słoneczne światło. W dole widziała małe domki, które z góry wyglądały jak garść rozspanych klocków.

W sklepiku zastała tylko znajomą ekspedientkę.

– Dzień dobry, a jednak zatrzymała się pani u nas na dłużej. Mam nadzieję, że często będziemy się widywać – powiedziała z uśmiechem.

– Dzień dobry. Niestety, jestem tu tylko do jutra, ale mam nadzieję, że jeszcze nie raz wybiorę się tu na wycieczkę.

– Słyszałam, że zatrzymała się pani w tym starym domu, który niedawno został sprzedany. Nowy właściciel to podobno niezłe ciacho. I kawaler, miejscowe dziewczyny już ostrzą sobie na niego pazurki.

– Zaskoczona jestem, że wieści tak szybko się tutaj rozchodzą. A właściciel domu jest po prostu moim znajomym – odpowiedziała, rozglądając się jednocześnie po sklepowych półkach. – Poproszę kilogram kielbasy na grilla, sałatę lodową, pomidory, czarne oliwki i... zgrzewkę piwa.

– A wie pani, że podobno w tym domu straszy? – kontynuowała niczym niezrażona dziewczyna, nachylając się w jej stronę konspiracyjnie. Z jej szyi zniknęły pseudozłote łańcuchy, zamiast nich pojawiły się bardzo strojne, dyndające w uszach długie, srebrne kolczyki. Chyba do nikogo innego nie pasowałyby tak bardzo, jak to tego młodego dziewczęcia.

– Tak? – Maja uśmiechnęła się pobłaźliwie. – Mam nadzieję, że nie jest to jakiś groźny duch, który będzie chciał pogonić nowych mieszkańców.

– Po wsi krąży taka historia, nie wiem, ile w niej prawdy. – Sprzedawczyni oparła się wygodnie o ladę, zapatrzyła w dal i snuła swoją opowieść. – Ludzie mówią, że w czasach między pierwszą a drugą wojną światową mieszkało w tym domu młode małżeństwo. Podobno bardzo się kochali. Mieli wspólną pasję – wspinaczkę górską. Często wyjeżdżali w Tatry, żeby się wspiąć. Zdobywali szczyty, zazwyczaj we dwoje, rzadziej towarzyszyła im grupa przyjaciół, podobnych do nich zapaleńców. Byli bardzo szczęśliwi. Dopelnieniem ich szczęścia miało być dziecko, którego oczekiwali za kilka miesięcy. Późną jesienią on wybrał się z przyjacielem na kilka dni do Zakopanego. Planowali wejść na Świnicę. Ona została w domu z racji swojej ciąży. To były pierwsze miesiące, dlatego woleli nie ryzykować. Jak zwykle, miał na siebie uważać, i jak zwykle, wrócić do niej cały. Na próżno na niego czekała w dniu, w którym obiecał pojawić się z powrotem. Nie mogła znaleźć sobie w domu miejsca. Nie miała od niego żadnych wiadomości. Następnego dnia wieczorem przyjechał zdruzgotany przyjaciel. Jej mąż

zaginął w górach. Odpadł od skały, kiedy nagle zmieniła się pogoda i zaskoczyła ich ulewa. Nie udało się znaleźć ciała, ze względu na złą pogodę i ciemności poszukiwania zostały przerwane. Nie zastanawiała się wiele, nie słuchała protestów przyjaciela, spakowała swój sprzęt wspinaczkowy i kazała się zawieźć do Zakopanego. Po przyjeździe natychmiast ruszyła w góry w poszukiwaniu ukochanego. Nikt nie był w stanie jej zatrzymać, a nie było takiego śmiałka, który odważyłby się wyruszyć w taką pogodę razem z nią. Nie wróciła stamtąd, zginęła samotnie.

Sprzedawczyni zrobiła pauzę. Maja stała zasluchana, przez całą opowieść miała przed oczami taterniczkę ze swoich snów. Ale przecież nie wierzyła w żadne zjawiska nadprzyrodzone.

– To jeszcze nie koniec historii. – Dziewczyna pochyliła się, opierając łokcie o sklepową ladę. – Na szczęście, a raczej na nieszczęście, po kilku dniach jej ukochany się odnalazł. Okazało się, że spadł ze skały i znaleźli go Słowacy, miejscowi górale. Nawet nie odniósł większych obrażeń. Był przez dobę nieprzytomny, ale kiedy się ocknął, okazało się, że miał tylko złamaną rękę i był poobijany. Nie mógł od razu wrócić do domu. Kiedy jednak wreszcie tam dotarł, przeżył szok, dowiedziawszy się o losie swojej ukochanej żony. Snuł się jak oszałały przez kilka dni po domu, nie wpuszczał nikogo, tylko od czasu do czasu słychać było dochodzące z wnętrza rozpaczliwe wołanie. Po kilku dniach wyjechał stąd i nikt go więcej nie widział. Dom przechodził z rąk do rąk, aż wreszcie kupił go pani przyjaciel.

– A co się stało z kobietą? Znalaziono jej zwłoki? – Maja była zaintrygowana. I przejęta opowieścią.

– Dopiero na wiosnę – odpowiedziała dziewczyna. – Tego roku podobno szybko przyszło oziębienie, spadł obfity śnieg i poszukiwania wstrzymano. A ludzie we wsi mówią, że to duch kobiety błąka się po domu, szukając swego ukochanego. Boi się pani duchów?

– Nie wiem, jeszcze nigdy żadnego nie spotkałam – odpowiedziała Maja zamyślona. Nie mogła przecież powiedzieć dziewczynie, że chyba właśnie wyśniła ducha.

– Ja tam się nie boję – kontynuowała rozmowę sprzedawczyni, jednocześnie pakując zamówione produkty. – No bo co takiego może zrobić

duch, nawet jeżeli istnieje? Ale może niech pani uprzedzi swojego przyjaciela. W razie czego niech ma się na baczności.

Wracając powoli do Huberta, nie mogła przestać myśleć o nieszczęsnej parze. Spojrzała na horyzont, gdzie jak jej się zdawało, dostrzegła zarys Tatr. Majestatyczne piękno gór zawsze budziło w niej respekt. Nie należała do ludzi, którzy potrzebowali adrenaliny, żeby żyć. Wręcz przeciwnie, całe życie walczyła ze swoimi mniejszymi lub większymi lękami. Bała się prędkości, wysokości, zamkniętych i ciemnych pomieszczeń. Bała się złych ludzi, groźnych mężczyzn, obcych psów. Wiele by można jeszcze wyliczać, a ciągle coś jeszcze mogłaby dodać.

Kiedy tak pogrążona w swoich rozmyślaniach weszła do kuchni, znieruchomiała. Jakby znalazła się w innym domu. Na środku dumnie prezentowała się sporych rozmiarów kuchenna wyspa, pokryta drewnianym blatem, chyba z ciemnego orzecha. Przy niej ustawiono dwa barowe stołki, bodajże mówi się na nie hokery, ze skrzyżowanymi w kształcie litery x listewkami w miejscu oparcia. Na ścianach wisiały już wszystkie szafki w kolorze zgaszonej bieli, takie same jak wyspa. Niektóre były przeszkłone. Mężczyźni kończyli właśnie montaż drewnianego blatu na dolnych szafkach. Okap kuchenny ukryto pod konstrukcją przypominającą górną część chlebowego pieca, ulepioną z niezbyt starannie wygładzonej pobielonej gliny, otoczonej od dołu drewnianym orzechowym rantem. Między szafkami doskonale prezentowały się położone wcześniej białe kafelki, które pięknie kontrastowały z orzechowym brązem drewna. Czarno-biała szachownica na podłodze nie pozwalała na monotonię.

„Jeszcze tylko parę sprzętów kuchennych na blatach, kilka drobiazgów i może na przykład ziola w doniczkach i będzie cudownie” – pomyślała.

Nagle zza wyspy wyłonił się Hubert. Całe ubranie miał zakurzone, włosy pokrywała mu warstwa pyłu, wyglądał, jakby nagle posiwił.

– I jak ci się podoba? – Widziała, że łaknie jej pozytywnej opinii.

– Już ci mówiłam wcześniej, jest idealna – odpowiedziała, przesuwając wzrokiem po wiszących szafkach.

– Potrzebujemy jeszcze około godziny, żeby skończyć – powiedział

przepraszająco.

– W takim razie zrobię tu trochę porządku – zaczęła zbierać porzucane kartony, papiery, śmiecie.

Rzeczywiście po niecałej godzinie fachowcy wyjechali. Kuchnia została uprzątnięta. Powycierali jeszcze blaty z kurzu i stanęli oboje w wejściu, aby z podziwem obejrzeć swoje dzieło.

Kiedy na dworze zapadał zmrok, zasiedli na hokerach przy wyspie i zajadali usmażoną na patelni wiejską kiełbasę (komu chciałoby się rozpalać ognisko, kiedy ma się taką piękną, nową kuchnię) z dodatkiem kajzerek i sałatki, popijali zimne piwo prosto z puszek i słuchali Andy'ego Williama, który śpiewał „The Shadow Of Your Smile”. Hubert postawił na blacie dwie świece, których migające płomienie pełzały po ich twarzach. Siedzieli naprzeciwko siebie, pochłonięci rozmową. Czuli się odprężona, spokojna, jakby od wieków tak wspólnie jadalili posiłki. I miała wrażenie, że wreszcie wszystko jest na miejscu, jakby elementy układanki ostatecznie się do siebie dopasowały. Mai przypomniała się opowieść dziewczyny ze sklepu. Przez cały dzień nie mogła przestać o niej myśleć. Powtórzyła ją Hubertowi. Kiedy skończyła, zamysłili się oboje.

– Słyszałem już coś na ten temat. Starsza pani, od której kupiłem dom, wspominała mi o tej historii. Nikt jednak nie wie, ile w tym prawdy. – Hubert zapatrzył się w płomień świecy.

– Wiesz, co jest w tym wszystkim najdziwniejsze? Od kiedy przyjechałam do Rabki, kilkakrotnie śniła mi się ta kobieta. – Przypomniała sobie jej postać ze snów. – Zawsze miała na sobie strój, jaki nosili przed wojną ludzie wyruszający w góry. We śnie miałam wrażenie, że mogę jej zaufać, czułam się przy niej bezpiecznie.

– Uważasz, że twoje sny mogą mieć coś wspólnego z tą historią? – wydawał się trochę zdziwiony. – Mam wrażenie, że mnie też się coś podobnego śniło, ale nie wydaje się mi, żeby to była ta sama kobieta.

– Nie wiem, nie wierzę w takie nadprzyrodzone zjawiska – odpowiedziała w zadumie. – Podobnie, jak nie wierzę w homeopatię, jasnowidztwo czy cygańskie wróżby. Ale nie uważasz, że to dziwny zbieg okoliczności?

– Zawsze można dopasować do snów jakieś zdarzenia z rzeczywisto-

ści. Podobnie jak każdy horoskop lub każda wróżba mogą sprawiać wrażenie, jakby były przeznaczone tylko dla tej konkretnej osoby i idealnie z nią harmonizować.

– Ale to jeszcze nie wszystko. Twój ojciec powiedział mi przed moją pierwszą nocą u Jana w pensjonacie, żebym zapamiętała, co mi się przysni na nowym miejscu, bo takie sny się sprawdzają. I wtedy oprócz tej kobiety śniłeś mi się ty. Nie widziałam we śnie twojej twarzy, ale zapamiętałam twój sweter, ten granatowy. I zapamiętałam całą twoją sylwetkę. Kiedy później cię spotkałam, wiedziałam, że to ty. – Nie mogła zrozumieć, dlaczego to mówi. W zasadzie odkrywała swoje karty. Ale czuła, jakby nie miała na to wpływu, jakby słowa po prostu z niej wypływały, trochę niezależnie od jej woli.

Na twarzy Huberta malowało się niedowierzanie, czuła, że jest wzruszony.

– Więc dlaczego tak się przede mną broniłaś? – zapytał cicho.

– Nie wiem, czy jestem gotowa na nowe uczucie. Kilka miesięcy temu rozstałam się z mężczyzną, o którym myślałam, że jest miłością mojego życia. Boję się, że znowu będę cierpiała.

– Ja też jestem po przejściach. Przed dwoma laty zmarła moja żona. Bardzo ją kochałem, przez pięć lat byliśmy małżeństwem. Po jej śmierci myślałem, że mój świat przestał istnieć, że moja dusza umarła wraz z nią. Dopóki nie spotkałem ciebie.

Mówiąc to, wyciągnął w jej stronę rękę, ujmując delikatnie jej palce. Miał taką dużą, męską dłoń, w jej wnętrzu wyczuwała twarde odciski, pozostałość po pracach remontowych. Łagodnie pocierał kciukiem wnętrze jej dłoni, a ona czuła prąd rozchodzący się po jej stopach. Jakby między nimi przepływała jakaś zmysłowa energia. Wpatrywał się w nią w napięciu; wiedziała, co się dalej wydarzy. Wszystkie jej dotychczasowe wahania gdzieś uleciały. Nie miała obaw przed tym mężczyzną, nie bała się zranienia. Czuła, że robi dobrze, ogarnął ją spokój. Jakby ktoś popychał ją w jego ramiona. Czyżby ta kobieta ze snów? Z legendy? „Przecież to bez sensu” – pomyślała tylko.

– Chodź. – Ujęła mocniej jego spracowaną dłoń, w drugą wzięła lichtarz ze świecą.

– Pragnę cię – powiedział.

Głos drżał mu lekko, oddychał niespokojnie.

– Wiem.

Nie zapaliła światełka, kiedy znaleźli się w sypialni Huberta. Postawiła świecę na podłodze. Stała przed nim, drżące dłonie położyła delikatnie na jego klatce piersiowej. Serce jej galopowało niczym koń wyścigowy przed metą. Czekala na jego reakcję. Stał bez ruchu wpatrzony w jej twarz. Po chwili skinął głową, jakby spojrzeniem pytał ją o pozwolenie. Wyglądał tak seksownie w świetle świecy... Oczy mu błyszczały, cała sylwetka tchnęła męskością, fascynował ją. Powtórzyła za nim ten gest skinienia głową, przymykając na chwilę oczy. Ujął w dłonie jej twarz i łagodnie pocałował w usta. Smakował delikatnie piwem i jeszcze czymś takim słodkim, dobrym. Objęła jego szyję, przyciągając go bliżej do siebie. Poczula, jak uginają się pod nią nogi, Hubert musiał ją przytrzymać; gdyby nie to, upadłaby chyba.

Wziął ją na ręce i położył na materacu. Przyglądał się jej, w jego oczach widziała pragnienie, namiętność. Nagle poczuła się skępowana. Nie była na to przygotowana, nie miała na sobie seksownej bielizny, tylko bawełniane gatki i stanik z supermarketu. Nie mówiąc już o stanie jej depilacji sprzed trzech dni. Ale co tam, przecież nie to jest najważniejsze u licha! Zauważył jej wahanie, miała wrażenie, jakby się przestraszył. „Nie będę się tym przejmowała – pomyślała. – Przecież i tak światło świecy nie zdradzi wszystkich szczegółów. Nie będę się zastanawiała, co z tego wyniknie, co będzie jutro. Tu i teraz jest ważne, nic innego”. Przyciągnęła go gwałtownie do siebie, ich ruchy stawały się coraz bardziej natarczywe, dotykali się zachłannie, jakby chcieli zapamiętać każdy fragment swoich ciał. W jej wnętrzu rozpałał się żar, nie sądziła, że jest zdolna do takiej namiętności.

Hubert był delikatny, ale wyczuwał jej najbardziej wrażliwe miejsca, jakby zamiast architektury studiował topografię jej ciała. Smakował je z zapamiętaniem. Kiedy zrzucili ubrania i przylgnęli do siebie nadzy, poczuła spokój, miała wrażenie, że oto spotkało ją jej przeznaczenie. Nie spodziewała się, że pod jego zazwyczaj luźnymi ubraniami, kryje się tak piękna, męska sylwetka. Przez chwilę nie mogła oderwać od niego wzroku. Dotykała go z przejęciem, nie wiedziała, że męskie ciało może być takie twarde. Filip był raczej typem lekkoatlety, miał smukłą postu-

rę. Natomiast Hubert miał budowę bardziej atletyczną. Miał muskuły jak model z żurnala. Była nim zachwycona. I na dodatek na lewej łopacie miał wytatuowanego niewielkiego pajaka. Kiedy zobaczyła go w tym przygaszonym świetle, pobudził jej zmysły, podziałał jak afrodyzjak. Po chwilowym skrępowaniu nie zostało śladu, chłonęła go każdą swoją komórką, miała wrażenie, że oboje unoszą się gdzieś w przestrzeni, w nieważkości, że świat wokół nich przestał istnieć. Byli tylko oni dwójce. Każdy jego dotyk był niesamowicie erotyczny, wywoływał w niej grad iskier rozbiegających się po całej skórze. Narastające w niej napięcie było tak potężne, że chwilami miała wrażenie, że rozpryśnie się jak kryształowy wazon upadający z impetem na kamienną posadzkę. Co chwilę szeptała jego imię wprost do jego ust, a on odpowiadał jej tym samym. Nie wiedziała, że imię może mieć w sobie tyle erotyzmu.

Jego usta dotykały jej wrażliwej skóry, schodząc coraz niżej, począwszy od jej ust. To były wrażenia raz delikatne, jak muśnięcia skrzydeł kolibra, a raz natarczywe, niosące ze sobą podniecający ból. W tym samym czasie jego dłoń podążała zmysłowym ruchem od stóp, poprzez kolana, łaskocząc delikatnie uda. W momencie, gdy usta i dłonie spotkały się w najwrażliwszym miejscu jej ciała, nagle zapomniała, jak się nazywa i gdzie jest. A kiedy w końcu znalazł się w niej, kiedy ich ciała doznały spełnienia, czuła jakby dryfowała w przestworzach, jakby była poza własnym ciałem.

Jak mogła do tej pory bez tego żyć? Czy będzie mogła bez tego żyć, jeżeli tak los będzie chciał?



## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

### FILIP

Od trzech godzin był w podróży. Miał już za sobą jedną przesiadkę, a czekały go jeszcze dwie, ostatnia na autobus. Nie mógł usiedzieć w pociągu, taki był podekscytowany. Nie mógł już się doczekać, kiedy wreszcie ją zobaczy. Kiedy ją przytuli, wreszcie wszystko sobie wytłumaczają i znowu będzie dobrze, jak dawniej. Bo przecież musi być dobrze. Kochają się, musi jej to uświadomić! Są dla siebie stworzeni!

Co chwilę wychodził z przedziału. Nie mógł tam wysiedzieć. Zresztą towarzystwo współpasażerów było irytujące. Obok niego siedział gość około trzydziestki, jakiś chyba z korporacji, może z banku. Cały czas rozmawiał głośno przez telefon, albo pisał coś na laptopie, rozpychając się bezpardonowo łokciami. Dziwnie był ubrany. Do ciemnych dżinsów, białej koszuli, granatowej marynarki i czarnych mokasyń miał założone czerwone skarpetki. Taki szpan. Irytujący.

Naprzeciwko rozsiadła się gruba kobieta, młoda, nie była chyba wiele starsza od niego, ale swoim ciałem zajęła półtora siedzenia. Obok niej siedział nieokielznany chłopiec w wieku około pięciu lat. Już po kilku minutach można było zauważyć, że wychowywany był bezstresowo. Krzykiem i piskiem wymuszał na matce wszystkie swoje zachcianki, grał na tablecie w jakąś wyjątkowo hałaśliwą gierkę i nie pozwalał wyłączyć dźwięku. Matka była bezsilna. Upominając go, robiła tylko jeszcze większy hałas. To się stawało nie do zniesienia. A jeszcze do tego wszystkiego na dwóch innych miejscach rozsiadło się starsze małżeństwo, które zabrało się za konsumpcję jakichś odrażająco „capiących” produktów. Jakby pomieszano zapach cebuli, starego sera pleśniowego i nie wiadomo czego jeszcze. Starych skarpetek? Raz po raz spoglądał na nich z odrazą. Momentami miał wrażenie, że zwymiotuje w te ich rozłożone pakuneczki. Nawet widział to oczami swojej wyobraźni. Obserwował ich bezpardonowo, nie starał się nawet ukrywać, że wywołują w nim obrzydzenie. Początkowo zdawali się tego nie zauważać, ale w końcu

chyba dał im do zrozumienia, że są odrażający.

Coraz bardziej się niecierpliwił, coraz bardziej to wszystko go wkurzało. Miał wrażenie, że trawi go jakaś wewnętrzna gorączka. Nie wysiedzi w tym pociągu chyba ani chwili dłużej – po jego głowie krążyła taka zapętlona myśl. Wychodził na korytarz, po czym po kilku minutach wracał na swoje miejsce w przedziale, tylko po to, żeby po chwili znowu wstać i przedzierając się przez gąszcz nóg i potykając się o nie, na nowo wyjść na korytarz. Albo do cuchnącej toalety, gdzie brzydził się czegośkolwiek dotknąć. Jego własne zasyfione mieszkanie mu nie przeszkadzało, to był jego brud, ale tutaj wszystko napawało go obrzydzeniem. Poza tym coś dziwnego się z nim działo. Ten niepokój, napięcie, niemożność usiedzenia dłużej w jednym miejscu i skupienia się na czymkolwiek, to zaczęło się zaraz po tym, jak zobaczył w Internecie zdjęcie Mai. A teraz to się stało nie do opanowania. Gdyby mógł, wyskoczyłby na zewnątrz i pchał pociąg, żeby tylko szybciej jechał.

Za każdym razem, kiedy pociąg zatrzymywał się na stacji, wyskakiwał na peron, jakby tam miał poczuć ulgę od pochłaniającego go niepokoju. Ale po chwili w strachu, że pociąg zaraz odjedzie bez niego, wskakiwał z powrotem do wagonu. I tak do momentu, aż pociąg ruszał, a on zostawał w nim uwięziony. Po czym znów wysiadał na kolejnej stacji. Podświadomie zdawał sobie sprawę z tego, że dziwnie się zachowuje, że pasażerowie z niepokojem zaczynają na niego spoglądać. Próbował się opanować, ale nie był w stanie. W pewnym momencie stwierdził, że mówi sam do siebie. Po prostu wypowiadał swoje myśli na głos. Szybko, coraz szybciej, żeby nie uciekły, żeby ich nie zapomniał. Żeby w ogóle niczego nie zapomniał. Ale o czym nie mógł zapomnieć? Gdzie on właściwie jest? Co tu robią ci obcy ludzie? Dlaczego on nie jest w domu?

Strasznie się niepokoił. Coś dziwnego się z nim działo. Dlaczego ktoś mu to robił? Przemierzał niespokojnie korytarz, potrącając ludzi, nawet nie usiłował ich przeproszać. Kiedy dochodził do jednego końca wąskiego przejścia, natychmiast odwracał się i ruszał w przeciwną stronę. I mówił do siebie, mówił, ciągle mówił. Pociły mu się dłonie, co chwilę wycierał je o nogawki spodni na udach, a potem rozprostowywał palce i strzepywał je, jakby chciał je osuszyć z jakiejś niewidzialnej wody. I nie mógł przestać. W końcu spostrzegł, że korytarz opustoszał.

Miał więcej miejsca dla siebie. Z przedziałów raz po raz wychylały się jakieś obce, przestraszone głowy i patrzyły na niego z potępieniem. Niech go nie wkurzają, czego od niego chcą?

Pociąg zatrzymał się na peronie. Zauważył stojącą na nim karetkę pogotowia, dwóch sanitariuszy i dwóch konduktorów naradzających się wspólnie. Potem spojrzeli jednocześnie w jego kierunku i ruszyli po dwóch do wejść na obu końcach wagonu. Poczul się zagrożony. O co w tym wszystkim chodzi? Zmówili się! Chcą mu zrobić krzywdę! Nie zastanawiał się wiele. Wpadł do swojego przedziału, porwał niewielką torbę podróżną, w której miał spakowane swoje najpotrzebniejsze rzeczy i wypadł na korytarz. Z obu końców zbliżali się do niego, z każdego końca po jednym sanitariuszu i konduktorze. Nie myślał, działał, zdał się na instynkt, jak zwierzyzna na polowaniu. Otworzył okno na tyle, na ile to było możliwe, najpierw wyrzucił swoją torbę, a potem sam się przecisnął i wyskoczył na tory. Słyszał za sobą nawoływania, ale nie oglądał się. Biegł, ile sił w nogach. I biegł, biegł... biegł.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

### MAJA

Tyle się zmieniło od tej nocy w Żegutkowie. Uwierzyła, że jednak może być szczęśliwa. Zrozumiała, że nie ma sensu rozpamiętywać poprzedniego związku i zamykać się na nowe uczucie. Tak, po prostu była szczęśliwa. Zakochała się. I była to miłość dojrzała. Nie takie młodzieńcze zauroczenie i fascynacja, jaka miała miejsce w jej związku z Filipem. Teraz była dorosłą, poważną kobietą. Zdawała sobie sprawę z tego, czego od życia oczekuje, czego pragnie jej ciało i co może dać mężczyźnie. Była, można powiedzieć, kobietą świadomą.

Mogłaby się uśmiechać od rana do wieczora. Mogłaby tańczyć nawet na ulicy. Ze szczęścia. Gdyby tylko to nie dziwiło przechodniów. I powtarzać bez końca jedno zdanie – jestem szczęśliwa!!!

Hubert okazał się wspaniałym mężczyzną. Czulił kochankiem, interesującym rozmówcą, dobrym kompanem. Kiedy po owej nocy obudzili się rano, bała się tego, co może się stać. Bała się, że będzie jak przedtem. A nie chciała tego, chciała, żeby było inaczej.

– Jak ci się spało, kochana? – zapytał, kiedy otworzyła oczy. Siedział na materacu obok niej, z dużego kubka popijał parującą kawę i patrzył na nią. Miał na sobie tylko luźne bokserki, czarne w czerwone diabełki. Cudne! I ten jego nagi tors! Hmm... Z dołu docierał głos Dionne Warwick. Nawet muzyka była boska.

– Dziękuję, bywało gorzej – powiedziała z poważną miną, przeciągając się obojętnie. Hubert zmarszczył czoło skonsternowany nieco.

– Mam cię! – zawołała ze śmiechem, dziabiąc jednocześnie powietrze palcem w jego kierunku. – Przestraszyłeś się! – Wyjęła mu z ręki kubek i upiła spory łyk. – Fuj, co za okropieństwo!

Znowu go zaskoczyła, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, dała:

– Czarna, bez cukru i bez mleka! Jak można pić coś tak gorzkiego. Nie ma to jak poranna kawa z chudym mlekiem i słodzikiem ze stewii –

rozmarzyła się.

– Ze stewii, ze stewii? – powtarzał zawzięcie, odstawiając kubek na podłogę i łaskocząc ją wszędzie, gdzie popadnie. Bolał ją brzuch, nie mogła przestać się śmiać, a on ciągle łaskotał. W końcu wpadła na pomysł. Zaczęła go całować. Tak jak on łaskotał ją wszędzie, tak ona całowała go, gdzie tylko mogła. I przestał łaskotać, za to zaczął całować. Och, jak on całował. Znowu poczuła ten skurcz gdzieś tam w głębi siebie. To niesamowite uczucie, które ogarniało ją coraz silniejszymi falami. Nawet potem, siedząc w recepcji, kiedy przypominała sobie tamte chwile, zaczynała się rumienić. I czuć to rozprzestrzeniające się w jej wnętrzu ciepło, rozkosz.

Nie opuścili materaca do południa. Zjedli na nim przygotowane przez Huberta śniadanie (z białą kawą posłodzoną stewią), a potem rozmawiali, rozmawiali... rozmawiali. Była niedziela, niczego nie musieli robić. To był cudowny dzień.

Ale niestety, w końcu trzeba było wrócić do rzeczywistości, do pracy. Wieczorem przyjechał Jan i zabrał ich do Rabki. Hubert pojechał z nią, nie chcieli się rozstawać. A potem u niego w mieszkaniu dalej nie mogli się od siebie oderwać. Musieli się ciągle dotykać, całować, tulić. „Och, wspaniałe to jest – myślała. – Czuć jego zapach, smakować jego skórę, jego usta. – Nie mogła się nim nacieszyć. – I sięgać po niego, kiedy tylko przyjdzie mi na to ochota”. Przez kilka następnych dni byli jak papużki nierozłączki, oprócz godzin, kiedy ona była w pracy, nie rozstawali się ani na chwilę. Większość czasu spędzali w Żegutkowie, dom stawał się coraz piękniejszy. Powoli przybywało mebli i innych drobiazgów. Maja z radością pomagała w drobnych pracach remontowych, ale przede wszystkim uwielbiała dekorowanie wnętrza. Realizowała się w tej dziedzinie w stu procentach.

– Maja, pobudka! – Łukasz przywołał ją do rzeczywistości. – Gapisz się w komputer, a od pięciu minut miga na nim zgłoszenie rezerwacji. Nie widzisz tego? – Wpatrywał się w nią zdziwiony.

– Zakochałam się – odpowiedziała przepraszająco, patrząc mu prosto w oczy. – I właśnie bujam sobie w obłokach.

– W kim? – chyba się ucieszył. I zaciekawił jednocześnie.

– W Hubercie – odpowiedziała z dumą.

– Z wzajemnością?  
– Aha.  
– To gratulacje! – objął ją serdecznie. – To będziesz bratową szefa.  
– Coś ty, nie tak od razu. Znaczący, nie myślę o tym wcale – Zmieszała się nieco.

– A jakie macie plany?  
– Na razie żadnych. Cieszymy się sobą, póki co.

– Gratuluję jeszcze raz. – Przytulił ją ponownie. Nie było w jego geście nieszczerości, wiedziała, że dobrze jej życzy, jest jej dobrym kolegą. Może nawet przyjacielem?

– Hola, hola, kolego! – Usłyszeli z drugiej strony kontuaru. Hubert właśnie wszedł głównym wejściem i marszcząc brwi, spoglądał na nich groźnie. Łukasz oderwał się od Mai ze śmiechem, ale żeby jeszcze nieco zazdrośnika rozdrażnić, pocałował ją siarczyście w policzek. Zarumieniła się. Dwóch samców, prowokujących się wzajemnie.

Hubert przeszedł za recepcyjny kontuar i złożył na jej ustach gorący pocałunek, obserwując cały czas kątem oka Łukasza, który niby wpatrywał się w ekran komputera, ale z jego twarzy nie schodził żartobliwy uśmiešek. Maja patrzyła na ukochanego, ciesząc się jak przysłowiowy głupi do sera.

– Witaj, kochanie. Co tu robisz o tak wczesnej porze?

– Musimy porozmawiać – powiedział, a w jego tonie wyczuła powagę. – Możesz wyjść na parę minut? Nie chciałbym rozmawiać tutaj.

– Za piętnaście minut mam przerwę, możemy usiąść wtedy na ławce przed hotelem, nikt nam nie będzie przeszkadzał.

– W takim razie pójdę zobaczyć się z Janem. Wrócę za piętnaście minut – powiedział, całując ją w czoło.

Była zaintrygowana. Wyczuwała, że chodzi o coś poważnego. Zaczęła ją ogarniać niepokój. Czyżby coś się stało? A może chce już wracać do Stanów? I zakończy się wszystko to coś między nimi, zanim naprawdę się zaczęło? Trudno się skoncentrować na pracy, kiedy umysł zaprzęta ją inne sprawy. Pomyliła klawisze, wprowadzając do komputera informacje i straciła wszystko, co naniósł. Po chwili musiała zaczynać od nowa. Och, to nie jest robota. Na szczęście nadszedł czas jej przerwy. Powiedziała Łukaszowi, że będzie na zewnątrz, gdyby jej potrzebował

i weszła do restauracji w poszukiwaniu Huberta. Siedział przy stoliku i rozmawiał z bratem. Ciągłe śmieszyło ją, jak początkowo niefortunnie brała ich za tę samą osobę. Kiedy tak siedzieli razem, widziała między nimi różnice. Jan – poważny, klasyczny w ubiorze, ze skroniami delikatnie przyprószonymi siwizną. Hubert – wyglądający na nieco młodszego, chyba z powodu sportowego stroju i braku tej siwizny oraz ze zdecydowanie ładniejszą, bardziej wysportowaną sylwetką.

Przez salę przeszła pani Barbara, machając ręką mężczyznom na przywitanie. Oczy Jana się rozjaśniły. Wodził za nią wzrokiem, myślał, że nikt tego nie widzi. Ona widziała. I Hubert też chyba doskonale zdawał sobie sprawę z uczucia, jakim Jan ją darzy. Ciekawe, co na to pani Barbara? Z tego, co Maja wiedziała, to nie miała męża ani nie była z nikim na stałe związana. Była chyba kilka lat starsza od Jana, ale czy to mogłoby być przeszkodą? Jan sprawiał wrażenie, że podkochuje się w niej platonicznie.

Maja podeszła do ich stolika.

– Witam – powiedziała dyplomatycznie.

Nadal nie wiedziała, jak ma się zwracać do szefa. W zasadzie, to nie przeszli na „ty”, a fakt, że sypia z jego bratem nie jest jednoznaczny z mówieniem sobie po imieniu. Co za niezręczna sytuacja.

– Przepraszam, że przeszkadzam – zwróciła się do Huberta. – Mam akurat przerwę, za kilkanaście minut muszę wrócić do recepcji, jeżeli więc chcesz porozmawiać, to możemy tylko teraz.

Jan uśmiechnął się do niej serdecznie, chyba ją zaakceptował jako dziewczynę brata. Hubert wstał od stolika.

– Tak, kochanie. Już idziemy.

Podał rękę bratu na pożegnanie i obejmując ją w pasie, jakby chciał zaznaczyć swoje prawa do niej, wyszli z budynku. Usiedli na ławeczce na skwerku obok podjazdu przed pensjonatem. Hubert czule ujął jej dłoń, delikatnie rozcierał jej palce. Wpatrywał się w jej twarz z niepewnością.

– Stało się coś? – coraz bardziej się niepokoila.

– Miałem dzisiaj rano telefon z mojej firmy w Chicago. Zaistniało kilka spraw, które będą wymagały mojego wyjazdu do Stanów. Najpóźniej muszę wyjechać za tydzień. Nie wiem, jak długo tam zabawię. Mo-

że to być nawet miesiąc. – Czują, że jest mu smutno z tego powodu. – Nie wykluczone, że dłużej.

– O! – Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Teraz, kiedy była taka szczęśliwa, kiedy wreszcie przestały ją męczyć nocne koszmary z Filipem, musiała usłyszeć taką informację? Czują się jak dziecko, któremu odebrano lizaka. – Kiedy wyjeżdżasz?

– Nie zabukowałem jeszcze biletu na samolot. – Popatrzył jej głęboko w oczy. – Chciałbym, żebyś pojechała ze mną. Co ty na to?

– Ja? Z tobą? Do Stanów?... Ale ja się boję latać!!! Panicznie! – Czują, jak drętwieją jej nogi. Zawsze, kiedy myślała o lataniu, nagle nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Podobnie się działo, kiedy znajdowała się na jakiejś wysokości, kiedy stała na krawędzi, albo kiedy tylko o tym myślała. W mniejszym stopniu przytrafiało jej się to w małych, zamkniętych pomieszczeniach, na przykład w windzie. Ale windę mogła jeszcze przeżyć. Ale lecieć samolotem? O Boziu kochana!

– Spacyfikujemy cię jakoś, tylko się zgódź, proszę.

– Nie... nie, ja... nie mogę. Nie polecę z tobą, Hubert. Przykro mi, nie mogę. – Była zdecydowana.

– Może jeszcze się zastanowisz, przemyślisz to sobie. Nie podejmuj tak od razu decyzji. Pomyśl, że to mogłaby być wspaniała przygoda. Dla nas obojga. I spędzilibyśmy tyle czasu ze sobą. Pokazałbym ci Chicago, moglibyśmy podróżować po Stanach. Nie mów od razu nie. Nie martw się o finanse. Pokryję koszty podróży, a na miejscu będziesz moim gościem. Jestem majątym człowiekiem, stać mnie na to, uwierz mi, proszę.

– Jeszcze raz ci powtarzam, że nie mogę lecieć, naprawdę mi przykro. – Czują, jak narasta w niej panika. I smutek.

– Ale podaj mi przyczynę. Czy to, że się boisz latać jest jedynym powodem?

– Nie, nie jedynym. Mam tu swoją pracę, którą dopiero zaczęłam, mam tu swoje życie. Nie mogę jechać. – Zawzięła się, sama właściwie nie wiedziała dlaczego. Być może nie chciała być od niego zależna, nie chciała być jego zabawką, którą zabiera ze sobą w podróż jak misia albo autko. A może powodował ją po prostu strach nie do przezwyciężenia? Nie rozumiała swojej decyzji, ale mimo to uparcie przy niej trwała.



– Szkoda – powiedział ze szczerym żalem. – Ja jednak będę musiał polecić. Z tobą czy bez ciebie. Może jeszcze się zastanowisz. Pamiętaj, że jeszcze musielibyśmy załatwić wizę. Mam wprawdzie znajomego konsula, ale tak czy inaczej, nie zorganizujemy tego w jeden dzień. Trzeba też zabukować bilety. Podejmij dobrą decyzję, proszę. Bardzo mi na tym zależy.

Pocałował ją w policzek, pogładził z czułością po niesfornych włosach i odszedł w kierunku samochodu. Patrzyła nieruchomo, jak zatrzaskuje drzwi Toyoty i nie oglądając się za nią, odjeżdża z parkingu.

Tego dnia pracowała, ale duchem nie była obecna w recepcji. Cały czas myślała o ich rozmowie. Jak miałyby się zgodzić? Jechać na jego koszt? Jako kto? I co powiedzieć Janowi? Wziąć bezpłatny urlop? Czy zwolnić się z pracy? Są ze sobą tak naprawdę zaledwie od paru dni, jeszcze się nawet dobrze nie poznali. A co będzie, jeżeli po kilku dniach pobytu w Stanach się okaże, że się nie zgadzają ze sobą, że się nawzajem irytują. Jeżeli się okaże, że Hubert nie będzie miał dla niej czasu, że zostanie tam zupełnie sama, pozbawiona przyjaciół. Tak, jakby tu ich miała...

Ale z drugiej strony, co robi, gdy Hubert wyjedzie bez niej? Czy nie pęknie jej serce z tęsknoty? Zwariuje tu bez niego.

W holu zrobiło się tłoczno. Przyjechała wycieczka ze Szczecina oraz dwie rodziny z dziećmi. Uwijali się z Łukaszem jak w ukropie, musieli wszystkich zakwaterować, załatwić formalności. Jak zwykle, dzieci hałasowały, dorośli przekrzykiwali się wzajemnie, trudno było usłyszeć własne myśli. W pewnym momencie rozejrzała się wśród tłumu, chciała oszacować, ile osób jeszcze zostało do obsłużenia. Spojrzała do tyłu, w okolice głównego wejścia i poczuła, że nogi ma jak z betonu, nie może się poruszyć, krew odpłynęła jej z twarzy, nie mogła oddychać. Przy drzwiach stał Filip. Wyglądał jakoś inaczej, ale to był on. Albo ktoś bardzo do niego podobny. Widziała go tylko przez sekundę, może dwie. Po chwili inni goście przestonili jej widok. Wybiegła zza lady, w pół słowa przerywając rozmowę, którą prowadziła z jednym z gości, ku jego zaskoczeniu. Pobiegła w stronę wejścia, ale nikogo podobnego do Filipa nie zobaczyła. Przechesała wzrokiem wszystkich gości w holu, nic. Wybiegła na zewnątrz, rozejrzała się wokoło. Przed hotelem było pusto.

Przy samochodach na parkingu także nikogo nie było. Czują, jak galopuje jej serce, nie mogła się uspokoić. Wbiegła z powrotem do budynku, jeszcze raz przyjrzała się gościom w holu, było ich już trochę mniej. Filipa wśród nich nie było. Pobiegnęła do restauracji, znowu nic. Wróciła do recepcji. Łukasz kończył akurat obsługiwać ostatnią parę, spoglądał na nią niespokojnie. Po chwili, kiedy goście udali się na górę, zapytał:

– Coś się stało? Masz przerażoną minę.

– Przez chwilę miałam wrażenie, że zobaczyłam ducha, ale chyba musiało mi się przywidzieć – usiadła na jednym ze stołków, które mieli dla siebie za ladą i nie mogła uspokoić swoich rozdygotanych nerwów. Czy to był rzeczywiście Filip? Wyglądał jakoś inaczej. Miał dość długie włosy w nieładzie, kilkudniowy zarost na twarzy, ale najdziwniejszy był jego wzrok. Dziki. Miał w oczach jakieś szaleństwo, wzbudzał w niej strach. Czy mogła się pomylić? Czy mógłby to być ktoś tylko do Filipa podobny? Nie mogła ochłonąć.

A jeżeli to był on? A jeżeli ją odnalazł? Ale po co miałby jej szukać? Między nimi wszystko się skończyło, chyba zdawał sobie z tego sprawę po tym, jak ją potraktował.

Pomyślała o Hubercie. Bardzo go teraz potrzebowała. Wyjazd do Chicago nie był w tej chwili takim złym pomysłem. Ale czy ma uciekać przed Filipem? A może raczej przed jego duchem? Co ma zrobić, co robić?

Kiedy o osiemnastej przyszła kolej na nową zmianę, szybko weszła do szatni. Zadzwoiła do Huberta. Odebrał po pierwszym sygnale.

– Namysliłaś się, jedziesz ze mną? – zapytał z nadzieją w głosie.

– Hubert, proszę cię, przyjedź po mnie – nie mogła ukryć zdenerwowania.

– Co się stało? – zaniepokoił się.

– Nie mogę teraz o tym mówić, proszę, przyjedź.

Po kilku minutach podjechał pod hotel. Wsiadła w pośpiechu, zatrzasnęła za sobą drzwi i została otulona ramionami Huberta. Wtedy poczuła się bezpiecznie.

– Czy powiesz mi wreszcie, co się stało?

– Jedźmy, po drodze ci opowiem.

Ruszyli w stronę Żegutkowa. Tam miała nadzieję odzyskać spokój.

Ten dom działał na nią kojąco. Zamyśliła się. Chciała wszystko opowiedzieć Hubertowi, ale od czego zacząć. On nie nalegał, czekał. Kilometry mijały, a ona nie mogła zacząć swojej opowieści. Na szczęście, podróż nie trwała długo. Kiedy znaleźli się za bramą, ocknęła się z odrętwienia. Weszli do środka, Hubert obejmował ją ramieniem, jakby chciał ochronić ją przed własnymi myślami. W holu rzuciła na podłogę torebkę, zrzuciła z nóg buty i ruszyła prosto do salonu, gdzie honorowe miejsce na środku dumnie zajmowała nowa, miękka kanapa w kolorze kawy z mlekiem. Podwinęła pod siebie nogi, wciskając się w miękkie poduszki. Hubert nie zdążył jeszcze usiąść, kiedy rozpoczęła swoją opowieść.

– Zналиśmy się z Filipem od wielu lat. Poznaliśmy się w pierwszej klasie liceum. Nie zwracałam wówczas na niego uwagi, jako na potencjalny obiekt westchnień. Nie był w moim typie. Oglądałam się wówczas za mięśniakami z blond czuprynami. Filip był raczej typem intelektualisty. Szczupły, wysoki, nawet rzec by można – tyczkowaty, z okrągłymi okularami w drucianych oprawkach na nosie. Ale że mieszkaliśmy blisko siebie i spotykaliśmy się często w drodze do szkoły, zaprzyjaźniliśmy się ze sobą. Jak mi później wyznał, od początku się we mnie podkochiwał, ale nie przyznawał się do tego, nie wierzył w swoją wartość. Może i dobrze, bo ja się nim nie interesowałam, a gdyby wówczas wyznał mi swoje uczucia, prawdopodobnie byśmy się nie zaprzyjaźnili.

Milczała przez chwilę, wpatrzona w przeszłość.

– Zwierzałam mu się z moich problemów sercowych, a on zawsze mnie wysłuchiwał, wspierał, nigdy mnie nie zawodził. Z roku na rok stawał mi się coraz bliższy. Razem uczyliśmy się do matury. Trochę nasze drogi się rozeszły, kiedy Filip nie dostał się na studia, ale wkrótce do mnie dołączył. Cały czas mnie kochał, zawsze przy mnie był, nigdy mnie nie zawodził, mogłam na nim polegać. Pokochałam go. Zamieszkaliśmy razem, było nam ze sobą bardzo dobrze.

Hubert słuchał, nie przerywał jej. Cały czas trzymał ją za rękę, delikatnie gładził jej kostki. Maja snuła swoją opowieść ze wzrokiem utkwionym w dal. Jakby jej duch opuścił to pomieszczenie, przemieścił się w czasie i wrócił do tamtych chwil.

– Byliśmy szczęśliwi. Nauka nie przychodziła Filipowi tak łatwo jak mnie, musiał dłużej ślęczeć nad podręcznikami, może miał trudniejsze

studia. Ale radził sobie, a ja byłam z niego dumna. Nie była to jednak rzecz, na której by mi specjalnie zależało. Zawsze myślałam, że zostanie lekarzem było jego pragnieniem. Jak się później okazało, byłam w wielkim błędzie. Robił to wyłącznie dla mnie. Nie zaliczył ostatniego roku, ale się do tego nie przyznał. Powtarzał rok, a mnie i rodzinie cały czas mówił, że jest na szóstym, czyli ostatnim roku. Już wtedy pojawiły się jego pierwsze dziwne zachowania. Teraz dopiero je dostrzegam, wtedy raczej kładłam to na karb przemęczenia nauką, przepracowania, stresu. Coraz częściej sięgał do kieliszka. Najpierw było to jedno lub dwa piwa wypijane wieczorami. Potem pojawiły się drinki, a w późniejszym czasie kładliśmy się razem spać trzeźwi, a kiedy budziłam się rano, on był kompletnie pijany, nie był w stanie wstać na zajęcia. Potem je musiał odrabiać, piętrzyły się zaległości, znikał z domu na całe dni. Często był jakby nieobecny, a gdy próbowałam z nim porozmawiać, zapewniał mnie, że wszystko jest w porządku. Miał jednak wtedy jakiś taki dziki wzrok. Przerazał mnie. Kiedy w końcu przypadkowo się wydało, że powtarza rok, a było to prawie po roku oszukiwania mnie, nie byłam w stanie tego zrozumieć. Nie miało to dla mnie znaczenia, że powtarza rok. Dla mnie mógł nawet kopać rowy, jeżeli to dałoby mu szczęście. Ale nie mogłam mu wybaczyć, że mnie tak długo oszukiwał. Że mnie w ogóle oszukiwał!!!

Hubert przytulił Maję, próbował ją uspokoić. Nie chciał, żeby tak bardzo przeżywała te wspomnienia, ale z drugiej strony, bardzo chciał wysłuchać jej historii do końca. I czuł, że ona musi to z siebie wyrzucić.

– Kochanie, odpręż się trochę, odetchnij. Nie chcę, żebyś tak cierpiała, przeżywając wszystko od nowa. Zrobię herbatę, najlepiej z melisy, dobrze nam to obojgu zrobi.

– To raczej poproszę o białe wino – podniosła na niego wzrok, w jej oczach dojrzał cierpienie. Ale też niepokój. Wzięła do ręki kieliszek, okręcała go w palcach przez chwilę, przyglądając się jasnemu płynowi i popijając raz po raz małymi łydkami.

– Toczyliśmy wtedy burzliwe dyskusje. Ja płakałam, krzyczałam, nie mogłam zrozumieć jego oszustwa. On się tłumaczył, błagał o przebaczenie, obiecywał, że nigdy więcej mnie nie oszuka. Nawet zapytałam, czy rzeczywiście chce zostać lekarzem, powiedziałam, że nie musi robić tego

dla mnie, że mi na tym nie zależy, chcę tylko, żeby był szczęśliwy i więcej mnie nie okłamywał. I postawiłam warunek – miał znacznie ograniczyć picie alkoholu. Doszliśmy do porozumienia. Powtórzył szósty rok i dostał dyplom. Teraz nie mogę się nadziwić mojej naiwności, ale tego dyplomu nie widziałam. Najpierw podobno czekał na odbiór, a kiedy wreszcie go otrzymał, musiał w tym samym dniu wysłać go do szpitala, gdzie miał zaplanowany staż. Tak twierdził. Do głowy by mi nie przyszło, żeby poprosić go o pokazanie odpisu dyplomu, chociaż zazwyczaj dostaje się dodatkowo dwie lub trzy kopie. Ale ufałam mu wtedy, a nie chciałam być takim cerberem w spódnicy.

Nie mógł dostać stażu w żadnym szpitalu w Poznaniu, gdzie studio- waliśmy i gdzie ja już zaczęłam pracować. Chciał koniecznie specjalizować się w chirurgii. Dostał miejsce na staż we Wrocławiu, wynajął tam pokój. Przez cały roboczy tydzień mieszkał i pracował we Wrocławiu, a na weekendy przyjeżdżał do Poznania. Opowiadał mi barwnie o swoich dyżurach, opisywał lekarzy, z którymi pracował, operował nazwiskami, opowiadał o ciekawych przypadkach na izbie przyjęć. Mówił na przykład, jak samodzielnie zszywał rozcięty łuk brwiowy u pięcioletniego dziecka. Ja mu znowu wierzyłam. I znowu wszystko układało się wspaniale.

I ponownie umknęło mojej uwadze, że czasami dziwnie się zachowuje. Przestałam być czujna. A on miewał takie napady niepokoju, nie mógł usiedzieć na miejscu, jakby coś go gnało. Nie pił, kiedy przyjeżdżał do Poznania, ale dwukrotnie się zdarzyło, że kiedy odprowadzałam go na dworzec i musiał skorzystać przed odjazdem z toalety, gdy przyszedł, wyczuwałam od niego alkohol. Bagatelizowałam to jednak, zawsze znalazł jakieś wytłumaczenie. I nigdy nie pozwolił odprowadzić się na peron. Pod koniec swojego stażu, oświadczył mi się. Byłam taka szczęśliwa. Wyjechaliśmy na wycieczkę do Włoch, autokarem. Było to zawsze moje marzenie. Miała to być nasza podróż przedślubna. Kiedy byliśmy w Padwie, przyszła ta nieszczęsna wiadomość. Zadzwoniła do mnie jego matka. Nie miałyśmy ze sobą większego kontaktu. Spotkałam jego rodzinę kilka razy, także jego ojca i brata, ale byli bardzo dziwni, jakby złodowaciali. Matka była bardzo oschła, brat obojętny, a ojciec przestraszony. Filip nie był z nimi żyty, niechętnie o nich mówił.

Podczas zwiedzania Padwy odebrałam ten telefon od jego matki, świat się wtedy dla mnie zawalił. Powiedziała mi, że Filip wcale nie skończył studiów, nie zaliczył nadal ostatniego roku. Dowiedziała się o tym, kiedy otworzyła pismo z uczelni adresowane do niego. Kiedy zszokowana, zaczęłam na niego naciskać, żeby wreszcie powiedział mi prawdę, zaczął mówić, jakby została przerwana jakaś niewidoczna tama. Okazało się, że nie dość, że Filip nie skończył studiów, nie był na stażu we Wrocławiu, to jeszcze przez cały czas mieszkał w Poznaniu, waletując w akademiku u kolegi i pracując w supermarkecie. Przeżyłam szok! Jeszcze do tego wszystkiego jego matka miała do mnie pretensje, że go nie upilnowałam. Nie chciałam z nim rozmawiać. Nie mogłam znowu słuchać tego jego błagalnego tonu, jego przeprosin, przeżywać znowu powtórkę z rozrywki. Miałam dość oszukiwania mnie. Chciałam definitywnie wyprowadzić się z naszego pokoju w hotelu, ale zaczął być brutalny, nie chciał mnie puścić, w końcu mnie uderzył. Szarpał mnie za włosy, a w końcu wymierzył mi cios pięścią w policzek. Poczułam, jakby w mojej głowie eksplodował granat. Myślałam, że mi złamał nos. Potem mnie przeproszał, ale znowu miał tę dzikość w oczach, a ja naprawdę zaczęłam się go bać. W nocy, kiedy wreszcie zasnął upojony nadmierną ilością włoskiego wina, spakowałam po cichu moje rzeczy i opuściłam hotel. Wróciłam do Polski pociągiem, z pięcioma przesiadkami i dwoma odcinkami pokonanymi autostopem. Przez następny tydzień chodziłam z podbitym okiem i spuchniętym nosem. Powieki miałam tak obrzęknięte, że przez dwa dni nie mogłam otworzyć oka. Po powrocie w ciągu kilku dni zlikwidowałam nasze mieszkanie, w tym samym czasie znalazłam pracę w Rabce i wyjechałam. A dzisiaj zobaczyłam go w hotelu. I wyglądał strasznie, był zupełnie dziki. Wyglądał, jakby był obłąkany. Boję się go. Ale nie mam pewności, czy to na pewno był on.

Maja zastygła wpatrzona w dal. A jemu rozdzierało się serce. Nie miał pojęcia, że ta dziewczyna tyle przeżyła. Fascynowała go od początku, ale raczej wzięłby ją za rozkapryszoną panienkę z dobrego domu niż dziewczynę wychowywaną w domu dziecka, niemającą nikogo bliskiego, żadnej rodziny i to jeszcze po takich przeżyciach. Głaskał ją delikatnie po plecach, nic nie mówił, chciał jej dać chwilę na ochłonięcie po

wyrzuceniu wreszcie z siebie wspomnień tych mrocznych wydarzeń.

– Obawiasz się go? Podejrzewasz, że może wyrządzić ci krzywdę? Jeżeli tak, to może zawiadomimy policję? – Martwił się o nią bardzo, czuła to.

– Pojadę z tobą – powiedziała, nadal na niego nie patrząc. Była smutna, zrezygnowana.

– Majeczko, nie wiesz nawet, jak bardzo się cieszę, że będziemy razem, że ze mną pojedziesz. Ale nie chcę, żeby to była forma twojej ucieczki. Chciałbym, żebyś po prostu ze mną pojechała, bo chcesz ze mną być, a nie dlatego, że uciekasz.

– Bardzo chcę z Tobą być... ale też bardzo chcę uciec.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

### HUBERT

Obudził się koło południa, na chicagowski czas oczywiście. Przeciągnął z rozkoszą, obok siebie czuł to cudownie miękkie i ciepłe ciało Mai. Spała przy nim, zwinięta niczym kociak, wtulając swoją twarz w załamanie jego ramienia. Momentami pochrapywała cichutko. Kiedy kładli się nad ranem, widział, że jest bardzo zmęczona. Nie tylko wielogodzinna podróż nadwyczerpała jej siły, ale chyba przede wszystkim towarzyszący jej stres. Nie pomogły zbyt wiele ziołowe tabletki na uspokojenie, które zażywała kilkakrotnie w czasie podróży. Nie chciała niczego mocniejszego, a te ziółka były, szczerze mówiąc, gównem warte. Dopiero pod koniec podróży, kiedy wreszcie zgodziła się wychylić szklaneczkę whisky&soda, zasnęła i przestała wbijać w jego rękę paznokcie. Przez najbliższe dni będzie leczył poranione dłonie, ale zniósłby o wiele więcej, żeby tylko ona tu z nim była.

Te kilka dni przed wyjazdem to było istne szaleństwo. Załatwianie wizy, której prawdopodobnie by nie dostała, gdyby nie jego znajomości i solidna pozycja w Chicago. Potem na wariackich papierach pakowanie walizek, organizowanie najpilniejszych spraw związanych z domem w Żegutkowie. I jeszcze ten niepokój, który udzielił się i jemu. Maja pokazała mu zdjęcie Filipa. Było niewyraźne, bo zniszczyła większość fotografii, na których on był; to zachowało się tylko przez przypadek. Mało prawdopodobne, żeby mógł go rozpoznać, nawet gdyby się z nim zderzył, ale miał przed oczami chociaż zarys jego postaci. Tak więc oboje rozglądali się wokoło siebie codziennie, usiłując wysledzić Filipa, ale żadnemu z nich to się nie udało. W końcu Majka zaczęła wątpić, czy rzeczywiście go widziała. Czy nie był to tylko ktoś podobny, złudzenie może?

Wstał powoli, starał się bardzo, żeby jej nie obudzić. Niech sobie jeszcze pośpi. Cicho zszedł na dół po schodach, wszedł do salonu, nacisnął przycisk automatycznego podnoszenia rolet i wyszedł na ogród.



Z tarasu jego domu, położonego na niewielkim wzniesieniu, rozpościerał się widok na leżące nieopodal jezioro Green Lake. Dom mieścił się na północnych przedmieściach Chicago, w miejscu zwanym Buffalo Grove. „Bawoli Gaj”, tak można by to przetłumaczyć, zawsze podobała mu się ta nazwa. Cicha, spokojna dzielnica, lubił tu żyć. Do pracy nie miał daleko, oczywiście jak na amerykańskie realia. Do firmy, która mieściła się w dzielnicy biznesowej Chicago Loop, w samym centrum, jechał drogą Illinois Route 83 około godziny. No, chyba że trafił na jakieś gigantyczne korki. Z okien sypialni umieszczonej na piętrze oraz z tarasu miał widok na położone w pobliżu jezioro i otaczający je pas zieleni. Całkiem sporo osób uprawiało jogging na ścieżkach przy brzegu, sporo także siedziało na ławkach, łapiąc może ostatnie ciepłe promienie słońca. Drzewa rosnące w alei wzdłuż brzegu powoli zaczynały przybierać jesiennie barwy. Mieniały się złocistą żółcią w promieniach słońca. Dzisiaj był piękny dzień. Słońce przygrzewało jeszcze całkiem przyjemnie, na niebie nie widać było żadnych chmur. Na drodze po drugiej stronie jeziora panował za to niewielki ruch, jak na tę porę dnia przystało. Oparł się o balustradę, wdychając głęboko rześkie powietrze. Spędził w tym domu tyle lat, a wystarczyło parę tygodni w Rabce, żeby tam poczuł się jak w domu, a tu jakby przebywał tymczasowo. Czuł, że to już nie jest jego miejsce.

Przed przyjazdem zadzwonił do Manueli, gosposi, która pochodziła z Meksyku i zajmowała się jego domem, kiedy jeszcze żyła Maria. Była dla niego prawie jak rodzina. Powiadomił ją, że przyjedzie z Mają, poprosił, żeby przygotowała dom na ich przyjazd oraz żeby pochowała zdjęcia Marii, których w całym domu było sporo. Stały w zasadzie w każdym pomieszczeniu, no, może oprócz łazienki. Nie prosił o to dlatego, żeby miał coś do ukrycia. Nie chciał po prostu, żeby Maja czuła się przez jego zmarłą żonę osaczona, przytłoczona. Chciał, żeby czuła się tutaj swobodnie, żeby byli szczęśliwi. Pokaże jej wszystkie zdjęcia, ale w swoim czasie. Popatrzył na ogród, który podobnie jak drzewa zaczynał przybierać jesienną szatę. Coraz więcej pojawiało się żółcieni i złocistych kolorów. Pośrodku owalnego klombu dumnie prezentowała się wybarwiająca się malinową czerwienią trzmielina oskrzydłona, której sadzonkę przed kilkoma laty przemycił z Polski. Widok przebarwionego

krzewu był tak zachwycający, że roślinę tę nazwano nawet „płonącym krzewem”, ponieważ rzeczywiście wyglądała jak ognisty pióropusz. Teraz nie mógł oderwać od niej oczu.

Pomyślał, że Maja będzie bardzo głodna, kiedy się obudzi. Wszedł do kuchni, włączył ekspres do kawy, otworzył drzwi lodówki i zlustrował jej zawartość. Nie był zbyt dobrym kucharzem, ale tosty potrafił zrobić. Do tego świeżo zaparzony dzbanek kawy, mleko i stewia – to oczywiście dla Mai. Sok pomarańczowy i może jeszcze kawałek ciasta drożdżowego, pieczonego przez Manuełę, ale smakującego jak z polskiej cukierni. Taka sama porcja dla niego. Położył wszystko na tacy i ostrożnie, żeby nie porozlewać napojów, wniósł to po schodach do sypialni. Postawił tacę na stoliku przy łóżku i zdecydowanym ruchem odsłonił zasłony.

– Witam cię w Ameryce, kochanie – powiedział, siadając na brzegu łóżka i zanurzając nos we włosach Mai, niesformnie przykrywających jej szyję. Pachniała tak rozkosznie. Przez aromat różanych perfum i żelu do mycia, przebijał się ten niepowtarzalny zapach jej ciała. „Ciekawe zestawienie” – pomyślał.

– Muszę cię obudzić, bo jeżeli będziesz dłużej spała, *jet lag* nie da ci żyć przez następne trzy dni.

– Yhy... mruknęła tylko i przekreśliła się na drugi bok, znowu związając się w kłębek.

– Kochanie, pobudka, zaspalaś do pracy! – Kiedy i to nie pomogło, wsunął swoją głowę delikatnie pod kołdrę, zaczął łagodnie całować jej łydki, piął się coraz wyżej. Maja się poruszyła, przeciągnęła, przewróciła na plecy. Zaczynała się budzić. On nie przerywał swojej wędrówki. Subtelnie łaskotał wewnętrzną powierzchnię jej ud. Była taka ciepła. Miała taką aksamitną skórę, za każdym razem, kiedy jej dotykał, nie mógł się temu nadziwić. Jak Stwórca mógł stworzyć coś tak delikatnego? I ten zniwalający zapach! Nie miała na sobie niczego, oprócz jego T-shirta. Kiedy skonani dotarli nad ranem do domu, każde z nich wzięło tylko szybki prysznic. Nie zwracając sobie głowy rozpakowywaniem walizki, Maja ubrała jego koszulkę, po czym oboje zasnęli kamiennym snem. Przytuleni do siebie jak łyżeczki, bez żadnych erotycznych podtekstów. Teraz jednak, kiedy tak ją pieścił, wędrował ku jej najintymniejszym

miejscom, czuł, jak rozpala się w nim pożądanie.

Maja poruszyła się, mrużąc jak kocica. Odchyliła kołdrę i patrzyła na niego, kiedy jego usta dotarły do celu. Nabrała głęboko powietrza, odchylając głowę ku tyłowi i zamykając oczy. Obserwował ją, a jej reakcja wzmagała tylko jego pragnienie. Gładził rękoma jej talię, docierał coraz wyżej i wyżej. Uwielbiał patrzeć na nią w takich momentach. Miała ciało koloru jasnej brzoskwini, które w chwilach uniesienia przybierało barwę moreli albo nawet jasnego koralu. Była taka piękna, fascynowała go z każdym dniem intensywniej.

Maja poruszała się coraz bardziej niespokojnie, po jej senności nie było już śladu. Złapała go za włosy i pociągnęła do siebie, składając gorący pocałunek na jego ustach. Jej dłonie błądziły po jego plecach, po tych napiętych mięśniach, oddech przyśpieszał, jej ciało stawało się coraz bardziej gorące. Nie mogli złapać tchu, tak gwałtowne stały się ich pocałunki. Czuli obydwoje, że tylko całkowite połączenie może dać im ukojenie. A kiedy to się stało, mieli wrażenie, że przez chwilę oderwali się od miękkiego materaca łóżka i lewitowali w powietrzu, żeby wreszcie łagodnie jak dwa, spadające z wysokości, piórka, wrócić na swoje miejsca w rzeczywistości. Objęci, czekali, aż uspokoją się ich szalejące serca i oddechy, kiedy błogość ogarniała ich ciała.

– Co za pobudka... – powiedziała Maja, poruszając się zmysłowo, jednocześnie wtulając się jeszcze bardziej w jego objęcia. – Czy mogę tak prosić codziennie? – zapytała zalotnie.

Patrzył na jej piękną twarz, złociste piegi na nosie, potargane seksem rude, kręcone, niesforne włosy i oszołomiło go to, co właśnie odczuł. Że ta kobieta jest jego portem, że dobił do celu i niczego już w życiu nie musi szukać. Że to jest jego szczęście.

– Kocham cię, Maju. Jesteś doskonała – wyszeptał. Włożył w te słowa całe wypełniające go uczucie.

Maja spoważniała, patrzyła głęboko w jego mieniące się miodowym blaskiem tęczy. Włókna.

– Jesteś moją miłością. Jesteś moim sterem, żeglarzem, okrętem. Prowadź mnie, a pójdę za tobą wszędzie – mówiąc to, swoimi delikatnymi dłońmi czule obejmowała jego twarz, a promienie słońca wpadające przez szyby łaskotały ich nagie ciała.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

### MAJA

Mknęli jego Lincolnem autostradą I-94 E w kierunku centrum Chicago. Downtown, jak to mówią miejscowi, albo Loop. Co tu dużo mówić, była oszołomiona. W szoku, tak, to chyba bardziej odzwierciedlało jej stan. Żadne zdjęcia ani reportaże nie oddadzą tego ogromu amerykańskich miast. Już Nowy Jork, który oglądała niestety tylko z lotu ptaka, wywarł na niej ogromne wrażenie. Mieli międzylądowanie na lotnisku Kennedy'ego, gdzie wręcz w biegu przesiadali się na samolot linii TWA do Chicago. Wchłonął ich tłum pędzących w różnych kierunkach ludzi. Każdy zajęty był własnymi sprawami, rozmawiający przez telefon czy po prostu podążający w tylko sobie znanym kierunku. Pierwsze wrażenie, jakie odniosła po wyjściu z samolotu, mówiło jej, że to nie ludzie, tylko jakieś pędzące cyborgi. Nie miała jednak zbyt wiele czasu, żeby się nad tym zastanawiać, Hubert trzymał ją mocno za rękę, inaczej pogubiliby się w tym tłumie. Prawie biegiem zdążyli w kierunku następnego terminala. A potem, znużona podróżą, zasnęła w samolocie. Nie wiedziała nawet, kto i kiedy okrył ją kocem i włożył pod głowę jasek. Podczas poprzedniego lotu co chwilę musiała walczyć z atakami paniki. Teraz wygrało zmęczenie. I dobrze. Obudziła się dopiero wtedy, kiedy stewardesy nakazywały postawić fotele do pionu i zapiąć pasy. Kiedy wysiedli na lotnisku O'Hara w Chicago mechanicznie podążyła znowu za Hubertem, żeby momentalnie zasnąć po wejściu do żółtej taksówki Yellow Cab.

Nie zwróciła nawet uwagi na to, jak wyglądał dom Huberta, zresztą było ciemno, kiedy późną nocą wreszcie dojechali na miejsce. A potem, po szybkim prysznicu, wtulona w swojego mężczyznę, znowu zasnęła jak kamień. A rano była pobudka, och... cudowna wręcz. Chciałaby tak budzić się codziennie. A teraz jechali do centrum, do tych sławetnych drapaczy chmur. Hubert chciał koniecznie pokazać jej to serce miasta, a przy okazji musiał wstąpić do swojego biura, które mieściło się w jed

nym z wieżowców w tej okolicy.

Dopiero wczesnym popołudniem byli gotowi wyruszyć w drogę. Słońce już zaczynało się zniżać po horyzont, jak na tę porę roku przystało i oświetlało łagodnym światłem całą posesję. Podczas gdy Hubert wyprowadzał samochód z garażu, Maja miała chwilę, żeby się przyjrzeć posiadłości. Zbudowany z jasnobezowej cegły, rozłożysty, z podwójnymi białymi drzwiami garażowymi z boku, białymi oknami i drzwiami wejściowymi oraz grafitowym dachem dom prezentował się bardzo okazale, wręcz dostojnie. Beż, biel i grafit. Część z garażami była parterowa, nad pozostałą bryłą natomiast wznosiło się piętro, wszystko pokryte było czterospadowym, usytuowanym na dwóch poziomach dachem. Trawa przed domem była pięknie przystrzyżona, oczywiście, żadnych płotów, tylko pojedyncze ozdobne krzewy i drzewa. Pod oknami od frontu zachwycająco kwitły w odcieniach bieli, różu i fioletu półorametrowe hortensje, których dorodne kwiaty zdawały się niemalże pnieć w gęszczu ciemnozielonych liści. Wzdłuż szerokiej ulicy rosły wysokie, rozłożyste platany, ich liście o tej porze roku zaczynały się już przebarwiać na żółty kolor, na razie jeszcze stanowiły pstrą, żółtozieloną mozaikę. Kora tych drzew, łuszcząca się w barwach jasnoszaro-beżowych, przypominała materiał kurtki moro, koloru, jaki od wielu lat nie wychodzi z mody. Odniosła wrażenie, że drzewa te pachną swoiście, bardzo subtelnie, ale jednocześnie upajająco.

„To wszystko wygląda jak jakiś „american dream” – pomyślała. Wielu Polaków, którzy tu przyjeżdżali, marzyło o takim domu, o takim życiu. Hallelujah jak śpiewa Leonard Cohen. Nie wiedziała właściwie, dlaczego przypominała jej się ta piosenka, ale chyba po prostu skojarzyła jej się z taką prawdziwą Ameryką. – Hallelujah, jestem tu i widzę to!”

Przez przednią szybę samochodu dostrzegła zarys drapaczy chmur. Z daleka wyglądały jak klocki lego w różnych odcieniach brązu, ułożone w skupisko różnej wysokości wież. Nie odzywała się od dłuższego czasu, chłonęła otoczenie, wszystko było dla niej nowe. Hubert przypatrywał się jej, co chwilę odwracając głowę w jej kierunku. Mknęli teraz środkowym pasem pięciopasmowej autostrady, pozostałe nitki prawie całkowicie zapełnione były sunącymi w jednym kierunku samochodami,

jak na jakimś filmie science-fiction.

– O czym tak milczysz, Majeczko? Nic nie mówisz, jakie wrażenia?

– Jestem oszołomiona powiedziała, odwracając się ku niemu. Zmęczenie podróżą, zmiana czasu i ogrom wrażeń odebrały mi mowę.

– Można się przyzwyczaić do tego panującego tu wszędzie rozmachu. Zresztą, większą część miasta zajmuje zabudowa jednorodzinna – kontynuował rozmowę Hubert. – Ta najwyższa wieża, którą widzisz przed nami to Willis Tower, ale i tak nadal wszyscy nazywamy ją Sears Tower, a właściwie to po prostu Sears. Od kiedy powstał ten wieżowiec, czyli od 1973 roku, tak się właśnie nazywał, ponieważ jego właścicielem była korporacja Sears. A kiedy został sprzedany w 2009 roku brytyjskiej firmie Willis Group, zmienił swoją nazwę. Mieszkańcy są wściekli na nowych właścicieli, że zdecydowali się to zrobić i ostentacyjnie nazywają budynek nadal Searsem.

– Są sentymentalni jednym słowem – powiedziała z uśmiechem.

– Ja też, bo dla mnie na zawsze będzie to Sears. Ma sto osiem pięter, ponad czterysta czterdzieści metrów wysokości. Na samej górze znajduje się taras widokowy. Zabiorę cię tam kiedyś, będziemy cię leczyć z twojej fobii wysokości – zaśmiał się.

Maja poczuła natychmiast mrowienie i drętwienie w nogach. Wzdrygnęła się. Delikatnie dotknął jej dłoni, widząc malujące się na jej twarzy przerażenie.

– Nie będę cię do niczego zmuszał, kochanie. Nie bój się.

– Jeżeli nie będę musiała podchodzić blisko do krawędzi tarasu, chyba jakoś dam radę. Chciałabym zobaczyć ten widok z góry. Chciałbyś projektować takie wieżowce?

– Nigdy nie było to moim marzeniem – odpowiedział, kręcąc głową.

– Wolę raczej skupić się na mniejszych budowlach. Teraz wraz z moim współpracownikiem projektuję kondominium w Chicago Ridge. Pojedziemy tam, będę musiał podpisać umowę, sprawdzić kilka rzeczy na miejscu, a przy okazji pokażę ci inne dzielnice Chicago.

Tak rozmawiając, zbliżyli się do Downtown, centralnej dzielnicy miasta, reprezentacyjnej, pięknej i nowoczesnej. Przypomniał jej się czas, kiedy przed trzema laty byli z Filipem w Paryżu. Spędzili tam całe cztery dni, zwiedzając miasto od rana do wieczora. Mieszkali w najtań-

szym hostelu w niewielkiej miejscowości w pobliżu Paryża, La Ferté sous-Jouarre, dojeżdżali codziennie do centrum kolejką i metrem. Tacy byli wtedy szczęśliwi! I kiedy w ostatni dzień zwiedzania, wyczerpani okrutnie, postanowili jeszcze tylko rzucić okiem na La Defense, najnowocześniejszą dzielnicę Paryża, żeby ją po prostu odhaczyć ze swojego planu zwiedzania, nie przypuszczali, że doznają tak silnych wrażeń.

Jechali metrem. Kiedy usiedli na siedzeniach, wyciągnęli przed siebie zmęczone nogi i poczuli, że nie mają już na nic siły. Postanowili, że wyjdą tylko ze stacji, rozejrzą się dokoła i wrócą do La Ferté. Żeby, jak to wtedy mówili, być i zobaczyć. Jednak, gdy wynurzyli się z przejścia podziemnego, doznali szoku, osłupieli, zachwyceni rozmachem i nierzezywistym, wręcz kosmicznym, widokiem otaczających ich budowli. Szkło, metal i beton. Brakowało tylko latających między wieżowcami spodków, tudzież innych statków kosmicznych. Przesiedzieli potem ponad godzinę na schodach pod ultranowoczesnym, wręcz futurystycznym łukiem triumfalnym, patrząc wprost na Oś Paryża, zajądając słone paluszki, popijając coca-colę prosto z puszek i kontemplując widoki.

Teraz doznała jakby zwielokrotnienia tamtych wrażeń. Obserwując dotychczas z daleka tę dzielnicę, nie zdawała sobie sprawy z wysokości i wielkości owych budowli. Czuła się jak mrówka, i to taka najmniejsza z najmniejszych. Już kiedy jechali szerokim bulwarem Lake Shore wzdłuż brzegu Jeziora Michigan przytłaczała ją potęga Downtown. I jak wszystko w Ameryce, jezioro także musiało być ogromne. Miała wrażenie, że znalazła się nad morzem albo raczej oceanem. Nie widać było przeciwnego brzegu. Ogrom jeziora, a przed nią ogrom wieżowców. Kiedy wjechali do miasta, z wrażenia nie mogła złapać oddechu. Opuściła szybę w samochodzie, żeby móc lepiej delektować się dźwiękami dochodzącymi z ulicy. Hubert krążył wśród tych najwyższych budynków, aby mogła podziwiać ich potęgę. Wrażenie było naprawdę nie do wyobrażenia, nie do opisanego.

Zatrzymali się przy West Monroe Street numer 115, tam na trzecim piętrze trzydziestopiętrowego budynku mieściło się biuro Huberta. Wszędzie spieszyli ludzie w biznesowych uniformach, z teczkami lub plikami dokumentów w dłoniach.

„Czyżbym znalazła się w Matrixie?” – pomyślała.

Przez przestronny hol weszli do szybkobieżnej windy. Na trzecim piętrze nad wejściem do firmy Huberta widniał napis: „H. Ruszkowski Architect Office”. Weszli do przestronnego holu, w którym umieszczono poczekalnię z małym stolikiem i dwoma fotelami. Obok, za niewysoką ladą, siedziała krótko ostrzyżona blondynka w średnim wieku. Kiedy weszli, podniosła na nich wzrok i po chwili jej twarz rozjaśnił uśmiech od ucha do ucha.

– Szefie! Kiedy szef wrócił? Nic nie wiedzieliśmy, że będzie pan dzisiaj w firmie – poderwała się z krzesła uśmiechnięta i ścisnęła dłoń, którą Hubert podał jej na przywitanie. Maja była rada, że tak pilnie uczyła się angielskiego, nie miała problemów ze zrozumieniem.

– Witaj, Margaret. Maju, poznaj moją sekretarkę i osobę, która wszystkimi tu dyryguje, Margaret Marks. Margaret, to jest moja dziewczyna z Polski, Maja Bogacka.

– Miło mi panią poznać – Margaret wyciągnęła doń rękę, w jej oczach było widać zdziwienie i zaciekawienie. Przyglądała się Polce uważnie.

– Jak się mają interesy podczas nieobecności szefa? – Hubert przeglądał plik listów leżących na blacie.

– Radzimy sobie, Lucas&Goliat zlecieli nam projekt nowej hali magazynowej w Milwaukee, Richard się tym zajął.

– Tak, mówił mi o tym. Czy Sarah jest u siebie?

– Tak szefie, jest u niej właśnie Richard.

– W takim razie porozmawiam z nimi. Czy możemy poprosić o kawę? Maju napijesz się?

– Chętnie – odpowiedziała z uśmiechem.

– Już się robi, szefie – Margaret zaszalutowała i schyliła się pod blat, pobrzękując filiżankami.

W holu znajdowało się troje drzwi. Na każdym widniała tabliczka z nazwiskiem. Sarah Parker, Richard Greyston i Hubert Ruszkowski. Hubert zapukał do drzwi z tabliczką Sarah Parker i nie czekając na zaproszenie, otworzył je szeroko.

– Hubert, wróciłeś! – rozległ się kobiecy głos pełen radości i urodziwa, smukła brunetka rzuciła się w jego objęcia. – Dlaczego nie dałeś



znać, odebrałabym cię z lotniska. – Maja stała w drzwiach, obserwując tę scenę. Na krześle przy biurku siedział trzydziestokilkuletni mężczyzna z dreadami na głowie, uważnie się jej przyglądając.

– Przyjechaliśmy dzisiaj w nocy, do ostatniej chwili nie wiedzieliśmy, na jaki termin uda nam się zabukować bilety – odpowiedział zduszonym głosem. Wyswobodził się z objęć brunetki, odwrócił w kierunku Mai i przyciągając ją do siebie, przedstawił współpracownikom:

– To jest Maja Bogacka, moja dziewczyna – to mówiąc, pocałował ją w skroń. Wpatrywał się w Maję wzrokiem pełnym miłości. I dumy. Żaden obserwator nie miałby wątpliwości co do uczuć, jakimi darzy tego rudzielca. Maja zauważyła błysk irytacji i zaskoczenia na twarzy Sarah. Po chwili jej usta rozjaśnił uśmiech, ale nie sprawiała wrażenia uradowanej. Śmiały się tylko usta, oczy pozostały nieruchome. Skrywała jakieś uczucia, niechęć, może nawet wrogość. Wyciągnęła do niej dłoń na przywitanie, tak jak robią to kobiety podające dłoń mężczyźnie do ucałowania.

– To jest Sarah, siostra mojej zmarłej żony i moja prawa ręka w pracy – dopełnił prezentacji.

– Witam w naszej firmie – powiedziała, siłąc się na serdeczność. Hubert zdawał się niczego nie zauważać. Richard poderwał się w tym czasie z krzesła i jowialnie objął Maję w serdecznym uścisku.

– Czyli nasz Hubert wrócił do żywych. I to dzięki tobie. Już cię za to lubię. Jestem Richard, druga prawa ręka Huberta – nie czekał na oficjalną prezentację.

Nie sposób było się nie roześmiać, słysząc tak serdeczne słowa. Maja odniosła wrażenie, że się polubią. Natomiast wobec Sarah wyczuwała rezerwę. Margaret wniosła na tacy filiżanki i dzbanek z parującą kawą, postawiła na biurku i nalewając, podawała każdemu.

– Słyszałem, że interesy mają się dobrze. Mamy nowe duże zlecenie, cieszy mnie to. Ale nie będziemy dzisiaj o tym rozmawiać. Przyjadę za dwa, trzy dni do firmy i omówimy wszystko, łącznie z tym projektem kondominium, który był głównym powodem mojego przyjazdu. Dzisiaj pokazuję Mai Downtown i moją firmę, musimy trochę dojść do siebie po podróży.

– W takim razie zapraszam was na sobotę do mojego domu do Gary. Po południu mają przyjechać ciocia Ellen i wujek Mark z Indiany. Dawno cię nie widzieli, ucieszą się – mówiąc to Sarah gładziła Huberta po ramieniu. Wyglądała jakoś tak drapieżnie. Była chyba krótko przed czterdziestką, o nienaganej figurze, długich, smukłych nogach obutych w wysokie czółenka, podkreślonych dodatkowo czarną mini spódniczką. Czerwona bluzeczka ze sporym dekoltem przydawała sylwetce seksapilu, ale jednocześnie nieco wulgarności. Długie, ciemne, proste włosy, które opadały swobodnie na ramiona, odrzucała do tyłu raz po raz wystudiowanym ruchem. Z uszu zwisały jej złote kolczyki w kształcie dużych kół. Całość mówiła: „patrzcie na mnie i podziwiajcie”. Stanowiła typ pewnej siebie i nieustępliwej kobiety, która wie, czego chce od życia.

– Co ty na to, kochanie? – Hubert miał ochotę na to spotkanie, czuła to. Ona nie, ale nie chciała na samym początku psuć ich wspólnych stosunków.

– Z przyjemnością – odpowiedziała, przełykając niepostrzeżenie uczucie niechęci.

– W takim razie uzgodnione – Sarah klasnęła w dłonie, po czym ucałowała Huberta w policzek, przeczesała czułym gestem jego włosy, jakby nic sobie nie robiła z obecności Mai. Jakby uzurpowała sobie do niego jakieś prawo.

Dopijając kawę, przez kilkanaście minut rozmawiali o błahych sprawach, o pobycie Huberta w Polsce, o tym, jak się poznali z Mają. Kiedy po kilkudziesięciu minutach wyszli na zewnątrz, poczuła ulgę. Nie mogła przestać myśleć o Sarah, o jej zaborczym, władczym zachowaniu wobec Huberta. Ale czy warto było się tym zamartwiać? Chyba nie. Nadchodził piękny wieczór, była w tak fascynującym kraju z mężczyzną, którego coraz bardziej kochała. Jaki był sens psuć to wszystko? Zdecydowanie żaden!

Droga powrotna jak zwykle zdawała się krótsza. Przez cały czas Maja była mało rozmowna. Odpowiadała zdawkowo na pytania Huberta, zresztą on tak bardzo tych odpowiedzi nie potrzebował. Całą drogę gadał jak nakręcony. O wszystkim: o firmie, Richardzie, Sarah i jej siostrze Mary, jak się poznali na studiach, jak to się świetnie razem bawili.

O przewijających się ciągle nowych panienkach Richarda, o wujostwie, których spotkają u Sarah i o wielu różnych sprawach. Był szczęśliwy, czuła to. Miał ją tu, na swoim terenie. Mógł jej tyle rzeczy pokazać, gościć ją, opiekować się nią. Ot i cała męska natura. Nie, żeby jej to przeszkadzało. To cudowne uczucie być tak przez kogoś dopieszczaną.

– Sarah żywi chyba wobec ciebie bardzo ciepłe uczucia. Zawsze tak było? – nie wiedziała, dlaczego zadała to pytanie.

– Znamy się od wielu lat, zawsze się przyjaźniliśmy. Poznałem ją na studiach, jeszcze zanim spotkałem Mary, była rok wyżej niż ja, także na architekturze. To z nią najpierw się zaprzyjaźniłem. Ale kiedy spotkałem jej siostrę, Mary, to w niej się zakochałem.

„I tu jest pies pogrzebany” – pomyślała.

– Jest mężatką, ma rodzinę?

– Nigdy nie była zameżna. Miała w życiu kilku facetów, ale chyba żadnego nie traktowała poważnie. Ot, jak pieski do zabawy.

„Bo żaden nie był tobą...” – taka myśl przemknęła przez świadomość Mai, ale nie powiedziała tego głośno. Musi mieć się na baczności i tyle.

Hubert wspominał czasy studenckie. Z odtwarzacza CD w samochodzie rozchodził się głos Jasona Mraza, z płyty, którą dostał od Mai tuż przed wyjazdem. Muzyka była cudownie relaksująca, głos Huberta taki łagodny, stopniowo odpływał od niej gdzieś w dal. Nie wiedziała, kiedy zasnęła. Poruszona czułym pocałunkiem, otworzyła wreszcie oczy. Samochód stał na podjeździe przed domem Huberta, a światło lampy nad drzwiami oświetlało hortensje, nadając im bajkowego wyglądu.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

### FILIP

Nic nie mógł na to poradzić, stracił ją z oczu. I to zaraz po tym, jak ją odnalazł. Kiedy na nią spojrział wtedy, w tym holu hotelowym, poczuł jakby czas się cofnął. I wreszcie się uspokoił. Ustała ta gonitwa myśli w jego głowie, wszystko nagle znalazło się na miejscu, jakby ktoś poukładał starannie w kartonie rozrzucone wcześniej kostki domina i zamknął wieczko pudełka. I zapanował spokój. Miał wrażenie, że wszystko wokół przyhamowało, jakby oglądał na ekranie film na zwolnionych obrotach. Ale przeraziła go jej bliskość, wycofał się, uciekł właściwie. Biegł przed siebie, dopóki nie mógł już złapać tchu. Wiedział, że go zobaczyła, bał się, że ją spłoszy. Postanowił się przyczaić, dać jej trochę czasu na oswojenie się z myślą, że znowu się odnaleźli. Trochę czasu na zaakceptowanie tego faktu. Wiedział, że za nim zatęskni, że w końcu będzie cała jego i kiedy pojawi się przed nią po kilku dniach, będzie szczęśliwa, że on jest. Że ją odnalazł.

Postanowił zostać tu na dłużej. Co za różnica, czy mieszka w Poznaniu, czy w Rabce. Byle bliżej niej. Początkowo zatrzymał się w schronisku młodzieżowym. Podał się za studenta. Wprawdzie nie miał żadnej legitymacji studenckiej, ale wyglądał dość młodo i ostatnimi czasy nauczył się wciskać niezły bajer, zakwaterowali go więc.

Zaczął szukać pracy. Znalazł ją w tartaku. A po kilku dniach w baraku należącym do firmy wynajęli mu pokój. W drewnianym parterowym budynku mieściły się jedno- i dwuosobowe pokoje wzdłuż długiego korytarza, do tego łazienka z kilkoma prysznicami i wspólna dla wszystkich kuchnia. W pokoju miał metalowe łóżko, sosnową szafę, krzesło i niewielki stolik. Wystarczyło mu to. Wrócił na dwa dni do Poznania. Poprosił w pracy o wypowiedzenie umowy w trybie natychmiastowym, zrezygnował ze swojej wynajmowanej kanciapy, spakował rzeczy (a nie było ich wiele) i następnego dnia był z powrotem w Rabce. Nie pokazy-

wał się Mai w tym czasie, chciał, żeby ochłonęła, żeby oswoiła się z myślą, że on znowu jest w jej życiu.

Spokój, który poczuł w momencie, kiedy ją zobaczył, nie opuszczał go. Zniknęła ta cała nerwowość, to mówienie do siebie, ta gonitwa myśli w głowie. Jego umysł, serce, myśli wypełniała znowu Maja. Ona była najważniejsza. Osiągnął wewnętrzną harmonię.

Zaczął pracę w tartaku. Początkowo było ciężko. Nie był typem mięśniaka, ale nie był też słabeuszem. To, że był szczupły, nie znaczyło, że był słaby. Pracował w końcu od kilkunastu miesięcy w magazynie, podnosił tam takie ciężary, że niejeden osiłek by się zdziwił, że jest w stanie to zrobić. Tu jednak praca była zdecydowanie cięższa, ale wiedział, że da radę, nie podda się. Wieczorami, kiedy leżał w łóżku, czuł każdy mięsień, lecz i to mu nie przeszkadzało. Miał uczucie, jakby się odradzał, jakby zaczynał nowe życie. Jakby ciężką pracą miał odpokutować swoje winy. I nie próbował nawet skontaktować się z Mają. Przyczaił się. Ciężko pracował, zarabiał niezłe pieniądze, sam się zdziwił, że na prowincji, pracując fizycznie jako niewykwalifikowany robotnik, można tyle zarobić. I bezustannie o niej myślał. Jak to będzie, kiedy wreszcie się spotkają? Co jej powie? Jak się zachowa?

Kiedy nadszedł wreszcie ten moment, kiedy zaplanował ich spotkanie, wziął wolny dzień. Trzy razy brał prysznic, ciągle miał wrażenie, że nie jest dość czysty. Ubrał białą koszulę, granatową bluzę i świeżo wyprane dżinsy. Chciał wyglądać odświętnie, w końcu był to dla nich obojga bardzo ważny dzień.

Włosy urosły mu do ramion, zapomniał, że istnieje taka instytucja jak fryzjer. Nie był mu potrzebny. Jego brodę pokrywał kilkudniowy zarost. Wyglądał trochę, jak traper z Alaski. Kumple z pracy mówili na niego „Dziki”. I trochę tak się czuł. Ale to były dobre odczucia, jakby się narodził na nowo. Jakby wszystko to, co zrobił w życiu złego, zostało za nim w Poznaniu. Jakby ta ciężka praca była jego pokutą, odkupieniem jego grzechów, zadośćuczynieniem. Życie w zgodzie z naturą i w jej rytmie było oczyszczające.

Wędrował z tartaku w stronę miasta drogą, która wiała się między wzgórzami. Zajmowało mu to zazwyczaj około pół godziny. Na plecach miał zarzucony swój stary, sfatygowany plecak, jeszcze z czasów li-

ceum. W uszach słuchawki, z których dobywała się muzyka zespołu Metallica. Głośna, żywa i intensywna. Takiej właśnie potrzebował. Po drodze zrywał polne kwiaty. Maja je zawsze uwielbiała, to były jedyne kwiaty, które chciała mieć w domu. O innych mówiła, że to wytwór foliowej hodowli. Im dłużej szedł, tym bukiet stawał się bardziej okazały.

W oddali dojrzał wreszcie zarys hotelu. Serce zaczęło mu bić mocniej, odczuwał podniecenie, ale nie takie nerwowe, jak przed przyjazdem tutaj. Takie normalne, łagodne, serdeczne, nie agresywne. Czuł, jakby przepelniała go dobroć, miłość. Czuł się częścią natury.

W holu na szczęście nie było ludzi. Za kontuarem stał młody mężczyzna, ten sam, którego widział w dniu, kiedy zjawił się tu po raz pierwszy. Na plakietce przypiętej do koszuli na piersiach miał wygrawerowane imię – Łukasz. Nie było nikogo więcej. Mai nie było. Niepewnie podszedł do recepcjonisty.

– Dzień dobry, czym mogę służyć? – zapytał recepcjonista uprzejmie, przyglądając mu się z zaciekawieniem.

– Czy zastałem Maję Bogacką? Jestem jej znajomym – głos mu drżał, serce galopowało, jakby chciało opuścić jego udręczone ciało. W rękach ścisnął, chyba zbyt mocno, polny bukiet.

Mężczyzna zza kontuaru przez chwilę przyglądał mu się uważnie, ale w końcu jego twarz rozjaśnił serdeczny uśmiech.

– Przyjaciele Majki są moimi przyjaciółmi – odpowiedział. – Niestety, Maja jest na urlopie, wzięła bezpłatny urlop na czas nieokreślony. Nie wiem, kiedy będzie w pracy.

Ziemia zaczęła się pod nim trząść, grunt usuwał mu się spod stóp, zapadał się sufit i zaczynało mu brakować powietrza. „Wszystko na darmo” – pomyślał.

– A czy może mi pan podać jej adres, może uda mi się zastać ją w domu? Przejechałem taki kawał Polski, a wkrótce muszę wracać. Bardzo chciałbym się z nią zobaczyć – powiedział nieco rwącym głosem.

– Przykro mi, ale nie mogę. Proszę może przedzwonić w przyszłym tygodniu. Maja miała dać znać, do kiedy będzie na urlopie, może będę mógł panu coś więcej powiedzieć.

Nic nie odpowiedział. Zwiesiwszy głowę, ruszył ku drzwiom. Po

drodze wrzucił kwiaty do kosza stojącego przy drzwiach.

„Wszystko na nic – pomyślał. – Uciekła, przestraszyłem ją. Ale przecież nie zrezygnowała z pracy. Więc wróci... tak, wróci. A ja będę na nią czekał”.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

### MAJA

Kilometry uciekały, a ona coraz bardziej się denerwowała. Tym spotkaniem, nieprzewidywalną Sarah, obawą, czy wujostwo Huberta, a właściwie jego zmarłej żony, ją zaakceptuje. Pociły jej się dłonie, raz po raz wycierała je w papierową chusteczkę trzymaną w rękach. Hubert obserwował ją kątem oka i co chwilę uspokajającym ruchem poklepywał po rękę, łagodnie się do niej uśmiechając. Opuścili już granice Chicago i jechali autostradą w kierunku Gary. Ruch jak zwykle był spory, samochody sunęły w tym samym kierunku, jakby wszystkie w tym samym tempie, jak gdyby przemieszczały się na jakimś taśmociągu. Widoki tym razem nie były zachwycające. Wokół pełno było starych zakładów pracy, hal fabrycznych, nieciekawych domostw, które otaczał przemysłowy teren i w dodatku niezbyt zadbane. Ameryka nie składa się tylko z imponujących czy pięknych budowli, ale także ze slumsów. To, co oglądała za szybą, niekoniecznie je przypominało, ale również nie cieszyło oka.

– Majeczko, czym się tak martwisz? – W pytaniu Huberta wyczuła troskę.

– Nie martwię się, kochanie. Obserwuję po prostu otoczenie i szczerze mówiąc, zaskoczona jestem jego brzydotą. Myślałam, że w Ameryce wszystko jest piękne. A tu owszem, imponująca autostrada, ale otoczenie paskudne.

– Ameryka jest pełna kontrastów – odpowiedział zamyślony. – Czasami nie możesz wyjść z podziwu, jakie piękne i wspaniałe rzeczy może stworzyć człowiek, a za chwilę jesteś w szoku, do jakiej ruiny może doprowadzić inne. Na przykład Gary. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu było to całkiem przyzwoite miasto, ale teraz nie chciałbym w nim mieszkać. Od 1960 roku liczba mieszkańców z ponad stu siedemdziesięciu tysięcy zmniejszyła się prawie o połowę. Kiedy wiele lat temu zamknięto stalownię, skończyło się życie miasta i teraz po prostu ono umiera. Podobnie jak Detroit, tylko nie straszy szkieletami drapaczy chmur. Władze



miasta robią, co mogą, żeby ratować umierający twór. Nawet do niedawna można było kupić opuszczony dom za przysłowiowego dolara, wszystko, żeby tylko ograniczyć emigrację ludzi, zachęcić mieszkańców do pozostania i inwestowania na miejscu. Efekt, niestety, na razie jest marny.

– Nie warto więc kupować takiego domu? Może przyszłość okaże się dla miasta bardziej łaskawa, może jeszcze ma jakieś szanse?

– Wierz mi, nie chciałabyś tu mieszkać. Przystępność jest tu bardzo wysoka, nie wiem, czy nawet nie najwyższa w Stanach. Zdecydowana większość mieszkańców to Afroamerykanie i w dodatku zdesperowani i rozjuszeni brakiem pracy. Co chwilę słyszy się o jakichś napadach, rabunkach, morderstwach. A domy oferowane na sprzedaż są zazwyczaj w bardzo kiepskim stanie. Zresztą, miasto staje się coraz brzydsze. Ulice straszą pustką, a stare budynki czarnymi dziurami w miejscach okien. Na szczęście Sarah nie mieszka w Gary, tylko ma posiadłość za miastem, tam jest spokojnie. I ładnie. Zobaczysz, spodoba ci się.

– Nie wątpię – westchnęła, odwracając głowę do okna.

– Na pocieszenie powiem ci, że właśnie z Gary pochodzi twój ulubieniec, Michael Jackson. Urodził się tam i spędził wczesne dzieciństwo w niewielkim, skromnym domku. Zdziwiłabyś się, jaki jest nieciekawym, otoczenie także nie jest zachęcające. Chyba nie ma tam obecnie nawet żadnego muzeum Michaela Jacksona, do niedawna mieszkali tam zwykli, szarzy ludzie. Ale po śmierci Michaela codziennie można spotkać przed domem pielgrzymki z różnych części Stanów. I nie tylko ze Stanów. Słyszałem, że ostatnio zadbano o dom, uporządkowano ogród, nawet postawiono jakiś pomnik czy też tablicę pamiątkową, ale nie widziałem tego. Jeżeli będziesz chciała, pojedziemy tam któregoś dnia.

Zza szyby obserwowała zabudowania martwego miasta. Smutne, głównie to słowo przychodziło jej na myśl. Może jeszcze puste i brzydkie? Czy mogą w takim miejscu mieszkać szczęśliwi ludzie? Po chwili zjechali z autostrady w kierunku na Merrillville, a po kilku kilometrach wjechali na lokalną drogę. Zrujnowane miasto zostawili za sobą, a oczom ich ukazał się wręcz dziewiczy krajobraz z rozrzuconymi w sporych odległościach domami, a właściwie posiadłościami.

– Ten dom tam w oddali po prawej stronie należy właśnie do Sarah –

Hubert wskazywał palcem na widoczny przed nimi rozłożysty, parterowy budynek.

– Sarah ma daleko do pracy – odpowiedziała, w zamyśleniu obserwując przybliżającą się posiadłość.

– Nie jest tak źle, około godziny. Ja jadę podobnie. Jak na amerykańskie warunki, średnia krajowa.

Zapadło milczenie. Przyglądała się budynkowi, który widniał na końcu wąskiej asfaltowej drogi, prowadzącej tylko do jednego punktu, domu Sarah. Zbudowany z ciemnobrązowej cegły, z kilkuspadowym grafitowym dachem i kontrastującymi z tłem białymi oknami i drzwiami wejściowymi prezentował się imponująco. Nieco przypominał dom Huberta, był jednak bardziej okazały. I ciemniejszy. Jak posiadłość rodziny Carringtonów, pomyślała. Miała tylko nadzieję, że nie mieści w sobie podobnych mrocznych sekretów. Kiedy wjechali na okrągły podjazd, w środku którego znajdował się klomb z barwnie kwitnącymi kwiatami w kolorze niebieskim, trochę przypominającymi nasze rodzime marciniki, z domu wyszła Sarah z groźnie wyglądającym dobermanem przy nodze. Maja zawsze bała się psów, a doberman i amstaffy budziły w niej wyjątkowy lęk. Pies ujadął głośno, zaczął biegać wokół niej, ale Sarah przywołała go jednym gestem, klepiąc się w udo, i od tej chwili pies posłusznie kroczył u jej boku.

– Boję się tego psa – powiedziała Maja, spoglądając z niepokojem na Huberta. Czuła ciarki wędrujące jej po plecach. Odruchowo objęła się ramionami, jakby przyjmując postawę obronną.

– Nie bój się, Foxi jest łagodna dla domowników i gości, których wpuszcza na teren posesji jej pani. Nie zrobi ci krzywdy, tylko tak groźnie wygląda. Gorzej, gdyby napatoczył się ktoś obcy, nieproszony – Pogładził ją czułym ruchem po włosach, usiłując ją pocieszyć.

– Boję się – Jego słowa wcale jej nie uspokoiły.

Hubert wysiadł z samochodu, Sarah zbliżyła się do niego szybkim krokiem. Maja nadal siedziała w środku, spoglądając na nich z niepokojem. Sarah energicznie objęła Huberta za szyję, przytulając się do niego jednocześnie całym swoim ciałem, po czym wycisnęła siarczyste pocałunki na obu jego policzkach. Zdawała się nie zauważać, że Hubert ma towarzyszkę. „Przysłała się jak pijawka” – przyszło na myśl Mai.

– Witaj, Sarah. Cieszę się, że cię widzę. Dziękujemy za zaproszenie. Maja boi się Foxi.

– O! Czyżbyś miała jakieś przykre doświadczenia w kontaktach z psami? – zapytała, nachylając się do okna i patrząc na Maję. Jej twarz rozjaśniał uśmiech, ale w oczach można było dostrzec zimny błysk satysfakcji. Oczy były jakby nie człowiecze. – Nie ma problemu, zaraz ją zamknę. Jak wejdziesz do środka, możesz wysiąść i zapraszam do domu. Wujostwo są w salonie. Zamknę psa w kojcu na ogrodzie i zaraz do was przyjdę.

To mówiąc odwróciła się i ponownie przywołała psa. Ruszyła w stronę domu, oglądając się kilkakrotnie za siebie z ironicznym uśmiechem triumfu na ustach. Miała na sobie obcisłe, czarne, skórzane spodnie i krótki również obcisły sweterek w kolorze turkusowym. Idąc, prowokująco kręciła biodrami, świadoma swoich wdzięków.

Maja przeniosła wzrok na Huberta. Stał nieruchomo, oczekując, aż Sarah odprowadzi psa. Wpatrywał się w nią niewidzącym wzrokiem, głęboko pogrążony we własnych myślach.

„Grosik za twoje myśli, kochany” – zadumała się Maja. I poczuła smutek. Od pierwszego spotkania z Sarah miała wrażenie, że ta kobieta czuje wobec niej niechęć. Nie była tylko do końca pewna dlaczego? Czyżby sama miała jakieś zamiary wobec Huberta i była po prostu zazdrosna? Czy też może była zdania, że żadna osoba nie może zastąpić jej siostry? „Czas pokaże – pomyślała. – Wkrótce Sarah odkryje swoje karty”.

Kiedy za właścicielką zamknęły się drzwi, Hubert pomógł Mai wysiąść z samochodu.

– Maju, co się dzieje? – zapytał z troską, obejmując czule jej ramiona.

– Nic, kochanie, wszystko w porządku. Trochę się przestraszyłam, nic poza tym – odpowiedziała, z wysiłkiem przywołując na usta beztrudny uśmiech.

Weszli do przestronnego holu, połączonego z salonem. Z głębi domu dobiegała cicha muzyka, chyba Elvis Presley. Hubert pomógł jej zdjąć kurtkę, wyszedł do pomieszczenia obok, przez uchylone drzwi widziała, że jest to garderoba. Powiesił kurtki na stojącym w rogu wieszaku. Po

chwili zniknął jej z pola widzenia. Kiedy Maja poprawiała przed lustrem włosy, nagle przez otwarte drzwi wychodzące na ogród z ujadaniem wpadła Foxi i wyhamowała metr przed dziewczyną, ze zjeżoną sierścią na karku, warcząc i szczerząc obnażone kły. Maja zamarła w bezruchu, miała wrażenie, że serce przestało jej bić, nie mogła wykonać żadnego ruchu, jakby oczekiwała, że lada moment te odsłonięte kły zatopią się w jej miękkim ciele.

– Foxi, nie! – krzyknął Hubert, jednocześnie dając psu dłonią znak oznaczający siad. Widać było, że wydawanie komend temu psu nie jest mu obce.

Jakie to szczęście, że Hubert pojawił się właśnie w tej chwili. Pies przez chwilę zdawał się rozważać polecenie człowieka, o ile w ogóle pies może cokolwiek rozważać i po chwili (Mai wydawało się to wiecznością) pies posłusznie wykonał siad, nadal jednak czujnie obserwując przybyszów.

Maja miała wrażenie, że doznała jakiegoś nagłego paraliżu nóg. A nawet całego ciała. Nie była w stanie wykonać najmniejszego ruchu, serce chciało wyskoczyć jej z piersi pozbawionych powietrza. W tym momencie do holu wpadła Sarah, z przerażeniem w oczach, ale Maja była pewna, że to tylko pozory. Swoim szóstym zmysłem wyczuwała nieszczere intencje gospodyni. Poczowała, jak narasta w niej złość. I jednocześnie stała się niezmiernie czujna. Dojrzała bowiem złośliwy błysk w oczach Sarah. „A więc wojna – pomyślała. – Niech będzie”.

Wujostwo okazali się sympatycznymi ludźmi. Widać było po ich zachowaniu, że szczerze lubili Huberta. I także serdecznie przywitali Maję. Zachowywali się wobec niej jak dobrzy dziadkowie, czuła się swobodnie w ich towarzystwie. I zauważyła, że Sarah także czuje przed nimi respekt i może coś w rodzaju szacunku. Nie próbowała więcej wobec Mai żadnych gier. Widocznie wyczerpała ich limit na dzisiaj. Na dzisiaj, Maja zdawała sobie z tego sprawę. Pies więcej się nie pojawił, zamknięty podobno w kojcu w ogrodzie, skąd od czasu do czasu dobiegało przeciągłe ujadanie. Maja jednak nie traciła ani na chwilę czujności. Nie odzywała się wiele tego popołudnia, słuchała opowieści Huberta o pobycie w Polsce, o tym jak się poznali. Po obiedzie towarzystwo przeniósło się na przeszklony taras, gdzie Sarah podała kawę. W pierwszym życzy-

liwym odruchu Maja chciała jej pomóc, zrobiłaby tak w każdym innym przypadku. Ale w ostatniej chwili zrezygnowała. Bo i po co? Siedziała, rozparta wygodnie w ogrodowym fotelu i podziwiała widok na pola, które rozciągały się aż po horyzont, od czasu do czasu tylko zaburzony zabudowaniami podobnymi do tego domu, w jakim się znajdowali. Obserwowała Sarah kątem oka, ale nie mogła jej niczego zarzucić. Gospodyni była miła, uśmiechała się do niej serdecznie, usiłowała nawiązać rozmowę. Maja grała w tę grę, ale obie zdawały sobie sprawę, że to tylko pozory.

Na dworze było zupełnie ciemno, kiedy pożegnawszy się z wujostwem i oczywiście także z właścicielką, odjeżdżali wąską asfaltową alejką, a za nimi niczym klejnoty migwały światła posiadłości. „Nie chciałabym nigdy tu wrócić – pomyślała. – I wolałabym nigdy nie oglądać właścicielki. – Wiedziała jednak, że nie będzie to możliwe. – Cóż, trzeba będzie przeczekać. Nie zostanę tu przecież na zawsze, w końcu wrócę do Polski i zapomnę o demonicznej siostrze zmarłej żony mego ukochanego mężczyzny”.

Wydawało się jej, że to środek nocy, kiedy z głębokiego snu wyrwał ją ciepły dotyk Huberta. Nie mogła oprzytomnieć, nie wiedziała zupełnie, gdzie się znajduje. A to wszystko przez ten dziwny sen. Znowu śniła jej się kobieta z Tatr. Ubrana tak samo, jak w poprzednich snach. Siedziała obok Mai na szpitalnym łóżku i z czułością oraz ze smutkiem głaskała ją po głowie, po rozrzuconych na poduszce włosach. Obok pikały jakieś medyczne urządzenia. Maja wydawała się przyglądać tej scenie gdzieś z góry, jakby oglądała spektakl z balkonu w teatrze. Nie czuła strachu ani bólu. Raczej zdziwienie. Sen był realny, nie miała poczucia, że śni.

– Będzie dobrze, zobaczysz – mówiła szeptem kobieta, nie przestając po matczynemu głaskać jej po głowie. I o dziwo, Maja wiedziała, że to prawda. Czuła spokój. Czuła się jak na lekkim rauszu. Nagle coś zaczęło ją przyciągać do tego ciała leżącego na szpitalnym łóżku. Wcale nie miała ochoty tam wracać, ale nie mogła się przeciwstawić tej sile. I kiedy wreszcie się w nim znalazła, poczuła tak znany dotyk, ciepło Huberta. Przez chwilę była zdezorientowana, ale zaraz doznała ulgi.

– Hubert, tak się cieszę, że to ty – powiedziała żarliwie, przytulając się do niego z całą siłą.

– A kto niby miałby być ? – Był zdziwiony jej wybuchem.

– Znowu miałam sen – W głosie Mai trudno było nie zauważyć niepokoję. – Śniła mi się ta kobieta, która nawiedza mnie w snach od czasu przyjazdu do Rabki. Byłam w szpitalu, a ona tak uspokajająco głaskała mnie po głowie. A ja musiałam wrócić do mojego ciała, chociaż wcale nie chciałam. I mówiła, że wszystko będzie dobrze. Dziwne to wszystko, jakby jakieś nadprzyrodzone siły brały w tym udział. Nigdy nie wierzyłam w takie rzeczy, jestem raczej sceptyczką, twardo stąпам po ziemi, życie mnie tego nauczyło. Ale w tej sytuacji zaczynam wątpić. Bo jak to możliwe, żeby po raz któryś z rzędu śniła mi się ta sama osoba, której na dodatek nigdy wcześniej nie widziałam, i w pewnym sensie przepowiadała mi różne zdarzenia? – Uśmiechnęła się niepewnie, patrząc mu głęboko w oczy. – Przepowiedziała mi na przykład ciebie. I za to jestem jej niezmiernie wdzięczna. Ale teraz zaczynam się bać. Byłam w szpitalu, poza swoim ciałem, to nie wyglądało dobrze.

Siedziała na łóżku, jakby bała się ruszyć z tego bezpiecznego miejsca. Podciągnęła kolana pod brodę, jednocześnie obejmując je rękoma i opierając na nich głowę. Patrzyła w okno. Słońce świeciło jasno, zapowiadał się piękny dzień, a w jej duszy gdzieś głęboko zagnieżdżał się strach.

Hubert przysunął się do niej, obejmując ją ramionami i głaszcząc takim ciepłym, uspokajającym gestem.

– Kochanie, nie martw się, na pewno wszystko będzie dobrze, tak ci przecież powiedziała. Jeżeli nawet jest to sen proroczy, to już wiemy, że cokolwiek by się nie stało, skończy się dobrze. Zresztą, będę cię chronił, nie pozwolę, żebyś była narażona na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. A teraz dość tego zamartwiania się, przed nami piękny dzień. Dzisiaj mam ważne spotkanie. Podpisuję umowę z dużą firmą na projekt kondominium w Chicago Ridge, w tej właśnie sprawie tu przyjechaliśmy. A teraz wyskakuj z pościeli, za dziesięć minut śniadanie, masz być gotowa do drogi.

– Jadę z tobą? – czuła podekscytowanie.

– Nie zajmie mi to dużo czasu. Obejrzymy z inwestorami teren, pod-

piszemy przygotowaną umowę, a potem zjemy lunch w hawajskiej restauracji w hotelu Marriott. Serwują tam wspańnię homary.

– Nidy jeszcze nie jadłam homara – jej głos brzmiał nieco niepewnie.

– Zawsze musi być ten pierwszy raz. Do tego koktajl piña colada – rum, mleczko kokosowe i sok ananasowy. Wszystkie kobiety to lubią – oczy się mu śmiały, kiedy to mówił. – Ale uważaj, bo daje niezły dym.

Ależ on był seksowny. Chciałoby się go schrupać albo nieustannie dotykać i tulić. Czują, że jest szczęśliwy. Interesy szły dobrze, miał przy sobie kobietę, na której mu zależało. Jego dobry nastrój udzielił się i jej. Ale nagle nabrała ochoty na coś więcej.

Przyciągnęła do siebie jego twarz i pocałowała go namiętnie. Czują, jak jego ciało poddaje się jej, jak i on nabiera ochoty na seks. Objął dłońmi jej plecy, przyciągnął do siebie mocno. Pocałunek stawał się coraz gorętszy, żarliwy, czują przez koszulkę nocną, że rozbudziła jego zmysły.

– Maja, ty czarownico. Jeżeli ci ulegnę, spóźnimy się na spotkanie i całą umowę diabli wezmą – odsuwając ją od siebie, dał jej lekkiego klapsa w pupę i gwałtownie wstał z łóżka. Poprawiając na sobie koszulkę i krawat, wpatrywał się w nią wzrokiem pełnym uczucia. I nieukrywanego pożądania. Przeciągnęła się seksownie, odsłaniając nagie uda i ramiona, ale widząc, jak Hubert ze śmiechem przecząco kręci głową, rzuciła w niego jaśkiem, niechętnie wstała, wrzuciła ramionami i prowokująco kręcąc tym i owym, weszła do łazienki.

Po godzinie jazdy utknęli w korku na zjeździe z drogi ekspresowej I-290 w kierunku Chicago. Lokalna rozgłośnia informowała o zderzeniu autobusu z samochodem dostawczym, tuż za zjazdem. Wszystkie cztery pasy szczelnie wypełnione były pojazdami. Niektórzy bardziej niecierpliwi kierowcy zaczęli nerwowo trąbić, co nie ułatwiało sytuacji. Minęło piętnaście minut stania w bezruchu, gdy po pasie awaryjnym przemknęły na sygnałach dwa samochody policyjne i samochód straży pożarnej. Hubert coraz bardziej zaczynał się denerwować. Do spotkania pozostała zaledwie godzina, ale przy takim korku mogło się zdarzyć, że nie zdążą. Wprawdzie do celu mieli kilkanaście mil, ale mogło im to zająć znacznie więcej czasu niż w normalnej sytuacji.

Hubert nerwowo sięgnął po telefon.

– Sarah, jesteś już na miejscu? – w jego głosie wyczuwało się napięcie. – Utknęliśmy w korku.

– Ja jadąc od południowej strony na szczęście nie miałam problemów. A gdzie jesteście?

– Minęliśmy Hillside, mamy jeszcze jakieś osiemnaście mil. Czy Richard jest z tobą?

– Tak, właśnie przyjechał.

– To powiedz mu, żeby zadzwonił do inwestorów i poinformował o zaistniałej sytuacji. Mogę się niestety spóźnić.

– Okay, nie martw się, załatwimy wszystko. Oddzwonię.

Hubert nerwowo bębnił palcami po kierownicy. Maja obserwowała pasażerów innych samochodów. Różnie reagowali na ten bezruch. W samochodzie obok dwójka dzieci w wieku wczesnoszkolnym okładała się piętami, a matka z przedniego siedzenia usiłowała ich uspokoić, wymachując ręką w ich kierunku. Po przeciwnej stronie, na sąsiednim pasie, zdenerwowany mężczyzna w garniturze żywo gestykułował, rozmawiając przez telefon. Za nim, w ciężarówce brodaty kierowca w kowbojskim kapeluszu na głowie właśnie ucinął sobie drzemkę, oparłszy nogi w kowbojskich butach na desce rozdzielczej. Tyle osób i tyle różnych reakcji na daną sytuację. Psychologia ludzi jest fascynująca. Pochłonięta swoimi myślami, nagle poczuła przeszywający ból w dole brzucha, po prawej stronie. A zaraz po chwili dziwną słabość. Czyżby zbliżała się miesiączka? W okresie nastoletnim często miewała takie dolegliwości, ale dawno minęły. Sięgnęła do torebki po tabletki przeciwbólowe i rozkurczające. Jedna taka, jedna taka. Powinno pomóc.

– Co się dzieje, Maju? Nagle zbladłaś – Hubert obserwował ją z niepokojem.

– Nic takiego, kochanie. Zwykle babskie sprawy. Wzięłam tabletkę, zaraz będzie dobrze. – Upiła kilka łyków wody z butelki, którą włożyła do schowka na drzwiach samochodu. Oparła głowę o oparcie fotela i usiłowała się odprężyć. W tym momencie rozległ się sygnał telefonu Huberta.

– Tak, Richard? – Hubert odebrał po pierwszym dźwięku. – Kontaktowałeś się z inwestorami?



Przez dłuższą chwilę słuchał rozmówcy, po czym odetchnął z ulgą.

– W porządku, zatem do zobaczenia na miejscu. No, nie jest tak źle, inwestorzy także utknęli w korku. Tym samym. Dojedziemy więc z podobnym spóźnieniem. Nie ma powodu do stresu – spojrzał na Maję. Uśmiechnęła się do niego. Przymknęła oczy. W radiu Elton John śpiewał „Bennie and The Jets”. Ból powoli zaczynał ustępować, a w każdym razie nie był już taki intensywny. Kiedyś, czytając artykuł w jakimś psychologicznym czasopiśmie, dowiedziała się o metodzie lekceważenia bólu. Podobno wystarczyło tylko się rozluźnić, oderwać myśli od otaczającego świata i skupić całą swoją uwagę na bolącym miejscu, usiłując jakby siłą woli zmniejszyć intensywność dolegliwości. I podobno pomagało. Podobno. Całą siłą swojej podświadomości usiłowała to zrobić, nawet miała wrażenie, że rzeczywiście ból mniej jej dokucza, jakby była w stanie go kontrolować.

– Ruszamy! – z ulgą i radością oznajmił Hubert, jednocześnie włączając silnik samochodu. W tym samym momencie z radia dobiegły dźwięki piosenki z filmu „Nocny kowboj”. Harry Nilsson śpiewał „Everybody’s Talkin’”, samochody zaczynały ruszać, a ona miała przed oczami końcową smutną scenę z filmu. Oglądali go razem z Filipem w Poznaniu, w dyskusyjnym klubie filmowym w dzielnicy, w której mieszkali. Lubili tam chodzić na oldskulowe seanse, a potem już w domu, przy lampce taniego wina, żywo o nich dyskutowali, każdy bronił swoich racji. A tę piosenkę uwielbiała, miała ją nawet na swojej MP3. I zazwyczaj słuchając jej, widziała mknący autobus z młodym, naiwnym kowbojem w środku, wystrojonym w obciachowy kowbojski strój, a także przesuujące się za oknem krajobrazy. Ale teraz, co było dziwne, przypomniała jej się scena śmierci Dustina Hoffmana, a właściwie postaci przez niego granej, drobnego, kalekiego, brudnego cwaniaczka. O dobrym sercu, ale bez dobrej „karmy”. Posmutniała.

Powoli zaczęli się poruszać w kierunku Chicago Ridge. Jak pokazywały tablice informacyjne, mil systematycznie ubywało i wydawało się, że dotrą na czas. Ból w jej brzuchu stał się znośny, ćmił zaledwie. Przystała o nim myśleć. Rozglądała się wokoło z niesłabnącą ciekawością, chłonęła Amerykę, chciała jak najwięcej zapamiętać.

Przed ogrodzonym metalową siatką terenem czekała już Sarah z Ri-

chardem. Przywitali się ze sobą, Richard serdecznie pocałował Maję w policzek, jak to było w amerykańskim zwyczaju, tylko w jeden. Polacy całowali zazwyczaj w oba policzki. Sarah natomiast znowu przykleiła się do Huberta, całując go przeciągle w usta. Ten się roześmiał, ponownie jakby nie zauważał niezręczności sytuacji. Richard spojrział kątem oka na Maję, ale ta usiłowała nie pokazywać swojego zmieszania. Patrzyła na nich z lekkim, przyklejonym do ust uśmiechem. Ale oczy miała poważne. Sarah jak zwykle była ubrana prowokująco, ale tym razem niezmiernie elegancko. Czarna wąska spódnica, zdecydowanie powyżej kolan, do tego kremowy, obcisły żakiet ze sporym dekoltem, oczywiście bez bluzki pod spodem. Na nogach czarne szpilki od Louboutina, które przy zmysłowych ruchach jej długich kończyn dumnie prezentowały swoje czerwone podeszwy. Ale Maja także nie miała się czego wstydić. Założyła czarną sukienkę, odcinaną pod biustem, z rozkloszowanym dołem i rękawkami trzy czwarte, na to narzuciła króciutki żakiecik w kolorze świeżej zieleni, a na nogi założyła takie same, zielone lordsy, które dodatkowo podkreślały smukłość jej nóg. Był to jej ulubiony strój, kiedy jeszcze pracowała w korporacji, zakładała go na większość ważnych spotkań. I zawsze czuła się w nim dobrze ubrana. Zawsze wiedziała, że zieleń to kolor rudzielców. Swoje rude, kręcone włosy zaplotła od prawej strony w dobierany warkocz, który na karku przechodził w spięty luźno metalową kłamrą, koński ogon.

Sarah zlustrowała ją od stóp do głów z nienawistnym spojrzeniem, którego oczywiście nie dostrzegł nikt inny oprócz Mai, po czym uśmiechnęła się do niej szeroko, obejmując ją na przywitanie ramionami i markując pocałunek w policzek. Całą siłą swojej woli Maja usiłowała odwzajemnić te fałszywe serdeczności. Czy musiała zaistnieć taka sytuacja, żeby tu, w Ameryce musiała rywalizować o Huberta z inną kobietą? A najśmieszniejsze było to, że on wcale nie zdawał sobie z tego sprawy. Na szczęście w tym momencie podjechało czarne Volvo i wysiadło z niego trzech mężczyzn w średnim wieku w eleganckich ciemnych garniturach. Przywitali się ze wszystkimi. Widać było, że znali się już wcześniej. Jedynie Maja była tu osobą obcą. Mężczyźni przyglądali się jej z ciekawością. I z podziwem, zauważyła to z zadowoleniem.

– To jest moja dziewczyna, Maja Bogacka – przedstawił ją wszyst-

kim Hubert, a w jego głosie znowu można było wyczuć dumę. Mężczyźni chyba to zauważyli, ku niezadowoleniu Sarah. Ta jednak, nie tracąc czasu, wzięła dwóch z nich pod ramiona i zajmując ich rozmową ruszyła w stronę placu, na którym miały stanąć budynki. Hubert z Richardem, zajęci rozmową z trzecim z inwestorów, chwilowo przestali zwracać uwagę na Maję, która miała czas, żeby odetchnąć. Ból w brzuchu ponownie się nasilał, nie był jakiś gwałtowny, ale cały czas dawał o sobie znać. Wsiadła do samochodu, otworzyła torebkę i sięgnęła po następną dawkę tabletek. Nie mogła przecież pozwolić, żeby jakieś głupie kobiece dolegliwości zepsuły im tak dobrze zapowiadający się dzień. Popiła sporym łykiem wody, ale to niestety spowodowało, że pojawiły się dodatkowo nudności. Oparła się wygodnie, przymknęła oczy i ponownie usiłowała opanować ból siłą woli. Nie wiedziała, jak długo tak siedziała, ocknęła się, kiedy Hubert otworzył drzwi i zaniepokojony zajrzał do wnętrza.

– Maju, co się dzieje? Nadal cię boli? Martwię się o ciebie.

– Tak czasem jest, nie martw się, to nic poważnego. Niedługo minie.

– Chciała go uspokoić, ale nie czuła się zbyt dobrze.

– Obejrzelśmy teren, teraz wszyscy pojedziemy do Marriotta, zjemy lunch i podpiszemy umowę. Jesteś w stanie jechać? – pytał z troską.

– Oczywiście, wszystko w porządku. Czuję się już lepiej – nie chciała go martwić. Ani zepsuć tak ważnego dla niego dnia. Wiedziała, że ta umowa jest dla nich bardzo istotna, zapewni im pracę na kilka, a nawet kilkanaście miesięcy. I sowite wynagrodzenie.

Hotel „Marriott” był następną rzeczą, która ją zadziwiła. Była już w Polsce w hotelu tej sieci, kiedy jeszcze pracowała w korporacji, ale ten oczywiście był większy, urządzony z większym przepychem, żeby nie powiedzieć blichтром. A restauracja, która się tu znajdowała, o nazwie Hawaiian Dream, wprost ją oszołomiła. Po przekroczeniu masywnych dwuskrzydłowych drzwi z grubo ciosanego drewna, rzeźbionych w jakieś hawajskie wzory, nagle znalazła się w hawajskiej wiosce. Bujna roślinność wydawała się aż kipieć swoją świeżością, wśród niej przycupnęły zacisznie pochowane stoliki z wysokimi, wyplatany z jakiejś egzotycznej trawy oparciami, pod trzciniowymi zadaszeniami imitujący-

mi dachy hawajskich chat. A właściwie to nie trzciniowymi, wykonanymi raczej z suchych palmowych liści. Po prawej stronie od wejścia zobaczyła kamienną ścianę, po której spływał z cichym szumem niewielki wodospad, a jego wody, już jako strumień, przepływały przez środek lokalu. Przy drzwiach zostali powitani przez hawajskie kobiety, udekorowani wieńcami ze świeżych, kolorowych kwiatów, które Hawajki zakładały na szyje wszystkich gości. Po przekroczeniu półkolistego mostku nad strumieniem, zaprowadzeni przez kelnera, oczywiście także w hawajskim stroju, usiedli przy zarezerwowanym dla nich stoliku. W tle rozlegał się świergot ptaków.

Oczarowana, rozglądała się po pomieszczeniu. Hubert z czułością ujął jej dłoń, uśmiechając się do niej z uczuciem.

– Wiedziałem, że ci się spodoba. Kiedy jeszcze posmakujesz ich kuchni, będziesz w raj. A piña colada jest jak ambrozja, chociaż trzeba uważać, bo jak ci już mówiłem, potrafi zwalić z nóg.

Na szczęście, ból ją opuścił. Pozostał po nim delikatny ślad, prawie go nie zauważała. Przestała o tym myśleć. Chłonęła chwilę. I otoczenie. Usiadła przy okrągłym stole, między Hubertem a Richardem. Z bujnych roślin w ich otoczeniu zwisały papierowe lampiony, których delikatne światło stwarzało niepowtarzalny nastrój. Obok Huberta siedziała Sarah, za nią trzech mężczyzn, akurat naprzeciwko Mai. Jeden z nich, chyba najmłodszy, przyglądał się jej z podziwem. O dziwo, Hubert też to zauważył i demonstracyjnie ujął jej dłoń, całując od czasu do czasu.

„Samiec Alfa znowu oznacza swoją własność” – pomyślała, uśmiechając się pobłażliwie. Wysłała sygnał: *to moje, wara ci od tego*.

Kelner przyniósł menu, złożyli zamówienia. Oczywiście dla Mai homar i piña colada. Po chwili na stole znalazły się napoje, jej koktajl prezentował się bosko, w wysokiej szklance przypominającej wciętą w pasie kobiecą sylwetkę, kolorowo udekorowanej. A smak... nigdy czegoś takiego nie piła. Nie za słodki, nie za mocny, no... po prostu doskonały. Jego delikatny posmak długo pozostawał na podniebieniu. „Rzeczywiście, jak mówił Hubert, ambrozja” – przemknęło jej przez głowę.

Inwestorzy okazali się sympatycznymi ludźmi. Dwóch Amerykanów, jeden Włoch, to ten, który się jej tak przyglądał. Nazywał się An-

tonio Moreni. Pozostali mówili na niego Tonio. Mówił po angielsku z lekkim włoskim zacięciem. Dodawało mu to uroku. Nie urodził się w Ameryce, przyjechał tu z rodziną jako dwunastoletni chłopiec. Oczywiście, chodził do amerykańskiej szkoły, ale ponieważ w jego rodzinie i w otoczeniu wszyscy porozumiewali się po włosku, akcent pozostał. Na dodatek, przy ciemnych włosach i ciemnej karnacji, miał jasnobłękitne oczy. Te oczy potrafiły hipnotyzować. Wpatrywał się w Maję uwodzicielsko i uśmiechał co chwilę, pokazując garnitur śnieżnobiałych zębów. Nie widziała jeszcze nikogo, kto miałby takie białe zęby. I oczywiście, niezmiernie tym irytował Huberta. Ten starał się to ukryć, ale Maja wiedziała swoje. Co chwilę Hubert obejmował ją ostentacyjnie, przytulał albo całował jej dłoń lub policzek. Niby dyskretnie, a jednak nadal zaznaczał swój teren. Nie uszło to oczywiście uwadze Sarah, która także lekko poirytowana, obserwowała całą sytuację. Ona jednak starała się być przemiła, kokietowała wszystkich obecnych przy stoliku mężczyzn, nie wyłączając Richarda, który widocznie obojętny albo uodporniony już na jej wdzięki, wydawał się dobrze bawić tą całą sytuacją.

Kiedy kelner przyniósł główne danie, zobaczyła na ogromnym talerzu czerwono-pomarańczowego raka, zupełnie podobnego do tych, jakie łapali i gotowali na obozach harcerskich, tylko w rozmiarze xxl. Do tego ułożone w misterne różyczki małe porcje ziemniaków i kolorowe warzywa, szczerze mówiąc, nie wiedziała jakie. Zdumiona, wpatrywała się w tę zagadkową kompozycję, nie wiedząc, z której strony się do tego zabrać. Pozostali goście zaczęli jeść, ale nikt nie zamówił homara, nie mogła więc podpatrzeć. Tonio jedyny się zorientował, że Maja ma kłopot i gestem pokazał jej, że należy po prostu zdjąć skorupę z homara, bo ona jest tylko nałożona do dekoracji. Tak też zrobiła, pod spodem było śnieżnobiałe mięso, które po spróbowaniu okazało się smakować równie wyśmienicie, co piña colada. Delikatne, subtelnie słodkawe, doskonałe.

Wszystkim dopisywały humory. Umowa została podpisana, dlatego odprężeni, z pełnymi brzuchami, prowadzili luźną rozmowę. Maja czuła się już bardzo zrelaksowana. Ból brzucha nie powracał, a nawet Sarah zachowywała się przyzwoicie, może dlatego, że miała wokół siebie tylu mężczyzn do kokietowania, że nie warto jej było marnować czasu na jakieś podchody z Mają.

W pewnej chwili poczuła potrzebę wyjścia do toalety.

– Chcesz, żebym poszedł z tobą? – Hubert jak zwykle wykazał się troską.

– Nie, kochanie. Dam sobie radę. – Uśmiechnęła się do niego, wdzięczna za opiekuńczość.

Długi korytarz, wyłożony miękkimi, kolorowymi dywanami i oświetlony łagodnym światłem rozchodzącym się z zawieszonych na ścianach kinkietów, doprowadził ją do toalety. Jakież było jej zdziwienie, gdy chcąc umyć ręce, nie mogła znaleźć niczego, co przypominałoby tradycyjne krany. Pośrodku przestronnej łazienki znajdowała się kolumna pokryta lustrami, z czymś w rodzaju okrągłej umywalki, obejmującej ją wokół. Coś na kształt zawiniętego koryta, tylko bardziej eleganckiego, wyrafinowanego. Z kolumny wychodziły małe, złote kraniki, oplatające ją jak wianek. Ale nigdzie nie było żadnych kurków, przycisków, sensorów, ani napisów. Ani niczego, co można by przycisnąć, żeby poleciała z nich woda. Zastanawiała się co zrobić, czyżby miała wrócić do stołu bez umycia rąk? Brz... okropieństwo. Co za niefortunna sytuacja. W tym momencie z jednej z toalet wyszła kobieta. Maja udawała, że poprawia sobie fryzurę, wpatrzona w lustrzaną kolumnę, ale obserwowała ją kątem oka. I ku jej zdziwieniu nagle ze wszystkich kraników popłynęła woda, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Raczej różdżki, bo okazało się, że nad podłogą znajduje się obręcz, także obejmująca kolumnę, po nadeptaniu której z kranów tryska woda. Wszystkich jednocześnie. Maja, której piña colada już nieco szumiała w głowie, nie mogła opanować śmiechu. I jeszcze na dodatek przypomniał jej się kawał, jak to wchodzi kogut do damskiej łazienki, patrzy, a tam same zakręcone kurki... Na szczęście, kobieta już dawno wyszła, Maja mogła chichotać do woli.

Po raz kolejny zdumiała się, kiedy po wyjściu z toalety, natknęła się w holu na Toniego. Najwyraźniej czekał tam na nią, oparty o ścianę i wpatrzony w telefon komórkowy. Kiedy ją zobaczył, natychmiast ruszył w jej kierunku.

– Czekałem na ciebie – powiedział miękkim głosem.

– Tak? – nie mogła ukryć zdziwienia. – Dlaczego?

– Jesteś piękną kobietą, musiałem ci to powiedzieć. Przez całe spotkanie nie mogę oderwać od ciebie oczu.

Poczuła się skrępowana.

– Dziękuję, miło mi to słyszeć, ale nie musiałeś tu na mnie czekać, żeby mi to powiedzieć.

– Musiałem, bo twój chłopak mnie do ciebie nie dopuszczał. Jest bardzo zaborczy.

– Kocha mnie po prostu.

O dziwo, zaczynała czuć rozbawienie. Dawno nikt jej tak jawnie nie uwodził. Nie mogła powiedzieć, żeby było to nieprzyjemne.

– Czy ty ze mną flirtujesz? – zapytała.

– A mam jakieś szanse na flirt? – Ależ ci Włosi są zalotni.

– Jesteś bardzo miły, ale nie – odpowiedziała stanowczo, nadal się uśmiechając.

– W takim razie żałuję bardzo, ale jeżeli kiedykolwiek zmienisz zdanie, będę czekał, pamiętaj o tym – Podszedł do niej, ujął jej dłoń i pocałował, nieco dłużej, niż by wypadało. A potem ze śmiechem objął ją ramionami, przytulając do siebie.

– Przepraszam, że cię speszyłem. My Włosi tak mamy, ale to nic złego, nie mamy złych intencji. Zawsze warto spróbować – to mówiąc, popatrzył jej szelmowsko w oczy, nadal z zawadiackim uśmiechem na ustach.

W tym momencie Maja dostrzegła stojącą obok Sarah, przypatrującą się im z szyderczym grymasem na twarzy. Sarah zorientowała się, że Maja ją zauważyła. Podeszła więc do nich, udając życzliwość.

– Wracacie już? A może poczekacie na mnie? – zapytała słodko, przeskakując wzrokiem z Mai na Antonia.

– Chyba jednak spotkamy się przy stole – odpowiedział jej Tonio, ujmując jej dłoń i całując ją, jednocześnie patrząc jej głęboko w oczy z nieznikającym z twarzy zalotnym uśmiechem. Sarah wydawała się usatysfakcjonowana.

„Co też jest z tymi Włochami, że muszą flirtować z każdą białogłową? I rudogłową też?”

Antonio podał Mai swoje ramię, a ta, jakby na przekór Sarah, ujęła je i ruszyli w stronę restauracji. Czowała na plecach jej palący wzrok, walczyła ze sobą, żeby się nie odwrócić i nie dać Sarah powodu do zadowolenia.

Przy stoliku trwała zażarta dyskusja. Cztery męskie głowy pochylone nad planami zabudowań były tak zajęte rozmową, że nawet nie zauważyły przybyłej pary. Po krótkiej chwili wróciła Sarah i męskie rozmowy zostały zakończone. Zresztą, całe spotkanie dobiegło końca. Hubert był bardzo zadowolony, widać było to po każdym jego geście, uśmiechu, słowie. Inwestorzy sprawiali podobne wrażenie. Po serdecznych pożegnaniach wsiedli do samochodów i każdy ruszył swoją drogą. Oni na północ. Na dworze zaczynało szarzeć. Migoczące światła wielkiego miasta kojarzyły się Mai z żarzącymi się węgielkami w dogasającym ognisku. Ukołysana spokojnym szumem samochodowego silnika i dobywającą się z głośników muzyką z filmu „Tańczący z wilkami” czuła, że zaczyna odpływać w objęcia Morfeusza. Zasnęła na chwilę, ale nagle poczuła znowu ten nieznośny ból w dole brzucha, nawet bardziej nasilony niż poprzednio. Ocknęła się z jękiem. Teraz zaczęła się poważnie niepokoić. No bo ile może brać w ciągu doby tabletek rozkurczowych i przeciwbólowych. Może trzeba znaleźć przyczynę. Nie chciała jednak, przynajmniej na razie, nic o tym mówić Hubertowi. Po co miałby się niepokoić.

– Znowu cię boli? Majeczko, teraz poważnie się o ciebie martwię – wiedziała, że tak jest rzeczywiście.

– Nic się nie dzieje, kochanie. Zasnęłam na chwilę i przyśnił mi się zły sen. Teraz nawet nie pamiętam, co to było, wiem jedynie, że coś nieprzyjemnego. Wszystko jest w porządku.

W tym momencie właśnie wjechali na podjazd przed domem Huberta. Pomógł jej wysiąść z samochodu. Każdy ruch sprawiał jej trudność. Ból się nasilał, choć całą siłą woli starała się nie dać niczego po sobie poznać. Zrzuciła płaszcz w przedpokoju i poszła prosto do łazienki.

– Muszę pilnie do kibelka, zaraz przyjdę – rzuciła tylko w stronę Huberta.

Usiadła na toalecie, trzymając się za brzuch i kołysząc do przodu i do tyłu. Kiedy była dzieckiem, takie kołysanie zawsze jej pomagało. Nie czuła się wówczas taka samotna, jakby matczyne ramiona chciały ją ukoić. Matczyne... mogła je sobie jedynie wyobrażać. Wyjęła z szafki dwie tabletki przeciwbólowe, połknęła je, popijając kranową wodą na-



braną w dłonie. Usiadła znowu i czekała na moment, kiedy ból znowu znacznie słabnąc. Hubert zaczynał się niepokoić, zapukał do drzwi.

– Wszystko w porządku?

– Tak, tak, zaraz wychodzę. Wezmę tylko szybki prysznic.

Pod strumieniami gorącej wody, rzeczywiście poczuła się lepiej. Po chwili zakopała się pod kołdrę w ich wielkim łóżku, zwinęła w kłębek i ponownie usiłowała skoncentrować się na bólu, zwalczyć go. Kiedy Hubert po kilkunastu minutach dołączył do niej, obejmując ją pod kołdrą i całując w ramię, udawała, że śpi. Zdarzyło się to chyba po raz pierwszy, od kiedy byli razem, że nie miała siły na seks. Nie chodziło o chęci, nie mogła po prostu, ból nie chciał ustąpić, cokolwiek by nie robiła. Po chwili Hubert się domyślił, że Maja już zasnęła, z westchnieniem, rozczarowany, przytulił się do niej jak łyżeczka i po kilku minutach usłyszała delikatne pochrapywanie. Ona niestety nie mogła zmrużyć oka, a jeszcze niewygodna pozycja nasilała jej dolegliwości. Rytmiczny, spokojny oddech upewnił ją, że Hubert głęboko śpi, wtedy wysunęła się delikatnie z jego objęć.

Zgięta wpół zesłała do kuchni, zaparzyła sobie miętową herbatę i siedząc na barowym stolku przy kuchennej wyspie, popijała ją małymi łyżkami. Chyba leki zaczynały działać, bo zaczynała się czuć nieco lepiej. Wpatrzyła się w widok za oknem, a właściwie za przeszkloną ścianą. W oddali migały światła wielkiego miasta, tej wielkiej metropolii. A tutaj było tak zacisznie, spokojnie, zupełnie jak na wsi. Dopiła herbatę i ostrożnie ruszyła schodami w górę. Ruchy nie sprawiały jej już tyle bólu, zaczynała normalnie funkcjonować. W ciepłym łóżku wtuliła się w plecy Huberta i wreszcie zasnęła.

Dni i tygodnie mijały tak szybko, nie nadążała za tym wszystkim. Ciągłe coś się działo. Na szczęście, dolegliwości bólowe nieco się uspokoiły. Przed wyjazdem z Polski poszła do lekarza rodzinnego z prośbą o zapisanie jakiegoś uniwersalnego antybiotyku, na wypadek gdyby na wyjeździe dopadło ją jakieś choróbko, żeby mogła się na początek nim poratować. I na szczęście, następnego ranka po przebudzeniu przypomniała sobie o nim. Zaczęła zażywać go według instrukcji na ulotce, i rzeczywiście dolegliwości znacznie złagodniały. Uważała oprócz tego

bardzo na to, co jadła. Starła się jeść potrawy lekkostrawne, w niedużych ilościach i jako tako pomagało. A Hubertowi nie zaprzętała tym głowy. Był bardzo zajęty i taki podekscytowany rozwijającym się projektem kondominium oraz rozpoczętą budową, że nie chciała przysparzać mu zmartwień. A poza tym żyli tak intensywnie, że nie spostrzegła nawet, kiedy nadeszły Święta Bożego Narodzenia.

Niestety, ku jej niezadowoleniu, znowu zostali zaproszeni do Sarah. Miał tam być także Richard ze swoją nową przyjaciółką oraz teściowie Huberta. Starła się, jak mogła, ukryć swoje niezadowolenie, ale Hubert chyba domyślał się jej niechęci.

– Nie chcesz tam spędzić świąt? Nie lubisz Sarah? – zapytał z troską.

– Nie przepadam za nią, nie nadajemy na tych samych falach – poczuła się w tym momencie winna, gdyż wiedziała, jak Hubertowi zależy na dobrych kontaktach z byłą rodziną. – Ale nie jest też tak, żebym nie mogła spędzić z nią świąt. Będzie dobrze, nie martw się. Zawsze przecież istnieje możliwość, że się w końcu polubimy – to mówiąc, pogłaskała go czule po ręce, uśmiechając się przepraszająco.

Zima tego roku nadeszła niespodziewanie. Myślała, że tylko w Polsce zaskakuje drogowców. A tu tymczasem w Ameryce też. Wczoraj, kiedy kładli się spać, na dworze było szaroburo a kiedy rano podnieśli żaluzje, okazało się, że ziemię pokrył biały puch. Nie było go zbyt wiele, ale wiadomo było z całą pewnością, że oto nadeszła zima.

Jadąc w kierunku Gary, oczywiście utknęli w korku przy wyjeździe z Chicago. Jak się potem okazało, z powodu robót drogowych zamknięte były dwa pasy ruchu. Właśnie teraz, w święta, zachciało się Amerykanom remontować drogi. A na dodatek tuż przed zwiężeniem stała ciężarówka z przewróconą przyczepą, która dodatkowo blokowała i tak wąski przejazd.

„Pewnie jechała na letnich oponach i to może nawet łysych – pomyślała Maja, spoglądając tęsknie przez okno. – Ciekawe, czy w Ameryce też zdarzają się kierowcy, którzy jeżdżą na łysych oponach?”

Drogę pokrywała warstwa brudnoszarej, śliskiej, śniegowej brei. Drogowcy nie zdążyli odśnieżyć wszystkich dróg, zupełnie jakby byli w Polsce. Zamyśliła się. Zamiast wybierać się w tak daleką trasę, do ludzi, za którymi nie przepadała, wolałaby spędzić te święta z Hubertem,

w jego domu. Może jeszcze zaprosiliby Richarda z jego nową dziewczyną, i może także sąsiadkę Irene, z którą ostatnio się polubiły. Spędzały ze sobą sporo czasu pod nieobecność Huberta, albo u Irene w kuchni, albo u Huberta w salonie. Nigdy się ze sobą nie nudziły. Irene chętnie słuchała opowieści Mai o Polsce, o jej życiu, a ta zwierzyła się jej nawet ze swojej historii z Filipem. Irene z kolei opowiadała Mai dużo o swojej samotności, o braku bliskiej osoby. W wieku trzydziestu lat nadal była singielką, nie miała szczęścia do mężczyzn. A była przecież dość urodziwa. Może z lekką nadwagą, ale za to miała przemiły uśmiech i bardzo miłe, życzliwe usposobienie.

Rozmyślając tak, nagle spostrzegła, że jakiś czas temu Hubert zjechał z autostrady i kierował się w kierunku centrum Gary.

– Nie jedziemy prosto do Sarah? – zapytała zdziwiona. – Masz jeszcze coś do załatwienia w Gary?

– Chcę ci jeszcze coś pokazać, zanim pojedziemy dalej. Spodoba ci się. Mam nadzieję – dodał cichym głosem, jakby z obawą.

– A co to takiego? – rozbudził jej ciekawość.

– Za chwilę zobaczysz – odpowiedział, a w jego głosie znowu wyczuła lekkie napięcie.

Mijali po drodze zrujnowane domy, niezbyt czyste uliczki, smutnych ludzi. Podobnie jak poprzednim razem miasto ją przygnębiało. Po chwili skręcili w boczną ulicę i oczom jej ukazały się ruiny fascynującej budowli. „To chyba kościół” – pomyślała. Przepiękna bryła budynku zbudowana z jasnej cegły, przywodząca na myśl staroangielskie katedry z koronkowymi zdobieniami strzelistych wież i obramowań okien, stała jeszcze w całości, ale było widać wszechobecne zniszczenie. Z zewnątrz okolona płataniną drzew, krzaków i innych dziko rosnących zarośli, otoczona częściowo wałącym się pordzewiałym płotem, była smutnym wspomnieniem po dawnej świetności.

Hubert zaparkował samochód przed czymś, co pewnie dawniej było głównym wejściem do katedry. Z zawiasów smętnie zwisały fragmenty masywnych drewnianych drzwi.

– To mi chciałeś pokazać? – zapytała zdumiona.

– Tak, to jest stary, piękny kościół metodystów. A właściwie to jego ruiny. Był tematem mojej pracy magisterskiej. Spędziłem wiele godzin,

studiując jego historię i konstrukcję. Nie był wówczas jeszcze tak zrujnowany, chociaż był już opuszczony. Mogłem wtedy przesiadywać w nim w nieskończoność. Stoi pusty od ponad czterdziestu lat i z roku na rok niszczeje coraz bardziej. A teraz pęka mi serce, kiedy na niego patrzę, kiedy widzę jego upadek. Na szczęście, jakby na pocieszenie, narkręcono w tych ruinach kilka filmów, zdaje się horrorów. Może dzięki temu przetrwa chociaż jego obraz, dla potomności. Chodź, wejdziemy do środka.

– A można tam tak po prostu wejść? Nie jest zamknięty? – rzeczywiście, w pobliżu nie było żadnych tablic informujących, że wstęp jest wzbroniony.

– Nie martw się, nic nam tu nie grozi. Jeszcze się nie zawali. Może to ostatnie lata, kiedy można go oglądać wewnątrz. Podejrzewam, że wkrótce zostanie na głucho zamknięty, właśnie ze względów bezpieczeństwa.

Przechodząc przez zrujnowane wrota, musieli bardzo uważnie stąpać, patrząc pod nogi, bo każdy niefortunny krok groził upadkiem albo poważnym urazem.

– Kościół zbudowano w 1925 roku w stylu klasycznego gotyku dzięki ambitnemu pastorowi za dolary pozyskane od stalowych bonzów, właścicieli tutejszych fabryk i stalowni – Hubert opowiadał, a echo odbijało się od ścian, wzmocnione dodatkowo w pustej przestrzeni. – Niestety, tak ogromna bryła była bardzo kosztowna w utrzymaniu i kiedy miasto zaczęło pustoszeć, do kościelnej szkatuły przestały napływać dolary. Ani metodyści, ani miasto nie byli w stanie go utrzymać. Pastora odesłano w inne miejsce, a jego następcy stopniowo doprowadzili obiekt do upadku.

Maja stała jak zahipnotyzowana, wodząc wzrokiem to po bajecznym sklepieniu zrujnowanej budowli, to po ścianach z pozostałościami starych rzeźb i fresków, to po zasłanej gruzem i deskami podłodze. Stado dzikich gołębi, spłoszone ich nagłym wtargnięciem, zerwało się ze swoich siedzisk i z hałasem fruwało tuż pod sklepieniem, wprost nad ich głowami. Promienie słońca, jak niebiańskie miecze, przedzierały się przez dziury w dachu, żeby wbić się w kilku miejscach w zdezelowaną podłogę. Widok był istic surrealisticzny. Przyszedł jej na myśl krótko-

metrażowy film animowany Tomasza Bagińskiego „Katedra”. Wysokie, wydawałoby się do nieba wznoszące się łukowate sklepienie z kasetonowym sufitem wspartym na dwóch rzędach masywnych kolumn, odpadający ze ścian tynk odsłaniający fragmentami ceglany mur, wszystko to sprawiało wrażenie, jakby człowiek nagle znalazł się na planie filmowym jakiegoś rodzaju fantasy. Hubert stał blisko, tuż za nią, obejmował ją ramionami, przytulając jednocześnie do swojej muskularnej klatki piersiowej, gładząc delikatnie jej barki.

– Jak można było dopuścić do takiej ruiny tak piękny obiekt? – zapytała zaskoczona. – Przecież serce boli, kiedy się na to patrzy. Jak można stworzyć coś tak pięknego, a potem zniszczyć? Dlaczego ludzie są tacy bezmyślni?

– Wszystko w życiu, niestety, sprowadza się do pieniędzy, a kiedy ich zabraknie, niszczyje. Ja też zafascynowałem się tą budowlą od pierwszego razu, kiedy się tutaj znalazłem. Dlatego wybrałem ją na temat swojej pracy dyplomowej. Obroniłem pracę celująco, bo włożyłem w nią całe swe serce. I dlatego też wybrałem właśnie to miejsce, żeby ci o czymś powiedzieć – to mówiąc obrócił ją delikatnie w swoją stronę, jednocześnie klękając przed nią na jedno kolano.

– Co? Co ci się stało? – zdołała jeszcze tylko wydukać zaskoczona, zanim się zorientowała, co się naprawdę dzieje.

– Maju, kocham cię całym sercem, od pierwszej chwili, kiedy cię spotkałem. Moje życie ponownie nabrało sensu. Jestem z tobą szczęśliwy i chciałbym, żeby tak zostało już na zawsze – to mówiąc wyciągnął przed nią małe puzderko, a kiedy je otworzył, ujrzała iskrzący się subtelnym światłem delikatny pierścionek z niebieskim szafirem. – Czy zgodzisz się zostać moją żoną? Obiecuję kochać cię, być ci wiernym i troszczyć się o ciebie z całych moich sił. Wspierać cię, bronić i być zawsze twoim przyjacielem.

To powiedziawszy, wpatrywał się w jej oczy z oczekiwaniem, nadzieją, nieco niepewny. A ona ze wzruszenia przez chwilę nie mogła nic powiedzieć, kiwała tylko głową. A kiedy po chwili odzyskała głos, wyrzuciła z siebie z całym impetem:

– Tak, tak, tak!

I została zamknięta w jego ramionach, a pocałunek, który poczuła na

swoich ustach, był jednocześnie słodki, namiętny, gorący, zaborczy. Był obietnicą tego, co ich czeka we wspólnej przyszłości.

I bezcenny był wściekły wzrok Sarah, kiedy kilkanaście minut później zauważyła na jej palcu pierścionek i kiedy Hubert z dumą oznajmił wszystkim o ich zaręczynach, tuląc czule swoją wybrankę. Przez cały wieczór Sarah ciskała w jej kierunku mordercze spojrzenia. Jedyną osobą, która to zauważyła, oprócz Mai oczywiście, był Richard. Przyglądał się tym scenom ze zdziwieniem, usiłując coś z tego zrozumieć. I w końcu chyba zrozumiał, nie był przecież głupi.

A kiedy późnym wieczorem wrócili do domu, Hubert otworzył jej ulubionego szampana Moet i podając jej zroszony kieliszek, poprosił o chwilę cierpliwości. zaproponował, żeby usiadła wygodnie, odpoczęła. Sam udał się na górę. Po chwili wrócił podekscytowany, wziął ją za rękę i poprowadził za sobą schodami na piętro. Otworzył drzwi do sypialni, a wtedy zobaczyła na łóżku rozścielone białe prześcieradło frotte zasłane płatkami czerwonych róż. Obok na komodzie paliło się kilka aromatycznych świec i stało kilka buteleczek z różnymi cieciami. Z głośników dobiegała cicha, relaksująca muzyka o orientalno-wschodniej nucie. Egzotyczny zapach przyjemnie drażnił zmysły. Już sam widok tego, co zobaczyła, przyspieszył bicie jej serca.

Hubert podszedł do niej powoli i zaczął ją nieśpiesznie rozbierać, całując jednocześnie różne miejsca na jej ciele. Kiedy wreszcie stanęła przed nim naga, czuła, jak narasta w niej ekscytacja, oczekiwanie doznania czegoś niesamowitego. Hubert szybkimi ruchami zrzucił swoje ubranie, pozostał jedynie w bokserkach. Łagodnym ruchem położył Maję na brzuchu pośrodku łóżka, podkładając jej poduszkę pod okolicę mostka i dotykając delikatnym, głaszczącym ruchem skóry jej pleców.

– Odpręż się, to jest moja druga niespodzianka dla ciebie na dzisiaj. Nic nie mów. Tylko czuj – jego głos był cichy, przepełniony erotyzmem. Sam głos wystarczył, żeby poczuła podniecenie.

Początkowo masował delikatnie jej plecy, ugniatając nieśpiesznie, a ona miała wrażenie, że to wielki kocur, może ryś lub mała pantera spaceruje po niej miękkimi, aksamitnymi łapami, wyzwalając te niesamowite doznania. Jego ręce miały w sobie jakąś magię. Po chwili poczuła ciepłą, pachnącą stróżkę, rozlewającą się wzdłuż jej kręgosłupa, którą

natychmiast zebrały ciepłe dłonie Huberta, rozcierając na całych plecach. Odurzona tym dotykiem, zapachem, erotycznym nastrojem, zaczynała odpływać w niebyt. Poczowała się, jakby wstąpiła do innego wymiaru. A jego dłonie wędrowały niestrudzenie, masując cudownie jej napięte mięśnie. W tym momencie świat był tylko dotykiem, no może jeszcze zapachem. I dźwiękiem. Rozluźniła się, miała wrażenie, jakby opuszczała swoje ciało. Hubert posuwał się coraz niżej, kolistymi ruchami uciskał jej pośladki, potem uda, łydki, a kiedy wziął w dłonie obie jej stopy i zaczął ugniatać kciukami powierzchnię tuż pod palcami, poczuła rozchodzący się po całym ciele prąd, nie przypuszczała nawet, że właśnie w tym miejscu ma tak wrażliwą strefę erogenną.

Po chwili obrócił ją delikatnie na plecy, zasłonił jej oczy złożonym w prostokąt cienkim ręcznikiem i ponownie poczuła ciepłą stróżkę, tym razem między piersiami. Hubert kontynuował swój masaż, muzyka stawała się coraz bardziej przejmująca, a ona nie mogła powstrzymać narastającego w niej napięcia. Podobnie jak to robił poprzednio, posuwał się coraz niżej. Kiedy opuścił rozbudzone piersi, dotknął skóry brzucha, wstrzymała oddech w oczekiwaniu na doznania z następnego w kolejności miejsca. Niestety, ku jej rozczarowaniu, Hubert je zupełnie pominął, przenosząc swoje dłonie na uda, kolana, łydki. Jęknęła, rozczarowana.

– Hubert, proszę, nie wytrzymam dłużej.

Usłyszała, a może raczej wyczuła delikatny chichot narzeczonego.

Powolnym ruchem zdjął z jej oczu przesłonę, poczuła jego ciało na swoim, ujrzała oczy wpatrujące się w nią z uwielbieniem. Po chwili, złączeni, zatracili się w sobie, a migotliwe światło przygasających świec zdawało się drzeć z nimi w równym rytmie.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY FILIP

Dni mijały, takie podobne do siebie. Pracował ciężko i nie mógł się nadziwić, że zaczynał czuć się prawie szczęśliwy. Maja nie wróciła. Kilka razy był w hotelu, podpatrywał personel, kręcił się po okolicy. Ba! Nawet zdobył jej adres od recepcjonistki, mniej dyskretniej niż kumpel Mai. Dowiedział się, że wynajmuje pokój u brata właściciela. Krążył wokół jej mieszkania jak ćma wokół lampy. Nawet przesiadywał pod domem wieczorami, w nadziei, że chociaż zobaczy światło w oknach. Nic! Dom wyglądał na opuszczony. Po kilku dniach próbował ponownie dowiedzieć się czegoś w hotelu, ale przyuważył go ten Łukasz, takie imię przynajmniej widniało na jego plakietce na koszuli. Ten sam koleś, który na samym początku jego pobytu poinformował go, że Maja wyjechała. Zaczął przyglądać mu się wyjątkowo podejrzliwie. Kiedy się wycofał, tamten nawet wyszedł za nim przed budynek. Wołał za nim, ale Filip udawał, że nie słyszy i szybkim, stanowczym krokiem oddalił się w stronę miasta. Nie odważył się więcej tam pokazać, mimo że paliła go ciekawość. Ale nie mógł nic zrobić. Musiał uzbroić się w cierpliwość.

Szczerze mówiąc, to nie było tak źle. Pracował bardzo ciężko, wyciskał z siebie, jak to mówią, siódme poty. Nigdy nie był taki umięśniony. Był zawsze wysoki i szczupły. A teraz stał się również umięśniony. Nie był narcyzem, nie musiał oglądać się godzinami w lustrze. Nigdy nie przywiązywał większego znaczenia do swojego wyglądu. Owszem, chciał się podobać Mai i kiedy był z nią, dbał o siebie. Ubierał się schludnie, w miarę modnie, zawsze był czysty i pachnący. Ale czy miał centymetr więcej mięśnia w obwodzie bicepsa, czy mniej, zupełnie miał to gdzieś. Zresztą, to się teraz nie zmieniło. Uważał, że inne rzeczy i cechy człowieka mają większą wartość w życiu, choć ze zdziwieniem zauważał swoją zmienioną sylwetkę, kiedy wychodził spod prysznic. Na wprost kabiny znajdowało się lustro wielkości dorosłego mężczyzny i mógł przeglądać się w nim od stóp do głów. Jak to mówią, jak go Pan



Bóg stworzył. I nie miał się czego wstydzić. Ale nadal nie chodził do fryzjera. Kiedy jego włosy zaczynały sprawiać mu trudność przy rozczesywaniu, czyli zazwyczaj kiedy sięgały mu poniżej ramion, po prostu brał nożyczki i ciachał je o kilka centymetrów, nie troszcząc się o to, czy udało mu się to zrobić równo, czy nie. I tak były kręcone, no może właściwie falowane, nie miało znaczenia, jak zostały przycięte. A w pracy po prostu wiązał sobie kitkę, jak samuraj. Kumple z tartaku nabijali się z niego, że dziki, że jaskiniowiec, ale nie przejmował się tym. Po całym lecie pracy na świeżym powietrzu, jego twarz była ogorziała, opalona, wyglądał zdrowo. I zdrowo się czuł.

I był spokojny. Po raz pierwszy od wielu lat tak się czuł. Nawet zanim zaczął się przyjaźnić, a później spotykać z Mają, miał swoje nieustające problemy rodzinne. Ciągłe o czymś uporczywie rozmyślał, ciągle coś go trapiło, dręczyło. Nie mógł zaznać spokoju, nie mógł spokojnie spać, męczyły go po nocach koszmary. Stale jakieś myśli uporczywie kłębiły się w jego głowie, nawet w najprzyjemniejszych chwilach nie chciały go opuścić. A teraz jakby wszystko odpłynęło, nie miało znaczenia. I w jego duszy zapanował wreszcie spokój. Jedyne, co go dziwiło, to to, że stało się to pomimo nieobecności Mai. A może właśnie dlatego?

Lato dobiegło końca, nie spostrzegł nawet, kiedy minęła również jesień. Liście opadły z drzew, okolica zrobiła się szarobura, coraz bardziej doskwierał chłód.

Początek listopada był dla niego zazwyczaj najgorszym miesiącem. Zimno, wilgotno, ponuro. Smutno. Zawsze w tym czasie dopadała go depresja. Nigdy nikomu o tym nie mówił, szczególnie Mai, ale bywały takie momenty, że mógłby tygodniami nie wychodzić z łóżka. Albo po prostu skończyć ze sobą. Tylko Maja trzymała go przy życiu. Ona była jego najlepszym lekarstwem, celem, przyczyną, dla której nadal tułał się po tym ziemskim padole. Teraz znowu nastał ten feralny okres, a on czuł się całkiem dobrze. Ba, jak nigdy dotąd. Pomimo śmierci ojca, pomimo zerwania wszelkich kontaktów z matką i bratem. A może właśnie dzięki temu? Teraz kumple, którzy mieszkali razem z nim w baraku, powoli stawali się mu bliscy, stawali się jego rodziną.

Razem z nim było ich pięciu.

Zenek, facet, któremu dopiero co stuknęła pięćdziesiątka, ale wyglądał co najmniej na sześćdziesiąt pięć. Wdowiec, bezdzietny, na świecie sam jak palec. Zupełnie jak on, Filip. Co sobotę kąpał się dokładnie (a robił to tylko raz w tygodniu), ubierał białą koszulę do spranych dżinów i siedł wieczorem na dziwki, w sobie tylko znane miejsce. Wracał stamtąd tak szczęśliwy, że wystarczyło mu to na następnych siedem dni. Maciek, lat trzydzieści jeden, alkoholik na odwyku, którego zostawiła żona i który ciężko pracował, żeby zarobić na alimenty dla niej i dla trójki małych dzieciaków. I żeby odpokutować. Jerzy, lat czterdzieści osiem, profesor ze szkoły średniej w Krakowie, kawaler, który rozczarowany życiem w mieście i układami w pracy, rzucił to wszystko i został drwalem. Wiezorami zaszywał się z nosem w historycznych książkach, szczególnie tych o starożytnym Egipcie. Zawsze służył im mądrą radą, chyba wiedział wszystko. Jedyne z towarzystwa, który wiedział, że Filip jest niedoszłym lekarzem. I że ma złamane serce. I wreszcie Józek, dwudziestodzieciolatek z Wybrzeża, metr dziewięćdziesiąt wzrostu, budowy Pudziana, który przyjechał tu na wakacje, zakochał się w dziewczynie z Mszany Dolnej, rzucił pracę mechanika samochodowego i zatrudnił się w pobliżu ukochanej. A że panna pochodziła z porządnej góralskiej rodziny nie było szans na wspólne zamieszkanie przed ślubem. I to jemu właśnie dał się Filip namówić na zostanie drużbą na ślubie. Chłopak nie miał rodzeństwa ani żadnych bliższych kumpli w pobliżu, a schorowani rodzice nie mogli przyjechać na ślub. Piętnastego listopada miał zostać świadkiem. W kościele.

Dzięki tym czterem, tak różnym mężczyznom, Filip zaczynał odzykiwać wiarę w ludzi. Każdy z nich był inny, ale akceptowali się w stu procentach.

Tydzień przed ślubem kumpla razem z nim wybrał się do ciucheksu. Kupił czarne spodnie, grafitową marynarkę i jasnoszary krawat w drobnutki, ciemniejsze kwadraciki. A do tego białą koszulę. I nawet nie były to jakieś niemodne albo zniszczone rzeczy. W całkiem dobrym stanie i nawet w miarę na czasie. A najważniejsze, że zapłacił za wszystko siedemdziesiąt pięć złotych. Buty pożyczył mu profesor, a pasek skórzany Zenek. Miał dwa, z czego czarny był mniej zniszczony. Właściwie, to mógłby nawet kupić sobie to wszystko nowe, tylko po co? Na

jeden wieczór? Nie było sensu.

W dzień ślubu Józek od rana chodził, jakby mu kto rozżarzonych węgli nasypał do gaci. Nie mógł sobie znaleźć miejsca. Ciągłe przychodził do pokoju Filipa, a to poprawić krawat, a to w poszukiwaniu pasty do butów, albo żeby pożyczyć grzebień, który rzekomo zgubił. Musiał po prostu z kimś być. A Filip śmiał się z niego, serdecznie ubawiony i czuł się taki zadowolony, odprężony. Potrzebny. Oczywiście, wszyscy mieszkańcy baraku zostali zaproszeni na wesele, takie prawdziwe, góralskie. Złożyli się na prezent, każdy dał po pięć dych, a nie było to dla większości mało. Kupili młodemu na targu w Rabce komplet pościeli i dwa obrusy. Trzeba przyznać, że całkiem ładne. On, Filip wybierał. Z naturalnych materiałów, lnu i bawełny, w ekologicznych kolorach, nie jakieś tam chińskie badziewie z elektryzującego się plamoodpornego sztucznego tworzywa.

Mały, wiejski kościółek, po brzegi wypełniali weselni goście. Stali z Józkiem przed ołtarzem w oczekiwaniu na pannę młodą, którą zgodnie z tradycją, miał doprowadzić do ołtarza ojciec. Po drugiej stronie ołtarza czekała świadkowa, młoda dziewczyna z długimi, ciemnymi włosami. Jej twarz była mu skądś znajoma. Zamyślił się, szukając głęboko w pamięci obrazu dziewczyny. Jest! Widział ją w recepcji hotelu, kiedy był tam po raz któryś w poszukiwaniu Mai. „Co za zbieg okoliczności” – pomyślał. Może wreszcie uda mu się czegoś konkretnego dowiedzieć. I znowu zaczął odczuwać ten niepokój, podniecenie, podenerwowanie. A już było tak dobrze. Nie był w stanie jednak nad tym zapanować.

Kiedy ceremonia dobiegła końca, wszyscy goście zasiedli do bryczek i z towarzyszącymi im wesołymi przyśpiewkami, przy dźwięku góralskiej kapeli, ruszyli do góralskiej gospody o nazwie „Gazdówka”. I ku radości Filipa, zasiadł obok dziewczyny, jak się okazało o imieniu Ewa. Miłe, młode dziewczę, chyba dopiero co skończyła szkołę średnią. Ładna, o jasnej karnacji, ciemnych włosach i dużych, jakby zdziwionych, piwnych oczach, trochę przypominała mu Wednesday Addams z „Rodziny Addamsów”, którą grała Christina Ricci. Ewa była jednak zdecydowanie ładniejsza. No i mniej demoniczna. Posadzono ich obok siebie, naprzeciwko młodej pary. Pozostali kumple z baraku rozsiedli się przy końcu długiego stołu, pomiędzy dziewczynami bez pary, zaproszo-

nymi ze strony panny młodej. Filip obserwował ich z daleka, wydawali się bardzo zadowoleni z towarzystwa. Nawet profesor, który miał obok siebie pulchną blondynkę po czterdziestce. Nachyleni ku sobie, żywo dyskutowali.

– Mam wrażenie, że już gdzieś się spotkaliśmy – zagadnął do Ewy, kiedy już zostali sobie oficjalnie przedstawieni. Dziewczyna przyglądała mu się przez chwilę, marszcząc brwi. – Mogę wiedzieć, gdzie pracujesz? – Nie chciał od razu wyklądać kart na stół.

– W hotelu „U Maciejowej” – odpowiedziała, przyglądając mu się z uwagą. Czuł, że wpadł jej w oko. Zresztą, miał świadomość, że młode dziewczyny przyglądają mu się ukradkiem. Wyelegantowany w swój garnitur z drugiej ręki, z włosami spiętymi w koński ogon tuż nad karkiem, związanymi brązowym rzemieniem, z ogorzalą twarzą, prezentował się zupełnie jak ucywilizowany dziki z lasu. A dziewczynom tacy faceci się podobają, coraz częściej w ostatnim czasie się o tym przekonywał.

– No, tak, jestem w domu! Byłem tam tuż po moim przyjeździe do Rabki. Szukałem Mai Bogackiej, mojej bliskiej znajomej, ale niestety nie miałem szczęścia. Właśnie wzięła urlop, a potem gdzieś wyjechała. – Wpatrywał się w jej oczy hipnotyzującym wzrokiem, chyba próbował ją uwodzić. – I niestety się nie dowiedziałem, dokąd pojechała. Wiesz coś może?

– Maja wyjechała do Stanów z panem Hubertem, bratem mojego szefa, właściciela hotelu. On tam mieszka na stałe, jest chyba architektem. Bardzo sympatyczny facet. I bardzo przystojny – dodała ze śmiechem, zupełnie nieorientowana, jaką reakcją ta wiadomość wywołała w towarzyszu zabawy.

A Filip nie mógł przez dłuższą chwilę złapać tchu. Poczuł, jakby coś mu zabrano. Jakby nagle w pomieszczeniu zabrakło powietrza, nie miał czym oddychać.

– A skąd się znacie z Mają? – pytała niczego nieświadoma dziewczyna.

– Chodziliśmy razem do szkoły średniej w Poznaniu – odpowiedział, całą siłą woli usiłując nie dać po sobie poznać, jakie wrażenie wywarła na nim podana informacja.

– O! Pochodzisz z Poznania? I chciałeś tu przyjechać, na koniec świata? Nie żałujesz, że opuściłeś duże miasto?

– Duże miasta mają swój urok, ale są też bardzo męczące. Chciałem stamtąd uciec. Musiałem coś zmienić w swoim życiu – mówiąc to, patrzył przed siebie, ale myślni był zupełnie gdzie indziej.

– Dziewczyna? To wszystko przez dziewczynę? – wpatrywała się w niego tymi swoimi wielkimi oczami, a w nich zaczynał widzieć... zachwyty. To niesamowite. Jak szybko takie młode osoby płci żeńskiej dają się zauroczyć. Uśmiechnął się do niej jednym ze swoich wystudowanych, najbardziej życzliwych uśmiechów.

– Nie tylko, wiele czynników się na to złożyło – odpowiedział, wstając jednocześnie. – Przepraszam cię na chwilę, zaraz wrócę.

Ruszył w stronę wyjścia na taras, z którego widoczne były w oddali światła okolicznych wiosek. Na dworze panował przenikliwy chłód, czuł zimno wdzierające się pod poły jego nowej marynarki, ale zignorował to. Wpatrywał się w migające światełka, jak zagubione nieszczęśliwe duszyczki i zrozumiał, że pewien etap w jego życiu właśnie się skończył. Bezwrotnie i nieodwołalnie. I nie pozostaje mu nic innego, jak tylko się z tym pogodzić.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

### HUBERT

Siedział w swoim gabinecie za biurkiem, naprzeciwko niego zajęła miejsce zatroskana czymś Sarah, czujnie wpatrująca się w niego. Od kilkunastu minut prowadzili rozmowę, właściwie nie wiadomo o czym. Sarah koniecznie chciała z nim pogadać już po ostatnim spotkaniu z Włochami, ale on ciągle nie miał na to czasu. Początkowo myślał, że chodzi o sprawy służbowe, ale w końcu się okazało, że ma dla niego ważne wiadomości dotyczące jego prywatnego życia. Tak się jednak składało, że przez prawie dwa tygodnie nie mogli usiąść do tej rozmowy. Krążył między pracą, a domem. Niepokoiły go powtarzające się niedyspozycje Mai. Czuł, że coś przed nim ukrywa. Coraz częściej nie mogła, a może nie chciała jeździć z nim na różne służbowe spotkania. Minęło zaledwie kilka miesięcy od ich przyjazdu do Stanów, a widywali się z Mają coraz rzadziej. I jakby schudła ostatnio. Martwił się, ale ona stale go uspokajała, że to przejściowa niestrawność, a to kobiece dolegliwości, a to przeziębienie. Uśmiechała się przy tym tak szczerze. Wierzył jej. Potem nadeszły święta, jego oświadczyzny, które ku jego niezmiernej radości przyjęła i znowu czas jakby przyspieszył.

A teraz siedziała przed nim zaniepokojona Sarah, obserwując go uważnie, ktoś postronny pomyślałby, że z troską. A on poczuł jakiś dziwny niepokój.

– Hubert, znamy się tyle lat, wiesz, że życzę ci jak najlepiej i całym sercem pragnę twojego szczęścia – zaczęła Sarah, kiedy wreszcie znalazł dla niej czas, a właściwie to można powiedzieć, kiedy wtargnęła ostentacyjnie do jego gabinetu. – Nie mogę jednak obojętnie patrzeć, jak ktoś perfidnie cię oszukuje.

– Co masz na myśli, Sarah? Chodzi o kontrahentów? Ktoś z nich działa nieuczciwie? – Nie ukrywał swojego zaniepokojenia.

– To byłoby jeszcze pół biedy, niestety, chodzi o twoje sprawy prywatne – Sprawiała wrażenie, że zamierza powiedzieć mu coś smutnego

i bardzo się martwi, żeby nie sprawić mu tym przykrości.

– O co chodzi, mów wreszcie.

– Maja ma romans z Tonim – wykrztusiła to z siebie.

– Co takiego?! Co za bzdury opowiadasz! Skąd ci to przyszło do głowy?

– Obserwowałam ich od samego początku. Nie chciałam zwracać ci głowy swoimi podejrzeniami, ale nie dawało mi to spokoju. Mam sąsiada detektywa. Poprosiłam go, żeby poobserwował twój dom, wiedząc, że Maja coraz częściej zostaje tam sama. Zobacz, co mi dostarczył – to mówiąc, położyła przed nim szarą, sztywną kopertę. Wysunął z niej plik zdjęć. Kiedy na nie spojrział, serce przestało mu bić. Na pierwszym zdjęciu była Maja w objęciach Tonia w jakimś holu hotelowym, chyba w tym samym dniu, kiedy ich ze sobą poznał. On obejmował ją czule, a ona przytuliła policzek do jego ramienia. Na kilku następnych zobaczył ich w trakcie rozmowy, wpatrujących się w siebie, ale widać było tylko głowy, nie wiedział, gdzie i kiedy były zrobione. A w końcu Tonio wysiadający z samochodu przed jego domem i data na zdjęciu sprzed trzech godzin. Dzisiaj Maja ponownie nie czuła się najlepiej, kiedy rano wyjeżdżał do pracy. Zapowiedział jej, że wróci dopiero wieczorem, bo ma dużo pracy i musi pojechać do Milwaukee i może pojechałaby z nim, ale odmówiła, tłumacząc się spotkaniem z sąsiadką, Irene, z którą od kilku tygodni spotykała się często podczas jego nieobecności. Obiecała jej pomoc w kupnie sukienki na wesele siostry.

– To niemożliwe, to jakiś fotomontaż! Skąd to masz? – zapytał ze złością siedzącą przed nim szwagierkę.

– Przywiózł mi to przed chwilą znajomy detektyw. Miał w mieście coś do załatwienia, a że dzisiaj akurat wybrał się pod twój dom, i zobaczył to, co zobaczył, nie zwlekał dłużej z powiadomieniem mnie – Ton jej głosu wyrażał głęboki smutek.

– Ale co takiego cię zaniepokoiło, że w ogóle poprosiłaś tego detektywa o pomoc? Nic z tego nie rozumiem – nadal nie mógł się otrząsnąć z pierwszego szoku.

– Od pierwszego naszego spotkania zauważyłam, jak Maja przygląda się Richardowi. Najpierw to był właśnie Richard. Obserwowałam, jak się do niego uśmiecha, kokietuje go. Ty niczego nie zauważałaś. Cóż,

miłość, jak to mówią, jest ślepa.

Zapadło milczenie. Hubert patrzył na siedzącą przed nim kobietę, jakby pierwszy raz w życiu ją widział. Po chwili Sarah kontynuowała:

– Richard udawał, że tego nie zauważa, myślę, że przez wzgląd na ciebie, ale Maja nie dawała za wygraną. Kiedy nie patrzyłeś, dotykała dyskretnie jego dłoni, uśmiechała się przymilnie. W końcu się zorientowała, że jej poczynania nie dają efektu, ale na nieszczęście akurat wtedy poznałeś ją z Tonim. Kiedy byliśmy w Mariottcie, nie zauważyłeś tego, bo byłeś zajęty rozmową o interesach, ale kiedy tylko Toni odszedł od stołu, Maja po chwili ruszyła za nim, niby do toalety.

– To chyba najpierw Maja odeszła od stolika? – przerwał jej Hubert.

– Jesteś tego pewny? – zapytała ze smutkiem.

– No, nie – odpowiedział po dłuższej chwili.

– A widzisz... – smutek w jej głosie zastąpiła nutka triumfu. – Otóż ja po chwili także poszłam do toalety i zastałam ich obściskujących się na hotelowym korytarzu. Odskoczyli od siebie, kiedy mnie zobaczyli, a ja udałam, że niczego nie widziałam. I wtedy nabrałam podejrzeń. Hubert, martwię się, że ta dziewczyna jest z tobą dla pieniędzy. Nie chciałabym, żeby cię zraniła, wykorzystana.

To mówiąc, obeszła biurko, usiadła na jego skraju naprzeciwko Huberta i czule dotknęła jego ramienia, masując je jakby uspokajającym ruchem. On, zamyślony, nadal tępo wpatrywał się w rozłożone przed nim na biurku zdjęcia. Zdawało się, że nie dostrzega czułych gestów kobiety.

– Może powinieneś z nią porozmawiać, wyjaśnić wszystko? – nadal w jej głosie wyczuwalna była troska. Była świetną aktorką, chyba minęła się z powołaniem. I doskonale potrafiła manipulować ludźmi. A Hubertem szczególnie. Znała go przecież tak dobrze. I tak długo.

– Nie wierzę w to wszystko – kręcąc głową, wyrzucił z siebie gwałtownie słowa. – Zresztą na tych zdjęciach przecież nie ma niczego złego, równie dobrze mogą one nic nie znaczyć.

– Też mi się tak wydawało początkowo, ale wierz mi, nie leciałabym z nimi do ciebie od razu, gdybym wcześniej ich nie poobserwowała. Żałuję, że nie zrobiłam wcześniej zdjęć, ale nie przyszło mi to do głowy. Wierz mi, zachowanie twojej narzeczonej nie było w porządku.



Oczywiście, zachowanie Mai było jak najbardziej w porządku, ale Hubert nie to miał usłyszeć. Dość miała panoszenia się tej polskiej siksy. Nie pozwoli, żeby po raz drugi inna kobieta zabrała jej Huberta. Okay, wcześniej to była jej ukochana siostra, wówczas poświęciłaby dla niej wszystko. Ale siostra okazała się niewdzięczna, mimo że wiedziała o uczuciach Sarah. O uczuciu do niej, Mary, i do Huberta. Postanowiła ich od siebie rozdzielić. Mary przestała utrzymywać kontakty z siostrą, nie chciała wpuszczać jej do domu. Niejednokrotnie, kiedy Sarah stała pod drzwiami ich domu, dzwoniąc w próżnię, wiedziała, że Mary jest w środku. Ale tamta udawała, że nikogo nie ma. Sarah nie mogła dłużej tego tolerować. Tego odrzucenia, lekceważenia. Zdrady! I to ze strony ich obojga. Tych dwóch osób, które kochała najbardziej w życiu. Nie mogła jej tego wybaczyć. Zaaranżowanie wypadku nie było rzeczą trudną. W internecie w dzisiejszych czasach jest wszystko. A nikt nie podejrzewał, że w kraksie mogła mieć swój udział właśnie ona. Zresztą, samochód był tak zniszczony, że nikt się nie zorientował. A teraz nie dopuści do tego, żeby przez jakąś obcą babę historia się powtórzyła.

Hubert nadal z niedowierzaniem wpatrywał się to w jedno, to w inne zdjęcie, kręcąc z powątpiewaniem głową.

Zdjęcia z Marriotta Sarah zrobiła własną komórką, trochę je potem przerabiając. Znała niejednego trik fotograficzny. A do Toniego zadzwoniła kilka dni temu w imieniu Huberta z prośbą, żeby podjechał pod jego dom po podpisane dokumenty. I umówiła go dokładnie w tym terminie, w którym akurat Hubert był z Mają na zakupach. Toni, jak to mówią, pocałował klamkę, a zmiana daty na zdjęciu była sprawą dziecinnie prostą.

– Muszę z nią porozmawiać – Hubert poderwał się z krzesła i łapiąc w przelocie marynarkę, nie oglądając się za siebie, wypadł z biura. Na twarzy Sarah pojawił się szyderczy uśmieszek samozadowolenia.

Siedząc już w samochodzie i przebijając się przez zatłoczone ulice Chicago w kierunku domu, pomyślał, że zadzwoni do Mai, ale po chwili się zorientował, że jego telefon jest zupełnie rozładowany. A może to i lepiej, że przyjedzie do domu bez uprzedzenia. Jeżeli Sarah ma rację, na własne oczy się przekona, co się dzieje z Mają.

Droga dłużyla się niebywale. Zawsze, kiedy człowiek się spieszy, na

jego drodze stają wszelkie możliwe przeciwności losu. Jakby to los chciał zaznaczyć swoją wyższość. Popołudniowy szczyt uniemożliwił mu płynną jazdę, przez ulice przelewała się rzeka samochodów. Ruszały one za moment z miejsca, ale znów się zatrzymywały po kilku minutach. Niepotrzebnie wzbudzała się w kierowcach nadzieja, że wreszcie ruch stanie się płynny.

Gdy wreszcie udało mu się dotrzeć do domu, na dworze było już zupełnie ciemno. I o dziwo, w oknach jego domu także panowały ciemności. Kiedy wracał późno do domu, Maja zazwyczaj zapalała mu przed domem światło, świeciły się także lampy w którymś z pokoi. Dzisiaj dom sprawiał wrażenie wymarłego. Zaczął odczuwać niepokój. Zasiane przez Sarah wątpliwości dały o sobie znać. A co, jeżeli go opuściła? Jeżeli na przykład odeszła z Tonim? Nie, to przecież niemożliwe, musi być jakieś inne logiczne wytłumaczenie. Zresztą, zaraz się na pewno o tym przekona.

Drżącą dłonią usiłował włożyć klucz do zamka w drzwiach, udało mu się to dopiero po kilku próbach. W holu także było ciemno.

– Maju ! – zawołał donośnym głosem, żeby go usłyszała, jeśli jest na gorze. Odpowiedziała mu cisza. Po kolei zapalał wszystkie światła, zaglądając do kolejnych pomieszczeń, ale wszędzie było to samo. Dom ział pustką. Czuł narastający w nim lęk. Szafa – pomyślał. – Jeżeli rzeczywiście Maja odeszła, to przecież musiałaby zabrać swoje rzeczy. Wpadł do sypialni i gwałtownym ruchem przesunął drzwi garderoby. Zawartość szafy pozostała nietknięta. Nie, Maja się nie wyprowadziła. Więc, gdzie jest u licha? O co w tym wszystkim chodzi?

W tym momencie rozległ się natarczywy dzwonek do drzwi. Zbiegł po schodach z nadzieją, że może Maja zapomniała klucza, zatraskując je po wyjściu. Zamaszystym ruchem nacisnął klamkę, drzwi odskoczyły gwałtownie, a po drugiej stronie stała... Iris, sąsiadka z domu naprzeciwko.

– Jest pan wreszcie, panie Hubercie! Karetka zabrała Maję do szpitala około południa. Nie miałam jak pana zawiadomić, bo numer telefonu, który podała mi Maja nie odpowiadał, a nie wiedziałam, jak nazywa się pana firma. Czekałam więc w oknie na pana powrót.

– Jak to zabrała karetka? Co się stało? – poczuł, jak krew odpywa

mu z głowy do najniższych partii ciała.

– Maja miała od kilku tygodni bóle brzucha. Nie chciała panu o nich mówić, żeby pana nie martwić. Wzięła sobie jakiś antybiotyk przywieziony z Polski, który pomógł jej na krótko. Myślała, że już wszystko będzie dobrze. Ale dzisiaj od rana bóle tak się nasiliły, że zupełnie nie mogła się wyprostować. Mówiła, że ma wrażenie, jakby ktoś przeszywał nożem jej żołądek. A do tego jeszcze dołączyły wymioty. Kiedy do niej rano przyszedłem, ledwie zdołała doczołgać się do drzwi. Od razu wezwałam pogotowie, a oni zaraz zabrali ją do szpitala i kazali pana powiadomić – W tym momencie Iris nie mogła opanować szlochu. – A ja nie mogłam pana znaleźć.

– O Boże! A do którego szpitala ją zabrali? – Nie mógł czekać ani chwili dłużej.

– Northwestern Memorial Hospital – odpowiedziała jednym tchem, usuwając się jednocześnie na bok, żeby przepuścić biegnącego w stronę samochodu Huberta.

– Dzięki! – zdołał jeszcze tylko zawołać, zatraskując drzwi samochodu i ruszając z piskiem opon. Nie zamknął nawet drzwi wejściowych. Iris zatrzasnęła je za nim, sprawdzając, czy są dobrze zamknięte, po czym powolnym krokiem, zasmucona, ruszyła w stronę swojego domu.

## ROZDZIAŁ DWUDZESTY TRZECI

### MAJA

Obudziła się w sali szpitalnej. Ostre, jarzeniowe światło raziło ją w oczy. Miała wrażenie, że dociera zewsząd. Było takie białe, bolesne, kłujące, piekące. Takie właśnie określenia przychodziły jej do głowy. Bolało ją wszystko, a przede wszystkim brzuch. I niemiłosiernie kręciło jej się w głowie. I odczuwała nudności. Pokój lekko wirował, a przy każdym, nawet najdelikatniejszym ruchu, zaczynał po prostu krążyć wokół. Ale i tak było o niebo lepiej, niż kiedy tu przyjechała. Wtedy myślała po prostu, że umiera. Ból był tak niewyobrażalny i stale narastał, nic już nie mogło go uśmierzyć. I jakież było jej zaskoczenie, kiedy usłyszała diagnozę – ostre zapalenie wyrostka robaczkowego. I natychmiastowa operacja. Dobrze, że od rana niczego nie jadła, nie musieli czekać z zabiegiem. Nawet się nie bała. Ból był tak intensywny, że zrobiłaby wszystko, żeby go przerwać. Nawet dałaby się pokroić na żywca. Tak wtedy myślała. I nie miała jak powiadomić Huberta. Od rana jego telefon nie odpowiadał, a ona nie wiedziała, co ma zrobić, gdzie udać się do lekarza. Wiedziała, że sama sobie nie poradzi. A ból narastał, stawał się nie do wytrzymania, nie była w stanie wykonać żadnego ruchu. A potem jeszcze dołączyły do tego wymioty i miała wrażenie, że żołądek jej się wycnicuje na zewnątrz. Na szczęście, miała tego dnia odwiedzić Iris. I kiedy się nie pojawiła u niej w domu o umówionej godzinie, przyjaciółka, zaniepokojona jej nieobecnością, przyszła zobaczyć, co się dzieje. Natychmiast wezwała pogotowie i obiecała poczekać na przyjazd Huberta i powiadomić go o wszystkim.

A teraz jest już po operacji. Początkowo, kiedy ją wybudzili na sali operacyjnej, nie mogła sobie uświadomić, gdzie się właściwie znajduje. I było jej tak niedobrze. I znowu wymiotowała. Na szczęście lekarz, który był przy niej podczas wybudzania, uświadomił ją, że wymioty występują na skutek znieczulenia i że wkrótce miną. Zaaplikował jej jeszcze jakiś lek do wenflonu i po kilku minutach rzeczywiście poczuła

się lepiej. Nudności jednak pozostały.

Tak bardzo brakowało jej Huberta. Co się stało, że nie odpowiadał na jej telefony? To niepodobne do niego. Miała nadzieję, że jedynie rozłądował mu się telefon i że tego nie zauważył w ferworze pracy. Wierzyła, że nie stało mu się nic złego, żaden wypadek ani nic z tych rzeczy. Chciałaby, żeby tu był przy niej. Czowała, że zaraz się rozklei i zacznie ryczeć jak bóbr. Cały czas była silna, ale teraz, kiedy jest już po wszystkim, zaczynały opuszczać ją siły.

W tym momencie jej rozmyślenia przerwał dźwięk otwieranych drzwi i pojawiła się w nich kobieta w średnim wieku, o sympatycznym wyglądzie, miłym uśmiechu na zmęczonej twarzy, z przewieszonymi przez szyję słuchawkami.

– Witam panią, pani Maja – nie odmieniała jej imienia w języku angielskim i zabrzmiało to dość śmiesznie. – Jestem doktor Claire Black, operowałam panią. Jak się pani teraz czuje?

– Boli mnie jeszcze cały brzuch. Po operacji wymiotowałam, ale teraz jest mi tylko niedobrze – odpowiedziała. – Jestem słaba, czuję się jednak lepiej niż przed operacją.

– To dobrze, bo zważywszy na pani stan, baliśmy się tego zabiegu, ale musieliśmy przede wszystkim ratować pani życie. Na szczęście wszystko poszło dobrze – uśmiechnęła się zadowolona.

– Mój stan? Nie rozumiem.

O co chodziło tej miłej lekarce?

– Jest pani w ciąży, nie wiedziała pani o tym? – Wpatrywała się w Maję, marszcząc brwi, oczekiwała odpowiedzi. – Widocznie nie, skoro podczas wypełniania ankiety anestezyjologicznej nie zaznaczyła pani tego faktu. – Na twarzy pani doktor odmalowało się zatroskanie.

– Nie, nie wiedziałam – Maja czuła się oszołomiona, zaskoczona. Nie spodziewała się tego. – Zawsze miałam niezbyt regularne miesiączki, opóźnianie się ostatniej nie wzbudziło więc we mnie jakichś większych obaw.

– Ponieważ w trakcie operacji mieliśmy wątpliwości, czy to tylko wyrostek, który nota bene był zgorzelinowy i prawdopodobnie wkrótce uległby perforacji, zrobiliśmy pani usg brzucha i wtedy stwierdziliśmy u pani ciążę. Według naszych obliczeń, może to być ósmy tydzień. Czy

to prawdopodobne?

Ale jak mogła zająć w ciąży, przecież się zabezpieczali. Chyba że... tak, oczywiście. Masaż, który zafundował jej Hubert w dniu oświadczyń, a potem ten cudowny seks, zapomnieli wówczas o ostrożności. Zresztą, wtedy akurat dopiero co skończyła się jej miesiączka, myślała więc, że jest w okresie bezpłodnym. A jednak...

– To się może zgadzać, pani doktor. – Nagle poczuła strach. – Ale, czy operacja i moja choroba nie zaszkodzą dziecku? Czy wszystko będzie w porządku?

Lekarka się zamyśliła.

– Najbliższy tydzień będzie rozstrzygający. Ale używaliśmy leków i środków do znieczulenia, które są bezpieczne dla płodu, zatem wszystko powinno być dobrze. Medycyna to nie matematyka, tutaj niczego nie ma na pewno. – Lekarka uśmiechnęła się pokrzepiająco, poklepując Maję delikatnie po ręce. – Proszę być dobrej myśli i teraz dużo odpoczywać. Czy chciałaby pani, żeby kogoś zawiadomić?

– Moja sąsiadka zawiadomi mojego narzeczonego. Nie mogłam od rana się do niego dodzwonić, myślę że rozłądował mu się telefon. Mam nadzieję, że to nic gorszego. Powinien wkrótce tu przyjechać. Ale proszę nie mówić mu nic o ciąży. Chciałabym zrobić to sama.

– Oczywiście, rozumiem panią. Proszę się nie martwić. Gdyby się pani gorzej poczuła, to proszę zadzwonić po pielęgniarkę, tutaj jest przycisk – to mówiąc, położyła obok dłoni Mai małe pudełeczko przywoływacza. – Zresztą, pielęgniarka będzie do pani co chwilę zaglądać. A teraz odpoczywamy. Do zobaczenia jutro.

Z tymi słowami odeszła, cicho zamykając za sobą drzwi.

A Maja nie mogła się otrząsnąć z oszołomienia.

„Jestem w ciąży... – myślała. To niewiarygodne. Ale jak to możliwe? I co na to powie Hubert? Ucieszy się? Czy też będzie zły? Nie, niemożliwe, żeby miał być zły. Chciał mieć przecież dzieci z Mary. Oświadczył się mi, chciał założyć ze mną rodzinę. Kocha mnie, przecież o tym wiem. Dlaczego nie miałyby chcieć dzieci? I dlaczego w ogóle nachodzą mnie jakiegoś wątpliwości? Nie rozumiem tego. Niech już przyjedzie, niech już wreszcie będzie przy mnie”. – Poczuła lzy napływające do oczu, nie mogła ich powstrzymać. Ból ostatnich godzin, napięcie,

niepokój i teraz jeszcze ta wiadomość, to wszystko musiało gdzieś znaleźć ujście. Zaczęła szlochać, nie mogła tego pohamować. Czowała się taka samotna. Nie miała z kim podzielić się swoim lękiem, radością, wątpliwościami. – Gdzie jest ten Hubert do licha? Niech już wreszcie tu będzie!”

Tak rozmyślając, zapadła w niespokojny sen. A właściwie, to jakby przeżywała na nowo sen, który już raz jej się śnił. Znowu ta kobieta z Tatr. I znowu siedziała przy niej, w sali szpitalnej i trzymała ją za rękę. Uśmiechała się do niej smutno... tak bardzo smutno. Ale Maja tym razem była w swoim ciele, tylko kobieta miała taki zrezygowany wyraz twarzy. Czyżby miało się wydarzyć coś złego? Coś z Hubertem? Z małżeństwem? Już myślała o nim „Małeństwo”. Nagle w pokoju pojawił się Toni. Ten poznany w Marriottcie kontrahent Huberta. Stał oparty o framugę drzwi i bawił się jakimś przedmiotem zawieszonym na łańcuszku. Miał taką poważną, wręcz groźną minę. Wyglądał jak jeden z tych z „Ojca Chrzestnego”.

– Co tu robisz, Toni? – odezwała się. – Nie powinno cię tu być! O co w tym wszystkim chodzi? Toni, idź stąd! Wezwij Huberta. Hubert! – zawołała rozpaczliwie przez sen, chcąc uwolnić się z uścisku tej smutnej kobiety, nie chciała, żeby ona tu przy niej siedziała. Chciała, żeby był tu Hubert. – Hubert!!!

– Jestem, jestem. Maju, obudź się – to Hubert. Był tu. Jak dobrze!

– Hubert, co się z tobą działo? Nie mogłam się do ciebie dodzwonić! – zapytała z rozpaczą w głosie, niezupełnie jeszcze rozróżniając jawę od snu. – A co tu robił Toni? Gdzie on jest? – Czy to działanie leków tak ją oszołomiło, czy ten niespokojny sen tak zaburzył jej świadomość?

– Nie wiem, gdzie jest Toni, Maju. Na razie jestem tu tylko ja – powiedział Hubert, chyba urażony.

– Przepraszam cię, kochanie, miałam jakiś koszmarny sen. Śniła mi się znowu ta kobieta z Tatr i nie wiem dlaczego Toni. Był tu i miał taką groźną minę.

Huberta twarz przybrała jakiś taki niepokojąco obojętny wyraz. Jakby był czymś zirytowany. Włosy miał potargane, był bez krawata, koszulę miał rozpiętą pod szyją, marynarka tak seksownie podkreślała jego szerokie ramiona. Był taki męski, tak bardzo chciała go czuć, znaleźć się

w jego ramionach, powiedzieć mu o ciąży. I zobaczyć radość w jego oczach.

– Co się stało, Hubert? Czy jesteś na mnie zły? Dlaczego jesteś taki obcy? – Mai znowu zbierało się na płacz.

– Nic się nie dzieje, Maju. Martwiłem się o ciebie. Wiem od pielęgniarki, że zoperowano ci wyrostek. Teraz już będziesz się dobrze czuć. Powinnaś dużo odpoczywać. Zaśnij teraz, a ja przyjdę do ciebie jutro rano. Czy coś ci przynieść?

– Hubert, nie zachowuj się tak, jakbym zrobiła coś złego. Przecież nie chciałam zachorować. To było niezależne ode mnie. Przytul mnie, bardzo cię teraz potrzebuję.

Hubert objął ją delikatnie, ale z jakimś dystansem, jakby bał się lub nie chciał być przy niej blisko. Czowała, jak jakaś zmora ściska jej gardło, jakby chciała ją udławić.

„Tylko się nie rozplacz, nie teraz – nakazywała sobie. – Co się z nim dzieje? Dlaczego taki jest?”

– Hubert... muszę ci coś powiedzieć... – zaczęła niepewnie.

– Muszę już iść. Jutro się zobaczymy. Zaśnij teraz – to mówiąc, pocałował ją w czoło, tak bezosobowo, beznamiętnie. I nie oglądając się za siebie, wyszedł z sali.

Leżała, zupełnie oszołomiona.

„O co chodzi? – w kółko zadawała sobie to pytanie. – Czym go tak zirytowałam? Tym, że się rozchorowałam? Przecież mam ubezpieczenie, nie będzie musiał płacić za moje leczenie. Tym, że sprawiłam mu kłopot? Że jestem unieruchomiona na kilkanaście dni? Przecież to nic takiego, to minie. Czy już mnie nie chce? Nie mogłam mu przecież w tej sytuacji powiedzieć o dziecku. Jeszcze tą wiadomością wzbudziłabym w nim większą niechęć”.

Tak rozmyślając, ponownie zasnęła, tym razem jednak nie śniła o niczym. Kilkakrotnie w nocy wchodziła pielęgniarka, sprawdzała jakieś parametry na monitorze, do którego była podłączona, poprawiała jej koldrę, przełączała kroplówki i wychodziła cichutko.

Ranek przyniósł lepsze samopoczucie. Ból już tak nie dokuczał, ustąpiły nudności i czuła się znacznie lepiej. Miała tylko jeszcze trudności w poruszaniu się. Każdy ruch ponownie przywoływał ból, ale zdawa-



ła sobie sprawę, że z dnia na dzień będzie czuła się sprawniejsza. Była głodna. Nie jadła przecież nic od prawie dwóch dób i kiedy wreszcie przyniesiono jej kleik ryżowy, smakował jej prawie tak samo jak homar w Marriottcie.

Czekała na Huberta. Godziny dłużyły się niemiłosiernie, a jego wciąż nie było. Koło południa przyszedł doktor Black. Zbadała jej brzuch, a potem zabrała ją na usg. Na szczęście, z Maleństwem wszystko było w porządku, nic nie zapowiadało komplikacji. Powiedziała, że jeżeli rana będzie się goiła prawidłowo, za trzy dni wypiszą ją do domu. Do domu... nie mogła się już doczekać. Kiedy pielęgniarka odwoziła ją po badaniach na wózku długim szpitalnym korytarzem, zobaczyła siedzącego przed jej salą na krześle pod oknem... Toniego. Zauważył ją, zerwał się z siedzenia i energicznym ruchem podszedł do niej. W dłoniach trzymał mały bukietek fiołków. Maja nie mogła ukryć zaskoczenia malującego się na jej twarzy. Uśmiechając się kokieteryjnie od ucha do ucha, objął ją serdecznym gestem, całując jednocześnie w oba policzki. Położył fiołki na jej kolanach. W tym momencie, zza ramienia Toniego, zauważyła na końcu korytarza Huberta. Stał nieruchomo, wpatrując się w witającą się parę, na jego twarzy malowało się jakieś złe uczucie... pogarda, rezygnacja, sama nie wiedziała, co to było właściwie, ale przeraziło ją. Już chciała go zawołać po imieniu, ale on obrócił się na pięcie i zniknął za obrotowymi drzwiami prowadzącymi na zewnątrz.

Poczuła się zdezorientowana. Zupełnie nie wiedziała, o co chodzi Hubertowi. Raz w życiu, dawno temu, podobnie się poczuła, kiedy w domu dziecka dzieci posądziły ją o coś, czego nie zrobiła. Jej najlepsza, jak jej się wtedy wydawało przyjaciółka, przed całą klasą oskarżyła ją o kradzież pieniędzy. Była to jakaś bardzo drobna suma, ale dla nich, dzieciaków z bidula, miała wartość miliona wygranego w Lotto. To, co się wokół niej potem działo, to był jawny ostracyzm. Dzieci bezwzględnie i ostentacyjnie wykluczyły ją ze swojego kręgu. Stała się dla nich niewidzialna. I tylko ona jedna wiedziała, że jest niewinna. Teraz sytuacja wyglądała podobnie. I co z tego, że po tygodniu koleżanka znalazła pieniądze, które jak się okazało, zostały wyprane w kieszeni dżinsów. Nie przeprosiła jej już przed całą klasą, od niechcenia powiedziała jej tylko: „Popatrz, wyprały się moje pieniądze. I wcale się nie zniszczyły.

Ale to szczęście”.

Tak, rzeczywiście to było szczęście. A ona, Maja, była wtedy tak nieśmiała, że nie miała odwagi zmusić dziewczyny do przeprosin na forum klasy. Miała świadomość, że niejedno z tych dzieci do dzisiaj uważa ją za złodziejkę. Na szczęście, po dwóch miesiącach Maję przeniesiono do innego domu dziecka, gdzie nikt jej nie znał i gdzie mogła zacząć wszystko od nowa. Ale to zdarzenie nie było obojętne dla jej psychiki. Do dzisiaj miała poczucie, że jest kimś gorszym. Kimś niechcianym (zostawili ją rodzice), kimś, kogo w każdej chwili można odrzucić. A teraz właśnie zrobił to Hubert. I to w momencie, kiedy bardzo go potrzebowała. Kiedy była chora, cierpiąca i zagubiona. I kiedy była z nim w ciąży!

Poczuła się jak odrętwiała. Jakby ktoś wymazał jej część mózgu gumką. Toni nie zauważył obecności Huberta. Trajlował jej coś wesoło do ucha, ale ona zupełnie nie zwracała na to uwagi, wyłączyła się. Pielęgniarka odeszła, a Toni pchał jej wózek do sali. Pomógł jej przesiąść się na łóżko.

– *Bella*, czy wszystko w porządku? Stałaś się jakaś taka nieobecna? – zapytał z troską.

Ocknęła się z zamyślenia. Nic nie da roztkliwienie się nad sobą. Musi powrócić do rzeczywistości.

– Nie, nie, wszystko w porządku. A skąd ty się tu wzięłaś? Jak się dowiedziałeś, że jestem w szpitalu? – chciała zaspokoić swoją ciekawość.

– Zadzwoiła do mnie Sarah. Powiedziała, że miałaś operację i że pytałaś o mnie, i że wyraziłaś chęć, żebym cię odwiedził. Nie ukrywam, że bardzo mnie to ucieszyło. Wiesz, jak bardzo mi się podobasz.

– To musi być jakieś nieporozumienie. – Nie ukrywała zdziwienia. – Nie wiem, skąd Sarah wiedziała o mojej operacji, może od Huberta. Ale ja się z nią nie widziałam, nic jej nie mówiłam o tobie.

„O co chodzi tej Sarah?– pomyślała. – Co za intrygę tym razem knuje? I co zamierza tym osiągnąć?”

– Zatem nie jest ważne, dlaczego się tu znalazłem. Ważne, że jestem tutaj i mogę z tobą rozmawiać. I podtrzymać cię na duchu. A swoją drogą, jak się czujesz? Przecież dopiero co zrobili ci dziurę w brzuchu, aż

ciarki mnie przechodzą, kiedy o tym myślę. Bo ja jestem z tych, co to mdleją na widok igły.

– Dzisiaj czuję się zdecydowanie lepiej niż wczoraj. Jestem tylko bardzo słaba. I stale chce mi się spać – to mówiąc, nie mogła ukryć dyskretnego ziewania. – Chciałabym się trochę zdrzemnąć, nie będziesz miał nic przeciwko temu? Przepraszam, ale nie jestem dzisiaj dobrym kompanem do rozmowy.

– Oczywiście, cara mia, nie przejmuj się mną. Już się ulatniam, ale pozwól mi się znowu odwiedzić. Jutro albo pojutrze, zgoda? – trzymał jej obie dłonie i wpatrywał się prosto w jej oczy, chyba tylko Włosi potrafią tak kokietować.

– Dobrze. – Musiała się uśmiechnąć. – Ale teraz już idź.

– Arrivederci, domani bella mia.

Pocałował ją w czoło na pożegnanie i już go nie było. Robił wokół siebie tyle zamieszania, hałasu, ale jednocześnie roztaczał taką pozytywną aurę. Nie sposób było go nie lubić, nie śmiać się z jego żartów, nie uśmiechać do niego. Zupełnie inny typ człowieka niż poważny, stateczny Hubert. I nie miał nic wspólnego z tym demonicznym Tonim mafioso z jej snu.

Właśnie, a Hubert... Co teraz z nimi będzie? Obojętnie, o co mu chodzi, ona czuje się znowu jak w historii z beztroską koleżanką. Skrzywdzona, opuszczona, niewinna. Tylko czy zasłużyła na takie potraktowanie? Miała pewność, że to jakiś niefortunny zbieg okoliczności spowodował takie zachowanie Huberta. A może nie zbieg okoliczności tylko ktoś? Sarah? Na przykład. Telefon do Toniego, jego niespodziewany przyjazd do szpitala, oczywiście, w tym samym czasie, w którym pojawił się tu Hubert? Manipuluje nimi wszystkimi, a oni jakby nie mieli na to wpływu, jakby nie byli tego świadomi. Ale ona, Maja, przecież jest tego świadoma. Tylko co ma dalej z tym zrobić, na miłość boską? Jak to przerwać?

Leżała, wpatrzona w sufit, nieruchoma, błędząca w swoich myślach. Coraz bardziej pogrążała się w odrętwieniu. Czuła, jak okrutny smutek podpełza gdzieś z kąta i ogarnia ją całą, począwszy od palców stóp, pełząc coraz wyżej, kłusząc jej serce, łapiąc za szyję. Godziny mijały powoli, a ona cały czas była sama. Nie licząc krzątających się wokół niej

(nielicznych zresztą) pielęgniarek. Hubert się więcej nie pojawił. Nie miała swojego telefonu, zostawiła go Irene, żeby mogła zadzwoniła do Huberta. Sąsiadka też jej nie odwiedziła. Może uznała, że to za wcześnie, że skoro powiadomiła Huberta, to na razie wystarczy? Może pojawi się jutro?

Sen nadszedł niespokojny. Nie śniła o niczym konkretnym. Po przebudzeniu pamiętała tylko jakieś smutne szarobure kolory, przesuające się przed jej oczami, jakby nadciągał wielki smutek. A kiedy obudziło ją poranne krzątanie się personelu, nie miała ochoty nawet się poruszyć. I tylko patrzyła nieprzytomnym wzrokiem w sufit. Znała już dokładnie jego konstrukcję, każdą rysę, pęknięcie, plamę. Godziny mijały, a Hubert się nie zjawiał. Wieczorem przestała na niego czekać. Zaczęła się zastanawiać, co ma zrobić dalej? Co może zrobić? Była dumną kobietą. Jeżeli Hubert miał do niej jakieś zastrzeżenia, powinien jej o tym powiedzieć. A nie po prostu ją zostawić. Samą, w obcym kraju, w zupełności zdaną na jego łaskę. Nie miała nawet pieniędzy na bilet powrotny, nie miała za co wrócić do kraju. Czuła się upokorzona. Co zrobić? Kogo prosić o pomoc? Toniego? Nie odmówiłby jej, ale nie chciała go do tego mieszać. Zresztą, cały czas miała przed oczami ten sen. Irene? Przyjaciółka także nie miała pieniędzy, wielokrotnie mówiła Mai, że ledwo wiąże koniec z końcem. Został jej jedynie Richard. Jeżeli Hubert nadal się nie pokaże, Richard będzie jej ostatnią szansą. Wróci do Polski, a potem, choćby miała się zaharować, zwróci mu całą kwotę za bilet. Tak zrobi. A Małeństwo wychowa sama. Da sobie radę. I nie porzuci go, jak jej wyrodna matka. Wychowa je bez Huberta i będzie kochać, rozpieszczać i uczyć wszelkich mądrości życiowych. I będzie miała wreszcie kogoś, kogoś najbliższego na świecie. Da radę!

Lzy płynęły jej z oczu, ale nawet nie szlochala. Jej twarz nie wyrażała żadnych emocji. Doktor Black zaniepokojona tym faktem, stała przez dłuższą chwilę w drzwiach, obserwując jej reakcje. Bała się o nią. Po chwili podeszła do łóżka, usiadła na jego brzegu, ujęła jej dłoń i przemawiała do niej łagodnie, usiłując ją pocieszyć. Domyśliła się, że narzeczony to już przeszłość, że dziewczyna została sama. Maja nadal nie reagowała, jakby nie zauważyła, że doktor Black jest przy niej. Wycho-  
dząc, lekarka cicho zamknęła za sobą drzwi, dała jej się wyplakać.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY HUBERT.

Nie mógł jeść, nie mógł spać, nie mógł sobie znaleźć miejsca. Z jednej strony w każdym momencie chciał biec do Mai, przytulać ją, całować i wspierać, ale za chwilę jego męska duma łapała go za fraki i mówiła „stop”, dokąd kolego? Gdzie się pchasz? Chcesz być oszukiwany, zdradzany? Długo nie wierzył w to, co usłyszał od Sarah. Ale w końcu przecież zobaczył ich na własne oczy. Maję wpatrzoną w pochylającego się nad wózkiem Toniego. I ten bukiecik na jej kolanach. Bo skąd niby ten dupek się tam znalazł? Nikt inny, tylko Maja mogła go zawiadomić. I nie odbierała telefonów od niego. Kiedy za pierwszym razem wrócił ze szpitala, miał wyrzuty sumienia, że potraktował ją tak obcesowo. Chciał nawet do niej jechać z powrotem, ale było już późno, mogli go nie wpuścić. Dzwonił do niej zatem kilka razy, ale nie odebrała, nie oddzwoniła. A kiedy w końcu ich zobaczył, nie miał już żadnych wątpliwości. Jednak Sarah mówiła prawdę...

Uciekł stamtąd jak pies z podkulonym ogonem. Może trzeba było stawić czoło temu cholernemu Toniemu. Zawalczyć o swoją narzeczoną? Tylko po co mu taka narzeczona? Żeby z kimś być, trzeba mu ufać bezgranicznie. A czy mógłby teraz jej zaufać? Ale przecież właściwie to niczego nie wie tak na pewno. Może Sarah się myli? Może to zwykły zbieg okoliczności. Maja jest sympatyczną osobą, wielu ludzi ją lubi, może Toni też po prostu ją lubi? Może nawet żywi do niej jakieś uczucia, ale to przecież nie znaczy, że Maja je odwzajemnia, nie znaczy, że go oszukuje. Ale z drugiej strony Sarah nie przekazywałaby mu takiej wiadomości zbyt pochopnie. Znają się przecież tyle lat, przyjaźnią się, są prawie jak brat i siostra. Są rodziną. Czy mogłaby się pomylić?

Już nic nie wiedział tak naprawdę. Co miałby zrobić w tej sytuacji? Minęły już trzy dni od operacji Mai, miał nadzieję, że wszystko jest w porządku. A jeżeli tak, to jutro wypiszą ją do domu. Musi po nią pojechać, nie może przecież zostawić jej samej sobie. Jest jego gościem tu,

w Ameryce. Bez względu na wszystko, jest za nią odpowiedzialny. Jadąc do pracy, rozmyślał nad tym wszystkim. Kochał Maję bardzo, była drugą osobą w jego życiu, którą obdarzył takim uczuciem. Może nawet pierwszą, nie był tak całkiem pewien, czy Mary kochał tak samo mocno. Może po prostu inaczej? Przecież nie ma dwóch takich samych miłości. Jedna jest bardziej romantyczna, w drugiej dominuje przyjaźń, w trzeciej pociąg fizyczny. A w czwartej są wszystkie te cechy. Czy właśnie spotkał tę czwartą? I właśnie ją traci? A może już stracił, może już nie da się tego naprawić? I wszystko przez jego urażone męskie ego?

Nie mógł się skupić w biurze. Ślęczał nad projektem podziemnych garaży w kondominium, ale robota mu nie szła. Chciałby z kimś pogadać, ale Sarah pojechała rano do Chicago Ridge i jeszcze nie wróciła. Wprawdzie w gabinecie obok pracował Richard, ale nie był wtajemniczony w jego problemy. I z tego, co opowiadała Sarah, lepiej było nie poruszać z nim tej sprawy, byłaby dla niego dość niezręczna. Miotał się po pokoju, to zasiadając za biurkiem, to zrywając się po chwili z roztrągniętym wzrokiem i czochrając swoją czuprynę, przemierzał energicznym krokiem pomieszczenie. Wyszedł nawet na spacer, myślał, że uliczny gwar odciągnie jego myśli od tych problemów, ale po dziesięciu minutach wrócił z powrotem. Spacer nic nie dał, potraçał jedynie przechodniów, narażając się na ich prychnięcia i wrogie spojrzenia.

Na szczęście w tym czasie wróciła Sarah.

– Jak dobrze, że już jesteś – powiedział z ulgą. – Miotam się dzisiaj od rana, nie mam z kim pogadać, nie idzie mi robota i całą głowę mam zaprzątniętą swoimi problemami.

Opowiedział przyjaciółce o swoich obawach, o Tonim w szpitalu, o Mai śnie. Sarah wyglądała na głęboko przejętą. Usiadła na fotelu przy stoliku kawowym w kącie gabinetu, zmusiła Huberta do zajęcia miejsca obok. Założyła nogę na nogę, mini spódniczka nie zasłaniała zbyt wiele. Każdy zdrowy mężczyzna nie przegapiłby takiego widoku. Ale, niestety, nie Hubert.

– Hubert, nie wiem, co masz zrobić. Może nie powinnam cię dobijać, ale widziałam się przed chwilą w Chicago Ridge z Tonim. Powiedział mi, że chociaż jestem twoją współpracowniczką, to musi mi powiedzieć, jaki jest szczęśliwy, jak to zakochał się w Mai i wie, że nie jest jej obojętny.

I że mają wspólne plany. Serce mi pęka, kiedy widzę twoje cierpienie, lecz lepiej, abyś o tym wiedział. Lepiej teraz, niż miałyby się to stać po ślubie. Odeszłyby, jak nie z Tonim, to z innym, i jeszcze oskubałyby cię z majątku.

Poczuł, jakby uszło z niego całe powietrze. Oparł się bezwładnie o oparcie fotela, wyciągnął przed siebie długie nogi.

Sarah pochłaniała go wzrokiem, ale on tego oczywiście nie widział. Nie mógł uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszał. Do tej chwili jeszcze się łudził, że to wszystko jest jakimś kosmicznym nieporozumieniem, ale teraz nie miał wątpliwości. Wszystkie elementy układanki zdawały się do siebie pasować. Nieodebrane telefony, Maja i Toni w szpitalu, te ich spojrzenia na zdjęciach z Mariotta...

– No cóż – powiedział. – Nie pozostaje mi zatem nic innego, jak jutro pojechać po Maję, spakować jej rzeczy i albo odesłać ją do Polski, albo do Toniego. I żegnaj przygodo. Wiesz, chyba pojedę już do domu, nic tu po mnie dzisiaj – mówiąc to, ciężko podniósł się z fotela. Stał na chwilę, bezradnie wpatrując się w Sarah.

Ależ on wyglądał seksownie. Ciemne, potargane włosy, rozpięta pod szyją koszula, poluzowany krawat, ręce nonszalancko schowane w kieszeniach spodni. Czysty, kipiący testosteron – pomyślała.

– Może pojedę z tobą? Będzie ci raźniej, lepiej, żebyś nie został dzisiaj sam. Co ty na to? – Usiłowała przybrać przyjacielski ton.

– A wiesz, nie jest to taki głupi pomysł. Upijemy się, jak za dawnych dobrych studenckich czasów – odpowiedział, kiwając w zamyśleniu głową.

Na twarzy Sarah pojawił się wyraz triumfu. Ale Hubert oczywiście znowu tego nie zauważył. Po chwili już mknęli ulicami Chicago. Hubert, wbrew swoim zwyczajom, przekraczał wszelkie możliwe ograniczenia prędkości, gnał jak straceniec uciekający przed strykiem. Cudem uniknęli pościgu patrolu policyjnego. Sarah jedną ręką trzymała się mocno uchwytu nad drzwiami, drugą oparła na jego ramieniu, delikatnie je ugniatając. Czuła, że wreszcie złapała za sznurek i może nim do woli pociągać. Wszystko zaczynało układać się po jej myśli.

Szybciej niż zazwyczaj Hubert dotarł do domu. Zaparkował z piśkiem opon na podjeździe, wysiadł z samochodu i nie oglądając się na

towarzyszkę, wszedł do domu. Kluczyki zostawił w stacyjce, nie zamknął auta, sprawiał wrażenie zupełnie nieobecnego. Sarah bez wahania podążyła za nim. Znalazła go w salonie, nalewającego whisky do szklanek. Podał jej jedną, stuknął o nią dnem swojej i wychylił ją jednym haustem. Nie zwlekając nalał sobie drugą, zrzucił z siebie marynarkę, w kąk kopnął buty i rozparł się wygodnie na kanapie. Pilotem włączył kominek, który zapłonął migającym światłem gazowych płomieni, odchylił głowę do tyłu i znieruchomiał. Sarah pewnie usiadła obok niego, nieco bokiem, przyglądając się w milczeniu jego twarzy. Ależ ona go pragnęła! I to od tylu lat. I miała wrażenie, że dzisiaj jej pragnienia się ziszczą. Zrobi wszystko, żeby tak się stało. Sączyła powoli trunka ze swojej szklanki. Nie mogła sobie pozwolić na zbyt ni rausz, musiała zachować trzeźwość umysłu. Ale musiała jeszcze poczekać, aż Hubert będzie bardziej spolegliwy, bardziej podda się jej woli. Aż będzie mogła zrobić z nim wszystko, czego zapragnie.

Po kilkudziesięciu minutach szklanka Huberta ponownie była pusta. Po raz kolejny tego wieczoru. Łagodnym ruchem wyjęła mu ją z dłoni i powtórnie napełniła. Wlała więcej trunku, niż to się robi zazwyczaj. Hubert ani drgnął, nadal nieprzytomnym wzrokiem wpatrywał się w kominek. Przez cały wieczór nie odzywał się do niej, to ona raczej mówiła. Albo milczeli oboje. Sarah stawała się coraz bardziej odważna. Włączyła nastrojową muzykę, taki łagodny barowy jazz, zapaliła świece, zdjęła swoje szpilki i przyłgnęła do niego całym ciałem. Hubert nadal nie wykonał żadnego ruchu, unosił jedynie raz po raz szklankę do ust i popijał małymi łydkami bursztynowy płyn. Oczy mu się szklily, jakby zbierały w nich łzy, ale żadna nie spłynęła po policzku. Zaczęła powolnymi ruchami rozpinać mu koszulę, jednocześnie głaszcząc jego tors. Przez tyle lat chciała to zrobić, wreszcie była tak blisko. Hubert nie reagował na jej dotyk, ale też nie protestował, nie odtrącał jej ręki. Stawała się coraz bardziej śmiała. Usiadła powoli na jego kolanach, cały czas nie spuszczać z niego wzroku, czujna niczym skradająca się puma, gotowa w każdej chwili się wycofać, gdyby zaprotestował. Ale też gotowa w każdej chwili pożreć swoją ofiarę. A on się nie ruszał, nie wiedziała nawet, czy ma świadomość, co ona z nim robi. Złapała jego rękę, tę, która akurat nie trzymała szklanki i oplótła ją sobie wokół talii, jedno-



częście zbliżając swoje wargi do jego ust. Zaczęła go całować, początkowo delikatnie, a gdy i na to nie zareagował, bardziej namiętnie.

I nagle, jakby coś w nim pękło, jakby przebudził się w nim jakiś demon. Przywarł do niej gwałtownie ustami, napierając na nią całym swoim ciałem. Stał się niemalże brutalny, ale Sarah to nie przeszkadzało. Lubiała ostry seks. Zresztą, z nim lubiłaby każdy. Czekwała na ten moment tyle lat. A teraz całował ją coraz intensywniej, ugniatając dłońmi jej pośladki. Po chwili wstał gwałtownie, unosząc ją, jakby ważyła tyle co dobry kurczak i wniósł po schodach na górę, a stamtąd prosto do sypialni. Tej sypialni, którą jeszcze przed kilkoma dniami dzielił z Mają. Wszędzie były jej drobiazgi, kosmetyki na toaletce, ubrania przewieszane przez oparcie fotela, koszula nocna na łóżku. Sarah zakodowała te wszystkie obrazy w ułamku sekundy i w jej oczach ponownie pojawił się wyraz triumfu. Maja została pokonana!

Gwałtownym ruchem położył ją, a właściwie rzucił na łóżko i mrużąc coś niezrozumiale pod nosem, całował jej piersi, po chwili jednym ruchem rozerwał wszystkie guziki jej bluzki i szamocząc się, usiłował ją z niej wyswobodzić. Ona również niecierpliwymi ruchami zdejmowała z niego ubranie, po chwili leżeli obok siebie nadzy. Nie miała pewności, czy Hubert zdaje sobie sprawę, z kim toczy tę walkę w sypialni. Wypił sporo whisky, ale jego męskość na szczęście nie ucierpiała. A ona była rozpalona do czerwoności. I kiedy wreszcie osiągnęła swój cel, z żalem zdała sobie sprawę, że on zasnął natychmiast, przetaczając się tylko na bok. Objął ją jeszcze ramieniem, tuląc mocno do siebie i szepcząc jej czule do ucha: „Maju...”.

Zamarła, oburzona, zła, rozczarowana. No, ale czego się spodziewała? Uwiodła go przecież podstępem, osiągnęła to, co chciała. Teraz musi pomyśleć, jak to dalej rozegrać, kiedy obudzą się rano wtuleni w siebie czule. Hubert musi wiedzieć, że zrobił to ze swojej własnej woli. I w tej całej sytuacji to co najwyżej ona, Sarah, może być osobą pokrzywdzoną. Z tą myślą zasnęła snem zwycięzcy, obejmując ciasno jego talię, jakby się bała, że ukochany zniknie, kiedy nadejdzie ranek.

A ranek nadszedł dla nich późno, bo około południa. Obudził go jakiś hałas na dole, ale niezupełnie wiedział, gdzie się aktualnie znajduje. Głowa go bolała, jakby właśnie ktoś łupał na niej kamienie. I coś go

przygniatało do łóżka. Usiłował otworzyć oczy, ale światło padające przez niezasłonięte okna jeszcze bardziej potęgowało ten dokuczliwy ból. Nagle drzwi do sypialni rozwarły się gwałtownie i stanęła w nich Maja. Otworzył oczy, udało mu się nawet do niej ostrożnie uśmiechnąć i już miał się podnieść z łóżka, ale w tym samym momencie ujrzał przeżenie i szok na twarzy narzeczonej. Stała przez chwilę nieruchomo z niedowierzaniem patrząc na coś obok niego, po czym gwałtownie wybiegła z sypialni. Hubert niczego nie zrozumiał. Czyżby wypisali ją ze szpitala tak szybko? Miał przecież dzisiaj po nią jechać. I dlaczego tak gwałtownie wybiegła? Chciał wstać, żeby z nią porozmawiać, ale coś go mocno trzymało. Spojrzał w dół i zamurowało go. Obok niego leżała Sarah, jej nagie piersi spoczywały na jego klatce piersiowej. Spała mocno, chyba nawet nie zauważyła, że ktoś był w sypialni. Wokół na podłodze wały się ich porzucane ubrania. A on niczego nie pamiętał. I nie był w stanie niczego zrobić.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

### MAJA

Leżała w pokoju gościnnym u Irene zupełnie odrętwiała. Obok niej przysiadła przyjaciółka i ciepłym gestem gładziła jej dłoń. Łzy wyschły już na jej policzkach, tworząc twardą, szczypiącą skorupę. Zaczerwienione, obrzęknięte powieki ciążyły niemiłosiernie. Pod sklepieniem jej czaszki myśli krążyły jak wir w rzece. I nie chciały wygasnąć ani odpłynąć. I co ona ma teraz zrobić? Stała się więźniem w tym kraju, nie miała pieniędzy, żeby wrócić do Polski. Jedyna życzliwa jej osoba, Irene, sama ledwo wiązała koniec z końcem. Mogła jej na pewien czas zapewnić dach nad głową i dobre serce. I tyle. Ale przecież nie mogła nadużywać jej gościnności. I jeszcze Maleństwo. Miała nadzieję, że stresy, które teraz przeżywa, nie odbiją się na jego zdrowiu.

Nie miała też do czego wracać w Polsce. Bo przecież nie mogła wrócić do mieszkania Huberta ani do Żegutkowa. A co z pracą? Dalsze jej zatrudnienie w hotelu u jego brata także odpadało, powinna zatem poszukać sobie nowej pracy. A może wrócić do Poznania? Wiedziała, albo raczej miała taką nadzieję, że w starej pracy przyjmą ją z otwartymi ramiarami. Tak przynajmniej zapewniali, kiedy stamtąd odchodziła. Ale kto będzie chciał zatrudnić kobietę w ciąży? A nie ma przecież żadnej rodziny, nikogo na tym świecie, kto mógłby jej pomóc.

Tuż przed wyjściem ze szpitala przyszła ją jeszcze zbadać pani doktor Black. Nie uszło jej uwadze, że w Mai nie ma życia, że na jej twarzy dominuje smutek.

– Czy ma pani jakieś zmartwienie, pani Maja? – I znowu to nieodmienne po amerykańsku imię.

– Mogłoby być lepiej – odpowiedziała, patrząc na lekarzkę smutnymi oczami. Zapadła chwila milczenia, doktor Black miała nadzieję, że Maja sama jej powie, co jej leży na sercu.

– A jak zareagował narzeczony na wiadomość o ciąży? Ucieszył się na pewno – ponownie podjęła rozmowę, nie doczekawszy się inicjatywy

ze strony Mai.

– Nie powiedziałam mu – odpowiedziała cichym głosem, odwracając głowę w stronę okna.

– Czy ma pani jakieś problemy? Mogę pani jakoś pomóc? – Doktor zmarszczyła czoło w zatroskaniu.

Nie wiedziała, czy to serdeczne podejście lekarki, czy też jej osobowość sprawiły, ale opowiedziała jej wszystko. Wprawdzie nie do końca rozumiała, co się wokół niej dzieje, ale czuła, że coś jest nie tak. Słowa płynęły z jej ust, jakby ktoś wreszcie podniósł tamę na rwącej rzece.

– Nie pokazał się więcej, nie odezwał się. Zupełnie nie mam z nim kontaktu. Całe szczęście, że odwiedziła mnie sąsiadka i zaraz po mnie przyjedzie. W przeciwnym razie musiałabym chyba wrócić do domu Huberta pieszo. Nie mam złamanego centa. Boję się tylko, co będzie, kiedy stanę przed jego drzwiami. No, ale za chwilę się o tym przekonam.

– Chciałabym jakoś pani pomóc – to mówiąc, wyjęła z kieszeni fartucha wizytówkę i włożyła ją w dłoń Mai. – Jeżeli zostałyby pani bez środków do życia, a mam nadzieję, że jednak tak się nie stanie, proszę do mnie zadzwonić. Postaram się pomóc.

– W jaki sposób mogłaby mi pani pomóc? – Maja nie kryła zdziwienia. – I dlaczego chciałaby pani to zrobić? Jestem przecież dla pani zupełnie obcą osobą.

– Mogę znaleźć pani pracę, żeby miała pani za co wrócić do Polski. A dlaczego? Otóż moja babcia ze strony matki była Polką. Nazywała się Hanna Szczygieł, bardzo ją kochałam. Uczyła mnie nawet mówić po polsku, ale dzisiaj pamiętam tylko pojedyncze słowa. Zmarła, kiedy miałam siedem lat. Po przyjeździe do Ameryki znalazła się w podobnej sytuacji jak pani. I też ktoś jej pomógł. Sama wychowała moją mamę, dała sobie radę.

To dodało dziewczynie otuchy. W tym momencie w drzwiach pojawiła się Irene z torbą pełną swoich ubrań, aby Maja miała się w co przebrać. Uściskały się jeszcze z panią doktor serdecznie i po kilku minutach znalazła się na zewnątrz szpitala.

A teraz leżała w sypialni Irene i znowu bezmyślnie gapiała się w sufit. Ostatnio była to czynność, która najlepiej jej wychodziła. Chyba tylko do tego się nadawała...

W tym momencie rozległ się dzwonek do drzwi. Irene spojrzała na Maję, a ta pokręciła tylko przecząco głową. Dzwonek stawał się coraz bardziej natarczywy, z dołu dobiegało wołanie Huberta.

– Irene, otwórz proszę! Wiem, że tam jesteś. Muszę koniecznie z tobą porozmawiać. Irene, proszę!

– Otwórz, nie da ci spokoju – stwierdziła wreszcie Maja. – Ale nie ma mnie u ciebie i nie wiesz, gdzie jestem. Powiedz mi, że widziałas tylko, jak wybiegłam z domu, wezwałam taksówkę i odjechałam. I nie miałaś ze mną od tego czasu żadnego kontaktu.

Przyjaciółka wyszła z pokoju, a Maja naciągnęła kołdrę na głowę. Nie chciała słyszeć głosu Huberta, nie chciała słyszeć ich rozmowy. Bo po co? Żeby jeszcze bardziej cierpiała? To byłby masochizm. Zmęczona, zasnęła niespokojnym snem.

Kiedy rano Irene weszła do sypialni, Maja już od godziny nie spała. Od czasu pobytu w szpitalu noce stały się jej koszmarem. Czasami miała wrażenie, że w ogóle nie śpi, dryfując w jakimś półśnie i odganiając natarczywe, żalodne myśli. Albo kiedy jakiś hałas z ulicy lub na przykład dźwięk padającego deszczu przebudzały ją nad ranem, wystarczyła jedna przykra myśl zazwyczaj dotycząca Huberta i koniec ze snem, odpływał w bliżej nieokreśloną dal. W głowie zaczynały kotłować się wspomnienia, przesuwwały się różne obrazy z przeszłości, a ona odczuwała lęk. Niewyobrażalny, rosnący, pełzający niczym nocna zmora, łapiący za gardło, uniemożliwiający nabranie powietrza i trzymający ją tak mocno, dopóki nie zerwała się gwałtownie z łóżka i nie zaczynała maszerować energicznie po pokoju, żeby zupełnie się rozbudzić i odegnać nocne koszmary. Na tyle energicznie, na ile pozwalała jej świeża jeszcze rana. Ale czasami jakby nie odczuwała bólu. Albo go ignorowała. Początkowo Irene budziła się na dźwięk jej kroków, przychodziła do jej pokoju, usiłowała ją uspokoić, ale po kilku takich nocach dała sobie spokój, widząc, że Maja po prostu potrzebuje sama się uspokoić. Tylko tak mogła się wyciszyć. Ale dzisiejszego ranka nie roztkliwiała się już nad sobą. Musiała działać. Przecież nie była teraz na świecie sama. To że Hubert zламаł jej serce, trudno. Nie on pierwszy, ale miała nadzieję, że ostatni. Cierpi bardzo, ale z czasem będzie lepiej. No i teraz ma dla kogo żyć.

Musi Maleństwu zapewnić byt i dobrą przyszłość, i zrobi to bez niczyjej pomocy. Jest młoda, zdrowa, silna, wykształcona. Poradzi sobie. I nie będzie już przed nikim uciekać, przed żadnym mężczyzną. Miała już plan!

Zadzwoi do doktor Black, podejmie każdą pracę, byle jak najszybciej zarobić na bilet. Wróci do Polski, do Rabki, zabierze z domu Huberta swoje rzeczy. Na szczęście, Hubert zostawił klucze sąsiadce z domu obok, kiedy wyjeżdżali. Nie powinno być zatem z tym kłopotu. Potem wróci do Poznania. Jak tylko będzie miała trochę grosza, zadzwoni stąd do swojej starej firmy i spróbuje załatwić pracę, a potem jakieś lokum. Żeby jak najszybciej po powrocie mogła zacząć normalnie egzystować. I zacznie nowe życie. Z dała od mężczyzn. Na szczęście, w Polsce, w banku, miała odłożonych trochę pieniędzy, na początek wystarczy. W razie czego może jeszcze sprzedać swój samochód. W Polsce sobie poradzi. Potrzebuje tylko jeszcze kilku dni, żeby do siebie dojść po operacji. I pieniędzy na bilet. Na szczęście, wszystko goiło się jak należy, za cztery dni mieli jej usunąć szwy. Wtedy będzie już zdrowa. Do tego czasu musi skorzystać z gościny Irene. Jak ona zdoła się jej odwdzięczyć?

Zeszła do holu z wizytówką doktor Black w dłoni i wybrała jej numer na klawiaturze telefonu stacjonarnego. Kiedy skończyła rozmowę, była zdecydowana.

– Mam plan, Irene. Już wiem, co muszę zrobić – powiedziała stanowczo. Na jej twarzy nie było już wczorajszej rozpacz. Opowiedziała przyjaciółce, co właśnie postanowiła, a ta widząc jej determinację, była z niej dumna. I wreszcie o nią spokojna. – Mam jeszcze tylko jedną prośbę do ciebie.

– Zrobię, co będę mogła – odpowiedziała Irene.

– Czy mogłabyś pójść do Huberta po moje rzeczy? Chciałam nawet je tam zostawić, ale w mojej obecnej sytuacji finansowej każda rzecz jest dla mnie cenna. Jak najszybciej muszę uzbierać na bilet, a nie wydawać pieniądze na jakieś fatalaszki.

– Nie ma sprawy, mogę pójść choćby zaraz. Póki nie wyjechał jeszcze do pracy.

– Wiesz, może to byłoby najlepsze. Założyłabym dzisiaj na siebie

coś swojego, a nie korzystała stale z twoich ciuchów. Powiem ci, co masz koniecznie zabrać, co jest dla mnie najważniejsze. Dobrze, że chociaż paszport mam przy sobie. Tylko nie możesz mu powiedzieć, gdzie jestem. Powiedz, że zadzwoniłam do ciebie, poprosiłam o przysługę i powiedziałam, że przyślę po moje rzeczy taksówkę. I tyle wiesz.

Stała w oknie i przez firankę obserwowała, jak Irene idzie do domu Huberta. Tego domu, w którym jeszcze tak niedawno czuła się taka szczęśliwa. Widziała, jak otworzył jej drzwi i po krótkiej rozmowie wpuścił ją do środka. Był jakiś taki przygarbiony, nie była pewna, ale chyba także nieogolony. Czyżby przeżywał ich rozstanie? Nie, to przecież niemożliwe. Dopiero co zabawiał się z Sarah. Nie miał nawet czasu odwiedzić jej w szpitalu, nie mówiąc już o zatroszczeniu się o nią.

„Nie żałuj, Maja, nie żałuj. Pamiętaj te dobre chwile, bo one były dla ciebie ważne. A reszta... Cóż, tak to w życiu bywa. Czasem człowiek się pomyli. Wydaje ci się, że kogoś dobrze znasz, że jesteś go pewna, że możesz na nim polegać, a później się okazuje, że się zupełnie myliłaś. Ot, samo życie”.

Ale mimo że usiłowała myśleć racjonalnie, czuła się wypalona, jakby ktoś wyjął jej serce i wstawił zamiast niego jakąś sztuczną maszynę. Pompuje krew, owszem, pozwala jej żyć, ale nie umie czuć.

W tym momencie Irene wyszła z domu Huberta, taszcząc dwie ciężkie torby podróżne. Ciekawe, co w nie zapakował, bo do Stanów przyjechała z jedną torbą. Chciał pomóc przyjaciółce, ale ta stanowczym ruchem odmówiła. Szła nieporadnie w stronę swojego domu, torby objęły się o jej łydki. Hubert przez dłuższą chwilę przypatrywał się jej, po czym z opuszczoną głową wszedł do swojego domu, zamykając za sobą drzwi. I tyle go widziała.

Zeszła na dół i z zaciekawieniem przeglądała zawartość toreb. Były tam oprócz jej starych ubrań, przywiezionych z Polski, także te nowe, które Hubert kupił jej tu, w Ameryce. Starannie posortowała wszystko, odkładając do torby Huberta wszystkie te, których nie kupiła sobie sama. Na koniec poprosiła od Irene kopertę i papier listowy, napisała do Huberta parę słów, włożyła list do koperty, do niego dołożyła pierścionek zaręczynowy, zakleiła kopertę, położyła na wierzchu torby i zamknęła ją starannie.

– Irene, oddasz to, proszę, Hubertowi, jak ja już wyjadę. To moja ostatnia prośba do ciebie. Za trzy dni cię opuszczę. Pojadę do szpitala do doktor Black. Usunie mi szwy, a potem zabierze mnie do siebie. Będę u niej pracowała jako opiekunka jej dzieci tak długo, aż nie zarobię na bilet. Będę miała także u niej mieszkanie. A potem wrócę do Polski. A jak tylko się urządzę i finansowo stanę na nogi, zaproszę cię do siebie. Odwiedzisz mnie, a ja przynajmniej tak będę mogła okazać ci moją wdzięczność – to mówiąc, przytuliła przyjaciółkę. Stały tak, obejmując się i kołysząc łagodnie, a każda myślami była bardzo daleko.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

### HUBERT

Minął miesiąc od niefortunnego ranka, kiedy to ostatni raz widział Maję. Słuch po niej zaginął. Próbował jeszcze kilka razy do niej zadzwonić, ale bez rezultatu. Podejrzewał, że zrezygnowała ze swojej komórki, tej, którą jej kupił. Włączała się cały czas automatyczna sekretarka. Sąsiadka, Irene, też nabrała wody w usta. Kiedy po kilku dniach od zniknięcia Mai przyniosła mu torbę z rzeczami, które Maja dostała od niego (nie wzięła niczego, co wcześniej nie należało do niej, czego nie kupiła za własne pieniądze), na wierzchu znalazł od niej list. Nie mógł go otworzyć, tak trzęsły mu się ręce. A w środku, na małej karteczce, nakreślonych było tylko kilka słów.

„Hubert,

myślałam, że jesteś miłością mojego życia, moją drugą połówką. Przykro mi, że tak bardzo się pomyliłam. Ale mimo tego, życzę ci, żebyś był szczęśliwy.

Maja”.

Długo stał nieruchomo, obracając kartkę w dłoniach i czytając chyba po raz setny ten krótki tekst. Tak po prostu? Życzę ci szczęścia? I tylko tyle?

A teraz minęło tyle czasu, a on nadal się czuł jak żywy trup. Schudł kilka kilogramów, pasek w spodniach zapinał już na ostatnią dziurkę. Włosy mu urosły, ale nie chciało mu się iść do fryzjera. Jedyne jeszcze golił się przed wyjściem do pracy. I miał wielkie szczęście, że miał Manuełę. Dbała o niego, nie pozwalała mu chodzić w nieświeżych ubraniach, gotowała mu jego ulubione potrawy, chociaż i tak większość z nich lądowała w koszu. Miał wrażenie, że ktoś mu zabrał duszę. A to, że jeszcze jakoś funkcjonował, to chyba tylko siłą rozpędu. Jak nakręcony mechanizm w automatycznym samochodziku, za chwilę nagle się zatrzyma i będzie po wszystkim.

Sarah unikał jak ognia. Tego ranka, kiedy Maja zastała ich razem w łóżku, mieli poważną rozmowę. Wyznał jej szczerze, że niczego nie pamięta, że nie chciał, żeby tak się stało. Że bardzo ją za to wszystko przeprosza i prosi, żeby to zdarzenie nie popsuło ich przyjaźni. Sarah początkowo sprawiała wrażenie rozczarowanej, urażonej, złej. Ale po pewnym czasie usiłowała obrócić wszystko w żart. Stwierdziła, że zawsze wiedziała, że są sobie przeznaczeni i prędzej czy później i tak będą razem. Mówiła to żartobliwym tonem, ale on poczuł na plecach ciarki. Coś go w jej wzroku przeraziło. Jakaś desperacja, szaleństwo? Długo ociągała się z wyjściem z jego domu, mimo że od kilkunastu minut na podjeździe czekała przywołana przez niego taksówka. W końcu bez słowa, z dumnie uniesioną głową, założyła płaszcz i wyszła, trzasnąwszy drzwiami. Od tego czasu widywali się w pracy przelotnie, zawsze rozmawiali tylko o służbowych sprawach. Początkowo Sarah próbowała, jak to bywało dawniej, dotykać go niby to przypadkowo takimi poufalistymi gestami, ale on natychmiast się od niej odsuwał. Kiedyś mu nie przeszkadzały, nie zauważał ich, a teraz nie mógł ich znieść. Nie chciał z nią żadnej bliskości.

Jechał właśnie do Chicago Ridge, do kondominium. Musiał sprawdzić na miejscu, jak postępują prace. Po raz pierwszy od feralnego dnia w szpitalu miał się spotkać z Tonim. Musiał odłożyć sprawy prywatne na bok, biznes to biznes. Bardzo się denerwował tym spotkaniem, ale niestety nie mógł się z niego wywinąć. Richard pojechał służbowo do Milwaukee, Sarah złapała gripę jelitową i został tylko on. Zresztą, był w tym wszystkim najbardziej zorientowany, w końcu ten projekt to jego dzieło.

Czuł, jak ręce pocą mu się na kierownicy, nagle w samochodzie zrobiło się dziwnie gorąco, mimo wyłączonego ogrzewania i panującego na zewnątrz chłodu. Poluzował szalik i krawat pod szyją, uchylił tylne okno, pełnymi ustami zaczerpnął powietrza. Nie pomogło mu to zbyt, ale chociaż owiało go trochę zimna. Na parkingu przed budową stało już auto Toniego. Budynek był prawie ukończony, trwały jeszcze prace malarskie wewnątrz. Popchnął szerokie drzwi wejściowe i znalazł się w przestronnym holu, z którego odchodziły dwie windy i w którym znajdowały się szerokie schody na piętro. Pośrodku stał Toni i rozma-

wiał z szefem budowy, obaj pochyleni nad planami budynku. Na dźwięk jego kroków rozlegających się w pustym pomieszczeniu, jednocześnie odwrócili głowy w jego kierunku. Na twarzy Toniego zagościł uśmiech, zdawał się być zupełnie szczerzy.

– Buongiorno, Hubert! – Toni podszedł do niego energicznym krokiem, z wyciągniętą na przywitanie ręką. Zaskoczyło to Huberta zupełnie, nie pozostało mu nic innego, jak tylko odwzajemnić uścisk dłoni.

– Dzień dobry – odpowiedział oficjalnym tonem, bez śladu uśmiechu na twarzy, niezwłocznie witając się także z drugim mężczyzną.

– Przeglądaliśmy właśnie plany i znaleźliśmy pewne sporne kwestie, które chcielibyśmy z tobą rozstrzygnąć. Dotyczą one piwnic. Może pójdziemy najpierw na dół, żeby nie odciągać zbyt długo od pracy pana kierownika, a potem pogadamy – kontynuował niczym nie zrażony Toni.

Hubert tylko kiwnął głową i cała trójka ruszyła schodami w dół. Przez prawie godzinę krążyli po piwnicach, sprawdzając różne elementy konstrukcyjne. Kiedy wszelkie wątpliwości zostały rozwiane i wyjaśnione, majster udał się do swoich zajęć, a oni zostali z Tonim sami. Hubert spojrział na niego niechętnie, ze złością marszcząc brwi. Chciał się szybko pożegnać, chciał mieć już to spotkanie za sobą, ale Toni najwyraźniej miał ochotę na pogawędkę.

– Co słychać u Mai? – zapytał jakby nigdy nic. Hubert poczuł, że krew odpływa z jego twarzy.

– To chyba raczej ja powinienem ciebie o to zapytać – nie mógł już dłużej ukrywać w głosie niechęci.

– Mnie? A to dlaczego? – na twarzy Toniego odmalowało się prawdziwe zdziwienie.

– Bo Mai ze mną nie ma. Podobno jest właśnie z tobą?

– Ze mną? – Teraz już nie zdziwienie, a zaskoczenie pojawiło się na przystojnej twarzy Włocha. – Nie, Maja nie jest ze mną. Opuściła cię? Wyglądaliście na takich szczęśliwych.

– Jak to nie jest z tobą? Przecież widziałem was razem w szpitalu. Byliście w mocnej zażyłości – głos Huberta drżał.

– Owszem, pojechałem odwiedzić Maję w szpitalu, Sarah do mnie zadzwoniła...

– Co?! Sarah?! Jak to? Dlaczego do ciebie dzwoniła? – Hubert czuł,

jak narasta w nim wzburzenie, dezorientacja.

– I powiedziała, że Maja prosiła, żebym ją odwiedził – kontynuował, niczego nie zauważywszy Toni. – Zdziwiłem się trochę, bo wcześniej, w Marriottcie, odrzucała moje nieudolne próby flirtowania. Wiesz, nie bierz tego do siebie, my, Włosi, mamy to we krwi, inaczej nie potrafimy, tak funkcjonujemy. Kiedy znalazłem się już w szpitalu, okazało się, że to nieprawda, że Maja prosiła o moje odwiedziny. Ale miło nam się rozmawiało, nie zastanawiałem się więc nad tym zbyt wiele. Pojechałem nawet drugi raz po kilku dniach, ale Maję już wypisano do domu. Próbowalem się nawet do niej dodzwonić, ale przypomniało mi się, że mówiła, że nie ma telefonu.

Hubert słuchał tego wszystkiego i chyba przestał oddychać.

– Nie miałeś zatem romansu z Mają? – po chwili wykrztusił to z siebie.

– Ja? Z Mają? – Toni nie krył zaskoczenia. – Skąd ci to przyszło do głowy? Nie powiem, żebym nie chciał. Maja to piękna kobieta i te jej włosy... ale nie, nie mam i nie miałem romansu z Mają. Zapytam jeszcze raz, skąd takie podejrzenie?

Hubert milczał, nie mógł pozbierać myśli. Nagle przed oczami stanęła mu Sarah. W różnych momentach jego życia. Jeszcze w czasach studenckich, później podczas małżeństwa z Mary, i w ostatnich czasach, kiedy już przywiózł Majkę do Ameryki. Zawsze była blisko niego, zawsze czuł na sobie jej dotyk, zawsze usiłowała go prowokować swoim seksapilem. Ciągle go dotykała, lepiła się do niego, ale on wcześniej nie zwracał na to uwagi. Myślał, że po prostu są przyjaciółmi. I jeszcze ta nieszczęsna noc. Nagle wszystko zrozumiał.

– Przepraszam cię, Toni. Jestem kompletnym idiotą. A może słyszałeś coś o Mai, może wiesz, gdzie jej mogę szukać? – Spojrzył na niego błagalnie. Wyglądał naprawdę żałośnie.

Toni przyglądał się mu dziwnym wzrokiem. Po chwili namysłu, odezwał się.

– Nie mam pojęcia, gdzie jej szukać. Ale mam nieodparte wrażenie, że powinieneś zapytać o to Sarah. – Ponownie wyciągnął dłoń w jego stronę. – Na mnie już czas, jeżeli dowiem się czegoś, dam ci znać, obiecuję.

– Dzięki, Toni. I przepraszam, że cię niesłusznie posądzałem – Hubert nie ukrywał skruchy.

– Wierz mi, wołałbym, żeby to było słusznie. Ja bym takiej dziewczynie nie pozwolił odejść.

Po chwili Hubert siedział w swoim samochodzie i śledził wzrokiem odjeżdżającego Toniego. Boże, co on najlepszego zrobił? Jak mógł tak dać się zmanipulować? I dlaczego Sarah to zrobiła? Bo teraz nie miał wątpliwości, kto za tym stoi. Musi się z nią rozmówić. Pieprzyć jej grypę jelitową, najwyżej się zarazi. Narastała w nim wściekłość, ślepa furia. Najchętniej powyrywałby jej te utapirowane kudły. I ciekaw był, od kiedy tak mąciła w jego życiu? Od czasu studiów? I jaki miała w tym cel? Bo chyba nie to, żeby go zdobyć, ponieważ była w nim zakochana. Bo gdyby tak było, nie pozwoliłaby, żeby ożenił się z jej siostrą. Postanowił najpierw do niej zadzwonić, czuł, że musi jej natychmiast wszystko wygarnąć. Nie mógł czekać, aż dojedzie na miejsce, był wściekły. A może Sarah coś wie, gdzie jest w tej chwili Maja? Może Maja wróciła do Polski? Ale skąd wzięłaby na to pieniądze?

Drżącymi, zmarzniętymi dłońmi usiłował wyjąć telefon z kieszeni płaszcza i oczywiście, jak to bywa w takich sytuacjach, aparat upadł mu na podłogę i wylądował pod fotelem. Prawo Murphiego – jeżeli coś może się nie udać, nie uda się na pewno. Musiał wysiąść z samochodu i wczolgać się niemalże pod kierownicę, klnąc siarczyście. Na oślep namacał komórkę i z ulgą usiadł z powrotem na fotelu. Już chciał wybrać numer Sarah, kiedy się zorientował, że to nie jest jego telefon. Taki sam, ale nie ten sam. To aparat Mai. Kupił kiedyś dla nich jednakowe. Próbował go włączyć, ale się okazało, że jest rozładowany. I nagle mu się przypomniało! W dniu, kiedy Irene go powiadomiła, że Maję pogotowie zabrało do szpitala, oddała mu telefon. Maja zostawiła go sąsiadce, żeby ta mogła zawiadomić Huberta. A on zupełnie o tym zapomniał. Musiał w tym samym dniu upaść mu na podłogę, bo gdyby go wcześniej widział, sprawy pewnie przybrałyby inny bieg. Ale był wtedy tak zdenerwowany, wręcz przerażony, że zapomniał o bożym świecie.

Włączył silnik samochodu, podłączył telefon do samochodowej ładowarki i po chwili ekran aparatu się rozświecił. Na wyświetlaczu pojawił się portret jego i Mai, oboje uśmiechnięci, tulili się do siebie. To

zdjęcie zrobił im Jan, jeszcze w Żegutkowie, kilka dni przed wyjazdem do Stanów. Dotknął palcem ikonkę z symbolem telefonu. Osiemdziesiąt jeden nieodebranych połączeń od niego, trzy od Toniego, pięć od Sarah. A więc tak to wszystko wyglądało naprawdę. Dla Mai jest teraz na pewno ostatnim sukinsynem. Od dawna wiedział, że mężczyźni są naiwni i łatwowierni, i dają się kobietom wodzić za nos. Wszyscy, tylko nie on. I nigdy nie pomyślałby o sobie, że jest takim skończonym idiotą do kwadratu.

Wszystko się w nim gotowało. Oparł głowę o zagłówek, usiłował się uspokoić. Co ma teraz robić, co robić? Czy jest jeszcze cień szansy, że odzyska Maję, że ona mu wybaczy? Jego głupotę, durny, męski, urojony honor? Jego zdradę? Czy uwierzy, że został perfidnie oszukany? Przecież nic go nie usprawiedliwia. Zabrał kobietę na drugi koniec świata, „olał” ją i porzucił, wiedząc, że nie ma żadnych środków do życia, że jest w stu procentach od niego uzależniona. I na dodatek w chorobie. I przez miesiąc nawet nie próbował jej odnaleźć, nie licząc nieudolnych prób wybadania Irene, co dzieje się z Mają, ale bez żadnej skruchy ani przyznania się do winy. Może gdyby wyznał wszystko sąsiadce szczerze, ta zdradziłaby miejsce pobytu Mai? Ale najpierw musi rozmówić się z Sarah, póki jeszcze nie minęła jego wściekłość, póki będzie w stanie wygarnąć jej całą prawdę.

Po ponad czterdziestu długich minutach stał przed jej drzwiami, waląc w nie i wrzeszcząc ze wszystkich sił.

– Sarah, otwieraj, natychmiast! Muszę z tobą porozmawiać! Sarah, słyszysz? Wiem, że tam jesteś, nie oszukasz mnie! – nadal walił w drzwi pięściami, jednocześnie napierając na nie całym swoim ciałem, jakby miał nadzieję, że zdoła je wywarzyć. Nagle drzwi otworzyły się z impetem, a on o mało nie poleciał jak długi, wprost w ramiona Sarah.

A ona była kompletnie pijana. Stała chwiejnie w otwartych drzwiach, jedną ręką przytrzymując klamkę, drugą trzymając się pod boki. Miała na sobie pomięty szlafrok, włosy w kompletnym nieładzie, tłuste, związane na karku zwykłą gumką. Twarz bez krzykliwego makiżu wyglądała na starą i zmęczoną, mimo że do starości miała jeszcze sporo czasu. Patrzyła na niego, mrużąc oczy, z pijackim uśmieszkiem na ustach. Nie raz wcześniej widywał ją wstawioną, nawet bardziej, niż

miało to miejsce w chwili obecnej, ale nigdy nie wydawała mu się taka żalсна i odrażająca. Czknęła sobie, zasłaniając usta grzbietem dłoni, jakby chciała nadal stwarzać pozory bycia wielką damą. Złuszczony w dużej mierze czerwony lakier na paznokciach sprawiał, że jej wygląd był jeszcze bardziej niechlujny. Zdał sobie sprawę, że od pewnego czasu alkohol to codzienny i podstawowy składnik jej diety.

– Sssslucham, o so chodzi? Czemu zawdzięczam ten zaszczyt, że odwiedziłeś moje skromne progi? – język mocno się jej plątał, mimo że usiłowała mówić wyraźnie i powoli.

– Musimy porozmawiać – to mówiąc, wepchnął ją do domu, jednocześnie zamykając za sobą drzwi. Sarah, nie odwracając się za siebie, chwiejnym krokiem weszła do salonu. Panował w nim niezmierny bałagan, wszędzie na meblach wałały się porzucane ubrania, na stoliku brudne talerze z przyschniętymi resztkami jedzenia, dwie butelki po whisky, jedna pusta, druga pusta w połowie. Zamaszyście usiadła na kanapie, biorąc do ręki szklankę do połowy napelnioną whisky.

– Masz ochotę na szklaneczkę? – zapytała z głupawym uśmieszkiem, mrużąc oczy, jakby raziło ją światło, chociaż w pokoju panował półmrok.

– Nie, nie mam ochoty. I ty też nie masz – to mówiąc, wyrwał jej szklankę z dłoni, z impetem stawiając ją na komodzie, daleko od niej. – Chcę, żebyś się teraz skupiła i odpowiedziała na moje pytania. Co zrobiłaś z Mają? Dlaczego uknułaś taką perfidną, wstrętną intrygę? Jaki miałaś w tym cel?

– O jejku, jejku. Tyle pytań na raz. A ja nie bardzo mogę się skupić. Mam grypę żołądkową i jestem wyczerpana. Może nawet odwodniona, kto wie? Musimy odłożyć tę rozmowę na później.

– Niczego nie będziemy odkładać. Mów! – ton jego głosu stawał się coraz ostrzejszy.

– Nie wiem, o co ci chodzi, Hubert? Uciekła ci przepióreczka? – W tym momencie parsknęła pijaackim śmiechem, odrzucając głowę do tyłu.

– Ty to sprawiłaś, knując podłe i zaciągając mnie podstępem do łóżka!

– Chciałeś tego! Przyznaj się. Byłeś jurny jak wyposzczony kogut! Do niczego cię nie zmuszałam. Chyba nie powiesz, że cię zgwałciłam? –

Sarah jakby zaczynała odzyskiwać zdolność jaśniejszego myślenia.

– Nie umniejszam mojej winy, ale to już moja sprawa. Powiedz, jaki miałaś cel w tym, żeby tak perfidnie rozłączyć mnie z Mają. Tak podle mną manipulowałaś. Dlaczego?

– Dlaczego? Dlaczego? Chcesz wiedzieć, dlaczego? – To mówiąc, dźgała swoim krwistoczerwonym paznokciem jego klatkę piersiową. – Dlatego, że cię zawsze kochałam. Dlatego, że ciągle mi się wymykałeś. Najpierw moja ukochana siostrunia, potem twoja żałoba po jej durnej śmierci, a teraz ta smarkula. Kiedy się dowiedziałam, że wracasz z Polski, miałam nadzieję, że wreszcie mnie zauważysz, że te wszystkie lata, które ci poświęciłam, wreszcie przyniosą oczekiwany finał. A ty co? Nic! „Poznaj moją dziewczynę z Polski... Przedstawiam ci Maję Bogacką” – mówiła to ironicznie, przedrzeźniając Huberta, złośliwie wydymając usta i wykrzywiając twarz. – W dupie mam Maję Bogacką! Rozumiesz? W dupie!

Przez moment nie wiedział, co powiedzieć. Była taka żalosna. Wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę z uczuciem pogardy, ale też i litości. Była taka nieciekawa, po prostu zgorzkniała, starzejąca się kobieta, która wszelkimi sposobami usiłuje zatrzymać resztki uciekającej młodości. A bez tych warstw kosmetyków i tego całego blichtru wyglądała jak jedna z kobiet z domu uciech, jedna z tych namalowanych przez Toulouse-Lautreca. Jak ladacznica. Siedziała na kanapie, w rozchełstanymszlafroku, dumnie unosząc głowę i drżącymi rękami poprawiając poły odzienia. Zaczynała chyba trzeźwieć. Wzrok nie błędził już tak bezładnie wokół.

– Wiesz chociaż, gdzie ją mogę znaleźć?

– A co mnie to, kurwa, obchodzi? – Mylił się jednak co do tego trzeźwienia. Wywołał w niej widocznie następną falę agresji. Spojrzała na niego, a na jej twarzy malowała się pogarda absolutna. – W dupie mam tę całą twoją Maję! – Tu czknęła znowu bezpardonowo. – I w dupie mam ciebie! Raz na zawsze! Mam nadzieję, że dziewczątka wróciło do Polski i nigdy więcej jej w życiu nie zobaczysz. Nawet gdybym wiedziała, gdzie jest, niczego byś się ode mnie nie dowiedział. A teraz wynocha z mojego domu!

Wykrzyknęła te słowa, zamachnęła się ręką w powietrzu, po czym



padła nieprzytomna na kanapę, chrapiąc i cuchnąc alkoholem jak byle pijaczyna z podrzędnej speluny. Stał nad nią, zadumany. Nie mógł uwierzyć, że spędził w pobliżu tej kobiety tyle lat, mając wrażenie, że się z nią przyjaźni, a zupełnie jej nie znał, nic o niej nie wiedział. A teraz? Co będzie teraz? Mają nadal wspólnie pracować? I udawać, że nic się nie stało? Przecież to w końcu on jest właścicielem firmy, do niego należy decyzja, jakich pracowników sobie wybiera. A dla niej nie ma już u niego miejsca.

Wyszedł z domu, zatrzasnąwszy za sobą drzwi wejściowe. Owiąło go chłodne powietrze. Na dworze było zupełnie ciemno, na niebie świecił rogalik księżyc, jakimś takim zimnym, białawym światłem. Najchętniej poszedłby do domu pieszo, żeby trochę ochłonać, oswoić się ze swoimi myślami. Niestety, nie było to możliwe. Z drugiej strony chciał się znaleźć jak najdalej od Sarah. Wsiadł więc do samochodu, zapalił światła i ruszył przed siebie.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

### FILIP

Pachniało wiosną. Pomimo że był to dopiero kwiecień, wyjątkowo ciepły w tym roku, czuł wiosnę każdą komórką swojego ciała. Ale przecież niedawno miał podobne odczucia, a to już minął rok. Niezmienny cykl zmieniających się pór roku. Nigdy przedtem się nad tym nie zastanawiał. Dopiero teraz, kiedy większość dnia spędzał w plenerze, zaczął dostrzegać piękno przyrody. Jej zmienność i przede wszystkim to, że istnieje. Czuł, że to początek reszty jego lepszego życia.

Coraz mniej myślał o Mai. Czasami odnosił wrażenie, że istniała w innej rzeczywistości, nie w jego życiu, jakby w innej bajce. Była tak daleko, że stała się nierealna. Jak postać z książki lub filmu, jak mgliste wspomnienie. Czasami śniła się mu, ale zawsze widział ją gdzieś w od dali, zamazaną, nieruchomą. I nigdy nie rozmawiali ze sobą. Chyba pogodził się już z faktem, że więcej jej nie zobaczy, że ona już do niego nie wróci.

Od czasu wesela Józka spotykał się z Ewą. Okazała się bardzo miłą dziewczyną. Wiedział, że jest w nim zakochana. Tak szczerze, mocno. Dla niej był zwykłym chłopakiem, drwalem po maturze. Nie miała pojęcia, że był prawie lekarzem, że był związany z Mają, że ma taką popapraną rodzinę. A właściwie, to miał. Nie utrzymywał z nimi żadnych kontaktów. Oni dla niego już nie istnieli. W swojej świadomości był sierotą. Nie oszukiwał jej. To, co o nim wiedziała, wszystko było prawdą. Ale nie wiedziała całej prawdy. I tak powinno zostać. Może kiedyś opowie jej o sobie, nie zatajając żadnych informacji. Ale jeszcze nie teraz.

Widywali się codziennie. Mieszkała z rodzicami w niewielkiej wsi w pobliżu Rabki, w Żegutkowie. Dojeżdżała codziennie do pracy PKS-em, nic nie sprawiało jej trudności. Była taka ciepła, serdeczna, ufała mu bezgranicznie, stale wpatrzona w niego tymi swoimi sarnimi oczami. On był dla niej światowym człowiekiem, z wielkiego miasta, Poznania. Co

z tego, że teraz był zwykłym drwalem w lesie, dla niej był kimś. Na początku ich znajomości spotykali się zazwyczaj w jakiejś kawiarni, potem spacerowali po Rabce. Utrzymywał z nią początkowo kontakt tylko dlatego, żeby mieć jakieś nowe wiadomości o Mai. Miał wrażenie, że w ten sposób znajduje się jakoś bliżej niej, tak irracjonalnie. Ale z biegiem czasu coraz bardziej zaczynał lubić tę dziewczynę. Lubił spędzać z nią dni, a kiedy się zdarzało, że nie mogła się z nim spotkać, zaczynał za nią tęsknić. Po kilku tygodniach spotykania się zaprosiła go do domu. Poznał jej rodziców. Prowadzili gospodarstwo rolne, byli prostymi ludźmi. Przyjęli go bardzo serdecznie. Stanowili wszyscy taką ciepłą, kochającą się rodzinę. Tak inną od tej, którą on miał. Czuł się u nich bardzo dobrze, zawsze niechętnie stamtąd odjeżdżał. Nigdy jednak do tej pory nie został u nich na noc. Ewa odwiedziła kilkakrotnie jego pokój w baraku, zawsze mile witana przez jego kumpli, którzy kibicowali mu w tym związku. Ale jak dotąd ich relacje były nadal platoniczne. Czuł, że Ewa pozwoliłaby mu na więcej, ale on nie był jeszcze na to gotowy. Chciał jeszcze trochę poczekać, nadal chyba w podświadomości wyczekując powrotu Majki.

Dzisiaj był zaproszony do Ewy rodziców na imieniny jej ojca, Czesława. I miał to być pierwszy raz, kiedy tam zanocuje. Skończył wcześniej pracę, wykapał się, wystroił znowu w swój secondhandowy garnitur i czekał przed osiemnastą pod hotelem „U Maciejowej”. Nie wchodził do środka, nie chciał przypadkowo spotkać się z tym podejrzliwym Łukaszem. Ewa wybiegła na jego spotkanie, taka szczęśliwa, świeża, jak ta nadchodząca wiosna. Zarzuciła mu ręce na szyję, całując go z radością.

– Tęskniłam za tobą – powiedziała, i to było takie szczere, prawdziwe.

– Ja też za tobą tęskniłem – Przytulił ją, głaszcząc po głowie i całując jej włosy. – A teraz biegiem, bo ucieknie nam autobus. – Z tymi słowy popędzili w dół uliczki, trzymając się za ręce. I nikt z osób postronnych nie podejrzewałby nawet, jakie przeżycia ma on, Filip, za sobą. Wyglądali jak szczęśliwa para zakochanych, młodych ludzi. I taką też parą przecież byli. Chyba.

Na przystanek przybiegli w ostatniej chwili. Kierowca autobusu już

zamknął drzwi wejściowe, ale zlitował się nad spóźnialsłymi. W Poznaniu by się to nie zdarzyło. Kierowca prawdopodobnie by odjechał. Zdyszani, opadli na siedzenia tuż za kierowcą i cały czas trzymając się za ręce, usiłowali uspokoić oddech. Śmiali się serdecznie, patrząc na siebie. Kiedy zbliżali się do Żegutkowa, Filip wychylił się w bok, obserwując drogę przez przednią szybę. Bardzo lubił patrzeć na krajobraz w tej okolicy, zieleniące się pagórki, zadbane domy, widoczne w oddali zachodzące powoli słońce. Przed nimi jechało stalowe volvo, bardzo mu się podobały takie samochody, tej właśnie marki. Ale czy kiedykolwiek w życiu będzie go stać na taki pojazd? Raczej w to wątpi.

Nagle wydarzenia potoczyły się błyskawicznie, jak na filmie katastroficznym. Miał wrażenie, że znalazł się w sali kinowej, a to wszystko, na co właśnie patrzył, ma miejsce na ekranie. Z podporządkowanej drogi z lewej strony z impetem wyjechał traktor z przyczepą, i to na dodatek taki nowoczesny, na olbrzymich kołach, i z całą siłą uderzył w Volvo, prosto w drzwi kierowcy. Samochodem obróciło o sto osiemdziesiąt stopni, po czym z hukiem wylądował na betonowym słupie latarni ulicznej. Z przodu, spod maski, zaczęły wydobywać się kłęby dymu. Kierowca autobusu zahamował gwałtownie, niektórzy pasażerowie pospadali z foteli. Filip z kierowcą, chyba jako jedyni, od razu widzieli, co się stało i jednocześnie wyskoczyli z autobusu.

– Ewa, dzwoń po karetkę! – zdążył tylko krzyknąć, wyskakując na zewnątrz.

Podbiegli do volvo. Samochód był bardzo uszkodzony, drzwi od strony kierowcy były wgniecione do środka, spod maski dobywały się coraz większe kłęby dymu.

Za chwilę przybiegli inni pasażerowie z autobusu. Tłum gapiów się powiększał, ale nikt nie kwapił się pomóc.

Za kierownicą samochodu znajdował się nieprzytomny mężczyzna, głowa opadła mu na poduszkę powietrzną, która na szczęście wystrzeliła, podobnie jak kurtyna boczna. Przez szybę widać było strużkę krwi ściekającą z jego lewej skroni. Filip usiłował otworzyć drzwi, ale zdekształcone zupełnie po uderzeniu, nie chciały nawet drgnąć.

– Łom! – krzyknął do kierowcy autobusu. – I apteczka!

Tamten niezwłocznie pobiegł po sprzęt. W tym czasie Filipowi udało

się otworzyć tylne drzwi za kierowcą.

– Halo! Słyszysz mnie pan? Czy może pan mówić? – Kierowca nie dawał żadnego znaku życia.

Sprawdził jego tętno. Żył! Na szczęście! Wprawdzie tętno było słabo wyczuwalne, ale gdy podłożył dłoń pod jego nos, poczuł, że oddycha. Widział też, że klatka piersiowa się unosi w rytmie oddechu. Delikatnie ucisnął poduszkę powietrzną, umożliwiając mężczyźnie swobodniejsze oddychanie. Z przerażeniem patrzył na kłęby dymu nadal wydobywające się spod maski.

– Niech ktoś poszuka gaśnicy i spróbuje ugasić ten pożar pod maską! – zawołał, próbując jednocześnie przedostać się do stacyjki. Po chwili udało mu się przekręcić kluczyk i go wyjąć. Wycofał się. Usłyszał ciche pojękiwanie. Ofiara wypadku zaczynała chyba powoli odzyskiwać przytomność. To dobrze.

W tej samej chwili przybiegł kierowca autobusu. Z drugim mężczyzną, który był także pasażerem PKS-u, zaczęli wyważać drzwi samochodu.

– A co z kierowcą traktora? – zawołał Filip do grupki osób stojących z boku.

– Kompletnie pijany, ledwo trzyma się na nogach. Wydaje się, że nic mu nie jest, cuchnie tylko jak ze starego browaru.

– Ale obserwujcie go, to mogą być tylko pozory, może mieć jakies krwawienie wewnętrzne.

W tym momencie z hukiem wyleciały drzwi od strony kierowcy, wyważone łomem przez dwóch rostrych mężczyzn. Filip wziął od kierowcy autobusu obszerną torbę z apteczką.

– Wie pan, co robić? – zapytał kierowca z wahaniem.

– Studiowałem medycynę – odpowiedział, jednocześnie przeglądając zawartość torby. Znalazł usztywniający kołnierz na szyję, który niezwłocznie założył poszkodowanemu. Na szczęście, spod maski przestało się dymić. Mężczyzna jęczał niespokojnie. Filip postanowił nie wyciągać go z samochodu, gdyż mógł mieć złamany kręgosłup.

– Co z tą karetką? – zawołał do Ewy.

– Jest w drodze! Była właśnie na wyjeździe, dlatego jej przyjazd trochę się opóźni. Ale już jedzie – odkrzyknęła Ewa przejętym głosem.

– Dajcie tu jakieś światło, założę mu wenflon! – Na tę prośbę, jakiś chłopak podjechał motorynką, włączył światła, dokładnie oświetlając miejsce wypadku. Filip założył stazę i wkłuł wenflon. Zabezpieczył dojeżdżanie. Umożliwi to natychmiastowe podłączenie kroplówki po przyjeździe pogotowia, nie będą już musieli tracić czasu. Szkoda, że w torbie z autobusu nie było takiego wyposażenia, ale chociaż były wenflony. W tym momencie jednak z ust mężczyzny wydobył się charkot, jego ciało nagle zwiotczało i przestał oddychać.

– Zatrzymanie krążenia! Szybko, na pomoc! – krzyknął Filip do ludzi. – Musimy go natychmiast wyjąć z samochodu i zacząć reanimację! – Te same osoby, które wyważyły drzwi, rzuciły się do pomocy. Filip złapał mężczyznę za nogi, tamci dwaj za ramiona i jednym płynnym ruchem udało im się wyjąć go z auta. – Dajcie jakieś ubrania na ziemię! Szybko!

Ktoś rozłożył na ziemi dwa płaszcze, natychmiast mężczyznę ułożono na nich, Filip nie zwlekając ani chwili, rozpoczął masaż serca.

– Czy ktoś może mi pomóc? Kierowca autobusu! Niech pan szybko przyniesie z torby ustnik do oddychania. Już!

Po chwili kierowca z ustnikiem w rękę przyklęknął przy głowie ofiary. Filip płynnym ruchem założył ustnik mężczyźnie.

– Może pan prowadzić sztuczne oddychanie? – Kierowca kiwnął głową. Filip nie przerywał masażu serca.

– Tylko jak?

– Na moje trzydzieści ucisków pan zrobi dwa wdechy. Wydmucha pan swoje powietrze z płuc w jego usta. Będę głośno liczył. – I rozpoczął odliczanie, kontynuując reanimację. W oddali słychać było sygnał karetki, była coraz bliżej. Filip poczuł ulgę. Co chwilę sprawdzał na szyi tętno reanimowanego.

W tym momencie pojawiła się karetka. Kiedy tylko się zatrzymała, wybiegli z niej ratownicy. Akcja była błyskawiczna. Jeden z ratowników wypytał Filipa, jaka jest sytuacja. Ten zdał sprawnie relację, nie zapomniał o kierowcy traktora i ratownicy natychmiast przejęli reanimację. Po chwili nadjechała druga karetka, a za nią wóz policyjny.

– Jest, powróciła akcja serca! – wykrzyknął jeden z nich. Pacjenta natychmiast przełożono na nosze i po chwili na sygnale karetka odjechała.

ła. Ratownicy z drugiej karetki zajęli się kierowcą traktora, ale ten tylko bluzgał na nich niewybrednym słownictwem, nawalony jak stodoła. Po chwili zapakowali go do środka i już bez sygnału, odjechali w spokojnym tempie. Policja przesłuchiwała Filipa i świadków wypadku, i po pół godzinie pozwolono im odjechać. A właściwie odejść, bo do domu rodziców Ewy mieli niecałe pięćset metrów. Szli spokojnym krokiem, potrzebowali chwili, żeby odetchnąć. Ewa uprzedziła rodziców, że się spóźnią, że był wypadek. Filip poczuł niesamowite znużenie. Jak po pierwszym dniu pracy w tartaku. Bolały go wszystkie mięśnie, czuł, że adrenalina, która go do tej pory napędzała, przestała działać i nie miał w tej chwili w sobie żadnej energii. Objął ramieniem Ewę, przytulając ją do siebie.

– Nie wiedziałam, że studiowałeś medycynę – powiedziała po chwili Ewa.

– Tak, został mi do zaliczenia ostatni rok. Ale nie wrócę już nigdy do tego. Jednak umiejętności się przydały – odpowiedział w zadumie.

– Wiesz, to był mój szef! Jan Ruskowski! – Ewa zdawała się być w szoku. – Chyba powinnam zawiadomić jego rodzinę. Wiem, zadzwonię do pani Barbary! Ona będzie wiedziała, co dalej zrobić. – Wyjęła z torebki telefon, wybrała numer i powiadomiła przełożoną. Kiedy skończyła rozmowę, odetchnęła głęboko.

– Uratowałeś mu życie. Jestem z ciebie taka dumna. Taka dumna, nie masz nawet pojęcia. – Zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go, tak serdecznie, ciepło. A on poczuł się, jak bohater.

Obudził się sobotniego ranka z wrażeniem, że przespał chyba ze sto lat. Śnił mu się dziwny sen. Znajdował się w jakimś starym domu. Stał w pustym salonie, nieco zagubiony, patrząc na otwarte drzwi na taras, za którym ścieliła się nieprzenikniona mgła. Nagle w tych drzwiach pojawiła się nieznana mu kobieta. Była dziwnie ubrana, jakby wybierała się w wysokie góry, ale strój miała jakiś nie z tej epoki. Patrzyła na niego smutno, po chwili wyciągnęła do niego rękę i... się obudził. Był trochę zdezorientowany. W pierwszej chwili nie mógł sobie przypomnieć, gdzie jest. Rozglądał się po niewielkim pokoju nieprzytomnym wzrokiem. Po chwili rozpoznał dom rodziców Ewy. Oczywiście, dostał osob

ny pokój, nie było nawet mowy, żeby spali z Ewą razem. Ale nie przeszkadzało mu to, nadal nie wiedział do końca, czy jest gotów na coś więcej. I tego ranka czuł się nadal jak prawdziwy bohater. Wczorajszego wieczora wszyscy obecni na spotkaniu imieninowym nie mogli się go nachwalić, spoglądali na niego z głębokim szacunkiem. Okazało się na dodatek, że tym samym autobusem jechała sąsiadka rodziców Ewy i nie omieszkała prosto z miejsca wypadku wstąpić do sąsiadów i opowiedzieć, jaki to dzielny i mądry okazał się chłopak ich córki. A potem były już tylko same pochwały. Poczul się naprawdę wyjątkowo. Po raz pierwszy w życiu. A nie zrobił przecież niczego nadzwyczajnego. Po prostu zachował się rozsądnie i robił to, co umiał. Traf chciał, że akurat on wiedział, co robić w takiej sytuacji, a nie ktoś inny z pasażerów autobusu. Zresztą, ludzie boją się robić cokolwiek, bo nie wiedzą jak, nie chcą zaszkodzić. Tak to już jest.

Przeciągnął się w łóżku, spojrzął w okno, przez skromne firanki przebijały promienie wiosennego słońca. Dom rodzinny Ewy był piętrowym, prawie stuletnim, tradycyjnym, wiejskim domem. Czystym, schludnym, ale skromnym. Uśmiechnął się. Czuł się taki zadowolony. Czy to jest szczęście? Z uśmiechem na ustach wyskoczył z łóżka i pełen energii pomaszerował do łazienki po drugiej stronie korytarza.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

### MAJA

Już ponad miesiąc pracowała u doktor Black i nawet nie wiedziała, kiedy ten czas przeleciał. Codziennie, budząc się rano, dziękowała Bogu, że miała takie szczęście w tym całym jej nieszczęściu i spotkała tę kobietę. Gdyby nie ona, gniłaby chyba w jakimś rynsztoku, pozbawiona środków do życia. A co by się stało z jej Maleństwem? Mieszkaliby pod mostem i wygrzebywali resztki ze śmietników? A tak, nie dość, że lekarka dała jej pracę, mieszkanie, wyżywienie, to jeszcze regularnie fundowała jej badania ginekologiczne. Na szczęście dzieciątko rozwijało się prawidłowo, miała już kilka zdjęć usg przedstawiających niewielkie, ale rosnące nasionko. Przyczepiła je na lustrze w swoim pokoju i raz po raz spoglądała na nie z czułością. I wszystko było dobrze, dopóki miała dużo pracy. Nie miała wtedy czasu, żeby myśleć o Hubercie. Najgorsze jednak były wieczory i noce. Czasami przychodziły takie chwile, że odnosiła wrażenie, jakby ktoś wyrwał serce z jej piersi. Momentami nie mogła złapać tchu. I ogarniał ją wówczas taki potworny lęk, że on już nigdy do niej nie wróci.

Bardzo za nim tęskniła, za tym dawnym, kochanym Hubertem. Ale potem zaraz przypomiwała sobie tego Huberta z ostatnich ich wspólnych dni. I wtedy bolało ją jeszcze bardziej. Czasami jej się śnił, zawsze w tym swoim granatowym swetrze. I o dziwo, nigdy nie śniła jej się tutaj kobieta taterniczka. Chyba to i lepiej.

Claire, bo tak kazała się nazywać pani doktor, miała przepiękny dom. Położony w spokojnej dzielnicy Chicago, wśród podobnych domów. Na pierwszy rzut oka widać było, że to okolica, gdzie zamieszkują majętni ludzie. Dom przypominał dworek z powieści Jane Austen. Piętrowy, masywny budynek z szarego kamienia, upstrzonego gdzieniegdzie jaśniejszymi plamami, częściowo porośnięty dzikim bluszczem, który nawet teraz, u schyłku zimy, nie stracił swoich ciemnozielonych liści, dodając barw tej dostojnej budowli. Obszerne, białe okna, podzie-

lone na dwanaście mniejszych prostokątów, okolone były przez ciemnobrązowe okiennice. Takież ciemnobrązowy, spadzisty dach zdobiło kilka wysokich kominów, nakrytych śmiesznymi miedzianymi czapczkami. Zadbany, wystrzyżony trawnik, szarobury o tej porze roku, zdobiły rzadko rozsądzone drzewa i krzewy. Przed domem okrągły podjazd, wysypany drobnymi, jasnymi kamyczkami, które tak zabawnie chrzęściły, kiedy się po nich przechadzało albo jeździło samochodem, prowadził wprost do wejścia. Dom tchnął statecznością i spokojem.

Mąż Claire, John, dużo starszy od pani doktor, dobiegający chyba pięćdziesiątki, był prawnikiem. Wysoki, szczupły, lekko siwiejący na skroniach, uwielbiający koszulki polo i sztruksowe spodnie. Mało bywał w domu, wracał zazwyczaj wieczorami, kiedy dzieci przeważnie były już w łóżkach. Ale niecierpliwie czekały na bajkę, którą miał zwyczaj czytać im przed snem. A kiedy w weekendy albo w nieliczne dni w środku tygodnia pan domu był na miejscu, wprawiał wszystkich w doskonały nastrój. Dzieci były jakby grzeczniejsze, gosposia Rosie przygotowywała smaczniejsze potrawy i w ogóle wszyscy byli jakby szczęśliwsi, weselsi. Dobry był z niego człowiek, łagodny, prostolinijny. Nieraz się zastanawiała, jak taki miły ktoś potrafi walczyć w sądzie? A potrafił, bo klientów miał aż nadto i niewiele spraw w swoim życiu przegrał. Dlatego był taki zapracowany. A ponieważ wszyscy go w domu kochali, kiedy tylko w nim przebywał, każdy z domowników mu nadskakiwał, usiłował umilić wspólną chwilę. A on zawsze wydawał się być tym zaskoczony. Myślała sobie, że gdyby miała wymarzyć sobie ojca, byłby właśnie taki jak John.

I w końcu podopieczni Mai – sześćoletnie bliźniaki Doris i Collin. Doris – trzpiotka, blondyneczka o niesforne kręconych włoskach i błękitnych oczkach, z wyglądu przypominająca nieco Shirley Temple z okresu dzieciństwa, ale w zachowaniu istny diabełek z figlikami w oczach. Collin, nieco wyższy, z ciemniejszymi włosami i takimi samymi jak u siostry, błękitnymi oczami, spokojny, zrównoważony i ciągle zasypujący ją mądrymi pytaniami w rodzaju: „Dlaczego krew jest czerwona? Dlaczego dinozaury były takie duże? Dlaczego, jak samochód jedzie, to kółka kręcą się do przodu? Dlaczego, dlaczego, dlaczego...?”. Po pierwszym tygodniu osvajania się z nową nianią, kiedy to

dzieci były jeszcze bardzo nieśmiałe, małowówne i traktowały Maję z rezerwą, nagle zawłaszczyły ją tylko dla siebie. A musiała przyznać, że polubiła je całym sercem.

Ich pokoje sąsiadowały ze sobą, łączyła je wspólna łazienka. Na razie jeszcze dzieci zajmowały wspólny pokój, ale kiedy za kilka miesięcy pójdą do szkoły, każde dostanie swój własny. Wchodząc do ich pokoju, od razu można było zauważyć różnicę w ich charakterach. Biurko Doris zawsze było w nieładzie, wałały się na nim sterty zarysowanych kartek papieru, kredki, farbki, temperówki, kolorowe czasopisma dla dzieci, żurnale z modą. Uwielbiała rysować, mogła w ten sposób spędzać całe godziny, zapominając o jedzeniu i picciu, o bożym świecie. Raz nawet nie zdążyła do ubikacji, bo tak była zajęta. A rysowała wszystko, począwszy od pięknych sukienek i ozdobnych buczków, poprzez zwierzęta, które często zupełnie nie przypominały tych prawdziwych, kończąc na kwiatkach, motylkach, kolorowych kółkach, kwadratach i trójkątach. Na jej łóżku piętrzyły się stosy ubrań i skotłowana pościel, która tylko przez kilkanaście minut rano wyglądała porządnie, kiedy Rosie przychodziła do dziecięcego pokoju i pomagała dzieciom ścielić łóżka. I nigdzie nie było lalek. Nie lubiła się nimi bawić. Co najwyżej tolerowała pluszowe zwierzęta. Natomiast teren Collina stanowił całkowite przeciwieństwo. Ład panujący na biurku zaskakiwał, mógł nawet wzbudzać niepokój. W równym rzędzie stały na nim konstrukcje z klocków Lego i innych, z metalowymi elementami, które w zamierzeniu Collina były drapaczami chmur albo supermachinami. I o dziwo, wiele elementów w tych konstrukcjach było ruchomych. Tu podjeżdżała winda, tu otwierały się okna, w jeszcze innych pracowało ramię dźwigu lub jakiejś wymyślnej koparki. A łóżko raz zasłane rano, było nietknięte do godzin wieczornych. Nawet, kiedy popołudniami czuł się zmęczony, kładł się na dywanie na krótką drzemkę, żeby nie zburzyć porządku na łóżku, żeby nie musiał go później ścielić.

I bliźnięta rozumiały się w pół słowa. Chyba tylko w ich przypadku jest to możliwe. Porozumiewali się jakimis skrótami językowymi, drobnymi gestami, spojrzeniami. Początkowo nawet nie zauważała, że dzieci przekazują sobie jakieś informacje. A kiedy w końcu się zorientowała, była tym zafascynowana. Uwielbiała je obserwować. W ogóle uwielbiała

dzieci, a te szczególnie. I zaczęła zdawać sobie sprawę, że będzie dobrą matką. Już przecież kochała to swoje Maleństwo.

Dni w gruncie rzeczy były do siebie podobne. Rano budzili się około ósmej, Maja wstawała, kiedy dobiegały do niej odgłosy z dziecinnego pokoju. Na noc zostawiali drzwi od łazienki otwarte, żeby mogła słyszeć, co się u nich dzieje. Doris czasami miewała niespokojne sny, zdarzało jej się krzyczeć w nocy i wystarczyło tylko ją przebudzić, żeby przerwać jakiś koszmar, przytulić i natychmiast się uspokajała. Zostawiała im poranne kilka minut na rozbudzenie się i poprzeciąganie się w łóżku, a potem zaganiała ich do łazienki. A po toalecie wspólnie jedli śniadanie. Rodziców już zazwyczaj nie było w domu, a po kuchni krzątała się Rosie. Była pulchną panią około sześćdziesiątki, z siwymi włosami zamotanymi w kok i okularami w rogowych oprawkach, które często zsuwały się jej na czubek nosa. I zawsze w idealnie wykrochmalonym białym fartuszk. Mogłaby być wzorcem do postaci z bajek dla dzieci. Taka była perfekcyjna. Po śniadaniu odbywało się ścielenie łóżek, a potem Maja zawoziła dzieci do klubiku. Nie nazywali tego przedszkolem, chociaż działało na podobnych zasadach, ale dzieci przebywały tam tylko cztery godziny. A wtedy był to czas wolny dla niej.

Dzisiaj zamierzała spotkać się z Irene. Umówiła się z nią w kawiarence w centrum handlowym, które znajdowało się w pobliżu klubiku, ale także niedaleko od pracy Irene. A że przyjaciółka czas pracy miała nienormowany, ponieważ zajmowała się opieką nad osobami starszymi, robiła im zakupy, sprzątała mieszkania, piła z nimi herbatę i często po prostu dotrzymywała im towarzystwa, wczesna pora dnia nie stanowiła dla niej problemu. Od przeprowadzki Mai do domu Claire spotkały się kilka razy, zawsze były to spotkania przepelnione serdecznością i dobrą energią. Tym razem to Irene chciała się zobaczyć. Kiedy po serdecznych uściskach usiadły przy stoliku nad filiżankami parującej herbaty, Irene zaczęła rozmowę.

– Powiedz, Maju, jak sobie radzisz? Nie mam na myśli sfery materialnej. Widzę, że w tym względzie wszystko idzie po twojej myśli. Jak sobie radzi twoja dusza?

Maja posmutniała.

– Często mam wrażenie, że ktoś mnie popchnął i lecę. Ale dokąd

i po co, to nie wiem.

Irene smutno kiwała głową. Po chwili milczenia, powiedziała cichym głosem.

– Wczoraj był u mnie Hubert. – Mai serce zatrzymało się na moment.

– Tak? I? – Nie miała pewności, czy chce wiedzieć i... co?

– Od tygodnia nalegał na rozmowę ze mną. Nie mogłam się od niej dłużej wykręcać. Wyczuwałam, że bardzo mu zależy.

– No i?

– Maju, wiem teraz na pewno, że wasze rozstanie było jednym wielkim nieporozumieniem. Hubert mi o wszystkim opowiedział. To była intryga Sarah. Ona była zazdrosna o Huberta, od dawna się w nim kochała, nawet, kiedy był mężem jej siostry. Zmanipulowała wami wszystkimi, a szczególnie Hubertem. Wmówiła mu, że masz romans z Tonim, że usiłowałaś poderwać także Richarda, że lecisz tylko na pieniądze. Wiesz, on wygląda bardzo źle, schudł, zapuścił brodę, posiwiiał na skroniach. Widać, że naprawdę cierpi.

– Irene, on mnie zdradził – powiedziała cichym głosem, ze smutkiem, kręcąc głową z rezygnacją.

– No, tak, wiem. Ale czy nie ma dla niego żadnych okoliczności łągodzących? Będziecie przecież mieli dziecko, ono potrzebuje obojga rodziców.

– Tak łatwo we mnie zwątpił. Nie próbował nawet ze mną porozmawiać, niczego wyjaśnić. Po prostu od razu uwierzył Sarah. To, co ja miałam do powiedzenia, nie miało dla niego żadnego znaczenia. Nie ufał mi. I tak łatwo zrezygnował. Zostawił mnie zupełnie samą, w chorobie, w obcym kraju, bez środków do życia.

Irene westchnęła, pokiwała głową. Milczała przez dłuższą chwilę.

– Błagał mnie, żebym mu zdradziła, gdzie jesteś.

– Nie powiedziałaś mu chyba? – przestraszyła się, nie chciała, żeby ją znalazł.

– Nie, nie powiedziałam, chociaż nie ukrywam, przemknęło mi to przez myśl.

– To dzięki Bogu. Nie możesz tego zrobić. Jedyнным moim marzeniem jest w tej chwili wrócić do Polski. Mam już odłożonych większość

pieniędzy. Za miesiąc będę miała całą kwotę. Zabukowałam już nawet bilet na dwudziestego maja. Żał mi będzie rozstawać się z Claire i jej rodziną, pokochałam ich bardzo – to mówiąc, wzięła przyjaciółkę za rękę. – I żał mi będzie rozstawać się z tobą, ale wiem, że do mnie przyjedziesz. Mam już swoje plany. Dostyc pracy jako recepcjonistka. Muszę wrócić do swojego zawodu, poszukać dobrze płatnej pracy. Mam w końcu wysokie kwalifikacje i spore doświadczenie. Kto wie, może nawet wrócę do mojej starej firmy. Zamierzam wrócić do Poznania. Tam łatwiej o pracę. Znajdę mieszkanie i urządzimy się z Maleństwem. A wtedy do nas przyjedziesz.

Kiedy to mówiła, oczy jej lśniły. Zdawała się być pogodzona ze swoją sytuacją. Jednak na dnie jej duszy czaił się smutek.

– Jest jeszcze jedna sprawa – to mówiąc, Irene wyciągnęła coś z torebki. – Hubert prosił mnie o przekazanie ci listu.

Trzymała go w wyciągniętej dłoni, a Maja patrzyła na niego przestraszona, jakby bała się go dotknąć. Po chwili ostrożnie dotknęła go palcami, wpatrując się w jedyny wyraz, który widniał na kopercie: „Maja”. Nie otwierając, schowała go do torebki. Spojrzała na zegarek.

– Muszę już iść, Irene. Dzieci za chwilę kończą swój pobyt w klubiku. Spotkajmy się znowu za kilka dni, może kiedy obie będziemy miały wolne? Poszłybyśmy na spacer do parku. Robi się już tak ładnie, powoli zaczyna się czuć wiosnę.

– Dobrze, kochana – to mówiąc, przyjaciółka wstała z krzesła, podeszła do Mai i objęła ją czule. – Dzwon do mnie, kiedy tylko będziesz mogła. I nie zapomnij, przeczytaj ten list. Myślę, że jest ważny. I życzę ci wszystkiego najlepszego.

– Najlepsze już było... – odpowiedziała Maja cicho smutnym głosem.

Kiedy wieczorem dzieci zasnęły i została wreszcie sama w swoim pokoju, przypomniała sobie o liście. Właściwie pamiętała o nim cały dzień, tylko usiłowała sobie wmawiać, że o nim nie pamięta, że nie jest dla niej ważny. Wyjęła go z torebki, obracała w dłoniach, wpatrywała się w to jedyne słowo na kopercie. Huberta pismo, takie eleganckie, zdecydowane. Przejechała po nim opuszkami palców, czuła, jak serce zaczyna jej szybciej bić, ale nie potrafiła otworzyć listu. Zgasiła lampkę nocną i trzymając go w dłoniach, zasnęła.

## ROZDZIAŁ DWÓDZIESTY SIÓDMY

### HUBERT

Był środek nocy, kiedy z głębokiego snu wyrwał go telefon. Komórka migiała błękitnym światłem, hałasując niemiłosiernie. Biorąc ją do ręki, spojrział na ekran, z niedowierzaniem zanotował w pamięci trzecią dwadzieścia pięć. O pierwszej położył się spać, wypijając jeszcze przed snem dużą szkocką. Ostatnio miał problemy z zasypianiem, a po przebudzeniu w nocy, co zdarzało mu się nader często, długo nie mógł zasnąć. Wystarczyło, że pomyślał o Mai i zaczęła się gonitwa myśli.

Spojrzał na ekran komórki. Nieznajomy numer. Z Polski? Zdziwił się, od razu pomyślał o Mai. Czyżby była już w Polsce?

– Halo – powiedział zaspanym głosem.

– Hubert, to ty? Mówi Barbara Kwiatkowska, pracownica i przyjaciółka twojego brata.

– A tak, witam, Basiu – dalej miał trudności z koncentracją.

– Hubert, mam złe wiadomości. Twój brat miał wypadek samochodowy. Leży nieprzytomny w szpitalu.

Usiadł gwałtownie na łóżku, poczuł przerażenie.

– Wypadek? Jaki wypadek? Kiedy to się stało? – miał w głowie chaos, nie do końca był pewny, czy to mu się czasami nie śni.

– Wczoraj wieczorem. Jechał do twojego domu w Żegutkowie, bo mieli przyjechać stolarze z nowymi poręczami na schody. Tuż przed twoim domem wyjechał z boku pijany traktorzysta takim ogromnym nowoczesnym traktorem i z całej siły uderzył w drzwi od strony kierowcy. Na szczęście, za nimi jechał autobus, a w nim jakiś student medycyny i on uratował twojemu bratu życie, bo doszło do zatrzymania krążenia.

– O Matko Boska! A w jakim teraz jest stanie? – przerażenie narastało w nim lawinowo.

– Jest nieprzytomny. Leży na oddziale intensywnej terapii. Pięć godzin był operowany. Miał pękniętą śledzionę, odmę opłucnową, krwiaka

w mózgu i złamaną kość udową. Wszystko udało się szczęśliwie zoperować, ale lekarze mówią, że najbliższych kilkanaście godzin będzie najważniejszych.

Hubert wyczuł w głosie Barbary wielką troskę. Zawsze przecież wiedział, że ci dwoje nie są sobie obojętni.

– Na razie jest utrzymywany w śpiączce. Lekarz mi powiedział, że najwcześniej spróbują go wybudzić za czterdzieści osiem godzin. Oczywiście, jeżeli nic nieprzewidzianego się nie wydarzy.

– A gdzie jest w szpitalu, w Nowym Targu?

– Nie, przewieźli go do Krakowa, tam był operowany.

– Czy nasi rodzice wiedzą? Powiadomiłaś ich?

– Tak, o wszystkim wiedzą, przez cały czas byli tu ze mną. Przed chwilą pojechali do domu trochę odpocząć. To chyba jest ponad ich siły, są jednak starszymi ludźmi.

– Barbaro, przyjadę najszybciej, jak tylko będę mógł. Postaram się zorganizować sobie lot do Krakowa, z lotniska pojedę prosto do Janka. Wyślij mi proszę SMS-em adres szpitala. Jak będę wiedział, kiedy przylecę, dam ci znać. I skontaktuj się, proszę, ze mną, jeżeli coś się zmieni... Kiedy się obudzi...

Wyłączył telefon i przez długą chwilę leżał nieruchomo, zupełnie niezdolny do jakiegokolwiek ruchu. W głowie miał kompletny chaos, goniwę myśli. Nagle zerwał się gwałtownie z dziwnym wrażeniem, że nie zdąży. Odszukał w informacji numer telefonu na lotnisko. Po chwili oczekiwał na połączenie, a automat przełączał go z jednej komórki do drugiej. Zawsze niesamowicie irytowało go oczekiwanie na rozmowę w różnych instytucjach i te bezduszne urządzenia wypowiadające martwym głosem różne formułki, ale teraz jego zdenerwowanie sięgnęło zenitu. Kiedy wreszcie po drugiej stronie odezwał się jakiś ludzki głos, poczuł ulgę.

Na szczęście, udało mu się zabukować bilet na jutro, na godzinę siedemnastą. Z czterogodzinną przerwą w Warszawie, w Krakowie będzie po czternastej pojutrze. Nie było możliwości znalezienia szybszego połączenia. I tak nie było źle. Miał tylko nadzieję, że zdąży, że Jankowi nic złego się nie stanie. Zadzwoił do rodziców. Wiedział, że ojciec się z nim nie skontaktuje, bo przy całej swojej jasności umysłu, miał pro-



blemy z telefonowaniem do niego, do Stanów. Zawsze to on, Hubert, dzwonił do domu. Tak po prostu było łatwiej. Słowa, które usłyszał od niego, nie były pocieszające. Stan Janka był bardzo ciężki, ale w tej chwili lekarze określali go jako stabilny. Rodzice mieli bardzo duże oparcie w Barbarze, podtrzymywała ich na duchu i załatwiała wszystkie sprawy, z którymi oni, starsi ludzie, mogliby sobie nie poradzić. Poinformował ich o terminie przylotu i pożegnał z nadzieją, że przy następnej rozmowie będą mieli dla siebie lepsze wieści.

Zadzwonił do Richarda, informując go o swoim nagłym wyjeździe do Polski. Z Sarah starał się nie kontaktować od czasu ich ostatniego spotkania. Zamieniali ze sobą tylko nic nieznaczące słowa i to zawsze na tematy zawodowe, mimo że ona kilkakrotnie próbowała nawiązywać do poprzedniej rozmowy. Dla Huberta była to sprawa zamknięta, a ona, jako przyjaciółka, kobieta, siostra jego zmarłej żony, przestała dla niego istnieć. Znowu zostawiał firmę bez szefa. Dotychczas mógł być o nią spokojny podczas swoich wyjazdów, tym razem jednak nie miał już takiej pewności. Nie mógł przewidzieć, co Sarah strzeli do głowy, czy nie będzie chciała się na nim mścić. Nie wiedział, jak ma rozwiązać z nią umowę. Nie była na szczęście jego współnikiem, tylko zwykłym pracownikiem. Fakt, funkcjonowała do tej pory na zupełnie innych prawach niż pozostałe zatrudnione osoby. Zachowywała się raczej jak partner, a nie pracownik, ale obecnie sytuacja uległa zasadniczej zmianie. Partnerem, bądź co bądź, nie była.

– Richard, musisz jeszcze o czymś wiedzieć – powiedział pod koniec rozmowy. – Miałem zamiar porozmawiać z tobą za kilka dni na spokojnie, ale okoliczności się zmieniły i teraz nie mam na to czasu, muszę ci o czymś powiedzieć przez telefon.

Nie do końca wiedział, jak zacząć tę rozmowę i ile powinien usłyszeć Richard.

– Między mną a Sarah doszło do poważnego konfliktu. Bardzo poważnego – podkreślił. – Mogę się spodziewać nieuczciwych zagrań z jej strony. Chciałbym, żebyś był czujny. Nie wiem, kiedy wrócę, stan mojego brata jest bardzo poważny. Wszystkiego dowiem się na miejscu i będę cię na bieżąco informował. Nie wykluczam też konieczności zwolnienia Sarah. Nie chcę robić z ciebie szpiega, ale to tobie zostawiam

kierowanie firmą, wszystkie pełnomocnictwa dostaniesz na piśmie. I jeżeli jakieś ruchy ze strony Sarah wydawać ci się będą podejrzone, proszę, żebyś mnie informował na bieżąco. I ostatnia rzecz. Jeżeli stwierdzisz, że jest was za mało do pracy, że potrzebujecie kogoś jeszcze, możesz zatrudnić jeszcze kogoś dodatkowo. Zdaję się na twój osąd. Już od jakiegoś czasu o tym myślałem. Firma dostaje coraz więcej zleceń, a nas jest po prostu za mało. Najlepiej, żeby to był ktoś młody, bez złych nawyków, z głową pełną ideałów.

– Hubert, po tylu latach pracy wiesz, że możesz na mnie polegać. Nie zaprzątaj sobie teraz głowy firmą, damy sobie tu radę. Będę cię informował na bieżąco, będziemy w kontakcie. W tej chwili większość zleceń jest na ukończeniu, wiemy, co mamy robić. Jeżeli natomiast nowe transakcje dojdą do skutku, to byłbym raczej za zatrudnieniem kogoś, chociaż na czas określony, ale to jeszcze zobaczymy.

Richard zamyślił się przez dłuższą chwilę.

– A co do Sarah... Nigdy jej nie ufałem, ale u ciebie była na specjalnych prawach, nie zabierałem więc głosu. Nie lubiła mnie od momentu, kiedy odrzuciłem jej zaloty. Przez krótki okres usiłowała się na mnie mścić, ale w końcu sobie odpuściła i traktowała mnie jak powietrze. Zdziwiłem się bardzo, kiedy zaprosiła mnie do siebie na święta. Nie odmówiłem tylko przez wzgląd na ciebie. A ostatnio rozmawiała ze mną w zasadzie tylko w twojej obecności. Nie będzie więc miała we mnie swojego popiecznika.

Hubertowi przypomniała się jeszcze jedna sprawa.

– Powiedz Richard, czy to prawda, że Maja usiłowała cię uwieść krótko po waszym poznaniu się?

– Maja? Mnie? Czyś ty zwariował? Chyba trzeba być ślepym, żeby nie zauważyć, jak bardzo była w tobie zakochana. Poza tym Maja nie należy do kobiet, które uwodzą. Myślę, że chyba nie wiedziałyby, jak się do tego zabrać.

Nie dodała mu otuchy ponowna myśl, jak łatwo dał się wkręcić w intrygę Sarah i jaką wielką krzywdę wyrządził Mai.

– No cóż, ślepo zakochany i zazdrosny facet jest łatwym celem manipularki. Co się stało, to się nie odwróci. Między mną a Mają wydaje się być wszystko skończone, ale nie pora teraz na rozmowy o tym.

Żegnam cię Richardzie w takim razie i do usłyszenia wkrótce.

– Cześć, Hubert, szczęśliwej podróży i życząc zdrowia twojemu bratu.

Kiedy załatwił sprawy z Richardem, zadzwonił do Manueli z prośbą o przygotowanie mu rzeczy na podróż i postanowił jeszcze raz przed wyjazdem spotkać się z Irene. Wiedział, że nie ma sensu do niej dzwonić, prawdopodobnie nie odebrałaby jego telefonu. Było późne popołudnie, powinna już wrócić z pracy. Wyszedł z domu i zdecydowanym krokiem ruszył w stronę domu sąsiadki. Na szczęście, była w ogródku od frontu, porządkowała rabatę z kwiatami. Zaskoczył ją, nie mogła się wycofać, nie mogła udać, że jej nie ma.

– Irene, musisz mnie wysłuchać. Błagam cię. Opowiem ci jeszcze raz wszystko, całą prawdę, tym razem ze szczegółami, a potem mnie osądzisz. Ale muszę to zrobić dzisiaj. Jutro wyjeżdżam do Polski, mój brat bliźniak miał poważny wypadek, jest w bardzo ciężkim stanie. Nie mogę dłużej czekać, muszę z tobą porozmawiać. To sprawa życia i śmierci.

Wyglądało na to, że Irene w końcu zmiękła. Ruchem ręki zaprosiła go do środka, odkładając na ziemię grabki i rękawice ogrodowe, podnosząc się jednocześnie z klęczek.

Zaprosiła go do salonu, urządzonego bardzo skromnie, w którym mimo niewielu elementów panował bardzo przyjemny nastrój. Nieliczne dodatki były dobrane ze smakiem, stanowiły ładną kompozycję.

– Napijesz się czegoś? – zapytała, zapraszając jednocześnie do zajęcia miejsca w fotelu.

– A masz coś mocniejszego? – nadzieja w jego głosie była nie do ukrycia.

– Mam dzin, mogę ci zrobić z tonikiem. Może być?

– Jak najbardziej – odpowiedział z ulgą.

Irene po chwili wróciła z kuchni, niosąc dwie wysokie zroszone szklanki z napojami. Jedną wręczyła Hubertowi, po czym rozsiadła się wygodnie na kanapie obok.

– Mów wreszcie, bo widzę, że jesteś rzeczywiście podłamany. Ale tylko całą prawdę i bez owijania w bawełnę.

Nabrał głęboko powietrza, przez chwilę się zastanawiał, od czego

właściwie zacząć. Po chwili wahania nie miał wątpliwości, że musi zacząć od swojej historii z Mary. No i oczywiście z Sarah. Dobiegała północ, kiedy skończyli rozmowę. Podczas poprzedniego spotkania z Irene opowiedział jej pobieżnie o całej sytuacji, ale nie był do końca szczery. Nie odsłonił wtedy swojej duszy. Teraz postawił wszystko na jedną kartę. Wiedział, że to jego ostatnia szansa. Miał nadzieję, że przekona Irene o swoim uczuciu do Mai. Nie ukrywał swojej winy, ale bardzo chciał wszystko naprawić. Nadal nie tracił nadziei, że to jest jeszcze możliwe.

– Hubert, jest mi bardzo przykro, że się wam nie ułożyło. Rozumiem po części twoje postępowanie. To mnie utwierdza w przekonaniu, jak łatwo z wami, mężczyznami, sprytna kobieta może zrobić, co tylko będzie chciała. Bardzo chcę ci pomóc, ale Maja stanowczo nalegała, żebym pod żadnym pozorem nie powiedziała ci czegokolwiek o niej i absolutnie nie zdradziła jej obecnego miejsca pobytu. – Zamyśliła się, wpatrując w stojącą na stoliku pustą szklankę po dżinie. – Mam nadzieję, że nie stracę przyjaciółki, ale coś mi mówi, że tym razem nie powinnam dotrzymać danego słowa. Kiedy Maja wyszła ze szpitala i zobaczyła ciebie z Sarah w łóżku, przybiegła prosto do mnie. Nie miała dokąd pójść, sam przecież wiesz. A z Tonim nic ją nie łączyło, nie pomyślała nawet, że to o niego mogło ci chodzić. Była u mnie przez kilka dni. Nie mogłam w żaden sposób pomóc jej finansowo, mogłam jedynie zaoferować jej dach nad głową i wyżywienie, ale ona potrzebowała pieniędzy, żeby wrócić do Polski. Po kilku dniach poszła do szpitala na wyciągnięcie szwów i lekarka, która ją operowała, zaproponowała jej pracę opiekunki dla jej dzieci. Jeszcze kilka dni temu tam była, spotkałyśmy się w parku, ponieważ mam dorywczą pracę w pobliżu. Oddałam jej wtedy twój list, ale nie jestem do końca przekonana, czy go przeczytała. Przy mnie na pewno nie.

W Hubercie mimo wszystko zatliła się nadzieja.

– Czyli nie wyjechała jeszcze ze Stanów! A więc nie wszystko jeszcze stracone! Zdradzisz mi jej adres? Błagam. To dla mnie takie ważne.

Irene przez chwilę wpatrywała się w pełną napięcia twarz Huberta, po czym wstała, podeszła do stojącego pod ścianą sekretarzyka i napisała coś na małej karteczce. Podała mu ją zdecydowanym ruchem, jakby się

bała, że za chwilę może zmienić zdanie.

– Mam nadzieję, że robię dobrze. I oby Maja mi to wybaczyła.

Hubert poderwał się z fotela, obejmując Irene serdecznie.

– Dziękuję, nie wiesz nawet, jak bardzo jestem ci wdzięczny. – Nie usiłował nawet ukryć wzruszenia. – Nigdy nie zapomnę, co dla mnie zrobiłaś. I przede wszystkim dla Mai.

Do rana prawie nie zmrzył oka. Najchętniej jechałby do Mai od razu, gdyby tylko nie była to taka nieprzyzwoita pora. Całą noc dryfował w jakimś półśnie, na granicy rzeczywistości. Coś mu się śniło, rzucał się na łóżku niespokojnie, podejmował jakieś trudne decyzje, których po przebudzeniu zupełnie nie mógł sobie przypomnieć. Kiedy wreszcie za oknami zaczęło świtać, bez wahania wstał z łóżka, bardziej zmęczony niż przed pójściem spać. Długo stał pod prysznicem, usiłując zresetować swój umysł, ale na niewiele się to zdało. Czuł się przytłoczony własnymi myślami.

O ósmej wsiadł do samochodu, nastawił GPS-a na adres podany przez Irene i ruszył w drogę. Ruch panował wyjątkowo duży, jakby wszystko tego dnia sprzysięgło się przeciw niemu. Utknął w korku przy zjeździe z autostrady. Stał od dwudziestu minut i przejechał może piętnaście metrów. W radiu nadawali bezustannie informacje o gigantycznym korku przy Joliet. Drogowcy urządzili sobie demonstrację, domagając się podwyżek oraz wydłużenia czasu urlopu i zablokowali drogę. Za pół godziny, według informacji z radia, demonstracja miała się zakończyć, ale on chyba do tego czasu wyzionie ducha. Dochodziła dziesiąta. Utknął w samochodzie jak sardynka w puszcze i nic na to nie mógł poradzić. Po południu odlatywał samolotem do Polski. Tyle jeszcze miał do załatwienia przed podróżą, no i najważniejsze, jak najszybciej chciał się zobaczyć z Mają. A tymczasem stał bezradny w korku i nic nie mógł na to poradzić. Przypomnił mu się film z Michaeliem Douglasem, bodajże pod tytułem „Upadek”. Bezrobotny facet, spiesząc się na urodziny córki, zostaje uwięziony w korku. Puszczają mu nerwy, mówiąc łagodnie, a tak naprawdę, to świruje. Rusza pieszo przez tłum unieruchomionych samochodów, wyładowując swoją złość na innych ludziach. Szaleństwo rodzi się ze stresu, a on był bliski osiągnięcia stresu na poziomie krytycznym.

Zaczął mu się robić gorąco. Pootwierał wszystkie szyby, ale spowodował tym jedynie wtargnięcie do wnętrza oparów spalin z sąsiednich samochodów. Że też ludzie nie wyłączają silników, stojąc w takim korku. Ile niepotrzebnych zanieczyszczeń wydzielających się w eter jest spowodowanych wyłącznie ludzką bezmyślnością!

Tak krążąc myślami wokół różnych spraw, nie zauważył nawet, że samochody zaczęły ruszać. Dopiero klakson pojazdu stojącego za nim przywrócił go do rzeczywistości. Ruszył natychmiast, a chcąc zrobić to jak najszybciej, doprowadził jedynie do „kaszlnięcia” samochodu i jego ponownego unieruchomienia. Zrobił kilka głębszych oddechów dla uspokojenia, nie zważając na dalsze trąbienie sąsiada, po czym ruszył, tym razem powoli i bez komplikacji. Miał nawet zamiar pokazać zniecierpliwionemu kierowcy środkowy palec, ale natychmiast zobaczył w myślach twarz Douglasa i wołał nie ryzykować.

Bardzo powoli korek zaczął się rozładowywać. Samochody rozjeżdżały się na kolejnych zjazdach, na sąsiednich pasach ekspresówki robiło się coraz luźniej. Włączony GPS wskazywał 15 mil do celu i do tego nie autostradami, więc była nadzieja, że uda mu się wkrótce dojechać. Zaczął się nieco odprężyć. Układał sobie w myślach mowę dla Mai. Nie do końca wiedział, od czego zacząć tę rozmowę, jeżeli w ogóle będzie chciała z nim rozmawiać. Co ma jej powiedzieć poza: „Przepraszam, byłem skończonym idiotą. Czy mi wybaczysz?”.

Po pół godzinie podjechał pod bramę imponującej posiadłości. Brama była otwarta, ale nie miał śmiałości wjechać samochodem na teren posesji. Zostawił go na drodze przed płotem okalającym ogród i niepewnym krokiem wszedł na ścieżkę prowadzącą do drzwi wejściowych. Po chwili stanął przed masywnymi drzwiami wykonanymi z ciemnego drewna i z bijącym sercem nacisnął dzwonek. Długo nikt się nie zjawiał, więc nacisnął ponownie. W tym momencie drzwi się otworzyły i po drugiej stronie stanęła starsza kobieta w białym fartuszk.

– Dzień dobry. Czy mogę panu służyć? – zapytała uprzejmie.

– Dzień dobry. Nazywam się Hubert Ruszkowski, jestem przyjacielem Mai Bogackiej. Czy zastałem ją w domu? Bardzo pilnie muszę się z nią zobaczyć.

– Niestety – odpowiedziała ze szczerym żalem. – Maja wyjechała

z państwem i dziećmi na Florydę. Wróć dopiero za tydzień, a może nawet później. Może przekazać jej coś, jak wróci?

Poczuł się zupełnie zrezygnowany. A więc nie zobaczy jej przed swoim wyjazdem. A wyjechać musi, nie ma innego wyjścia.

– Nie, dziękuję. Odezwę się później – odrzekł i nie odwracając się za siebie, ze spuszczoną głową, ruszył w stronę samochodu.

## ROZDZIAŁ DWÓDZIESTY ÓSMY

### MAJA

Przed tygodniem wróciła z Florydy. Spędzili tam całe trzy tygodnie. Początkowo jej pracodawcy mieli zamiar zabawić tam dziesięć dni, no może dwa tygodnie, ale rodzina bawiła się tak fantastycznie, pogoda dopisywała i nikogo nie goniły żadne zawodowe zobowiązania (nikogo – znaczy państwa Blacków), postanowiono więc zostać całe trzy tygodnie. Całe trzy tygodnie wśród palm, w domu położonym właściwie na plaży, gdzie wystarczyło wejść na drewniany pomost, potem kilka kroków przez piasek i można było barszkować w morzu do woli.

Claire i John wynajęli dom na południe od Bonita Springs, w miejscu zwanym Barefoot Beach State Preserve, a właściwie na jego południowym skraju. Piętrowy budynek zbudowany z drewna, pomalowany na biało, ze strzelistym dachem, kojarzył jej się z domem, w którym rozgrywa się akcja filmu „Noce w Rodanthe” z Richardem Gere w roli głównej. Z rozłożystego tarasu prowadziły na plażę drewniane schody, które kończyły się kawałkiem drewnianego chodnika. Lubiła siedzieć na tarasie w wolnych chwilach i podziwiać błękitne wody Zatoki Meksykańskiej, obmywające plażę, sprawiające wrażenie, że zaraz zagarną także taras, na którym siedziała. Piasek na plaży, biały i delikatny, subtelnie pieścił stopy, kiedy szła w stronę brzegu. Pochylone w stronę morza palmy, wyrastające wprost z tej miłkłej bieli, dawały pod swoimi liśćmi cudowne schronienie przed słońcem. Pnie były tak nisko pochylone nad ziemią, że można było na nich przysiąść jak na ławce. Szelest długich liści palmowych i szum morza działały na Maję kojąco. Trzymała wówczas dłonie na brzuchu i przemawiała do swojego Maleństwa. Czula z nim niesamowitą więź. A może z nią? Kto to wie? Nie czuła jeszcze ruchów dziecka. Czasami wydawało się jej, że coś delikatnego, jakby jakiś nieśmiały motyl, drga w jej wnętrzu, ale nie była pewna, co to jest. Musiała jeszcze chyba poczekać, żeby nabrać pewności, żeby się przekonać.



Nie było jeszcze widać, że jest w ciąży. Zawsze była szczupłą, a i teraz nie przytyła zbyt. Nie miała apetytu. Jadła właściwie dlatego, że musiała, a nie dlatego, że miała na to ochotę. Przestrzegwała stałych godzin posiłków, ponieważ rodzina Blacków zwracała na to uwagę. Inaczej, musiałaby chyba wpisać sobie w komórkę przypomnienie, że czas coś zjeść, bo inaczej zapominałyby o tym. A jedzenie było naprawdę wyśmienite. Blackowie zatrudniali miejscową gosposię, która przygotowywała dla całej rodziny potrawy regionalnej kuchni, sporządzone ze świeżych, kupowanych na targu produktów. Smakowały naprawdę doskonale, ale Maja myślami i uczuciem była zupełnie gdzie indziej. I to jej odbierało apetyt. Po prostu tęskniła za Hubertem. Wielokrotnie usiłowała go znienawidzić, zapomnieć o nim, przestać o nim myśleć. Ale nie mogła. Tęskniła za nim i już. I chyba zwyczajnie nadal go kochała, pomimo krzywdy, jaką jej wyrządził.

W najśmielszych marzeniach nie wyobrażała sobie, że kiedyś znajdzie się w tak cudownym miejscu. Wprawdzie była tylko opiekunką do dzieci, ale co tam. Najważniejsze, że tam była. Że mogła wylegiwać się na plaży, bawić razem z dziećmi, które pokochała całym sercem, jeździć na rowerze do pobliskiego sklepu po świeże bułeczki na śniadanie, a wieczorami, kiedy dzieciaki już wreszcie zasypiały i zostawały pod opieką rodziców, mogła spacerować wzdłuż brzegu, albo iść do sąsiedniej miejscowości jakieś półtora mili plażą lub ścieżką wzdłuż drogi, usiąść na tarasie lokalnego pubu i rozkoszować się widokiem morza. Mogła tak siedzieć godzinami, nie potrzebowała towarzystwa innych ludzi, nie bała się samotności ani też nie bała się, że ktoś obcy może jej zrobić krzywdę. Wokół kręciło się tylu młodych ludzi, śmiali się, rozmawiali ze sobą, niektóre pary tańczyły w rytm muzyki dochodzącej z automatycznej wieży. Czuła się momentami, jakby oglądała jakiś amerykański film, jakby to było gdzieś zupełnie poza nią. Miała wrażenie, że to nie jest jej życie, że jest tylko biernym widzem.

Uzbierała już wystarczającą kwotę, żeby wrócić do Polski i wreszcie uporządkować swoje życie. I właściwie to miała zamiar wykonać swój plan zaraz po powrocie z Florydy, ale były momenty, że zaczynała mieć wątpliwości. Czy w Polsce czeka ją lepsze życie? Co będzie mogła za-

pewnie swojemu dziecku w Polsce, a co mogłoby je czekać tutaj, w Ameryce? Istniała taka możliwość, że w Polsce byłaby kimś. Jeżeli wróciłyby na swoje stanowisko w korporacji, mogłaby się piąć po szczeblach kariery. A jeżeli nie w swojej dawnej pracy, to w jakiejś innej. Była dobrze wykształcona, rzutka, przedsiębiorcza, знаła się na swoim fachu. Nie była przecież głupia. Umiała współpracować z ludźmi, umiała nimi kierować. Tylko jakim kosztem? Dwunastogodzinnego dnia pracy i widywania swojego dziecka wczesnym rankiem i wieczorami? Sprowadziłyby się to do tego, że jakaś opiekunka byłaby mu bliższa niż rodzona matka. A co mogłoby ją czekać tutaj? Praca opiekunki dla dzieci do końca życia? Może z czasem zrobiłaby jakiś kurs kosmetyczki albo fryzjerki? Czy byłoby ją stać na cokolwiek więcej? Na pewno nie miałaby możliwości pracy w swoim zawodzie. Byłaby zwykłym średnio wykwalifikowanym pracownikiem. Ale być może przyszłość jej dziecka byłaby inna. Lepsza? Prawdopodobnie.

Siedziała na tarasie pubu pod nazwą „Crazy Joe”, piła zimną lemoniadę i podziwiała słońce chyłące się powoli ku zachodowi. Obok stał jej zaparkowany rower, którym tutaj przyjechała. Miała właśnie jedno z nielicznych wolnych popołudni. Obserwowała zbierających się z plaży surferów, patrzyła jak zabierali swoje deski i małymi grupkami udawali się w stronę pubów, których wzdłuż plaży było sporo. Przepychali się między sobą ze śmiechem, wszyscy mogli wokoło wyczuć, że są to szczęśliwi ludzie. Szczególnie obserwowała jednego chłopaka. Był chyba w jej wieku może dwa-trzy lata starszy. Wysoki, pięknie zbudowany, opalony, z burzą kręconych blond włosów i zawadiackim uśmiechem. Wyczuwała, że on także zwrócił na nią uwagę, ale napawało ją to tylko smutkiem. Miała poczucie, że jakiś etap w jej życiu się skończył, że coś przepadło nieodwracalnie. Młodość i beztroska? Być może. Nie należała już tylko do siebie, nie wszystko mogła robić. I nie czuła się młoda. Będzie matką, teraz będzie musiała się troszczyć nie tylko o siebie. I zupełnie nie będzie miała czasu na randki, spotkania z koleżankami czy inne towarzyskie bzdety.

Chłopak minął ją wraz z grupką jemu podobnych opalonych i szczęśliwych młodych ludzi, a ona wpatrzyła się w morze i rozmyślała nad swoim losem. Nagle zza jej pleców ktoś odezwał się takim ciepłym,

aksamitnym barytonem.

– Cześć, mam na imię Matthew, ale znajomi mówią do mnie Matt. Mogę postawić ci piwo? Albo coś innego do picia, może bezalkoholowego?

Spojrzała na niego i z zaskoczeniem rozpoznała w nim chłopaka, którego przed chwilą obserwowała. Przysunął sobie krzesło z sąsiedniego stolika i wpatrywał się w nią nieprawdopodobnie błękitnymi oczami. Jego muskularne, opalone ciało pokryte było jeszcze kroplami morskiej wody.

– Cześć, jestem Maja – odpowiedziała po chwili. – A za piwo dziękuję, mam jeszcze szklankę pełną lemoniady.

– Nie pijesz alkoholu? – zapytał, przechylając tak zabawnie głowę na bok.

– Owszem, piję, ale nie tym razem – odwróciła wzrok w stronę morza.

– Nie widziałem cię tutaj nigdy, chyba niedawno przyjechałaś. Skąd jesteś? – nie dawał za wygraną.

– Z Polski – odpowiedziała krótko. Nie siliła się na uprzejmość. Miała chyba nadzieję, że chłopak się zniechęci i zostawi ją w spokoju. Nie miało najmniejszego sensu nawiązywanie dalszej rozmowy. Po co?

– To niesamowite! – widać było, że jest rzeczywiście zaintrygowany. To kawał drogi! Co cię tu przygnało?

– Najpierw miłość, a potem praca. – Nie miała nic do stracenia, mówiąc mu prawdę. Nagle naszła ją ochota wygadania się przed kimś, najlepiej nieznanym, którego nigdy więcej w życiu nie zobaczy.

– Jestem zatem niepokieszony. A gdzie twój ukochany?

– Ukochany zamienił się z cudownego księcia na białym koniu w prozaicznego faceta, który zdradza i zostawia. I na tym bajka się skończyła. Ot i tyle.

Patrzył na nią, coraz bardziej zaintrygowany. Nigdy nie spotkał takiej fascynującej dziewczyny. Była po prostu doskonale piękna, jak Madonna. Subtelna, z burzą rudych włosów i takim niesamowitym smutkiem na twarzy. I rezygnacją. Aż mu serce ścisnął żal, kiedy tak się jej przyglądał. I te jej oczy...

– Dlatego jesteś taka smutna? Życie nie kończy się na jednym facecie.

– To już nie ma żadnego znaczenia – odpowiedziała, jednocześnie wstając z krzesła. – Na mnie już pora. Dziękuję za miłą pogawędkę.

– Poczekaj, chciałbym jeszcze się z tobą spotkać. Może umówimy się tutaj jutro? Porozmawiamy, może uda mi się podtrzymać cię na duchu. Pamiętaj, że rozstanie to jeszcze nie koniec świata. – Ciągłe wpatrywał się w nią tymi swoimi błękitnymi oczami, jakby ją hipnotyzował. Biła z niego taka pewność siebie, spokój.

– Nie wiem, co będę robiła jutro. Nie jestem w tej chwili panią swego czasu – nie patrzyła na niego, kiedy to mówiła. Wsiadła na swój rower, który do tej pory stał oparty o parkan.

– Mam nadzieję, że jednak przyjdiesz. Będę tu czekał, powiedzmy o siódmej wieczorem. Przyjdiesz? – miał głos pełen nadziei.

– Nie wiem, zobaczę. Niczego nie mogę obiecać.

To mówiąc, uśmiechnęła się do niego, wsiadła na rower i odjechała. Nie oglądała się za siebie.

Następnego dnia rano rodzina Blacków obudziła się pełna energii i po krótkiej dyskusji postanowiono zrobić sobie wycieczkę na południe Florydy, gdzie znajdował się archipelag małych wysepek, zwany Florida Keys. Wysepki te, leżące w pobliżu Bahamów, ułożone jak nanizane na sznurek paciorki, połączone pierwotnie koleją, zwaną Overseas Railway, a teraz także drogowymi estakadami, stanowiły najbardziej malowniczą i intrygującą część tego regionu. Śniadanie spałaszowano w łące sprinterskim tempie, po czym załadowano się do wynajętego Jeepa i John, spokojny jak zwykle, ruszył w kierunku archipelagu.

Pierwszą wyspą w planie była Key Largo, której nazwa oznacza po prostu „długi klucz”. Każda z tych wysepek jest inna, każda w swoim rodzaju, urokliwa, niepowtarzalna. Key Largo szczyli się unikatowym podwodnym rezerwatem raf koralowych, jest rajem dla nurków nie tylko tych nurkujących z butlami, lecz także pływających jedynie z rurkami i oglądających podmerski świat znajdujący się tuż pod powierzchnią morza. Wszystko w tym rejonie jest pod ochroną, nie można tam nawet łowić ryb. Można jedynie podziwiać niepowtarzalne piękno podwodnego świata. John, który pasjonuje się nurkowaniem, nie mógł odmówić sobie tej przyjemności i wraz z grupą kilku innych osób wybrał się na

ponad dwugodzinną wycieczkę podwodnym szlakiem. W tym czasie pozostała część rodziny pojechała na wycieczkę rowerową, potem trochę pospacerowali, a po spałaszowaniu olbrzymich porcji lodów, pływali w wodach zatoki razem z delfinami. Samantha i Aisec, mama i dziecko. Delfiny były cudowne. Miały taką niesamowitą skórę, a kiedy się je dotykało, miało się wrażenie, że to coś nadprzyrodzonego, nie z tego świata. Z radością podpływały razem ze swoją opiekunką, sympatyczną dziewczyną o imieniu Ann, trącały dzieci nosami, wydając przy tym fantastyczne dźwięki. Kakofonia tonów wydawanych przez dzieciaki w połączeniu z odgłosami delfinów była jak muzyka ludów pierwotnych.

Wczesnym popołudniem John wrócił z nurkowania. Maja jeszcze nigdy nie widziała go tak podekscytowanego. I to wcale nie rafa koralowa wzbudziła w nim taki zachwyt, ale podwodny świat zatopionych wraków, nazwany Florida Keys National Marine Sanctuary. A wśród tych wraków coś, czego nie można sobie wyobrazić, coś, co trzeba po prostu zobaczyć. Oni oglądali to jedynie na zdjęciach zrobionych przez Johna, a i tak wywarło to na nich piorunujące wrażenie. Był to olbrzymi, prawie dziesięciometrowy posąg Jezusa, całkowicie zatopiony w głębinach oceanu. Posąg nazywają Statue of Christ of Abyss, czyli pomnik Chrystusa z Głębin, albo inaczej Chrystus z Otchłani. Przywodzi na myśl tego Chrystusa z Rio de Janeiro, z wyciągniętymi ku górze ramionami. A na zdjęciach Johna wokół posągu, jak małe rybki, pływali nurkowie. Dopiero dzięki temu kontrastowi można było sobie wyobrazić rozmiar obelisku.

Nie spostrzegli, kiedy zrobiło się późno. Wprawdzie daleko jeszcze było do zachodu słońca, ale mieli tyle do zobaczenia. Koniecznie chcieli zwiedzić wyspę Key West. I nie chciało im się jeszcze wracać z powrotem. Blackowie wynajęli zatem na jedną noc bungalow przy samej plaży. Wyglądał jak typowy karaibski domek plażowy, z dachem pokrytym liśćmi palmowymi, z zewnątrz sprawiał niepozorne wrażenie, ale wewnątrz był w stu procentach komfortowy. Klimatyzowany oczywiście, z powiewnymi białymi, batystowymi zasłonkami w oknach i delikatnymi meblami z nieznanego jej gatunku drewna. Ale najcudowniejsze były łóżka. Maja spała w pokoju z dziećmi, a te padły jak muchy, tak bardzo wyczerpane atrakcjami minionego dnia. Ona też czuła się znużona.

Wprawdzie nie męczyło jej jeszcze samo bycie w ciąży, ale po prostu dał się we znaki cały dzień w ruchu. I tyle wrażeń. Gdyby nie Claire i John, nigdy nie zobaczyłyby takich cudów.

Zanim wszyscy udali się na spoczynek, stali na tarasie i obserwowali zachód słońca. Na horyzoncie, nad linią morza, pojawiły się czarne, potężne chmury, kształtem przypominające atomowy grzyb. Nadciągała burza. W potwornie parnym powietrzu zaczynała pojawiać się delikatna chłodniejsza bryza. Zza chmury przeziarały ostatnie promienie zachodzącego słońca, dając zjawiskową żółtopomarańczową poświatę. Po kilku minutach rozległy się grzmoty i raz po raz z chmury wstrzelały bajeczne pioruny, prosto we wzburzone morskie odmęty. Na łądzie nie spadła ani jedna kropla deszczu, a po piętnastu minutach chmury odpłynęły i ukazało się czarne niebo upstrzone gwiazdami.

Noc minęła, przespana przez wszystkich kamiennym snem. Śniadanie, dostarczone na zamówienie do bungalowu, smakowało jakby od dwóch dni niczego nie jedli. Zapakowali się ponownie do jeepa i bez przystanków dojechali do ostatniej wyspy – Key West, oddalonej zaledwie sto czterdzieści kilometrów od Kuby, licząc od Southernmost Point – punktu na końcu uliczki Whitehead Street, najbardziej urokliwej ze wszystkich dotychczas mijanych. Key West, znajdująca się tak niedaleko, a tak bardzo inna od Key Largo, nazywana jest karaibskim miasteczkiem położonym w Stanach Zjednoczonych. Wyspiarze, czyli Conchs, nazywają swoją wyspę po prostu rajem. Mai skojarzyła się natychmiast z subtropikalnym rajem z palmami i zielonkawo-szmaragdowymi wodami morza, jakie wielokrotnie oglądała na zdjęciach czy filmach i które to miejsca wydawały się dla niej nieosiągalne.

Po drodze mijali charakterystyczne białe drewniane domy ze spadzistymi, często także jasnymi, dachami, typowe dla budownictwa karaibskiego. Sprawiały wrażenie bardzo lekkich, jakby były z koronki. To chyba przez drewniane balustrady i zdobienia. Jasne, delikatne i przewiewne. Ale między nimi znajdowały się jeszcze inne budynki, jakby w stylu kolonialnym, a może hiszpańskim? Nie знаła się na architekturze. Hubert miałby tu na pewno dużo do powiedzenia, dowiedziałyby się od niego wielu ciekawych rzeczy. Ale nie było go tu i nigdy się nie dowie, co on wie na ten temat. I bardzo ją to zasmuciło, zamysliła się, po-

czuła się przygnębiona. Jak zawsze, gdy jej myśli kierowały się w jego stronę. Ciekawe, gdzie byłaby teraz, gdyby nie rozstała się z Hubertem? I czy cieszyłby się z faktu, że zostanie ojcem? Czy chciałby się z nią ożenić? A jeżeli tak, to dlatego, że ją kocha, czy tylko dlatego, że będą mieli dziecko? Po chwili znowu przyglądała się mijanym po drodze uliczkom. Mogłaby tu zamieszkać na stałe, na pewno byłaby tutaj szczęśliwa. Tylko co by tu robiła? Jak zarabiałaby na życie?

Z rozmyślań wyrwało ją dość gwałtowne hamowanie i jeep zatrzymał się na rozległym parkingu. Priorytetem dzisiejszej wyprawy był dom Ernesta Hemingway'a, w którym pisarz mieszkał przez dziesięć lat z żoną Mary. Nietrudno było go znaleźć, co kilkanaście metrów drogę do niego wskazywały tablice informacyjne. Dom w hiszpańskim stylu kolonialnym, położony był w przepięknym, bardzo zadbanym ogrodzie. Rozłożysty, z płaskim dachem i białymi ścianami, wokół pierwszego piętra okolony był tarasem. Przy półokrągłych oknach wisiały podobnego kształtu jasnobrązowe okiennice. Nie wyróżniał się niczym szczególnym spośród innych domów w okolicy, ale kiedy się wiedziało, kto w nim zamieszkiwał, natychmiast sprawiał wrażenie dostojnego.

Zwiedzali wnętrza muzealne, a Maja miała poczucie, że za chwilę otworzą się drzwi i pojawi się w nich Hemingway. Wszystko było tak autentycznie urządzone, starano się niewiele zmieniać w porównaniu z okresem, w którym zamieszkiwał tu pisarz. W sypialni, na olbrzymim rzeźbionym łóżku z ciemnego drewna, na białej narzucie wylegiwał się biało-czarny kocur. W pokoju, w którym w przeszłości pracował właściciel, na okrągłym stoliku stała oldskulowa maszyna do pisania marki „Royal” ze śmiesznymi okrągłymi klawiszami. Obok leżał brulion, a na nim wieczne pióro. Krzesło było odsunięte i miało się wrażenie, że pisarz dopiero co wstał od stolika. Może żeby nalać sobie szklaneczkę whisky? Albo zapalić kubańskie cygaro?

Jednak nie wnętrza są tu największą atrakcją, a koty. Tak, koty! To one zostały po śmierci Hemingwaya spadkobiercami posiadłości. Za życia autora i jego żony zamieszkiwało ich tu około czterdziestu. Wszystkie były potomkami jednego kota, którego wyróżniała zasadnicza cecha. Otóż miał sześć palców, zamiast pięciu. I wszyscy jego potomkowie tę cechę po nim odziedziczyli. Nazywają je nawet kotami Hemin-

gwaya. Do dnia dzisiejszego specjalny sztab opiekunów i weterynarzy zajmuje się nimi, stale utrzymując populację w liczbie około czterdziestu sztuk. A koty są wszędobylskie, wałęsają się po ogrodzie, po pokojach, leżą na schodach, na półkach między książkami, nawet zwisają z drzew. Podobno pogłaskanie ich przynosi szczęście. Doris i Collin ze śmiechem ją do tego zmusili. Pogłaskała, a teraz nie pozostaje jej nic innego, jak tylko czekać na to swoje szczęście.

Wczesnym popołudniem, pełni wrażeń, zapakowali się znowu do jeepa i ruszyli na plażę, gdzie w knajpce prowadzonej przez marynarza – weterana zjedli obiad. I znowu zaskoczyła ją potęga smaków, jaką uraczył ich kucharz. Pikantna wieprzowina z dodatkiem warzyw, których w większości nie potrafiła zidentyfikować, a kiedy zapytała kelnera o ich nazwy, nadal nic jej nie mówiły. Ale smak był fenomenalny. A na deser sławne orzeźwiający ciasto key lime pie – kwaśna limonkowa masa na kruchym spodzie z herbatników i oczywiście różyczki bitej śmietany na wierzchu. Amerykanie najchętniej dodawaliby bitą śmietaną do wszystkiego, nawet do steku.

Po obiedzie podszedł do nich właściciel knajpy.

– Skąd jesteście? – zapytał, stawiając na stole dzban wody z lodem, cytryną i miętą.

– Z Chicago – zgodnie odpowiedzieli Claire i John.

– O! To kawał drogi – pokiwał śmiesznie głową na boki, a jego broda podskakiwała za każdym ruchem.

– A ja jestem z Polski – wtrąciła z dumą Maja. – To w Europie – dodała, spostrzegłszy, że nazwa państwa nic człowiekowi nie mówi.

– A! Papa Wotyła! – Jego oblicze się rozjaśniło. – A może mielibyście ochotę na rejs katamaranem?

Bliźniaki zaczęły podskakiwać z entuzjazmem, Claire i John popatrzyli na siebie, porozumieli się bez słów. Propozycja została przyjęta. I tak oto mknęli po lazurowych wodach, a malownicza wysepka oddalała się szybko i po chwili stanowiła już tylko maleńki punkcik na horyzoncie. Katamaran ORANA 44. Cały w bieli, z białymi żaglami majestatycznie rozdymanymi przez pasatowy wiatr. Elegancki, nowoczesny, po prostu piękny, zapierał dech w piersiach. Trochę miała obaw przed wypłynięciem, jeszcze nigdy nie żeglowała na pełnym morzu i jak zwykle



bała się nieznanego. Ale że była już przyzwyczajona do zwalczania swoich lęków i demonów, przełamała strach i wsiadła na pokład. Kiedy katamaran wypłynął z przystani, po obawach nie pozostało śladu. Pojawiło się podniecenie, szczęście... wręcz euforia. Opłynęli wysepkę, oglądali z morza bajkowe wodospady, podziwiali ogromne żółwie, dostojnie płynące tuż pod powierzchnią wody i figlarne delfiny bawiące się z falami wytwarzanymi przez katamaran i śpiewające tylko dla nich swoją pieśń. Nie sposób wymienić tych wszystkich wrażeń jednym tchem.

Słońce było już nisko, kiedy ruszyli w drogę powrotną. Jeep prowadzony przez Johna spokojnie pokonywał kolejne kilometry. A pasażerowie, milczący, zmęczeni, ciałem tylko byli obecni w samochodzie, bo w podświadomości nadal zwiedzali malownicze zakątki albo żeglowali po błękitnych wodach.

Dochodziła dziesiąta, a ona nadal nie mogła wybudzić się ze snu. Spała tej nocy twardo, o niczym nie śniła. I o dziwo, dzieci też jeszcze spały. Wzięła prysznic i miała nadzieję na spokojną, wypitą w samotności kawę, ale jak to bywa zazwyczaj, dzieciaki mają jakiś szósty zmysł. Kiedy tylko wyszła z łazienki, już były u niej w pokoju. Podskakiwały na jej łóżku, śmiejąc się wesoło, po śnie nie zostało ani śladu.

– Co będziemy dzisiaj robić, Maju? – pytały jednocześnie. – Mama i tata jeszcze śpią. Pójdziesz z nami na plażę? Będziemy się kąpać?

– Najpierw zrobię wam śniadanie, potem się ładnie ubierzecie i kiedy mama i tata będą gotowi, pojedziemy wszyscy razem do kościoła. – Blackowie byli protestantami, nie przesadzali ze swoją religijnością, ale w większość niedziel chodzili do kościoła. Wprawdzie Maję wychowano w wierze katolickiej, ale sama uważała się za osobę, która wierzy w jakieś moce nadprzyrodzone, które można śmiało nazwać Bogiem, choć nie była do końca przekonana, jakiej wiary Bóg jest tym prawdziwym. A może we wszystkich religiach chodzi o tego samego stwórcę? Takie miała wrażenie i taką nadzieję. W każdym bądź razie lubiła te protestanckie msze. Zazwyczaj było na nich niewiele osób, pastor nie piętnował z ambony ich przywar, nie potępiał ich za ich niecne czyny i żywot. Raczej były to spotkania spędzane w miłej, serdecznej atmosferze. A Maja miała wtedy czas, żeby rozmyślać o swoich problemach. I zaw-

sze wychodziła z kościoła jakaś taka pocieszona, pogodniejsza. Uspokojona.

– A może tu nie ma kościoła? – z nadzieją w głosie zapytała Doris.

– Nie martw się, jest. Mama już sprawdziła. Ale to nie jest zwyczajny kościół, taki jak w Chicago. To jest mała kapliczka na plaży, pod palmami, a wszyscy wierni siedzą na ławeczkach albo na kocach rozłożonych na piasku, kiedy pastor odprawia mszę. Myślę, że wam się spodoba.

– A czy to będzie nasz pastor, wielbny Jones? – Collin zdawał się nie wątpić, że tak będzie.

– Nie sądzę, Collinie, żeby wielbny Jones przyjechał taki kawał drogi z Chicago tylko po to, żeby specjalnie odprawić mszę dla Collina Blacka. – Jak zwykle, rozbawiły ją te jego poważne pytania.

– No to kto będzie pastorem? Jak się nazywa ten pastor? – Collin nadal nie dawał za wygraną.

– Nie wiem, kochanie. Wkrótce się dowiemy, zapewniam cię. A teraz proszę do łazienki, a ja idę do kuchni robić śniadanie.

Na nabożeństwo zdążyli w ostatniej chwili. Wszyscy wierni siedzieli już w ławeczkach albo na przyniesionych ze sobą kocach. Na szczęście, trochę wolnych miejsc jeszcze zostało, ale niestety nie mogli usiąść wszyscy razem. Maja z dziećmi poszła do drugiego rzędu, a Claire i John usiedli w ostatnim. Z głośnika rozległa się cicha muzyka, po czym wszyscy zaczęli śpiewać jakąś nieznaną jej pieśń kościelną. Wkrótce na podeście w kaplicy pojawił się pastor.

Maja zamrugała oczami, nie mogła uwierzyć w to, co zobaczyła. Początkowo pomyślała, że coś się jej przywidziało, ale jednak się nie myliła. Stał tam Matthew! Ubrany w liturgiczne szaty wyglądał jak aktor na scenie, odgrywający rolę jakiegoś antycznego bohatera. Patrzyła na niego jak urzeczona, niezdolna wykonać żadnego ruchu.

– Maja, czy to jest pastor? Wygląda, jak chłopak. Doris także patrzyła na Matta jak zaczarowana.

– Tak, Doris, to jest pastor. A teraz nie rozmawiajcie, skupcie się na mszy – odpowiedziała szeptem.

Szept nie był jednak wystarczająco cichy, bo zwrócił uwagę Matta. Spojrzał na nich, przez chwilę na jego twarzy pojawiło się zaskoczenie,

ale zaraz rozjaśnił ją szczerzy uśmiech. Skinął Mai głową i rozpoczął odprawianie mszy.

Przez całe nabożeństwo wpatrywała się w Matta jak urzeczona. Słuchała jego dźwięcznego głosu, ale zupełnie jakby nie rozumiała słów, które wypowiadał. Jakby wysławiał się w jakimś innym języku, nie w angielskim. I śpiewał pieśni takim pięknym, niskim głosem. W pewnym momencie popatrzyła na osoby siedzące w pobliżu niej, szczególnie na panie. Wpatrzone były w Matta jak w obrazek. I wcale się nie dziwiła. Był jak z obrazka. Przystojny, opalony, roztaczał wokół siebie jakąś niepowtarzalną aurę. Ale przecież chciał się z nią umówić. I nie wiedziała tak naprawdę, co by było, gdyby nie wyjechali na zwiedzanie wysp. Być może poszłaby na spotkanie, chociażby po to, żeby porozmawiać z kimś, może się wyzalić, może po prostu się pośmiać. Kto wie, czy nie byłyby to jedne z ostatnich przebłysków jej młodzieńczej bez troski. Ale z drugiej strony przecież pastor może umawiać się na randki, może się żenić, mieć dzieci, prowadzić normalne życie, założyć po prostu rodzinę. Ale czy może związać się z cudzołożnicą? Bo chyba tak w kościelnym żargonie wypadałoby ją nazwać. Kobieta, która spodziewa się nieślubnego dziecka.

Wydawało się jej, że nabożeństwo trwało tylko chwilę, a już wszyscy ludzie zaczęli wstawać ze swoich miejsc, niektórzy oddalali się z plaży, inni w małych grupkach rozmawiali ze sobą. Matt podchodził do różnych osób, z każdym starał się przywitać, zamienić choć kilka słów. Claire i John czekali na Maję, aż podejdzie do nich z dziećmi. Kiedy już się do nich zbliżyła, w tym samym momencie podszedł również Matt.

– Witaj, Maju – powiedział, podając jej dłoń na przywitanie. – Witam państwa – zwrócił się do Blacków, także ściskając ich dłonie. – Po raz pierwszy państwa widzę na naszej mszy, jestem zaszczycony, że wzięliście w niej udział. Maja mówiła, że jesteście państwo z Chicago. To kawał drogi stąd.

– Nam również miło pana poznać, pastorze – odpowiedziała Claire, odwzajemniając jego uścisk dłoni. Nie była wyjątkiem, też była oczarowana Mattem, było to widać po jej minie i śmiejących się oczach. – I bardzo ciekawe było dzisiejsze kazanie. A zauroczona jestem miejscem i sposobem odprawiania mszy. W stu procentach w zgodzie z naturą.

A skąd zna pan Maję?

– Poznaliśmy się niedawno w knajpce „U Johna”. Maja raczyła się sokiem i podziwiała morze, a ja wracałem z zajęć surfowania z dziećmi – mówiąc to, cały czas przyglądał się Mai. – Nawet zaproponowałem jej spotkanie, ale niestety nie przyszła – dodał, przekrzywiając zabawnie głowę i uśmiechając się z zalem.

– O! To pewnie przez nas – tym razem odezwał się John. – Dość niespodziewanie, można powiedzieć, wyruszyliśmy na wyspy Florida Keys. Maja opiekuje się naszymi dziećmi, ale nic nie wspominała, że ma inne plany.

Czuła się niezręcznie, chciałaby już stąd iść. Ale jej nie wypadalo.

– Nie wiedziałam, czy będę mogła przyjść. Niczego nie obiecywałam. – Z rezygnacją pokręciła głową.

– Wszystko jeszcze przed wami – z serdecznym uśmiechem dodała Claire. – Zostaniemy jeszcze co najmniej przez tydzień. Myślę, że okazji do spotkania nie zabraknie. A tak zmieniając temat, powiedział pastor, że miał zajęcia z dziećmi z surfowania. Zajmuje się pastor takimi sprawami?

– Samo bycie pastorem w takim miejscu i w dzisiejszych czasach nie zapewni ani dachu nad głową, ani utrzymania. Tutaj jest niewielkie grono wiernych i nie są oni zamożni. Datki ze mszy starczą jedynie na drobne zakupy związane z obrządkami. A utrzymywać się muszę z innych źródeł.

– Co zatem pastor robi? – John nie krył ciekawości. Maja nie zabierała głosu, chociaż była nie mniej zainteresowana.

– Prowadzę szkołę windsurfingu dla dzieci oraz naukę nurkowania dla dzieci i dorosłych. Mieszkam w niewielkim domu przy plaży, zbudowanym jeszcze za czasów poprzednich pastorów, mającym ponad siedemdziesiąt lat. Płacę za niego tylko niewielką dzierżawę. Natomiast stale w nim coś naprawiam. Ostatnio nawet zdałem sobie sprawę z tego, że gdyby przez tydzień nic się nie popsulo, chyba bym w to nie uwierzył. Czegoś by mi brakowało – to mówiąc, roześmiał się takim szczerym, serdecznym śmiechem. Miał taką ładną barwę głosu. Maja wreszcie na niego spojrzała, bo do tej pory unikała jego wzroku, rozglądała się wookoło albo wpatrywała w piasek, jakby chciała w nim znaleźć jakiś skarb.

Dzieci biegały nieopodal, zbierały muszelki i chichocząc, wrzucały je do morza.

– A w jakim wieku muszą być dzieci, żeby mogły się uczyć nurkowania? – zaciekała się Claire.

– Zazwyczaj najmłodsze mają około sześciu lat – odpowiedział Matt, spoglądając na rozbiegane bliźniaki.

– Czyli nasze dzieci mogą już zacząć się uczyć? Niedługo skończą siedem – zainteresował się John.

– Jak najbardziej. Muszą tylko chcieć.

– Doris, Collin! – zawołał John. – Chodźcie tu do nas szybciotko!

Dzieci z ociąganiem podeszły do dorosłych. Jak można je było odrywać od tak ciekawego zajęcia, jakim było popychanie krabów znalezionej na brzegu patykami po to, żeby szybciej przedostały się do wody?

– Czy chcielibyście nauczyć się nurkowania? Pastor prowadzi taką szkółkę dla dzieci.

– Czy moglibyśmy wtedy pływać głęboko pod wodą razem z rekinami? – zaciekał się Collin.

– Z rekinami nie, bo są zbyt niebezpieczne – odpowiedział poważnie pastor. – A poza tym nie ma ich tu w przybrzeżnych wodach. I nie nurkujemy zbyt głęboko, przynajmniej na początku nauki. Ale innych ryb można zobaczyć bez liku. Mogę wam to zagwarantować. – Roześmiał się tym swoim ciepłym barytonem. – I jeszcze wiele dodatkowych atrakcji.

– A czy dostanę nowy strój do nurkowania? Różowy? – zainteresowała się Doris, zwracając się do mamy.

– Chyba będziesz musiała – mama odpowiedziała poważnie. – W takim razie, jaka jest wasza decyzja, dzieci?

– Tak! Tak! Będziemy nurkować – zawołały jednogłośnie.

– Ale czy nic mi się nie stanie, tatusiu? Nie utopię się? – Collin jeszcze nie do końca pozbył się obaw.

– Gwarantuję ci, że będziesz zupełnie bezpieczny – odezwał się Matt. Cały czas będę przy tobie. Poza tym na początku nurkujemy w płytkich wodach. Zawsze możesz po prostu stanąć na nogi. A gdy już nabierzesz wprawy, przekonasz się, że nic ci złego nie grozi, wtedy mo-

zemy popłynąć na nieco głębszą wodę, ale powtarzam, zawsze będziesz bezpieczny.

– W takim razie się zgadzam. Ale ja też chcę mieć nowy kostium. Taki czarny, jak u prawdziwego nurka. I płetwy.

– Ja też chcę płetwy! Różowe! – Doris nie mogła być gorsza.

– Będzie wszystko, czego wam potrzeba, nawet w różu – zapewnił po raz kolejny Matt.

– W takim razie decyzja została podjęta. Kiedy mogą zacząć? – zainteresował się John.

– Zajęcia dla dzieci prowadzę codziennie o jedenastej, tylko w niedzielę o trzeciej po południu. Trwają półtorej godziny, czasem przedłużają się do dwóch.

– Zatem przyjedziemy dzisiaj wszyscy o trzeciej, a potem Maja zostanie z dziećmi, a my pójdziemy na romantyczny spacer tylko we dwoje – powiedział John, czule spoglądając na Claire. Ona spojrzała na męża wzrokiem pełnym czułości.

Do tej pory Maja się nie odzywała. Spoglądała w dal, jakby zupełnie nie uczestniczyła w rozmowie, jakby ona jej nie dotyczyła. Teraz jednak musiała spojrzeć na Johna.

– Maju, co ty na to? – zapytał.

– Tak, oczywiście. Dzieci na pewno będą szczęśliwe – odpowiedziała, ale zachowywała się, jakby była dopiero co wybudzona ze snu. Spojrzała na Matta, ten wpatrywał się w nią przenikliwym wzrokiem.

– Maju, ty też możesz nurkować razem z dziećmi, jeżeli tylko będziesz miała ochotę.

– Nie, dziękuję. Poczekam na lądzie – odpowiedziała, znowu odwracając wzrok.

– W takim razie jesteśmy umówieni. – Matt pożegnał się z Blackami, ściskając ich dłonie. – Spotykamy się na przystani przy knajpie „U Johna”. Proszę przyjechać pół godziny wcześniej, żeby dzieci mogły dopasować stroje. Mamy także różowe – zapewnił, spoglądając na Doris, a ta ze słodkim uśmiechem i uwielbieniem wpatrywała się w jego twarz. Co było w tym młodym człowieku, że tak zjednywał sobie ludzi? I to od pierwszego spotkania?

Blackowie wraz z Mają i dziećmi wrócili do domu. Następne połu

dniowe godziny spędzili na plaży, gdzie w cieniu palm rozłożyli piknikowe koce, rozwiesili hamaki i oddali się błogiemu lenistwu. Maja bawiła się z dziećmi w piasku, budowali rycerskie warownie i zamki, w których oczywiście nie zabrakło wysokich wież z uwięzionymi w nich pięknymi księżniczkami. Potem wszyscy pochłonęli lunch, który przynieśli ze sobą w koszyku – pieczony kurczak, sałatka z pomidorów i chrupiące bułki. Z pełnymi brzuchami, w dającym ulgę cieniu, rozłożyli się na kocach i poddali się słodkiej drzemce.

W wyznaczonym czasie stawili się na przystani. Matt już na nich czekał. Oprócz niego było jeszcze czworo dzieci, nieco starszych od Doris i Collina. Kiedy w końcu udało się dopasować dzieciom stroje (szczególnie Doris nie mogła się zdecydować, czy różowy, czy może jednak żółty?), rozpoczęto naukę w płytkich wodach tuż przy brzegu. Claire i John dyskretnie się ulotnili. Maja usiadła na rozłożonym na piasku kocu i obserwowała całą gromadkę. Dzieci piszczały z uciechy, raz po raz docierał do niej ciepły głos Matta, wydającego dzieciom polecenia i objaśniającego zasady nurkowania.

„Jakie to dziwne i niesprawiedliwe – myślała sobie. – Mam takie poranione serce. I duszę. I zawdzięczam to dwóm mężczyznom, jedynym, których w swoim życiu kochałam. A teraz spotykam takiego Matta, wyglądającego jak Adonis, pogodnego, młodego człowieka o wesołym usposobieniu, ciepłego, potrafiącego okiełznać gromadkę dzieci. Co z tego, że jest pastorem. Całe szczęście, że nie katolickim księdzem, byłby wówczas stracony dla płci pięknej. A tak kobiety nie są zabronione w jego życiu. I wręcz nie odrywa ode mnie oczu”.

Czuła, że jest nią zauroczony. Ale to szczęście przecież i tak nie jest dla niej. I czy byłoby to rzeczywiście szczęście? Czy zdołałaby kiedykolwiek zapomnieć o Hubercie? Czy znajdzie się kiedyś mężczyzna, który samym spojrzeniem potrafi wzbudzić w jej ciele takie doznania? Nie mówiąc już o duszy. Czy znajdzie się taki, z którym będzie mogła rozmawiać godzinami, nigdy się przy tym nie nudząc? Śmiać się tak, że będzie miała obawy, że pęknie ze śmiechu albo nie zdąży do toalety? Z którym będzie chciała być do końca swoich dni?

Obserwowała Matta. Miał niesamowite podejście do dzieci. Przemawiał do nich tym swoim aksamitnym, łagodnym głosem, a one słu-

chały go jak urzeczone. Traktował je bardzo poważnie, jakby byli dorośli. I widziała, że to nie jest dla niego tylko praca, że przebywanie z dziećmi sprawia mu radość. Co chwilę spoglądał w jej stronę, posyłając jej krótkie, życzliwe uśmiechy.

„Dlaczego nie zakochałam się w kimś takim jak on – pomyślała. – Dlaczego zawsze wybieram nieodpowiednich facetów? Takich, którzy mnie krzywdzą. A może sama jestem sobie winna? Może jestem zbyt ufna? Może powinnam słuchać swojego instynktu?”

Nie miała ochoty na nową znajomość z Hubertem, nie mówiąc już o nowej miłości. Ale stało się i nie miała na to wpływu. A co by było, gdyby ucięła tę znajomość na samym początku? Gdyby nie zdecydowała się na wynajmowanie mieszkania od Huberta? Czy jej losy potoczyłyby się inaczej? Oczywiście. Przede wszystkim nie miałyby Maleństwa. To chyba jedyna rzecz, której nie żałuje. Nie, przecież nie jedyna. Nie żałuje tych cudownych chwil, które przeżyła z Hubertem. Tego, że go szczerze kochała. I nie żałuje tego, że teraz tu jest, w miejscu, o którym w najśmielszych snach nie odważyła się nawet marzyć.

Wyciągnęła się wygodnie na kocu, pod głowę podłożyła torebkę. Spod przymrużonych powiek, na granicy snu i rzeczywistości, spoglądała jeszcze na nurkujące dzieci i śmiejącego się z nimi Matta. Ukołysana szumem fal i głosami dochodzącymi z brzegu, usnęła. Wydawało się jej, że zdążyła zaledwie przymknąć oczy, a już usłyszała nad sobą głosy Doris i Collina. Podniosła powieki, zdezorientowana, i zobaczyła stojącego nad nią Matta. Przesłaniał jej słońce swoją postawną sylwetką. Promienie przeświecały przez jego jasne, kręcone włosy, tworząc wokół głowy jakby aureolę. Podparty pod boki przyglądał się jej. Dzieciaki przysiadły po obu stronach jej głowy i tarosiły ją delikatnie za włosy.

– Co się stało? Dlaczego przerwaliście lekcję? – zapytała zdziwiona i nieco zdezorientowana.

– Nie przerwaliśmy! Skończyliśmy właśnie – odpowiedział ze śmiechem.

– Żartujesz sobie ze mnie. To niemożliwe, żebym przespała ponad godzinę – to mówiąc, usiadła gwałtownie na kocu. Zakręciło jej się w głowie.



– Dokładnie godzinę i piętnaście minut. Dzieci są już przebrane i wysuszone. Wszystko w porządku, Maju? – zapytał, obserwując ją bacznie.

– Tak, w porządku. Chyba zbyt gwałtownie usiadłam, zakręciło mi się w głowie. – Koc rozłożyła w cieniu, powietrze było przyjemnie ciepłe, ale nie za gorące. Delikatna bryza od morza ochładzała jej ciało. Nie odczuwała upału.

W tym momencie na plaży pojawili się Blackowie. Dzieci z piskiem rzuciły się w ich objęcia. Maja zaczęła zbierać swoje rzeczy. Claire i John pożegnali się z Mattem.

– A może poszlibyśmy się czegoś napić? Porozmawiać? – zapytał Matt i patrzył jej prosto w oczy, oczekując odpowiedzi.

– Nie mogę. Jestem opiekunką Doris i Collina. Muszę się nimi zająć. To moja praca – odpowiedziała, nie patrząc na niego, pakując do torebki książkę i okulary przeciwsłoneczne.

– Maju, jeżeli masz tylko ochotę, możesz wziąć sobie wolne. Od kilku dni nie rozstawałaś się z dziećmi. Nie miałaś nawet wolnych wieczorów. Tak szczerze mówiąc, to uzbierałoby się tego na pewno ponad dobę – wtrąciła Claire.

– Ale ja... – Nie zdołała dokończyć. John zgarnął ramieniem całą trójkę i machając jej wesoło na pożegnanie, ruszyli w stronę samochodu. Maja stała z opuszczonymi rękami, czuła się niezręcznie. Nie miała tego w planie.

– Maju, gniewasz się na mnie? – Matt delikatnym ruchem odgarnął z jej czoła niesforny kosmyk włosów.

– Trudno się na ciebie gniewać, ale tracisz tylko czas.

– Dlaczego uważasz, że tracę czas? Jesteś wspaniałą dziewczyną. Wystarczyło mi tych kilka chwil, które spędziliśmy razem, żeby to wiedzieć. Ciekawie się z tobą rozmawia. Jesteś miła, piękna, mądra. Ani minuta spędzona z tobą nie jest dla mnie stratą czasu.

– Ale ja nie mam ci nic do zaoferowania – odparła ze smutkiem.

– Nawet rozmowy? – nadal uśmiechał się tak szczerze, życzliwie.

– Dobrze, rozmowa może być.

Ruszyli w stronę stolików wystawionych na tarasie knajpy „U Johna”. Usiedli przy tym najbardziej wysuniętym w stronę plaży. Nad ich

głowami rozpościerał się dach z liści palmowych, dający cudowny cień, ale też szeleszczący cichą muzyką. Plaża opustoszała, upał zelżał, na horyzoncie pojawiły się burzowe chmury, jak to często zdarzało się o tej porze dnia. Matt szarmancko odsunął dla niej krzesło, pomógł jej wygodnie usiąść.

– Na co masz ochotę? Zimne piwo, drink czy może jakiś koktajl z alkoholem? – zapytał, sadowiac się jednocześnie na krzesło obok. Oczywiście, zanim wybierzemy coś do jedzenia.

– Poproszę lemoniadę albo wodę z cytryną – odpowiedziała zdecydowanie.

– Nie pijesz alkoholu?

– Już mnie o to pytałeś. Tak w ogóle to piję, ale ostatnio to nie. I tyle na ten temat. – Jej ton nie uznawał sprzeciwu.

– Wedle życzenia, pani Maju – z tymi słowy ruszył w kierunku baru. Maja obserwowała jego piękną sylwetkę. Był jak z żurnala. Hubert był pięknym mężczyzną, ale po pierwsze był starszy o jakieś sześć, siedem lat prawdopodobnie. Po drugie, miał budowę atlety, kogoś, kto podnosi ciężary. Dużo twardych mięśni, niewiele tłuszczu. Można go porównać do niedźwiedzia. A Matt? Cóż, Matt wyglądał jak model wycięty z żurnala. Młody, piękny, pełen życia. Do czego go porównać? Do pumy? Taka to była różnica.

Matt wrócił z napojami. Usiadł ponownie na miejscu obok Mai i nachylił się ku niej, wpatrując się intensywnie w jej zielone oczy.

– Matt, nie ma sensu dłużej ciągnąć tych podchodów. Powiem od razu, szczerze, dopijemy nasze napoje i pożegnajmy się, bez urazy. Jestem w ciąży, w czwartym miesiącu. Mam złamane serce po raz drugi w życiu. Jestem sierotą wychowaną przez dom dziecka w Polsce. Jestem z wykształcenia magistrem mikroekonomii, nie jestem głupia. Ale jestem naiwna. Teraz zarabiam jako opiekunka do dzieci, bo nie mam za co wrócić do Polski. W Polsce nie mam swojego mieszkania, nie mam pracy, bo uciekając przed pierwszą miłością, rzuciłam dobrą pracę, zatrudniłam się za niewielką pensję jako recepcjonistka w pensjonacie, a potem wpadłam w sidła drugiej miłości, równie, a może i bardziej nie szczęśliwej.

Wyrzucenie z siebie tych wszystkich informacji sprawiło jej ulgę.

Matt milczał przez chwilę, chyba zszokowany tym, czego się przed chwilą dowiedział.

– Widzę, że jesteś bardzo zraniona – powiedział po chwili.

– Mówisz jak ksiądz.

– Jak pastor. To duża różnica.

– Dlaczego?

– Bo my mamy pojęcie o życiu. Bo żyjemy tak samo jak nasi wierni. Bo kochamy, zakładamy rodziny, uprawiamy seks, mamy dzieci, które wychowujemy w takim samym, pełnym zagrożeń świecie.

– Rozumiem. Jesteś ten lepszy. Ale to nie zmienia faktu, że nie mam ci nic do zaoferowania. Jako kobieta jestem wypalona. Jako przyszła matka jestem pełna miłości, niespokojna o przyszłość mojego dziecka, czekająca, żeby je wreszcie zobaczyć. I gotowa wszystko dla niego poświęcić. I nadal Kocham jego ojca. Mówię o nim „Maleństwo”, o moim dziecku oczywiście, nie o ojcu. A może o niej? Jeszcze tego nie wiem. I tak do końca to nie zdecydowałam jeszcze, gdzie mam żyć. Czy wrócić do Polski, gdzie nie wiem, co mnie czeka, czy też zostać w Stanach, gdzie być może zapewniłabym lepszą przyszłość mojemu dziecku?

– Opowiesz mi o tym wszystkim? Jestem dobrym słuchaczem. Zanim zostałem pastorem, skończyłem psychologię na Eastern Virginia Medical School. Stamtąd pochodzę, z Virginii. Może czasami warto się przed kimś otworzyć. Może właśnie przed kimś, kogo się nie zna. Nie ma się wtedy nic do stracenia.

Wpatrywała się to w szklankę z przezroczystym płynem, to w błękitne oczy Matta. Po chwili zaczęła swoją opowieść. A że niezupełnie wiedziała, jaki powinien być początek, zaczęła od pierwszych, niefortunnych dni ze swojego życia. Matt słuchał cierpliwie, od czasu do czasu wtrącając jakieś pytania. Na dworze było już zupełnie ciemno, kiedy Maja skończyła. Nigdy przed nikim nie otworzyła się tak zupełnie. Nawet przed Hubertem. Czy to dlatego, że podejrzewała, że nigdy więcej Matta nie zobaczy? Przy sąsiednich stolikach zostało już niewiele osób. Z głośników dobiegała muzyka w stylu Café Latino. Nastrojowa, neutralna, energetyzująca.

Zapadło dłuższe milczenie. Matt oparł się wygodnie o krzesło, wyciągnął przed siebie nogi, dłonie splótł na brzuchu, myślał o czymś. Po

chwili się odezwał.

– Skoro nie wiesz, co masz ze sobą zrobić, to zostań tutaj. Zaopiekuję się tobą. I dzieckiem. O pracę się nie martw. W mojej szkółce jest zazwyczaj dużo więcej dzieciaków niż dzisiaj. Już dawno myślałem o zatrudnieniu kogoś do opieki. Bywają momenty, że trudno mi ogarnąć tę całą gromadkę. A rodzice zostawiający swoje pociechy pod moją opieką chcą mieć poczucie, że dzieci są bezpieczne – zamilkł na chwilę. – Jeżeli nie odpowiadałaby ci taka praca, znajdziemy coś innego. Jeżeli chodzi o mieszkanie, na początek możesz się zatrzymać u mnie, potem znajdziemy ci coś, co będzie ci odpowiadało. Sama zdecydujesz. Co o tym sądzisz?

– Matt, doceniam to, co mi właśnie zaproponowałeś, ale pomimo tego że opowiedziałam ci całe moje życie, jak dotąd nigdy nikomu, zupełnie mnie nie znasz. Nie chciałabym, żebyś po miesiącu żałował swojej decyzji. Albo żebym ja żałowała swojej. To nie jest dobry pomysł.

– A czy jesteś pewna, że jeżeli nie zostaniesz, nie będziesz żałować? Może właśnie wyjazd będzie tą złą decyzją? – Matt nie dawał za wygraną.

– Dlaczego tak właściwie chcesz mi pomagać? Kobiecie z dzieckiem i ze złamanym sercem. Chcesz ratować kolejną zagubioną duszyczkę? Nawet nie jestem protestantką.

– Nie wiesz, co chcesz dalej zrobić ze swoim życiem. Zostań tu i zastanów się nad tym. W każdej chwili przecież możesz wyjechać. U Blacków masz pracę do końca wakacji. Sama mówiłaś, że jak dzieci pójdą do szkoły, nie będziesz im już potrzebna. Poza tym będąc w zaawansowanej ciąży, nie będziesz już mogła pracować. I tak, nawet zostając tutaj, w Ameryce, musiałabyś podjąć jakieś decyzje.

– Jest już późno, czuję się zmęczona – Maja podniosła się z krzesła. Matt natychmiast zrobił to samo. – Teraz nie jest czas na podejmowanie takich decyzji. Muszę już iść. Bardzo ci jednak dziękuję za wysłuchanie mnie. Czuję się, jakbym część moich problemów zostawiła tobie. Mnie jest lżej, ale nie wiem, czy ty zdołasz je udźwignąć.

– Jestem silny – odpowiedział prężąc swoje mięśnie. – Dam radę, nie martw się. Odwiozę cię.

Jechali starym fordem pick upem Matta w milczeniu. Na drodze było

pusto. Dochodziła północ. Spędzili ze sobą pół dnia, a jej się wydawało, że to była zaledwie chwila. I ta propozycja Matta ... Czuła się oszołomiona. Chciała po prostu iść spać. Nie wiedziała, co o tym myśleć. Nie mówiąc już o podejmowaniu jakichkolwiek decyzji.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

### HUBERT

Minęły równe dwa tygodnie, od kiedy wylądował na lotnisku w Krakowie. Czekala tam już na niego Barbara i razem pojechali do Jana. Trudne były te pierwsze dni, jak je później wspominał. Ale na szczęście stan brata systematycznie się poprawiał, małymi kroczkami brat powoli wracał do żywych.

Przez pierwszy okres dochodzenia Jana do zdrowia zamieszkał w hotelu „Pod Wawelem”, żeby być bliżej niego i nie dojeżdżać codziennie tyle kilometrów, ale dzisiaj właśnie wracał do siebie. Jan był pod doskonałą opieką personelu szpitalnego, ale przede wszystkim Barbary. Czy trzeba było aż tak ciężkiego wypadku, żeby tych dwoje w końcu zaakceptowało łączące ich uczucie? Co z tego, że Barbara była osiem lat starsza od Jana. To właśnie z tego powodu nie dopuszczała wcześniej Janka do siebie. Dopiero kiedy mogła go stracić, przestała walczyć z uczuciem.

Jan odzyskał przytomność po trzech dniach od przyjazdu Huberta. Lekarze byli bardzo zadowoleni. Mówili, że wszystko wskazuje na to, że najgorsze ma już za sobą. Nie pamiętał zupełnie okoliczności wypadku, nie pamiętał także kilku dni poprzedzających to zdarzenie. Ale poznawał wszystkich swoich bliskich, wiedział, kim jest i nie miał jakichś większych zaburzeń pamięci, pomijając amnezję okołowypadkową, co jest, jak zapewniali lekarze, w takich okolicznościach objawem normalnym.

Rany goiły się prawidłowo. Miał jeszcze trudności w oddychaniu, gdyż z powodu połamanych żeber odczuwał bóle i lekką duszność, której przyczyną była wchłaniająca się odma, ale z dnia na dzień było coraz lepiej. Rany na głowie i brzuchu bolały mniej, a prawa kość udowa, zespolona po złamaniu metalową blaszką, powoli zaczynała zdrowieć. Obrzęk schodził i lekarze mówili, że za kilka dni zacząć go uruchamiać i będzie próbować chodzić. Jego wygląd nadal jednak mógł przerażać. Wokół oczu widniały granatowo-fioletowe okularowe krwiaki, nos był

obrzęknięty, w poprzek jego nasady przebiegała cięta rana, której brzegi połączone były kilkoma cieniutkimi białymi plasterkami. Spuchnięta górna warga powodowała, że wyglądem przypominał tapira. I jeszcze ten opatrunek na głowie, po prostu do oczu cisnęły się łzy, kiedy się na niego patrzyło.

W tej chwili był wożony na wózku, co i tak było dużym postępem. Wszystko dzięki doskonałej rehabilitacji prowadzonej od razu, na oddziale. Zresztą od tygodnia nie był już pod intensywną opieką, ale został przeniesiony na oddział chirurgiczny, gdzie czuł się bardziej komfortowo bez tych wszystkich rurek, aparatów i innych pikających urządzeń elektronicznych. Chyba po prostu miał wrażenie, że jest nie tak bardzo poszkodowany.

Hubert wszedł do swojego domu w Rabce. Rzucił na podłogę bagaże w holu, wyciągnął z szuflady klucze od Mai mieszkania i nie zwlekając, wszedł do jej części domu. A więc jednak nie wróciła. Jadąc, łudził się jeszcze, że może zastanie ją w domu, chociażby nawet pakującą swoje rzeczy. Miał nadzieję, że przyleciała do Polski w tym czasie, kiedy on był w Krakowie. Ale jednak nie. Wszystkie jej rzeczy w mieszkaniu pozostały nietknięte od czasu ich wyjazdu. Gdyby wróciła, nie miałyby problemu z dostaniem się do mieszkania, wiedziała, że sąsiadka ma klucze. Ale jej tutaj nie było. A może pojechała do Żegutkowa? – przeszła mu taka myśl przez głowę, ale po chwili skarcił sam siebie. Czego miałyby szukać w Żegutkowie? Przecież nie jego. A nie miała tam żadnych swoich rzeczy, bo przed wyjazdem do Stanów zostawiła wszystko tu, w mieszkaniu w Rabce.

Otworzył szafę Mai, wyjął z półki jej sweter i zanurzył w nim twarz. Poczul jej zapach. Zawsze używała perfum Lancome Miracle. Miały taki delikatny, słodkawy, a jednocześnie orzeźwiający, różany aromat. To był jej zapach. Ile razy poczul go na ulicy lub w innych miejscach, zawsze rozglądał się w poszukiwaniu Mai. Zapragnął nagle znaleźć się w Żegutkowie, tam, gdzie wszystko między nimi tak naprawdę się zaczęło. Wrócił do siebie, szybko spakował kilka potrzebnych mu rzeczy i już po chwili jechał w stronę Żegutkowa swoją toyotą, tą samą, którą o mało nie potracił Mai.

Lato było w pełni, chociaż był dopiero początek czerwca. Za każdym razem, kiedy piął się malowniczą, krętą drogą w górę, nie mógł wyjść z podziwu, że Stwórca tak wspaniale zaprojektował ten świat. Nie było go tu prawie rok, no powiedzmy, dziesięć miesięcy. Niewiele się tu jednak w tym czasie zmieniło. Te same pagórki, ta sama droga, te same zabudowania. A jednak nie takie same. Bez Mai. Wtedy wszystko podziwiali razem, cieszyli się każdym drobiazgiem, każdym nowym widokiem, każdą zmianą pogody, nawet na gorsze. A teraz został sam. I był za to w stu procentach odpowiedzialny. I cierpiał jak nigdy dotąd.

Rozmyślania przerwał mu widok tablicy informacyjnej z napisem „Żegutkowo”. Za każdym razem, kiedy czytał tę nazwę, na jego twarzy pojawiał się uśmiech. Nawet teraz. Kto wymyślił nazwę tej miejscowości? Ciekawe...

Po chwili znalazł się pod bramą swojej posiadłości. Brama była zamknięta, ku jego zdziwieniu. Nie pomyślał o tym. Zatrzymał samochód i dokładnie ją obejrzał. Na szczęście była zabezpieczona jedynie stalowym łańcuchem, który po prostu był przez nią przewleczony. Nie sprawiło mu wielkiej trudności rozplątanie go. Otworzył szeroko połówki bramy i wjechał pod dom podjazdem wysypanym drobnymi kamyczkami. Zaparkował przed głównym wejściem. Otworzył starym kluczem masywne drewniane drzwi i zatrzymał się zaskoczony.

Kiedy wyjeżdżali z Mają, w domu trwały prace remontowe, wszędzie kręciło się pełno robotników, a teraz wewnątrz panowała zupełna cisza. Z holu przeszedł do salonu, potem do kuchni, wolnym krokiem obszedł cały dom. Wszystko było ukończone, wszędzie było posprzątané, podłogi lśniły, okna były umyte, a z przestronnego holu na piętro prowadziły pięknie odnowione drewniane schody. Stara, rzeźbiona balustrada na tle białej ściany prezentowała się doskonale. Podeszedł do niej, przejechał dłonią po idealnie gładkiej poręczy.

„To te schody były powodem, dla którego Janek jechał do Żegutkowa – pomyślał. – A teraz jest w szpitalu i z trudem dochodzi do siebie. Nie, nie można myśleć w ten sposób – skarcił sam siebie. – Trzeba patrzeć do przodu, nie rozpamiętywać przeszłości, przynajmniej jeżeli chodzi o wypadek brata. Co innego w związku z Mają. O niej chyba nigdy nie przestanę myśleć”.



Wszedł po schodach na górę, obszedł wszystkie pokoje. Wszędzie panował porządek. Dotarł do sypialni. Jeszcze niedawno to była ich wspólna sypialnia. Jego i Mai. Jego ukochanej Mai. A teraz? Przysiadł na zasłanym materacu. Nie zdążyli kupić łóżka, nie mieli czasu, żeby pojechać do sklepu i coś wybrać, tak byli zaabsorbowani przygotowaniami do wyjazdu. Ale na tym materacu spało im się zupełnie wygodnie, gorzej było ze wstawaniem z niego rano. Położył się, włożył ręce pod poduszkę, żeby lepiej ją ułożyć pod głowę i poczuł delikatną materię między palcami. Wiedział, co to jest. Wyciągnął spod poduszki cienką, kremową koszulkę nocną Mai. Była taka miękka i delikatna, zupełnie jak jej skóra. Przytulił ją do twarzy. Nadal nią pachniała. Zamykając na chwilę oczy, widział ich razem, tutaj, w sypialni, tulących się do siebie i kochających czule, powoli, z miłością.

Zwariuje, jeżeli tak będzie dalej. Musi coś z tym zrobić. Kiedy opadły pierwsze emocje związane z Jankiem, kiedy teraz jego stan się poprawił, musi odszukać Maję. Przecież to niemożliwe, żeby nie było żadnego sposobu na spotkanie z nią, rozmowę czy wyjaśnienia. I chce ją błagać o przebaczenie. Zrobi wszystko, żeby mu przebaczyła. Jeżeli tylko nie jest za późno. Nie, nigdy nie jest za późno. Trzeba tylko zacząć działać.

Z tą myślą zszedł na dół, ponieważ zostawił w marynarce swój telefon. Musi zadzwonić do Stanów. Miał plan. Wybrał numer i jednocześnie otwierając drzwi tarasowe, wyszedł na zewnątrz. Ogród, w przeciwieństwie do domu, był w zupełnym nieładzie. Zarośnięty chaszczami, które zdawały się wciskać wszędzie, prawie wchodziły na taras. Sprawiało to przygnębiające, ale i jakieś takie surrealistyczne wrażenie, jak z jakiegoś horroru.

„Będę miał sporo roboty, żeby to wszystko wykarczować, uporządkować, ale przynajmniej się czymś zajmę” – pomyślał z pewną ulgą. W telefonie odezwał się męski głos.

– Witaj, Hubert – odezwał się Richard. – Jutro zamierzałem do ciebie dzwonić, nie chciałem wcześniej zwracać ci głowy. Jak się czuje twój brat?

– Cześć, Richard. Janek czuje się coraz lepiej, powoli wraca do zdrowia. Na szczęście ma silny organizm, nie poddał się. Lekarze mó-

wią, że powinien wyjść z tego wypadku bez większych następstw. A co w firmie?

– Właśnie dlatego chciałem do ciebie dzwonić. Mam problem z Sarah. Musiałem ją zwolnić – powiedział to zmartwionym tonem, z niepokojem, jakby się bał reakcji szefa.

– Co się działo? Opowiadaj – nie zaskoczyło to Huberta, spodziewał się, że coś takiego się stanie.

– Przez pierwsze dni po twoim wyjeździe Sarah codziennie przychodziła do pracy i usiłowała podejmować swoje własne, niestety, niedobre dla nas decyzje. Na przykład chciała zerwać kontrakt z firmą, dla której projektujemy stacje benzynowe w Milwaukee. Byłoby to dla nas bardzo niekorzystne. Ponieśliibyśmy wielkie straty, sam zresztą dobrze o tym wiesz. Później dowiedziałem się od Harrisa, wiesz, tego od galerii handlowej na Torrence Avenue, że dzwoniła do niego i opowiadała niestworzone rzeczy o tobie i o firmie. Że jesteś bankrutem, oszustem, że oszukujesz swoich pracowników, nie mówiąc już o kontrahentach. I nie tylko od niego miałem podobne informacje. Zaczęli wydzwaniać do mnie klienci, z którymi jesteśmy w trakcie realizacji projektów, wszyscy bardzo zaniepokojeni, niektórzy nawet się wahali, czy nie zerwać z nami podpisanych już kontraktów.

Hubert słuchał tego wszystkiego na bezdechu. Pomimo że się spodziewał różnych zagrań ze strony Sarah, był w szoku, że posunęła się aż tak daleko.

– W końcu spotkałem się z naszym prawnikiem – kontynuował Richard. – Zwolniłem Sarah w trybie natychmiastowym, bez okresu wypowiedzenia, z powodów dyscyplinarnych i działania na szkodę firmy. Na szczęście w umowie była taka klauzula. Ponadto wystosowaliśmy do wszystkich klientów formalne pismo, nawet do tych, których Sarah jeszcze nie zdążyła nagabywać, informując ich o sytuacji i jednocześnie przepraszając za to wszystko.

– Co Sarah na to? – zapytał Hubert, kręcąc głową z niedowierzaniem.

– Poprosiłem ją do twojego gabinetu, byłem w towarzystwie prawnika i księgowej. Prawnik odczytał jej oficjalne oświadczenie dotyczące natychmiastowego zwolnienia. Sarah wpadła w szal. Krzyczała na całe

gardło, chyba przez kilka pięter było ją słycać. A używała przy tym takich słów, że nigdy bym nie pomyślał, że coś takiego jest w stanie wydostać się z jej ust. A potem w towarzystwie ochroniarza poszła do swojego gabinetu, żeby zabrać rzeczy. Nadal ciskała na nas gromy, ale głównie była zła na ciebie... Dostało się też Mai. Nie wiem, czy to nie jest jej główny problem. Spakowała swoje rzeczy, co trwało nadszpiekanie długo. Kiedy już się wydawało, że w końcu opuści firmę, wzięła krzesło stojące przy biurku i z furią, z całej siły, cisnęła nim o biblioteczkę. Szkło rozprysło się wokoło, krzesło rozpadło się w drobny mak i koniec końców gabinet wyglądał, jakby przeszło przez niego tornado. Skończyło się na tym, że została odprowadzona do samochodu przez dwóch ochroniarzy, którzy musieli trzymać ją pod ramiona, bo tak się wila i wrywała, jak piskorz. Nigdy bym nie pomyślał, że jest w niej tyle siły. Zapakowano jej rzeczy do bagażnika, wsadzono ją za kierownicę i z piskiem opon odjechała.

– Odzywała się później? – Hubert był oszołomiony, nie próbował nawet tego ukryć.

– To było trzy dni temu, od tego czasu nie było z nią żadnego kontaktu. Wszyscy nasi klienci są poinformowani. Zawiadomiliśmy także banki, zablokowaliśmy dla niej dostęp do wszystkich kont. Myślę, że zrobiliśmy wszystko, co było możliwe. Teraz możemy tylko czekać. Mam nadzieję, że nie przyjdzie jej nic więcej głupiego do głowy.

Hubert milczał przez chwilę. Myślał o nieprzewidywalności tej kobiety. Czuł, że na tym nie koniec. Jak to mówią, cisza przed burzą.

– Richard, musicie być bardzo czujni. Wiem, że to jeszcze nie koniec. Następny jej wyskok może być jeszcze gorszy. Podejrzewam, że teraz będzie miała czas, żeby wszystko sobie dokładnie zaplanować, a potem uderzy ze zdwojoną siłą, jak huragan.

– Też się tego spodziewamy. Nie ma wstępu do firmy, wszyscy pracownicy o tym wiedzą. Ale w obecnej chwili nie możemy nic więcej zrobić.

– Rozumiem, Richard, bardzo dobrze to wszystko rozegrałeś. Dziękuję ci. A czy zatrudniłeś już kogoś na jej miejsce?

– Przesłałem ci na e-maila cztery CV. To są młodzi ludzie z niedużym doświadczeniem, ale stawiam na ich zaangażowanie i chęci. Umie-

jętności nabędą podczas pracy. Przejrzyj te informacje i podejmij decyzję, tylko prosiłbym cię, żeby to było w miarę szybko, bo pracy mamy coraz więcej, na szczęście dla nas, ale ludzi niestety brakuje.

– Dobrze, Richard, dzisiaj to zrobię i od razu zadecyduję, napiszę ci to w mailu. Myślę o zatrudnieniu dwóch, może nawet trzech osób.

– Cieszę się, że jesteś tego zdania.

– Jest jeszcze jedna sprawa, o którą chciałem cię prosić – Hubert zamilkł na chwilę, jakby się zastanawiał, jak o tym powiedzieć. – Muszę odszukać Maję. Zrobiłbym to osobiście, ale myślę, że jeszcze co najmniej dwa tygodnie będę w Polsce. Nie mogę w tej chwili zostawić Janka samego. Muszę trochę przeorganizować jego dom, załatwić mu rehabilitację, no, po prostu muszę jeszcze tu zostać. Rodzice to starsi ludzie i robią się coraz bardziej bezradni, nie pomogą mi zbyt wiele. Ma wprawdzie przyjaciółkę, z którą mam nadzieję, zamieszka, ale nie chcę zostawiać jej z tymi kłopotami samej. A wracając do mojej prośby, znajdź mi proszę jakąś firmę detektywistyczną, tylko taką sprawdzoną, najlepiej z polecenia. Będę miał dla nich dwa zadania. Po pierwsze – odszukanie Mai, a po drugie – obserwację Sarah.

– Nie ma problemu. Mam nawet znajomego, który pracuje w takiej firmie. Porozmawiam z nim i prześlę ci jego namiary e-mailem. Jego albo jakiejś innej firmy.

– Dziękuję, Richard. Postaram się wrócić najszybciej, jak to tylko będzie możliwe. I proszę cię, bądź czujny. Pamiętaj, że Sarah się tylko przyczaiła, spodziewaj się następnego uderzenia.

– Będę czujny, o nic się nie martw. Damy sobie radę. Do usłyszenia.

– Cześć, do zobaczenia wkrótce.

Zatrzymał się przez chwilę na tarasie, oparł się o balustradę i zapatrzył w dal, w widoczną w dolinie Rabkę. Bardzo lubili z Mają stać tak wieczorami i obserwować migające światelka miasta. Wszedł do salonu, wyciągnął z prowizorycznego barku, zrobionego ze starej szafki nocnej, butelkę szkockiej i nalał sobie do szklanki. Brakowało mu lodu, ale cóż, jak się nie ma, co się lubi... Usiadł wygodnie na kanapie. Była taka miękka, bardzo wygodna. To ostatni mebel, jaki wybierali wspólnie z Mają krótko przed wyjazdem. Oparł głowę o wezglowie, na brzuchu trzymał szklankę i patrzył przed siebie. Za oknem zapadał zmrok. Był tu

sam, w zupełnie pustym, wielkim domu. A miało być tak pięknie. Było tak pięknie. I stracił to wszystko tylko i wyłącznie przez siebie. Nie, nie tylko przez siebie. W głównej mierze przez Sarah. Tą wiedźmę. Ale sam też nie jest bez winy. Zwątpił w Maję, nawet z nią nie porozmawiał. Zostawił ją samą sobie. Tak łatwo było nim manipulować, bezmyślnie na to pozwolił. Jak debil z rozumem wielkości orzecha laskowego. A przecież nie jest złym człowiekiem. Nikogo do tej pory w swoim życiu nie skrzywdził, przynajmniej świadomie. A tu taki impas. Musi coś z tym zrobić. Jego myśli zaczynały błądzić bezładnie, przepływały przez jego udręczoną głowę jak fale oceanu. Zaczynało mu się robić tak błogo, jak to zwykle bywa przed zaśnięciem.

Nagle kątem oka zobaczył jakiś ruch przy drzwiach. Leniwie obrócił głowę i usiadł, zdumiony. W drzwiach stała kobieta, młodsza od niego, ale nieco starsza od Mai. Miał wrażenie, że już gdzieś ją spotkał. Dziwnie była ubrana, jakby nie z tej epoki. Miała na sobie koronkową kremową sukienkę kończącą się tuż powyżej kolan, u dołu z takimi śmiesznie tańczącymi podczas każdego jej ruchu frędzlami. Ciemne, krótkie włosy miała przewiązane w poprzek skroni kremową przepaską ze zwiśającym po lewej stronie pękiem długich frędzli, podobnych jak u sukienki. Wyglądała jak modelka z czasopisma o modzie, tylko gdzieś tak z okresu międzywojennego. Stała w drzwiach. W dłoni trzymała kieliszek szampana i wpatrywała się w Huberta ze smutnym uśmiechem na ustach. Patrzyła, jakby go dobrze znała. Pomyślał, że chyba nie zamknął drzwi na klucz.

– Kim pani jest? Jak pani tu weszła? – zapytał, nie kryjąc zdziwienia, jednocześnie wstając z kanapy.

Kobieta się nie odezwała. Nadal patrzyła na niego smętnie, popijając raz po raz szampana małymi łydkami.

– Dlaczego nie odpowiada pani na moje pytania? – zapytał, stojąc naprzeciwko niej. Kobieta pokręciła ze smutkiem głowę. Popatrzyła na swój brzuch, pogładziła się po nim ręką, tak jak to czynią ciężarne kobiety. Ale nie widać było po niej, żeby była w ciąży. Bolało ją coś? Żle się czuła?

– Czy coś pani dolega? Potrzebuje pani pomocy? – zapytał z niepokojem.

Kobieta pokiwała głową z politowaniem, położyła rękę na sercu i patrzyła mu prosto w oczy. Po czym nagle odwróciła się od niego i wyszła przez drzwi. Nie było zupełnie słychać jej kroków, jakby była lekka jak piórko.

– Proszę zaczekać, niech pani nie wychodzi! – zawołał, ruszając za nią. – Proszę mi wyjaśnić, skąd się pani tu wzięła? – Nikt mu nie odpowiedział. Wbiegł do holu, ale ten był pusty, nie było w nim nikogo. Zobaczył tylko szeroko otwarte drzwi wejściowe. Nagle dotarł do niego stamtąd podmuch zimnego powietrza, takiego przenikającego do szpiku kości.

Obudził się zupełnie zdrętwiały. Nadal był na kanapie, w pozycji półleżącej, w dłoniach ścisnął pustą szklankę po szkockiej, a przez szeroko otwarte drzwi balkonowe wdzierały się do salonu podmuchy zimnego wiatru. Usiadł gwałtownie, rozglądając się za nieznaną kobietą, ale w pokoju nie było nikogo. Poderwał się z kanapy, przebiegł przez salon, wpadł do holu. Drzwi wejściowe były zamknięte na klucz, hol był pusty.

Dopiero po chwili zaczęło do niego docierać, że to był sen. Śniła mu się nieznaną, milcząca kobieta. Ale dlaczego miał wrażenie, że skądś ją znał? Przypomniały mu się opowiadania Mai o śniącej się jej kilkakrotnie dziwnej kobiecie w stroju międzywojennej taterniczki. Czyżby to była ta sama kobieta? Ale ta była inaczej ubrana, chociaż epoka się zgadzała. I co to mogło oznaczać? Czy chciała mu coś przekazać? Nigdy nie wierzył w prorocze sny ani zjawiska nadprzyrodzone, ale tym razem czuł się jakoś dziwnie. Ten sen był taki realny. I miał wrażenie, że już kiedyś śnił o tej kobiecie, ale nie mógł sobie nic więcej przypomnieć.

Nie przestawał o tym myśleć, kiedy brał prysznic, kiedy kładł się spać, przytulając do twarzy koszulkę Mai i wdychając głęboko jej ulotny zapach. Gdzieś w podświadomości miał wrażenie, że ten sen był ważny. Ważny dla niego. Tylko dlaczego?

Wszedł właśnie do sali szpitalnej, w której umieszczono Jaśka. Sala była trzyosobowa, ale w tej chwili dwa pozostałe łóżka były puste. Janek leżał na swoim łóżku, a nad nim pochylała się Barbara, całując go delikatnie w usta. Nie zauważyli, kiedy wszedł, mimo że zapukał. Może zbyt

cicho? Chrząknął dyskretnie. Barbara odsunęła się od Jana gwałtownie, na jej policzkach pojawił się rumieniec. Wyglądała jak pensjonarka, z tym niewinnym wstydem na twarzy. Hubert uśmiechnął się znacząco.

– Przepraszam bardzo, że wam przeszkodziłem – powiedział nieco ironicznie. – Może poczekam na korytarzu i wejść trochę później, jak już nie będziecie zajęci? – zebrало mu się na żarty, rozśmieszyły go ich zażenowane miny.

– Przestań się wygłupiać, ty stary koniu – odpowiedział Jasiak, jednocześnie przyciągając do siebie dłoń Barbary. A ta nadal jakby chciała się opierać, ale tak nie do końca. Chyba po prostu nie wiedziała, ile wie Hubert i jak ma się w tej sytuacji zachować.

– Barbaro, bardzo jestem szczęśliwy, widząc was w tak zażyłych relacjach – zaczął ten bez ogródek. – Od kiedy po raz pierwszy ujrzałem was razem, wiedziałem, że jesteście dla siebie stworzeni. I zupełnie nie rozumiałem, dlaczego to między sobą ukrywaliście, dlaczego nie dopuszczaliście się do siebie. Ale teraz wszystko, jak widzę, jest na swoim miejscu i wszyscy bliscy, włącznie z rodzicami, są z tego powodu szczęśliwi.

– Rozmawiałeś na ten temat ze staruszkami? – zapytał zdziwiony Janek.

– Oczywiście! Czy ty myślisz, że jesteśmy ślepi? A oni są z tego faktu bardzo zadowoleni, uwielbiają Barbarę. I popierają wasz związek, więc u licha, przestańcie się wreszcie tak certolić.

Barbara spojrzała na Jana, uśmiechnęła się do niego, jakby z ulgą. Nie zabierała już ręki, a położyła na ich złączonych dłoniach swoją drugą dłoń, głaszcząc je delikatnym ruchem.

– A co z tobą i z Mają? – zapytał z troską Jan. – Czy są chociaż jakieś szanse na wasze spotkanie i szczerą rozmowę? – Jan i Barbara już wcześniej usłyszeli od Huberta o rozstaniu z Mają, ale chyba do końca nie mogli w to uwierzyć. Podobnie jak Hubert o nich, tak oni myśleli o nim i Mai jako o idealnej parze.

– Nie mogę przestać o niej myśleć. Jest ze mną każdego dnia. Budzę się z myślą o niej, jest przy mnie przez cały dzień i kiedy zasypiam, mam jej obraz przed oczami. Stale rozmawiam z nią w myślach. Zastanawiam się, co by powiedziała, jak by zareagowała, czy coś by się jej

spodobało? Nie mogę bez niej żyć. I nie wiem, co mam zrobić. Czuję się jak skończony drań.

Hubert zamilkł na chwilę, myślami pognał gdzieś daleko.

– Poprosiłem Richarda, żeby znalazł mi jakieś dobre biuro detektywistyczne. Muszę ją odnaleźć. A potem będę błagał na kolanach, żeby mnie wysłuchała. Wyrok, jaki zapadnie, będzie zależeć już tylko od niej.

– Uważam, że nie powinieneś tracić czasu, siedząc tu w Polsce i niańcząc mnie. Jedyne co możesz zrobić mądrego, to wziąć dupę w troki, wrócić do Ameryki i szukać Mai pełną parą – tu spojrzął na Barbarę. – Co ty na to, kochanie? Będę miał dobrą opiekę przy tobie, prawda? Hubciu może spać spokojnie?

Barbara chyba po raz pierwszy podczas tej rozmowy spojrzała Hubertowi prosto w oczy.

– Hubert, przez ostatnie trzy lata byłam głupia. Straciłam taki kawał czasu, broniąc się przed miłością do Janka, a nikt nie wie, ile tego czasu mamy jeszcze przed sobą. Ty nie marnuj swojego czasu. Zaopiekuję się twoim bratem. Wierz mi, z nikim mu nie będzie tak dobrze. – To mówiąc, pocałowała Janka delikatnie w usta. – Kocham go i już nigdy go nie zostawię. A ty jedź i ratuj swoje szczęście.

– Pojadę, pojadę, nie martw się. Ale najpierw muszę tu wszystko pozalać. Im szybciej to zakończę, tym wcześniej wrócę do Stanów. Chciałbym pojechać z tobą, Barbaro, do Jaśka domu i przystosować go do jego możliwości. Tak, żeby mógł na początku poruszać się na wózku, bo jak powiedzieli lekarze, za chwilę zacznie chodzić, ale nie będzie mógł zbyt długo się poruszać, niezbędny więc mu będzie wózek.

– Masz rację, też o tym myślałam – odpowiedziała Barbara. – Możemy to załatwić dzisiaj. Pojedziemy prosto ze szpitala i spróbujemy przemeblować dom. Jeżeli nie uda nam się tego zrobić dzisiaj, mamy jeszcze kilka dni, Janka nie wypuszczą tak szybko.

– Jest jeszcze jedna sprawa, o której chciałem z wami porozmawiać. Ten chłopak, który uratował ci życie. Czy mieliście z nim jakiś kontakt?

– Tak, rozmawiałam z nim krótko po wypadku – na twarzy Barbary malowała się wdzięczność. – To chłopak jednej z naszych pracownic z recepcji. Przyszedł nawet tu do szpitala, żeby się dowiedzieć o Janka zdrowie, ale on był jeszcze wtedy na OIOM-ie i go nie wpuścili. Roz-



mawiała z nim przez pół godziny. To miły młody człowiek, chociaż trochę dziwny. Wygląda jak hippis i rozmawiając ze mną, błędził gdzieś wzrokiem, ale najważniejsze, że był we właściwym miejscu o właściwym czasie.

– Chciałbym się z nim spotkać i osobiście mu podziękować. Nie wiesz, gdzie mogę go znaleźć? Może wiesz, gdzie pracuje, gdzie mieszka?

– Co do podziękowania, to postanowiliśmy z Basią, że jak już będę na chodzie, podziękuję mu osobiście, ale na ten moment muszę jeszcze niestety poczekać – Jan wtrącił się do rozmowy.

– Nie usiłowałam się z nim kontaktować do tej pory, ale nie będzie z tym problemów, jak myślę. Zapytam po prostu Ewę. Wiem, że chłopak pracuje chyba w tartaku. Studiował kiedyś medycynę, ale ją rzucił, bo stwierdził, że to nie dla niego. Nie wiem, gdzie mieszka, ale się dowiem, obiecuję.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę, jaki to niespodziewany zbieg okoliczności postawił tego młodego człowieka na Janka drodze. I co by było, gdyby się tam nie znalazł. Jan w tym czasie stawał się coraz bardziej milczący, widać było, że jest już zmęczony. Jego organizm był jeszcze słaby. Codzienna rehabilitacja, badania lekarskie i rozmowy nużyły go. Zamykały mu się powoli oczy i po chwili zasnął zupełnie, pochrapując delikatnie.

– Basiu, zdobądź dla mnie adres tego chłopaka i wyślij mi SMS-em – poprosił Hubert szeptem, otwierając jednocześnie drzwi i machając Barbarze ręką na pożegnanie.

Następnego dnia, razem z Barbarą pracowali ciężko w domu Janka, przygotowując go dla potrzeb inwalidy. Dom musiał być funkcjonalny, mieć jak najmniej przeszkód, ostrych kantów i bibelotów. Na szczęście, Jan miał dom parterowy, z szerokimi dwuskrzydłowymi przeszklonymi drzwiami prowadzącymi na taras, skąd rozpościerał się widok na zadbane ogród. Brat nie powinien mieć problemów z samodzielnością w tym domu. Zresztą Hubert miał nadzieję, że Barbara z nim zamieszka. Trzymał kciuki, żeby tak się stało.

Było późne popołudnie, kiedy prace zostały zakończone. Na odchodne, otrzymał jeszcze od Basi adres tego młodego człowieka, który uratował życie Jaśka, a właściwie to nie adres, tylko mapkę. Chłopak mieszkał z baraku robotniczym, tuż przy tartaku. Wiedział, gdzie to jest. Niestety, nie znał jego imienia, bo Basia zapomniała o to zapytać. Ale miał nadzieję, że jakoś gościa znajdzie.

Kręta, wąska droga pięła się w górę, żeby nagle skończyć się i przejść w zwykłą nieutwardzoną górską drogę. Nie miał jednak wątpliwości, że dobrze jedzie, bo co kawałek na poboczu stały tablice informacyjne wskazujące kierunek do tartaku. Po kolejnym zakręcie droga nagle się skończyła i wjechał na plac, który należał do jakiejś firmy. Na jego obrzeżach leżały olbrzymie sterty drewna w różnych fazach obróbki. Na końcu zobaczył drewniany, parterowy budynek, będący najprawdopodobniej celem jego podróży. Zaparkował samochód na środku placu i podszedł do baraku. Zapukał w drzwi wejściowe, ale nikt mu nie odpowiedział. Nacisnął klamkę, drzwi otworzyły się z łatwością i znalazł się w długim, wąskim korytarzu, w którym w jednakowych odległościach od siebie umieszczono jednakowe białe drzwi. Nie było na nich żadnych tabliczek ani innych oznakowań. Zapukał do pierwszych z brzegu. Po chwili otworzył mu mężczyzna po pięćdziesiątce, w okularach na czubku nosa i z książką w dłoni. Wyglądał raczej na naukowca lub filozofa, a nie pracownika tartaku. Hubert dojrzał jednak, że pod koszulką poło zarysowują się niczego sobie bicepsy.

– Dzień dobry panu, przepraszam, że przeszkadzam. Nazywam się Hubert Ruszkowski i poszukuję młodzieńca, który przed kilkoma tygodniami uratował życie mojemu bratu, kiedy ten miał wypadek samochodowy.

– A! Dzikiego! To o niego panu chodzi. Wszyscy jesteśmy z niego dumni. To dobry chłopak – dodał, kiwając z dumą głową. – Ostatnie drzwi po lewej, chyba jest u siebie.

Po chwili pukał już do następnych drzwi. Dobywała się zza nich ciężka, rockowa muzyka. Właściciel tego lokalu chyba nie słyszał pukania. Zapukał jeszcze raz, tym razem znacznie głośniej, aż zabolął go palec. Po chwili muzyka przycichła, drzwi otworzyły się gwałtownie i stanął w nich dziwny młodzieniec. Wysoki, szczupły, ale wyglądający

na silnego, z burzą zmierzwionych włosów na głowie, sięgających mu do ramion i kilkuniedniowym zarostem na twarzy. Nie miał wątpliwości, skąd ta ksywka „Dziki”. Chłopak w pierwszej chwili wyglądał na bardzo zaskoczonego, wpatrywał się w swojego gościa, mrugając z niedowierzaniem.

– Dzień dobry, nazywam się Hubert Ruszkowski – przedstawił się, nie zwlekając ani chwili. – Jestem bratem mężczyzny, któremu uratował pan życie. Bliźniakiem – dodał po chwili.

– A... dzień dobry – odpowiedział tamten.

– Chciałem panu osobiście podziękować. Gdyby nie pan, mój brat już by nie żył.

– Zrobiłem, co każdy zrobiłby na moim miejscu – odpowiedział chłopak, wzruszając ramionami, z nieśmiałym uśmiechem na ustach.

– Chciałbym się panu jakoś odwdziżyć. Może czegoś panu potrzeba, może mógłbym coś dla pana zrobić – nadal stali w drzwiach, gospodarz nie zaprosił gościa do środka. – Może potrzebuje pan mieszkania albo jakiegokolwiek innej formy pomocy?

– Nie, niczego mi nie potrzeba. Mam wszystko, co mi do szczęścia niezbędne – odparł Dziki nieco urażonym tonem. Trudno się z nim rozmawiało.

– W takim razie nie będę panu dłużej przeszkadzał – powiedział Hubert, jednocześnie wyciągając z portfela swoją wizytówkę. – Gdyby jednak się okazało, że mogę panu w czymś pomóc, zrobię to z chęcią, proszę tylko zadzwonić.

Mężczyzna w drzwiach skinął głową, nic nie odpowiadając. Wziął wizytówkę i schował do tylnej kieszeni dżinsów. Hubert wyciągnął dłoń na pożegnanie, tamten z wahaniem ją uściśnął i zdecydowanie zamknął drzwi.

Kiedy wsiadał do swojej toyoty, nie mógł przestać myśleć o wybawcy Jaśka. Dziwny młody człowiek. Jakiś taki flegmatyczny, wycofany, jakby żyjący w swoim własnym świecie. Zupełnie nie mógł sobie go wyobrazić w tak dramatycznej sytuacji jak ta na drodze w Żegutkowie, ratującego czyjeś życie.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY FILIP

Patrzył przez okno na odchodzącego mężczyznę.

„A więc to z nim Maja wyjechała do Stanów – pomyślał. – Nic dziwnego, facet był przystojny, na pewno podobał się kobietom. Ale ciekawe, gdzie Maja jest teraz? Czy przyjechała razem z nim? Czy jest w jego domu? Czy wie, że to on, Filip, uratował życie jej być może przyszlęmu szwagrowi?”

Wiedział, że poszkodowany w wypadku był bratem faceta Mai. Ewa powiedziała mu o tym od razu tego samego dnia, kiedy miało miejsce to niefortunne zdarzenie. Nie wiedział tylko, że są bliźniakami. W pierwszej chwili był bardzo skonsternowany, bo nie mógł uwierzyć, że poszkodowany tak szybko ozdrowiał. Dlatego stał w drzwiach osłupiały i zachowywał się, jakby mu mowę odjęło. A gość sprawiał sympatyczne wrażenie. Gdyby nie to, że zabrał mu Maję, mógłby go nawet polubić.

Ale tak właściwie, czy zabrał mu Maję? Zrozumiał wreszcie, że on sam był sobie winien. Chyba po prostu za bardzo mu na niej zależało. A teraz? Czy nadal zależy mu tak bardzo? Ostatnimi dniami prawie wcale o niej nie myślał. Owszem, śniła mu się czasami, ale te sny nie robiły już na nim takiego wrażenia. Natomiast coraz bardziej zależało mu na Ewie. Była taka nieskomplikowana. Ciepła, radosna, niczego od niego nie wymagała, oprócz tego, żeby po prostu był. A za to dawała mu całą siebie. Zaczynał rozumieć, co to znaczy bezwarunkowa miłość. I wyczuwał coraz bardziej, że chciałaby, aby ich związek został skonsumowany. I on też tego pragnął, z dnia na dzień coraz bardziej intensywnie. Był już na to gotowy. Był gotowy na nowy związek. Czas pożegnać się z Mają, a właściwie ze wspomnieniami o niej. Ale zanim będzie się kochał z Ewą, musi jej wszystko o sobie opowiedzieć. Całą prawdę. Za dwa dni będzie piątek. Kiedy Ewa skończy pracę, pojedą znowu do jej rodziców. To będzie najlepszy moment na szczerą rozmowę.

Kilka dni później znowu siedzieli w tym samym autobusie jadącym do Żegutkowa, prowadzonym przez tego samego kierowcę. Ten zresztą traktował teraz Filipa jak dobrego znajomego, witał się z nim, podając mu rękę. I nie chciał pieniędzy za bilet. Zresztą w tej małej społeczności Filip czuł się od czasu wypadku jak bohater. I nie mógł powiedzieć, że nie było to przyjemne. Jechali powoli, stary autobus miał trudności z pokonywaniem bardziej stromych wzniesień. Ale nigdzie się przecież nie spieszyli. Na szczęście dojechali na miejsce bez żadnych niefortunnych wypadków, bez żadnej katastrofy po drodze. Przywitali się z rodzicami Ewy, którzy już traktowali Filipa jak członka rodziny. Uszczęśliwiało go to. Swojej rodziny nigdy tak naprawdę nie miał, a Maja była sierotą. Od nikogo nigdy nie zaznał rodzinnego ciepła. Aż do teraz. I wiedział już, że zrobi wszystko, żeby tego nie stracić.

W domu czekał już na nich nakryty stół i kiedy tylko pojawili się w progu, mama Ewy zaczęła stawiać na nim parujące potrawy. Poczul burczenie w brzuchu. Usłyszeli to natychmiast wszyscy domownicy i żartem z niego nie było końca. A on śmiał się razem z nimi. Gdzie się podziała jego niedawna drażliwość, nerwowość, wręcz jakiś obłąd? Wszystko minęło, jakby zdarzyło się komuś innemu. Jakby był teraz odmieniony. A wszystko zawdzięczał Ewie. Spojrzał na nią czule, przekomarzała się właśnie z ojcem na temat fatalaszek, które sobie niedawno kupiła. Patrzyli na siebie z taką serdecznością. Tak powinny wyglądać relacje ojca i dziecka. Przestał jeść, nawet nie zdając sobie z tego sprawy i wpatrywał się w swoją dziewczynę. Tak, dziewczynę. Jego dziewczynę. Mógł już tak powiedzieć. Chyba się w Ewie zakochał. Wyglądało na to, że znalazł lekarstwo na wszelkie swoje udreki. Mama Ewy ciepłym gestem dotknęła jego dłoni, uśmiechając się serdecznie.

– Jedz, Filipie, bo ci wystygnie.

Ten jej matczyzny gest i ton sprawiły, że poczul wzruszenie łapiące go za gardło. Odchrząknął i zajął się jedzeniem, żeby ukryć swoje emocje.

Pół godziny później spacerowali z Ewą drogą prowadzącą w dół przez wioskę. Trzymali się za ręce i sprawiali wrażenie zakochanej, szczęśliwej pary. I teraz wreszcie czuł, że tacy właśnie są.

– Ewa, muszę ci o czymś opowiedzieć – zaczął pewnym głosem. Po

czuł, że dłoń Ewy znieruchomiała, jakby dziewczyna się czegoś przestraszyła.

– Nie bój się, to nie dotyczy ciebie. Ani naszego związku. Chciałbym ci opowiedzieć o sobie. Coraz bardziej mi na tobie zależy i nie chcę, żeby między nami były jakieś tajemnice – zamilkł na chwilę, jakby próbował sobie w myślach wszystko poukładać, żeby nie pominąć niczego, co mogłoby być ważne. Ewa czekała cierpliwie, wpatrując się w niego w napięciu.

– Znasz Maję Bogacką, pracowałyście razem. – Ewa kiwnęła głową. – Otóż byliśmy parą przez kilka lat. To za nią tu przyjechałem. Mają mnie rzuciła przed ponad rokiem, ale dopiero teraz widzę, że miała do tego masę powodów. Przedtem tego nie rozumiałem.

– Dlaczego od razu mi o tym nie powiedziałaś? – w głosie Ewy wy-czuł nutkę żalu.

– Nie planowałem związku z tobą. Nie planowałem żadnego związku. Ale stało się, nie jesteś mi obojętna. I chcę, żebyś mnie poznała. Opowiem ci moją historię, nie zatajając niczego, ale proszę wysłuchaj mnie najpierw do końca, a potem dopiero mnie ocenisz.

Długo trwało, zanim dotarł do końca swojej opowieści. Ewa słuchała uważnie, widział, że momentami miała łzy w oczach. Nie pominął niczego, począwszy od swojej złej relacji z rodzicami i bratem, poprzez swoje problemy ze studiami, nadużywaniem alkoholu. Opowiedział nawet o zaczynającym się jakimś obłędzie i dziwnych zachowaniach po odejściu Mai, a także o tym, że w przypiływie szału i alkoholowego upojenia, uderzył ją. Kiedy skończył, objęła go ramionami i stali tak przez chwilę, nic nie mówiąc. Po chwili odsunęła się od niego, ujęła jego twarz w dłonie i głęboko spojrzała mu w oczy.

– Filipie, zakochałam się w tobie, kiedy zobaczyłam cię po raz pierwszy na weselu. Ani przez chwilę nie żałowałam, że jesteś ze mną. Każdego dnia usiłowałam zdobyć twoją miłość. I każdego dnia robię to nadal. To, o czym mi opowiedziałeś, świadczy o tym, że ja także nie jestem ci obojętna. Kocham cię, Fil, i każdego dnia będę ci to powtarzać. – Bardzo lubił, kiedy tak go nazywała. – I może przyjdzie taki moment, że ty powiesz mi to samo. Ale nie dlatego, że tego od ciebie oczekuję, tylko dlatego, że tego chcesz.

Jak na młodą kobietę była nad wyraz dojrzała. Kiedy patrzył na jej twarz, tak inną od twarzy Mai, śniadą, okoloną długimi, ciemnymi włosami, kiedy patrzył w te czarne oczy z firankami gęstych rzęs, serce zaczynało mu mięknąć. Czuł w sobie niesamowitą tkliwość. Chyba nigdy nie dopadło go podobne uczucie w obecności Mai. Przy niej zawsze czuł się kimś gorszym, mniej wartościowym. Kimś, kto cały czas musi się bardzo starać, żeby zasłużyć na jej uczucie. Skarcił sam siebie za to stałe porównywanie tych obu kobiet. Nie mógł się jednak tego wyzbyć.

– Ewa, zrobię wszystko, żebyś była przy mnie szczęśliwa, daj mi tylko czas, abym zapomniał o mojej przeszłości. W tej chwili odkreślam ją grubą kreską. Wszystko, co jest poniżej niej, należy teraz do nas.

To mówiąc, pochylił się nad nią, dotknął delikatnie jej miękkich ust. Ewa zdawała się ufać mu bezgranicznie. To sprawiało, że czuł się wielki, że czuł się prawdziwym mężczyzną. Nie musiał jej niczego udowadniać, nie musiał robić niczego wbrew swojej woli. Mógł przy niej być sobą. Całował ją delikatnie, jakby bał się ją spłoszyć. A jednocześnie czuł, że zostanie przy nim, choćby nie wiem, co się stało.

Ewa głaskała go pieszczotliwie po włosach na karku, przylgnęła do niego całym swoim ciałem. A on obejmował ją w pasie, czując, jak szybko bije jej serce.

Nagle przed nimi zahamował gwałtownie samochód. Nawet nie zauważyli, że stali na podjeździe czyjś domu. Rozejrzał się wokoło. Byli tuż przy miejscu, w którym zdarzył się ten nieszczęśliwy wypadek. Przed nimi stała terenowa, czarna toyota. Po chwili wyskoczył z niej facet, z którym rozmawiał przed kilkoma dniami, brat gościa, któremu uratował życie.

– Witam! – zawołał tamten serdecznie, uśmiechając się od ucha do ucha. – Co za zbieg okoliczności, że spotykamy się właśnie w tym miejscu.

– Dzień dobry. – Filip odpowiedział jak zwykle z rezerwą w głosie. – Spacerowaliśmy właśnie tędy z moją dziewczyną.

Hubert podał Ewie dłoń na przywitanie.

– Wiem od Barbary, że to pani chłopak uratował życie Janka. Dzięki niej go potem odnalazłem.

– Dzień dobry – odpowiedziała nieśmiało Ewa. – Mieszkam tu, w Żegutkowie, wyszliśmy z Filem na spacer, zagadaliśmy się i zaszliśmy aż dotąd.

W tym czasie Hubert i Filip uścisnęli sobie ręce.

– A stoimy właśnie przed moim domem. Zapraszam zatem na kawę.

– Nie, dziękujemy, jest już późno – odpowiedział Filip. – Rodzice Ewy będą na nas czekali.

– To chociaż na małe espresso. Jestem wielbicielem dobrej kawy. Nie pożałujecie. A potem podwożę was. Będę jeszcze jechał do Rabki, w każdą stronę będzie mi po drodze.

– Dobrze, w takim razie wejdziemy na parę minut – Filip dał za wygraną.

Po chwili wkroczyli wszyscy do rozległego holu. Ewa rozglądała się po pomieszczeniach z nieukrywaną ciekawością.

– Zawsze chciałam zobaczyć ten dom od środka – powiedziała, wzdając wzrokiem po odnowionych belkach na suficie. – Od dzieciństwa mnie fascynował. Dom, w którym straszy. Tak wszyscy opowiadali. A teraz jestem tu, w środku.

Hubert się zaśmiał.

– Wprawdzie jestem właścicielem tego domu od ponad roku, ale nie przebywałem w nim zbyt wiele czasu. Mieszkam głównie w Stanach. Pierwotnie chciałem zagnieździć się tu na dłużej, ale okoliczności zmusiły mnie do powrotu do Ameryki. Nie zdążyłem jeszcze poznać ducha, który tu straszy. Ale mam nadzieję, że wszystko jeszcze przede mną. Duchów się nie boję, raczej żywych ludzi. Rozgoście się – powiedział, wprowadzając parę do salonu. – Usiądźcie, proszę, na kanapie, albo możecie obejrzeć w tym czasie ogród. Ja zrobię kawę. Zaraz wracam.

To mówiąc, wyszedł z pokoju. Młodzi zostali sami na środku salonu. Filip czuł się niezręcznie. Był w końcu w domu swojego, jak by nie było, wroga. Czuł się jak złodziej, choć wszystko wskazywało na to, że już nie byli rywalami. Miał nadzieję, że przeszłość powoli zamykał za sobą. Wyszli z Ewą na taras. Ogród był jeszcze w zupełnym nieładzie, ale on lubił takie dzikie ogrody. Wszystko, co uładzone, uporządkowane, wypieczone, wkurzało go. Wolał żywioł.

Po chwili wrócił gospodarz, niosąc na tacy trzy filiżanki espresso,



szklaneczki z wodą mineralną i miseczkę jakichś małych ciasteczek. Wszystko to wyglądało niesamowicie apetycznie.

– Proszę, częstujcie się – powiedział, stawiając tacę na stoliku przy kanapie. Zapalił boczne lampy, bo na zewnątrz zaczęło robić się szarawo. Filip wziął do ręki filiżankę z kawą i przechadzał się po salonie. Ewa usiadła na kanapie i obserwowała mężczyzn. Filip podszedł do komody, na której stało zdjęcie w ramce. Przedstawiało Maję i Huberta, przytulonych do siebie i uśmiechniętych. Oboje patrzyli prosto w obiektyw. Miało się wrażenie, że patrzą prosto na ciebie oglądającego zdjęcie, że to właśnie do niego się uśmiechają.

Hubert podszedł do niego, przyglądał się przez chwilę zdjęciu.

– To moja dziewczyna, Maja – powiedział ze smutkiem. Filip spojrział na Ewę. Ta wpatrywała się w niego z wyczekiwaniem. – Zresztą pani Ewa przecież ją zna, pracowałyście razem. – Ewa kiwnęła potakująco głową.

– Przyjechała z panem? – zapytał Filip.

– Nie, jeszcze nie. Jest w tej chwili nadal w Stanach – goście wyculi, że z jakichś powodów Hubert nie chce kontynuować tego tematu.

– A wraca pan tam? To znaczy, czy zostaje pan w Polsce, czy wyjeżdża do Ameryki? – zapytała Ewa.

– Jak tylko mój brat będzie już w domu i jak zorganizuję mu rehabilitację, od razu wyjeżdżam. Ale wrócę tu, na pewno. Uwielbiam ten dom i zamierzam pomieszkać tu dłużej. Jednak w tej chwili mam inne priorytety.

Filip przyglądał się Hubertowi w zamyśleniu. Ewa spoglądała na nich obu z niepokojem. W salonie zapadła niezręczna cisza.

– Dziękujemy za kawę, będziemy się już zbierać. – Filip podszedł do kanapy, podał rękę Ewie.

– Odwiozę was – powiedział Hubert.

– Nie, dziękujemy, nie trzeba – odezwała się Ewa. – Zapowiada się taki przyjemny wieczór. Chętnie się przejdziemy.

Szli w milczeniu, trzymając się za ręce. Ewa niespokojnie spoglądała raz po raz na Filipa, ale ten nadal milczał, rozmyślając o tym nieoczekiwanym spotkaniu. Nigdy by nie przypuszczał, że uściśnie rękę mężczyźni, który sypiał z Mają. I właściwie, to nie obeszło go to tak bardzo.

Może trochę, kiedy zobaczył zdjęcie Mai, takiej szczęśliwej, przytulonej do swojego ukochanego. Wtedy tak, wtedy trochę go zakłuło serce. Ale po chwili spojrzął na Ewę i zrozumiał, że Maja to już przeszłość. Wtedy nabral co do tego stuprocentowej pewności.

Przyjrzał się Ewie. Miała taki nieobecny wyraz twarzy. Wyczuł, że się martwi, czy to wszystko, o czym ją dzisiejszego popołudnia zapewniał, jest nadal aktualne. Poczul się winny. Nie chciał sprawiać jej przykrości, nie zasługiwała na to.

Przystanął, objął Ewę ramionami.

– Nie chcę, żebyś się niepokoila. Nawet dobrze się stało, że spotkaliśmy Huberta, że byliśmy w jego domu, że widziałem ich wspólne zdjęcie. Teraz nie mam wątpliwości, że dla mnie to już sprawa skończona. Nie chcę więcej do tego wracać. Jeszcze raz ci powtarzam, Ewa. To z tobą chcę być, ty jesteś dla mnie najważniejsza. Wierzysz mi?

Na twarzy Ewy odmalował się wyraz ogromnej ulgi.

– Tak, wierzę. Teraz już wierzę – to mówiąc, przytuliła twarz do jego piersi. Przymknęła powieki i pomyślała, że demony przeszłości zostały odegnane.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

### MAJA

Właśnie pakowała swoje rzeczy. Wydawało się jej, że nie miała tego tak dużo, a tymczasem od wczesnych godzin rannych nie zajmowała się niczym innym. Dzieci, początkowo podekscytowane jej wyjazdem, pomagały wkładać jej ubrania do walizki, ale jak to dzieci, wkrótce znudziły się monotonną czynnością i właśnie w tej chwili leżały na dywanie w jej pokoju, a każde z nich czymś się zajęło. Doris rozłożona na brzuchu, z nogami ugiętymi w kolanach, nieświadomie kręciła młynka stopami, malując wymyślone przez siebie stroje w bloku rozłożonym na podłodze. Podśpiewywała przy tym cichutko melodyjnym głosem sobie tylko znane melodyjki. Collin natomiast siedział po turecku przed stertą klocków Lego i budował jakieś skomplikowane budowle. Przygryzał dolną wargę, bezgranicznie skupiony na własnym dziele. Początkowo, kiedy oznajmiła całej rodzinie Blacków, że wyjeżdża, protestowali przeciwko jej decyzji. Doris popłakała się rzewnymi łzami, a Collin zrobił nadąsaną minę i patrzył na nią bykiem. Długo trwało przekonywanie ich, że za miesiąc i tak pójdą do szkoły, i Maja nie będzie już im potrzebna. Poza tym sama niedługo będzie miała swojego dzidziusia i będzie musiała się nim zajmować, bo oni będą już duzi, a jej dzidzius będzie małutki i będzie wymagał jej opieki przez cały dzień i noc.

Siedziała na łóżku, obserwując dzieci. W dłoniach obracała list od Huberta. Ten sam, który dała jej Irene, jeszcze zanim wyjechali na Florydę. Do dzisiaj go nie otworzyła. Nie rozumiała czemu, nie jest w stanie tego uczynić. Znowu popatrzyła na kształtne litery na kopercie, tworzące jej imię, napisane jego ręką, przejechała po nich palcami, jakby chciała poczuć, że dotyka Huberta, a nie tylko skrawek papieru, po czym włożyła nieotwarty list do walizki.

Był koniec lipca. Upały w Chicago osiągnęły swoje apogeum. Przez całe dni nie wychodzili z klimatyzowanych pomieszczeń komfortowego domu, oprócz wczesnych przedpołudniowych i późnych popołudnio-

wych godzin, kiedy to pluskali się w basenie. Na szczęście od jutra zapowiedziano zmianę pogody i znaczne ochłodzenie, ale przedtem musieli jeszcze przetrwać burze, które miały wkrótce zacząć się przetaczać nad miastem. A zapowiadano, że będą gwałtowne. Już było słychać, choć na razie jeszcze bardzo daleko, zbliżające się grzmoty. Niebo zrobiło się jakby bardziej mgliste. Jeszcze nie nadciągnęły te groźne, burzowe chmury, ale nawałnice wisiały w powietrzu, powietrze stało się inne, nawet w klimatyzowanych pomieszczeniach. Wszyscy funkcjonowali jakby na „pół gwizdka”. Miała momentami wrażenie, że ogląda film, który ktoś puścił w zwolnionym tempie. Co chwilę musiała przysiąść, żeby nabrać nowej energii do działania.

Skończyła siódmy miesiąc ciąży. Czuła się dobrze, chociaż męczyła się szybciej. Nie wiedziała, czy kłaść to na karb jej stanu, czy też wiązać z upałami. Nie zmieniało to jednak faktu, że zaczynała czuć się jak słonica. Kiedy patrzyła w lustro, nie poznawała samej siebie. Rysy twarzy stały się jakieś nie jej, obrzęknięte, grube, skóra miała jakieś takie brunatnawe zabarwienie. Przytyła około dwunastu kilo, kostek u nóg nie było widać. Porównywała swoje nogi do nóg młodej słonicy. Czuła się gruba i ciężka. Ale nie martwiła się tym, wręcz odwrotnie, cieszyła się, że Maleństwo dobrze się rozwija i że z nią wszystko jest w porządku. Coraz bardziej chciała zobaczyć swoje dzieciątko. Przed miesiącem była na badaniu usg. Lekarz wykonujący badanie zapytał ją, czy chce znać płeć dziecka. Nie mogła się zdecydować, co odpowiedzieć. Od dwóch miesięcy się zastanawiała, czy chce wiedzieć, czy też wolałaby, aby to było niespodzianką. W końcu doszła do wniosku, że chciałaby wiedzieć, ale gdyby był przy niej Hubert. Jakoś tak chyba podświadomie nadal na niego czekała. Podświadomie ciągle miała nadzieję, że on ją znajdzie, padnie u jej stóp i będzie błagał o wybaczenie. Wielokrotnie śniła jej się ta scena. I kilkakrotnie w tle stała „kobieta z Tatr” i przyglądała się im ze smutkiem. Właściwie to przyzwyczaiła się do jej obecności w swoich snach. I kiedy tak Hubert klęczał przed nią z wyrazem miłości i błagania na twarzy, zawsze się budziła, zanim usłyszała swoją odpowiedź. I zawsze potem długo nie mogła zasnąć, szlochając w poduszkę. W każdym razie, pomimo swojego niezdecydowania, płci dziecka nie poznała, bo zanim młody lekarz usłyszał jej odpowiedź, stwierdził, że Maleństwo

jest bardzo wstydlive i skrzętnie ukrywa swoje wdzięki. Miał zamiar nawet trochę poprzewracać Maję na boki w nadziei, że Maleństwo inaczej się ułoży i odsłoni to i owo, ale ona stwierdziła, że skoro sama nie mogła podjąć decyzji, dziecko podjęło ją za nią. I nie chciała wiedzieć, czy będzie chłopcem, czy dziewczynką aż do momentu porodu.

Wieczorem zeszła z dziećmi do jadalni. Wszyscy byli odświętnie ubrani, ale nieco smutni. Claire i John zorganizowali dla niej pożegnalną kolację. W tajemnicy przed Mają zaproszono także Irene. Claire poznała ją wcześniej, kiedy ta odwiedzała Maję w domu Blacków. Maja z piskiem radości rzuciła się przyjaciółce na szyję. Jej obecność była dla niej kompletnym zaskoczeniem. Irene wręczyła jej dwie paczuszki. Pierwszą miała rozpakować dopiero po urodzeniu Maleństwa. Mimo ogromnej ciekawości co do jej zawartości musiała przysiąc, że nie otworzy jej wcześniej. Druga przeznaczona była dla niej. Kiedy rozerwała kolorową bibułę, zobaczyła w środku przepiękny koronkowy obrus, który Irene sama dla niej udzierniała na szydełku. Mai łzy zakręciły się w oczach, przytuliła przyjaciółkę serdecznie.

Nie zabrakło także Rosie i jej męża Stephena, który był u Blacków ogrodnikiem i złotą rączką. Potrafił wszystko naprawić i wszystkiemu zaradzić. Nakryto odświętnie stół, zapalono stojące na nim świece. Rosie wniosła półmiski z parującymi potrawami, a za nią weszli Claire i John z tacami wypełnionymi pachnącym jedzeniem. Zanim jednak wszyscy zasiedli do stołu, John poprosił o głos:

– Kochani, zgromadziliśmy się tutaj w dniu dzisiejszym, ze smutnego, niestety, powodu – zaczął z patosem. – Żegnamy naszą kochaną Maję, która wyjeżdża od nas daleko, w poszukiwaniu swojego szczęścia, żeby rozpocząć nowe życie. – Tu głos nieco mu się załamał, ale po chwili przerwy, kontynuował. – Maju, przez ten krótki czas, który z nami spędziłaś, stałaś się częścią naszej rodziny. Bardzo się cieszymy, że mogliśmy przebywać w twoim towarzystwie i mamy nadzieję, że jeszcze nie raz się zobaczymy, że nie stracimy ze sobą kontaktu.

Wszyscy zgromadzeni w jadalni się uśmiechali, ale skrzętnie ukrywali smutek z powodu rozstania z Mają. Przykro jest żegnać się z przyjaciółmi, nawet jeżeli zamierza się rozpocząć nowe życie. Ale taka jest kolej rzeczy.

– Och, John! – odezwała się Claire. – Nie smuć tak, bo zaraz wszyscy będziemy płakać i cały wieczór będziemy niepokieszeni, jakbyśmy byli w jakiejś żałobie. Pozwól, że ja dokończę twoją przemowę.

John usiłował zrobić obrażoną minę, ale było to tak do niego niepodobne, że wszyscy wybuchnęli gromkim śmiechem.

– Maju – kontynuowała Claire – dziękujemy ci za opiekę nad naszymi dziećmi. Żałujemy bardzo, że trwała tak krótko, ale już niedługo będziesz miała swojego własnego osobnika do bawienia. W podziękowaniu mamy dla ciebie ten oto prezent. – To mówiąc, wręczyła Mai niewielki, płaski pakunek.

Kiedy Maja rozwiązała rubinową wstążkę i rozwinęła kolorowy papier, wyjęła z niego oprawione w ramkę z muszelkami zdjęcie, które zrobiono na Key West. Stali na nim wszyscy: Claire, John, Doris, Collin i ona, Maja. I wszyscy szczyrzyli zęby do fotografa, mówiąc *cheese*. Wszyscy uśmiechnięci, szczęśliwi, taka mała namiastka rodziny. Do zdjęcia był dołączony czek. Opiewał na dwa tysiące dolarów! Dwa tysiące! Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Ze zdziwieniem spoglądała to na Claire, to na Johna.

– Ale ja nie mogę tego przyjąć, to za duża suma pieniędzy. – mówiła Maja, kręcąc przecząco głową.

– To nie jest za duża kwota – odparł John. – A poza tym to jest dla ciebie i dla dziecka, żeby wam było łatwiej na początku. A ramkę do zdjęcia dzieci zrobiły same.

To mówiąc, podszedł do Mai i uściśnął ją serdecznie. Pozostałe osoby obecne w jadalni także przytuliły dziewczynę, tyle dobrych uczuć od wszystkich otrzymała. Od Rosie i jej męża dostała piękny, oprawiony w skórę pamiętnik, w którym wedle życzenia darczyńców miała zapisywać ważne wydarzenia z nowego rozdziału w jej życiu. I miała tam wklejać zdjęcia, w szczególności Maleństwa. W jadalni zapanowała radość i wzruszenie.

Te podniosłe chwile nagle przerwał natarczywy dźwięk dzwonka u drzwi i słyszalne krzyki jakiejś kobiety na zewnątrz. Wszyscy spojrzeli po sobie zdziwieni. Rosie szybko ruszyła w kierunku drzwi, aby je otworzyć, ale z powodu dobiegających hałasów, poderwali się za nią pozostali. Kiedy drzwi zostały otwarte, Maja osłupiała... Za nimi stała komplet-

nie pijana Sarah. Wyglądała dziwnie. W pierwszej chwili Maja nie mogła zrozumieć, co się z tą kobietą stało, ale po chwili wszystko do niej dotarło. Wyglądała, jakby się nie myła od tygodnia. Miała na sobie przybrudzoną kremową sukienkę, mankiety której były wręcz czarne. Na nogach podarte rajstopy, rozczochrane włosy na głowie, rozmazany makijaż. Jednym słowem obraz nędzy i rozpacz. Podparła się jedną ręką o futrynę, miało się wrażenie, że gdyby nie to, kobieta runęłaby na ziemię jak długi. I wyczuwało się od niej dziwny odór, mieszankę przetrawionego alkoholu, zastarzałego potu i czegoś jeszcze, nie wiedzieć czego. Jednym słowem, cuchnęła jak skunks. W tle, na podjeździe, stała taksówka z zapalonymi światłami.

Rosie odsunęła się od kobiety z obrzydzeniem. Ta podniosła głowę, którą miała jeszcze przed chwilą bezwładnie spuszczoną i wybuchnęła gromkim, złośliwym śmiechem.

– Maja! Jak miło cię wreszcie widzieć! Gdzie się ukrywałaś tak długo?! – zawołała, świdrując dziewczynę morderczym wzrokiem. Jednak z jej ust nie schodził ironiczny uśmiešek. – Przyjechałam cię odwiedzić, cieszysz się? – I tu czknęła sobie głośno.

– Co tu robisz? – Maja odezwała się ostrym tonem. Przed nią stała Doris. Maja przytrzymała ją za ramiona tak, żeby Sarah nie mogła dojrzeć jej zaokrąglonej sylwetki.

– Chciałam cię zobaczyć, stęskniłam się za tobą – odpowiedziała, nadal śmiejąc się złośliwie.

– Czego chcesz? – Maja nie zamierzała wdawać się z nią w dyskusję.

– Przyjechałam cię ostrzec – kontynuowała, chwiejąc się coraz bardziej na nogach.

– Przed czym? – zapytała dziewczyna.

– Przed moją zemstą – głos Sarah nagle spoważniał. Patrzyła Mai prosto w oczy świdrującym spojrzeniem. Ta jednak nie spuściła wzroku. – Zrujnowałaś mi życie. Zabrałaś mi jedyne go faceta, którego w życiu kochałam. Na dodatek wyrzucił mnie z pracy. Teraz nie zostało mi już nic. Tylko zemsta. Dopadnę cię, kiedy nie będziesz miała tej całej świty u boku. – Wyciągnęła z wściekłością wskazujący palec w kierunku przyjaciół Mai. W tym momencie zachwiała się gwałtownie. Miała trudności z utrzymaniem głowy w pionie. – A wtedy zobaczysz...

I padła jak długa przed progiem.

„To niesamowite, że pijani ludzie upadają tak bezwładnie, jak worek kartofli – pomyślała Maja. – I zazwyczaj nie wyrządzają sobie żadnej krzywdy”.

Maja stała i patrzyła z góry na tę kobietę i zdała sobie sprawę z tego, że to po prostu żaloszne. Żaloszne i tragiczne. Wprawdzie niewiele zrozumiała z bełkotu Sarah, ale nie przywiązywała do tego wagi.

John z mężem Rosie podnieśli kobietę i spojrzeli pytająco na Maję.

– Przepraszam za ten incydent. To znajoma, właściwie demon z przeszłości. Nie wiem, jak mnie tu znalazła. Nie chcę jej więcej oglądać.

– W takim razie najlepiej będzie wsadzić ją z powrotem do taksówki i odesłać tam, skąd przyjechała – powiedział John, patrząc na męża Rosie. Podnieśli Sarah z ziemi i zaciągnęli ją do samochodu.

– Dokąd ją zawieźć? – krzyknął John w stronę Mai.

Ta podeszła do taksówki i podała kierowcy adres domu Sarah. Taksówka z chrzęstem opon nawróciła na pojeździe i odjechała. Zgromadzone przed drzwiami osoby dłuższą chwilę stały osłupiałe i wpatrywały się w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stał pojazd.

– Maju, kim była ta pani? – pierwsza odzyskała głos Doris.

– Nikt ważny, kochanie – odpowiedziała Maja, obejmując dziewczynkę za ramiona i wchodząc razem z nią do domu. Za nimi pozostali domownicy weszli do środka. Trudno im było ukryć konsternację malującą się na ich twarzach.

– Nie wiem, jak mnie tu znalazła i co miały znaczyć jej słowa – odezwała się Maja cichym głosem, gdy już usiedli wygodnie na kanapach w salonie. – To przez nią między innymi rozstałam się z moim narzeczoną. Mam nadzieję, że jej już nigdy więcej w życiu nie zobaczę.

Reszta wieczoru upłynęła w spokojnej atmosferze, jednak nie powrócił już beztronski nastrój sprzed wizyty Sarah. Każdy na swój sposób analizował ten dziwny incydent. Ale nie rozmawiano o tym. Nikt nie chciał dodatkowo sprawiać Mai przykrości rozdrapywaniem starych ran.

Stała z Johnem i dziećmi w kolejce do okienka w hali odlotów na lotnisku. Ludzie poubierani w zwiewne letnie szatki, kolorowi jak stadko papug, rozćwierkani jak gromada wróbli, powoli przesuwali się w stronę



znudzonej pani w okienku, sprawdzającej biletu. Maja stała cierpliwie, Doris uwieszona u jej ramienia kręciła się niespokojnie, Collin rozglądał się po hali odlotów, zaciekawiony jak zwykle. John spoglądał na twarz dziewczyny z wyrazem niepokoju.

– Jesteś pewna, że chcesz wyjechać? Jeszcze możesz zmienić zdanie.

– John, nie martw się o mnie. Już podjęłam decyzję. Będzie dobrze. Będę z wami w kontakcie. Ale muszę podążać swoją drogą. Rozumiesz to przecież – odpowiedziała, ściskając serdecznie jego dłonie.

– Tylko dbaj o siebie. I zadzwoń zaraz, jak tylko wylądujesz.

– Nie martw się, zadzwonię na pewno – powiedziała, żegnając się z nim i ściskając czule dzieci.

Po chwili Maja podeszła do znudzonej kobiety sprawdzającej biletu, okazała swój paszport i przeszła dalej, do terminala dla pasażerów. John z dziećmi pomachali jej na pożegnanie i została sama. Nie, nie sama. Z Maleństwem. Usiadła na pomarańczowym, plastikowym krześle, tuż przy przeszklonej ścianie, widziała stąd startujące samoloty. Co chwila któryś lądował lub wzbijał się w powietrze. Widok był fascynujący. Zawsze była pełna podziwu dla kontrolerów lotu. Tak odpowiedzialna praca i przy tak wielkim natężeniu ruchu w powietrzu. Musiała być też niezmiernie stresująca. Nic dziwnego, że wielu z nich szybko się wypalało i musiało szukać innego zatrudnienia. Na wielkim monitorze naprzeciwko niej co chwila zmieniały się reklamy. Raz po raz z głośników dochodził głos kobiety zapowiadającej kolejny lot. Mimo, że było jeszcze przed południem, poczuła się znużona. Tyle emocji przeżywała od kilku dni, a szczególnie wczorajszy wieczór był dla niej tak wyczerpujący, że poczuła się, jakby wróciła z ciężkiej pracy w polu. I jeszcze ta duchota na zewnątrz. Tutaj chociaż działała klimatyzacja, wreszcie przestała się pocić. W tym momencie za szybą zaczęły spadać pierwsze krople deszczu, a po chwili lunęło jak z cebra. Nie było widać nic, oprócz ściany wody. Nie wiedziała nawet, czy przy takiej pogodzie startują samoloty. Ale po chwiliz głośników zapowiedziano jej lot. Wzięła swoją torebkę i niewielki bagaż podręczny i ruszyła przez długi rękaw do samolotu. Miłe stewardesy kierowały pasażerów do odpowiednich wejść. Widząc jej zaawansowaną ciążę, stały się wobec niej szczególnie troskliwe. Zajął miejsce w samolocie, przez okrągłe okienko dojrzała, że

ulewa już się skończyła, wyszło słońce, a na pasie startowym pojawiły się obłoczki parującej wody.

Następne trzy godziny przeleciały jak z bicza strzelił. Musiała się chyba zdrzemnąć, bo nawet nie zaczęła bać się lotu. Ta fobia, do niedawna paraliżująca ją podczas startu samolotu, zmniejszyła chyba swoje nasilenie. A może to wpływ ciąży? Może teraz stała się spokojniejsza? Co by nie było tego przyczyną, fakt, że strach już nie był taki wielki. Obudziła się, kiedy stewardesa zapinała jej pas i stawiała oparcie fotela do pionu. Lądowanie było bardzo łagodne, a kiedy samolot już się zatrzymał, pasażerowie bili brawo.

Po wyjściu na płytę lotniska uderzyła ją fala gorąca.

„Znowu ten upał – pomyślała. – Będę musiała się teraz do niego przyzwyczaić”.

Po chwili podjechał autobus i pasażerowie zostali przewiezieni do budynku lotniska. Formalności trwały chwilę, potem parę minut szukała swojej walizki i kiedy wreszcie opuściła terminal, była jednym z ostatnich pasażerów.

Zobaczyła go za barierkami odgradzającymi terminal przylotów od oczekujących na gości. W pomarańczowym T-shircie z napisem „School for Surfers. Young and Adults”, jasnych bermudach z niebieskiego dżinsu i z niesfornymi, kręconymi blond włosami. Wyglądał jak chłopak z reklamy. Matt, jej przyjaciel, opiekun, pocieszyciel. Był dla niej podporą w ciągu ostatnich kilku tygodni. Nie pomyślałaby wcześniej, że zaufa mu na tyle, żeby dać się namówić na przyjazd tu, do Bonita Springs. A właściwie to w okolicy tej miejscowości, gdzie jest znacznie spokojniej niż w mieście i tak pięknie.

Matt machał do niej energicznie ręką na powitanie, a jego twarz rozjaśniał szczery uśmiech szczęścia.

– Maja! Jesteś! Do końca nie wierzyłem, że jednak przyjedziesz. Tak się cieszę! – powiedział, biorąc ją w ramiona. Uścisnął ją serdecznie, pocałował w oba policzki.

– Przecież jeszcze wczoraj wysłałam ci SMS-a, że jadę. Nie wiem tylko, czy wiesz, co robisz. Mogę stać się dla ciebie jedynie kłopotem. Żebyś potem tego nie żałował. Masz ostatnią możliwość, żeby się rozmyślić.

Pokręcił przecząco głową, wziął od niej rączkę walizki na kółkach, torbę podręczną przewiesił sobie przez ramię i wyszli z budynku. Wyglądali jak młode szczęśliwe małżeństwo, w dodatku oczekujące na powiększenie się rodziny. A w rzeczywistości było zupełnie inaczej.

Na zewnątrz panował żar. Było wczesne popołudnie, słońce przyszwalało jeszcze porządnie. Wylądowała w Naples, do Bonita Springs czekała ich jeszcze półgodzinna jazda fordem Matta. Na szczęście w aucie działała klimatyzacja. Naprawił ją wreszcie. Wiedziała, że zrobił to dla niej. Jemu nie przeszkadzał wiatr rozwiewający włosy, wpadający z otwartych okien. Usiadła obok kierowcy. Zapatrzyła się w krajobraz mijany po drodze. Matt milczał, ale raz po raz na nią spoglądał.

Przypomniały jej się dni, które spędzili razem tu, na Florydzie. Blackowie zostali jeszcze tydzień i nie obciążali Mai zbyt obowiązkami opiekunki. Widzieli zaangażowanie Matta i chyba dostrzegli szansę dla Mai. Dlatego robili wszystko, żeby tych dwoje spędzało ze sobą jak najwięcej czasu. To zabierali dzieci do wesołego miasteczka, to jechali na wycieczkę rowerową lub po prostu baraszkowali z nimi na plaży. Zachowywali się zupełnie nie jak pracodawcy, raczej jak bliscy przyjaciele. Albo rodzina. I zawsze w takich sytuacjach przypadkowo pojawiał się Matt. I oczywiście podbił serca całej rodziny Blacków. Gdyby była tu Rosie, jej sercem też by zawładnął. Tylko serce Mai pozostawało zajęte. Nie było w nim miejsca dla nikogo innego prócz Huberta. Dla nikogo innego do kochania. Ale dla przyjaciela się znalazło. Dla kogoś, z kim można porozmawiać, komu można tak po ludzku zaufać, na kim można wesprzeć się w trudnych chwilach i kto jest pociechą w zmartwieniach.

Nie ukrywała przed Mattem, że nadal bardzo kocha ojca swojego dziecka i że strasznie cierpi z powodu jego zdrady, z powodu tego, że jej nie chciał. Powiedziała mu, że w podświadomości czuje albo raczej ma nadzieję, że to zbieg jakichś nieporozumień i czyichś niezycziwych działań ich rozdzielił. Wiadomo czyich. Żal jednak rozdzierał jej serce, że Hubert na to pozwolił. Że ją zdradził. Że jej nie szukał. A czy za nią tęsknił? Czy o niej myślał?

Matt był nad wyraz cierpliwy. Rozmawiał z nią bez końca, wysłuchiwał z anielską (albo raczej pasterską) cierpliwością jej ciągłych opowieści o Hubercie, o ich wspólnym, szczęśliwym kiedyś życiu. Maja

oczywiście nie zauważała smutku, który w takich momentach gościł w jego oczach. Tak bardzo była pochłonięta swoimi wspomnieniami, swoimi uczuciami. Skupiona na sobie. Ale Matt, ze stoickim spokojem, czekał. Aż wreszcie uległa jego namowom i zgodziła się zamieszkać w Barefoot Beach. Bo właściwie, co miała do stracenia? Jednak Matt wiedział, że nie zostaje z nim dla niego, dlatego że się w nim zakochała. Od początku stawiała sprawę jasno. Lubiła go, z dnia na dzień coraz bardziej. Podobał się jej niezmiernie, może nawet bardziej niż Hubert. Ale to Huberta kochała. Każdy centymetr jego ciała, każdy zakamarek jego duszy. Kiedy zamykała oczy, widziała każdy siwy włos na jego skroni, widziała kolorowe plamki w jego tęczęwkach, mimiczne zmarszczki wokół oczu. Dłońmi wyczuwała odciski na jego dłoniach, których się nabawił, remontując dom w Żegutkowie. Był przy niej stale, we dnie i w nocy. Czasami, kiedy śniło się jej, że się Kochają, tacy szczęśliwi, pełni miłości, czuła nawet dotyk jego dłoni na swoim ciele. I kiedy budziła się sama w nocy, miała wrażenie, że jakaś ognista kula wypala jej dziurę w piersi. Tak mocny był jej żal.

Wiedząc o tym Matt mimo wszystko nalegał na jej przyjazd. A ona w końcu się zgodziła. Rozmawiali ze sobą na Skypie przez kilka następných tygodni po jej powrocie do Chicago. Odbyli dziesiątki rozmów telefonicznych i oto tu jest. Jedzie z nim do jego domu, tym jego zdezelowanym fordem, na szczęście z naprawioną klimą. Umówili się, że zamieszka z nim przez kilka dni, no, najwyżej tydzień, aż nie znajdzie sobie własnego lokum. Matt rozglądał się już za jakimś domem dla niej i miał kilka propozycji. Już jutro chciałaby z nim obejrzeć te miejsca, żeby zdążyć jak najszybciej się urządzić, jeszcze przed przyjściem na świat Maleństwa. I dopóki będzie mogła, pomoże mu w zajęciach z dziećmi, a miała nadzieję, że po porodzie także szybko wróci do pracy. Z Maleństwem u boku. Małe dzieci w towarzystwie starszych dzieci wychowują się przecież lepiej.

Podjechali pod dom Matta. Był to niewielki, drewniany domek, w którym stale trwał jakiś remont. Ściany domu, obite drewnianymi panelami, pomalowano na biało.

Przed domem dojrzała niewielki ogródek z białym niskim płotem, za którym rosła przystrzyżona krótko trawa, a na niej kilka ozdobnych

krzewów. Schludnie, minimalistycznie.

Weszli do środka. Z malutkiego przedpokoju, w którym wisiał tylko mały wieszak na ubrania i stała niewielka półka na buty, przechodziło się do salonu połączonego z kuchnią. To pomieszczenie było także niedużych rozmiarów, ale ponieważ stało tam tylko kilka sprzętów – kanapa, fotel, mały stolik i komoda – nie sprawiało wrażenia tak małego, jakim było w rzeczywistości. W części kuchennej oprócz szafek stał pod ścianą kwadratowy stół, a przy nim dwa krzesła. Obok salonu znajdowała się mała łazienka z prysznicem i sypialnia Matta z szerokim łóżkiem, która teraz, przez kilka najbliższych dni, miała się stać miejscem snu Mai.

– Matt, jestem ci bardzo wdzięczna, że oddałeś mi swój pokój. Mam jednak wyrzuty sumienia, że będziesz się męczył przez najbliższych kilka dni na kanapie – powiedziała z żalem.

– Moja kanapa jest bardzo wygodna. A gdyby nawet ceną za twój przyjazd miało być spanie na twardej podłodze, zdecydowałbym się bez namysłu – odparł uśmiechając się szczerze.

Matt wniósł do środka walizkę Mai i jej torbę podręczną. Wyciągnął z szafy czyste ręczniki.

– Łóżko jest świeżo pościelone, pokój wywietrzony, powinno ci się dobrze spać – mówiąc to, włączył klimatyzację. – Za parę minut będzie chłodno. Kiedy wyjeżdżam z domu, wyłączam to diabelstwo, bo pożera prąd jak smok. Zaraz przygotuję ci coś do jedzenia. Czego się napijesz?

– Jeżeli można, to najpierw chciałabym wziąć prysznic. A do picia poproszę wodę. W przygotowaniu jedzenia pomogę ci za chwilę.

Weszła pod orzeźwiający prysznic. Woda tak cudownie ochładzała ciało.

„Co ja tu właściwie robię? – zastanowiła się. – Przecież powinnam być w tej chwili w Polsce i organizować nasze przyszłe życie, moje i Maleństwa. Załatwiać pracę, szukać mieszkania. A tymczasem wylądowałam w jakimś tropiku, w domu zupełnie obcego faceta, co z tego że pastora. I właściwie to będę żyła na jego rachunek, a nawet nie jesteśmy parą. Owszem, jest dla mnie dobry, troszczy się o mnie. Ale czego oczekuje ode mnie w zamian? Co ja mogę mu zaoferować?”

Zaczynała wątpić w słuszność swojej decyzji. Pomyślała, że żyjąc

tutaj, nie ma żadnych szans na spotkanie jeszcze kiedykolwiek Huberta. Gdyby wyjechała do Polski lub została w Chicago, owszem, istniałyby szanse na ich spotkanie. Pozytywną stroną tej sytuacji było jednak to, że nie dopadnie jej tu Sarah. Niemożliwe, żeby ją tu odnalazła.

Wyszła spod prysznicza, wytarła się szorstkim ręcznikiem, rozczesała mokre włosy, ubrała luźną sukienkę i weszła do kuchni. Matt właśnie stawiał na stole patelnię z jajecznicą, pokrojony w grube pajdy chleb leżał w koszyczku, obok masło w maselnicy. Maja wyjęła z szafki szklanki, nalała wody i usiedli przy stole. Milczeli. Matt spoglądał na nią raz po raz z nieukrywaną radością, ale także z niepokojem. Jakby się obawiał, że jeszcze zmieni zdanie.

– Jutro od rana pojedziemy oglądać domy. Zaczniemy od tych najbliższych mnie, możemy tam spokojnie dojść pieszo. Ale teraz zarządzam odpoczynek. Po kolacji idź się położyć, odpocznij trochę. Ja tu posprzątam, a jutro ruszamy pełną parą.

Wczesnym rankiem obudziły ją promienie słońca wpadające przez cienki materiał niebieskich zasłon, które wisiały u Matta w sypialni. Pomimo wczorajszego dnia pełnego wrażeń, męczącej podróży i długich rozmów czuła się nadzwyczaj wypoczęta. Przeciągnęła się na łóżku, poleżała jeszcze chwilę, ale żal jej było tracić czas na leniuchowanie w domowych pieleszach. Jak najszybciej chciała znaleźć nowe lokum dla siebie. Z salonu nie docierały żadne dźwięki, Matt zapewne jeszcze spał. Boso poszła do łazienki, po drodze zajrzała do salonu i zobaczyła go śpiącego na kanapie. Przystanęła w wejściu, przyglądała mu się przez chwilę. Spał na brzuchu, jasne, potargane włosy miał rozrzucone na poduszce, którą obejmował jedną ręką, a druga zwisała swobodnie z kanapy. Nie miał na sobie koszulki, prześcieradło przykrywało go w pasie, spod niego wystawał kawałek niebieskich krótkich spodenek od pizamy. Zobaczyła jego stopy, jakby znajome. Nie chrapał.

„Ile bym dała, żeby to był Hubert – pomyślała. – Hubert by pochrapał. I miał takie podobne stopy. Łzy zakręciły się w jej oczach. Nie, nie będę od rana wpędzała się w smutny nastrój” – postanowiła.

Nagle Matt się poruszył, odwrócił głowę w jej kierunku, spojrzał na nią i się uśmiechnął, tak jakoś z czułością.

– Czuję na sobie twój wzrok – powiedział. – Wiedziałem, że jesteś tutaj.

– Przepraszam, nie chciałam cię obudzić – odpowiedziała szczerze.

W tym momencie poczuła gwałtowne ruchy. Maleństwo także się przebudziło i chyba przeciągało się energicznie, bo miała wrażenie, że za chwilę zabraknie mu w niej miejsca i zrobi nogą dziurę w jej brzuchu. Najpierw zamarła, nie do końca wiedziała, co się dzieje. Matt uniósł się na łokciach, patrzył zaniepokojony. Objęła brzuch obiema rękami i poklepywała uspokajająco.

– Dobrze, już dobrze, nie wojuj tak – wyszeptła czule, po polsku.

Często w myślach przemawiała do Maleństwa po polsku, właściwie to zawsze.

– Co powiedziałaś? – Matt był zaciekawiony. – To było w twoim ojczystym języku? Jest taki „szumiący”. Przetłumacz mi to, proszę.

Maja powtórzyła to, co powiedziała wcześniej, tym razem po angielsku. Matt wstał z łóżka, podszedł do niej. Przez cienki materiał sukienki widać było poruszającą się nóżkę albo rączkę, kto wie?

– Mogę dotknąć? – zapytał zafascynowany.

Maja kiwnęła tylko głową. Nadal z jej twarzy nie schodził ten czuły uśmiech.

„Jak na obrazach z Madonną” – pomyślał. Przyłożył do brzucha obie dłonie. Były duże, ciepłe, ale pokryte twardymi odciskami. Maja przymknęła oczy. Dotarło do niej, że mają z Hubertem taki sam dotyk. Przez ułamek sekundy wydawało się jej, że to właśnie Hubert. A pod dotykiem Matta Maleństwo się uspokoiło. Ruszało się, ale delikatnie, jego ruchy nie sprawiały już мамie bólu. Miała wrażenie, że dziecko pływa w jej brzuchu. Albo płąsa.

– Twój dotyk jest jak balsam. Masz chyba w sobie jakieś tajemne moce. Jak już Maleństwo się urodzi i będzie krzyczało po nocach, będę dzwoniła do ciebie. A ty wtedy przybędziesz, jak ten szlachetny rycerz, położysz swoje cudowne dłonie na jego lub jej głowie (chłopca albo dziewczynki) i Maleństwo zaśnie spokojnym snem. Tak to sobie wymyśliłam – dodała z przekonaniem, cieszyła się z tej wizji.

Zobaczyła ich odbicie w lustrze wiszącym nad komodą, scena wyglądała jak kochające się małżeństwo rozkoszujące się spędzaną wspól-

nie tak intymną chwilą. Matt uśmiechał się smutno, ale także jakby z nutką nadziei. Nikt oglądający ich z zewnątrz nie pomyślałby, że to właściwie zupełnie obcy sobie ludzie.

Pierwszym domem był niewielki budynek, znajdujący się dwie przecznice od domu Matta. Miał żółte, nieco odrapane ściany, grafitowy dach, białe okna i mały ganeczek przed wejściem, okolony niewielkim tarasem. Po drewnianej belce na daszek tarasu wspinała się rachityczna róża pnąca. Zgubiła większość liści. Wyglądało, jakby zeżarły je jakieś ślimaki. Ale na końcach jej pędów zakwitły malutkie czerwone różyczki. Jak w opowieści o „Pięknej i Bestii”. Tylko kto był bestią?

Od pierwszej chwili dom spodobał się Mai. Wyglądał jakby z bajki. W środku salonik mniejszy niż w domu Matta, połączony z niewielką kuchenką, nieco większa sypialnia i malutka łazienka. Czyli standard, ale taki zminiaturyzowany. A podłoga pomalowana była na żółto. Na żółto! Wprawdzie farba łuszczyła się tu i ówdzie, w niektórych miejscach miała bardziej szarawe niż żółte zabarwienie, ale i tak Maja się nią zachwyciła. Domek wymagał sporego remontu. Meble były dość sfatygowane. Wszędzie było pełno kurzu. Okna były brudne, podłoga wymagała odmalowania. Jak powiedział Matt, od dziesięciu lat dom stał pusty. Czyszczyć byłyby niewielki, właściwie właścicielom bardziej zależało na tym, żeby o ten dom ktoś zadbał, niż żeby ciągnąć z niego jakieś materialne korzyści. Poza tym wszystkie trzy oferty, jakie Matt przedstawił Mai, pochodziły od jego parafian, bez pośrednika z biura nieruchomości. Dwa tygodnie temu ogłosił na mszy, że kobieta w stanie błogosławionym, samotna matka, poszukuje taniego domku dla siebie i dziecka. Oferty się posypały, z kilkunastu wybrał te trzy.

Dwie następne oferty były w mniej ciekawych miejscach. Jedna daleko od plaży, druga w sąsiedztwie jakiegoś walącego się domostwa.

– Biorę ten żółty domek. Miłość od pierwszego wejrzenia, nie można tego faktu zlekceważyć – w głosie Mai wyczuwało się podekscytowanie. I chyba radość. Wreszcie zobaczyła coś pozytywnego w tej nowej sytuacji. – Zacznę wszystko od nowa, w nowym miejscu. Czuję się jeszcze na tyle dobrze, że dam radę wysprzątać i nieco wyremontować naszą chatynkę. Jak już Maleństwo przyjdzie na świat, nieco podrośnie, zabiorę



się za intensywną pracę. Nie zamierzam do końca życia pracować jako opiekunka do dzieci albo sprzątaczką.

– Nie ma niczego złego w tych profesjach – obruszył się nieco Matt.

– Też jestem tego zdania, ponieważ wykonuję obecnie jedną z takich prac, a jako sprzątaczką dorabiałam przez większość czasu na studiach – w jej głosie brzmiała duma. – Ale niewiele będę mogła dać mojemu dziecku, pracując przez całe życie w takich zawodach. Mam dobre wykształcenie, muszę je wykorzystać. Nawet tu, w Stanach, będzie to możliwe, zobaczysz.

Cieszył się, widząc w niej tyle entuzjazmu. Zdecydowanie wolał taką Maję, niż tą przybitą i smutną, którą spotykał tak często. Właściwie taką przede wszystkim znał.

Najbliższy tydzień minął jej na sprzątaniu żółtego domku i reperywaniu wszystkiego, co się tylko do zreperowania nadawało. Matt okazał się złotą rączką. Miał już spore doświadczenie, przez lata naprawiał różne rzeczy w swoim domu. A i ona czuła się wyśmienicie, była jeszcze w stanie wiele zrobić. To chyba psychika tak dodała jej sił. I jakoś nie miała czasu na rozmyślanie o Hubercie. Nie miała czasu, aby za nim tęsknić. Całe dni ciężko pracowała, a wieczorami natychmiast zasypiała, od razu po przyłożeniu głowy do poduszki.

Jej domek zrobił się całkiem przytulny. Odmalowany został na zewnątrz i wewnątrz, oczywiście, podłogę w salonie pozostawiono żółtą, a w sypialni położono miękką, nową, błękitną wykładzinę, kupioną za dziesięć dolarów na wyprzedzaży resztek w miejscowym sklepie z wyposażeniem wewnątrz.

Domek sprawił, że Maja zaczęła na nowo cieszyć się życiem.

Białe metalowe łóżko w sypialni, z używanym materacem, ale jeszcze w bardzo dobrym stanie, подарowanym przez dobrych parafian, dawało jej ukojenie w nocy. I o dziwo, ani razu nie przyśnił jej się Hubert. Może dlatego, że na wezglówiu Matt zawiesił odstraszacz złych snów, upleciony przez siebie z trawy morskiej, z przyczepionymi do niego białymi, drobnymi muszelkami. Jednak z drugiej strony przynajmniej w snach mogła być z Hubertem. Co z tego, że potem tęsknota była jeszcze trudniejsza do zniesienia.

Po tygodniu zaczęła pomagać Mattowi w jego szkółce. Nie mogła robić zbyt wiele, ale wystarczyło, że była z dziećmi na plaży, kiedy on brał po dwie osoby do wody i uczył je surfowania. Pozostali siedzieli wówczas na piasku i wysłuchiwali jego instrukcji. A potem przychodziła ich kolej. Przygotowywała dzieciom lemoniadę, nalewając ją do plastikowych kubków, częstowała je w przerwach między zajęciami ciasteczkami, starała się, żeby były zadowolone.

Lubiła przyglądać się Mattowi, kiedy tak stał w wodzie i z przejściem tłumaczył jakiemuś dziecku, jak należy surfować. Robił to z takim zaangażowaniem, pasją. Lubił te dzieciaki. A one były wpatrzone w niego jak w obrazek. Ona zresztą też. Był po prostu piękny. Tak nieskazitelnie piękny. Opalone ciało, ani grama tłuszczu, widoczny każdy mięsień pod gładką skórą. Można by się na nim uczyć anatomii. I tak bardzo go lubiła. Stawał się jej przyjacielem. Był jej przyjacielem. To nie ważne, że znali się tak krótko. Ufała mu, lubiła z nim przebywać, rozmawiać, czasami się przekomarzać. Ale nie czuła do niego nic więcej. I jakoś dziwnie byłoby zakochać się w faciecie, dla którego głównym celem w życiu jest modlenie się do Boga. Czy nie czułaby się przy nim zbyt grzeszna? A on patrzył na nią tymi swoimi niebieskimi oczami, w których widziała coraz więcej uczucia. I co miała z tym zrobić? Gdyby nie było Huberta, pewnie od razu zakochałaby się w nim na zabój. Na pewno. Ale Hubert był i nie mogła udawać, że jest inaczej. Kochała Huberta, mimo że to była miłość stracona.

Dni mijały powoli. Upał panował niemiłosierny, ale jak się okazało, można było nauczyć się tutaj żyć. Czasem trzeba było funkcjonować na minimalnych obrotach, znaleźć cień, skorzystać ze sjeisty, przeznaczając ją na bierny wypoczynek, czyli leżenie plackiem w zaciemnionym, przewiewnym miejscu, najlepiej w jakimś klimatyzowanym pomieszczeniu. Maleństwo rosło. Maja czuła się całkiem dobrze, nie miała jakichś większych dolegliwości, może z wyjątkiem ociężałości i spowolnienia. Nie była już taka szybka, jak przed ciążą. A największy problem miała z zapinaniem butów. Na nieszczęście jej ulubione sandaalki miały wokół kostek paski zapinane na małe klamerki. Nie była w stanie sobie z nimi poradzić. Zakładała je rano bez zapinania, człapała do Matta, a on cierpliwie je zapinał. Zawsze z uśmiechem na ustach. Kiedy potem wol-

nym krokiem szli na plażę, często brała go pod ramię, bo przez swój ogromny brzuch miała trudności z zobaczeniem tego, co znajduje się na ziemi poniżej, tuż przed jej stopami. I ciągle się o coś potykała. Bała się, że w końcu gruchnie na ziemię jak długa i zrobi krzywdę Maleństwu. W tym czasie wyglądali jak szczęśliwa para. I śmiali się do siebie bezustannie. Przy nim nie myślała o Hubercie. Ale kiedy tylko zostawała sama, Hubert natychmiast do niej wracał. I znowu pojawiała się ta rozdzierająca tęsknota. Miała ostatnio wrażenie, że to uczucie zamiast z czasem blednąć, zanikać, stawało się jeszcze bardziej bolesne, dręczące. I nie mogła nic na to zaradzić. Tęsknota ją przytłaczała.

Pewnego wieczoru, kiedy siedzieli na ganeczku jej domku, tuż po kolacji, którą dla nich przygotowała, pili lemoniadę i podziwiali rozgwieżdżone niebo, Matt nagle chwycił jej dłoń:

– Maju, chcę ci o czymś powiedzieć – zaczął nieco niepewnie.

Przeraziła się, przeczuwała, co za chwilę usłyszy i nie powinna do tego dopuścić. Tymczasem siedziała nieruchomo, jakby ktoś ją odłączył od prądu. Z saloniku docierała do nich łagodna muzyka. Katie Melua śpiewała „I Cried For You”.

– Jesteś wspaniałą kobietą. Nigdy przedtem takiej nie spotkałem. Wiem, że dużo w życiu przeszłaś i wiem, że kochasz innego mężczyznę. Jednak chciałbym się tobą zaopiekować. – To mówiąc, patrzył jej w oczy, pełen napięcia. – Chciałbym zatroszczyć się o ciebie i dziecko, dbać o was, sprawiać, żeby niczego wam nie zabrakło. I chciałbym wam stworzyć dom pełen miłości. Maju, wyjdź za mnie.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

### HUBERT

Wczoraj wylądował w Chicago. Sierpień dobiegał końca, pobyt w Polsce zabrał mu więcej czasu, niż planował. Niespodziewanie jego ojciec trafił do szpitala – złamał szyjkę kości udowej. Oczywiście, jak to tato, wszystko musiał robić w domu sam. Kiedy wieszał firanki, stał na chwiejnym taborecie, mimo że niejednokrotnie z Jaśkiem mu tego zabraniali, spadł i złamał sobie udo. Ojciec nigdy ich nie słuchał, wszystko wiedział lepiej. Chyba wszyscy Ruszkowscy tak mają. Wiedzą lepiej.

Po wypadku był szpital, zoperowano go, wszczepiono endoprotezę, ale w jego wieku nie dochodzi się tak szybko do zdrowia. Trafił na rehabilitację, ale nie radził sobie w tej nowej dla niego sytuacji. Wymagał dużo troski ze strony najbliższych. Chyba nawet potrzebował większej opieki niż Jasiek. Zresztą, Jasiek... Ten tryskał teraz nieopisanym szczęściem w ramionach swojej ukochanej Basi i przeżywał drugą młodość. Zachowywał się jak młokos, taki był zakochany.

Hubert polubił wybawcę swojego brata i jego dziewczynę. Spotkali się kilka razy w Żegutkowie. Zapraszał ich zawsze na piwo albo kawę. Pewnego ciepłego wieczora do północy gawędzili na tarasie, popijając białe wino i zagryzając pieczonymi na grillu kiełbaskami i chlebem. I jakoś nie brakowało im tematów do rozmów. I nie rozmawiali o Mai, mimo że Ewa ją znała. Nie chciał poruszać tego tematu, potem nie mógłby o niczym innym mówić ani myśleć.

Krótko przed jego wyjazdem do Stanów Janek z Basią zaprosili młodych do restauracji na kolację, nie zapomnieli też o Hubercie. Po pierwszych minutach niezbyt klejącej się rozmowy, kiedy podano szampana, nastroje się poprawiły. Najbardziej rozmowne były oczywiście kobiety. Dziki mówił mało, ale słuchał uważnie, uśmiechał się od czasu do czasu i był całkiem sympatyczny, chociaż nadal taki, jak to mówią psycholodzy, „wycofany”. I nadal Hubert nie wiedział, jak gość ma na imię. Kilka razy Ewa zwracała się do niego Fil, ale czy to była jego kolejna

ksywka? Za każdym razem, kiedy miał go spytać o imię, coś mu w tym przeszkadzało. I w końcu się nie dowiedział. Dziki pozostał po prostu Dziki.

Hubert odkładał z dnia na dzień swój powrót do Stanów, aż zaczęło kończyć się lato. Ale w końcu rodzinne sprawy w Polsce wyszły na prostą i mógł wrócić. Zawiadomił Richarda o swoim przyjeździe już wcześniej, dzisiaj w południe byli umówieni w firmie. Nagromadziło się sporo spraw pod jego nieobecność, które wymagały pilnego załatwienia; będzie miał masę roboty. Ale najważniejszą sprawą, jedyną nie cierpiącą zwłoki, było odnalezienie Mai. Wynajęty detektyw podał mu adres, pod którym obecnie mieszkała. Bonita Springs na Florydzie. Jakim sposobem, u licha, mogła się tam znaleźć? Modlił się tylko, żeby przyczyną jej wyjazdu nie był żaden facet. Tego chyba by nie zniósł.

W południe wszedł do biura. Jak zwykle po dłuższej nieobecności został serdecznie przywitany przez Margaret, która spojrzała na niego jakoś tak z niepokojem, troską wręcz.

– Nie wyglądasz zbyt dobrze – powiedziała po chwili. – Posiwiłeś, sprawiasz wrażenie zmęczonego.

– Trochę się nabierało niezbyt miłych przeżyć w ostatnim czasie – odpowiedział ze smutkiem. – Mam nadzieję, że teraz będzie już tylko lepiej.

W tym momencie z gabinetu wyszedł Richard, a za nim Toni, jak zwykle uśmiechnięty od ucha do ucha.

– Hubert, jak miło cię widzieć! – zawołał, wyciągając do niego rękę na przywitanie. – Właśnie zakończyliśmy budowę kondominium. Wyszło doskonale. Podpisaliśmy z Richardem dokumenty końcowe, pozostały tylko jeszcze ostateczne rozliczenia i sprawa zostanie zamknięta. Musimy umówić się na kolację. Miło się z twoją firmą współpracowało.

– Cieszę się, że jesteście zadowoleni. Żałuję tylko, że nie mogłem wam poświęcić więcej czasu, ale moje sprawy osobiste i rodzinne trochę się pokomplikowały, musiałem się nimi zająć.

– Wiem o wszystkim od Richarda. Wiem także o Sarah. Od początku czułem, że to niebezpieczna kobieta, manipulantka, zły człowiek. Nie mogłem tylko zrozumieć, dlaczego trzymasz ją przy sobie.

– No cóż, często bywa tak, że najbliższe osoby wiedzą najmniej. Jak

się niedawno przekonałem, jestem kretyńsko naiwny i bardzo łatwo mną manipulować. – Hubert nie krył przygnębienia. – Mój rozsądek musiał być na urlopie w tym czasie. Ale cóż, człowiek uczy się na błędach.

Po chwili rozmowy pożegnali się i Hubert z Richardem weszli do gabinetu Huberta, który teraz zajmował Richard. To było zrozumiałe, tam bowiem znajdowały się wszystkie ważne dokumenty. Margaret wniosła kawę i po chwili pochłonęła ich rozmowa o sprawach firmy. Czas minął niepostrzeżenie i kiedy zakończyli rozmowę, dochodziła czwarta po południu. Richard pojechał jeszcze na teren budowy do Naperville, a Hubert zasiadł przy biurku, przeglądając dokumenty. I znowu czas mu minął jak jedno pstryknięcie palcami. Kiedy weszła Margaret i zapytała, czy może już jechać do domu, czy też będzie jej jeszcze potrzebował, ze zdziwieniem stwierdził, że na dworze jest już zupełnie ciemno.

– Margaret, strasznie cię przepraszam, jest już po godzinach, a ja nie zauważyłem upływającego czasu. Musiałem jednak wszystko przejrzeć dzisiaj, bo jutro mnie nie będzie i nie wiem, kiedy znowu przyjadę. I znowu wszystko spadnie na was. Mam jednak nadzieję, że wkrótce to się skończy, a nowo zatrudnione osoby trochę was wyręczą w obowiązkach. A ty powinnaś już dawno wyjść z pracy. Chodź, podwiozę cię – to mówiąc, wziął marynarkę z oparcia fotela i wstał zza biurka.

– Nie trzeba, Hubercie. Mam na dole na parkingu swoje auto. Już dawno nie jeżdżę autobusami. Stać mnie na jeżdżenie samochodem. Płacisz mi wystarczająco dobrze – odpowiedziała z uśmiechem.

Kiedy podjechał pod swój dom, dochodziła dziewiąta wieczorem. Jutro w południe miał zarezerwowany lot na Florydę. Stanął przed drzwiami i nie mógł się zmusić, żeby wejść do pustego domu. Postanowił przejść się jeszcze przed snem, aby potem łatwiej zasnąć. Zbyt wiele rzeczy w domu przypominało mu o Mai. Nie dawało mu to spokoju.

Rozejrzał się wokoło i zobaczył światło w salonie Irene. Tak dawno nie rozmawiał z sąsiadką. Chętnie by do niej wstąpił na chwilę. Ale co będzie, jeżeli powie wszystko o Mai, kiedy sąsiadka dowie się o planowanej przez niego jutro wyprawie? I kiedy Maja nie dopuści do tego, żeby mogli chociaż porozmawiać? Z drugiej jednak strony nie zniesie

dzisiaj samotności.

Przeszedł przez ulicę i zatrzymał się przed drzwiami domu Irene, niepewnie naciskając dzwonek. Po chwili drzwi się otworzyły i stanęła w nich sąsiadka.

W pierwszej chwili spojrzała na niego zdziwiona, na jej twarzy pojawił się wyraz zaniepokojenia, podobnie jak przed kilkoma godzinami na twarzy Margaret.

– Hubert, wróciłeś! Kiedy?

– Wczoraj. Masz wolną chwilę? Moglibyśmy pogadać?

– Jasne – odpowiedziała, otwierając przed nim szeroko drzwi.

Weszli do salonu. Irene oglądała jakiś serial w telewizji, na stoliku przy fotelu stał kubek gorącej herbaty.

– Napijesz się czegoś? – zapytała.

– A masz coś mocniejszego?

– Chyba tylko burbona. Masz ochotę?

– Poproszę.

Nalała do dwóch szklaneczek, jedną podała gościowi. Usiadła w swoim fotelu, Hubert zajął kanapę.

– Miałaś jakiś kontakt z Mają? – zapytał po chwili.

– Tak, rozmawiałam z nią kilkakrotnie.

– Czy wszystko u niej w porządku? Wiem, że jest na Florydzie.

Irene przez chwilę była zaskoczona, skąd on to wie.

– Tak, myślę, że czuje się dobrze.

– Jest tam z jakimś mężczyzną? – czuł, że zaczyna brakować mu powietrza.

– Hubert, mimo całej mojej sympatii dla ciebie, Maja nie upoważniła mnie do informowania cię o jej życiu. Nie mogę z tobą o niej rozmawiać, zrozum mnie.

Z rezygnacją pokiwał głową.

– Wiem, przepraszam. Nie przyszedłem tutaj, żeby cię o nią wypytywać. Jutro do niej lecę. Muszę się z nią zobaczyć. Nie mogę bez niej żyć.

Irene patrzyła na niego w zamyśleniu, przygryzając paznokiec kciuka.

– Jak zdobyłeś jej adres?

– Wynająłem detektywa.

Irene pokiwała głową.

– Źle wyglądasz. Zaczynam się o ciebie martwić. Posiwiałeś.

– Tęsknię za nią.

– Co zamierzasz, jak już będziesz na miejscu?

– Nie wiem, nie mam planu. Po prostu chyba jej powiem, że ją kocham, że nie mogę bez niej żyć. I na kolanach będę ją błagać o przebaczenie. Myślisz, że istnieje jakaś szansa dla mnie? Czy w ogóle będzie chciała ze mną rozmawiać?

– Nie wiem, Hubert, naprawdę – Irene odpowiedziała szczerze. – Ale chyba szansa zawsze istnieje. Trzeba mieć nadzieję.

– Błagam cię tylko, nie zawiadamiaj jej o moim przyjeździe. Boję się, że wówczas nie miałbym tyle szczęścia, żeby jej wszystko wytłumaczyć. Uciekłaby przede mną, tak jak to robiła dotychczas.

– Nie zawiadomię jej. Życzę wam jak najlepiej. Uważam, że jesteście dla siebie stworzeni. Każdy może popełnić w życiu błąd. Ważne, aby zdać sobie z tego sprawę, wyciągnąć wnioski i obiecać sobie, że to się więcej nie powtórzy... Cóż, myślę, że ja dałabym ci szansę.

– Pocieszasz mnie. Może jednak będzie dobrze. Z drugiej strony, nie wiem, co zrobię, jeżeli mi nie wybaczy.

Irene milczała, zamyślona. Cóż mogła mu odpowiedzieć?

W tym czasie pod osłoną rozłożystego platanu stała kobieta, ubrana w dres i czapkę bejsbolówkę. Z jej dawnego, wyzywającego wyglądu pozostał jedynie ostry makijaż. I była dzisiaj trzeźwa. Zupełnie.

„Wreszcie wrócił – pomyślała. – Ledwo przyjechał, już poleciał do jakiejś baby”.

Czuła do niego taką nienawiść. Nienawiść połączona z miłością stanowi mieszankę wybuchową. Przez tyle lat miała nadzieję, że będą razem. Przecież kiedyś wydawało się jej, że są dla siebie stworzeni. Kiedyś, ale teraz już nie. I jeżeli ona nie będzie mogła go mieć, nie będzie go miała żadna inna kobieta. Albo nie... On nie będzie miał tej, na której mu najwięcej zależy. Uradowała ją ta myśl. Teraz już tylko musi obmyślić plan zemsty. Plan doskonały. Nie może być w nim błędów. Musi się udać. A wtedy on będzie cierpiał. Do końca życia. Tak jak teraz ona.



I nic nie ukoi jego bólu. A ona będzie się pławić w jego nieszczęściu.

Nadal jednak nie ruszała się z miejsca. Chciała zobaczyć, jak będzie wychodził od tej zdziry, chociaż przez chwilę na niego popatrzeć. Czy to był masochizm? Czy tylko pragnęła podsycić swoją nienawiść? Ale najważniejsze, że miała już plan...

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI MAJA

Temperatury w sierpniu przekraczały codziennie trzydzieści stopni. Podobno nie były jeszcze najwyższe jak na te porę roku. We wrześniu miało być jeszcze cieplej. Raz po raz, szczególnie wieczorami, zdarzały się gwałtowne burze, po których robiło się parno.

Przez pierwsze tygodnie trudno jej było znieść ten klimat, ale powoli zaczynała się do niego przyzwyczajać. I nawet ciąża jej w tym specjalnie nie przeszkadzała.

Zacęła dziewiąty miesiąc. Prawie końcówka. Chciała już przestać być taka gruba, ociężała. Ledwo się ruszała, nogi jej puchły, zmieniły się jej rysy twarzy. Zmieniła się w zasadzie cała, a najbardziej to nos. Wyglądał jak u boksera. Psa boksera. Nie pomagała już Mattowi, nie miała siły. Ciężko jej było w tym upale doturlać się do plaży. Większość czasu spędzała teraz w swoim domu, koniecznie przy włączonej klimatyzacji, albo na zacienionym tarasie, z książką w ręku lub z tabletem na kolanach, przeglądając wiadomości, zazwyczaj z Polski. Z domu wychodziła tylko wieczorami, czasem nad ranem. Szła wtedy do pobliskiego sklepiku po bułki, a potem prosto do Matta. On zazwyczaj jeszcze wtedy spał. Budziła go pukaniem w okno, a potem bez zaproszenia wchodziła do kuchni. Stawiała na kuchence kawiarkę, zaczynała rozkładać talerze, podsmażała kiełbaski albo robiła jajecznicę. Smakowity zapach szybko wypędzał pastora z łóżka. Wchodził do kuchni jeszcze zaspany, rozczochrany, w krótkich szortach i powyciąganej koszulce, zabawnie się przeciągając i czochrając po głowie. Ci mężczyźni w gruncie rzeczy są do siebie podobni. Hubert też tak się czochrał rano, tylko jego czupryna była czarna. Na myśl o nim ponownie poczuła bolesne ukłucie w sercu. Wzdychała głęboko, jakby to miało jej w czymś pomóc, i uśmiechała się serdecznie do Matta.

Nie przyjęła jego oświadczyn. Pomimo całej przyjaźni i czułości, jakie wobec niego żywiła, nie kochała go. Wciąż darzyła uczuciem Huber-

ta, a Matt był jej bezpiecznym portem na rozszalałym sztormowym morzu. Uwielbiała z nim przebywać, rozmawiać, śmiać się. Samo patrzenie na niego każdą kobietę mogło przyprawić o zawrót głowy. Ale nocami nadal płakała w poduszkę z powodu tęsknoty i bólu po stracie Huberta. Czasem śniło się jej, że się ze sobą kochają. A przecież minęło od tego czasu już tyle miesięcy, grubo ponad pół roku. Miała jakby zakodowany w swoim organizmie każdy jego dotyk, każdą czułą pieszczotę. I pomimo że była w ciąży, a może właśnie dlatego, te sny sprawiały, że po przebudzeniu nie mogła uciszyć swego pożądania. I było jej jeszcze gorzej.

Zastanawiała się coraz częściej, czy nie powinna jednak powiadomić Huberta o fakcie, że zostanie ojcem. Przecież dziecko powinno mieć oboje rodziców. Czy ona ma do tego prawo, żeby odebrać Maleństwu możliwość poznania swojego ojca? Ale jeżeli poinformowałyby Huberta, to co dalej? Czy chciałyby, żeby w jakikolwiek sposób uczestniczył w jej życiu, w wychowaniu Maleństwa? I czy Hubert by tego chciał? A co z jej uczuciami? Czy zniosłaby to, że widywałaby go czasami, a nie mogłaby z nim po prostu być? Same znaki zapytania, a kto udzieli jej odpowiedzi?

Często poruszała ten temat z Mattem. Wieczorami, kiedy siedzieli na jej tarasie, albo u niego przed domem, kiedy wreszcie na dworze było czym oddychać, popijali lemoniadę, albo Matt sączył z butelki zimne piwo, pytała go, co powinna zrobić, co on by jej doradził, ale nie jako potencjalny kandydat do jej ręki, tylko jako pastor. Osoba, która jest prawa, która powinna wiedzieć, jak należy w życiu postępować.

Tym razem też powiedziała mu o swoich dylematach. Matt patrzył na nią przez dłuższą chwilę i zastanawiał się nad odpowiedzią:

– Trudno mi udzielić ci obiektywnej odpowiedzi – zaczął. – W swoim imieniu mówię: daj sobie spokój i wyjdź za mnie. Stworzymy kochającą się rodzinę, będziemy o sobie dbać i się nawzajem wspierać. Jako pastor natomiast muszę odpowiedzieć, że Hubert powinien wiedzieć, że będzie ojcem. Choćby tylko dla dobra dziecka.

Spuścił głowę i długo wpatrywał się w swoje bose stopy w japonkach, bawiąc się pustą butelką po piwie. Maja milczała. Myślała. Jakie to niesprawiedliwe, że ona kocha Huberta, a Matt kocha ją. I nikt nie do

stanie tego, czego pragnie. A kogo kocha Hubert?

Spojrzała na Matta kątem oka. Był smutny. Od dnia, kiedy powiedziała mu, że za niego nie wyjdzie, często bywał smutny. Wprawdzie miał nadzieję, jak jej później powiedział, że w końcu go pokocha, ale gdzieś uleciała z niego ta beztroška radość. Często się zamyślał, szczególnie wtedy, kiedy wydawało mu się, że ona na niego nie patrzy. I nadal był dla niej bardzo dobry, czuły, troskliwy. A ona miała coraz większe wyrzuty sumienia, że go tak wykorzystuje. Chociaż... w ciągu ostatnich dni myślała o nim coraz częściej, coraz czulej. Nie dlatego, że zapomniała o Hubercie, albo że Matt zaczynał go jej zastępować. Raczej stał się dla niej równie ważny jak Hubert. Równie? Chyba tak... Może rzeczywiście będzie mogła pokochać go w przyszłości? Może tak byłoby dobrze?

Dzisiaj postanowili pojechać na zakupy po wyprawkę dla Maleństwa. Na dworze było nieco chłodniej, około dwudziestu siedmiu stopni, od morza czuć było przyjemną bryzę. Zapowiadano na południe kolejną burzę. Była niedziela. Matt przed dwunastą miał odprawić mszę, a potem jechali do centrum handlowego, żeby kupić wszystko, co Maleństwu będzie potrzebne. Przecież mogła zacząć rodzić w każdej chwili. Miała już zgromadzonych trochę rzeczy od wiernych z parafii, szczególnie od starszych pań, które dziergały różne ubranka na szydelku czy drutach. Ale były to rzeczy zazwyczaj mało przydatne, raczej takie gadzety. Ona potrzebowała konkretnej wyprawki.

Jak to miała ostatnio w zwyczaju, tak i dzisiaj przyszła do Matta wczesnym rankiem. Nie spał już, krzątał się po kuchni, na kuchence terkotała kawiarka, z której parowała właśnie aromatyczna kawa. Na stole jak zwykle były dwa nakrycia.

Matt ubrany w same szorty stał przy kuchni. Nie zauważył, że przyszła. Zatrzymała się na chwilę w drzwiach, przyglądając się mu z czułym uśmiechem na twarzy.

„Ależ on jest piękny” – pomyślała po raz kolejny. I poczuła w dole brzucha falę ciepła. Po raz pierwszy coś takiego się jej zdarzyło, nie mogła ukryć zdziwienia. W tym momencie Matt odwrócił się w jej stronę, patrzył na nią z konsternacją.

– Coś się stało? – zapytał, podchodząc do niej. Objął ją ramionami i spojrzął jej prosto w oczy. Maja potrząsnęła głową, ale nadal nic nie mówiła. Zapragnęła nagle, żeby ją pocałował. I gdyby wtedy to zrobił, odwzajemniłaby pocałunek. Ale Matt czekał. Jakby wyczuł jej pragnienie, chciał jednak, żeby sama zdecydowała. Żeby była tego pewna. Nie miała dość odwagi. Westchnęła. Poklepała przyjaciela po plecach i podała mu siatkę ze świeżymi, pachnącymi bułeczkami.

– Upiekłam je dla ciebie. Nie było dzisiaj tak gorąco, więc dałam radę. Musisz spróbować.

Czar chwili prysł. I zrobiło się tak jak zwykle. Ciepło, serdecznie, choć iskry uleciały. Miała wrażenie, że Matt był rozczarowany. Ona chyba też, ale coś zaczęło w niej kiełkować.

Wracali z centrum handlowego obładowani zakupami. Udało jej się kupić wszystkie potrzebne rzeczy po rozsądnych cenach. Stracili na zakupy całe popołudnie. Nogi miała opuchnięte, czuła jakby stąpała po poduszce fakira, nabitej tysiącami gwoździ lub raczej szpilek. Ledwo stawiała kolejne kroki. W trakcie zakupów zjedli obiad we włoskiej knajpce w centrum, wypili kawę, trochę odpoczęli, a potem znowu buszowali wśród regałów. Matt był niezwykle pomocny, miał zmysł praktyczny. I zawsze znajdował tańsze towary. Niby to samo, ale po zdecydowanie niższych cenach. Kiedy z naręczem toreb biegli przez parking do samochodu, lunęło jak z cebra. Matt otworzył jej drzwi, pomógł wsiąść do środka, wrzucił pakunki do bagażnika i opadł na siedzenie kierowcy, zaśmiewając się z ulgą. Patrzyła na niego, na jego twarz pokrytą kroplami deszczu, przemoknięte włosy, które pod wpływem wilgoci stały się mniej kręcone, dłuższe i ciemniejsze i miała wrażenie, że widzi go po raz pierwszy. Uśmiechała się. Matt przekrzywił głowę na bok.

– Co? – jakby chciał ją zapytać: „Czy mam lody na nosie?” albo: „Czy się wybrudziłem smarem?”.

– Nic – odpowiedziała, nadal śmiejąc się tym uśmiechem Mony Lisy, a może raczej Madonny.

– Patrzysz na mnie tak jakoś inaczej.

– Właśnie.

- I co?
- Nic. Dziwnie.
- Jak to dziwnie?
- No, właśnie, jakbym cię pierwszy raz widziała.
- I?
- Fajny z ciebie gość.
- I co z nim zrobisz?
- Jeszcze nie wiem.

Przysunął się do niej powoli, takim kocim ruchem. I znowu poczuła to ciepło. Była zdezorientowana. Na samą myśl o Hubercie miała podobne uczucie, nawet większe. Ale z Mattem? Co się dzieje, u licha?

A on nachylił się nad nią, powolnym, zmysłowym ruchem założył jej niesforny kosmyk włosów za ucho. Przenikał ją wzrokiem na wskroś. Nie mogła się ruszyć, nie wiedziała, co ma zrobić. Cokolwiek by nie zrobiła, będzie nie tak. Czowała na sobie jego oddech. I zapach. Mięta pomieszana z zapachem jakiejś męskiej wody toaletowej. Patrzyli sobie głęboko w oczy i wydawało się jej, że zastygli jak posągi, w bezruchu. I trwało to i trwało..., tak długo. A potem Matt nachylił się nad nią i delikatnie pocałował ją w usta. Pocałunek był jak muśnięcie motyla. Ledwo wyczuwalny. Jakby bał się ją spłoszyć, jakby bał się wziąć za dużo. A ona nadal nie mogła się ruszyć i tylko patrzyła.

Nagle ktoś w pobliżu na parkingu ruszył z impetem i z piskiem opon przejechał obok. Odskoczyli od siebie jak spłoszone ptaki. Oboje byli zmieszani. Ale coś się wydarzyło i nie mogli tego zanegować.

Matt ruszył z parkingu, powoli pokonywał kolejne metry w nieustających strugach ulewnego deszczu. Na jego twarzy wycisnął się grymas zadowolenia. Uśmiechał się do siebie, nucił sobie pod nosem, wtórując Norze Jones „Come Away With Me. In the night”. Na dworze zaczynało robić się szaro, ale raczej przez ten deszcz, bo jeszcze nie było zbyt późno.

Pół godziny później podjechali pod dom Mai. Przestało padać. Matt wniósł do wnętrza zakupy, stanął w salonie niezdecydowany.

- Maju...
- Napijesz się czegoś? – usiłowała nie dopuścić do powiedzenia tego, co miał zamiar powiedzieć.

– Taak... Poproszę wodę.

Usiadł na kanapie. Nie wyglądało, żeby miał zamiar wkrótce pójść. A ją ogarnął lęk. Co ma zrobić? Ale się porobiło. Stała w kuchni, jakby zastygła, w jednej ręce trzymała szklanke, w drugiej butelkę wody i myślała o tym pocałunku. Był inny niż pocałunek Huberta. Poczula, jakby kogoś zdradzała. Ale przecież on jej nie chciał. Maleństwo poruszyło się gwałtownie. Było już duże, dlatego każdy gwałtowniejszy jego ruch sprawiał jej ból.

„Czas, żebyś wyrzwał z tej swojej norki – pomyślała. – Albo wyrzwała”.

Krzyknęła bezwiednie, łapiąc się za brzuch. Matt w jednej chwili był przy niej.

– Co się dzieje? – minę miał poważną.

– Nic, nic, jeszcze nie czas. Po prostu Maleństwo kopie teraz coraz rzadziej, bo jest już duże, nie ma za wiele miejsca, ale jak już kopnie, to aż czuję to w piętach – chciała rozładować atmosferę. Uśmiechała się.

Matt podszedł do niej. Zmysłowym, ciepłym ruchem położył swoje dłonie na jej brzuchu, patrzył jej prosto w oczy.

– Zakochałem się w tobie – powiedział cicho. – Nic nie mogę na to poradzić.

– Matt, ja...

– Ciii. Wiem.

I nie prosząc o pozwolenie, nachylił się nad nią i ponownie ją pocałował. Tym razem pocałunek był bardziej zdecydowany, bardziej namiętny. Cały brzuch Mai przylegał do niego, jak nadmuchany balon. I nagle znowu dziecko zaczęło kopać, a przez cienki materiał sukienki Matt poczuł to od razu na swojej skórze. I to było takie intymne, piękne. Uśmiechnęli się oboje.

– Bądź ze mną Maju, proszę. Zrobię wszystko, żebyś była szczęśliwa.

– Ale przecież ty nie możesz tak po prostu tylko być z kobietą. Wszystko u ciebie musi być takie uświęcone. A ja nie jestem święta.

– Mój kościół nie jest taki ortodoksyjny. Kocham Boga, ale gdyby ten fakt uniemożliwiał mi bycie z tobą, to nie mógłbym być pastorem. A poza tym po raz kolejny ci powtarzam, że chcę się z tobą ożenić.

– Ale ja nadal ci powtarzam, że nie jestem na to gotowa.

– Ale przyznasz, że nie jestem ci obojętny. Że zaczynasz coś do mnie czuć. Jeżeli teraz zaprzeczysz i tak ci nie uwierzę.

– Nie, nie zaprzeczę – odpowiedziała i jakoś zrobiło jej się lżej na sercu. Matt nadal obejmował ją ramionami, gładził delikatnie dłonią jej plecy.

– A więc będę nadal czekać, mam czas.

– Zostań ze mną dzisiaj – zaskoczyło ją to, co powiedziała. – Nie mam na myśli żadnego seksu, nie w moim stanie. Chcę tylko, żebyśmy spędzili razem noc, żebyś był przy mnie.

Matt podniósł jej dłoń do ust, pocałował czule jej wnętrze. Był uszczęśliwiony.

– To będzie dla mnie zaszczyt, kochana.

Siedzieli na kanapie, trzymali się za ręce i opowiadali o sobie. Jakby chcieli w ten jeden wieczór poznać całe swoje życie, poznać siebie. A kiedy Maja zaczęła ziewać, każde po kolei poszło pod prysznic, by po chwili spotkać się w łóżku. Czowała ból stóp, cały dzień w ruchu dał jej o sobie znać. Kostki miała tak spuchnięte, że właściwie nie było ich widać. Matt uklęknął obok niej, położył sobie jej stopy na swoich udach i masował, rozcierając i ugniatając każdy ich centymetr. Poczwała ulgę, jakby ktoś przyłożył do nich balsam.

– Mówiłam ci już, że masz magiczne dłonie? – powiedziała, będąc na granicy jawy i snu.

– Oczywiście – zaśmiał się. – Zobaczysz kiedyś, co jeszcze potrafia.

– A czy ty możesz tak o tym rozmawiać?

– A o czym? – udawał zdziwienie. Nagle spoważniał. – Maju, ja nie jestem mnichem. Te sprawy nie są mi obce. Zresztą, nie zawsze byłem pastorem.

„No tak – pomyślała. – Taka uroda musi przyciągać dziewczyny jak lep na muchy”.

– Aha – odpowiedziała tylko i przymknęła powieki. Było jej coraz bardziej błogo. Po chwili poczuła jak Matt układa się delikatnie obok niej. Ostatkiem sił obróciła się do niego twarzą, ujęła jego twarz w swoje dłonie i pocałowała czule. A potem... odpłynęła.



W nocy przebudziła się tylko raz. Właściwie, to niezupełnie się przebudziła, przebywała jakby na granicy świadomości. I zobaczyła kobietę z Tatr. Trwało to może sekundę, w momencie, kiedy niebo rozświetliła kolejna błyskawica. Po prostu stała w progu i patrzyła na Maję.

Ranek był rześki. Całą noc nad Bonita Springs przetaczały się burze. Pioruny waliły w morze, a czarne niebo raz po raz zalewał blask, jakby ktoś włączył lampę stroboskopową. Powietrze ochłodziło się na tyle, że człowiek miał ochotę do życia. Przeciągnęła się w łóżku, nie otwierając oczu i poczuła przy sobie Matta. A tak, Matt... Otworzyła oczy. Nie spał już, patrzył na nią, uśmiechając się.

– Cześć – powiedział, szepcząc właściwie.

– Cześć – odszeptala.

– Jak ci się spało? – zapytał.

– Doskonale – nadal szepiała. – Jestem tylko nieziemsko głodna. Czy dla odmiany ktoś inny w tym domu mógłby dziś zrobić śniadanie?

– Z rozkoszą – odpowiedział. Nachylił się nad nią i dotknął ustami jej ust. Nie był to właściwie pocałunek, tylko takie muśnięcie. I znowu poczuła ten prąd w dołku. Chyba się domyślił, co się z nią dzieje, gdyż się roześmiał, pociągnął ją za nos i wyskoczył z łóżka. Była zdumiona. Zdumiona, że czuje się tak dobrze. Jakby była szczęśliwa. Czy była szczęśliwa?

Matt od rana miał zaplanowanych kilka lekcji surfowania z miejscowymi dziećmi, a po południu miał odprawić mszę za duszę jednego z parafian. Obiecał, że przyjdzie w południe na obiad. Do niej na obiad, jeżeli oczywiście nie ma nic przeciwko temu. Oczywiście nie miała.

Kiedy wyszedł, usiadła na krześle w kuchni, postawiła przed sobą szklanke z zimną wodą i trzymając ją w dłoniach, zamyśliła się. Zaczynało być jej dobrze. Tu, na Florydzie, u boku Matta. Zaczynało się tlić w niej uczucie. Pomyślała, że może rzeczywiście to nie jest zły pomysł, żeby stworzyć z nim rodzinę. Wiedziała, że będzie mogła na nim polegać, że będzie dobrym ojcem dla jej dziecka. Że będzie dobry dla niej. I miała nadzieję, że będzie w stanie kiedyś odwzajemnić mu taką miłość, na jaką zasługiwał.

Krzętała się koło południa przy kuchni. Miała ochotę na lekki obiad,

który nie wymagałby długiego stania przy garnkach. Jajka sadzone, ziemniaki z koperkiem i micha sałaty. Tak po polsku. Spoglądała raz po raz na zegarek. Matt spóźniał się już kilkanaście minut. To nie było do niego podobne. Czyżby przedłużyły mu się lekcje? Czy miał jakieś dodatkowe zajęcia? Zawsze dzwonił do niej, jeżeli coś mu nagle wypadło. Wzięła do ręki swoją komórkę, nie było jego numeru na wyświetlaczu w nieodebranych. Nie dzwonił więc do niej. Wybrała jego numer, ale po chwili zgłosiła się automatyczna sekretarka, mówiąca jego głosem: „Tu Matt. Jeżeli nie odbieram, to albo się modłę, albo surfuję. Zostaw wiadomość, oddzwonię”. Ten jego aksamitny głos. Coraz bardziej na nią działał.

Wyszła na taras. Usiadła w bujanym fotelu, który kilka dni temu przyniósł dla niej Matt. Któryś z jego parafian chciał go wyrzucić, a był jeszcze w bardzo dobrym stanie. Ostatnio coraz częściej zaczynała wątpić, że te wszystkie rzeczy są wyrzucane, jak Matt mówił, przez jego rozrzutnych parafian. Pewnie je dla niej gdzieś kupował, a czuł, że nie przyjmie ich od niego wprost, wymyślał więc te małe kłamstewka. Będzie musiał bić się w piersi i kajać przed swoim Szefem.

Musiała przysnąć, bo kiedy otworzyła oczy, mięśnie jej ścierpły. Zdziwiona spostrzegła, że stoją nad nią pani Jones i pan Clark, para starszych parafian Matta. Mieli bardzo zatroskane miny. Widać było, że pani Jones płakała.

– Pani Maju... – odezwał się smutno pan Clark. – Mamy dla pani smutną wiadomość.

Poczuła, że jakaś zmara łapie ją za gardło, nie mogła się ruszyć. Gwałtownie poprawiła się w fotelu, spoglądając na nich przestraszonym wzrokiem.

– Matt nie żyje... – powiedziała pani Jones po chwili, wybuchając płaczem i patrząc z żalem na Maję. – Utonął dwie godziny temu, ratując życie syna Hanksów, tego głupiego chłopaka, który znowu po pijaku poszedł surfować. Chłopak przeżył, a ciało wielebnego wyłowiono przed godziną. Przyszła ogromna fala. Były ostrzeżenia, żeby się nie kąpać. Matt prowadził zajęcia z dziećmi na brzegu, wcale dzisiaj nie wypływali. I kiedy już miał iść do domu, zobaczył, że ten pijany dureń poszedł sur-

fować. Rzucił mu się na ratunek, jego uratował, ale potężna fala rzuciła jego ciałem o skały. Podobno zginął na miejscu.

Jej słowa docierały do Mai jakby z oddali. Nic nie mówiła. Bujała się w fotelu, wpatrzona w dal. Jakby jej to nie dotyczyło. Jakby chciała udać, że wcale jej tu nie ma. Że nie będzie znowu cierpieć. Spojrzała w niebo.

„Tak bardzo mnie nie lubisz? – pomyślała. – Za co tak mnie karzesz, że zabierasz mi i jego? Co ja ci takiego zrobiłam? Nie mogłeś mi go zostawić? Tak bardzo był ci potrzebny? Nie mogłeś wziąć sobie tego chłopaka Hanksów? Nic nie warto ładaco, pijaczyna. Jego zostawiasz, a bierzesz kogoś takiego jak Matt? Gdzie ty masz serce, do cholery, gdzie ty masz serce?”.

Przez następnych kilka dni funkcjonowała, jakby była na haju. Wszystko przepływało obok niej, jakby to nie było jej życie. Czuła się jak osoba po końskiej dawce leków uspokajających. Nawet nie mogła płakać. Nie chciało jej się mówić. Jej twarz nie wyrażała żadnych emocji. Jadła tylko tyle, żeby dziecko przeżyło. Mogła albo spać, albo siedzieć w bujanym fotelu na tarasie i patrzeć w dal. I co chwilę włączała telefon i wybierała numer Matta, tylko po to, żeby posłuchać jego aksamitnego głosu. „Tu Matt. Jeżeli nie odbieram, to albo się modłę, albo surfuję. Zostaw wiadomość, oddzwonię”. „Tu Matt. Jeżeli nie odbieram, to albo się modłę, albo surfuję. Zostaw wiadomość, oddzwonię”. „Tu Matt...”. Kobiety z kółka parafialnego troszczyły się o nią, przynosiły jej jedzenie, sprawdzały, czy zjadła, usiłowały z nią rozmawiać. Gdyby nie one, nie wstałaby chyba z tego fotela, zastygłaby w nim na zawsze.

Poddała się. Nie miała już na nic siły. Gdyby nie Maleństwo, straciłaby chyba resztkę woli życia.

„Matt... Gdzie ty teraz jesteś? Czy patrzysz na mnie z góry? Daj mi chociaż jakiś znak, żebym wiedziała, że gdzieś tam jest jakieś później. Wierzyłeś przecież w to”.

„Tu Matt. Jeżeli nie odbieram, to albo się modłę, albo surfuję. Zostaw wiadomość, oddzwonię”.

Następnego dnia po śmierci Matta uparła się, żeby zobaczyć jego ciało. Nic nie pomogły perswazje pani Jones i pana Clarka. Musiała.

Zaprowadzili ją do zakładu pogrzebowego. Mężczyzna, który ich tam wpuszczał, kilkakrotnie pytał, widząc jej zaawansowany stan, czy zdaje sobie sprawę, jakie to są silne przeżycia. Ona jednak była nieugięta. Nie bała się tego, co zobaczy. Bała się, że nie zobaczy go już nigdy..

Pomieszczenie rozświetlało żółte światło sztucznych świec. Na postumencie leżała otwarta trumna, a w niej ciało Matta.

– Zostawcie mnie z nim samą – powiedziała do pozostałych osób zdecydowanym tonem.

– Ale, pani Maju... – próbowała oponować pani Jones.

– Proszę – z naciskiem powtórzyła Maja. Nie była to prośba, to był rozkaz.

Kiedy wszyscy wyszli, powoli podeszła do trumny. Leżał tam, spał spokojnie. Miał twarz jakby z wosku, cały wyglądał jak figura woskowa. Nigdy przedtem nie oglądała umarłego człowieka. Zawsze myślała, że będzie się bała. Teraz przepelniała ją jedynie rozpacz. Dotknęła delikatnie jego splecionych dłoni. Były takie zimne, jakby dotykała posągu. A jeszcze niedawno trzymał je na jej brzuchu, zakładał jej niesforny kosmyk włosów za ucho, masował jej zmęczone stopy. A teraz leżą tu takie nieruchome. I już nigdy jej nie dotkną. Dlaczego wcześniej nie dała mu szansy? Zamiast tęsknić za mrzonkami, za Hubertem, który już nigdy nie wróci, miała go tak blisko i odtrącała jego miłość. A teraz co? Co robi bez niego?

I nagle coś jakby w niej pękło. Wydała z siebie potężny szloch, wycie wręcz. Pochyliła się nad trumną, przytuliła swoją twarz do twarzy Matta. Czowała na policzkach jego włosy, których dotyk jako jedyny pozostał taki sam, jak za życia. Całowała jego martwe czoło, dotykała jego zimnej twarzy. I nie wie, jak długo by to trwało, gdyby nie pani Jones i pan Collins, którzy siłą ją stamtąd wyprowadzili. Przestała szlochać, choć nie reagowała na bodźce zewnętrzne. Postawiona w miejscu, po prostu tam stała. I mogłaby tak stać przez cały dzień, gdyby nogi nie odmawiały jej posłuszeństwa. Nie było innego wyjścia. Pan Collins zawiózł ją do szpitala.

Spędziła tam cztery dni. Zaaplikowano jej leki uspokajające, które nie szkodziły Maleństwu. Przydzielono jej psychologa, kobietę w jej wieku, która po prostu zmusiła ją, żeby wylała z siebie wszystkie zale.

Nie było to trudne. Tama wreszcie została otwarta. Momentami trudno było zatrzymać rzekę słów. I pani psycholog nawet nie przeszkadzało, że część z nich była po polsku. Ważne, że rzeka płynęła.

Nie było jej na pogrzebie Matta. Lekarz nie wyraził na to zgody. Bał się o dziecko. Zbyt silne emocje mogłyby zbyt mocno ją wstrząsnąć. Nikt jej nawet nie powiedział, kiedy będzie pogrzeb i o której godzinie. Nie mogła im później tego darować.

Po czterech dniach wypisano ją ze szpitala. Maleństwo jeszcze nie chciało pojawić się na świecie. Jeszcze nie nadeszła na to pora.

Pan Collins przywiózł ją do domu. W środku wszystko było wysprzątane. Lodówka zaopatrzona, a na kuchence stała przygotowana dla niej na obiad zapiekanka. Nie spotkała się dotąd z taką serdecznością i troską ze strony obcych ludzi. Usiłowała się uśmiechać, podziękowała, nawet zjadła przy nich trochę. A kiedy w końcu wszyscy sobie poszli, przebrała się w sukienkę, którą Matt lubił najbardziej, zerwała kilka kwiatów ze swojego ogródka i poszła na cmentarz.

Bez trudu odnalazła jego grób. W jego miejscu była po prostu góra kwiatów, a wśród nich umieszczona została tabliczka z napisem: „Matthew Simons. Pastor. 1985–2016”. Obok grobu znajdowała się prowizoryczna ławeczka. Przysiadła na niej. Chciała z nim jeszcze porozmawiać.

– Matt – powiedziała cichym głosem. – Tak żałuję, że nie dałam ci szansy. Że wcześniej nie przejrzałam na oczy. Mogłam cię uszczęśliwić. Nie wiedziałam, co do ciebie czuję. Dopiero twoja śmierć mi to uświadomiła. Często jest tak, że nie widzimy brylantu, który turla nam się pod nogami, a kopujemy w ziemi w poszukiwaniu węgla. Ty byłeś moim brylantem. Nigdy cię nie zapomnę, zawsze będziesz w moich myślach. Pokochałam cię, Matt. I zawsze będę cię kochała.

Powietrze wokół zrobiło się jakby chłodniejsze, powiewał delikatny wietrzyk, pieszcący jej ciało. Chciała wierzyć, że to jego dotyk, że w ten sposób daje jej znak, że jest przy niej. I zrobiło jej się lżej na sercu. Uśmiechnęła się i spojrzała w niebo. Siedziała tak dość długo, wpatrzona w błękit, z delikatnym uśmiechem na twarzy. Po policzkach spływały jej łzy. A wiatr delikatnymi muśnięciami pieścił jej twarz.

Minęło kilka dni. Codziennie po kilka razy chodziła na cmentarz, ale wiedziała, że są to ostatnie jej dni z Mattem. Podjęła decyzję o powrocie

do Polski. Póki jeszcze ma za co wrócić. Pieniądze od Claire i Johna powoli topniały, nie mogła zbyt długo zwlekać z wyjazdem. Za pięć dni miała termin porodu. Jak tylko urodzi i Maleństwo będzie w stanie podróżować, wraca. Wiedziała, że obojętnie, co by się stało, zawsze może liczyć na pomoc Blacków, ale nie chciała z niej korzystać. Dopiero wczoraj zadzwoniła do Claire i Irene, i opowiedziała im, co się stało. Obie chciały od razu do niej przyjechać, ale stanowczo odmówiła. Nie chciała teraz nikogo widzieć. Chciała być sama, potrzebowała spokoju. Umówiły się, że jak tylko będzie potrzebowała ich pomocy, natychmiast zadzwoni. I zapewniła, że nie jest tutaj sama, że ma wokół siebie życzliwych ludzi. To była prawda.

Powoli zaczynała pakować swoje rzeczy. Te, których nie będzie potrzebowała po urodzeniu dziecka. Porządkowała także rzeczy Matta. Nie miał tego wiele, nie przywiązywał wagi do rzeczy materialnych. Znalazła jednak sporo zdjęć i one stały się dla niej największym skarbem.

Wśród swoich rzeczy znalazła list od Huberta. To nie tak, że o nim zapomniała. Początkowo nie chciała go otworzyć, gdyż bała się jeszcze większego cierpienia. Poza tym przepełniał ją żal. Później, kiedy miała obok siebie Matta, chyba podświadomie lękała się, że list może zawierać coś, co sprawi, że będzie musiała stąd wyjechać. A nie wiedziała tak do końca, czy tego chce. Bała się, że cokolwiek by było w tym liście, sprawiłoby jej to wielki ból. A teraz? Obracała list w palcach. Jakie obecnie mógł mieć dla niej znaczenie? Po minionym czasie cokolwiek w nim było, i tak nie było już ważne.

Mijało popołudnie. Dzisiejszy dzień był przyjemny. Na niebie pojawiło się trochę chmur i sam fakt, że słońce raz po raz się za nimi chowało, sprawił, że nie odczuwała takiego skwaru. Założyła na głowę słomkowy kapelusz, na oczy ciemne okulary i powoli ruszyła w stronę plaży. Na szczęście jej dom dzieliła od niej tylko odległość jednej przecznicy i na dodatek ulica była ocieniona drzewami – rosły wzdłuż niej palmy i jeszcze jakieś inne drzewa liściaste, ale zupełnie nie miała pojęcia, jak się nazywają. W Polsce takich nie było. Ważne jednak, że można było skutecznie skryć się w ich cieniu. Szła powoli. Była już na tyle gruba, że chodzenie nie przychodziło jej łatwo. Kiedy po kilkunastu minutach dotarła na plażę, sapała jak lokomotywa. Zdjęła swoje japonki, weszła na

ciepły piasek i podeszła do brzegu. Plaża była prawie pusta. W oddali widziała jedynie spacerującą parę młodych ludzi. Trzymali się za ręce i wyglądali na bardzo szczęśliwych. Ileż by dała, żeby cofnąć czas. Żeby nie puścić Matta w tym dniu nad morze. Żeby zatrzymać go przy sobie pod byle pretekstem. Dlaczego nie miała żadnych przeczuć? Niczego nie przewidziała. Dlatego że nie kochała go wystarczająco? Weszła do wody, przyjemnie chłodne fale dotknęły jej kolan. Dół sukienki miała cały mokry, ale nie zważała na to. Ociekający wodą materiał miło ochładzał jej rozgrzane ciało, przyłgnał do jej nóg. Wyjęła z torebki, którą miała przewieszoną przez ramię, list od Huberta. Spojrzała na kopertę, przyłożyła ją do policzka i potarła delikatnie dłonią. Po czym, nie otwierając jej, podała list na drobne kawałeczki i rzuciła w morze. Przez chwilę patrzyła, jak skrawki papieru odpływają w dal, unoszone przez fale, aby po chwili zupełnie zniknąć, przykryte przez spienioną wodę.

Czuła, że poród już się zbliża. Brzuch miała niżej, dziecko ruszało się bardziej leniwie, od dwóch dni pobołowała ją okolica krzyża. I raz po raz czuła w dole brzucha jakieś napięcie, chyba to były skurcze, ale na razie delikatne, trudno je nawet było nazwać bólem. Pakowała właśnie torbę, którą zamierzała zabrać do szpitala na czas porodu. Siedziała na łóżku i układała swoje ubrania, gdy ktoś zapukał do drzwi. Z trudnością wstała. Każdy wysiłek sprawiał jej teraz spory problem, taka była gruba. Poczłapała do drzwi z myślą, że to pani Jones znowu przyniosła jej coś do jedzenia. Otworzyła je szeroko i... serce przestało jej bić.

Za drzwiami stał Hubert. Kiedy ją zobaczył, w takim stanie, na jego twarzy odmalował się wyraz szoku. Stali tak oboje, żadne nie było w stanie wykonać jakiegokolwiek ruchu. Nagle Maja poczuła, że po nogach cieknie jej coś ciepłego. Spojrzała w dół i zobaczyła na podłodze powiększająca się kałużę jakiegoś płynu. Jej plecy przeszył rozdzierający ból, złapała się za brzuch, musiała oprzeć się o ścianę, inaczej by upadła. Hubert doskoczył do niej, przytrzymał ją mocno.

– Zaczęło się – wysapała. – Zawieź mnie do szpitala.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

### HUBERT

Wysiadł na lotnisku, od razu owiało go rozgrzane powietrze. W Chicago było gorąco, ale tutaj panował istny żar. Odnalazł swój bagaż i ruszył do biura wynajmu samochodów. Miał zarezerwowanego forda, wystarczyło tylko zgłosić się po kluczyki. Po kilkunastu minutach jechał już drogą szybkiego ruchu w kierunku Bonita Springs.

Był coraz bardziej zdenerwowany. Pociły mu się ręce, zaczynało mu brakować tchu. Gdyby był kobietą, pomyślałby, że jest na progu hysterii. GPS nastawiony na adres, pod którym powinien znaleźć Maję, wskazywał pięć mil do celu podróży. Albo za chwilę przeżyje wielkie rozczarowanie, albo wreszcie ją zobaczy. Czy jednak będzie chciała z nim rozmawiać? W kółko cisnęły mu się do głowy te same pytania, te same wątpliwości. Co będzie, gdy...

Kiedy GPS ogłosił miłym kobiecym głosem, że cel podróży został osiągnięty, zobaczył mały żółtawy domek okolony białym, drewnianym tarasem. Zadbany ogródek przed nim pysznił się feerią barw posadzonych tam kwiatów. Wszystko było pięknie wypielęgnowane, wręcz idealne. Od razu zobaczył w tym rękę Mai.

Zawahał się. Co dalej? Ma tak po prostu stanąć przed drzwiami, zadzwonić i powiedzieć: „Cześć, jestem, cieszysz się?”. To bez sensu. Przecież ona nie będzie chciała go widzieć, zatrzaśnie mu drzwi przed nosem. Ale po to przeleciał taki kawał Stanów, żeby teraz stchórzyć tuż przed progiem? Nigdy nie był lękliwy. Był idiotą, ale nie tchórzem.

Wysiadł z samochodu. Serce waliło mu jak młot, miał wrażenie, że cała ulica to słyszy. Powolnym krokiem podszedł do drzwi. Zadzwoił. Cisza. Już myślał, że nikogo nie ma w środku, ale po chwili usłyszał ciężkie, powolne kroki. Drzwi się otworzyły i ukazała się w nich ciężarna kobieta. Nie poznałby jej, gdyby nie te rude włosy i zielone oczy, które wpatrywały się w niego zdumione. A on nie mógł się ruszyć z miejsca. Patrzył na twarz Mai, tak zmienioną w tej chwili. Oboje byli



w równym stopniu zaskoczeni, Maja – obecnością Huberta, Hubert – stanem Mai. Jest w ciąży!?! Czyje to dziecko? Czyżby jego? Zaraz, zaraz... To może być jego dziecko. Już chciał otworzyć usta i coś powiedzieć, kiedy Maja z przerażeniem spojrzała w dół, a potem jęknęła, złapała się za brzuch, oparła się o ścianę, zerknęła na niego i wyjęczała zbolalym głosem:

– Zaczęło się. Zawieź mnie do szpitala.

Na szczęście na ulicach nie było wielkiego ruchu, gdy tak pędził samochodem. Maja pomiędzy skurczami wykrzykiwała tylko kierunki jazdy – w prawo, w lewo, szybciej. Bał się, że może nie zdążyć, ale przecież nie można urodzić pierwszego dziecka tak szybko. Zazwyczaj to trwa i trwa. Wreszcie zobaczył na końcu drogi budynek ze znakiem szpitala nad drzwiami. Z piskiem opon wyhamował przed głównym wejściem, wypadł z samochodu i wpadł do holu.

– Na pomoc, szybko! Ona rodzi! – wrzasnął, ile sił w gardle i pędem wrócił do auta.

Po chwili pędzili już szpitalnym korytarzem. Maja wieziona na wózku przez sanitariusza, on trzymający ją za rękę, biegnący obok wózka. Przed nimi otworzyły się szeroko drzwi porodówki i sanitariusz zapytał:

– Chce pan być przy porodzie? To pan jest ojcem?

Nie wiedział co odpowiedzieć. Spojrzał na Maję. Walczyła akurat z kolejnym skurczem. Kiwnęła tylko głową. Nie puszczała jego ręki, jej palce boleśnie wpijały się w jego skórę, ale nie reagował na to. W tej chwili zniósłby każdy ból, byleby tylko jej ulżyć. Byle być przy niej.

– Nie zostawiaj mnie teraz, draniu – wysyczała przez zaciśnięte zęby, jeszcze mocniej ściskając jego rękę.

– Nie zostawię cię, już nigdy cię nie zostawię – odpowiedział żarliwie.

A potem sprawy potoczyły się błyskawicznie. Właściwie zupełnie nie miał na nie wpływu. Maję położono szybko na łóżku, ktoś inny podał mu fartuch, włożył do rękawów swoje ręce, jakieś inne ręce zawiązały mu go na plecach. Kiedy spojrzał znowu na Maję, była podłączona do jakichś medycznych urządzeń. Do jej brzucha przyklejone były elektrody, od których liczne kabelki prowadziły do urządzenia wydającego szybkie, jakby szumiąco-chuchające dźwięki. Jak się wkrótce okazało, to

słysząc było bicie serca dziecka. Jego dziecka? Nie czas był teraz na takie pytania. Najpierw Maja musi sobie poradzić z porodem, a później będą mogli porozmawiać.

Po chwili Maję zasłonięto parawanem, miała ją zbadać lekarka, a jemu kazano usiąść na krześle pod oknem. Kiedy zakończy się badanie, będzie mógł podejść do żony. Do żony, tak powiedziano. Chciałby. Pragnąłby tego z całej duszy. Tymczasem zza parawanu dochodziły go jej pojękiwania i odgłosy prowadzonej rozmowy z lekarzami. Nie mógł jednak rozróżnić słów. Zaczął odzyskiwać panowanie nad sobą. Szok zaczął ustępować miejsca zdumieniu. Jeżeli to jego dziecko, to nie będzie posiadał się z radości. Zawsze pragnął zostać ojcem. Ale co będzie, jeżeli ono jednak nie jest jego? Jeżeli Maja mu wybaczy, to czy będzie chciał wychowywać obce dziecko? Do jasnej cholery, nad czym on się w tej chwili zastanawia? Najważniejsze, żeby mu przebaczyła, a potem zda się na to, co przyniesie los.

– Może pan już wejść – powiedziała pielęgniarka, wyłaniając się zza parawanu. – To już nie potrwa długo. Rozwarcie jest już na dziewięć centymetrów, podejrzewam, że uwiniemy się w pół godziny. Proszę być teraz przy żonie i wspierać ją.

Po tych słowach podeszła do biurka i przeglądała jakieś dokumenty. Powoli przybliżył się do Mai, przysunął sobie krzesło do jej łóżka, wziął ją za rękę. Miał wrażenie, że ona zupełnie nie wie, co się wokół niej dzieje, tak była skupiona na swoim bólu. Nie mówił do niej nic, tylko głaskał delikatnie jej dłoń.

– Krzyż, tak boli mnie krzyż – wyszeptała pełnym cierpienia głosem. Usta miała spękane, twarz wykrzywił grymas potwornego bólu. – Mam wrażenie, że ktoś rąbie siekierą po moim krzyżu. I nie ma żadnych przerw. Najwyżej momentami boli trochę mniej. Hubert, nie wytrzymam tego dużej.

Poczuł się bezradny. Na jej czole pojawiły się krople potu, z oczu popłynęły łzy.

– Odwróć się, kochanie, na bok, pomasuję ci plecy, może to ci ulży – słyszał, że taki masaż może pomóc rodzącej.

Przyłożył dłonie do dolnej części jej pleców i zdecydowanymi kolistymi ruchami ugniatał tę okolice. Chciał przekazać jej całą swoją ener-

gię, swoją siłę. Po chwili podeszła do nich pielęgniarka położna, zbadała Maję i kazała odwrócić się na plecy.

– Nie może pani już leżeć na boku, bo dziecko się źle ułoży. Zresztą za chwilę rodzimy. – Uśmiechnęła się do zbolalej dziewczyny. – Jeszcze troszkę i będzie was trójka.

Po tych słowach zaczęła przygotowywać miejsce do przyjęcia dziecka. Kazała Hubertowi usiąść przy głowie żony, zawołała do drugiej pielęgniarki, żeby zadzwoniła po panią doktor.

– Przyj! Przyj! – wołała raz po raz położna.

Maja była purpurowa z wysiłku. Nigdy by nie przypuszczał, że to takie potworne cierpienie dla kobiety wydać nowego człowieka na świat, taki wielki wysiłek. Miał w pewnej chwili wrażenie, że to się nigdy nie skończy. Jednak po kilku skurczach partych usłyszeli doniosły krzyk.

– Chłopiec! – oznajmiła z radością położna. – Macie państwo synka. Dorodny mężczyzna. Waży cztery kilo sto czterdzieści gram. Chłop na schwał – to mówiąc, położyła maleństwo na Mai piersiach. A ona płakała rzewnymi łzami, tuląc chłopczyka do siebie.

– Jakie imię mu państwo dajecie? – zapytała położna, pochylając się nad dokumentami.

– Matthew – odpowiedziała bez wahania Maja.

„Matthew, ładne imię” – pomyślał Hubert. Stał obok łóżka i patrzył na tych dwoje, a serce przepelniała mu radość i niepewność jednocześnie. Położna podeszła do Mai, wzięła dziecko, obmyła, ubrała w tak maleńkie ubranka, że nie mógł uwierzyć, że może się w nich zmieścić jakiś człowiek, choćby tak mały jak Matthew.

– Proszę, teraz tata potrzyma małego, a my zajmiemy się mamą – powiedziała, nadal się uśmiechając i podała mu małe zawiniątko. Stał nieruchomo, niezdolny do jakiegokolwiek ruchu. Bał się nawet oddychać. Maja patrzyła na niego wzrokiem pełnym szczęścia, ale i niepewności.

– Czy on jest mój? – wyszeptał.

Maja tylko kiwnęła głową. I nagle coś w nim pękło. Nie mógł dłużej stać na nogach, czuł, że może upaść. Usiadł gwałtownie na krześle, nadal ściskając w ramionach chłopczyka i z jego piersi wyrwał się szloch. Po prostu płakał rzewnymi łzami. Łzami szczęścia. Jego syn! To niepraw-

dopodobne! Nie dość, że odnalazł swoją ukochaną Maję, to jeszcze ma syna! Takiego pięknego, zdrowego, dorodnego chłopca. I był przy jego narodzinach. Czy może być większe szczęście?

Maja słabym ruchem wyciągnęła do niego rękę. Dotknął jej swoją dłonią, spleli swoje palce i płakali oboje.

– Maju, najdroższa, wybaczysz mi? Wszystko ci wytłumaczę. Błagam – wyszeptał.

Maja tylko przymknęła powieki, nieznacznie kiwnąwszy głową. Była taka słaba.

Po niespełna pół godzinie Maję z małym Mattem przewieziono na salę poporodową. Matt został ułożony w łódeczku, a Hubert dostał wygodny fotel. Przysunął się do łóżka Mai, ujął ją za rękę. Znowu spleli palce swoich dłoni i czuli przepływające między nimi ciepło. Maja drzemała, a on czuwał. Przysunął sobie z drugiej strony łódeczko Matta, a właściwie to nie łódeczko, tylko jakąś taką małą kołyskę na wysokich kółkach, przypominającą wózek w supermarkecie. Patrzył na nich oboje. Mały miał ciemne włoski, dość bujne, jak na noworodka. Nie był rudy, był brunetem, tak jak tata. Poczł dumę. Jak tata... Spali tak spokojnie, zmęczeni tym całym porodem. Po chwili i on przysnął. Co tu dużo mówić, też miał za sobą ciężki dzień. Podróż z Chicago, stres przed spotkaniem z Mają, a potem ta cała akcja. Oczywiście pochrapywał, zasnąwszy głęboko. Przebudził go płacz Matta. Początkowo było to ciche kwilenie, ale po chwili mały pokazał, na co go stać. Rozkrzyczał się pełną parą. Hubert wstał z fotela i chciał podać małego Mai, ale w tym momencie do pokoju weszła położna.

– Zanim matka zacznie chłopca karmić, musi pan zobaczyć, czy nie trzeba go przewinąć. Pokażę panu, jak to się robi.

I szybkimi ruchami położna obracała wrzeszczącego Matta, a potem kazała Hubertowi powtórzyć te czynności. Kiedy wziął go w dłonie, takiego golutkiego, a chłopiec spojrział mu prosto w oczy, Hubert ponownie nie mógł pohamować łez. Kochał ich bezgranicznie, teraz ich oboje. Maja przyglądała się tej scenie z zadumą. Uporawszy się wreszcie swoimi wielkimi dłońmi z tymi malutkimi ubrankami i pieluszkami, podał zawiniątko Mai. Położna nadal była przy nich, taka życzliwa i ciepła. Maja odsunęła koszulkę nocną i przystawiła małego do piersi.

Ten, kręcąc głową w różne strony, nie mógł jej złapać.

– Niech pan pomoże mamie, proszę przytrzymać pierś i nakierować główkę dziecka – poradziła położna.

Kiedy dotknął Mai piersi poczuł wybuch żaru w swoim podbrzuszu. Była taka duża, ciepła. Tak dawno jej nie dotykał. Musiał szybko opanować to uczucie. Nie czas i miejsce na to. Matt w końcu złapał sutek i zaczął ssać z zapałem, postępując co chwila i robiąc sobie odpoczynek. Na twarzy Mai zagościł uśmiech szczęścia. Hubert także się uśmiechał, patrząc na nich oboje, gładząc Maję po włosach, dotykając jej policzka. A ona nie odtrącała jego ręki, była jak Madonna z dzieciątkiem.

Mały ssał pierś i przysypiał, i tak na zmianę. Mógłby tak spędzić cały dzień. W końcu jednak Mai ścierpły ręce.

– Czy możesz go potrzymać w pozycji pionowej, żeby mu się odbiło, a potem położyć do łóżeczka? – zapytała po chwili. I było to zupełnie naturalne, jakby nie dzieliło ich te kilka miesięcy rozstania.

Hubert wziął Matta na ręce. Jego buzia lśniła od resztek pokarmu. Obmył mu ją zwilżoną chusteczką, potrzymał przez chwilę, aż z jego ust wydobyło się zdrowe beknęcie, po czym położył go do łóżeczka.

– W zewnętrznej kieszonce w mojej torebce są klucze od domu. Jedź i prześpij się trochę. Ręczniki znajdziesz w komodzie w mojej sypialni – mówiąc to, Maja patrzyła na niego z lękiem, jakby do końca nie wierzyła, że Hubert jest obok niej.

– Zostanę jeszcze z wami, posiedzę tu trochę, pomogę ci.

– Hubert, jest już noc. My się trochę prześpijemy. Odpocznij, wrócisz rano... jeżeli będziesz chciał – dodała po chwili.

– Będę chciał – odpowiedział z żarem. – Uwierz mi, nigdy więcej was nie opuszczę. Jeżeli tylko mi na to pozwolisz.

Była głęboka noc, kiedy podjechał pod dom Mai. Był tak nabuzowany adrenaliną, że wcale nie chciało mu się spać. Usiadł na tarasie w bujanym fotelu i patrzył w rozgwieżdżone niebo. Chyba nigdzie nie widać tyłu gwiazd, co tu, na południu. I świecą tak intensywnie. Wokoło cykały cykady, ale nie był to tak natarczywy dźwięk, jak ten, który czasami wydają, lecz taka delikatna muzyka.

Tyle spotkało go dzisiaj szczęścia. Został ojcem, to niesamowite. Żałował tylko, że nie był z Mają przez cały okres ciąży, że nie jeździł z nią

na badania, nie obserwował, jak Matt rozwija się w jej brzuchu, nie troszczył się o nią. Ale cóż, sam jest sobie winien, powtarzał sobie to w kółko w myślach. I tak spotkało go więcej szczęścia, niż na to zasłużył.

W końcu poczuł zmęczenie. Wszedł do domu, zapalił światło. Rozejrzał się wokoło. Niewielki salonik połączony z kuchnią, mała łazienka i taka sama sypialnia. I oczywiście wszędzie nieskazitelny porządek. Włączył klimatyzację w salonie. Wszedł do sypialni w poszukiwaniu ręczników. Po całym dniu w tym upale nie myślał teraz o niczym innym jak tylko o zimnym prysznicu.

Na stoliku nocnym stało zdjęcie mężczyzny. Duże zdjęcie w metalowej ramce przedstawiało może trzydziestoletniego faceta z kręconymi włosami koloru blond, opalonego przystojniaka z roześmianymi błękitnymi oczami. Poczul, jak krew odpływa mu z mózgu. Usiadł na łóżku, nie mógł dłużej stać.

„Kto to jest, u licha? – zastanawiał się. – Jest więc jeszcze ktoś w jej życiu. Ale przecież potwierdziła, że Matt jest jego. No i gdzie jest teraz ten facet? Jeżeli ich coś łączy, to przecież powinien być przy niej, kiedy rodziła. Całe szczęście z niego uleciało. No, może nie całe, ale poczuł się bardzo niepewnie, przestraszył się. I znowu miał gonitwę myśli w głowie. No, ale z drugiej strony...”

Muszą jutro porozmawiać. Kiedy Maja poczuje się lepiej, muszą sobie wszystko wyjaśnić. Od tego trzeba zacząć. I nie ma co gdybać. Przecież nie dałaby mu kluczy do swojego domu, gdyby go nie chciała widzieć, gdyby chciała go przepędzić ze swojego życia. I wierzył jej, że Matt jest jego. Muszą tylko porozmawiać...

Długo stał pod prysznicem, pozwalając chłodnej wodzie studzić jego nagrzane ciało. I umył. Wytarł się ręcznikiem do sucha i nago położył się do łóżka. Wtulił nos w poduszkę, czuł delikatny i znajomy zapach Mai. Włożył rękę pod poduszkę, wiedział, co tam znajdzie. Koszulka nocna Mai, zawsze ją tam chowała. Pachniała jeszcze intensywniej „Lancome Miracle”. Wtulił się w nią i tak zasnął.

I przyśniła mu się kobieta, którą widział w nocy w Żegutkowie, która śniła mu się tam, a była taka realna. Tym razem stała i uśmiechała się do niego promiennie. Nic, tylko się uśmiechała...

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY MAJA

Obudziło ją nad ranem kwilenie Maleństwa. Nie, już przecież nie Maleństwa, Matta.

„Mały Matt – pomyślała. – Jakież to życie zatacza kręgi. Umarł jeden Matt, narodził się drugi. Życie za życie”. Nie planowała zupełnie, że tak go nazwie. Po prostu pierwszą myślą, jaka ją naszła, kiedy położna zapytała o imię dla dziecka, była ta – Matthiew. Szkoda, że nie wierzyła w reinkarnację, może wtedy byłoby jej łatwiej?

Wstała z łóżka z trudnością. Cała była obolała. Trudno jej było siedzieć, każdy ruch powodował ból. Ale czego się nie zniesie dla dziecka. Wzięła małego na ręce. Momentalnie zaczął kręcić główką, szukając usteczkami piersi. Położyła synka na stoliku do przewijania.

– Najpierw musisz mieć sucho, potem dopiero dostaniesz jedzonko – przemawiała do niego czule.

„To niesamowite – pomyślała – jak szybko po porodzie pojawiają się uczucia macierzyńskie. I są tak silne”.

Rozwinęła Matta z ubranek, musiała go przebrać całego, ułał i pobrudził koszulkę. Dopiero teraz zauważyła, że mały ma na prawej łopatce znamię, przypominające pająka wytatuowanego na lewej łopatce Huberta.

„Co za fantastyczny zbieg okoliczności” – pomyślała. Usiadła z małym w fotelu, przystawiła go do piersi i patrzyła z miłością, jak łączywie ssie. Bawiła się jego ciemnymi włoskami. Miał taki sam kolor włosów jak Hubert. Nie... Hubert teraz posiwiiał, bardzo. Całe skronie miał szpakowate. I wyglądał na zmęczonego. Hubert...

Oparła głowę o podglówek fotela. Matt to ssał pierś, to przysypiał, postępując słodko. A ona myślała o Hubercie. Doznała szoku, kiedy go zobaczyła. Nie przyszłoby jej do głowy, że może się tu zjawić, że będzie jej szukał. Był ostatnią osobą, którą spodziewałaby się tu zobaczyć. To zapewne z powodu tego nagłego pojawienia się Huberta zaczęła rodzić.

Nie zdążyłaby do szpitala, gdyby nie on. Co innego, gdyby żył Matt... Znowu poczuła, że ma oczy pełne łez, jedna z nich kapnęła na główkę małego. Starła ją delikatnie kciukiem. Podniosła głowę i zobaczyła w drzwiach Huberta. Nie wiedziała, jak długo tam stał. Minę miał trochę niepewną, jakby nie wiedział, wejść czy się wycofać. Maja dyskretnie otarła łzy, ale była przekonana, że i tak je widział.

– Mogę? – zapytał cicho, nie chcąc zbudzić Matta.

Kiwnęła głową.

– Nie musisz mówić szeptem, jemu to nie przeszkadza.

Podszedł do nich, uklęknął obok fotela i kciukiem głaskał Matta po główce. Miał takie duże dłonie. Takie piękne, kochane dłonie, które usiłowały sprawić jej ulgę, masując plecy w czasie porodu. Tak za nimi tęskniła. Znowu zaczęły jej spływać łzy po twarzy.

– Kochanie, nie płacz, błagam. Nie chcesz mnie tu widzieć? Mam wyjść? – zapytał z udręką w głosie.

Pokręciła tylko głową, nie mogła nic powiedzieć. Gdyby wiedział, jak bardzo nie chciała, żeby odchodził.

– Maju, możemy porozmawiać, czy jesteś za bardzo zmęczona? – mówił cicho, jakby bał się ją sploszyć.

– Możemy porozmawiać – odpowiedziała, kołysząc lekko Matta w ramionach.

– Układałem sobie w głowie wielokrotnie, co ci powiem, kiedy wreszcie cię odnajdę – zaczął, przysuwając sobie krzesło do fotela i biorąc ją za rękę. Nie zabrała jej, to już było dużo. – Zanim zacznę opowiadać, musisz wiedzieć, że ani na moment nie przestałem cię kochać. Byłem durniem, to fakt, zwątpiłem w twoje uczucia, dałem się zmanipulować Sarah, ale cały czas cię kochałem.

Maja nie mogła opanować szlochu. Zasłoniła dłonią usta. Mały poruszył się niespokojnie.

– Mogę położyć go do łóżeczka? Nie chcę, żeby budziła go nasza rozmowa. A muszę ci o wszystkim opowiedzieć.

Maja kiwnęła tylko głową. Hubert delikatnie wziął z jej ramion zawiniątko z dzieckiem i ostrożnie położył do łóżeczka. Matt przez chwilę kwilił, chyba mu się śniło, że ssie pierś, bo przez sen posłał niewidzialny



sutek swoimi małymi usteczkami i usnął na dobre. Maja nadal siedziała w fotelu. Podszedł do niej i uklęknął, obejmując jej uda.

– Może zacznę od tego, że Sarah kochała się we mnie chyba od początku naszej znajomości jakąś chorą miłością, jak się później okazało – zaczął swoją opowieść. – Już nawet wtedy, zanim ożeniłem się z jej siostrą. Po śmierci Mary myślała, że będzie ze mną. Ale ja nigdy niczego do niej nie czułem, była dla mnie tylko kumplem. Myślałem, że jest moją przyjaciółką. Często mówiłem jej o moich problemach, prosiłem o kobiecą radę.

I opowiedział jej wszystko, każdy moment swojego życia od chwili, gdy uwierzył Sarah. O Tonim, o zdradzie, która nic dla niego nie znaczyła i której zupełnie nie pamiętał, gdyż tak był pijany. O jego rozpacz, szukaniu jej, o dalszych wyskokach Sarah, łącznie z koniecznością wyrzucenia jej z pracy. O wypadku Jaśka, jego wyjeździe do Polski. O wszystkim. I cały czas mówił, jak bardzo ją kochał, jak za nią tęsknił. A ona płakała, zupełnie nie mogła pohamować łez. Hubert jej na to pozwalał. Musiała dać upust swoim uczuciom. On mówił, a ona bezgłośnie płakała. Na szczęście Matt spał kamiennym snem, mogli wreszcie wszystko sobie wyjaśnić.

– Możesz być z najwspanialszą osobą na świecie, ale jeżeli wątpisz w siebie, wątpisz w swoją wartość, mogą wystarczyć podszepty złych ludzi, żebyś w tę miłość także zwątpił. Tak było ze mną. Musisz się całkowicie otworzyć, żeby prawdziwie kochać, a kiedy to zrobisz, będą momenty, że będziesz cierpieć, ale to jest właśnie życie i trzeba mu stawić czoła, żeby je docenić. Żeby docenić, czym jest szczęście i miłość. A kiedy wreszcie cię odnalazłem, zobaczyłem twój stan, w pierwszej chwili się przeraziłem, że jesteś z kimś innym. I pomyślałem wtedy, że mnie to moje szczęście minęło bokiem. Ale kiedy policzyłem sobie miesiące, miałem nadzieję, że to moje dziecko, że to ja jestem tym farciarzem. Teraz już wiem, potwierdziłaś to. I to jest właśnie dla mnie największe szczęście na ziemi. Maju, tak bardzo kocham was oboje.

– Ja też cię kocham, tak bardzo za tobie tęskniłam. Każdej nocy i każdego dnia byłeś przy mnie. Nie wierzyłam, że jeszcze kiedykolwiek będziemy razem. Myślałam, że mnie nie chcesz. A potem nie miałam za co wrócić do Polski. Claire Black, lekarka, która mnie operowała, zaofe

rowała mi pracę opiekunki do dzieci.

– Wiem, byłem tam, Irene mi powiedziała, gdzie przebywasz. Nie miej do niej żalu. Ubłagałem ją. Opowiedziałem jej wszystko tak szczerze, jak tobie. Ugięła się i dała mi twój adres. Ale gdy tylko tam dotarłem, dowiedziałem się, że wyjechaliście wszyscy na wakacje na Florydę. A ja już wtedy wiedziałem, że Jasiek miał wypadek i musiałem jechać do Polski. No a potem to już detektyw cię znalazł.

– Nie miałam już nadziei, że kiedykolwiek się spotkamy. Ale tak strasznie za tobą tęskniłam – szeptała, patrząc mu prosto w oczy.

– Ale dlaczego nie powiedziałaś mi o ciąży?

– Chciałam. Ale bałam się, że będziesz chciał być ze mną tylko ze względu na dziecko. Hubert, ja naprawdę myślałam, że mnie już nie kochasz. A nie zniosłabym twojej litości.

Hubert zamyślił się, pochylił głowę, bezwiednie gładził Mai rękę.

– Maju, a co to za mężczyzna na zdjęciu w twojej sypialni? – zapytał, podnosząc na nią wzrok. Sprawiał wrażenie, jakby był gotowy przyjąć jakiś wyrok.

Maja zamknęła powieki, przez jej twarz przebiegł grymas cierpienia.

– Myślę, że gdyby nie okrutny los i gdybyś nie pojawił się ty, wyszłabym za niego za męża, pokochałabym go wkrótce szczerą miłością i byłibyśmy szczęśliwą rodziną.

Hubert poczuł, że robi mu się gorąco. A potem dziwnie zimno. Musiał wstać, do tej chwili nadal klęczał przed Mają. Usiadł na krześle.

– Jak to? – zapytał zachrypniętym głosem.

– Z jego powodu tu przyjechałam – zaczęła opowiadać Maja. – Był pastorem, protestanckim pastorem – dodała, widząc zdziwienie Huberta. – Poznałam go, kiedy byłam tu z Blackami na wakacjach. Zginął tydzień temu.

I opowiedziała mu całą historię. Nie pominęła faktu, że cały czas mówiła Mattowi szczerze, że kocha Huberta. Ale też nie kryła, że była już bliska tego, żeby pokochać Matta. Wiedziała, że zaopiekowałby się nią i dzieckiem. Nie ukrywała swojego cierpienia. Hubert widział, jaką tragedią była dla niej śmierć przyjaciela.

– Nazywał się Matthew Simons. Stąd imię naszego dziecka.

Hubert nic nie powiedział. Myślał o tym wszystkim, co dzisiaj od

niej usłyszał. Siedział na krześle pochylony w kierunku fotela, jednym ramieniem otaczał ramiona Mai, drugą ręką trzymał jej dłoń.

– Maju, czy jesteś w stanie mi to wszystko przebaczyć? Czy możesz mi dać szansę naprawienia zła? Pozwól mi proszę zatroszczyć się o was. Przynajmniej ci, że nigdy więcej cię nie zawiodę. A jeżeli będę robił coś głupiego, to po prostu sprowadzisz mnie na ziemię, mówiąc wprost, że robię źle. Bo jeżeli będziesz zawsze pamiętała o tym, że kocham cię jak nikogo na świecie, będziesz wiedziała, że nie robię tego ze złej woli. Co najwyżej z głupoty. Przebaczysz mi? – w napięciu czekał na jej reakcję.

– Hubert, tak za tobą tęskniłam – mówiła rwącym się głosem. – Oczywiście, że ci przebaczę.

W tym momencie Hubert sięgnął do kieszeni, wyjął z niej pierścienek. Ten sam, który mu oddała parę miesięcy temu.

– Czy zatem zgodzisz się po raz drugi przyjąć moje oświadczenia? Zostaniesz moją żoną? – Jego wzrok był pełen błagania.

A Maja znowu płakała. Kiwała głową, nie mogąc nic powiedzieć. Drżącą ręką włożył jej pierścienek na palec, a po chwili całował ją tak, jak nikt inny nie potrafił. I poczuła znowu te motyle w brzuchu, które odleciały tak dawno. Ale teraz powróciły i to ze zdwojoną siłą.

Postanowili nazywać go Matti. Zmarły Matt był dużym Mattem, a to jest mały Matti. Dawał im zdrowo popalić. Od kilku dni mieszkali w domku Mai i załatwiali wszystkie sprawy przed wyjazdem do Chicago. Pakowali dobytek Mai, chociaż nie było tego wiele. Porządkowali rzeczy Matta. Na jutro mieli zabukowane bilety lotnicze. A mały najchętniej całe dnie spędzałby na rękach. I to jeszcze przy piersi, traktując ją jak uspokajacz. Ale był najpiękniejszym, najmądrzejszym i najwspanialszym noworodkiem na świecie. Tak przynajmniej twierdził Hubert.

Od razu następnego dnia po ich rozmowie, nie omieszkał zadzwonić do swoich bliskich i powiadomić ich o fackie, że odnalazł Maję, że zgodziła się zostać jego żoną i że właśnie urodził im się synek, Matti. Rodzice płakali ze szczęścia. Jasiak powiedział, że zawsze był farciarzem i że mu zazdrości jak cholera, chociaż jemu też teraz niczego do szczęścia nie brakuje. Zadzwonił do Irene, która stwierdziła, że zawsze czuła, że to się tak skończy. Najtrudniejszą rozmowę miał z Blackami. Uparł

się, że sam do nich zadzwoni, mimo że Maja chciała bardzo to zrobić. Postanowił jednak im udowodnić, że nie jest takim skończonym dramem, za jakiego go mieli do tej pory.

Telefon odebrał John. Hubert się przedstawił, przeprosił, że załatwia tę sprawę telefonicznie, ale chciał jak najszybciej powiadomić ich o jego, Mai i Mattiego szczęściu. Claire słuchała także tej rozmowy, wtrącając raz po raz jakieś pytania. Hubert pokrótce opowiedział im, dlaczego tak się stało, że opuścił Maję i jakie były jego dalsze losy. Na koniec zapewnił, że nigdy więcej ich nie zostawi. John początkowo był sceptycznie do niego nastawiony, ale w trakcie rozmowy robił się jakby bardziej serdeczny. Claire natomiast sprawiała wrażenie, jakby poczuła ulgę, bo wielkim niepokojem napawały ją dalsze losy Mai i jej dziecka. A kiedy Maja wzięła słuchawkę i rozmawiała z nimi prawie trzy kwadransy (nie pominęła oczywiście dzieci) i kiedy wyczuli w jej głosie przepełniającą ją szczęście, mimo żałoby po Mattcie, chyba uwierzyli.

Na koniec oczywiście zadzwonił do Richarda. Powiadomił go o wszystkim i poprosił, żeby powiedział pracownikom, szczególnie Margaret, że odnalazł Maję i został ojcem. Jak wróca do Chicago, stawia wszystkim drinki.

Maja powoli dochodziła do siebie po porodzie. Wszystko goiło się dobrze, miała coraz więcej sił. Potrzebowała dużo odpoczynku, gdyż mały zaanektował ją w stu procentach. No, ostatecznie mogły być ręce Huberta, który kołysał go w swoich wielkich dłoniach jak w huśtawce. Ale wystarczyło tylko, że śpiącego Mattiego położyli do łóżeczka, po kilku sekundach już był płacz. Cóż, musieli to przetrwać.

W dniu wyjazdu, wczesnym rankiem, poszli w trójkę na cmentarz. Chodzili tam zresztą codziennie, od dnia, kiedy tylko Maja była w stanie chodzić. W tym dniu Hubert niósł Mattiego na rękach. Ranek był wyjątkowo przyjemny, można by rzec, że nawet rześki. Słońce przygrzewało delikatnie, wiał łagodny wietrzyk. Z grobu uprzątnięto już cięte kwiaty, zrobiły to zapewne panie z parafii. Uwielbiały Matta za życia i nie zapominały o nim po śmierci. W ich miejsce posadziły zupełnie nieznaną jej kwiaty, wyglądem nieco przypominające lilie, o śnieżnobiałych płatkach, tylko zdecydowanie niższe od tych rosnących w Polsce.

Maja uklękła z trudem przy grobie i położyła swoją dłoń w miejscu,

gdzie mogłoby znajdować się Matta serce i szeptała coś cichym głosem. Szepty te były przeznaczone wyłącznie dla Matta, Hubert nie był w stanie ich dosłyszeć. Zresztą nawet nie próbował, stał z boku kołysząc delikatnie Mattiego na rękach. Zdawał sobie sprawę, że to ostatnie pożegnanie Mai z przyjacielem. Musiała to zrobić, żeby móc żyć dalej.

\*\*\*

Po miesiącu pobytu w Chicago cała trójka była już na dobre zadowolona. Całe ich życie codzienne zostało zorganizowane, a była w tym głównie Mai zasługa. Hubert musiał wrócić do pracy, firma dostała sporo nowych zleceń, a trójka młodych architektów, mimo że z głowami pełnymi pomysłów, wspaniałych zresztą, nie radziła sobie jeszcze ze wszystkim. Sporo jeszcze musieli się nauczyć.

W sypialni dla gości urządzili pokój Mattiego. Wszystkie meble wynieśli na strych, pokój odmalowali w żółto-błękitne barwy, z niebieskiego sufitu spoglądały na Mattiego białe uśmiechnięte chmurki, a po seledynowej trawie na ścianach przechadzały się różne zwierzęta. Była tam żyrafa z dumnie uniesioną głową, był wielki słoń chlapiący wodą z trąby na dwie małe małpki z figlarnymi minami. I nie zabrakło oczywiście króla zwierząt, złocistego lwa z potarganą grzywą.

W kącie postawili białe łóżeczko, obok komodę na ubranka, w rogu białą szafę. Pośrodku pysznił się bujany fotel. Ten sam, który Matt podarował jej na krótko przed śmiercią. Pomimo że pozostałe meble w pokoju były białe, fotel został brązowy, Maja nie pozwoliła go przemalować. Jednak po dwóch dniach pobytu całej trójki w domu, łóżeczko szybko przywędrowało do ich sypialni. Tak było po prostu łatwiej, na razie przynajmniej.

Wpadli w swój codzienny rytm. Hubert i Matti budzili się zazwyczaj o tej samej porze. Huberta budził budzik, ale Matti miał swój własny, wewnętrzny zegar. Maja leżała jeszcze w łóżku, kiedy Hubert wstawał, zmieniał Mattiemu pieluszkę i przynosił go Mai do karmienia. Kiedy podchodził do niej, taki potężny mężczyzna z maleństwem w ramionach, za każdym razem łąpało ją za serce wzruszenie. Tak ich obu kochała. A Hubert tak doskonale radził sobie z małym i robił to tak chętnie.

Zatrudnili opiekunkę, która przychodziła na sześć godzin od rana. Hubert się uparł. Chciał, żeby Maja miała trochę pomocy przy małym i przy prowadzeniu domu. Twierdził, że skoro ich na to stać, to czemu z tego nie skorzystać. No i była oczywiście Manuela, gosposia, która od lat pracowała u Huberta. I która codziennie musiała spędzić chociaż pół godziny na gruchaniu z małym. A chłopiec rozwijał się cudownie. Przybierał na wadze, jadł z wielkim apetytem, nie budził się już tak często w nocy, a w ciągu dnia był coraz bardziej aktywny. Uśmiechał się, z ciekawością obserwował otoczenie. Wyciągał rączkę w stronę grzechotki, ale zaraz tracił nią zainteresowanie, pakując piąstkę do buzi i wydając przy tym zadowolony bulgot. Był cudownym, pogodnym chłopcem.

Tydzień po przyjeździe przygotowali w domu uroczystą kolację i zaprosili wszystkich znajomych. Byli oczywiście Blackowie z dziećmi, była Irene (nadal sama) i był Richard (akurat znowu sam). Maja widziała, że Hubert bardzo się denerwował spotkaniem z Blackami, próbowała go uspokoić, ale nie na wiele się to zdało. I jak to w życiu bywa, im bardziej czegoś człowiek się boi, to coś w gruncie rzeczy nie okazuje się takie straszne. Najgorsze są sytuacje, które nas zaskakują, one zazwyczaj przysparzają nam najwięcej cierpienia. Tak więc lody zostały przełamane. Claire nie miała problemu z zaakceptowaniem Huberta, ale i John w końcu się przełamał. Wychodząc, poklepał go po ramieniu, uściśnął mu dłoń i wyraził nadzieję, że będą się częściej spotykać. Widziała, że Hubert poczuł ulgę, jakby zdał jakiś ważny w życiu egzamin. Bo zdał.

Irene i Richard, początkowo pełni rezerwy wobec siebie, po krótkim czasie byli tak pochłonięci rozmową, że niewiele zwracali uwagi na to, co się wokół nich dzieje. Wyszli ze spotkania razem, śmiejąc się serdecznie. Maja i Hubert spojrzeli na siebie porozumiewawczym wzrokiem, oboje pomyśleli o tym samym.

Dni mijały, a Maja coraz częściej myślała, że znalazła się w takim momencie swojego życia, że ma wszystko, czego by pragnęła. Że niczego jej więcej do szczęścia nie potrzeba. Hubert był cudowny, czuły, troskliwy wobec niej i Mattiego, wesoly. Było po prostu pięknie. I jedyne, czego jej w tej chwili brakowało, to seksu. Minęły już ponad dwa miesiące od porodu, była u lekarza na kontroli, wszystko zagoiło się dobrze.

Lekarz zaproponował jej założenie wkładki domacicznej, a że na razie nie planowała kolejnych dzieci, uczyniła to. Czuła się bardzo dobrze i odczuwała coraz większą potrzebę, żeby być z Hubertem blisko. A Hubert jakby się bał. Kilka razy, kiedy próbowała bardziej się do niego zbliżyć, kiedy całowali się namiętnie, on w końcu zawsze ją od siebie łagodnie odsuwał, pod jakimkolwiek pretekstem. Ale był dla niej wtedy bardzo czuły i delikatny. I w ogóle obchodził się z nią jak z jajkiem. A ona tak bardzo go pragnęła.

Dzisiaj pojechał do Indiany na spotkanie w sprawie nowego projektu. Dostali zlecenie zaprojektowania szkoły i hali sportowej. Pojechali razem z Richardem. Miał wrócić do domu pod wieczór. Chciała przygotować mu niespodziankę. Nie mogła już dłużej czekać. Zrobiła kolację, zapaliła świece. Matti, nakarmiony po kąpieli około ósmej, budził się zazwyczaj o północy. Mogli mieć więc dla siebie trochę czasu.

Hubert przyjechał przed ósmą. Chciał wykąpać małego, jak to miał w zwyczaju robić co wieczór, ale Maja dzisiaj go ubiegła. Matti leżał właśnie w łóżeczku, czyściutki, nakarmiony, chociaż nie przejawiał oznak senności. Kiedy siedziała pochylona nad łóżeczkiem, przemawiając do dziecka czułym głosem, drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł Hubert.

– Już wykąpany? – zapytał zdziwiony. – Nie poczekaliście na mnie?

– Dzisiaj zrobiliśmy to wcześniej, ale Matti nie chciał zasnąć, bo tata nie powiedział mu jeszcze „dobranoc” – odpowiedziała, całując Huberta delikatnie w usta.

Hubert nachylił się nad łóżeczkiem, przemawiał czule do syna, a ten uśmiechał się do niego bezzębnyimi usteczkami. Po chwili Hubert wziął Mattiego na ręce i delikatnie go kołysząc, śpiewał mu cichym głosem jakąś nieznaną jej kołysankę. Miał taki miękki, zmysłowy głos. I znowu poczuła w podbrzuszu motyle. Obserwowała swoich chłopców, siedząc w bujanym fotelu i nie mogła uwierzyć, że ma tyle szczęścia. Wreszcie.

– Kochanie, pobańdźcie tu jeszcze ze sobą, a ja zajmę się kolacją.

Weszła do ich sypialni, która sąsiadowała z pokojem Mattiego. Kilka dni temu łóżeczko małego wróciło do jego pokoju. Większą część nocy przesypiał spokojnie. Maja chciała więc, żeby sypialnię mieli tylko dla siebie. Po krótkich protestach Huberta udało jej się dopiąć swego. Przy

łóźeczku postawili elektroniczną nianię, w którymkolwiek miejscu domu by nie byli, zawsze słyszeli, co się z dzieckiem działo. Rozebrała się szybko – założyła seksowną bieliznę i sukienkę, w której bardzo podobała się Hubertowi i zbiegła na dół po schodach. Z góry docierał do niej głos Huberta spokojnie przemawiającego do dziecka. Włączyła piekarnik, po chwili wstawiła do niego wcześniej przygotowany makaron penne z krewetkami, czarnymi oliwkami i suszonymi pomidorami. Zrobiła sos winegret do sałaty, otworzyła butelkę schłodzonego białego wina. Krzątała się jeszcze w kuchni, kiedy Hubert zszedł z góry. Był w wytartych dzinsach, białej koszulce, boso, włosy miał jeszcze zupełnie mokre.

„Musiał w międzyczasie wziąć prysznic” – pomyślała.

Nie słyszała kiedy wychodził z pokoju Mattiego, tak była zajęta w kuchni. Hubert stanął w progu zaskoczony.

– Czy dzisiaj mamy jakieś święto? O czymś zapomniałem? – zapytał, przeczesując palcami mokre włosy.

– Nie kochanie, o niczym nie zapomnieałeś. To niespodzianka. Przygotowałam dla nas romantyczną kolację.

– A z jakiej okazji? – chyba wietrzył jakiś podstęp.

– Bez okazji, rozluźnij się – odpowiedziała pogodnie.

– Ale ty jesteś taka elegancka, a ja w dzinsach i jeszcze w dodatku boso.

– Ja też mogę być boso – odpowiedziała, zrzucając w kąt eleganckie pantofle. – Usiądź do stołu, kolacja gotowa.

Jedli początkowo w milczeniu. W tle Nat King Cole śpiewał swoje niepowtarzalne „Unforgettable”. Hubert miał zatroskaną minę, domyśliła się, że szuka w głowie czegoś, o czym mógł zapomnieć, o jakiejś rocznicy, imieninach, jakiejś innej okazji.

– Kochanie, nie mogę tak dłużej – powiedział z rezygnacją. – Powiedz mi, jeżeli o czymś zapomniałem. Pamiętasz, mówiłem ci, że czasami z głupoty mogę zrobić coś niezbyt mądrego, ale ty możesz mnie wtedy wyprowadzić na prostą. Więc mów, o czy zapomniałem tym razem?

– Tym razem o niczym. – Śmiała się, mówiąc to. Hubertowi zrobiło się jakby lżej, ale chyba nie tak do końca jej uwierzył. – Po prostu chciałam, żebyśmy zjedli razem romantyczną kolację. Żeby nasza codzien



ność nie była taka monotonna – to mówiąc, pogłaskała go czule po dłoni.

– Aha – odpowiedział, ale nadal nie do końca przekonany. Upił łyk wina i spojrzał na nią niepewnie.

Usiłowała prowadzić lekką rozmowę, ale on cały czas był spięty, jakby spodziewał się wybuchu bomby. Nakłoniła go do opowiedzenia o nowym projekcie, jak minął mu dzisiejszy dzień, co nowego słysząc u Richarda. Odpowiadał na jej pytania, ale nie rozgadywał się zbytnio, jak to robił zazwyczaj, cały czas był czujny.

– Zatańczmy – zaproponowała, kiedy już skończyli jeść. Wino nieco go rozluźniło, Maja zamoczyła tylko usta, nie mogła sobie pozwolić na więcej, kiedy jeszcze karmiła Mattiego. Hubert znowu zrobił zaskoczoną minę, ale nic nie powiedział. Wstał od stołu, podał Mai rękę i wyszli na środek pokoju. Natt tym razem śpiewał „When I Fall In Love”, migąło światło świec, było tak romantycznie. Hubert przytulił ją do siebie, ujął jej dłoń, pocałował jej wnętrze i zaczęli kołysać się w rytm muzyki. Maja zamknęła oczy. Było jej tak dobrze. Po chwili podniosła głowę, wspięła się na palce i pocałowała go. Początkowo delikatnie, były to tylko lekkie muśnięcia. Ale po chwili wplotła swoje palce w wilgotne jeszcze nieco włosy Huberta, przyciągnęła go do siebie. Ich pocałunek stał się bardziej namiętny. Przez cienki materiał sukienki czuła budzącą się jego męskość. Przyciskała go mocno do siebie, tak była spragniona jego ciała. Nie wiedziała już nawet, ile czasu minęło od momentu, kiedy ostatnio się kochali. To było tak dawno. Ale pamiętała każdy zakamarek jego pięknego ciała, pamiętała każdy dotyk. Dłonie Huberta wędrowały po jej plecach, złapał jej pośladki i przycisnął ją mocno do swojej męskości. Zaczynało jej brakować tchu. Hubert raz po raz szeptał jej imię wprost do jej ust.

– Chodźmy do sypialni – powiedziała, nie mogąc nabrać tchu.

Hubert jakby oprzytomniał. Odsunął ją lekko od siebie. Pokręcił głową. Przycisnął czoło do jej czoła. Zobaczyła, że jego pożądanie znowu zasnęło.

– Co się dzieje, Hubert? – zaczynała się martwić.

– Nic, kochanie – odpowiedział, całując ją delikatnie.

– No więc powołując się na naszą wcześniejszą umowę, pytam ponownie. Co się dzieje? Tylko szczerze – jej głos brzmiał stanowczo.

Hubert westchnął.

– Maju, rzeczą, której teraz najbardziej pragnę, to kochać się z tobą. Śniesz mi się nocami, myślę o tym wielokrotnie w ciągu dnia. Pragnę cię jak nikogo na świecie. Ale... Ale z drugiej strony bardzo się boję, żeby nie zrobić ci krzywdy. Widziałem, jak wyglądałaś po porodzie, jak bardzo byłaś poraniona. I to wszystko przeze mnie. Nie chcę, żeby cię znowu bolało. Tak bardzo czuję się winny – wyrzucił to z siebie jednym tchem.

Maja się roześmiała. Po chwili ujęła jego twarz w swoje dłonie, zmuszając go, żeby spojrzał jej głęboko w oczy.

– Kochanie, wysłuchaj mnie dobrze, bo nie będę tego więcej powtarzać. Byłam kilka dni temu u lekarza. Wszystkie moje rany zupełnie się zagoiły. Jestem w stu procentach zdrową kobietą. Lekarz założył mi wkładkę domaciczną, która jest w mojej sytuacji najlepszym i najbezpieczniejszym środkiem antykoncepcyjnym. I pragnę cię tak, że chyba umrę, jeżeli zaraz mnie nie weźmiesz. Czy masz jeszcze jakieś pytania?

Hubert tylko pokręcił przecząco głową, w jego oczach zapaliły się iskry.

– Uwiodła mnie pani, pani Maju.

– Więc weź mnie na górę, mój ty ogierze, i zrób ze mną, co zechcesz – powiedziała seksownie niskim głosem.

I to Hubertowi wystarczyło. Pocałował ją namiętnie, chwycił na rękę i zaniósł do sypialni. Postawił ją przy łóżku, powolnym ruchem zdejmował z niej sukienkę, całując odsłaniane części ciała. Odpiął jej stanik, rzucając go na podłogę, zanurzył swoją twarz w jej piersiach. Po chwili zdjął z niej koronkowe majtki i rzucił obok stanika. Stała przed nim naga. Nie miała takiej figury jak przed porodem, ale Hubert wpatrywał się w nią z takim uwielbieniem, że zapomniała o swoim skrępowaniu. I tak bardzo go pragnęła.

Zdjęła mu koszulkę, rozpięła dzinsy i zsunęła mu je z nóg. Był piękny. Jego „wódz” znowu się obudził. Dotknęła go czule, a Hubert jęknął.

– Nie dzisiaj kochanie, nie wytrzymałbym tego długo – powiedział, śmiejąc się nieśmiało. I to było takie kochane, ten jego uśmiech, to jego ciało. Smak, dotyk, widok. Nie mogła się nim nasycić, odczuwała pod wpływem jego pieszczot tak niesamowitą rozkosz, że bała się, że jej

organizm tego nie wytrzyma. Całowali każde miejsce na swoich ciałach, jakby chcieli się sobie nawzajem przypomnieć, dotykali, pieścili, zatarcili się w sobie zupełnie. I kiedy wybuchło w nich spełnienie, miało niespodziewaną siłę, jakby skumulowały się w nich te miesiące pragnień po to, żeby teraz w jednej chwili się uwolnić.

A kiedy zmęczeni leżeli na skotłowanej pościeli, przytuleni do siebie każdym centymetrem swoich ciał, dopiero wtedy poczuli, że wszystko wróciło na swoje miejsce. Byli w domu.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY FILIP

Zaczęła się jesień. Lasy wokół tartaku zdawały się płonąć żywym ogniem. Wachlarz barw, które przybrały liście na drzewach, był magiczny. Słońce przygrzewało jeszcze dość mocno, pogodne dni były rekompensatą za minione niezbyt ciepłe lato. Ranki bywały już dość chłodne, z unoszącą się mgłą z parujących łąk, przez którą przedzierały się promienie porannego słońca, co zawsze pobudzało zmysły Filipa. Gdyby był malarzem, malowałby właśnie tę porę dnia. Była po prostu magiczna. Wstawali do pracy wcześniej, dzięki temu mógł obserwować budzącą się rankiem przyrodę.

Przed tygodniem oświadczył się Ewie. Przyjęła jego oświadczenia. Zaprosił ją do Zakopanego. Pożyczył od Profesora jego starą skodę octavię i wyjechali wcześniej rano. Spacerowali po górach, po Krupówkach, wjechali kolejką na Gubałówkę. Potem zmęczeni poszli do restauracji „Bąkowa Zohylina” na góralskie jadlo. Zamówił już wcześniej telefonicznie stolik. Chciał, żeby był w jakimś osłoniętym miejscu. Powiedział, że zamierza się oświadczyć i będzie potrzebował trochę prywatności. I oczywiście obsługa stanęła na wysokości zadania. Góralski klimat restauracji, góralska orkiestra przygrywająca w tle, stwarzały niepowtarzalny nastrój. Trochę się denerwował, ale nie aż tak, jakby się mógł tego spodziewać. Czas nerwowych zachowań miał już za sobą. Nie przypominał osoby, jaką był po rozstaniu z Mają. Teraz był bardzo spokojny. Czuł się szczęśliwy. I dlatego chciał resztę życia spędzić u boku Ewy, łagodnej, pogodnej i szczerzej dziewczyny. Nieskomplikowanej, niewymagającej od niego więcej, niż mógłby jej dać i kochającej go szczerą miłością.

Pierścionek, który dla niej kupił, był z białego złota z malutkim brylancikiem, otoczonym niebieskawymi, także malutkimi topazami. Był bardzo delikatny. Filip miał nadzieję, że Ewie się spodoba. I tak też było.

Kiedy zjedli posiłek, orkiestra zagrała jakiś melancholijny góralski

utwór, on ukląkł na jedno kolano i trzymając w dłoniach pudełeczko z pierścionkiem, powiedział:

– Ewa, zakochałem się w tobie, pomimo że miałem poranione serce i duszę. Przy tobie odzyskałem spokój, czuję się szczęśliwy. Chciałbym, żeby tak było zawsze. Czy zgodzisz się zostać moją żoną? Wyjdiesz za mnie?

Zgodziła się! Chyba się tego nie spodziewała. Miał wrażenie, że ją uszczęśliwił. Oglądała pierścionek z wszystkich stron, zachwycała się nim. A on wcale nie był taki nadzwyczajny. Owszem, ładny, ale mógłby być piękniejszy, w końcu to pierścionek na całe życie. Ale tylko na taki było go stać. A może aż na taki. Zapłacił za niego prawie tysiąc pięćset złotych. Ale miał odłożone pieniądze. Zarabiał sporo, a potrzeby miał wręcz minimalistyczne. Wystarczyło na pierścionek, wystarczy i na we-sele.

Kiedy Ewa przyjęła jego oświadczyzny, wszedł kelner i przyniósł im zroszone kieliszki z szampanem. W prezencie od firmy. Taki miły gest. A oni siedzieli naprzeciwko siebie, trzymali się za ręce i świergotali do siebie jak para nastolatków. Bo chyba właśnie tak się czuli. Szczęśliwie i beztrosko.

W drodze powrotnej powiadomili rodziców Ewy, a ci od razu zaproponowali, żeby młodzi po ślubie zamieszkali z nimi. Wyremontuje się górę domu i będą mieli dla siebie dużo miejsca. Filip nie miał nic przeciwko temu. Polubił rodziców Ewy, stali się dla niego prawdziwą rodziną, taką, której nigdy nie miał. Kochającą się, troszczącą się o siebie nawzajem, pomagającą sobie we wszystkim i akceptującą wszystkich swoich członków, łącznie z ich wadami i dziwactwami. Ale wspólne zamieszkanie miało nastąpić dopiero po ślubie. Takie mieli zasady.

Ślub zaplanowali na początek grudnia. Ojciec był trochę zdziwiony tym pośpiechem, oczywiście, zapytał, czy jest jakiś powód, że chcą się tak szybko pobrać. Miał na myśli ewentualną ciążę, ale zapewnili go, że nie ma się czym martwić, że Ewa nie jest w ciąży.

Była dziewicą, kiedy pierwszy raz się kochali. Wiedział o tym wcześniej, powiedziała mu. Był taki dumny, że to właśnie on został jej pierwszym mężczyzną. Bardzo się starał, żeby sprawić jej jak najmniej bólu. I miał wrażenie, że wszystko poszło dobrze. Kiedy po raz drugi, trzeci

i kolejny kochali się na jego wąskim łóżku w baraku, wkładał w to wiele czułości, nie spieszył się, chciał ją zadowolić, chociaż Ewa nie wiedziała jeszcze, czego ma od niego oczekiwać. Była raczej bierna, nieśmiała. Jakby się bała swojej seksualności, może się wstydziła? Maja była kobietą wyzwoloną. Seks, który uprawiali, bywał bardzo różny, w zależności od ich nastrojów. Raz był namiętny i ognisty jak wybuch wulkanu, innym razem powolny i zmysłowy. I nie było w nim wstydu, nieśmiałości. Ale wszystko jeszcze przed nim i Ewą. Nauczą się swoich ciał, swoich potrzeb. Jemu było z nią bardzo dobrze, a on się postara, żeby i ona miała z tego wiele radości i satysfakcji.

Zawsze się zabezpieczał, tak, że obawy ojca były nieuzasadnione. Chociaż myślał sobie, że chciałby już zostać ojcem. Miał prawie dwadzieścia dziewięć lat. Pracował, dobrze zarabiał. Może nie było to zbyt ambitne zajęcie, ale nic innego nie było mu w tej chwili do szczęścia potrzebne. Lubił swoją pracę. Miał kobietę, którą kochał, miał dach nad głową, czyli wszystko, żeby mieć pełną rodzinę. I być dobrym ojcem. Nie takim jak jego ojciec, „Dulski”. Zupełnie za nim nie tęsknił, rzadko nawet o nim myślał. O matce nawet nie chciał rozmawiać. Była jedyną osobą, którą chciałby wykreślić ze swojego życia, szczerze jej nienawidził i miał do niej ogromny żal. A brat?... Brat gdzieś sobie żył swoim życiem i niech tak zostanie. Był mu zupełnie obojętny.

Zaczął pisać książkę. Zawsze miał dobre pióro, nawet w liceum; gdy zadawano wypracowania na dowolny temat. Wtedy najczęściej otrzymywał bardzo dobre oceny. Miał fantazję, bujną wyobraźnię, zdolność przeplatania różnych wątków, które w końcowym etapie logicznie się rozplątywały. Chyba dlatego że jako niekochane dziecko musiał uciekać w świat fantazji, żeby nie zwariować w tej swojej zimnej rodzinie. Ale teraz chciał napisać powieść. Głównym bohaterem miał być on sam. Chciał opisać po prostu swoje życie. Może to będzie jakąś przestrogą dla nieczułych rodziców, nauką i pomocą dla niekochanych dzieci? Może... A dla niego? Oczyszczeniem, zamknięciem pewnych spraw, zostawieniem ich za sobą? Nadał głównemu bohaterowi imię Jan. Trochę tak z przekory. Jan, jak facet, któremu uratował życie. Tak jak Ewa ocaliła życie jego. Życie za życie.

Pisanie szło mu całkiem nieźle. Czasami bywały takie wieczory, kie-

dy Ewa już była u siebie w domu, a on się zatracił w tym zupełnie. Przeżywał na nowo swoje nieszczęśliwe dzieciństwo. I często grubo po północy orientował się, że pora kończyć, bo o piątej rano tak czy siak będzie musiał wstać.

Z każdą napisaną stroną czuł się coraz lepiej. Jakby sprawy, które wydarzyły się w jego życiu, po zapisaniu ich w komputerze w pliku „bok 1”, zostawały automatycznie usuwane z jego życiorysu. Na zasadzie wytnij – wklej. Uśmiechał się wtedy od ucha do ucha, czuł się taki lekki. Nie wiedział, jakie będą dalsze losy jego powieści, czy ktokolwiek będzie chciał to wydać. Czy on będzie chciał to wydać. Na razie pisał dla siebie. Było mu to potrzebne. Musiał się rozliczyć z pewnymi sprawami ze swojego życia. Rozliczyć się sam ze sobą.

I następną sprawą, której bardzo pragnął, to rozmowa z Mają. Chciał jej wszystko wyjaśnić, przeprosić za to, co zrobił, chciał móc spojrzeć sobie w oczy, stojąc przed lustrem. Mógł zdobyć jej numer telefonu, nie byłoby to takie trudne teraz, kiedy był z Ewą. Zwlekał jednak z tym nadal. Może nie był jeszcze tak do końca gotowy? Może się bał? Może... Ale ta myśl coraz bardziej w nim dojrzewiała.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

### HUBERT

Postanowili wziąć ślub w Polsce. Wesele miało się odbyć oczywiście „U Maciejowej”, bo gdzieżby indziej. I wybrali termin na początek grudnia. Sobota trzeciego grudnia. Ślub miał być cywilny, oboje nie byli praktykującymi katolikami, uznali więc, że nie mogą być hipokrytami. Wprawdzie z Mary miał ślub kościelny, ale to ona na niego nalegała. Jemu nie był potrzebny sakrament. Tak więc termin został wybrany, klamka zapadła. I chcieli połączyć swój przyjazd ze świętami Bożego Narodzenia, które zamierzali wyprawić dla całej rodziny w domu w Żegutkowie.

A na stałe zamierzali jednak zamieszkać w Chicago. Miał tam firmę, nie było sensu tego zmieniać. Mieli tam dom, w którym czuli się bardzo dobrze. A do Żegutkowa chcieli przyjeżdżać co najmniej raz w roku, na kilka tygodni. Przynajmniej dopóki mały nie pójdzie do szkoły. Ale, kiedy to będzie...

Życie układało się im wspaniale. Aż bał się o tym myśleć. Maja była wspaniałą matką, spokojną, cierpliwą, kochającą. I taką samą była partnerką, ale o tym wiedział już wcześniej. I ta chemia między nimi. Teraz chyba była jeszcze większa niż przed rozstaniem. Po nocy, której kochali się po raz pierwszy od urodzin ich syna, nie mogli się od siebie odkleić. Kiedy tylko byli razem w domu, dotykali się, przytulali, całowali, jakby dopiero co się poznali. A noce... były magiczne. Miał wrażenie, że po porodzie Maja zupełnie inaczej reaguje na bodźce, na jego dotyk, jakby była jeszcze bardziej wrażliwa, rozbudzona. Nigdy nie mieli siebie dość. A co może dać mężczyźnie większe szczęście? Oprócz posiadania wspaniałej rodziny i dobrobytu materialnego najważniejszy jest fakt, że zaspokajają swoją kobietę w łóżku. Że ona uwielbia uprawiać z nim seks i że potrafi doprowadzić ją do granicy szaleństwa, po którym następuje spełnienie. Tak, to jest to. Czuje się wtedy jak *macho*. I nie potrzeba mężczyźnie niczego więcej.



Tylko, że w życiu nigdy nie jest tak, żeby było ciągle dobrze. Przed kilkoma dniami wydarzyła się dziwna rzecz. Straszna, odrażająca i niepokojąca. Mieli w zwyczaju zostawiać wózek Mattiego przed wejściem do domu. Oczywiście pusty. Było tam zadaszanie, dlatego wózek nie mógł nawet wtedy, gdy padał deszcz. Do tej pory na ulicy nie zdarzały się też żadne kradzieże albo inne przykre incydenty. Lecz kilka dni temu, po nocy, kiedy wózek stał jak zwykle na zewnątrz, rano, wychodząc do pracy, znalazł w nim martwego kota, który miał ukręconą głowę. Wyglądało to makabrycznie, bo truchło kota ułożone w wózku na plecach miało zupełnie przekręconą głowę do tyłu. Poza tym wózek był cały umazany czarną i czerwoną farbą.

Hubert stał dłuższą chwilę, wpatrując się w ten przerażający obraz.

„Kto to zrobił i dlaczego?” – pomyślał zszokowany. Wyglądało to iście satanistycznie. Kiedy minął pierwszy szok, wyciągnął z kieszeni telefon i zadzwonił na policję. Jak zwykle, byli bardzo opieszali i po obejrzeniu *corpus delicti*, stwierdzili, że to pewnie jakiś durny żart. Ale pierwszą osobą, która przyszła Hubertowi na myśl, była Sarah. Powiedzieli, że ją sprawdzą i dadzą mu znać. A oni niech będą w najbliższym czasie ostrożni, czujni. No i niech nie zostawiają wózka na zewnątrz. I tyle, czego innego można było się spodziewać po stróżach prawa?

Zastanawiał się przez chwilę, czy powiedzieć o tym Mai, ale uznał, że musi wiedzieć. I musi być ostrożna.

– Hubert, ale jaki trzeba mieć patologiczny umysł, żeby zrobić coś takiego?! I kto to zrobił? – Nie mogła wyjść z szoku. – Uważasz, że Sarah byłaby do tego zdolna?

– Uważam, że z Sarah dzieje się coś dziwnego. Zamierzam zadzwonić do jej ciotki, wiesz, tej, którą poznałaś u niej w domu. Zawsze miała na nią dobry wpływ, były ze sobą blisko, łączyła je silniejsza więź niż Sarah i matkę. Nie wiem, czego można się po Sarah spodziewać, ale musimy uważać. Matti nie może zostać ani na chwilę sam, nawet na ogródku. A może powinienem do niej pojechać? Porozmawiać z nią osobiście? W końcu przecież przyjaźniliśmy się przez tyle lat – zastanawiał się Hubert.

– Kochanie, myślę, że ona jest nieprzewidywalna – Maja mówiła z niepokojem. – I niebezpieczna. Ja się jej po prostu boję. Po tych awan-

turach, które urzędowała tobie, i w biurze, nie wiem, czy to jest dobry pomysł. Nie wiesz, do czego jest zdolna.

– Maju, przecież Sarah nie jest seryjnym mordercą, nie zamorduje mnie. Poza tym jest w końcu słabą kobietą. A ja, popatrz. Jestem jak niedźwiedź – to mówiąc, zademonstrował jej swoje naprężone mięśnie.

Maja się uśmiechnęła.

– To może pojechałby z tobą Richard? Byłabym spokojniejsza.

– Dobrze, kochanie, porozmawiam z Richardem. I pojadę do niej dzisiaj po pracy. Nie ma co tego odwlekać. Ale teraz muszę już iść – to mówiąc, pocałował gorąco jej usta, jednocześnie przyciskając całe swoje ciało do niej. A ona, jak za każdym razem, kiedy to robił, wzdychała tak seksownie.

Niestety, Richard nie mógł z nim pojechać, gdyż był umówiony w Indianie. A nie chciał tego wyjazdu odwlekać do następnego dnia.

Hubert postanowił więc rozmówić się z Sarah sam, tego właśnie dnia. Zresztą, do czego byłby mu potrzebny w tej sytuacji Richard? Przecież nie będzie z nią walczył.

Bardzo się denerwował przed tą rozmową. Nie widzieli się od czasu ostatniej awantury. No i poza tym czuł, że ona musi go nienawidzić, została jeszcze przecież do tego wszystkiego zwolniona z pracy. Miał nadzieję, że znalazła jakąś inną posadę, była przecież dobrym architektem. I nie życzył jej, żeby przymierała głodem.

Kiedy zajechał przed jej dom, zdziwił się. Zazwyczaj zadbane obejście przedstawiało teraz łąkę opłakany widok. Niekoszona od dawna, pożółkła trawa porastała trawniki. Na klombach pełnych chwastów straszły wiechcie uschniętych kwiatów. Na podjeździe stał samochód Sarah, widać było, że nie był myty od miesięcy i na dodatek miał zupełnie rozwalony tylny zderzak, był po prostu kupą złomu. Jednym słowem, cała posesja wyglądała jak z dzielnicy biedoty. Jakby znalazł się w jednym z zapuszczonych domostw w Gary.

Wszedł na ganek, nacisnął dzwonek. Odpowiedziała mu głucha cisza. Czuł jednak, że Sarah musi być w domu. Zadzwoił ponownie. Usłyszał z głębi jakieś szuranie, ale po chwili znowu zapadła cisza.

– Sarah, to ja, Hubert! Otwórz, musimy porozmawiać! – zawołał w stronę drzwi.

Nic, nadal cisza. Zadzwoił ponownie.

– Sarah, otwórz!

Usłyszał wyraźne stukanie, jakby ktoś trzasnął drzwiami, a po chwili odgłosy kroków. Nagle z rozmachem drzwi się otworzyły i stanęła w nich Sarah. Wyglądała okropnie. Zanedbane, tłuste włosy z odrostami, rozmazany tusz na rękach, brudne dżinsy i rozciągnięta koszulka nie przydawały jej uroku.

– Czego tu szukasz? – zapytała wrogo.

– Musimy porozmawiać – odpowiedział, siłąc się na spokój.

– Nie mam z tobą o czym rozmawiać. – Gdyby wściekłość bijąca z jej oczu mogła ranić, leżałby teraz w progu z wypaloną dziurą w pierśsiach.

– Chciałem cię zapytać, czy masz coś wspólnego ze zniszczeniem wózka mojego synka i umieszczeniem w nim martwego kota?

– To ty masz synka? – Zaśmiała się złośliwie. – No popatrz, popatrz. I uwierzyłeś, że to twoje dziecko? A może to dziecko Toniego? Nie masz wątpliwości?

– Nie usiłuj mną znowu manipulować, tak jak to robiłaś do tej pory. To już na mnie nie działa. Chciałem cię tylko ostrzec, że jeżeli kiedykolwiek zbliżysz się do mojej rodziny, jeżeli jeszcze raz spróbujesz w moim życiu namieszać, obiecuję, że przestanę być łagodnym Hubertem. Będziesz miała wtedy do czynienia z Hubertem, jakiego jeszcze nie znasz. I obyś go nie poznała – to powiedziawszy, odwrócił się na pięcie i ruszył w kierunku swojego samochodu.

– Słyszałam, że bierzecie ślub w Polsce na początku grudnia – zawołała za nim słodkim głosem. – Czy jestem zaproszona? – Hubert przystanął, odwrócił się w jej stronę.

– Nie powinno cię to interesować – powiedział. – Nie, nie jesteś i nie będziesz zaproszona. – Skąd o tym wiesz?

– Uważaj, żeby ci coś nie popsulo tej farsy. – Stała oparta o futrynę i uśmiechała się zadowolona.

– Grozisz mi?

– Nie, składam ci życzenia, kochanie.

Pomyślał, że wygląda jak wiedźma. Mogłaby straszyć małe dzieci w mrocznych filmach.

– I radzę ci z troską, pilnuj tych swoich skarbów, żeby ktoś się na nie nie połaścił i ci ich nie odebrał – groziła mu nadal.

– Trzymaj się z daleka ode mnie i od mojej rodziny – rzucił na odchodne i wszedł do auta.

W tym momencie Sarah dostała szału. Podbiegła do samochodu, zanim się zorientował, gwałtownie otworzyła drzwi, uderzyła go w twarz i rozorała mu długimi paznokciami policzek. Brudnymi paznokciami. Odepchną ją gwałtownie, zatrzasnął drzwi, włączając blokadę. Wyglądała jakby nie była przy zdrowych zmysłach. Z piskiem opon ruszył sprzed domu, nie chciał tu być ani chwili dłużej. We wstecznym lusterku widział ją, jak stała nieruchomo, z opuszczonymi rękami, potarganymi włosami i patrzyła bykiem za odjeżdżającym samochodem. Wyglądała jak ktoś w obłądnie. Czuł, że wszystko się w nim gotuje. Policzek palił go żywym ogniem. Prowadząc nadal samochód, wyjął ze schowka apteczkę, z niej środek dezynfekcyjny w aerozolu i psiknął na ranę. Przyłożył do niej sterylny gazik, rana krwawiła dość obficie. Prowadził dalej jedną ręką, drugą przyciskając opatrunek. Chciał jak najszybciej znaleźć się w domu.

Wiedział, że to jeszcze nie koniec. Bał się, co ta kobieta jeszcze wymyśli. Nie da im spokoju, czuł to.

Sarah stała przed swoim domem i odprowadzała nieproszonego gościa wściekłym wzrokiem. Byłaby dzisiaj gotowa go zabić, nawet nie drgnęłaby jej ręka. Tak go nienawidziła. I tak kochała jednocześnie. Ale jeżeli nie może być jej, to nie będzie żadnej innej. Ale najpierw pocierpi trochę. Oj, pocierpi... Dobrze, że zdołał jej uciec, bo inaczej tak misternie przygotowany przez nią plan wziąłby w łeb.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

### MAJA

Nadszedł tak przez nich wyczekiwany grudzień. Przed tygodniem przyjechali do Rabki. A właściwie to do Żegutkowa. Dom lśnił czystością i pachniał domowym ciastem, a to wszystko dzięki mamie Huberta. Rodzice od miesiąca mieszkali w Żegutkowie. Ich stary dom był już naprawdę stary. Wymagałby gruntownego remontu. Nie miało to najmniejszego sensu. Dom Huberta stał w stu procentach wyremontowany, wykończony i pusty. Początkowo trudno ich było przekonać do przeprowadzki, ale dzięki wspólnemu stanowisku Huberta, Mai oraz Jana i Barbary rodzice się zgodzili. I chyba koniec końców byli zadowoleni z tej decyzji, słyhać to było w ich głosach.

Na piętrze znajdowały się cztery pokoje i dwie łazienki. Największy pokój, ten z łazienką, był wcześniej sypialnią Huberta, najmniejszy, sąsiadujący z sypialnią, miał stać się pokojem Mattiego. Dwa pozostałe zajęli rodzice – w jednym urządzili sypialnię, w drugim coś, co stanowiło połączenie biblioteczki z pokojem dziennym. Mieli tam swoje książki, ukochany stolik kawowy, swoje najwygodniejsze na świecie fotele i telewizor. Faktem jest, że najczęściej oglądali programy na olbrzymim telewizorze LCD na dole w salonie, ale jakby mieli ochotę, mogliby się odizolować od pozostałych domowników w swoim własnym azylu. Hubert i Maja byli szczęśliwi, że dom nie stoi pusty przez okrągły rok, a kiedy będą przyjeżdżać do Polski, będą mieli przy sobie najbliższych.

Oczywiście, jak się można było tego spodziewać, serca wszystkich członków rodziny zostały zupełnie zawojowane przez Mattiego. A mały stawał się coraz bardziej kontaktowy, bardzo interesowało go otoczenie, a szczególnie ludzie. Zupełnie się ich nie bał. A im bardziej kolorowo byli ubrani, tym bardziej przyciągali jego wzrok. Pokazywał wówczas te swoje bezzębne dziąsła w filmowym uśmiechu od ucha do ucha. I coraz bardziej przypominał Huberta.

Kiedy Hubert pokazał Mai swoje zdjęcia z wczesnego dzieciństwa,

zobaczyli niesamowite podobieństwo do Mattiego. Byli jak klony.

Rodzice Huberta bardzo pokochali Maję. I miała wreszcie prawdziwą rodzinę, na dodatek tak liczną. Jutro ślub, zalegalizują swój związek i będą już na zawsze razem. Denerwowała się tym faktem, ale nie aż tak bardzo. Raczej przeważała w jej emocjach radość, nie mogła się doczekać tej chwili, chciała, żeby to było już.

Częstym gościem w ich domu byli Jan i Barbara. Jak miło było oglądać ich wreszcie razem, niekryjących się z własnymi uczuciami, dotyczących się bezustannie, obdarzających się przelotnymi pocałunkami. I patrzących na siebie takimi uśmiechniętymi oczami. Jan poruszał się o jednej kuli. Twierdził, że mógłby chodzić już bez niej, ale lekarze się upierają. A Barbara egzekwowała od niego sumiennie zalecenia lekarzy. I nie pozwalała Janowi zanadto swawolić.

A co najwspanialsze, Jan z Barbarą także postanowili się pobrać. Wprawdzie dopiero na wiosnę, ale dzięki temu szybko nastąpi kolejna okazja przyjazdu do Polski.

W domu panował rozgardiasz. Każdy miał coś własnego, pilnego do załatwienia przed jutrzejszym dniem. Maja od rana zaliczyła fryzjerkę, kosmetyczkę, która zrobiła jej manicure, jeszcze musiała podjechać do krawcowej po ostatnie poprawki w swojej ślubnej sukience i teraz wreszcie wracała do domu toyotą Huberta, tą samą, którą o mało jej kiedyś nie potracił. I tak to los zatacza kręgi. Mattim zajmowała się mama Huberta i wszyscy pozostali domownicy. Ćwierkali nad nim, zabawiali go i rozpieszczali, ile tylko można. Bała się, że nie poradzi sobie po powrocie do domu.

„Do domu, do Stanów... – pomyślała. – Jakie to dziwne, że to właśnie tam ma teraz swój dom”.

Wczoraj przylecieli na ślub Blackowie z dziećmi i Irene z Richardem. Tak, tak, z Richardem. Od pierwszego spotkania, kiedy to poznali się u nich w domu, stali się nierozłączni. Może wreszcie oboje będą szczęśliwi? I to dzięki Mai i Hubertowi. Taką miała nadzieję. Goście zostali ulokowani „U Maciejowej”. Dostali tam komfortowe apartamenty, najlepsze, jakie Jan mógł im zaoferować. Widać było po ich minach, że bardzo im się podobało. Zresztą, większość z przyjezdnych gości też tam była zakwaterowana, właściwie to cały hotel w ten weekend był

zarezerwowany dla gości weselnych. Sala restauracyjna była już udekorowana, wszystkiego doglądała Barbara. Jednym słowem, poczyniono już ostatnie przygotowania, łącznie ze smokingiem dla Huberta, którego nie widziała, podobnie jak Hubert nie widział jej sukni. I tak być powinno. Przejżdżała właśnie koło „Maciejowej”, ale nie wstępowała do swoich gości. Na świętowanie będzie czas jutro. Zresztą oni też pewnie byli zmęczeni i odpoczywali po podróży, może walczyli z *jet lag*. Po weselu cała szóstka, czyli Blackowie z dziećmi i Irene z Richardem, mieli zostać w Polsce przez tydzień. Maja zaplanowała dla nich codzienne wycieczki po okolicach i jednodniowy wypad do Krakowa. Dzień wcześniej, przed powrotem do Stanów, wszyscy razem mieli w planie wyjazd do Warszawy (Mattiego po raz pierwszy zostawią na tak długo babci) i będą zwiedzać stolicę. Samolot powrotny wylatywał z Warszawy, tam się mieli pożegnać. Maja z Hubertem jeszcze przez miesiąc chcieli pozostać w Polsce. Plany mieli więc wspinać.

Skręciła ostro pod górę, wjeżdżając prosto na drogę do Żegutkowa. Minęła ją lokalna taksówka z Rabki. Wiedziała, że to rabczańska, bo wszystkie miały na kogutach na dachu herb Rabki. Ale ze zdziwieniem stwierdziła, a właściwie to odniosła wrażenie, że w jej środku siedziała Sarah. Nie, to niemożliwe. Skąd Sarah tutaj? Nieprawdopodobne, żeby była tak zdesperowana, żeby przyjechać przez pół świata tylko po to, żeby zobaczyć ich ślub. Nie, to nie mogła być Sarah. Musiało jej się przewidzieć. No tak, przecież ta kobieta w taksówce była jasną blondynką z długimi włosami, a Sarah jest brunetką. Jak mogło jej przyjść coś takiego do głowy?

Kiedy zajechała na podjazd przed ich domem, było już zupełnie ciemno. Cóż, grudzień. Hubert, widząc światła podjeżdżającego samochodu, wyszedł przed drzwi. Zakładając jednocześnie kurtkę, schodził po schodach. Światło z lampy nad drzwiami padało na niego i odbijało się od iskrzącego się śniegu, którego wczoraj sporo napadało.

„Boże, jaki on jest piękny – pomyślała, nie po raz pierwszy zresztą. – I taki potężny, taka moja opoka. To nic, że przez tyle miesięcy z powodu jego głupoty byliśmy tak daleko od siebie”.

Wiedziała, że już takiego błędu więcej nie popełni. A on podszedł do niej zamaszystym krokiem, objął ją ramionami i pocałował. Tak, jakby

nie widzieli się przez rok. Poczula jak zwykle motyle w brzuchu. I nie tylko motyle. Fałę pożądanía. Ciekawe, kiedy jej to minie? Podobno z czasem miłość się zmienia, czy u nich też tak będzie?

– Tęskniłem za tobą, moja narzeczono – zamruczał jej seksownie prosto do ucha. Śnieg znowu zaczął padać. Białe płatki zatrzymały się na włosach Huberta, przyprószając je jakby jeszcze więcej. Siwizną lub białym szronem.

– Jutro już będę twoją żoną. Nie mogę w to uwierzyć. Chociaż niewiele to zmienia, bo w duszy i tak się już od dawna czuję twoją żoną – odpowiedziała, strącając śnieg z jego włosów. – A co z Mattim?

– Kochanie, Matti już nie jest nasz – śmiał się, nawet jego oczy były rozbawione. W ogóle cały tryskał szczęściem. – Dziadkowie kłócą się między sobą, czyja teraz kolej na zabawianie wnuka. A kiedy Matti za długo śpi, zmęczony tym całym harmidrem, jaki się wokół niego dzieje, dziadek wchodzi do jego pokoju, siada na fotelu przy łóżeczku i czeka, kiedy się obudzi. Mówię ci, mam z nich ubaw przez cały dzień.

– Dobrze, że tutaj zamieszkali. Bez nich ten dom byłby pozbawiony życia, taki tymczasowy. A z nimi ma duszę.

– Pięknie wyglądasz z tą misterną fryzurą – powiedział, przyglądając się jej włosom zaplecionym wokół głowy w warkocze tworzące modny kok u nasady karku.

– O matko kochana, moje włosy! Zmokną od tego śniegu i będę wyglądała jutro jak strach na wróble – to mówiąc, pobiegła w stronę drzwi. Odwracając się, zawołała jeszcze:

– Kochanie, wypakuj rzeczy z bagażnika, tylko nie oglądaj mojej sukni!

Wpadła do holu, strząsając z siebie topiące się płatki śniegu. Nagle rozdzwonił się jej telefon. Chwilę trwało, zanim wygrzebała go z torebki. Wyświetlił się jej nieznany numer.

– Halo – nikt jej nie odpowiedział z drugiej strony, słyszała jednak czyjś oddech. – Słucham, halo! – powtórzyła. Nadal nic. Po chwili dzwoniący się rozłączył.

Kiedy Hubert z łoskotem wpadł do holu z naręczem zakupów, szybko schowała telefon do torebki. Dziwna wydała jej się ta cała sytuacja, ale chyba nie powinna popadać w paranoję. Zaniepokoily ją jednak te



wydarzenia: najpierw fakt, że zobaczyła w taksówce kobietę tak podobną do Sarah, i teraz, ten głuchy telefon. Ale nie zamierzała dzielić się swoim niepokojem z Hubertem. Po co ma mu psuć humor, był taki szczęśliwy. Wystarczy, że będzie czujna, przecież nie może jej nic grozić, kiedy stale otacza ją taki tłum ludzi. A poza tym na pewno ma jakieś urojenia.

Przez otwarte drzwi do salonu zobaczyła babcię trzymającą Mattiego na rękach, kołyszącą go delikatnie i śpiewającą mu jakąś pieśń ciepłym głosem. Głos miała wyćwiczony przez lata śpiewania w kościelnym chórze. A mały wpatrzony w nią swoimi mądrymi oczkami, wkładał właśnie piąstkę do buzi i wtórował jej, wydając z siebie jakieś zupełnie dziwne, bulgoczące dźwięki.

Maja zmęczona opadła na fotel, wyciągnęła przed siebie bolące stopy z zamiarem tylko chwilowego odpoczynku, chciała tylko na moment zamknąć powieki. I natychmiast przysnęła. A we śnie zobaczyła po raz kolejny kobietę z Tatr. Stała w drzwiach i patrzyła na nią z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY FILIP

Stał przed Urzędem Stanu Cywilnego i przyglądał się wychodzącym gościom. Wielu z nich prawdopodobnie nie mieszkało w tych stronach, rozglądali się niepewnie wokół, jakby w poszukiwaniu kogoś znajomego. Kilka osób rozmawiało ze sobą po angielsku, domyślał się, że musieli przyjechać ze Stanów. Zapewne byli gośćmi pana młodego. Przyszedł tu, żeby złożyć młodej parze życzenia i poprosić Maję o wybaczenie całego zła, jakiego z jego strony doznała. I chciał jej powiedzieć, że on także znalazł swoje szczęście i wkrótce i on stanie na ślubnym kobiercu. Nie czuł zazdrości ani smutku. Cieszył się, że Maja jest szczęśliwa. Wiedział już wcześniej, że mają syna. Wieści szybko się rozchodzą w tak małej miejscowości. Zresztą Ewa pracowała nadal w hotelu, miała więc wszystkie wiadomości na bieżąco. Chciała nawet dzisiaj tutaj z nim przyjść, ale nie zdołała zamienić swojego dyżuru i musiała być w pracy. Ale z całego serca popierała to, co chciał zrobić.

Tak... był szczęśliwy. Ciągle nie mógł się nadziwić, że znalazł kogoś takiego jak Ewa. I że taka cudowna osoba go chciała. A najwspanialsze było to uwielbienie, które widział w jej oczach. Bezwarunkowa miłość. Niedługo to on będzie tym szczęśliwym mężczyzną, który będzie mówił „tak” przy ołtarzu. Bo oni będą brali ślub kościelny. Musiał dla niej przyjąć bierzmowanie, gdyż miał zaległości w tych kościelnych procedurach. Dla niego nadal nie miało to żadnego znaczenia, ale wiedział, że Ewa bardzo tego pragnie. No i oczywiście rodzice. Wątpił, czy zaakceptowałyby tylko ślub cywilny. No cóż, przynajmniej będą mieli co wspominać, kiedy już jako starszankowie będą kołysać się w bujanych fotelach na tarasie, z wnukami na kolanach, podziwiając wspaniałe widoki przed sobą. Tak sobie marzył i te marzenia były bardzo realne.

Goście opuścili już budynek i ustawili się na dworze po obu stronach schodów. Z daleka widział też niemowlę, trzymane na rękach przez mamę pana młodego. Znał rodziców Huberta; byli u niego krótko po wy-

padku, żeby osobiście podziękować mu za uratowanie ich syna. Byli sympatycznymi, starszymi ludźmi. Twarzy dziecka, niestety, z tej odległości nie mógł dojrzeć. Zresztą, mały był tak opatulony w śpiworek, że przypominał z pewnej odległości jakiś pakunek lub poduszkę, a nie dziecko.

Po chwili w wejściu ukazała się para młoda. Maja wyglądała przepięknie. W długiej jasnokremowej sukni, na którą miała narzucone kremowe futerko, wyglądała zjawiskowo. Jak Śnieżynka z bajek dla dzieci. Jej rude włosy świeciły magicznym blaskiem. W rękach trzymała bukiet margerytek. Zastanawiał się, skąd je wzięła o tej porze roku. Pamiętał, że polne kwiaty były jej ulubionymi, a margerytki chyba najbardziej ze wszystkich. Jej mąż, teraz już można tak powiedzieć, w czarnym, długim, eleganckim płaszczu, spod którego rozpiętych połów widać było czarny smoking, prezentował się bardzo dostojnie. Szyję okalał mu niedbale zarzucony biały szalik. Wyglądał jak hollywoodzki aktor. Patrzył na Maję, jakby była jego największym skarbem na świecie, bo pewnie tak o niej myślał. Ona i ten mały. I tak być powinno. Młodzi stanęli u podnóża schodów, pozując do zdjęć. Fotograf poprosił gości o chwilę cierpliwości, ponieważ chciał zrobić zdjęcie, póki świeciło słońce. Od rana bowiem było dosyć pochmurno. Spadło kilka centymetrów świeżego śniegu i w tej chwili promienie słońca przepięknie się w nim odbijały, przydając otoczeniu niesamowitego wyglądu. Idealny moment na fotografowanie. Po chwili goście będą mogli składać życzenia nowożeńcom.

Zaczął się denerwować. Chciał jej tyle powiedzieć, ale zdawał sobie sprawę, że nie będzie miał na to czasu. Nie chciał także sprawiać jej przykrości swoją obecnością. Pragnął tylko, żeby mu wybaczyła i żeby była szczęśliwa. Ścisnął w ręce prezent dla nich. Drewniany talerz, wyrzeźbiony w polne kwiaty. Były na nim i maki, i chabry, nie zabrakło nawet margerytek. Brązowe drewno pięknie kontrastowało z delikatnie podkolorowanymi kwiatami. Wyglądały bardzo realnie. Sam je wyrzeźbił i udało mu się uwiecznić w drewnie ich niepowtarzalne piękno. Ostatnio odkrył w sobie talent do dłubania w drewnie. Wychodziły mu całkiem fajne rzeczy. Nawet udało mu się kilka swoich prac sprzedać przez Internet. Może zacznie z tym wiązać swoją przyszłość? Kto wie?

Powieść, pisana przez niego także toczyła się ciekawie, pisanie szło mu lekko. Może coś z tego będzie?

Fotograf przewiesił aparat fotograficzny na ramię, dając znak gościom, że oto teraz młodzi są już do ich dyspozycji. I nagle wszystko potoczyło się tak szybko. W tym bowiem momencie zza zakrętu wyjechał samochód, chyba był to ford mondeo, który pędził prosto w stronę młodej pary. Huk silnika zagłuszył rozmowy gości. I wtedy stało się coś dziwnego. Miał wrażenie, że czas się nagle zatrzymał, aby po chwili znowu ruszyć z miejsca, ale tym razem bardzo wolno. Stojąc z boku, obserwował samochód jadący szybko wprost na stojącą przed schodami parę. Widział, jak zmniejsza się dystans dzielący ludzi od rozpędzonego auta. Katastrofa wydawała mu się nie do uniknięcia. W ostatniej chwili rzucił się pędem w stronę młodej pary, roztrzając ich na boki. W ułamku sekundy zauważył zdziwioną twarz Mai, jakby obraz znowu na moment się zatrzymał, a zaraz potem zszokowanego Huberta, który nie mógł zapanować nad sytuacją. Maja i Hubert upadli na miękki śnieg, a on zdążył jeszcze odwrócić się w stronę pędzącego pojazdu, jakby chciał jakąś nadprzyrodzoną siłą go zatrzymać. Zobaczył, że samochód wpada w poślizg na śliskiej nawierzchni i zamiast pędzić wprost na niego, obraca się do niego bokiem. Ale nadal przybliżał się z niesłabnącą prędkością. A potem poczuł nagły ból w całym ciele. Miał przez moment uczucie, że coś rozrywa go na kawałki. I wydawało się mu, że rozdwoiły się wszystkie dzwony świata.

I zapadł w ciemność.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

### MAJA

Biegli z Hubertem długim szpitalnym korytarzem. Na jego końcu widzieli ratowników pchających przed sobą nosze i pędzących w stronę sali z napisem „Izba Przyjęć”. Jeden z nich trzymał kroplówkę, drugi uciskał aparat zapewniający pacjentowi sztuczne oddychanie. Nie dostrzegła nic więcej z tej odległości. Była tak przerażona. Nie mogła złapać tchu. Serce jej łomotało, miała wrażenie, że zaraz rozerwie jej klatkę piersiową na dwie połówki. Hubert mocno ścisnął ją za rękę, jakby bał się ją puścić choćby na moment. Jej biała suknia cała była uwalana błotem wymieszanym z krwią. Nie była to jednak jej krew.

Wydarzenia potoczyły się tak szybko, że w pierwszej chwili zupełnie nie wiedziała, co się dzieje, dlaczego ktoś ją zaatakował. Ją i Huberta. Dopiero co stała szczęśliwa, pozując do zdjęć, a już po chwili leżała obolała na ziemi i słyszała huk uderzającego w coś samochodu. Pomyślała, że to w nich uderzył, dopóki nie zobaczyła ciała mężczyzny leżącego na trawniku, w zwałach zgarniętego tam z chodnika brudnego śniegu. Miał tak nienaturalnie wygięte ciało. Leżał twarzą do ziemi i się nie ruszał. Hubert pomógł jej wstać, a ona wpatrywała się w leżącą na ziemi postać. Było w niej coś znajomego. Cała ta sylwetka kogoś jej przypominała. Podbiegli tam ludzie i powoli obrócili mężczyznę na plecy. I wtedy doznała szoku po raz drugi. To był Filip!!! Ale skąd on się tu wziął? Tu? W Rabce? Na jej ślubie? Nic z tego nie rozumiała. Dopiero po chwili do niej dotarło, że on właśnie przed chwilą uratował jej życie. Jej i Hubertowi, jej ukochanemu mężowi. O Boże, zawdzięczała mu życie!

A teraz on leżał w tym brudnym śniegu, nieruchomo, cały we krwi. Padła obok niego na kolana, złapała jego nieruchomą dłoń.

– Filip, coś ty zrobił? Dlaczego? Filip, odezwij się – nie mogła pohamować szlochu. Hubert przyklęknął obok, sprawdzając puls na szyi Filipa.

– Żyje – powiedział z przejęciem.

Z oddali słyszała wycie syren, po chwili zobaczyła podjeżdżającą karetkę, a za nią samochód policyjny. Z karetki wybiegli ratownicy, i odsuwając Huberta i Maję, zajęli się poszkodowanym. Hubert odciągnął Maję od Filipa. Nie chciała się stamtąd ruszyć, a przecież przeszkadzałyby tylko. Kątem oka spostrzegła jakiś pakunek, leżący w śniegu obok. Zakodowała w pamięci moment, kiedy Filip odrzucił na bok ten przedmiot, gdy biegł w ich stronę. Podniosła go z ziemi, otrzepała ze śniegu i przycisnęła mocno do piersi.

– Maju, kochanie, on ma teraz fachową pomoc, nie możemy ratownikom przeszkadzać. Nie możemy także im teraz pomóc. Ale jak ty do niego powiedziałaś? Filip? Ty go znasz?

– To Filip! Opowiadałam ci o nim. Mój były chłopak, ten od którego uciekłam.

– Nie, to jest Dziki... – odpowiedział, nie zastanawiając się długo, choć po chwili jakby do niego dotarło, co Maja powiedziała. – Filip? Tak ma na imię? No tak, znałem tylko jego ksywkę, Dziki – Hubert potakująco kiwał głową.

– Dziki? Jaki Dziki? Skąd ty możesz go znać? – mocno się zdziwiła.

– To on uratował życie mojemu bratu.

– Filip? Uratował życie Jankowi? To on już wtedy tutaj był? A teraz uratował życie nam? O Boże, to niemożliwe. Był tu przez cały czas? – nadal szlochała, patrząc Hubertowi w twarz.

– Na to wygląda – Hubert był zamyślony.

W tym momencie Filip już na noszach został włożony do karetki, a ta z wyciem syreny odjechała natychmiast w stronę szpitala. Oboje, nie zastanawiając się wiele, pobiegli do swojej toyoty stojącej na parkingu i z piskiem opon ruszyli za karetką.

– Kochanie, wyjmij z mojej kieszeni telefon i zadzwoń do Jaśka i Basi. Niech zajmą się gośćmi, a mama niech zaopiekuje się Mattim. Powiedz jej, co ma przy nim zrobić. Zresztą ona wie to lepiej niż ktokolwiek inny. Powiedz im, że jedziemy do szpitala. Niech powiadomią policję, żeby ściagała tego bandytę. To był ford mondeo. Może ktoś zapamiętał numery rejestracyjne?

Minęła już ponad godzina, a oni nadal siedzieli w szpitalnej poczekalni w oczekiwaniu na nowe wiadomości o Filipie. Dwadzieścia minut od ich przyjazdu do szpitala dotarła tu także Ewa z Barbarą. To Barbara pojechała do hotelu, wiedząc, że dziewczyna ma dzisiaj dyżur i przywiozła ją tutaj. Teraz siedzieli we czwórkę obok siebie na twardych plastikowych krzesłach, nie rozmawiając zbyt wiele ze sobą. Ewa pochlipywała w chusteczkę, oparta o ramię Barbary. Nagle drzwi Izby Przyjęć się otworzyły i wyszedł z nich lekarz w białym uniformie. Rozejrzał się po pomieszczeniu i po chwili podszedł do nich.

– Czy państwo jesteście rodziną Filipa Welmana?

– Ja jestem jego narzeczoną – odezwała się Ewa, wstając jednocześnie z krzesła.

– A my jesteśmy jego przyjaciółmi. On uratował nam życie – dodał Hubert.

– Co z Filipem? W jakim jest stanie? – drżącym głosem zapytała Barbara.

– Pan Welman jest w stanie krytycznym – powiedział lekarz ze smutkiem. – Ma bardzo poważne obrażenia wewnętrzne i liczne złamania. Jest nadal nieprzytomny, udało się nam jednak na tyle ustabilizować jego stan, że możemy przystąpić do operacji. Będzie to bardzo trudny zabieg prowadzony przez chirurgów i ortopedów. Na szczęście, nie ma krwawienia wewnątrzczaszkowego, choć pacjent obficie krwawi do jamy brzusznej. W tej chwili właśnie pojechał na blok operacyjny. Czy pan Welman ma jeszcze jakąś rodzinę? Rodziców?

Ewa się zawahała.

– Nie, nie ma nikogo oprócz mnie. Jego rodzice nie żyją – odpowiedziała po chwili zdecydowanym głosem. Maja spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– A czy wiadomo pani, czy był na coś uczulony?

– Na Pyralginę – odpowiedziała Maja. – Dostał kiedyś po niej zapadłości.

– Nie wiedziałam – cicho powiedziała Ewa.

– W takim razie poproszę panią ze mną, spiszę pani dane i będziemy panią informować o stanie pacjenta – lekarz zwrócił się ponownie do Ewy. – Możecie państwo iść do domu. Operacja potrwa zapewne wiele

godzin. Po strojach widzę, że braliście państwo ślub. Może wróćcie do swoich gości?

– Nie, zostaniemy tutaj. Będziemy czekać, aż operacja się zakończy – zdecydowanie odpowiedziała Maja.

– Proszę jednak pamiętać, że stan jest tak krytyczny, że w każdej chwili może nastąpić zgon – dodał lekarz, kiwając głową ze smutkiem.

Ewa wybuchnęła płaczem, kryjąc twarz w ramionach Huberta. Ten poklepywał ją delikatnie po plecach, chcąc ją pocieszyć. Ale co w tej chwili mogło przynieść jej pocieszenie? Chyba tylko wiadomość, że Filip będzie żył.

Lekarz odszedł, a oni zostali w poczekalni sami. Nie było tu innych osób, mogli więc czuć się tutaj swobodnie.

– Pani Ewo, to jest Maja, moja żona – powiedział Hubert do dziewczyny.

– Wiem, pracowałyśmy przecież krótko razem „U Maciejowej”. Zresztą Filip wiele mi o tobie opowiadał – Ewa zwróciła się w stronę Mai.

– Tak mi przykro – powiedziała Maja, obejmując dziewczynę. – On uratował nam życie.

– Pani Basia mi o wszystkim powiedziała, kiedy jechałyśmy do szpitala. On chciał cię przeprosić za wszystkie krzywdy, które ci wyrządził. Mieliśmy iść na wasz ślub razem, ale musiałam dzisiaj zostać w pracy. Nie mogłam z nikim zamienić tego dyżuru. Sam zrobił dla was prezent. On tak pięknie potrafi rzeźbić w drewnie.

– Filip? On rzeźbi? – Maja nie kryła zdziwienia. – Zaraz, zaraz, ja mam tutaj ten prezent – to mówiąc, wzięła do rąk zawiniątko, które do tej pory leżało kilka krzeseł dalej i zaczęła rozrywać ozdobny papier. – Ależ to piękne! – powiedziała po chwili z zachwytem, wpatrując się w wyrzeźbione polne kwiaty, które leżały jakby żywe na drewnianym talerzu. – I zrobił to dla nas?

– Tak, specjalnie na wasz ślub. Pamiętał, że lubisz polne kwiaty.

Zamilkli wszyscy, wpatrując się w misterną robotę. Nagle na zewnętrzny rozległ się sygnał karetki, a po chwili następny zespół ratowniczy przez rozsuwane przeszklone drzwi przywiózł na noszach jakiegoś pacjenta. Tuż za nimi podążało dwóch policjantów. Kiedy szybko przejeź-



dźali obok nich, Maja rozpoznała w osobie na noszach tę samą postać, którą wczoraj widziała w taksówce. Tej, która ją mijala, kiedy wracała z zakupów. I znowu odniosła wrażenie, że ta osoba przypomina Sarah. Miała jednak długie blond włosy i twarz całą we krwi. Trudno było stwierdzić, czy to rzeczywiście ona. Ratownicy minęli ich błyskawicznie i podobnie jak to było z Filipem, zniknęli za drzwiami Izby Przyjęć.

Maja wzięła Huberta za rękę i odciągnęła na bok.

– Hubert, muszę ci coś powiedzieć – zaczęła niepewnie. – Wczoraj, kiedy wracałam z zakupów do domu, minęła mnie po drodze taksówka i przez moment mi się wydawało, że widziałam w niej Sarah. Ale po chwili uświadomiłam sobie, że ta osoba w taksówce miała długie blond włosy, a Sarah przecież była brunetką. No i skąd Sarah tutaj? Pomyślałam, że mi się przywidziało, ale ta osoba na noszach wyglądała jak Sarah, tylko z włosami blond.

Hubert zmarszczył brwi, w napięciu wpatrywał się w Maję.

– Kochanie, to nieprawdopodobne, żeby ona się tutaj znalazła. – Usiłował ją pocieszyć, ale w jego głosie nie było pewności. – Chodź, usiądziemy i poczekamy z Ewą i Basią. Ja w tym czasie zadzwonię do Jana i przeproszę, że chyba nie pojawimy się szybko na weselu. Zapytam też mamę, jak się sprawuje Matti – to mówiąc, odszedł nieco na bok, nie chcąc nikomu przeszkadzać.

Nie skończył jeszcze rozmawiać z Mają, kiedy z Izby Przyjęć wyszli ci sami dwaj policjanci i podeszli do czekających kobiet.

– Starszy sierżant Kowalski – przedstawił się jeden z nich. – Czy państwo jesteście tą młodą parą, na której ślubie zdarzył się ten wypadek, w którym został poszkodowany pan Filip Welman? – zapytał, spoglądając na Huberta i Maję.

– Tak, to ja i mój mąż – wskazała na zbliżającego się Huberta.

– Ujęliśmy właśnie sprawcę wypadku, to kobieta, którą przed chwilą przywiozło pogotowie. Urządziliśmy za nią pościg policyjny, uciekała fordem mondeo. Nie chciała się zatrzymać pomimo dawanych przez nas sygnałów i przed Nowym Targiem na Zakopiance wpadła w poślizg na ostrym zakręcie i stoczyła się z wysokiego nasypu, po czym uderzyła w drzewo. Żyła jeszcze, kiedy zabierało ją pogotowie, ale zmarła przed chwilą, już po reanimacji – to mówiąc, policjant spoglądał to na Maję, to

na Huberta. Ewa wpatrywała się w niego rozszerzonymi oczyma, jakby niezupełnie rozumiała, o czym on mówi. Maja musiała usiąść, poczuła się słabo.

– Chciałbym prosić, żebyście państwo spróbowali zidentyfikować zwłoki. Denatka nie miała przy sobie żadnych dokumentów – kontynuował funkcjonariusz. Nie znamy jej tożsamości.

Hubert spojrział na Maję. W jej oczach malowało się przerażenie, ale po chwili kiwnęła głową.

– Pójdziemy razem – odpowiedział Hubert.

Po chwili zostali wprowadzeni przez główne drzwi Izby Przyjęć do małego pomieszczenia na końcu korytarza. Pośrodku stała kozetka, na której spoczywały zwłoki, przykryte białym prześcieradłem. Pod ścianami stały metalowe szafki i stoliki na kółkach, na których leżały jakieś medyczne narzędzia. Pod ścianą na jednym ze stołów Maja dostrzegła leżącą perukę z długimi blond włosami. Wiedziała już, kogo zobaczy po odsłonięciu prześcieradła. Spojrzała na Huberta. On chyba też już zrozumiał.

– Jesteście państwo gotowi? – zapytał policjant.

Maja kiwnęła głową.

– Tak – odpowiedział Hubert stanowczo.

Powolnym ruchem policjant zdjął prześcieradło z twarzy denatki. Miała ciemne, średniej długości włosy, teraz pozlepiane częściowo zaschniętą krwią. Jej twarz była posiniaczona albo może raczej brudna, przez czoło przebiegała kilkucentymetrowa rana. Oczy miała zamknięte.

– To Sarah Parker, obywatelka Stanów Zjednoczonych – powiedział cicho Hubert.

Resztę wieczoru i większość nocy Maja pamiętała mgliście. Miała wrażenie, że obserwowała to wszystko, co się później wokół niej działo, jako widz, jakby zupełnie jej to nie dotyczyło.

Ponad godzinę spędzili z policjantami, spisując zeznania. Udostępniono im jakieś niewielkie pomieszczenie należące do Izby Przyjęć, żeby nie musieli jechać na posterunek. Nie chcieli opuszczać szpitala i zostawić Ewy samej. Szczegółowo opowiedzieli o ich relacjach z Sarah, o nękanii ich przez nią, o groźbach, które wygłaszała w trakcie ich

ostatniego spotkania, a które Hubert zlekceważył. Nie mógł sobie teraz tego darować. Ale co właściwie mógł zrobić? Amerykańska policja i tak by z tym nic nie zrobiła. Najwyżej przeprowadziłaby rozmowę z Sarah, a ta oczywiście wszystkiemu by zaprzeczyła. Przecież nie był w stanie przewidzieć wydarzeń, które nastąpiły później.

Po skończonym przesłuchaniu wrócili do poczekalni, chcieli oczekiwać razem z Ewą na koniec operacji. Pragnęli wiedzieć, co się stanie z Filipem. To przecież dzięki niemu żyli.

Operacja trwała pięć godzin. Minęła jedenasta, kiedy wreszcie wyszedł do nich lekarz. Filip przeżył operację, ale jego stan nadal był krytyczny i w każdej chwili można było spodziewać się wszystkiego. Został przeniesiony na Oddział Intensywnej Opieki Medycznej, jak zakomunikował im lekarz, tam będzie miała wstęp tylko Ewa, chociaż nie wiadomo kiedy. I tylko ona będzie informowana o stanie jego zdrowia. Nie pozostawało im zatem nic innego, jak tylko wrócić do swoich gości. Basia odwiozła Ewę do Żegutkowa.

Kiedy przyjechali do „Maciejowej”, wszyscy goście jeszcze o dziwo byli na sali. Siedzieli przy stołach i rozmawiali. Wszyscy wiedzieli, co się stało, gdyż Hubert zadzwonił do Jana i wszystko mu opowiedział. Mama z Mattim już dawno była w Żegutkowie. Jan przekazał wszystkie informacje gościom. Nie było czego ukrywać.

Usiedli na swoich honorowych miejscach i poczuli się wyczerpani. Maja w pobrudzonej sukni, Hubert w smokingu, ale też nie prezentującym się rewelacyjnie. Zaraz zaczęto im podsuwać coś do jedzenia, ale niewiele mogli przełknąć. Potem goście zaczęli składać im życzenia, wręczać prezenty, trochę ze wszystkimi porozmawiali i po pierwszej w nocy impreza się skończyła. Nikt nie miał nastroju do zabawy. Zresztą nietaktem byłoby świętować, kiedy tam, w szpitalu, umierał być może ich wybawca.

Przed drugą byli w domu. Maja funkcjonowała jak we śnie. Gdyby nie Hubert, chyba nie byłaby w stanie wykonać żadnego ruchu. Tato Huberta poszedł prosto do swojego pokoju, a oni zajrzeli jeszcze do Mattiego, ale ten spał spokojnie słodkim snem szczęśliwego dziecka. Zrzucili z siebie ubrania, przebrali się w szlafroki i zeszli na dół do salonu. Nie byli w stanie zasnąć. Nie mieli nawet ochoty na świętowanie

swojej nocy poślubnej. Byli przygnębeni.

W domu panowała cisza. Maja zapaliła świecę na stoliku. Hubert nalał im po lampce koniaku. Usiedli na miękkiej kanapie, wtulili się w siebie i milczeli, sącząc trunk. Jakie to szczęście, że nadal mieli siebie.

– Co by było, gdyby Filip nas nie uratował? – szeptem zadała to pytanie Maja.

– Nie chcę się nad tym zastanawiać, skarbie – odpowiedział, przygarniając ją jeszcze bliżej do siebie i całując czule w skroń.

– Zabiłaby nas? – Maja nie mogła przestać o tym mówić.

– Myślę, że chciała zrobić krzywdę przede wszystkim tobie. Kiedy analizuję naszą ostatnią rozmowę, nie rozumiem, jak mogłem zlekceważyć jej słowa. Powiedziała, że mam pilnować swoich skarbów, bo ktoś może mi je odebrać. Myślałem wtedy, że chce mnie po prostu wkurzyć. Nie zdawałem sobie sprawy z jej planów, nie brałem tego zupełnie pod uwagę, że może się posunąć do tak strasznych rzeczy – kręcił głową z niedowierzaniem.

– Czyli to ja miałam zginąć. A tymczasem być może umiera niewinny człowiek – westchnęła głęboko. – Popatrz, myślałam o nim tak źle, a on tyle przeszedł – zamilkła na chwilę, głęboko zamyślona. – Kiedy rozmawiałeś z Jankiem, a Basia wyszła do łazienki, Ewa opowiedziała mi, co przeżywał Filip, kiedy od niego odeszłam. Że był bliski szaleństwa, że przyjechał tu za mną i nie był do końca pewny, czy nie zrobi mi jakiejś krzywdy, jeżeli nie będę chciała do niego wrócić. On to wszystko opowiedział Ewie. Rozumiesz? On musi ją bardzo kochać, skoro nie bał się powiedzieć jej takich rzeczy. I Ewa twierdzi, że to dzięki niej się uspokoił, dzięki niej zrozumiał wiele spraw. Sam jej tak mówił. Że gdyby nie ona, to skończyłby albo w wariatkowie, albo w więzieniu. I jeszcze ta jego patologiczna rodzina, śmierć ojca. Wszystko to o mało go nie załamało. A teraz jeszcze nie wiadomo, czy przeżyje – z jej oczu popłynęły łzy.

– Cóż, życie jest nieprzewidywalne. Oby już nic tak złego nas w nim nie spotkało – nagle poczuła, że stał się spięty, jakby coś go bardzo zdenerwowało. – Wiesz, co mi przyszło do głowy?

– Mam nadzieję, że nic, co by nas wprawiło w jeszcze gorszy nastrój – powiedziała, biorąc go za rękę.

– Zdałem sobie sprawę z tego, że prawdopodobnie to Sarah jest odpowiedzialna za śmierć mojej żony, Mary.

– Swojej siostry? Nie, to chyba niemożliwe. – Pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Mary zginęła w wypadku samochodowym podczas jazdy drogą ekspresową do domu z zakupów, na których była z Sarah. Ktoś zjechał jej drogę samochodem. Wyglądało na to, że zepchnął ją z pasa. Było to na estakadzie. Mary wypadła z drogi i z wysokości dwudziestu pięciu metrów jej samochód runął na betonowy parking znajdujący się na dole. Po chwili stanął w płomieniach. Nie można było nawet zidentyfikować koloru lakieru należącego do samochodu, który to wszystko sprawił. Śledztwo zostało umorzone.

– Kochanie, ale to jeszcze nie świadczy o tym, że to Sarah prowadziła ten niezidentyfikowany samochód – Maja kręciła głową z powątpiewaniem.

– Nie widziałem więcej samochodu Sarah po śmierci Mary. Przyjeżdżała do mnie taksówkami, a po kilku dniach kupiła nowego lincolna. Powiedziała, że stary samochód sprzedała. Nie zastanawiałem się wtedy nad tym. Byłem tak załamany z powodu śmierci żony. A Sarah mnie pocieszała. Zresztą nikt nie podejrzewał przecież Sarah. Tak przekonująco odgrywała swoją rolę, załamanej, kochającej siostry. Tak... myślę, że to ona ją zabiła.

– Czy uważasz, że można jeszcze coś z tym zrobić? Wznowić śledztwo?

Hubert z rezygnacją pokręcił głową.

– A jaki to miałoby sens? Ja wiem, że to ona. A kara już ją osiągnęła.

Minęło dziesięć dni od dnia ich ślubu. Od dnia nieszczęśliwego wypadku. Siedzieli na strychu i porządkowali rupiecie, które tam jeszcze zalegały po poprzednich właścicielach. Znaleźli tam różne stare sprzęty: jakieś krzesła, każde z innej parafii, połamany stolik do brydza, starą lampę naftową z potłuczonym kloszem, gazety jeszcze z czasów PRL-u,

sporo egzemplarzy „Trybuny Ludu”. Odłożyli je na bok, aby je kiedyś przejrzeć, może nawet oddać do jakiegoś muzeum. Były też tam stare ubrania, podniszczone, pogryzione częściowo przez myszy lub mole. Odkładali je do wielkich worków jako rzeczy do wyrzucenia, do kartonów natomiast wkładali to, co mogło się jeszcze komuś przydać.

Filip nadal nie odzyskał przytomności. Jego stan zdrowia, jak mówili lekarze, był ciężki, ale stabilny. Wciąż istniało zagrożenie życia. I niestety, nadal nie było wiadomo, czy kiedykolwiek odzyska świadomość. Przed trzema dniami odstawiono leki, które utrzymywały go w śpiączce farmakologicznej, ale on niestety ciągle był nieprzytomny.

Codziennie jeździli do szpitala. I widywali się tam z Ewą. Bardzo się z Mają polubiły. Ewa była nawet kilka razy w ich domu, zachwycała się małym Mattim. Potrzebowała chyba po prostu w tym czasie towarzysztwa. Kiedy zostawała sama, nie mogła przestać zamartwiać się stanem zdrowia Filipa i popadała w coraz większą depresję. A Filip się nie budził. Nie pozostawało im więc nic innego, jak tylko czekać.

Maja przerzucała jakieś stare książki o tematyce rolniczej, o uprawie pomidorów, hodowli trzody chlewnej. Nagle wśród nich znalazła album oprawiony w szare płótno. Otworzyła go i znieruchomiała. Na pierwszej stronie znajdowało się zdjęcie kobiety z Tatr! Tej samej, która wielokrotnie jej się śniła. Sny o niej zazwyczaj zapowiadały jakieś nieszczęście, jakby chciała ją przed czymś ostrzec. Kobieta na zdjęciu była ubrana dokładnie w taki sam strój, w jakim Maja widywała ją w swoich snach.

– To niemożliwe, przecież to się nie może dziać naprawdę – Maja kręciła głową z niedowierzaniem.

– Co się nie może dziać, kochanie? Co tam masz? – zapytał Hubert, podnosząc się z kolan i zaglądając jej przez ramię. Pochylił się nad albumem.

– Zobacz, co znalazłam – powiedziała, podając mu jednocześnie album. – Pamiętasz, jak opowiadałam ci o kobiecie z moich snów?

– Yhy – Hubert kiwnął głową.

– To ona – powiedziała, stukając palcem w zdjęcie.

Hubert zmarszczył czoło i zaczął energicznie przerzucać następne strony. Ta twarz była mu jakoś dziwnie znajoma. Na ostatniej stronie

albumu znalazł inne zdjęcie. Zdjęcie kobiety z jego snu, ubranej w koktajlową sukienkę z frędzlami, z przepaską na czole.

– A to kobieta z mojego snu! To ta sama kobieta! Przecież to nie może być prawda. To jest nierealne. – Nie mógł uwierzyć w to, co widział. Wyjął zdjęcie z albumu, na odwrocie widniał napis: „Maja Ruszkowska. Sylwester w Zakopanem 1936 roku”.

Nie mógł oderwać wzroku od nakreślonych starannym pismem liter. Bez słowa podał zdjęcie Mai. Ta po chwili z niedowierzaniem podniosła na niego wzrok, otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu.

Nagle rozdzwonił się telefon Huberta.

– To Ewa... – powiedział. Przez chwilę nie odbierał połączenia, jakby nie chciał usłyszeć złej wiadomości.

– Odbierz – w głosie Mai słychać było rezygnację. Chyba pomyśleli o tym samym.

Hubert nacisnął klawisz. Z dołu dobiegały dźwięki nokturnu Es-dur Fryderyka Chopina, ulubionego kompozytora taty Huberta.

– Ewa, witam cię – powiedział w napięciu. Milczał przez chwilę. Z jego wyrazu twarzy nie można było niczego wyczytać. Słuchał, jednocześnie wpatrując się w twarz Mai. Po chwili odsunął telefon od ucha i powiedział, nie mogąc ukryć zaskoczenia:

– Filip się obudził...

*KONIEC*

## Z naszej księgarni:



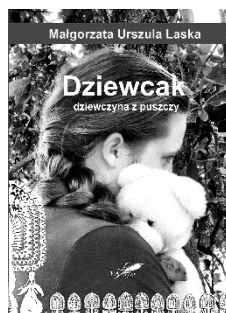
### **„Szczęście od jutra” Anna Balińska**

Po pięciu latach nieudanego małżeństwa, Hania rozstaje się z mężem, tracąc jednocześnie pracę, w której szefem był jej teść. Młoda, piękna, ale nieufna kobieta zaczyna życie niemal od nowa. Wieloletni przyjaciel Jakub nabiera większej odwagi i otwiera przed Hanną swoje serce. Jednak na drodze bohaterki staje jeszcze Adam. Dostyć tajemniczy, zagadkowy, z bagażem doświadczeń, zabójczo przystojny i zapatrzony w nią jak w obrazek. Co podyktuje Hannie serce? Kogo powinna wybrać? Charyzmatycznego

biznesmena Adama, czy statecznego, sympatycznego Jakuba, dzielącego swe troski o małą córeczkę Milenkę?

### **„Dziewczak” Małgorzata U. laska**

Losy bohaterów rozgrywiają się w otoczeniu przyrody, w pięknym miejscu jakim są Kurpie Zielone. Ich problemy, miłości, smutki i radości osadzone są w realiach lat osiemdziesiątych minionego stulecia, ale wydarzyć się mogły i dziś. Główną bohaterkę poznajemy jako młodą dziewczynę, próbującą się wyrwać ze wsi, na której nie widzi dla siebie przyszłości. Towarzystwem jej burzliwym losom, doznajemy rozterek jak w prawdziwym życiu. Niesamowicie sprawnie poprowadzona akcja, barwne postacie i zagmatwane losy bohaterów sprawiają, że powieść czyta się jednym tchem. Zaskakujące zakończenie wynagradza wszystkie ły, jakie popłynąć mogą w trakcie lektury.



### **„Apetyt na życie” A. Kazala H. Kowalczyk**

„Apetyt na życie” to książka ukazująca, co można zrobić, żeby życie nie przeciekało między palcami, by było przyjemniejsze i jaśniejsze. Napisana lekko z dużą dozą humoru, wesołymi dialogami, pełna optymizmu oraz radości życia. Polecana wszystkim lubiącym podróże, śmiech i dobrą kuchnię. Nagrodzona tytułem – Najlepsza Książka na Jesień 2016 w kategorii Podróże Literackie w konkursie portalu literackiego Granice.pl





**Katarzyna Janus** – mieszkanka Wielkopolski, z zawodu lekarz, z zamiłowania podróżniczka. Z powodu fobii przed lataniem, której się nabawiła po podróży do Stanów, zwiedza te miejsca, do których może dotrzeć samochodem. Lubi wszelkiego rodzaju robótki ręczne, nie wyłączając malowania i przerabiania mebli; uwielbia gotować, a potem biesiadować z rodziną lub przyjaciółmi; jej ulubiona zupa to solferino, a miesiąc maj. W tajemnicy zdradza, że duchowo jest niepoprawną romantyczką, a fizycznie silną kobietą twardo stąpającą po ziemi.

„Życie za życie” to jej druga powieść. Pierwsza pt. „Nigdy nie jest za późno” ukazała się we wrześniu 2016 roku i zdobyła przychylność czytelniczek.

Katarzyna Janus przygotowała dla czytelnika sporą dawkę emocji i wrażeń, nie szczędząc mu łez i radości: ciekawie uplecioną fabułę, nietuzinkowych bohaterów oraz przestrzeń na snucie własnych domysłów i przypuszczeń. I nie stawia łatwych i prostych rozwiązań. Targa uczuciami bohaterów, nie osadza zbyt długo w jednym miejscu. Niektóre sceny przypominają te z dobrych filmów sensacyjnych: z zazdrosną kobietą w tle, urażoną męską dumą i honorem, elektryzującą intrygą, podsycaną fałszywymi oskarżeniami, w konsekwencji prowadzącymi do licznych niedomówień.

W tej powieści dużo się dzieje, jak to w życiu.

Czy każdy z bohaterów w gmatwaninie zdarzeń odnajdzie swoją drogę, swoje szczęście? I komu pisane będzie: życie za życie?

Wzruszyłam się i liczę, że będzie ciąg dalszy tej opowieści! Polecam!

*Agnieszka Krizel (Recenzje Agi)*

Znajdź nas na Facebooku  
[www.wydawnictwobialepioro.pl](http://www.wydawnictwobialepioro.pl)

Książce patronują:

**Warszawska**  
Kulturalna

 **Recenzje**  
**Agi**



ISBN:978-83-64426-84-1



Cena: 34,00 zł